

Strandberg to szwedzki Stephen King.
Potrafi stworzyć świat, który wydaje się zupełnie normalny,
ale od początku wiadomo, że za sekundę coś nas zaskoczy.
I ta niespodzianka będzie naprawdę bolesna.
„Weekendavisen”

PRZEKŁĘTY PROM

MATS STRANDBERG

MARGINESY



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

**PRZEKŁĘTY
&
PROM**
MATS STRANDBERG

Przełożyła
DOMINIKA GÓRECKA

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

PRZEKLĘTY PROM

Podziękowania

Źródła cytatów

Tytuł oryginału FÄRJAN
Przekład DOMINIKA GÓRECKA

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja KRYSZYNA PODHAJSKA
Korekta ANNA SIDOREK, JAN JAROSZUK
Projekt okładki i wyklejki © PÄR ÅHLANDER
Adaptacja projektu okładki i wyklejki PIOTR ZDANOWICZ
Zdjęcie na okładce © KIM PETERSEN
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Färjan

Copyright © Mats Strandberg 2015
by Agreement with Grand Agency, Sweden and BookLab, Poland.
Copyright © for the translation by Dominika Górecka
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2017

Warszawa 2017
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65780-12-6

Wydawnictwo Marginesy
ul. Forteczna 1a,
01-540 Warszawa
tel. 48 22 839 91 27
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Do wypłynięcia promu ma prawie godzinę. Ciągłe jeszcze może się rozmyślić. Ciągłe jeszcze może chwycić walizkę i pociągnąć ją najpierw przez terminal, a potem wzdłuż wybrzeża, zjechać do metra, wsiąść na Centralen i wrócić do domu, do Enköping. Spróbować zapomnieć o całym tym idiotycznym pomysle. Być może kiedyś będzie się nawet potrafiła śmiać na wspomnienie wczorajszego wieczoru, kiedy to siedziała w kuchni, a głosy z radia nie były w stanie zagłuszyć tykania zegara na ścianie. Wypiła o jeden kieliszek riojy za dużo i stwierdziła, że ma dosyć. Wypiła jeszcze jeden i postanowiła, że musi coś zmienić. Chwytać chwilę. Przeżyć przygodę.

Być może kiedyś będzie się z tego śmiać, choć w tej chwili nie jest tego taka pewna. Trudno w samotności śmiać się z samej siebie.

Skąd w ogóle ten pomysł przyszedł jej do głowy? Tamtego wieczoru zobaczyła reklamę w telewizji – elegancko ubranych ludzi, którzy wyglądali zupełnie zwyczajnie, tylko jakby bardziej radośnie niż inni. Ale to przecież żaden powód. To nie w jej stylu.

Bilet zarezerwowała szybko, żeby się nie rozmyślić. Była tak podekscytowana, że ledwo udało jej się zasnąć, chociaż piła wino. To uczucie utrzymywało się przez całe przedpołudnie, kiedy farbowała włosy, i przez całe popołudnie, kiedy się pakowała, i jeszcze przez całą drogę tutaj. Tak jakby przygoda już się rozpoczęła. Tak jakby ona mogła uciec przed samą sobą, uciekając przed codziennością. Teraz patrzy na swoje odbicie w lustrze, głowa jej cięży, jakby była z ołowiu, dogonił ją niepokój jak zwielokrotniony kac.

Pochyla się i wyciera resztki rozmazanego tuszu do rzęs. W niebieskawym świetle jarzeniówek damskiej toalety w terminalu worki pod jej oczami wyglądają okropnie. Robi krok do tyłu. Przeczesuje palcami ścięte na praktycznego pazia włosy. Ciągłe jeszcze czuje zapach farby do włosów. Sięga do torebki po szminkę i wprawnym ruchem poprawia usta. Na koniec cmoka do swojego odbicia w lustrze. Odpycha ciemny obłok, który próbuje ją wypełnić i pochłonać.

W jednej z kabin za jej plecami ktoś spuszcza wodę, otwierają się drzwi. Marianne prostuje się, wygląda bluzkę. Musi wziąć się w garść. Z kabiny wychodzi młoda ciemnowłosa kobieta w jaskraworóżowej bluzce bez rękawów i staje przy umywalce obok. Kobieta ma gładkie ramiona, mięśnie zarysowują się lekko pod skórą, kiedy myje ręce i sięga po papierowy ręcznik. Jest za chuda. Rysy twarzy są kanciaste, mało kobiece. Mimo to wiele osób prawdopodobnie powiedziałoby o niej, że jest piękna. Lub przynajmniej seksowna. Na jej przednim zębie połyskuje diamencik. Różowe cekiny mieniają się na tylnych kieszeniach džinsów. Marianne przyłapuje się na tym, że się gapi, i szybko odwraca wzrok, ale dziewczyna wychodzi z łazienki, nawet na nią nie spojrzawszy.

Zrobiła się niewidzialna. Zastanawia się, jak to możliwe, że ona też kiedyś była taka młoda.

Wiele, wiele lat temu. W innym czasie, w innym mieście. Była wtedy mężatką, miała męża, który kochał ją, najlepiej jak potrafił. Dzieci były jeszcze małe i wciąż wydawało im się, że matka jest kimś w rodzaju półbogini. Miała pracę, w której codziennie dostawała potwierdzenie, że jest potrzebna. I zawsze mogła wpaść do jednego z sąsiadów na kawę.

Może trudno w to uwierzyć, ale czasem Marianne marzyła tylko o tym, żeby pobyć sama. Kilka godzin spędzonych w samotności, by móc usłyszeć własne myśli, wydawało jej się szczytem luksusu.

W takim razie teraz pławi się w luksusie. Luksus to właściwie jedyne, co ma.

Sprawdza, czy na zębach nie widać śladów szminki. Spogląda na stojącą obok niewielką walizkę, podarunek od klubu książki, do którego należy.

Zarzuca na ramię puchowy płaszcz, chwytając mocno rączkę walizki i wychodzi z toalety.

W terminalu panuje gwar. Niektórzy ustawili się już w kolejce przy barierkach; czekają, by wpuszczono ich na pokład. Marianne się rozgląda. Cielista bluzka i sięgająca kolan spódnica, które ma dziś na sobie, są chyba zbyt sztywne na tę okazję. Większość kobiet koło sześćdziesiątki ubrała się albo jak nastolatki – w dzinsy, bluzy z kapturem, sukienki z głębokim dekoltem – albo schowała w bezkształtnych tunikach i sukienkach przypominających namiot. Ona nie należy do żadnej z tych grup. Wygląda jak sztywna emerytowana sekretarka medyczna, którą zresztą jest. Próbuje dostrzec, że wiele z tych kobiet jest starszych i brzydszych od niej. Ona też ma prawo tu być.

Zauważa bar na końcu korytarza. Kółka walizki hałasują, jakby prowadziła walec po brukowanej nawierzchni.

Przy barze przebiega wzrokiem po błyszczących butelkach i kranach do piwa. Na czarnych tablicach wypisano kredą ceny. Zamawia kawę z baileyssem. Na promie ceny chyba będą niższe. Czy bary są również w strefie wolnocłowej? Powinna była to sprawdzić. Dlaczego tego nie zrobiła? Dziewczyna z połyskującymi kawałkami metalu w wargach i brwiach nie patrzy na nią, podając jej wysoką szklanę z duralexu. Dlatego Marianne bez większych wyrzutów sumienia odchodzi, nie zostawiwszy napiwku.

Zauważa wolny stolik w głębi pomieszczenia pod krótszą ścianą jego przeszklonej części. Przechodzi ostrożnie między stolikami, ciągnąc za sobą walizkę i niosąc płaszcz podobny do wielkiej puchowej kołdry. Szkło parzy ją w palce. Torebka zsuwa się z ramienia i zatrzymuje na wysokości łokcia. Wreszcie dociera do stolika. Odstawia szklanę. Naciąga torebkę z powrotem na ramię i jakimś cudem zajmuje miejsce, niczego nie strąciwszy. Opada wycieńczona na oparcie krzesła. Ostrożnie wypija pierwszy łyk – kawa nie jest wcale aż tak gorąca jak szklanka, więc Marianne pije łapczywie. Czuje, jak alkohol, cukier i kofeina rozchodzą się powoli po jej ciele.

Podnosi wzrok na wyłożony lustrami sufit. Lekko się prostuje. Z perspektywy ptaka nie widać fałd na szyi, skóra na zuchwie naciąga się, dzięki czemu podbródek staje się mniej obwisły. W odbiciu w barwionym na czerwono szkle jej spojrzenie wydaje się żywsze, a twarz niemal opalona. Marianne przesuwa palcami po kości szczękowej i dopiero po chwili dociera do niej, że ktoś może patrzeć, jak się dotyka. Osuwa się na krzesło, wypija kolejny łyk. Ciekawe, ile jeszcze brakuje jej do tego, żeby ktoś nazwał ją skończoną dziwaczką. Przypomina jej się, jak kiedyś dopiero na przystanku autobusowym zorientowała się, że ma na sobie spodnie od piżamy.

Czarna chmura znów wygląda, jakby miała ją pochłonąć. Marianne zamyka oczy. Docierają do niej śmiechy i urywki rozmów. Po prawej stronie słyszy głośne siorbanie, a kiedy spogląda w tamtym kierunku, zauważa małego Azjatę pochylającego się nad szklanką, w której zostały same kostki lodu. Obok niego siedzi czerwony na twarzy mężczyzna, pewnie ojciec. Przyciska do ucha telefon i wygląda, jakby nienawidził całego świata.

Przez chwilę Marianne żałuje, że rzuciła palenie. Mogłaby teraz wyjść na nabrzeże i zapalić papierosa,

miałaby czym zająć ręce. No ale przynajmniej jest tutaj. Pośród tych wszystkich dźwięków. I już wie. Nie, nie jest sobą. Ale ma już serdecznie dosyć bycia sobą.

Nie może wrócić do domu. Przez całe lato siedziała sama w mieszkaniu, nasłuchując śmiechów, głosów i muzyki dobiegających z sąsiednich mieszkań, z balkonów wokół dziedzińca, z ulicy, na którą wychodzą okna kuchni. Dźwięków życia pulsującego wokół. Właśnie w tej chwili w jej mieszkaniu tyka ten cholerny zegar ścienny, a kalendarz ze zdjęciami wnuków, których prawie nie widuje, odlicza dni do świąt. Gdyby teraz wróciła do domu, na zawsze zostałaby sama. Nigdy już nie odważyłaby się na coś takiego.

Nagle orientuje się, że jeden z mężczyzn siedzących przy stoliku obok uśmiecha się do niej przyjaźnie, próbując uchwycić jej spojrzenie, więc udaje, że szuka czegoś w torebce. Mężczyzna ma wychudłą, zniszczoną twarz i wielkie oczy. I, jak na jej gust, zdecydowanie za długie włosy. Powinna była wziąć ze sobą jakąś książkę. Próbuje znaleźć coś do czytania, wyjmuje kartę pokładową i udaje, że dokładnie ją ogląda. Logo towarzystwa żeglugowego w prawym górnym rogu: nieokreślonego gatunku biały ptak z fajką w dziobie i czapce kapitana.

– Hej, małeńka, siedzisz tu całkiem sama?

Marianne odruchowo podnosi wzrok. Ich oczy się spotykają. Zmusza się, żeby nie odwrócić spojrzenia.

Nie przywidziało jej się, jest zniszczony. Jego jasna dżinsowa kamizelka wygląda na brudną. Kiedyś jednak był przystojny. Marianne potrafi to dostrzec w jego twarzy i ma nadzieję, że ktoś inny potrafiłby to dostrzec u niej.

– Tak – odpowiada i odchrząkuje. – Miałam jechać z koleżanką, ale właśnie się dowiedziałam, że pomyliły jej się dni. Myślała, że chodzi o przyszły czwartek, a ja... pomyślałam, że skoro już mam bilet, to mogę...

Traci wątek i kończy wzruszeniem ramion. Ma nadzieję, że wygląda to nonszalancko. Głos zrobił się skrzekliwy. Pewnie dlatego, że przez ostatnie dni prawie nic nie mówiła. Kłamstwo, które przygotowała sobie w nocy na wypadek sytuacji takiej jak ta, nagle zabrzmiało niewiarygodnie. Mimo to mężczyzna uśmiecha się do niej.

– Przyłącz się do nas, będziesz miała z kim wnieść toast!

Chyba jest trochę wstawiony. Zresztą wystarczy spojrzeć na jego kumpli, żeby stwierdzić, że są w jeszcze gorszym stanie. Dawniej Marianne nawet przez chwilę nie zastanawiała się nad odrzuceniem propozycji od kogoś takiego.

Jeśli się zgodzę, stanę się jedną z nich, myśli. Tyle tylko, że mnie nie stać na wybrzydzenie. Zresztą czy „wybrzydzenie” to nie jest po prostu zawołane tchórzostwo?

Przecież to tylko jedna doba, upomina się w myślach. Za jakieś dwadzieścia cztery godziny prom dobije z powrotem do portu w Sztokholmie. I jeśli ta wycieczka okaże się pomyłką, będzie mogła ukryć wspomnienie o niej w głębi swojej duszy, tam gdzie ukryła wiele innych wspomnień, których nie sposób nazwać drogocennymi

– Dobrze – mówi. – Dobrze. Dziękuję. Z przyjemnością.

Krzesło szura głośno o podłogę, gdy przysuwa się do ich stolika.

– Na imię mi Göran.

– Marianne.

– Marianne – powtarza mężczyzna, lekko cmokając. – No, pasuje do ciebie. Jesteś słodka jak cukiereczek.

Na szczęście nie musi na to odpowiadać. Göran przedstawia ją pozostałym. Marianne kiwa głową do każdego po kolei; zapomina ich imiona zaraz po tym, gdy tylko je usłyszy. Są do siebie łądząco podobni. Te same, rozciągnięte na brzuchach, koszule w kratę. Zastanawia się, czy znają się z czasów młodości. Czy Göran zawsze był tym najprzystojniejszym, tym, który przyciągał do nich dziewczyny?

Kawa wystygła i zrobiła się mdła. Zanim Marianne zdążyła ją dopić, jeden z kolegów Görana przyniósł piwo dla wszystkich, również dla niej. Piją. Ona niewiele mówi, ale chyba nikomu to nie przeszkadza. Przestaje wreszcie rozmyślać i znów czuje coraz silniejszy dreszcz ekscytacji. W końcu musi się bardzo pilnować, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem jak jakaś wiejska baba. Gdy jeden z kumpli Görana rzuca kiepski żart, Marianne postanawia spróbować – śmiech brzmi frywolnie i stanowczo za głośno.

Smutne, że tęskniła za czymś tak prostym jak to, by posiedzieć z kimś przy stoliku, być częścią grupy, za niewymuszonym zaproszeniem.

Göran pochyła się ku niej.

– Szkoda, że koleżanka nie dotarła, za to ja miałem niezłego farta – szepcze jej do ucha, a jego oddech jest ciepły i wilgotny.

Siedzi, podpira głowę dłońmi i gryzie słomkę. Wciąga resztkę roztopionej wody z dna szklanki, głośno przy tym siorbiąc. Woda nie ma nawet smaku coli, jakby pił ślinę kogoś, kto przed kwadransem wypił colę. Chichocze pod nosem. Lo spodobałby się ten dowcip. Ale Lo jeszcze tu nie ma.

Patrzy przez szyby na tych wszystkich obcych ludzi poruszających się po terminalu. Zauważa chłopaka ubranego w damskie ubrania, z twarzą umazaną szminką. Na jego szyi wisi kawałek kartonu z napisem „Całus za 5 koron”. Koledzy nagrywają go na komórki, ale po ich śmiechu można poznać, że nie bawią się najlepiej, nie naprawdę. Albin znowu wciąga wodę przez słomkę, rozlega się głośne siorbnięcie.

– Abbe – mówi mama. – Proszę cię.

Patrzy na niego w sposób, który oznacza, że tata i bez tego jest mocno zirytowany. Nie pogarszaj tego. Albin odchyła się na krzesło. Próbuje być spokojny.

Dobiega go czyjś śmiech, podobny do szczekania psa. Albin patrzy w tamtym kierunku i zauważa dwie grube dziewczyny siedzące kilka stolików dalej. Ta, która się śmieje, ma włosy spięte w kitki i coś różowego i puszystego wokół szyi. Odchyła głowę i wrzuca do ust garść orzeszków ziemnych. Kilka ląduje między jej piersiami, największymi jakie Albin kiedykolwiek widział na żywo. No i ta spódniczka... tak krótka, że prawie niewidoczna.

– Po co jej komórka, skoro i tak nigdy jej nie włącza? – syczy ojciec, z hukiem odkładając telefon na stolik. – Cała moja siostrzyczka.

– Spokojnie, Mårten – mówi łagodnie mama. – Przecież nie wiemy, dlaczego się spóźniają.

– No właśnie, nie wiemy. Tak jakby Linda nie mogła się odezwać, żebyśmy się, kurwa, nie musieli zastanawiać, gdzie są. To się nazywa brak szacunku. – Ojciec odwraca się do Albina. – Na pewno nie masz numeru do Lo?

– Nie mam, przecież mówiłem.

Przykro mu, że znów musi głośno się do tego przyznać. Lo nie podała mu swojego nowego numeru. Nie rozmawiali od prawie roku. Od kiedy przeprowadziła się do Eskilstuny, pisali do siebie zaledwie parę razy. Martwi się, że Lo jest na niego o coś zła, o coś, co musi być nieporozumieniem. Mama tłumaczy, że Lo ma pewnie dużo pracy w szkole, bo nauka nie przychodzi jej tak łatwo jak jemu, a w szóstej klasie jest tylko coraz trudniej i trudniej, ale tłumaczy to tym samym tonem, którego używała wtedy, kiedy próbowała mu wmówić, że w szkole dokuczają mu tylko z zazdrości.

Przecież on wie, jak jest naprawdę. Nie ma powodu, żeby ktoś mu czegoś zazdrościł. Możliwe, że w dzieciństwie był śliczny, ale nie teraz. Jest najniższy w klasie, wciąż ma głos cienki i piskliwy, nie odnosi sukcesów w żadnym sporcie ani w niczym innym, w czym powinni być dobrzy chłopcy, żeby stać się popularni. To fakt. Podobnie jak faktem jest, że Lo nie przestałaby się odzywać, gdyby coś się nie stało.

Lo jest nie tylko jego kuzynką. Kiedy jeszcze mieszkała w Skultunie, była jego najlepszą przyjaciółką. Potem jednak ciotka Linda postanowiła, że się przeprowadzą, i Lo nie miała wyboru, musiała z nią pojechać.

Nikt nie umiał rozśmieszyć go tak jak ona. Z jej żartów śmiał się tak, że dostawał napadu paniki, bo miał wrażenie, że nie będzie mógł przestać. Lo powiedziała mu też prawdę o śmierci babci. Płakali razem, bo przecież nie ma nic smutniejszego niż samobójstwo. I choć nigdy by się do tego nie przyznał, lubił płakać, kiedy była przy nim Lo. Nareszcie było coś, co mogli dzielić, w odróżnieniu od tego wszystkiego, o czym on nie potrafił rozmawiać nawet z Lo.

– Nie, Stello – dochodzi go gdzieś z tyłu zduszony głos mężczyzny. – Nie rób tak, Stello. Chcesz się położyć, kiedy wejdziemy na pokład? Chcesz, Stello?

Odpowiada mu pełne złości wycie.

– Przestań, proszę. To nie jest śmieszne. Stella! Nie, powiedziałem. Nie, Stello, nie rób tak. Stello, proszę cię.

Stella znów wyje. Słysząc brzęk tłuczonego szkła. Albin widzi, że tata jest coraz bardziej zdenerwowany, a mama coraz bardziej wystraszona, że tata zaraz zrobi scenę. Zauważa dobrze mu znane drgnienie w kąciuku oka. Skrzypnięcie w karku, kiedy tata opróżnia kufel z piwem i robi się jeszcze bardziej czerwony na twarzy.

– Może stoją w korku – zastanawia się mama. – O tej porze ludzie wracają z pracy.

Zastanawia się, dlaczego mama po prostu nie zamilknie. Kiedy tata jest w tym nastroju, nie da się go uspokoić. Można go tylko jeszcze bardziej zdenerwować.

– Powinniśmy byli po nie podjechać – mówi. – Choć pewnie wtedy Linda zrobiłaby wszystko, żebyśmy się spóźnili.

Obraca w dłoniach kufel z piwem. Ma gardłowy, lekko niewyraźny głos.

– Na pewno zdąży – stwierdza mama, zerkając na zegarek. – Nie chce zawieść Lo.

W odpowiedzi tata tylko parska. Mama nie odzywa się więcej, ale i tak jest za późno. Cisza między nimi gęstnieje, aż trudno oddychać. Gdyby byli w domu, Albin poszedłby na górę do swojego pokoju. Chce właśnie powiedzieć, że musi wyjść do toalety, kiedy tata odsuwa krzesło i wstaje.

– Abbe, chcesz jeszcze jedną colę? – pyta.

– Dziękuję.

Tata idzie do baru.

Mama odchrząkuje, jakby chciała coś powiedzieć. Może coś o dzisiejszej nocy. Że tata był po prostu wyjątkowo zmęczony. Ma dużo pracy. I że ona potrzebuje tyle pomocy, że on nigdy nie może odpocząć. Ale Albin nie chce tego słuchać. Zmęczony, nienawidzi słowa zmęczony, to ich słowo wytrych na określenie wszystkiego co trudne. Ojciec zawsze jest taki, zwłaszcza kiedy mają wyjechać albo zrobić coś innego, co powinno być przyjemne. Zawsze wszystko psuje.

Albin demonstracyjnie wyjmując podręcznik do historii z plecaka, który przewiesił przez oparcie krzesła. Otwiera na rozdziale, z którego w przyszłym tygodniu będą mieć sprawdzian. Marszczy czoło. Próbuje udawać, że jest zajęty analizowaniem taktyki spalonej ziemi, choć umie prawie wszystko na pamięć.

– Dobrze, że uczycie się o czasach imperium, akurat kiedy jesteśmy na Bałtyku – mówi mama.

Nie odpowiada. Postanowił, że będzie niedostępny, żeby ją ukarać. Bo to na nią jest najbardziej zły. Mogłaby wziąć rozwód i wtedy nie musieliby mieszkać z ojcem. Ale ona nie chce. Nawet wie dlaczego.

Wydaje jej się, że potrzebuje męża.

Czasem Albin żałuje, że w ogóle go adoptowali. Byłoby mu lepiej w domu dziecka w Wietnamie. Może wówczas trafiłby w jakieś inne miejsce. Do jakiejś innej rodziny.

– Patrzcie, kogo spotkałem – oznajmia ojciec i Albin podnosi wzrok.

Ojciec trzyma w ręku kufel z piwem. Biała piana spływająca po ścianie dowodzi, że zdążył już wypić kilka łyków. Obok niego stoi ciotka Linda. Jej jasne rozpuszczone włosy spływają po pękatej kurtce różowej jak wypluta guma do żucia. Ciotka pochyła się i przytula Albina. Czuje na twarzy jej zimny policzek.

Tylko gdzie jest Lo?

Zauważa ją dopiero, gdy Linda okrąża stół, żeby uściskać się z mamą. Słyszy, jak mama rzuca swój zwyczajowy żartobliwy tekst: „Wybacz, nie wstanę”. Linda śmieje się, jakby słyszała go po raz pierwszy. Świat wokół Lo rozmywa się, aż w końcu Albin widzi tylko ją.

To jest Lo, ale to nie jest Lo. W każdym razie nie ta Lo, którą on zna. Nie może oderwać od niej oczu. Rzęsy pomalowała tuszem, więc jej oczy stały się większe i jaśniejsze. Jej włosy urosły i pociemniały, mają teraz kolor miodu. Nogi w obcisłych dżinsach i trampkach we wzór skóry leoparda wydają się strasznie długie. Lo zdejmuje szalik i skórzaną kurtkę. Pod spodem ma szary sweter, który zsunąwszy się z ramienia, odsłonił czarne ramiączko stanika.

Lo wygląda jak dziewczyny z jego szkoły, które nigdy w życiu nie powiedziałyby mu „cześć”.

To jest dużo gorsze niż nieporozumienie. Nieporozumienie dałoby się wyjaśnić.

– Cześć – mówi Albin niepewnie i słyszy, jak dziecinnie zabrzmiał jego głos.

– Zakuwasz, co za niespodzianka – odpowiada Lo.

Pachnie pralinkami i ciepłą wanilią, a gdy mówi, z jej ust wydobywa się słodki miętowy powiew gumy do żucia. Pospiesznie przytula Albina, a on czuje dotyk jej piersi. Ledwo ma odwagę na nią spojrzeć, kiedy znów się prostuje. Ale Lo zdążyła odwrócić swoją nową, dorosłą twarz. Wsuwa za ucho kosmyk włosów. Ma paznokcie pomalowane na czarno.

– Jak ty urosłaś – wzdycha mama. – Ślicznie wyglądasz.

– Dziękuję, ciociu. – Lo ściska jej dłoń znacznie dłużej niż Albinowi.

Mama pochyła się do przodu na wózek, żeby objąć Lo.

– Bardzo zeszczupłałaś – zauważa ojciec.

– Przecież rośnie – mówi matka.

– Mam nadzieję, że to tylko dlatego. Chłopaki wolą mieć za co złapać, wiesz.

Albin chciałby, żeby ojciec zamilkł, teraz, natychmiast.

– Dzięki, że mi to wyjaśniłeś – ripostuje Lo. – Celem mojego życia jest, żeby lubili mnie chłopcy.

Zapada cisza, o pół sekundy za długa, po której wszyscy wybuchają śmiechem.

Linda zaczyna swoją opowieść o tym, którą dokładnie drogą jechały z Eskilstuny i jak dokładnie wyglądał każdy metr ich podróży. Ojciec bez słowa pije piwo, za to mama próbuje za wszelką cenę udawać zainteresowanie opowieścią Lindy. Lo ostentacyjnie wywraca oczami i wyjmuje telefon. Albin zerka na nią ukradkiem. W końcu Linda dochodzi do tego, jak szukała miejsca parkingowego blisko

terminala, i wreszcie kończy.

– Na szczęście zdążyłyście – podsumowuje matka i zerka na ojca.

– Może powinniśmy stanąć w kolejce? – pyta ojciec, opróżnia kufel i stawia go na stoliku.

Linda podąża wzrokiem za kuflem. Albin wstaje, chowa podręcznik do historii i zakłada plecak.

Kolejka po drugiej stronie szklanej ściany puchnie i zaczyna posuwać się do przodu. Albin patrzy na zegar ścienny. Do wypłynięcia został tylko kwadrans. Ludzie przy stolikach obok również zaczynają zbierać swoje rzeczy, dopijają resztki napojów.

Matka zerka przez ramię i próbuje wycofać wózek, przepraszając na prawo i lewo. Kręci drążkiem kierowniczym na podłokietniku do przodu i do tyłu. Siedzący za nią muszą przesunąć swój stolik, żeby mogła wyjechać.

– Jakbym wyjeżdżała z zatoczki – żartuje, ale ma zduszony głos świadczący o zdenerwowaniu.

– Dasz radę? – pyta Lo.

– Tak, kochanie – odpowiada mama tym samym zduszonym głosem.

– Pewnie nie możesz się doczekać, kiedy już będziemy na promie? – mówi Linda i czochra Albinowi włosy.

– Tak.

– Dobrze, że chociaż ty. Myślałam, że będę musiała siłą wepchnąć Lo do samochodu, żeby ze mną pojechała.

Lo odwraca się do nich. Albin stara się nie pokazać po sobie, że zraniły go słowa Lindy. Czyli że wcale nie chciała się z nim spotkać.

– Nie chcesz płynąć?

– Nie no, skądże. Pływanie promem poleciłabym wszystkim. – Nawet nie mówi tak jak dawniej. Kolejny powiew gumy do żucia, kiedy wzdycha. – Nie pozwala mi nawet zostać samej w domu.

– Nie wracajmy do tego teraz, Lo – prosi Linda. – Cieszcie się, że chłopcy później dojrzewają. Zobaczycie, co was czeka – zwraca się do matki i ojca.

Lo znów wywraca oczami, ale na swój sposób wydaje się zadowolona.

– Niekoniecznie – mówi ojciec. – Dzieci są różne. Dużo zależy od tego, czy czują, że mają powody do buntu.

Linda nie komentuje, ale gdy ojciec się odwraca, kręci głową.

Przesuwają się w kierunku wyjścia. Mama jedzie pierwsza, kilka razy powtarza „tit-tit”, gdy stoliki stoją zbyt blisko siebie albo gdy drogę zastawiają torby podróżne. Albin odwraca wzrok. Patrzy przez szybę na stanowisko kontroli biletów, gdzie dwoje strażników badawczo przygląda się pasażerom przechodzącym przez bramki.

– Uznała, że może włożyć miniówkę. No cóż... – szepcze Lo stanowczo zbyt głośno, kiedy mijają dziewczynę z czymś różowym i puszystym wokół szyi.

– Lo – upomina ją ciotka Linda.

– Może będziemy mieć szczęście i prom zatonie, kiedy te dwie na niego wsiądą. Unikniemy koszmaru.

Prom „Baltic Charisma” zbudowano w 1989 roku w Splicie, w Chorwacji. Pływa pod szwedzką banderą. Ma sto siedemdziesiąt metrów długości, dwadzieścia osiem metrów szerokości i może pomieścić ponad dwa tysiące pasażerów. Lecz od dawna nie ma ich aż tylu. Dziś jest czwartek, a na pokład właśnie wlewa się niespełna tysiąc dwustu pasażerów. Niewiele jest wśród nich dzieci, jest początek listopada i ferie jesienne dobiegły końca. Latem górny pokład jest zastawiony leżakami, teraz stoi na nim tylko kilka osób, które wsiadły rano, w Finlandii. Patrzą na smagany jesiennym chłodem Sztokholm, którego ostatnie promienie słońca nie są w stanie dogrzezać. Niektórzy niecierpliwie czekają, aż „Charisma” wypłynie z portu, żeby bary ponownie zostały otwarte.

Kobieta o imieniu Marianne jest jedną z ostatnich osób w rzece ludzi płynącej powoli oszkloną rampą zawieszoną wysoko nad wylanym asfaltem parkingiem. Długowłosa mężczyzna otoczył ją ramieniem. Padające nisko złociste promienie wygładzają rysy ich twarzy. Rampa skręca ostro w lewo i Marianne widzi prom. Doznaje szoku. Jest ogromny, większy niż budynek czynszowy, w którym mieszka. Kolejne piętra ze stali pomalowanej na biało i żółto. „Niemożliwe, żeby to pływało”. Dziób promu otworzył się jak ogromna, wygłodniała paszcza karmiona pojazdami. Zastanawia się, czy to dlatego pod jej stopami ziemia zakółsała się, jakby już była na morzu. Myśli o kabinie, którą wykupiła. Najtańsza wersja pod pokładem dla samochodów. Poniżej poziomu wody. Bez okien. Z każdym krokiem prom wydaje się coraz większy. Wysokie na kilka metrów litery układają się w ozdobny napis „Baltic Charisma”. Palący fajkę ptak uśmiecha się do niej szeroko. Marianne ma ochotę zawrócić. Wbiec z powrotem do terminalu. Potem jednak znowu wydaje się jej, że słyszy tykanie zegara w pustym mieszkaniu, i idzie dalej. Odpędza skojarzenie, że oni wszyscy przypominają zwierzęta, które przechodzą przez wrota rzeźni. Przy wejściu stoi Andreas, kierownik rejsu. Uśmiecha się najszerszej, jak potrafi, i informuje pasażerów o wieczorne karaoke oraz ofertach specjalnych w sklepie wolnołowym. W zasadzie to zadanie gospodarza rejsu, ale rano zgłosił niedyspozycję. Drugi raz tej jesieni. Andreas wie, że facet ma problemy z piciem, od kiedy zaczął tu pracować.

Na mostku stoi Berggren, kapitan „Charismy”, w towarzystwie członków załogi. Przed wypłynięciem sprawdza raz jeszcze listę kontrolną. Za chwilę wyprowadzą prom z portu. Dobrze znają każdą z tysięcy wysepek, płycizn i szkieł w okolicach Sztokholmu i Turku. Po wypłynięciu z portu „Charismą” pokieruje autopilot, a kapitan przekaze dowodzenie oficerowi pokładowemu.

W pomieszczeniach załogi trwają gorączkowe przygotowania. Pracownicy, których dziesięciodniowa zmiana zaczyna się od tego rejsu, przebrali się w uniformy. Z kambuza – zaparowanej kuchni „Charismy” przygotowującej posiłki dla restauracji – wybiegają kelnerzy z wielkimi tacami przeznaczonymi do postawienia w bufecie. Niektórzy są jeszcze skacowani po nocnych imprezach. Plotkują o tym, kto został wezwany do pielęgniarki w celu sprawdzenia poziomu alkoholu we krwi i komu nie jest teraz do śmiechu. W sklepie wolnołowym Antti razem ze swoimi pracownikami robi remanent. Gdy otworzą drzwi, pół godziny po wypłynięciu, będzie już czekać kolejka zniecierpliwionych klientów.

Woda wypełniająca jacuzzi stoi nieruchomo. Odbijają się w niej chmury widoczne przez panoramiczne okna. Stoły do masażu są puste. Agregat w saunie cicho tyka.

Na dole w maszynowni trwa ostatnia kontrola silników. Jeśli mostek to mózg „Charisma”, maszynownia to jej bijące serce. Kierownik maszynowni, Wiklund, właśnie zadzwonił na mostek i przekazał, że prom zbunkrowano, a rurę podającą węgiel odłączono. Wiklund patrzy na motorniczych przez szybę w dyżurce. Dopija kawę, odstawia kubek i spogląda na pomarańczowe drzwi windy dla personelu. Gdy tylko „Charisma” wypłynie z portu i rozpocznie regularny rejs w kierunku Turku, wachtę przejmie pierwszy maszynista, a Wiklund będzie mógł pojechać na górę do swojej kabiny. Nie musi tu wracać, dopóki nie dopłyną na Wyspy Alandzkie, więc planuje porządnie się przespać.

„Charisma” niejedno już widziała. Na neutralnych wodach Bałtyku puszczają wszystkie hamulce i nie jest to wyłącznie skutek dostępności taniego alkoholu. Tak jakby ludzie znaleźli się w innej czasoprzestrzeni. Tak jakby zasady i kody społeczne przestały obowiązywać. Wszystkiego pilnuje czterech ochroniarzy, każdy po swojemu przygotowuje się przed wieczorem. Cztery osoby muszą zapanować nad chaosem, który może powstać, gdy tysiąc dwustu pasażerów, w większości pijanych, tłoczy się w miejscu, z którego nie można uciec.

Wszystko opiera się na rutynie. „Baltic Charisma” pływa tą samą trasą przez wszystkie dni w roku. Krótco przed północą zatrzymuje się na Wyspach Alandzkich. Do Turku w Finlandii dopływa około siódmej rano, gdy większość szwedzkich pasażerów śpi. Za dwadzieścia trzy godziny „Charisma” wróci do portu w Sztokholmie. Na tym rejsie jest jednak dwoje pasażerów, którzy nie przypominają żadnego spośród tych, których dotychczas miała na pokładzie.

Na pokładzie samochodowym przed maszynownią personel wydaje instrukcje w języku szwedzkim, angielskim i fińskim. Przepuszczono tiry, samochody osobowe, kampery oraz dwa autobusy dalekobieżne. Wszystko dokładnie obliczono, żeby zachować równowagę promu. Nie dociera tu światło słoneczne, panuje chłód, cuchnie benzyną i spalinami. Zmęczeni kierowcy tirów i rodziny podróżujące samochodami kierują się w stronę wind albo klatek schodowych. Niedługo pokład samochodowy zostanie zamknięty dla pasażerów; otworzy się dopiero tuż przed dopłynięciem do Wysp Alandzkich. Tiry pomrukują cicho w ciemnościach jak uśpione zwierzęta przykute do stalowej podłogi grubymi łańcuchami. Pięcioletni jasnowłosy chłopiec i mocno umalowana ciemnowłosa kobieta właśnie wysiedli ze swojego kampera. Chłopiec naciągnął na głowę kaptur. Trzyma szelki plecaka z Kubusiem Puchatkiem. Coś jest nie w porządku z pooraną bruzdami twarzą kobiety. Widać to mimo grubej warstwy makijażu. Oboje wydają się zmęczeni. Patrzą tęsknie na mocno oświetloną windę, mimo to kierują się w stronę ciasnej klatki schodowej. Wbijają wzrok w podłogę, nie patrzą nikomu w oczy. Pachną bzem, mentolem i czymś jeszcze, czymś nieokreślonym, a mimo to znajomym. Zdaje się, że kilka osób to poczuło, bo zerka na nich ukradkiem.

Kobieta przesuwa palcami lewej ręki po owalnym złotym medalionie, który zwisa z jej szyi na cienkim łańcuszku. Poza nim i złotą obrączką na palcu serdecznym nie ma widocznej biżuterii. Prawą rękę trzyma w kieszeni płaszcza. Patrzy na drobną postać chłopca idącego obok niej. Podeszwy jego małych butów uderzają mocno o plastikową wykładzinę. Stopnie schodów są za wysokie dla jego krótkich nóg. W oczach kobiety jest miłość. Smutek. I strach. Ona się boi, że straci chłopca. Boi się tego, że jest blisko granicy, i tego, co się stanie, jeśli ją przekroczy.

Na górze przeszkloną rampą idą Marianne z mężczyzną o imieniu Göran, przechodzą przez portal ze sklejkki z namalowanymi kolorowymi kwiatami. Kobieta z ciemnymi, puszystymi włosami kieruje w ich stronę aparat, Göran uśmiecha się do obiektywu. Słychać kliknięcie. Marianne chce ją prosić, żeby

zrobiła jeszcze jedno zdjęcie, bo została zaskoczona, ale kobieta skierowała już obiektyw na znajomych Görana idących za nimi. Potem wchodzi na pokład. Ciemnoczerwona wykładzina pod stopami. Ciepłe światło lamp odbija się na mosiężnych poręczach balustrad. Drewniane panele i sztuczny marmur na ścianach, przydymione szkło na drzwiach wind... Armia personelu sprzątającego opuszcza pokład. Szare mundurki, ani jednej białej twarzy. Marianne ledwo słyszy, co o wieczornych atrakcjach mówi kierownik rejsu, nie rozpoznaje nazwiska gwiazdy, która ma poprowadzić karaoke. Z nadmiaru wrażeń przestaje cokolwiek słyszeć, dźwięki nikną bez śladu. Zostaje tylko oczekiwanie. Jak w ciągu doby zdąży przeżyć to wszystko? Teraz jest tutaj. Göran ściska ją mocniej. Czas zacząć przygodę.

Dan Appelgren biegnie i biegnie, ale nigdzie nie dobiega. Co za idealna metafora całego jego popieprzonego życia. Co więcej, biegnie na promie pływającym tylko tam i z powrotem, tam i z powrotem. Czuje się jak mitologiczny przewoźnik skazany na wieczne pływanie po tej samej ponurej rzece.

Słyszy sygnał oznaczający, że „Baltic Charisma” wypływa z portu: ostrzega mniejsze jednostki pływające, żeby uważały na potwora.

Dan zwiększa prędkość biegni. Sygnał staje się głośniejszy. Stopy Dana uderzają coraz ciężiej i szybciej o wytartą gumę. Z czoła kapie mu pot, piecze go w oczy. Ma kwaśny zapach. Przez skórę parują resztki chemii. Smak krwi podchodzi do gardła, puls dudni w uszach. Byłby wstyd, gdyby teraz dostał ataku serca. „Słynny piosenkarz zmarł na promie do Finlandii!”

Dotyka brzucha pod przeпоconym podkoszulkiem. Nie najgorzej jak na czterdziestopięciolatka. Mimo to Dan nie może się powstrzymać przed uszczypnięciem cienkiej warstwy tłuszczu między skórą a tym, co można było kiedyś nazwać kaloryferem. Ponownie zwiększa prędkość. Nawet jeśli jest jakimś cholernym loserem, nie znaczy, że musi na takiego wyglądać.

Odgłos podeszew uderzających o bieżnię to jedyny rytm, który mu towarzyszy w siłowni dla personelu. Odtwarzacz i słuchawki to byłoby przekleństwo. Wieczory i noce na „Charismie” wiążą się dla Dana z ciągłym i regularnym przedawkowywaniem muzyki. Godziny spędzone w barze karaoke, gdzie musi wysłuchiwać pijackich kakofonii, zagrzewać do śpiewania, udawać, że wszyscy świetnie się bawią i że widzi to po raz pierwszy. Ciągłe te same kawałki. Ci sami ludzie, tylko twarze nowe. Żeby temu podołać, musi wciągać kilogramy koki. A żeby zasnąć, po imprezie pije w którymś z klubów. Muzyka jest wszędzie. Dudniące, ogłuszające piekło uśmiercające duszę. Przedsiónek piekła, gdzie ta sama kapela i ten sam didżej grają wciąż te same kawałki. Daje stada to, czego się domaga.

Pieprzony prom.

„Charisma” już go nie wypuści. Na łodzi nic na niego nie czeka. Nawet kluby gejowskie przestały go zapraszać. Nie ma gdzie mieszkać i coraz mniej przyjaciół jest gotowych przyjąć go u siebie. Co zrobi, jeśli nikt go nie będzie chciał? Skąd weźmie pieniądze? Przecież nie potrafi niczego innego, a za kasą w McDonalddie nie stanie. Na promie mieszka i je za darmo, ale wszystkie pieniądze, które zarabia, wydaje, żeby tłumić świadomość, że tak wygląda teraz jego życie. Więc pewnie zostanie tu aż do śmierci albo do chwili, gdy prom trafi na szrot. Co wydarzy się najpierw? Wyścig rozpoczęty. „Charisma” to żalosne stare monstrum z lat osiemdziesiątych, a on słyszał plotki i potrafi wyczuć towarzyszący członkom załogi strach przed bezrobociem.

Zaczyna mu się kręcić w głowie, jakby zużył cały tlen w pozbawionej okien siłowni. Zmniejsza prędkość do tempa marszobiegu. Pot leje się z niego strumieniami, kapie, paruje z rozgrzanej skóry. Wreszcie Dan wyłącza bieżnię i z niej schodzi. Trzęsą mu się nogi, przed oczami wirują mroczki. Ciało próbuje zrozumieć, że podłoga się nie rusza.

Choć oczywiście tak naprawdę nigdy nie jest całkiem nieruchoma. Wstrząsają nią delikatnie wibracje

silników. Te wibracje zostają w ciele nawet wtedy, gdy schodzi się na ląd w czasie wolnych dni. Nocami Dan budzi się i ma wrażenie, jakby wciąż był na promie, czuje mrowienie w każdej komórce jak bóle fantomowe.

Przepecona koszulka zrobiła się zimna. Przykleja się do skóry. Dan wypija butelkę wody i naciąga sweter. Wychodzi szybko na korytarz, mija pokój dzienny i mesę, gdzie personel je posiłki, zawsze starannie podzielony na podgrupy. Czasem ma wrażenie, jakby znaleźli się z powrotem w szkole. Doniczki ze sztucznymi kwiatami i obrusy w kratkę na starych drewnianych stołach. Chleb, dodatki i owoce wystawione na ławę. Koszyczki z keczupem i sosem HP. Zauważa Jenny i tych rozlazłych koleś z jej małego żalosego zespołu. Na jego widok Jenny odwraca wzrok. Wracają nieproszone wspomnienia jego pierwszej nocy na promie i wzbiera w nim złość. Jenny ma rację. Jest *hasbeen*. Za to ona jest *wannabe* i traci czas na *nevergonnabes*. Nie ma najmniejszego powodu, żeby uważać, że jest w czymś lepsza od niego. Próbuje udawać, że zachowała integralność, choć pracuje na tym cholernym promie. Głupi żart. On przynajmniej wie, kim jest.

Na promie pełno jest ludzi, którzy na łądzie byliby nikim, ale tutaj zachowują się, jakby świat należał do nich. Chociażby ten ochroniarz Henke, który tak bardzo kocha swój uniform. Gołym okiem widać, że w prawdziwym życiu jest zaszczuty, prawdopodobnie przez oziębłą żonę i wredne dzieci. Lub sam kapitan Berggren i jego paczka. Mają nawet mesę dla oficerów, żeby nie musieli jeść z resztą personelu. Nie jest bardziej elegancka, tylko mniejsza. I z zielonymi roślinami w doniczkach. Wszyscy na promie są opętani porządkiem dziobania, tym, ile kto ma pasków na ramieniu. Berggren jest oczywiście panem tego pływającego ogródka i wszyscy traktują go jak króla. Dan nie zamierza jednak kłaniać się władcy tak żalosego królestwa jak „Charisma”.

Schodzi na dziewiąte piętro i wychodzi na korytarz. Otwiera drzwi swojej kabiny. Co prawda jest mała, ale przynajmniej ma okno, w odróżnieniu od kabin dla personelu na dziesiątym piętrze. Na przykład tej należącej do Jenny.

Dwadzieścia lat temu miał do dyspozycji jedyny luksusowy apartament na pokładzie. Dostawał darmowe obiady w prawdziwych restauracjach na górze, mógł zapraszać na rejsy swoich gości. Nie korzystał jednak z tego. *Gorączka w moim sercu* znajdowała się na pierwszym miejscu list przebojów i byłoby to poniżej jego godności.

Zdejmuje sweter. Zrywa z siebie koszulkę, która z plaśnięciem ląduje na podłodze. Zrzuca buty, ściąga skarpety. Czuje pod stopami zimną niebieską matę z plastiku. Gdy zdejmuje szorty, czuje wydobywający się z rozporoka zatęchły zapach starego seksu. Nie pamięta, jak miała na imię. Ma wrażenie, że wszystkie, z którymi bzykał się na „Charismie”, miały na imię Anna, Maria, Marie, Linda, Petra, Åsa. Ale ta dziewczyna była młodsza. Elsa? Powiedziała, że uwielbiała *Gorączkę w moim sercu*, gdy chodziła do przedszkola. Kiedy to usłyszał, stracił humor, a jego penis całkiem zwiotczał. Na szczęście ona wiedziała, co z nim zrobić. Niektóre dziewczyny urodzone w latach dziewięćdziesiątych są uszkodzone przez pornografię. Zamieniają łóżko w cyrk dla nadpobudliwych ruchowo. Żadna pozycja nie starcza im na dłużej niż na parę minut. Chcą, żeby je wiązać, ciągnąć za włosy, przyduszać. On zawsze ma wrażenie, że interesuje je tylko to, żeby zwrócić na siebie uwagę i zostawić po sobie niezapomniane wrażenie.

Zmywa ślady po Elsie pod prysznicem. Dostaje lekkiego wzwołu, kiedy goli podbrzusze maszynką. Jego penis jest ciężki i duży. Zastanawia się, co Elsa robiła przez resztę dnia po tym, jak wyszedł z jej

kabiny, w której podobno mieszkała z koleżanką, choć nigdy jej nie spotkał. Czy chodziła po promie i go szukała? Czy opowiedziała swojej koleżance, jak wygląda seks z Danem Appelgrenem? O tej porze jest już pewnie w domu, gdziekolwiek to jest. Prom ją wypłuł. Zapełnił się nowymi ciałami. Zaraz wszystko zacznie się od początku.

Kawa wystygła, gdy porządkował kasę, ale on wypija ostatni łyk ze szklanki z duralexu. Ma nadzieję, że kofeina rozproszy grudkowatą mgłę w jego głowie. Kieliszki wiszące nad barem dzwonią cicho poruszane wibracjami silników promu. Przez chwilę zastanawia się, czy nie zrobić sobie drinka z fernetem, ale sięga po ścierkę i zaczyna wycierać blat.

Filip zaczął właśnie ósmą dobę za barem w klubie z dansingiem Charisma Starlight i jest potwornie zmęczony. Czuje się stargany w pełnym znaczeniu tego słowa, jakby ktoś targał jego ciało na wszystkie strony, naciągając przy tym każdy mięsień. Pewnie powinien bardziej martwić się tym, czy jego ciało długo jeszcze to wytrzyma. Przespał się chwilę, gdy prom stał w porcie. Plecy miał tak sztywne i zdrętwiałe, że ledwo czuł pod sobą materac, kiedy leżał w łóżku. Za pół godziny bar znów się otwiera, a on zostanie w nim do piątej rano.

Niedługo wróci do domu. Wtedy wreszcie się wyśpi. Czasem leży jak nieżywy przez kilka dni. Wstaje z łóżka tylko po to, żeby zalec na kanapie i pogapić się w telewizor. Akurat w tej chwili wydaje mu się to szczytem marzeń. Mimo to już po tygodniu będzie tęsknić za „Charismą”. Niecierpliwie będzie odliczać dni do momentu, gdy znowu wejdzie na pokład.

Marisol zachodzi go od tyłu, sięga po jego pustą szklankę i znika w pomieszczeniu dla personelu. Filip się przeciąga i słyszy trzaski w kręgosłupie. Na suficie nad barem błyszczą konstelacje drobnych lampek, od których bar Charisma Starlight wziął swoją nazwę. Po chwili Marisol jest z powrotem. Stoi wpatrzona w ekran telefonu. Uśmiecha się, przesuwając kciukami po ekranie. Białe światło rozjaśnia dół jej twarzy.

Filip podchodzi do stosu skrzynek i zapełnia lodówki butelkami bacardi breezers.

– Kiedy wreszcie przestaniesz być tak obrzydliwie zakochana? – pyta ze śmiechem.

Marisol chowa telefon do kieszeni fartucha i związuje swoje ciemne włosy w kitkę. Gumka strzela, kiedy wypuszcza ją z palców.

– Nie ma mnie w domu przez pół roku, więc chyba należy nam się dwa razy więcej czasu niż innym?

Mieszka w Szwecji od urodzenia, ale jej akcent zdradza, że jej rodzice pochodzą z Chile.

– Może ci wybaczę, jeśli pójdziesz kiedyś ze mną na imprezę – mówi. – Zrobiłaś się straszną nudziarą, od kiedy jesteście razem.

Marisol uśmiecha się do niego.

Filip zastanawia się, jak jej się udaje utrzymać związek z nowym chłopakiem. Przez te wszystkie lata spędzone na „Charismie” on nigdy nie zbudował stałego związku z kimś na lądzie. Na dłuższą metę to się nie sprawdzało. Nerwowe rozmowy w chwilach wolnych od pracy i stanowczo zbyt krótki sen. Zbieranie historii, próby zapamiętania wszystkiego, co wydarzyło się na pokładzie, żeby potem mieć o czym opowiadać. Gdy schodził na ląd, wszystkie te historie wydawały mu się bez znaczenia. Traciły urok. Trudno pogodzić te dwa światy. Wiele osób z załogi prowadzi podwójne życie. Są w związku z kimś na lądzie i z kimś innym na morzu.

Filip i Marisol pracują przez chwilę w przyjemnej ciszy. On lubi te codzienne rutynowe czynności

poprzedzające otwarcie baru. Zamyka drzwi lodówki i wynosi puste skrzynki do magazynu. Spokój, choć nie da się usiąść ani na moment.

– Co do papużek nierozłączek – mówi po powrocie. – Ciekawe, co słyhać u Callego.

– Nie odzywał się?

Marisol wprawnie kroi cytryny i wkłada je do plastikowego pojemnika pod barem.

– Nie, jeszcze nie – odpowiada Filip, myje ręce i kładzie garść limonek na desce do krojenia.

Na zmianę słyhać dwa mokre noże tnące owoce. W tle dzwonią kieliszki.

– Mam wrażenie, jakby Calle całkiem niedawno tu pracował. Kurde, jak ten czas leci. Masakra.

– Tak mówią stare dziadki. – Marisol uśmiecha się do niego słodko.

Zabolało bardziej, niż chciałby to po sobie pokazać.

– Za parę lat będziesz po te samej stronie czterdziestki co ja.

– Na pewno chcesz mi o tym przypominać, kiedy mam nóż w ręku? Poznałeś jego chłopaka, czy jak to było?

– Nie, prawie nie widziałem się z Callem od czasu jego odejścia. Przeprowadził się na południe, żeby zacząć studia. Powinienem częściej się do niego odzywać, ale... wiesz, jak to jest.

Marisol kiwa ze zrozumieniem głową. Filipowi przechodzi przez myśl, że kiedyś być może również o niej powie coś takiego. Dla niej „Charisma” to tylko praca. Dla niego prom to całe jego życie. Tak naprawdę jedyne miejsce, w którym czuje się jak w domu. Nie potrafi sobie wyobrazić, że miałby pracować gdzie indziej. To kolejna rzecz, która pewnie powinna go bardziej martwić. Zwłaszcza teraz, kiedy krążą plotki, że dni „Charismy” są policzone.

– Co skończył? – pyta. – To znaczy co studiował?

– Architekturę krajobrazu – odpowiada Filip. – Lub coś w tym stylu. Cholera, pewnie powinienem wiedzieć, prawda?

– Pewnie tak.

Ma nadzieję, że Pia będzie wiedzieć, żeby nie musiał sam o to pytać Callego.

Marisol chce coś powiedzieć, gdy dobiega ich szcęk stalowej kraty zamykającej wejście. Patrzą na siebie.

– Twoja kolej – przypomina Marisol.

Gdy Filip podchodzi do kraty, widzi jednak, że to nie zniecierpliwiony pasażer, tylko Pia trzymająca papierową torbę i kiwająca się w przód i w tył na grubych podeszwach butów.

– Dostałam esemesa od Callego – oznajmia Pia. – Przed chwilą usiedli w Poseidonie.

– Daj mi minutę – mówi Filip, wraca do baru i zdejmuje fartuch. – To nie powinno długo potrwać – zwraca się do Marisol. – Choć mogę nie zdążyć przed otwarciem.

– Poradzę sobie przez kwadrans albo dwa – zapewnia go Marisol.

Rozlega się głośny stuk, gdy Filip napełnia kubek ze szkła akrylowego kostkami lodu. Marisol zdejmuje z półki i podaje mu dwa kieliszki do szampana, a on wciska butelkę w lód.

Marisol odprowadza go do kraty. Zacięła się jak zwykle metr nad podłogą. Obie dziewczyny się śmieją, on przeklina. Każdego dnia stoi tu i szarpie się z tą pieprzoną kratą. Potrząsa nią, stara się ją

odblokować, popycha udem, jednocześnie podciągając rękoma. Wreszcie krata z ogłuszającym jazgotem zwija się do samego końca.

W oknach za plecami mamy i taty widać przesuwające się wolno sztokholmskie szkiery. Czubki drzew żarzą się w ostatnich promieniach słońca. Albin patrzy na wyłaniające się spomiędzy drzew drewniane domy, altany stojące nad wodą. Zastanawia się, jak by to było: siedzieć na jednym z tych pomostów i patrzeć na przepływający wielki prom. Tata mówił, że te domy kosztują co najmniej dziesięć razy tyle co ich dom szeregowy.

Mama twierdzi, że pieniądze nie dają szczęścia, ale Albin nie może sobie wyobrazić, jak mógłby być nieszczęśliwy w jednym z tych domów. Najlepiej byłoby, gdyby dom stał na osobnej wyspie, na którą nikt nie mógłby się dostać, gdyby on sobie tego nie życzył.

– Ci debile z działu zakupów nie wiedzą, co robią – denerwuje się ojciec. – Nie wie prawica, co czyni lewica. Mam już, cholera, dosyć sprzątanania po nich.

Twierdzi, że kocha swoją pracę, lecz nigdy tak to nie brzmi, kiedy o niej mówi. Bez przerwy ma jakieś problemy. Problemy spowodowane przez innych. On sam jest zawsze niewinny, tylko cała reszta jest albo głupia, albo leniwa.

Gdy Albin był mały, myślał, że tata jest we wszystkim najlepszy. Tata opowiadał mu bajki, w których całemu światu zagrażały ziejące ogniem smoki i wielkie trzęsienia ziemi, a potem pojawiał się on i wszystkich ratował. Najbardziej lubił jednak, gdy tata opowiadał mu o tym, jak razem z mamą przywieźli go z domu dziecka w Wietnamie. Od razu wiedział, że Albin jest ich synkiem, dlatego zostali na kilka miesięcy, żeby lepiej ich poznać, zanim zabiorą go do Szwecji. Wierzył, że tata wszystko potrafi i wszystko wie. Teraz nie wierzy. Tata opowiadał bajki.

Dziś w nocy znów mówił coś o babci. To są zawsze najgorsze noce.

„Może powinienem zrobić jak mama. Pewnie wszyscy by się cieszyli”.

Powiedział to takim grubym i nieprzyjemnym głosem.

„Byłem głupi, myśląc, że zasługuję na miłość. Powinnaś była zostawić mnie już dawno temu, skoro uważałaś, że jest ktoś ważniejszy ode mnie. Chcecie się mnie pozbyć, ty i Abbe”.

Abbe leżał, nasłuchując kroków ojca rozlegających się na parterze domu. Chciał być gotów, kiedy usłyszy kroki na schodach. Kroki ojca na schodach mówią swoim własnym językiem. Można po nich poznać, czy tata jest zły, czy tylko płacze. Są to zupełnie odmienne rodzaje kroków, choć brzmią niemal tak samo. I obaj ojcowie, którzy je stawiają, są tak samo przerażający: wydaje się, że żaden nie słucha ani nawet nie rozumie tego, co słyszy. Czasem tata znika w środku nocy. Wtedy mówi, że to robi, że nie ma już sił.

„Pamiętaj, że jeśli nie dam już dłużej rady, to nie będzie twoja wina, Abbe. Nie wolno ci tak pomyśleć”.

Za oknami przelatują mewy. Ich dzioby otwierają się i zamykają, ale krzyki nie docierają do Charisma Buffet. Tutaj słychać tylko uderzenia sztućców o porcelanę i podniesione głosy. Gdyby była tu Lo i gdyby Lo była tą samą Lo co dawniej, powiedziała by jej, że kiedyś ludzie uważali mewy za dusze zmarłych marynarzy. Powiedziała by jej też, że na dnie Morza Bałtyckiego leżą wraki statków. I ciała zmarłych

marynarzy, których nigdy nie znaleziono.

Tylko że Lo jeszcze nie przyszła. Zaczęli jeść bez niej.

Lo, która w ogóle nie chciała z nimi jechać.

Albin siedzi, wpatrując się w talerz. Zapiekanka ziemniaczana, klopsiki, kiełbaski, wędzony łosoś, połówki jajek z krewetkami. Jest głodny, mimo to w brzuchu nie ma miejsca na jedzenie. Leżą w nim jego myśli jak gruda cementu. Ostatni raz widział się z Lo ubiegłego lata. Jego rodzice i Linda wynajęli domek w Grisslehamn. Padało prawie przez cały tydzień. On i Lo leżeli na piętrowym łóżku, czytając. On leżał na górze i czasem nie mógł się powstrzymać przed zerkaniem w dół na Lo. Po wyrazie jej twarzy mógł się domyślić, czego dotyczy fragment, który właśnie czyta. Co wieczór jedli w porcie lody włoskie z posypką, również wtedy, kiedy padał deszcz. Lo oglądała masę horrorów i nocami opowiadała najgorsze sceny Albinowi. Czasem tak bardzo się bali, że musiał spać w jej łóżku. Leżeli obok siebie i patrzyli na cienie tańczące w kącie i na drzewa poruszające się za oknami. Czuł się tak, jakby przez przypadek odchyłili zasłonkę, o której istnieniu nawet nie wiedzieli i zza której wyłonił się inny świat. Świat bez granic, w którym mogło kryć się wszystko. Albin bał się tak bardzo, że jego strach zdawał się zamieniać w magnes przyciągający dokładnie to, czego się bał. A jednak były to jego ulubione chwile podczas tamtych wakacji. Uwielbiał leżeć pod kołdrą z Lo, czuć, jak strach przeskakuje między ich ciałami, i śmiać się histerycznym śmiechem, który zdawał się nigdy nie kończyć.

– No i jak jest w szóstej klasie, Abbe? – pyta Linda i wkłada połyskujący kawałek śledzia do ust.

– Chyba okej.

– Dalej tak ci dobrze idzie?

– Jest najlepszy w klasie – odzywa się ojciec. – Nauczyciel daje mu dodatkowe zadania, żeby się nie nudził.

Albin odkłada sztucce.

– Nie z matmy. Wielu moich kolegów jest lepszych ode mnie.

– Nienawidziłam matmy, kiedy chodziłam do szkoły. Pewnie dlatego wszystko zapomniałam. Ledwo umiem pomóc Lo w lekcjach.

– Abbe nie wie jeszcze, na czym polega nauka – mówi ojciec. – Nigdy dotąd nie musiał się wysilać.

– Jaki przedmiot najbardziej lubisz? – pyta dalej Linda.

Albin patrzy na nią. Mobilizuje się. Ciotka jest miła, ale należy do tego rodzaju dorosłych, którzy zawsze zadają te same nudne pytania tylko po to, żeby je zadać.

– Chyba angielski i szwedzki.

– Aha. No tak, zawsze lubieś czytać i wymyślać historie. Lo też taka była, ale teraz liczą się tylko kosmetyki i chłopcy.

Gruda cementu w żołądku robi się jeszcze cięższa.

– Wiesz już, kim zostaniesz, kiedy dorośniesz?

Tego pytania Albin się spodziewał. Czuje na sobie pełne wyczekiwania spojrzenie ojca, lecz zawzięcie zaciska usta.

– Chce być programistą. To przyszłościowy zawód – odzywa się ojciec. – Ma co najmniej tak dobre

pomysły jak ci chłopcy, którzy wymyślili Spotify albo Minecraft. Prawda, Abbe?

Nienawidzi go. Ojciec sam to wszystko wymyślił, ale wmówił sobie, że to Albin tego chce. Tymczasem Albin nie ma pojęcia, czego chce, z wyjątkiem tego, że chciałby skończyć gimnazjum i zmienić szkołę.

– Super – uśmiecha się Linda. – Nie zapomnij o nas, kiedy już zostaniesz multimilionerem.

Albin też próbuje się uśmiechnąć.

– A Lo? – pyta mama.

– Ubzdurała sobie, że zostanie aktorką – odpowiada Linda ze śmiechem. – Choć przyznam, niezła z niej *drama queen*, trudno o lepszą.

Zabrzmiało to sztucznie i Albin rozumie, że Linda mówi tak nie pierwszy raz. To złośliwość, jednak mama kiwa aprobująco głową.

– Dziwię się, że pozwalasz jej tak się ubierać – wtrąca ojciec.

– Nie rozumiem?

– W takim stroju i makijażu wygląda jak dorosła. Nie wiem, czy w ten sposób wysyła właściwe sygnały.

Mama uśmiecha się nerwowo.

– Moim zdaniem Lo wygląda bardzo ładnie. Pewnie taka teraz panuje moda.

– Nie boisz się, że Lo wejdzie za szybko w dorosłość? – Ojciec nie spuszcza oczu z Lindy. – Przecież nie ma w domu żadnego męskiego wzorca.

Przy stole zapada głucha cisza. Wszystko, czego tamci nie wypowiadają, niemal wciska Albina w krzesło. Więc on znów patrzy przez okna. Ciemność zdążyła się pogłębić o kilka odcieni.

– Chciałem tylko powiedzieć, że na świecie nie brakuje szaleńców – wyjaśnia ojciec.

– Dziękuję. Wiem.

Mama odchrząkuje.

– Zaczęła tak zabawnie mówić. Tak się mówi w Eskilstunie czy...?

– Nie – odpowiada Linda i wywraca oczami tak, że wygląda prawie jak Lo. – Wymyśliły to sobie z koleżankami. Dostają od tego szału.

Ojciec wstaje i napełnia kieliszek winem z jednego z kranów przy bufecie. Albin śledzi go wzrokiem.

– Jak on się czuje? – pyta Linda.

– Dobrze – mówi mama, zerkając na Albina.

Tak jakby utrzymywanie tego w tajemnicy przed nim mogło coś zmienić. Tak jakby nie wiedział wszystkiego.

Linda wzdycha i patrzy na zegarek, kiedy tata znowu siada obok nich.

– Dobra, dzwonię po Lo. W przeciwnym razie nie zdąży nic zjeść.

– Punktualności nauczyła się od mamy – stwierdza tata z miną, którą ma zawsze, kiedy udaje, że żartuje, choć mówi serio.

– Mogę po nią pójść – proponuje Albin i wstaje, zanim któreś z nich zdąży zaprotestować.

Musi stąd wyjść.

Zbiega na siódme piętro po pomalowanych na biało stalowych schodach dla personelu. Przechodzi przez przygnębiające, pozbawione okien biuro kierownika rejsu. Plansze ze starymi mapami morskimi na ścianach, rzędy segregatorów na półkach. Sam kierownik, Andreas, sprawia równie przygnębiające wrażenie. Ledwo podnosi wzrok, gdy Dan przechodzi i otwiera drzwi do części dla pasażerów.

Za drzwiami panuje hałas, mieszają się głosy ludzkie i muzyka. Dan kieruje się w stronę punktu informacyjnego i spuszcza wzrok na ciemnoczerwoną wykładzinę, próbując sprawiać wrażenie, że jest czymś zajęty. Proszę nie przeszkadzać.

Ktoś ciągnie go za łokieć.

– Dan Appelgren, prawda?

Zanim się odwrócił, przykleił do ust wielki uśmiech. Przed nim stoi krótko ostrzyżona kobieta w sweterku w biało-niebieskie paski. Dan zastanawia się, czy wszystkie baby w takich sweterkach noszą je zawsze czy tylko wtedy, gdy płyną promem. Wydaje im się, że dzięki temu ich strój staje się bardziej morski?

– Trafiony zatopiony – mówi z chichotem.

– Wiedziała! – piszczy kobieta, jakby spodziewała się owacji na stojąco.

Prawdopodobnie jest w jego wieku, ale pozwoliła sobie mocno się zaniedbać. Zmarszczki od palenia nad górną wargą. Siwy odrost. Koszulka tak obcisła, by skutecznie uwypuklić wałki tłuszczu nad stanikiem.

– Zakochaliśmy się w sobie z mężem przy *Gorączce w moim sercu*.

– Miło mi to słyszeć.

– Teraz to już mój były mąż, ale piosenką się nie znudziłam.

Dan śmieje się uprzejmie. Przechodzi mu przez myśl, że były mąż ani razu nie żałował, że dał nogę.

– Powinieneś był wtedy wygrać Eurowizję – dodaje kobieta. – Pewnie bez przerwy to słyszysz.

– Nigdy nie mam dosyć. – Dan puszcza do niej oko.

„Nie – myśli. – Nigdy nie mam dosyć przypomnienia mi o mojej porażce. O tym, że nawet wtedy, kiedy byłem zwycięzcą, byłem przegrany”.

– Tylko to chciałam powiedzieć.

Nie rusza się jednak. Widać wyraźnie, że na coś czeka.

– Dziękuję. To dla mnie dużo znaczy.

Po chwili kobieta kiwa jednak głową i rusza w kierunku sklepu wolnoćowego. Dan zatrzymuje się przy punkcie informacyjnym. Mika bez słowa podaje mu mikrofon. Wygląda, jakby cierpiał – to dla niego typowe. Jako jedyny zdaje się nienawidzić „Charismy” równie głęboko jak Dan.

Dan odchrząkuje i wciska przycisk „on”.

– Drodzy pasażerowie! Mówi do was Dan Appelgren. Mam nadzieję, że dziś wieczorem spotkam was

wszystkich w barze karaoke!

Niektórzy zatrzymują się, patrzą z zaciekawieni. Chłopiec o azjatyckich rysach wyjmując komórkę, Dan strzela uśmiechem i czeka na kliknięcie aparatu.

Odwraca się znów do mikrofonu, zbiera siły, żeby przebrnąć przez tę samą co zwykle tyradę z wykrzyknikiem po każdym zdaniu.

– Mamy wszystko, od klasycznych szlagierów po najnowsze hity! Dla każdego coś miłego. I pamiętajcie: każdy umie śpiewać! Naturalnie mamy również piwo, wino i drinki w specjalnych cenach! Zaczynamy o dziewiątej w barze karaoke na siódmym piętrze na samym dziobie promu! Do zobaczenia!

Prom sunie przez szkiery w powolnym tempie piętnastu węzłów. Światła pozycyjne i rozświetlone okna migoczą w ciemnej wodzie.

Na mostku panuje spokój. Dowódca Berggren poszedł się położyć do kabiny kapitańskiej. Czatownik wypatruje mniejszych jednostek, których może nie być widać na radarze, oficer wachtowy pilnuje, żeby prom nie przekroczył dozwolonej prędkości.

W kambuzie na pokładzie ósmym zaczęły się najbardziej stresujące godziny doby. Kucharze przekrzykują się z obsługą sali. Syk, para buchająca znad kuchenek i frytkownic, brzęk i stukot wielkich koszy załadowanych naczyniami, które wjeżdżają i wyjeżdżają z parujących zmywarek. Noże uderzają szybko o deski do krojenia, jakby zamieniły się w roje dzięciołów.

W jacuzzi siedzi para w średnim wieku. Trzymają się pod wodą za ręce. Patrzą przez ogromne okna z giętego szkła. Pod nimi znajduje się zewnętrzny pokład na dziobie. Zebrali się tu ludzie, żeby popatrzeć na ostatnie wyspy i wysepki, zanim prom wypłynie na otwarte morze. Słońce zaszło, lecz niebo wciąż jeszcze nie jest całkiem ciemne.

Pia i Filip wnieśli wiaderko z lodem i szampanem na górny poziom apartamentu, teraz wspólnie przyczepiają duży plakat na ścianie nad łóżkiem.

Kierownik Andreas siedzi za swoim biurkiem i patrzy na przechodzącego znów Dana Appelgrena. Otwiera segregator. Ogarnia go niemoc na myśl o tych wszystkich rachunkach, które trzeba zapłacić, na myśl o armatorze, który chce zwolnić część personelu.

Chłopiec o imieniu Albin stoi przy schodach na pokładzie szóstym. Patrzy na tablicę z rozkładem pomieszczeń. Znajduje czerwoną kropkę oznaczającą miejsce, w którym w tej chwili się znajduje. Przesuwa wzrokiem wzdłuż rzędów czworokątów z numerami kabin. Jest ich tak dużo. Wśród nich są puste miejsca, które przywodzą mu na myśl nieukończony do końca puzzle. Zastanawia się, co takiego kryje się w tych białych przestrzeniach. Znajduje numer 6512 i 6510 na drugim końcu promu. Wbiega w korytarz od strony bakburty. Na rysunku wydawał się długi, a w rzeczywistości zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Dwie starsze panie oglądają się za nim przyjaźnie, gdy mija je w biegu.

Po zakupach w sklepie wolnoctwowym w wielu kabinach trwa rozgrzewka przed wieczorem. Oczekiwania rosną wraz ze wzrostem temperatury i ilości wypitego alkoholu. W jednej z kabin na pokładzie piątym trwa wieczór kawalerski. Pan młody paraduje w białym welonie. Śpiewa z gośćmi pijacką piosenkę.

Przysłuchuje się im ciemnowłosa kobieta w mocnym makijażu. Stoi przed lustrem w kabynie znajdującej się zaledwie kilka metrów dalej. Nakłada na twarz kolejną grubą warstwę pudru. Jej piersi przypominają puste skórzane worki. Kobieta wkłada ciemny sweter na czarną sukienkę. Zapina go pod samą szyję. Myśli o dniu, od którego zawsze będzie tak wyglądać. Stanie się jedną ze Starych. Ogarnia ją strach. Równie przerażająca jest możliwość, że nie będzie żyć wystarczająco długo. Patrzy przez okno. Pociera dłonie, jakby chciała je rozgrzać. Mięśnie poruszają się pod skórą, jakby zwisały luźno między kośćmi i ścięgnami. U jej prawej dłoni brakuje dwóch palców. Zostały ucięte nad najniższym knykciem.

– Niedługo zrobi się ciemno – mówi kobieta. Odwraca się do chłopca leżącego w podwójnym łóżku. Chłopiec nie patrzy na nią. – Pospieszę się – dodaje, wcierając olejek o zapachu bzu w skórę na szyi.

Przesuwa nieuszkodzonym palcem wskazującym prawej ręki po łańcuszku, zatrzymuje się na medalionie. Próbuje się uśmiechnąć. Ma pożółkłe zęby. Na niektórych z nich szkliwo jest częściowo starte. Chłopiec nie odpowiada i kobieta poważnieje. Pochyliła głowę, wychodzi na korytarz. Chowa ręce w kieszeniach swetra. Z niepokojem patrzy na mocne światło lamp i przyspiesza kroku. Jej buty muskają ciemnoczerwoną wykładzinę, kiedy mija kolejne drzwi, wszystkie takie same. Zza niektórych dobiegają głosy. Grupa mężczyzn śpiewa coś, co przypomina piosenkę kibiców piłkarskich. Gdzieś rozlega się kobiecy śmiech. Słychać głośną muzykę, ktoś śpiewa: „bicie serca, chcę słyszeć bicie czyjś serca”^[1]. Kobieta jest zdenerwowana. Myśli o tym, że dużo ryzykuje, robiąc to na promie, ale inaczej nie uda jej się przedostać z synem w głąb Finlandii. Ze zmęczenia jej kości stały się sztywne. Czuje ich ciężar w całym ciele. Nawet w duszy. „O ile ją jeszcze mam”, myśli. Nagle tuż przed nią z kabiny wypada kilku chłopaków około dwudziestoletnich. Odwraca się więc szybko w stronę najbliższych drzwi, udaje, że szuka karty w kieszeni swetra. Gdy dwudziestolatki odchodzą na bezpieczną odległość, ona rusza dalej korytarzem. Pociąga dyskretnie nosem. W wąskim korytarzu ich zapach wydaje się bardzo intensywny. Tania woda po goleniu. Ciepła, świeżo umyta skóra. Mokre włosy. Piwo. Pastylki o smaku dziegciu na gardło. Umyte zęby. Najsilniejszy jest jednak zapach ich ciał, ich nadziei i radosnego odurzenia. Emocje sprawiają, że krew pulsuje szybciej, bliżej skóry. Zapachy są tak mocne, że kobieta niemal potrafi sobie wyobrazić, jak smakują. Próbuje się opanować. Dochodzi do bocznego korytarza prowadzącego do szerokich schodów. Tutaj jest więcej ludzi. Idzie ze wzrokiem wbitym w wykładzinę, podążając za tłumem sunącym ku górnym pokładom promu. Próbuje się skupić, próbuje odepchnąć setki syntetycznych substancji aromatycznych, które atakują jej nos. Spod nich przebijają się zapachy potu, krwi, hormonów, moczu. Intensywna metaliczna woń wyschniętej spermy na skórze. Łój ze skóry głowy. Głód robi się coraz bardziej dokuczliwy i zagłusza wątpliwości.

Syn kobiety wychodzi z łóżka i uchyla drzwi kabiny. Mrużąc oczy, wygląda na korytarz. Zastanawia się, ile czasu zostało mu do jej powrotu. Światło odsłania jego twarz – suchą i pomarszczoną jak krepina.

Podskakuje, gdy drzwi za nim otwierają się z hukiem. Obraca się. Z kabiny wychodzi jakaś para w wieku jego rodziców. Kobieta opiera się o mężczyznę, zamykając drzwi, i Albin zauważa na jego koszuli między łopatkami strugi potu.

– Kurde, czeka nas niezła wyżerka w bufecie – mówi mężczyzna stanowczo zbyt głośno, jakby kobieta stała daleko, a nie tuż obok niego. – Marzyłem o tym od tygodnia.

Kobieta przytakuje. Ma ciężkie powieki. Przypomina Albinowi lalkę, którą miała kiedyś Lo. Z początku lalka zamykała oczy, gdy kładło się ją na plecach, lecz później jej powieki zacięły się w połowie. Nie spała, ale też nie była obudzona.

Głośna para nie zauważa Albina i rusza w kierunku, z którego on przyszedł. Natomiast Albin idzie dalej. Próbuje ustalić, gdzie znajdują się te nieoznakowane miejsca z planu, ale mu się nie udaje. W jednym z bocznych korytarzy, które mija, otwierają się drzwi. Dwie szczupłe kobiety w błyszczących sukienkach. Obie mają podłużne twarze i ciemnoczerwoną szminek na bardzo wąskich wargach, przez co wyglądają, jakby ktoś zrobił im nacięcia na skórze.

– Dziś się zabawimy, mamusko – mówi jedna z nich. – Będzie się działo!

– Strzeżcie się chłopaki, nadchodzimy!

Wybuchają śmiechem. Odpowiada im echo.

Wreszcie drzwi z numerem 6510, niemal na końcu korytarza. Albin ostrożnie puka. Czuje wibracje podłogi i czeka. Słyszy, że jakieś drzwi otwierają się i zamykają. Znow puka.

– Uwielbiam, kiedy mi się przeszkadza – dobiega go z wnętrza krzyk i nagle Lo staje tuż przed nim.

Związała włosy w kitkę i jej twarz znow się zmieniła. Skóra wygląda na plastikową, nieprzepuszczalną. Usta błyszczą, powieki lśnią. Na jego widok jakby odetchnęła. Wchodzi z powrotem do kabiny, a on po chwili wahania wchodzi za nią.

– Widziałem Dana Appelgrena – oznajmia i wyjmuje telefon. – Zrobiłem zdjęcie.

– Nie może być – mówi Lo, nie odwracając się. – Mój ulubiony artysta.

Albin milczy. Żałuje, że cokolwiek powiedział. Lo staje na czworakach przed podwójnym łóżkiem. Zapach jej perfum wypełnia całąabinę. Na łóżku leżą ubrania i różowa kosmetyczka. Na biurku przed lustrem – rozrzucone kosmetyki i biżuteria. Duża, okrągła szczotka do włosów i suszarka zostały porzucone na podłodze. Suszarka jest wciąż włączona. Zupełnie jakby przezabinę przeszło dziewczęce tsunami.

– Pewnie marudzą, że się spóźniam?

– Musisz się pospieszyć, jeśli chcesz coś zjeść – wyjaśnia Albin i siada na brzegu łóżka.

– Byłoby naprawdę szkoda. Marzyłam o tym, żeby nabawić się grypy żołądkowej od tych wszystkich zarazków tutaj.

Lo wyjmuje miniaturową butelkę wódki, którą Albin gdzieś już widział. Gdyby miała normalny rozmiar, Lo byłaby olbrzymką. Lo odkręca nakrętkę, zaciska błyszczące wargi wokół szyjki i pije.

Zachłystuje się i oczy zachodzą jej łzami, ale parska śmiechem i podaje butelkę Albiowi.

– Chcesz? – pyta, uśmiechając się szyderczo, kiedy on kręci głową. – Mam jeszcze dwie, gdybyś zmienił zdanie.

– Co będzie, jeśli Linda je znajdzie?

– Powiem, że sprzątaczkę nie zauważyły.

– Mówiłaś, że nigdy nie będziesz pić.

Lo patrzy na niego z wyrazem twarzy przypominającym współczucie.

– Mieliśmy wtedy po dziesięć lat. Ciągłe masz tyle?

– Nie, nie mam.

Rozmawia jak dziecko. W ogóle nie powinien się odzywać. Nie wie, jak rozmawiać z tą Lo. Nie wie nawet, kim ona jest.

– Skąd masz te butelki?

– To dlatego się spóźniłam. Dopiero przed chwilą otworzyli wolnościowy.

– Przecież dzieciom nie wolno kupować alkoholu.

Nagle dociera do niego, że Lo ukradła alkohol. Tymczasem ona opróżnia butelkę i wrzuca ją pod łóżko.

– Dobrze wiedzieć.

Wzdycha, wyjmując gumę do żucia ze skórzanej kurtki i wkłada do ust.

– No to możemy iść.

Ciasną łazienkę wypełnia ciepła, wilgotna mgła, pachnąca słodko owocami. Umyła włosy, namydliła ciało, wyszorowała twarz. Wciąż stoi pod gorącym strumieniem, czekając, aż rozluźni jej ramiona i plecy. Zmyje to, co bezbarwne, codzienne. Co nazywa się prawdziwym. Patrzy na odpływ pod stopami, wyobraża sobie, że woda wpada do niego i znika w Bałtyku.

Madde wypila już wystarczająco dużo drinków w terminalu. Teraz pójdzie do bufetu ze swoją najlepszą przyjaciółką, będzie tańczyć. Kto wie, co się potem wydarzy? Na promie może wydarzyć się wszystko. A ona może być, kim tylko chce. Lub raczej wreszcie może być sobą.

Na jutro wzięła wolne. Gdy jej koledzy będą siedzieć w metrze i jechać do pracy w Kista, ona i Zandra zaczną dzień od śniadania z szampanem.

Niedługo będzie mieć cholernie dużo wolnego, i to zapewne przez cholernie długi czas. To jednak ostatnie, o czym ma zamiar myśleć tego wieczoru. Nie ma też zamiaru myśleć o swoim szefie, który przechylił głowę i wyglądał, jakby naprawdę było mu przykro. Przecież sama słyszała, że dostał sowitą premię za te oszczędności, które uzyskał, zwolniwszy jedną z asystentek finansowych.

Dobrze, że nie odwołała tej wycieczki. Właśnie tego teraz potrzebuje.

– Żyjesz tam jeszcze? – woła Zandra zza drzwi. – Duszno tu jak w szklarni!

– Już idę!

Zakręca z zalem gorącą wodę i odsuwa na bok białą zasłonkę prysznicową. Zwija ręcznik w turban na głowie. Przeciera ręką lustro nad umywalką, przez chwilę widzi swoją zarumienioną twarz, ale lustro szybko znów pokrywa się parą.

Bierze do ręki kolejny ręcznik, idealnie szorstki, i wyciera się do sucha. Z kabiny dobiegają ją pierwsze dźwięki *Livin' on a prayer*. Madde uśmiecha się i rzuca ręcznik na podłogę. Ile to razy słyszały z Zandrą ten kawałek? To była jedna z pierwszych płyt, jakie kupiła. Mieszkały wtedy na Soldatgatan w Boden. Zaczęły właśnie czwartą klasę. Niedawno zaczęły się malować. Zandra pisała swoje imię przez „S”, obie kochały się w Jonie Bon Jovim i obie były przekonane, że tekst piosenki opowiada o życiu na prerii. Zandra otwiera drzwi bez pukania i podaje jej butelkę mocnego piwa.

– Znów widziałam tych czterech Włochów – mówi. – W wolnoślowym. Kurczę, nieźli są, mimo że tacy mali.

– Najwyżej weźmie się dwóch. – Madde bierze łyk z butelki.

Po słodkich drinkach truskawkowych, które wypila w terminalu, piwo ma mocno alkoholowy, gorzki smak.

– Żeby tylko nie byli za mali tam, gdzie trzeba – mówi Zandra, wyciągając przed siebie swoją butelkę. – Twoje zdrowie, stara kurwo.

– Twoje zdrowie, stara zdiro.

Butelki uderzają o siebie. Madde wypija kolejny łyk spienionego piwa.

– Chyba się trochę wstawiłam – stwierdza Zandra i opiera się o framugę.

– To musisz zwolnić. Noc jest długa, musimy dać radę.

– No przecież, że damy. Aż tak stare nie jesteśmy.

– Nie, ale sama wiesz, jak bywa – tłumaczy Madde i przeciąga dezodorantem w sztyfcie pod pachami.

– Nie możemy za wcześnie skończyć.

– Dobrze, mamusiu. – Zandra uśmiecha się szeroko.

– Boże, muszę się dziś zabawić. Inaczej zwariuję.

– Zabawimy się, spokojnie. Zawsze się bawimy.

Madde wciera w ciało balsam zawierający złote drobinki, od których jej skóra łagodnie błyszczy.

Zandra znika. Madde odwraca się do lustra. Pojawia się w nim jej odbicie, niczym duch wyłaniający się z mgły. Wypija kilka łyków. Płyn w butelce przyjemnie chlupocze. Szum suszarki zagłusza muzykę, mimo to Madde śpiewa: *Take my hand, and we'll make it I swear*^[2]. Zapach balsamu i rozgrzanych włosów wypełnia ciasne pomieszczenie. Madde bierze do ręki lakier i układa swoje jasne loki. Na koniec używa innego sprayu, który też zawiera drobinki złota, aż w końcu ma fryzurę jakby uprzedzoną ze złota. Robi szybki makijaż. Nakłada cień na powieki. Dopija piwo. Zaczęła się już pocić.

– Muszę zapalić – woła Zandra.

– Ja też. Zaraz kończę.

– Pospiesz się. Oszaleję od siedzenia tu i gapienia się w ścianę.

Madde woli nie przypominać Zandrze, że to ona zamówiła kabinę bez okna na środkowym korytarzu dziewiątego pokładu. Przypomina pudełko do butów wciśnięte między takie same pudełka. Zandra uważała, że do kabiny wrócić najwyżej po to, żeby się przespać. Jeśli w ogóle wrócić. A Madde przypomniawszy sama sobie, że musi być oszczędna z powodu tego, o czym nie będzie myśleć dziś wieczorem.

– Mogłaś wyjść, skoro tak bardzo ci się spieszy – woła Madde, oceniając w lustrze efekt swoich starań.

Cała mieni się i skrzy. Po wkrótce bezrobotnej asystentce finansowej nie został nawet ślad.

Gdy wychodzi z łazienki, wybucha śmiechem. Zandra zawiesiła girlandę kolorowych plastikowych kwiatów wokół lustra przy stoliku. Pomiędzy kwiatami świecą małe lampki.

– Boże, jak ładnie to zrobiłaś.

Zandra włącza telewizor. Przełącza kanały, w końcu znajduje podgląd parkietu w klubie Charisma. Na razie jest pusto. Ale już niedługo. Z ekscytacji cała drży.

– Masz. – Zandra podaje Madde drinka z minttu.

Zapach mięty łaskocze orzeźwiająco w nos.

– Za ten wieczór – Zandra uroczyście wznosi toast. – Niech się dzieje, co chce.

– Dokładnie – potakuje Madde i pije do dna.

Rejs właśnie oficjalnie się zaczął.

Madde kuca przy walizce i przerzuca ubrania. Znajduje krótką czarną sukienkę, która jest tak przezroczysta, że wygląda, jakby jej wcale nie było.

Szybko się ubiera i wkłada duże złote kolczyki w kształcie kół. Na koniec pryska w górę perfumami

i wchodzi w opadający obłok pachnących kropelek, robiąc przy tym piruet, żeby osiadły na całym jej ciele. Zandra kaszle ostentacyjnie.

– Jak wyglądam?

– Gruba, ale niezła dupa – podsumowuje Zandra i wyciąga z telefonu kabel głośnika. – Tak jak ja. Chodź już.

Madde wrzuca do torebki najważniejsze kosmetyki. Zandra okręca szyję boa z łabędzich piór, poprawia piersi w staniku. Wychodzą na korytarz. Drzwi stawiają opór i muszą je naprawdę mocno pociągnąć. Mężczyzna, który właśnie zamyka drzwi do swojej kabiny, patrzy na nie rozbawiony. Taksuje je wzrokiem.

– Zapomniałyście się ubrać, dziewczyny? – pyta, śliniąc się.

– Nie – rzuca Madde. – Raczej rozebrać.

Zandra chichocze i bierze ją za rękę.

Wchodzi na ósme piętro. Idzie szerokim korytarzem z oknami po lewej stronie sięgającymi od podłogi do sufitu. Ciepłe, przygaszone światło korzystnie oświetla wszystkie znajdujące się tu osoby. Mija ją jakaś młoda para – trzymają się za ręce, wyglądają na zakochanych. Grupa kobiet w jej wieku śmieje się głośno. Marianne idzie dalej. Mija Poseidona, restaurację z białymi płóciennymi obrusami na stołach. Mija kawiarnię i pub. Obraca się i zauważa restaurację, której szuka, na samym końcu korytarza, zaraz przy schodach. Wielkie, przyciemnione szklane drzwi Charisma Buffet są otwarte. Nie widać jednak Görana. Czy nie mieli się spotkać przed wejściem?

Staje przy oknach. Zmierzch wyssał już z dnia ostatnie soki. Marianne udaje, że patrzy na wodę, ale tak naprawdę przygląda się swojemu odbiciu w szybie. Chciałaby się napić wina. Przeczesuje palcami włosy. Dyskretnie wącha nadgarstek, żeby sprawdzić, czy przed wyjściem nie wylała na siebie zbyt dużo perfum.

Za jej plecami przechodzą ludzie, więc przygląda się ich odbiciom. Wszyscy wyglądają, jakby wiedzieli, czego chcą i dokąd idą. Ona sama nie ma pojęcia.

Znów przeczesuje palcami włosy. Nagle doznaje nieprzyjemnego uczucia, jakby mrówki chodziły jej po skórze na plecach. Zdaje sobie sprawę, że jest obserwowana. Rozgląda się ukradkiem. Görana nigdzie nie widać. Uczucie się nasila. Marianne słyszy dźwięki fortepianu płynące z wnętrza Poseidona i słaby pogłos muzyki rockowej z irlandzkiego pubu.

Głębiej w korytarzu dwóch niedbale ubranych facetów siedzi przed automatami do gry. Przy niewielkim stoisku za nimi stoi kobieta, która robiła zdjęcia, gdy pasażerowie wchodzili na pokład. Marianne odwraca się. Zagląda do pubu. W środku jest ciemno. Czterolistne koniczyny na lustrach za barem. Reklamy ciemnego piwa o smaku, który przypomina namoczony chleb. Zielony neon oznajmia, że lokal nazywa się McCharisma. W środku siedzą prawie sami mężczyźni, żaden z nich nie jest Göranem. Jedyna kobieta zajęła stolik na samym końcu. Ma ciemne, matowe włosy. Owinęła się czarnym swetrem, jakby marzła. Pomimo ciemności widać głębokie bruzdy na jej mocno umalowanej twarzy. Ma przymknięte oczy. Na stoliku przed nią stoi szklanka z piwem, która wygląda na nietkniętą.

Mrówki mnożą się pod skórą Marianne. Maszerują w górę aż do cebulek włosów. Teraz jest już pewna, że to ta kobieta ją obserwuje.

Coś jest w jej twarzy. Coś jest nie tak.

Coś się nie zgadza.

Na pewno mi się przywidziało, myśli. Niekorzystny makijaż kobiety kojarzy się Marianne ze starym filmem z Bette Davis. Niby dlaczego miałyby się gapić akurat na mnie? – myśli.

Mija ją dwóch mężczyzn, każdy ma na brzuchu nosidełko z niemowlakiem. Marianne zerka na dzieci: okrągłe policzki, machające nóżki i wesołe, pozbawione zębów buzie.

– Tu jesteś, cukiereczku!

Göran idzie szybkim krokiem przez korytarz. Bierze ją pod ramię, jakby to było całkiem naturalne. Prowadzi ją do bufetu. Ostatni raz Marianne spogląda w stronę McCharismy. Kobieta pochyla głowę.

Włosy przysłaniają jej twarz. Teraz Marianne dostrzega w jej postaci smutek. Samotność. Całkiem podobną do jej własnej.

Przed Charisma Buffet czekają znajomi Görana. Mężczyzna za niewielkim pulpitem przed szklanymi drzwiami uśmiecha się do nich bezosobowo, pokazuje ich stolik na skserowanej mapce sali.

– Jesteś głodna? – pyta Göran, gdy wchodzi do środka.

Odgłosy rozmów i szczekanie sztućców zlewają się w ścianę dźwięku, która ją przytłacza i za chwilę pochłonie. Marianne ma wrażenie, jakby miała rozpaść się na atomy. Dociera do niej, że musi odpowiedzieć na pytanie Görana. Zapach ciepłego jedzenia wypełnia jej nozdrza, więc przytakuje. I spogląda na bufet. Długie rzędy dań.

– Chyba trzeba ciągnąć losy – słyszy samą siebie. – Nie wiadomo, od czego zacząć.

Göran śmieje się, jej zdziwienie wyraźnie go rozbawiło. Patrzy na niego i nagle nachodzi ją szalona myśl, że kiedy nadejdzie pora zejścia na ląd, być może będzie go kochać.

Z głośników w restauracji Poseidon płyną spokojnie fortepianowe interpretacje przebojów Franka Sinatry. W środku jest niewielu gości. O tak wczesnej porze większość z nich mówi ściszym głosem.

Calle i Vincent patrzą na siebie sponad ogromnego półmiska skorupiaków, który właśnie stanął przed nimi na białym obrusie. Na połyskującym lodzie leży sterta homarów, raków morskich, raków stawowych, świeżych i wędzonych, małży i szczypców kraba.

– Smacznego – mówi kelnerka z doczepionymi kosmykami włosów, starannie zaczesanymi.

– No rzeczywiście, niezły kosmos. – Vincent śmieje się, gdy znów zostają sami.

– Przecież mówiłem. – Calle unosi kieliszek szampana. – Zdrowie!

– Racja – potakuje Vincent. – Wypijmy za to, że wreszcie mogę zobaczyć ten fragment twojego życia.

Piją. Calle jest tak zdenerwowany, że przęłyka z trudnością. Patrzy na swoją dłoń, zaskoczony stwierdza, że nie drży.

Kiedy się przebierali przed kolacją, prawie wpadł w panikę. Wpatrywał się w zestawy ubrań, które spakował. Niezależnie od tego, co się dziś wydarzy, obaj zapamiętają ten wieczór, a on chce wyglądać we wspomnieniach Vincenta najlepiej, jak to możliwe. W końcu zdecydował się na czarną marynarkę i biały tiszert. Do tego krwistoczerwone martensy.

– I jakie to uczucie: wrócić? – pyta Vincent. – Czy jest tak jak kiedyś?

Calle przytakuje. Gdy weszli na pokład, uderzyły go zapachy, które nigdy do końca nie opuszczają „Charismy”. Słodki, przyprawiający o mdłości zapach kaca, stare piwo, kwaśny środek czyszczący do wykładziny. Miał wrażenie, że cofnął się w czasie o osiem lat. Były to wspomnienia nie tylko „Charismy”, lecz także tego, kim wtedy był. Zaskoczyło go to. Nagle zrozumiał, że powrót nie był najlepszym pomysłem.

– Wszystko jest dużo bardziej zniszczone, niż było – stwierdza. – I jest mniej pasażerów. Pewnie „Charisma” nie wytrzymała konkurencji. Nowe promy są większe, bardziej luksusowe.

Stara się, żeby to zabrzmiało swobodnie, ale na widok tego wszystkiego czuje przygnębienie. Choć może po prostu patrzy teraz innymi oczami?

– Nasz apartament jest w każdym razie cholernie luksusowy – uśmiecha się Vincent.

– Dlatego niemal zawsze stoi pusty. Mało kto chce tyle zapłacić za jedną dobę na promie do Finlandii.

– Ile kosztuje?

– Nie wiem. Filip załatwił jakiś rabat.

Filip, który teraz pewnie jest w apartamencie z Pią.

Calle patrzy na Vincenta, gdy ten sięga po szczypce kraba i wprawnie je rozłamuje.

– Nie jesz? – pyta Vincent, zanurzając mięso w aïoli.

– Jem. – Calle próbuje udawać kogoś opanowanego, tymczasem ma wrażenie, że za moment ze zdenerwowania wpadnie w psychozę. – Chyba nie jestem aż tak głodny.

– Nie zostawiaj mnie z tym samego.

Calle bierze krewetkę. Obiera ją nieporadnie i żuje mechanicznie, bo w smaku przypomina mu gumę.

– Cóż to za piękne miejsce – wzdycha Vincent, wyglądając przez okno. – Musimy potem wyjść na pokład, żeby popatrzeć.

Wyspy wyglądają teraz jak gęstsza ciemność na tle czarnoniebieskiego powietrza. Gdzieś między drzewami widać światło tańczące na powierzchni wody. Calle mruczy przytakująco. Przygląda się profilowi Vincenta. Lekko wygięty nos. Ciemne włosy. Kwadratowy podbródek superbohatera. Podkreślające wydatną górną wargę wąsy. Niebieskie oczy, w których światło odbija się niczym w wodzie. Ma tak żywą twarz. Ileż to razy na nią patrzył i czuł się tak, jakby widział ją po raz pierwszy?

– Trudno uwierzyć, że Bałtyk jest tak zanieczyszczony, kiedy widzi się coś takiego – mówi Vincent. – Pamiętasz ten dokument, który razem oglądaliśmy?

– Tak. – Calle patrzy na skorupiaki; żaden nie pochodzi z wody za oknami.

W filmie, o którym mówi Vincent, pokazano, jak z rosyjskich promów prosto do morza wylewane są codziennie tysiące litrów ścieków.

– Gdyby Posejdon naprawdę istniał, pewnie osiadłby gdzie indziej – żartuje Calle.

Vincent śmieje się, bierze krewetkę i obiera ją z pancrzyka.

Od ich pierwszej randki minęło pięć lat, a dopiero niedawno Calle pozbył się uczucia, że nie zasługuje na Vincenta, nie zasługuje na to szczęście. Nareszcie udało im się urządzić w nowym mieszkaniu. Każdego ranka Calle budzi się w sypialni o wysokich białych ścianach. Czasem trudno mu uwierzyć, że on i Vincent w końcu znaleźli swój dom.

A teraz zamierza prosić o jeszcze więcej szczęścia.

– O czym myślisz? – chce wiedzieć Vincent.

Calle kręci głową.

– Dziwnie jest znaleźć się z powrotem na „Charismie”.

Zauważa kobietę w mundurze ochroniarza, która zbliża się do ich stolika. Związała włosy w koczek na czubku głowy, tak samo wiązała je kiedyś. Tylko że teraz mają siwy odrost, przez co wydają się cienkie. Nosi mundur o kilka rozmiarów większy, niż kiedy widzieli się ostatnio. I wydaje się zmęczona pomimo szerokiego uśmiechu.

Za to jej głos w ogóle się nie zmienił. Zachrypnięty i ciepły, zawsze gotowy do śmiechu. Głos, który w magiczny sposób potrafi uspokoić pijanych i agresywnych pasażerów. Głos, który może stać się twardy jak kamień, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ile to razy Calle chodził z nią po pokładzie spacerowym i rozmawiali, rozmawiali, rozmawiali?

– O, cześć – wita się z nią, wstając. – Nic się nie zmieniłaś.

– Za to ty wciąż nie potrafisz kłamać – mówi ona i przytula go ciepło. – A jaki jesteś elegancki!

Pia robi krok do tyłu, przygląda mu się od góry do dołu, przeciąga dłonią po jego ogolonej głowie i uśmiecha się szczerze.

– ...z sukcesem ci do twarzy – stwierdza. – Z brodą zresztą też.

– To Vincent – przedstawia Calle. – Mój chłopak.

Vincent podnosi się z krzesła, podaje rękę Pii. Przyglądają się sobie zaciekawieni.

– Niezłe dziary – chwali Pia, wskazując na tatuaże pokrywające ramiona Vincenta. Klasyczny styl japoński ze szwedzkimi motywami. Maliny moroszki i łosie. Łososie zamiast karpi koi.

– Miło cię poznać – mówi Vincent i siada z powrotem. – Może mi opowiesz, jaki był Calle osiem lat temu?

– Zagubiony – odpowiada Calle stanowczo za szybko i za głośno.

– Aż tak zagubiony nie był – protestuje Pia. – Gdyby nie odszedł, zostałby szefem wolnośladowego.

Wydaje się, że jest z tego dumna.

– Pia pracuje w ochronie na pokładzie – wyjaśnia Calle.

– Domyśliłem się, kiedy zobaczyłem mundur – uśmiecha się Vincent. – I jak to jest?

– Cóż. Coś mnie tu najwyraźniej trzyma. Pewnie dlatego, że lubię tych, z którymi pracuję. Przynajmniej większość z nich. Podczas każdego rejsu pracuje tu prawie dwieście osób.

Vincent gwizdże.

– Choć z pasażerami można oszaleć – dodaje Pia. – Czasem mam wrażenie, że pracuję w jakimś przedszkolu dla dorosłych.

Vincent śmieje się.

– Moim zdaniem jest zaskakująco spokojnie. Te promy nie mają zbyt dobrej renomy.

– Zobaczymy, co powiesz koło północy. – Pia patrzy na Callego. – Choć dziś wieczorem może być dosyć spokojnie. Jest prawie pół na pół.

– Pół na pół? – pyta Vincent. – Czego?

– Często jest więcej mężczyzn – tłumaczy Calle. – Wtedy niemal zawsze dochodzi do bójk.

– No tak, jak nie mogą się bzykać, muszą się zająć czymś innym. – Pia kładzie dłoń na ramieniu Callego. – No, opowiadaj. Czym się teraz zajmujesz?

Calle patrzy na nią. Przechodzi mu przez myśl, że ona tylko udaje. Potem jednak zdaje sobie sprawę, że pytanie jest szczere. Nigdy nie rozmawiali o tym przez telefon. Rozmawiali głównie o Vincencie i o tym, co Calle zamierza zrobić.

– Pracuję jako... architekt krajobrazu.

Przez moment waha się, zanim użyje tego określenia. Nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić. Każdego ranka, kiedy wchodzi do eleganckiego biura przy Skanstull, czuje się jak oszust.

– Czyli zajmujesz się kwiatami?

– Nie, nie do końca. Najprościej mówiąc, architekt krajobrazu zajmuje się tym samym co zwykły architekt poza budynkami.

Coś w jego głosie trąci fałszem. Nie zabrzmiało to chyba protekcjonalnie?

– Ach tak – mówi niepewnie Pia.

– Rysuje się teren – dodaje. – Planuje, jakie drzewa mają zostać posadzone w parku i jak ma wyglądać rynek.

– Nigdy bym nie pomyślała, że to też ktoś musi robić.

– Nic dziwnego, mało kto to wie. To taka praca, której efektów nikt nie zauważa, jeżeli architekt jest dobry w tym, co robi.

Zastanawia się, czy to, co powiedział, jest w ogóle zrozumiałe, bo czuje, jakby się całkiem zaplątał.

– Brzmi super. Zawsze wiedziałam, że coś z ciebie wyrośnie.

– A ty? Co u ciebie? Twoje dzieci są pewnie duże.

– Dwadzieścia i dwadzieścia jeden lat.

Calle kręci z niedowierzaniem głową. Widział je tylko raz, kiedy nocował parę razy w domu Pii na Wyspach Alandzkich. Oboje byli wtedy w okresie dojrzewania i czuł się, jakby trafił na plan jakiejś kiepskiej kopii *Egzorcysty*, gdzie rozlegały się przerażające krzyki, tupanie, trzaskanie drzwiami. Pia była świeżo po rozwodzie. Mimo to miała siłę, żeby słuchać o jego problemach. Boże, był wtedy taki młody.

– Macie jakieś szczególne plany na ten rejs?

– Liczę na wycieczkę z przewodnikiem dziś wieczorem – mówi Vincent. – Calle zarezerwował nam też na jutro wizytę w spa.

– Fajnie – rzuca Pia i odwraca się do Callego. – Słuchaj, jeśli naprawdę chcesz pokazać coś Vincentowi, powinniśmy zabrać go na mostek.

Zabrzmiało to wyjątkowo przekonująco, jakby dopiero przed chwilą na to wpadła. Calle patrzy na nią z wdzięcznością.

– Myślisz, że możemy?

– Na pewno. Dziś wieczorem łajbą dowodzi Berggren, a jego przecież znasz – mówi i znów patrzy na Vincenta. – Po *nine-eleven* nie wolno nam tak naprawdę zabierać tam ludzi, ale kapitan na pewno zrobi dla was wyjątek.

– Byłoby świetnie – wtrąca Vincent. – O ile oczywiście nie będziemy przeszkadzać.

– Nie sądzę – odpowiada Pia. – Przyjdę po was, kiedy skończycie.

– Dziękuję ci bardzo – mówi Calle.

– Nie ma za co. Filip cię pozdrawia, tak na marginesie.

Po jej odejściu Calle opróżnia swój kieliszek z szampanem. Vincent dolewa im obu.

– Wydaje się miła – zauważa.

– Bo jest. To dzięki niej miałem odwagę odejść i zacząć naukę w Komvux.

I w podziękowaniu zniknąłem z jej życia, myśli.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że byłeś zagubiony? – pyta Vincent i bierze homara. – Dużo imprezowałeś?

– Dużo to mało powiedziane. Zalewałem się w trupa prawie każdego wieczoru po robocie.

Parokrotnie wpadł podczas kontroli promili następnego dnia. Pielęgniarka Raili, która przeprowadzała kontrolę, przeproszała, że musi go zgłosić. Został wezwany na rozmowę z kapitanem Berggrenem i kierownikiem rejsu. Usłyszał, że ma jeszcze tylko jedną szansę. Obiecał, że nie będzie pić. Obietnicy nie dotrzymał.

– Nie chodzi tylko o to – wzdycha. – Trudno to wytłumaczyć.

– Spróbuj. Jestem ciekaw.

– No wiesz, myślałem, że to tylko tymczasowa robota. Ale czas płynął. Jak by to powiedzieć... Zarabiałem więcej, niż mógłbym sobie wymarzyć w tym wieku. Ze wszystkimi dodatkami wyciągałem prawie dwadzieścia pięć tysięcy miesięcznie. A tu nie ma na co wydawać, tylko na alkohol. Każdy tu zatrudniony ma przydział, w ramach którego może kupować alkohol za bezcen. A mój kumpel Filip zapraszał mnie do baru, w którym pracuje.

Przerywa, żeby się zastanowić. Czy da się wytłumaczyć, jak to było?

– Ten świat szybko zamienia się w bańkę. Wszystko, co jest poza nią, po jakimś czasie zaczyna wydawać się nierealne.

– Nie tęsknisz za nimi? – pyta Vincent.

Calle się zastanawia. Wydłubuje mięso z odwłoku homara, żeby zyskać na czasie. Nie potrafi sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek bawił się lepiej niż na promie. Pia i Filip byli najlepszymi przyjaciółmi, jakich kiedykolwiek miał. Przez cały czas wiedział jednak, że musi odejść, zanim utknie tu na zawsze. Nie wiedział tylko, jak to zrobić.

Nie ze wszystkim też dawał sobie radę. Mimo to dopiero potem, gdy wrócił do zwykłego świata, zrozumiał, że przyzwyczał się bardziej, niż myślał. Dominująca na promie kultura macho. Finowie, którzy twierdzili, że wszyscy Szwedzi to geje. I Szwedzi, którzy robili wszystko, żeby pokazać, że Finowie się mylą. Systemowy rasizm. Ich kierownik sklepu, który z wymownym spojrzeniem potrafił powiedzieć: „Ciemno dziś było na pomoście”. Lill z działu perfum, która bez cienia zażenowania narzekała: „Trudno pomóc czarnoskórym wybrać odpowiedni zapach, bo oni przecież całkiem inaczej pachną”. Utrzymujący się mit, że Arabowie wożą ze sobą kuchenki gazowe i gotują w kabinach, bo są zbyt skąpi, żeby pójść do restauracji. Calle nienawidził siebie za to, że nie protestował częściej. Głośniej. Nie pytał, kto tak naprawdę widział tych wszystkich Arabów z kuchenkami. Był za młody. Za słaby.

Postanowił więc odgrywać „wesołego geja”. Korzystał z każdej okazji, żeby zyskać dodatkowe punkty za dowcipy o gejach, zanim ktoś go uprzedził. Starał się nie wchodzić w drogę mężczyznom w typie macho. Grał rolę pstrykającego palcami, wyuzdanego geja, najlepszego kumpla dziewczyn.

To było takie proste. O wiele za proste. Z czasem ledwo wiedział, kim jest naprawdę. Tylko Pia i Filip znali jego inne oblicze.

Do tego dochodził cynizm, który nasilał się wraz z upływem czasu. Niekończące się pijaństwo. Przebywanie przez całą dobę z ludźmi, których musiał oglądać w ich najbardziej prymitywnym stanie. Najgorsi byli pasażerowie, którzy pływali promem dla żartu i urządzali sobie safari z udziałem Svenssonów. Wytykali ich sobie palcami i wyśmiewali.

Gdyby został, całkiem straciłby wiarę w ludzkość.

Przypomina mu się, jak szczerze Pia ucieszyła się na jego widok. Ma wrażenie, że kęs jedzenia rośnie mu w ustach. Dlaczego przestał się odzywać?

Najpierw były lata spędzone w szkole w Alnarp. Kolejna bańka. Zawsze, gdy przyjeżdżał do Sztokholmu, chciał być tylko z Vincentem. Zrozumieli, że nie są wyjątkiem od reguły mówiącej o tym, jak trudno utrzymać związek na odległość. Potem początki pracy w biurze. Kolejna bańka. Łatwo było zapomnieć o Pii i Filipie, pomyśleć, że łączyła ich tylko praca. Praca i imprezy.

Orientuje się, że Vincent czeka na odpowiedź. Czy za nimi tęskni?

– Pisaliśmy trochę do siebie na Facebooku. Od czasu do czasu. Sam wiesz, jak jest.

Sygnal informujący o nadejściu esemesa. Calle wyciera starannie dłonie w płócienną serwetkę rozłożoną na kolanach. Trzyma telefon tak, żeby Vincent nie widział ekranu.

„Nieźle ciacho! ☺ Apartament gotowy, zaraz się widzimy. Pia”.

Dan Appelgren patrzy na Madde z laminowanego plakatu wiszącego przy schodach. Ma na sobie elegancki garnitur, w którym wygląda jak mafioso, i śmieje się, trzymając dłoń na karku, jakby wstydział się obiektywu, jest tak zajebiście przystojny. Tak zajebiście seksowny... Dan wygląda niewątpliwie na kogoś, kto wie, jak się bzykać. Na kogoś, kto wie, czego chce, i potrafi to zdobyć.

– Mama też za tobą tęskni – szepcze Zandra do słuchawki. – Bardzo mocno.

Dan jest teraz gdzieś na promie. Na samą myśl o tym Madde przechodzi dreszcz. Zerka przez ramię na korytarz, z którego przyszły. Wie, że na dziewiątym piętrze jest dwupoziomowy apartament. Może tam właśnie mieszka Dan. Może stał pod prysznicem w tym samym czasie co ona, zaledwie kilka metrów dalej. Madde rzuca ostatnie spojrzenie na plakat i zaczyna schodzić po schodach.

– Jutro wieczorem o tej samej porze przyjadę po ciebie do taty – obiecuje Zandra.

Madde miała nadzieję, że wyjdą gdzieś razem jutro wieczorem. Mogłyby się rozgrzać w drodze powrotnej, a potem ruszyć prosto w miasto. Zandra tłumaczy się tym, że jej były nie chce zamieniać się dniami, lecz Madde nie jest pewna, czy Zandra rzeczywiście próbowała go przekonać. Wszyscy postarzelili się i skapcanieli. Czasem nie mają siły wyjść nawet wtedy, kiedy mogą. Są emerytami czy co? Madde zastanawia się, jak to będzie, kiedy zostanie bez pracy i nie będzie mieć kontaktu z ludźmi nawet w ciągu dnia.

Nie myśl o tym, upomina samą siebie. Nie popsuj tego wieczoru, zanim się zaczął.

– Będziecie mieć supermiły wieczór – szczebiocze Zandra.

Madde przechodzi przez myśl, że też chciałaby kiedyś móc tak zakończyć rozmowę.

Schodzą na ósme piętro przy samym wejściu do Charisma Buffet.

– Pozdrów ode mnie tatę – prosi Zandra. – Nie uda mi się dziś ponownie zadzwonić. Obiecuję, że będę o tobie myśleć, kładąc się do łóżka. Tak, kochanie. Nie smuć się. Całuję. Kocham cię. Pa. Pa. Całuję, wszystko będzie dobrze. Całuję, pa.

– Co się dzieje?

– Chyba udało mi się ją uspokoić. Śnił jej się jakiś koszmar z moim udziałem.

Madde słucha jednym uchem. Przy wejściu stoi jasnowłosy szczupły chłopak z odstającymi uszami. Madde nigdy wcześniej go nie widziała.

– Spóźniły się panie – mówi z wyrzutem, gdy odhaczył je na liście. – Mają panie tylko godzinę i kwadrans do przyjścia kolejnych gości.

– Aha – odburkuje Madde. – I co? Jaka to dla ciebie różnica?

– Stolik numer dwadzieścia pięć. – Chłopak pokazuje miejsce na odbitce ksero. – To jeden z tych stolików na prawo, blisko okien.

– Wiem – w głosie Madde słychać zniecierpliwienie. – Jesteśmy stałymi bywalczyniami.

– Matko, jaki ponurak – narzeka Zandra, gdy przechodzą między stolikami.

– No nie? Przecież nie spóźniłyśmy się na kolację noblowską.

Tak naprawdę ma gdzieś chłopaka o tępych spojrzeniu. Znad długich stołów bufetu unosi się przyjemny zapach, w środku panuje tłok. Ekscytacja musuje w niej jak szampan.

Bierze tacę i talerz, nakłada wprawnym ruchem zapiekanekę z sosem i szynką, połówki jajek, łososia wędzonego i gotowanego. Wykorzystuje miejsce na talerzu, jakby grała w tetris. Omija ziemniaki, chleb, zwykle wypełniacze. Podchodzą do kranów. Biorą po dwa kieliszki, napełniają je po brzegi białym winem. Wznoszą toast, gdy tylko siadają na swoich miejscach. Wino jest słodkie i w sam raz zimne. Madde robi zdjęcie talerza, udaje się jej zamieścić je na profilu po dwóch próbach. Zabiera się do jedzenia. Matko, ale dobre. Jak zawsze.

Przez ostatnie lata Madde pływała „Charismą” co najmniej dwadzieścia razy. Za pierwszym razem była jeszcze dzieckiem. Rodzina wyjechała do Sztokholmu na wakacje, które zakończyły się rejsem. Madde była zachwycona. Siedziała w Charisma Buffet i myślała, że właśnie tak muszą czuć się bogaci ludzie, na przykład ci z *Falcon Crest*. Pierwszy raz dotarło do niej, że istnieje inny świat, poza granicami Boden, i że ona również może do niego należeć. Potem zwyczajnie go znalazła. W pewnym sensie to zasługa „Charismy”, że przeprowadziła się do Sztokholmu. I na szczęście Zandra z nią pojechała.

Teraz Madde już wie, że ci naprawdę bogaci nigdy nawet nie postawiliby stopy na „Charismie”. Nie ma to jednak znaczenia. Wciąż czuje tę samą dziecięcą radość z podróży. Czuje się, jakby zaczarowywała codzienność. Na jedną dobę wskakiwała do rzeczywistości równoległej.

Zandra świetnie wygląda. Zrobiła sobie dwie kitki z tych samych różowych piór, z których ma boa. Przypomina tę Zandrę, którą Madde poznała niemal trzydzieści lat temu. Której dokuczano za to, że sepleni i ma nadopiekuńczych rodziców. I ci rodzice od samego początku uznali, że Madde ma zły wpływ na ich córkę.

– Chciałabym wznieść kolejny toast. – Madde z zaskoczeniem stwierdza, że zaczyna jej się plątać język. – Za nas. Za to, że jesteśmy takie zajebiste.

Zandra unosi kieliszek.

– Zdrowie, kurwa – mówi i opróżnia kieliszek.

Madde robi to samo.

– Nadal jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Wiesz o tym, prawda?

– No przecież – chichocze Zandra. – Nikt inny by z tobą nie wytrzymał.

– *Bitch* – klnie Madde i wypija łyk wina z drugiego kieliszka.

Zandra znów chichocze. Jeden z jej przednich zębów zachodzi na drugi. Madde uwielbia ten ząb. Chyba naprawdę jest trochę wstawiona, skoro zrobiła się tak sentymentalna.

– A jeśli chodzi o pracę – oświadcza Zandra. – Wiesz, że się ułoży, prawda?

Madde pije wino.

– Musimy iść potem na karaoke – postanawia.

– Jasne – zgadza się Zandra. – Chętnie zostanę *groupie* Dana.

– Nie ma mowy, już go sobie zarezerwowałam. Ty sobie weź swoich czterech Włochów.

– Fakt, chyba mam ochotę na quattro stagioni.

– Żebyś tylko dostała wersję bez grzybów.

Zandra się śmieje. Tylko ona tak potrafi. Odrzuca głowę do tyłu. Wielkie piersi podskakują w dekolcie. Język wysuwa się lekko z otwartych ust. Nie da się nie zarazić tym śmiechem.

Jakimś sposobem kończą drugi kieliszek wina. Zawsze jednak można przynieść kolejny. Jeszcze przez niemal godzinę mogą jeść i pić, ile tylko chcą. Madde tak naprawdę jest najedzona, ale tylu rzeczy nie spróbowała. Odsuwa na bok talerz. Zostawia go i podnosi się, by pójść po dokładkę. Talerze są jak ręczniki. Zawsze można wziąć czysty. Ktoś inny zajmie się brudnym.

Tata opowiada o Irmie, asystentce, która zajmuje się mamą, gdy on jest w pracy. Irma siedzi zawsze przy stole w kuchni, pali papierosy i czyta tygodniki. Zamiast pracować, opowiada o swoim psie albo kłopotach miłosnych. Tak naprawdę historie z nią związane irytują ojca. Ponieważ teraz ojciec jest w dobrym nastroju, historie te zamieniają się w wesołe anegdoty, a mama z ciotką Lindą zanoszą się śmiechem.

Właśnie teraz tata jest najfajniejszy. Perfekcyjnie naśladuje asystentkę i opowiada o niej tak dobrze, że niemal można ją przed sobą zobaczyć. Jednak przez cały czas dolewa sobie wina z nalewaka. Zdaje się nie zauważać, że mama i Linda ledwo tknęły swoje kieliszki.

Dlaczego wciąż pije? Przecież wie, jak to się skończy.

I dlaczego mama i Linda nigdy mu się nie sprzeciwią? Najpierw zachęcają go śmiechem, a potem, kiedy jest za późno, rzucają uszczypliwe uwagi i patrzą po sobie.

– Przypomniała mi się nasza sąsiadka z dzieciństwa – mówi Linda. – Nazywała się Jonsson albo Johansson.

– Kto? – pyta tata.

– Na pewno ją pamiętasz, jej syn chodził ze mną do klasy. Zawsze nosiła te same ubrania. Chyba grała w unihokeja.

– Nie myślisz chyba, że pamiętam wszystkich, z którymi chodziłaś do klasy, ledwo pamiętam swoich kolegów.

– No tak, wiem. Próbuję ci tylko przypomnieć tę starszą panią. Zresztą czy ja wiem, czy starszą, była wtedy w tym samym wieku co my teraz.

Próbuje się zaśmiać, tata patrzy na nią zniecierpliwiony. Albinowi jej szkoda.

– Pies tej pani uszkodził sobie kiedyś tylną nogę i przez całe lato wozila go w wózku dziecięcym – wspomina Linda.

– Aha – mówi ojciec. – To akurat pamiętam. Gdybyś od tego zaczęła, przypomniabym sobie.

Linda wydaje się zrezygnowana.

– No i co z nią? – dopytuje się tata.

– Nic, tylko to. O to mi chodziło. Że wozila psa jak dziecko. Wasza asystentka też pewnie mogłaby zrobić coś takiego.

Tata pociąga duży łyk wina. Nie drgnie mu nawet jeden mięsień na twarzy.

– Rany boskie – włącza się do rozmowy mama. – Ludzie mają czasem fioła na punkcie swoich zwierząt. No ale wiadomo. Zwierzę staje się częścią rodziny.

Mama odchrząkuje i wkłada do ust kawałek ciasta czekoladowego. Albin również bierze kawałek, zanurza w śmietanie. Brzegi są idealnie kleiste.

– Nie może być! – Lo wymachuje telefonem. – Nie wierzę, że mają tu tak dobry zasięg!

Siedząca przy stoliku obok para odwraca się i patrzy na nią.

– Odłóż to, ale już – syczy Linda. – Pobądź z nami chociaż chwilę.

Lo patrzy na Lindę i jej oczy się zwięzają. Mimo to odkłada telefon.

– Raczej nie mam wyboru – stwierdza.

Linda wzdycha i odwraca się do mamy i taty.

– Czasem mam wrażenie, że telefon przyrósł jej do ręki. Kompletnie się uzależniła od mediów społecznościowych.

– Zabroniliśmy Albinowi korzystania z tego – oświadcza ojciec. – Musi poczekać, aż skończy piętnaście lat.

– Sama też nie jestem dużo lepsza, ale jednak – mówi Linda. – Im więcej mamy kanałów komunikacji, tym mniej się komunikujemy.

– Naprawdę doceniam twoje oryginalne poglądy, mam. Naprawdę.

Lo wywraca oczami i Albin ma wrażenie, jakby jej gałki oczne mogły się przekręcić wokół własnej osi.

– Przecież tak właśnie jest – stwierdza Linda. – Bez przerwy siedzisz i pikasz komórką.

– Pikam?

Lo wydaje z siebie bezdźwięczny chichot.

– Tak! Nic innego, zdaje się, już cię nie interesuje.

– Wybacz, że nie zapisuję tych wszystkich rewelacji, które opowiadasz.

– Lo, wystarczy! – Linda podnosi głos. – Mam dosyć twojego zachowania! Zabiorę ci komórkę, jeśli nie przestaniesz!

– Przecież ją odłożyłam.

Para przy stoliku obok obserwuje scenę, wyraźnie rozbawiona.

– Ciasto czekoladowe jest w każdym razie pyszne – mówi mama i patrzy na Albina, jakby prosiła o pomoc. – Pamiętasz te wakacje, kiedy razem z Lo bez przerwy je piekliście?

Albin przytakuje. Mieli wtedy zaledwie osiem lat. Jedli, aż całe usta wypełniały im się smakiem czekolady. Leżeli przy tym na kanapie i oglądali bez przerwy filmy na komputerze.

W tym czasie mama jeszcze chodziła. Miała długie włosy, które rozczesywała co wieczór przed pójściem spać. Włosy taty były bardziej blond niż siwe. I żyła jeszcze babcia, mama taty, choć Albin nigdy o tym nie myślał, bo nigdy jej nie spotkał. Dopiero gdy babcia zmarła, ojciec zaczął o niej mówić po pijaku.

– Byliście niemożliwi – wspomina Linda. – Potrafiliście zjeść całą blachę ciasta. I piliście tyle mleka!

– Naprawdę poleciłabym wszystkim picie mleka. Czaicie, że to jest płyn ustrojowy?

Lo patrzy prosto na Albina. On po raz pierwszy od dawna widzi w niej trochę dawnej Lo i parska śmiechem. Przeciąga widelcem przez bitą śmietanę i wkłada go do ust. Mlaszcze. Lo również parska śmiechem.

– Ze starej brudnej mućki – chichocze Lo.

– Pycha – wtóruje jej Albin.

Mama wydaje się zawiedziona.

Gdyby nie było tu dorosłych, Albin przypominałby Lo, że kiedy była mała, ssła pierś swojej mamy. Śmieje się głośno, po plecach przebiega mu dreszcz.

– Ej, albo jajka. – Lo wskazuje głową resztki na talerzu Lindy. – To w sumie jest okres, tyle że z odbytu.

– Przestań – syczy ojciec.

– No właśnie – wzdycha Linda.

Gdyby tylko Lo wiedziała, że mama trzyma przy łóżku wiadro do sikania. Staje nad nim, kiedy w nocy wie, że nie zdąży dojść do toalety.

Czasem Albin musi jej pomagać. Miska ustępowa, z której korzysta mama, podmywa jej pupę wodą, więc on nie musi robić niczego tam na dole, ale mama musi trzymać kogoś za ramię, kiedy robi te parę kroków, by wrócić na wózek.

Kilka stolików dalej śmieją się tamte dziewczyny z terminala i Lo łypie w ich stronę.

– Normalnie przepadam za paniami w średnim wieku z piórkami we włosach. Szkoda tylko, że ta tutaj wygląda jak najtłustsza pięciolatka na świecie.

Albin znów chichocze, dorośli udają, że nic nie słyszeli.

– Może o to jej chodziło – zastanawia się Lo. – Może to był cel jej życia. Jeśli tak, w ogóle mi jej nie żal. Bo jej się udało...

– Dosyć – przerywa ten wywód Linda. – Zaczekaj, aż dorośniesz. Zobaczysz, że nie tak łatwo jest być perfekcyjną we wszystkich sytuacjach.

– Przynajmniej ma przyjemny śmiech. – Lo uśmiecha się szyderczo. – Skończyłam. Możemy przejść się z Albinem po promie?

Ojciec otwiera usta, żeby zaprotestować.

– Proszę – wtrąca szybko Albin. – Nie widzieliśmy się z Lo od tak dawna.

– Nie wiem, czy podoba mi się ten pomysł – mówi ojciec w sposób, który oznacza, że jest dokładnie na odwrót.

– Nie mam nic przeciwko, jeśli i wy nie macie. – Linda rzuca spojrzenie w stronę Lo. – Może tak będzie lepiej dla wszystkich.

Ojciec patrzy z wyczekiwaniem na matkę. Niestety, został przegłosowany. Albin zmusza się, żeby nie podskakiwać ze zniecierpliwienia na krześle.

– Najpóźniej o jedenastej macie się zaszyć pod kołdrą – przykazuje Linda i Lo znów się śmieje. – Nie chcę, żebyście biegali sami wśród podpitych ludzi.

– Któreś z nas przyjdzie do was do kabiny, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku – oświadcza ojciec. – Punkt jedenasta.

– Obiecujemy – zapewnia Albin.

– Nie rozmawiajcie z nieznajomymi...

– Tato – próbuje przerwać Albin. – Wiemy.

– Jeśli będziecie nas potrzebować, a komórki nie będą działać, poproście kogoś z personelu o pomoc.

Lub pójďte do punktu informacji i poproście, żeby nas zawołali przez głośniki. I nie wieszajcie się na relingu, kiedy wyjdziecie, bo gdybyście wpadli do wody...

– Spokojnie, Mårten – śmieje się mama. – Nie wysyłamy dzieci na wojnę, tylko pozwalamy, żeby chwilę pobawiły się same.

– Na tych statkach naprawdę giną ludzie. – Ojciec nie daje za wygraną.

– Wiem – wzdycha Lo i patrzy na niego. – Matka mojej koleżanki pracowała na promie. Ale ci, którzy giną, są tak pijani, że nie wiedzą, co robią, albo skaczą, żeby odebrać sobie życie. A my raczej nie zamierzamy pić alkoholu i nie jesteśmy do końca tacy jak babcia...

Albin czuje raczej, niż widzi, że ojciec zastyga.

– Lo! – krzyczy Linda.

– Przepraszam. – Lo nie spuszcza wzroku. – Chciałam tylko powiedzieć, że nie ma takiego ryzyka. Będziemy na siebie uważać. Pomyślałam, że zajrzemy do wolnoctowego, żeby kupić trochę słodyczy, a potem wrócimy do kabiny i obejrzymy jakiś film. Prawda, Abbe?

Abbe przejęty kiwa głową.

– Nie martw się, Mårten – uspokaja Linda. – Może trudno w to uwierzyć, ale Lo potrafi być dojrzała, kiedy trzeba.

– Jedenasta – powtarza ojciec. – Najpóźniej.

Albin i Lo wstają od stolika.

– Ja też skończyłam – oznajmia Linda. – To co? Może my też się przejdziemy?

Matka zdejmuje serwetkę z kolan i kładzie ją na lepkiem talerzu. Ojciec wstaje, lekko się zatacza. Prosi osoby siedzące przy stoliku za nimi, żeby zrobiły miejsce dla wózka. Jasnowłosa dziewczynka patrzy z ciekawością na matkę.

– Jesteś dzidziusiem? – pyta.

– Uważasz, że tak wyglądam? – odpowiada mama ze śmiechem.

– Nie. Ale siedzisz w wózku.

Na twarzach rodziców dziewczynki maluje się konsternacja.

– Stella, nie przeszkadzaj państwu – ucisza ją ojciec.

Albin rozpoznaje głos, który słyszał w terminalu.

– Ona to bardzo dziwny dzidzius – tłumaczy Stella wyraźnie zdziwiona, że jej ojciec też tego nie widzi.

Matka znów się śmieje, całkiem szczerze.

– Są takie cudne w tym wieku. Pomyśl, gdyby mogły takie zostać na zawsze – mówi Linda.

– Czy to był przytyk do mnie? – pyta Lo, ale że Linda wydaje się zaskoczona, tylko chichocze.

– Stella, przestań. – Ojciec dziewczynki poczerwieniał na twarzy.

– Nic się nie stało – uspokaja matka, manewrując wózkiem. – To zrozumiałe, że jest ciekawa.

Uśmiecha się do Stelli i jej rodziców, żeby zapewnić ich, że wszystko jest w porządku. Jednocześnie próbuje zapanować nad drążkiem kierowniczym. Przez krótką chwilę Albin ma wrażenie, jakby pękło mu serce. Tak bardzo ją kocha. Czasem o tym zapomina, lecz w tej chwili ma ochotę się rozpłakać, bo

uczucie jest silne i zalewa go bez uprzedzenia.

– Chodź wreszcie – prosi Lo.

Calle i Vincent wstają od stolika w chwili, gdy do Poseidona wpada czereda mężczyzn w źle dopasowanych garniturach. Z daleka rozpoznają w nich uczestników konferencji z kartami firmowymi w kieszeni. Wśród nich jest jedna kobieta. Najbardziej pijany z mężczyzn zdjął krawat i smaga nim kobietę po pupie. Ona wyrywa mu krawat i wściekle syczy coś do niego po fińsku. On jednak tylko się śmieje. Pozostali również. Może to ich szef?

Vincent próbuje złapać Callego za rękę, ale Calle udaje, że tego nie widzi, i rozgląda się za Pią. Czy to nie ironia? Za chwilę oświadczy się Vincentowi, ale nie chce trzymać go za rękę. Nie chce nikogo prowokować. Dobrze wie, jak szybko na „Charismie” może dojść do awantury.

Wychodzą na długi korytarz, który ciągnie się przez cały prom. Na drugim końcu, przy rufie, jest Starlight. Filip pewnie urzęduje teraz za barem. Calle patrzy na niewielkie stoisko, na którym sprzedawane są zdjęcia zrobione pasażerom wchodzącym na prom. Nie sądził, że ono wciąż istnieje. Kto jeszcze kupuje zdjęcia w czasach, kiedy wszyscy mają aparaty w telefonach?

Panuje atmosfera wyczekiwania. Słychać głośne śmiechy i pijackie głosy. Wielu od dawna czekało na tę podróż. Najeść się, napić, zatańczyć na bałtyckiej ziemi niczyjej. Instykt podpowiada mu, że powinien unikać spojrzeń niektórych oczu.

Dla wielu kolegów z jego biura rejs promem byłby zapewne jednym z najbardziej egzotycznych doświadczeń w życiu. O ile by się w ogóle na niego zdecydowali. Zresztą czy nie to wykorzystywał w opowiadaniach o swojej pracy na „Charismie”? Niektóre historyjki opowiadał tak często, że stały się klasykami. Na przykład tę o kobiecie, która ukradła cały płat łososia z bufetu i schowała go sobie do torebki... O chłopaku z plemiennymi tatuażami, który wpadł w histerię, kiedy się dowiedział, że na pokładzie nie ma McDonalda. O spalonej słońcem starszej kobiecie, która w swojej kabynie robiła laskę grupie młodych chłopaków i którzy później wbiegali po kolei do Charisma Club w samej bieliźnie, pokazując kolegom znak zwycięstwa. O chłopaku, który próbował wspiąć się na komin. O dziewczynie ze słowem „mocniej” wytatuowanym na pupie. O kobiecie, która pływała przez cały rok co najmniej trzy razy w tygodniu i opowiadała wszystkim, że najchętniej zamieszkałaby na „Charismie” na stałe. I o ludziach uprawiających seks na korytarzach, na pokładzie zewnętrznym, na parkiecie, w kulkach w dziale dziecięcym, zapominając, że wszędzie są kamery.

Dystansował się, udając, że jego życie na promie było czymś w rodzaju studium antropologicznego.

– Tam jest. – Vincent pokazuje na schody.

Pia też ich zauważyła. Mówi coś do swojego kolegi, którego Calle prawie nie zna. To Jarno. Jest niski i dosyć przystojny, lecz mało wyrazisty. Wydaje się miły, choć nieśmiały. Calle wie o nim tylko tyle, że jest mężem pracującej na promie pielęgniarce Raili. Jarno macha do Callego i rusza w górę po schodach.

Pia zatrzymuje się i odbiera dwóm krótko ostrzyżonym kobietom turkusową aluminiową puszkę z ginem i tonikiem.

– Jeśli chcecie pić, idźcie do któregoś z barów.

– Ej no, weź! – protestuje głośno jedna z kobiet.

Bierze się pod boki i wbija wzrok w Pię. Ma na sobie bluzę z kapturem z brokatowym napisem „sexy bitch”.

- Niestety, takie są zasady – ucina Pia.
- No to je olej. Co ci szkodzi?
- Przykro mi, dziewczyno. Robię tylko, co do mnie należy.
- Naziści też tak mówili.

Głos kobiety podniósł się o całą oktawę. Przechodzący obok patrzą z zaciekawieniem.

- Głupia nazistowska pizda – mruczy jej koleżanka, na co Pia wybuchła śmiechem.
- Dzięki. Nigdy jeszcze nikt mnie tak nie nazwał. Przynajmniej na tym rejsie.
- Czy mogę dostać z powrotem swój drink, żebym mogła go wypić w kabinie?

Pia kręci ze spokojem głową.

- W zasadzie to kradzież – odpowiada kobieta z groźbą w głosie. – Powinnyśmy cię, kurwa, zgłosić.

Na pewno sama go wypijesz.

- Jeśli chcesz mnie zgłosić, kieruj się do punktu informacji przy sklepie wolnoctwowym. Z chęcią ci pomogą. Muszę iść. Tobie pewnie przyda się szklanka wody. Wiesz, wieczór dopiero się zaczął.
- Jebane państwo opiekuńcze – krzyczy kobieta i ciągnie za sobą koleżankę.
- Kolejny dzień w pracy, co? – rzuca Calle, gdy Pia do nich podchodzi.
- Założę się, że nie zatęskniłeś zbyt mocno za „Charismą”, kiedy to zobaczyłeś. – Puszczając do niego oko. –

To co, idziemy?

Kolejna fala zdenerwowania zalewa Callego. Za chwilę... Niewielkie pudełko w wewnętrznej kieszeni marynarki robi się nagle ciężkie jak ołów.

Ale przecież Vincent przyjmie oświadczyzny. Na pewno. Przecież kiedyś rozmawiali, że się pobiorą.

- Co za idiotki – wzdycha Vincent.
- Trzeba sobie przypominać, że większość jest naprawdę miła – mówi Pia i pierwsza kieruje się w stronę windy.
- A ci, którzy są naprawdę niemili? Co z nimi robisz?

– Zwykle da się z nimi porozmawiać, zaczekać, aż się uspokoją – wyjaśnia Pia i wciska guzik windy. – Jeśli są zbyt pijani, wsadzamy ich do specjalnych pomieszczeń, żeby wytrzeźwiali. A jeśli jest naprawdę źle, wysadzamy ich na ląd przy pierwszej okazji, żeby zajęła się nimi policja.

Rozlega się dzwonek windy i drzwi się otwierają. Ze środka wychodzi wysoka, potężna kobieta w koszuli w kratę. Uśmiecha się szeroko na widok munduru Pii.

- Coście nabroili, chłopcy? – pyta zachrypniętym od whisky głosem i uśmiecha się zalotnie do Vincenta.
 - Nie chcesz wiedzieć – odpowiada wesoło Pia i wchodzi do windy.
 - Mogę ci pomóc założyć im kajdanki – woła za nimi kobieta.
- Vincent się śmieje.
- Nigdy się nie boisz? – pyta.

– Czasem się boję. Ale na promie jest nas czworo i prawie nigdy nie chodzimy sami. Gdy tylko odstawię was na mostek, spotkam się ze swoim kolegą.

– Masz broń?

Winda wjeżdża na dziesiąte piętro. Calle czuje, że marynarkę pod pachami ma mokłą od potu. Patrzy na Vincenta i Pię, nie potrafi uwierzyć, że jego dwa światy się spotkały.

– Tylko pałkę – wyjaśnia Pia. – Nie chcemy mieć na pokładzie żadnych spluw, to by się mogło naprawdę źle skończyć.

Wychodzi z windy pierwsza. Spokój i cisza. Schody prowadzą tylko na dół. Przeszklona, wygaszona sala konferencyjna przypomina terrarium. Drzwi prowadzące na pokład spacerowy. Ściana pokryta sklejką. Pia przeciąga kartę przez czytnik i wbija kod. Po czterech cichych piknięciach popycha drzwi.

Callemu mocno bije serce. Ledwo dociera do niego, że to się dzieje naprawdę. Planował to od tak dawna i tyle razy to sobie wyobrażał, że ma wrażenie, jakby to było *déjà vu*. Idą. Kapitan Berggren czeka na nich.

– Czego właściwie ode mnie chcesz? – niecierpliwi się Åse. – Wiesz w ogóle, po co dzwonisz?

Przysłupuje się na tym, że mruży oczy, jakby dzięki temu mógł ją lepiej słyszeć. Åse jest w domu w Norrköping, choć równie dobrze mogłaby być po drugiej stronie kuli ziemskiej.

Opuszcza telefon i patrzy na ekran. Jedna kreska zasięgu.

– Chciałem tylko sprawdzić, jak się czujesz.

Drzwi windy otwierają się i Tomas wchodzi do środka. Wciska guzik. Patrzy na swoje odbicie w przyciemnionym szkłe, którym wyłożone są ściany windy, odbicie odbija się w odbiciu w nieskończoność. Jego rude włosy są potargane i wilgotne. Dlaczego Åse nie odpowiada?

– Brakuje mi ciebie, nie rozumiesz? – Nienawidzi samego siebie za to, że bełkocze. – Wszyscy o ciebie pytają. Wiesz, jak to jest: być na wieczorze kawalerskim Stefana i nie móc powiedzieć, że się rozwodzimy?

Piąte piętro. Drzwi windy się otwierają, Tomas wychodzi. Zatrzymuje się. Dociera do niego, że nie wie, gdzie jest jego kabina. Gdzie się podziały wszystkie tabliczki?

Åse śmieje się zachrypniętym głosem.

– Typowe! Udajesz, że chcesz zapytać, jak się czuję, a tak naprawdę dzwonisz tylko po to, żeby powiedzieć, jak ty się czujesz.

Tomas ściska mocniej telefon. Ona ma taki zimny głos, cholernie zimny. Mogłaby zamrozić cały Bałtyk.

To był błąd, że zadzwonił. Fatalny błąd. Choć przecież o tym wiedział. I to zignorował.

– Przepraszam, że jest mi tak cholernie ciężko.

Po schodach schodzą dwie kobiety, na jego widok parszczą śmiechem.

– Przepraszam, że cokolwiek czuję – mówi i do Åse, i do tych kobiet.

Wchodzi w jeden z korytarzy. Chce tylko wziąć z kabiny paczkę papierosów. Gdyby mimo wszystko zaczekał z telefonem do niej, aż zapali, jego myśli byłyby dużo bardziej przejrzyste. Nie chciał jednak, żeby Åse słyszała, jak wydmuchuje powietrze. Wciąż przejmuje się tym, co ona myśli, choć przecież nie ma prawa mieć opinii na temat tego, co robi. Po prostu papierosy były tak tanie w wolnoślowym, a on ma, kurwa, najlepszy na świecie powód, żeby znów zacząć palić.

Gdyby wszystko było jak kiedyś, opowiedziałaby jej, że spili Stefana już w autobusie z Norrköping i że Peo i Lasse podrywają każdą tanią laskę, jaka im się nawinie. Chce usłyszeć śmiech Åse. Prawdziwy śmiech. Peo i Lasse spodziewają się, że będzie płacić tym wszystkim laskom za drinki. Wkurza go to. Chciałby móc powiedzieć o tym Åse. I chciałby, żeby ona przyznała mu rację. Chce, żeby wiedziała, że on nikogo nie podrywa. Że jej żadna nie dorówna.

– Powiedz coś. Proszę. Nawet nie wiesz, jak bardzo za tobą tęsknię.

– Owszem. Wiem.

– Nie tęsknisz za mną wcale?

Krzywi się, kiedy słyszy, jak patetycznie to zabrzmiało. Wyjmuje butelkę piwa z wewnętrznej kieszeni marynarki, pije. Rozgląda się. Gdzie on jest i gdzie jest, kurwa, kabina numer 5214?

5134... 5136... 5138... Nawet nie jest we właściwym korytarzu. Niby jak, kurwa, ma cokolwiek tu znaleźć, skoro wszystko wygląda tak samo, ta sama wykładzina na podłodze, te same cholerne drzwi z maleńkimi srebrnymi cyferkami.

Czuje się niczym szczur w labiryncie, do tego cholernie pijany. Nigdy stąd nie wyjdzie.

– Owszem, tęsknię za tobą. Choć teraz to bez znaczenia.

Zatrzymuje się w pół kroku. Ostrożnie wzbiera w nim nadzieja. Ona za nim tęskni. Jeśli uda mu się znaleźć odpowiednie słowa, może wszystko da się jeszcze uratować.

– Słuchaj. Skoro za sobą tęsknimy, to chyba coś znaczy...

– Nie – ucina Åse lodowato. – Nic nie znaczy. Za późno.

– Pierdol się. Kurwa, ale z ciebie zdzira.

Choć dobrze to powiedzieć głośno, od razu tego żałuje.

– To nie ja zdradziłam.

Znów wzbiera w nim złość. Pewnie musi być przyjemnie czuć nad kimś przewagę moralną, moc za każdym razem mu o tym przypominać.

– Może bym cię nie zdradził, gdybyś nie była taką zdzirą.

Poczucie winy jest tym razem znacznie większe i pojawia się jeszcze szybciej. Tomas zawraca. Czeka na odpowiedź, lecz jej nie dostaje. Patrzy znów na ekran komórki. Pojedyncza kreska pokazująca zasięg jest ciągle widoczna. Płyną kolejne sekundy. Połączenie trwa od trzech minut i dwudziestu siedmiu sekund. Wąski, krótki korytarz, który skręca w prawo. Tomas musiał go przed chwilą minąć, choć tego nie pamięta.

– Jesteś tam? Słyszysz mnie?

– ...nie ma jeszcze nawet dziewiętej – stwierdza Åse. – Ile... ile już wypiliśmy?

Mówi coś jeszcze, ale słowa się rwą. Tomas niczego nie słyszy. Doprowadza go to do szału.

– Pieprzyć to. Nie twoja sprawa. Zostawiłaś mnie.

– Chętnie bym to pieprzyła. Ale to się robi moja sprawa... dzwoniisz, choć... prosiłam, żebyś tego nie robił...

Przez chwilę wydaje mu się, że rozłączyła się w połowie zdania. Kiedy jednak patrzy na ekran, widzi, że zasięg zniknął. Przeklina głośno. Wypija duży łyk rozgrzanego w kieszeni piwa. Skręca w prawo w kolejny krótki korytarz, spogląda na drzwi mijanych kabin. 5139... 5137... Nagle numery przeskakują na 5327... 5329... Korytarz znów dzieli się na dwie części. Teraz jednak numery wreszcie zaczynają coś przypominać. Tomas skręca w lewo.

Korytarz wygląda dokładnie tak samo jak ten, od którego zaczął wędrówkę. Długi i wąski, z niskim sufitem. Przez chwilę Tomas ma wrażenie, że zmieniła się całkowicie perspektywa, a on patrzył w dół w głęboką czworokątną studnię, w którą za chwilę wpadnie. Przewracają się w nim wnętrzności. Opiera się o ścianę i czeka, aż miną zawroty głowy, a korytarz znów stanie się tylko korytarzem.

Patrzy na telefon, zasięg wrócił. Dzwoni na ostatnio wybrany numer. Nie słyszy sygnału, choć nagle

sekundy liczące czas połączenia znów zaczynają przesuwać się na ekranie.

– Halo. Słyszysz mnie?

Cisza. Głucha cisza w słuchawce, ale sekundy przesuwiają się dalej. Z jednej z kabin wychodzą dwie dziewczyny. Pewnie Syryjki. Są tak piękne, że Tomas nie może przestać na nie patrzeć. One nawet na niego nie spojrzały.

– Halo? Jesteś tam? Nie słyszę cię, ale... ale jeśli mnie słyszysz, to...

Spogląda za dziewczynami, dopóki nie znikną za rogiem.

Nagle z całą siłą dociera do niego, że jest singlem. Jest sam. Dobrze zna Åse. Kiedy coś postanowi, nie ma powrotu.

– Proszę – jęczy. – Proszę cię. Tak strasznie mi przykro z powodu tego, co się stało.

Znów jest przy schodach, którymi tu przyszedł. Patrzy na numery kabin. 5318... 5316... i wreszcie widzi drzwi kabiny, którą dzieli z Peo.

– Jestem tak cholernie samotny. Nie chcę być tak samotny i nie chcę tak się chujowo czuć.

Wyjmuje kartę z tylnej kieszeni džinsów. Zerka na komórkę. Koniec połączenia. Nie ma zasięgu. Chowa telefon do kieszeni. Wsuwa kartę do czytnika w chwili, gdy na końcu korytarza otwierają się inne drzwi.

– Halo – woła czyjś cienki głos.

Dziecko. Tomas rozgląda się po korytarzu. Nikogo nie widzi.

– Potrzebuję pomocy – odzywa się cienki głos. – Proszę, czy mógłby mi pan pomóc?

Głos jest melodyjny i krystalicznie czysty. Dziwnie staromodny, jak u jakiegoś szczeniaka z kreskówek Disneya, które oglądał w dzieciństwie, albo któregoś z dzieciaków w Saltkråkan.

Tomas wyjmuje kartę, słyszy piknięcie zamka. Waha się. Kładzie dłoń na klamce. Chciał tylko wziąć papierosy i wrócić do kumpli, zalać się w trupa, zapomnieć o wszystkim.

– Boję się – mówi dziecko.

Tomas puszcza klamkę i wzdycha, idzie w kierunku otwartych drzwi.

– Wow – woła Vincent, gdy wychodzą na mostek.

Calle nie może nie przyznać mu racji. Był tu zaledwie kilka razy i za każdym razem zapierało mu dech w piersiach.

Z apartamentu mają niemal taki sam widok, ale to nie to samo, co zobaczyć go z miejsca, z którego „Charisma” jest kontrolowana. Liczne ekrany świecą w półmroku. Elektroniczne mapy morskie. Zielone światło radaru. Tysiące przycisków i pokręteł.

Za wielkimi oknami świeci kredowobiały półksiężyc. Tworzy podłużną poświatę na powierzchni morza. Jest tak pięknie. Tak idealnie.

– Patrz, kto nas zaszczyił wizytą – odzywa się Pia.

Kapitan Berggren wstaje. Normalnie nie byłby o tej porze na mostku, ale Vincent tego nie wie.

– Cześć, Calle. Kopę lat.

Oczy Berggrena błyszczą z rozbawienia. Widać po nim, że na nich czekał. Starszy oficer patrzy na niego z ciekawością.

– Nawet więcej – mówi Calle i wyciąga rękę, przepraszając w duchu, że jest mokra od potu.

Berggren w mundurze wygląda na barczystego, uścisk dłoni ma dokładnie tak ciepły i pewny, jak się tego oczekuje od kapitana. On również się postarzał. Podbródek niemal zniknął, został po nim jedynie mały wałek między twarzą a szeroką szyją. Calle nie zna go zbyt dobrze. Najdłuższa rozmowa, jaką odbyli, miała prawdopodobnie miejsce, kiedy Calle po raz drugi wpadł na kontroli promili. Berggren jest lubiany i szanowany przez załogę, bo nie wahał się stawać po jej stronie w trakcie konfliktów z armatorem.

– Coś niesamowitego. – Podekscytowany Vincent wita się ze wszystkimi. – Dziękuję, że mogliśmy tu wejść.

Zadaje pytania, Berggren z chęcią na nie odpowiada. Calle słyszy każde słowo, ale nie słucha. Pewnie i tak niczego by nie zrozumiał. Jedyne, na czym potrafi się teraz skupić, to wyjmowanie pudełeczka, które zaplątało się w podszewkę kieszeni.

Pia uśmiecha się do niego, wyjmuje komórkę. Kiwa porozumiewawczo głową.

Calle wyjmuje pudełko. Kieszeń wywraca się na lewą stronę. Podszewka zwisa jak wywalony język, więc próbuje wepchnąć ją do środka.

– Tak się cieszę, że mnie tu przyprowadziłeś – mówi Vincent, stojąc plecami do niego.

– Cieszę się, że przyszedłeś tu ze mną. Cieszę się, że jesteś, Vincent. Wiesz o tym, prawda?

Już czas. Ścisną mocno pudełko i opada na kolana. Słyszy kliknięcie telefonu Pii. Vincent odwraca się.

Stoi w ostro oświetlonym korytarzu i zagląda w ciemność za uchylonymi drzwiami kabiny. Z wnętrza wydobywa się dziwny zapach. Pachnie mentolem i bzem i czymś jeszcze, zatęchłym i zgniłym.

Grupa chłopaków przepycha się za nim korytarzem.

– Co się stało? – pyta niepewnie Tomas i przechodzi przez próg.

– Boję się – powtarza dziecko i pociąga nosem. – Jestem chory. Mama poszła po coś do jedzenia i długo nie wraca.

Głos naprawdę przypomina mu dawne kreskówki.

Gdy zamyka za sobą drzwi, ogarnia go ciemność. Zapach się nasila. Pewnie przez problem z wentylacją. Drzwi do toalety są lekko uchylone. Zapach nie wydobywa się jednak stamtąd.

Przy łóżku świeci się tylko jedna lampka, skierowana na ścianę. Snop światła sięga od połowy ściany niemal pod sam sufit. Dziecko leży w głębi podwójnego łóżka, odwrócone plecami do Tomasa.

Na stoliku stojącym w nogach łóżka Tomas zauważa mały plecak. Roześmiany Kubuś Puchatek grzebie w słoiku z miodem. Pod stolikiem stoi czarna walizka na kółkach. Obok niej para kozaków na wysokim obcasie.

Byłoby lepiej, gdyby lampka w ogóle się nie świeciła. Skierowany w górę snop światła sprawia, że cienie ciążą ku dołowi. Daje to przygnębiający efekt. Tak jakby panująca tu grawitacja była tak silna, że nawet cienie nabrały ciężaru. Tomas czuje rosnący niepokój. Kurczy mu się moszna.

– Mogę zapalić górne światło? – pyta i sięga ręką do włącznika.

– Nie. Jestem chory, od światła bolą mnie oczy.

Tomas opuszcza rękę. Niechętnie robi krok w głąb pokoju. Kątem oka dostrzega jakiś ruch i aż podskakuje w miejscu. Dociera do niego, że to jego własne odbicie w lustrze. Czuje się śmiesznie, mimo to strach dalej pulsuje w jego ciele niczym wstrząs wtórny. Dziwny zapach nasila się, gdy podchodzi bliżej do łóżka.

– Jak ci na imię? – pyta i słyszy, że lekko bełkocze.

Dziecko nie odpowiada. To chyba chłopiec. Twarz przysłaniają mu platynowe proste włosy. Dopiero teraz Tomas zauważa, że dziecko nie ma na sobie nawet tiszertu. Spod kołdry wystają drobne, kościste ramiona. Co za matka zostawia tak dziecko? Do tego chore? Nie nauczyła go, że nie wolno wpuszczać obcych do środka? Tomas wzdryga się na myśl o tym, co mogłoby się wydarzyć.

Siada na brzegu łóżka, tuż przy dziecku.

– Poproszę, żeby zawołali twoją mamę przez głośniki. Chcesz? – pyta i koncentruje się na tym, żeby zapanować nad językiem.

– Nie. Będzie się złościć. Nie mógłbyś zaczekać ze mną, aż wróci?

Tomas spogląda na kozaki na wysokim obcasie. Nie ma najmniejszej ochoty spotkać kobiety, do której należą. To może być jakaś wariatka. Będzie go wypytywać, co on tu, do cholery, robi, dlaczego siedzi na łóżku przy jej synu.

Ale ma zostawić chłopca samego i tak przestraszonego?

Zapach aż kręci go w nosie.

– Jak ci na imię? – powtarza.

– Nie powiem ci, jeśli zamierzasz zawołać przez głośniki. Mama będzie się złościć. Zawsze się złości.

Tomas kładzie dłoń na ramieniu chłopca.

Skóra jest zimna, jakby zrobiona z gumy. Tomas zastanawia się, czy choroba chłopca jest zaraźliwa.

Powstrzymuje się, żeby nie cofnąć ręki.

– Mimo wszystko myślę, że tak byłoby najlepiej. Mama na pewno nie będzie się złościć. Mogę tu z tobą zaczekać, aż...

– Nie idź – prosi chłopiec.

Pod dłonią Tomasa skóra na jego ramieniu zrobiła się nierówna, tak jakby pod spodem luźno wisały mięśnie.

Tomas czuje dreszcz przebiegający po głowie. Widzi telefon wewnętrzny. Mógłby z niego zadzwonić do punktu informacji. Ale chce stąd wyjść.

– Zaraz wracam. Nie otwieraj drzwi, jeśli to nie będę ja albo twoja mama.

Podnosi się z ulgą, że już nie musi dotykać skóry chłopca. Chce szybko umyć ręce.

Widzi w lustrze, że chłopiec siada. Lampka rozświetla od tyłu jego włosy. Żarzą się wokół jego głowy jak aureola.

Coś jest z tym dzieckiem nie tak, coś jest z nim bardzo nie tak.

– Zaczekaj tutaj – rzuca Tomas.

Kiedy dochodzi do drzwi, czuje, że drobna rączka ciągnie go za marynarkę.

– Zostań – prosi chłopiec. – Potrzebuję cię.

– Zaraz wrócę – obiecuje Tomas i nagle dociera do niego, że kłamie.

Nie ma zamiaru wracać.

Chłopiec puszcza marynarkę. Zapada głucha cisza.

Tomas czuje mrowienie w kości ogonowej, jakby gwałtownie skurczyła mu się skóra. Wyciąga dłoń w stronę klamki.

Nagle ramiona oplatają się wokół jego szyi. Rzepki kolan wciskają się między jego łopatki. Chłopiec wskoczył mu na plecy, uczył się go jak małpka.

Drobne rączki uciskają krtań. Tomasowi brakuje powietrza. Szarpie się, próbuje uwolnić z mocnego uścisku. Wciska opuszki palców w ciało chłopca, wyczuwa drobne kości.

Chłopiec oplata chude nogi wokół jego pasa.

– Puść mnie – syczy Tomas resztką powietrza, jaka została mu w płucach.

Ciemnieje mu przed oczami. Słyszy szczęknięcie tuż przy uchu. Pochyliła się, próbuje zrzucić chłopca, oderwać od siebie przekłute drobne ramiona. Nie udaje mu się. Chłopiec musi być szalony i pewnie z tego szaleństwa czerpie siłę. Tomas czuje się tak, jakby jego głowa miała eksplodować. Gardło boli, boli, boli... Co to za cholerne szczęknięcie? Jak jakieś wielkie nożyce, pieprzony sekator...

Tomas z całej siły uderza plecami o ścianę. Uścisk chłopca słabnie, kiedy jego ciało zostaje ściśnięte między ścianą a plecami Tomasa. Tomas odrywa od siebie drobne ramiona, odpycha chude nogi. Pozbywa się napastnika.

Boli go jabłko Adama. Wciąga łapczywie powietrze, co powoduje nieprawdopodobny ból. Zmusza się, żeby znów to zrobić. Czarna chmura zasłaniająca pole widzenia zaczyna się rozrzedzać.

Rozlegają się szybkie kroczki i chłopiec staje między nim a drzwiami kabiny. Zagradza drogę swoim ciałem, które jest tak blade, że wygląda, jakby świeciło wewnętrznym światłem w ciemnościach.

Tomas sięga do włącznika i kabinę zalewa światło. Chłopiec zakrywa oczy dłonią, krzyczy.

Z ust Tomasa wydobywa się niekontrolowany jęk.

Chłopiec ma najwyżej pięć lat. Mimo to piersi zwisają mu jak u starca. Skóra wisi na nim luźno, jakby była o kilka rozmiarów za duża. Do tego ta twarz. Kościste policzki. Szara skóra. Ciało, które zapada się nienaturalnie, kiedy wzdryga się, oślepiiony światłem.

Czy on ma tę chorobę, od której dzieci prędzej się starzeją? Jak ona się nazywa? Czy atakuje mózg? – pytania kłębią mu się w głowie.

– Nie wychodź – mówi chłopiec i opuszcza dłoń.

Nieproporcjonalnie duże oczy mrugają oślepione światłem. Chłopiec?

Stworzenie wydaje się tak małe, tak mizerne i kruche, a mimo to budzi lęk.

Tomas spogląda na drzwi do toalety po swojej prawej stronie. Próbuje myśleć racjonalnie, zastanowić się, co powinien zrobić. Z toalety nie ma drogi ucieczki. Zawsze jednak może się w niej zamknąć. Zasięg w komórce powinien przecież prędzej czy później się pojawić. Będzie mógł walić w ścianę. Może usłyszy go ktoś, kto będzie przechodzić obok kabiny? Może w końcu wróci matka chłopca?

„Co tak naprawdę się z nią stało?”

Nagle przechodzi mu przez myśl, że kobieta, do której należą kozaki, jest w środku. Czekala tylko, aż chłopiec odegra swoją rolę w jej chorej grze.

Tomas wyciąga rękę i popycha drzwi do toalety. Taki sam plastikowy chodniczek w kolorze morelowym jak w jego kabinie, taka sama biała zasłonka prysznicowa. Jest do połowy zasunięta, ale Tomas widzi, że nikt za nią nie stoi.

Rzuca się do łazienki. Chłopiec jest jednak szybszy. Owija drobne dłonie wokół kołnierzyka koszuli Tomasa, nogami oplata go w pasie, tym razem od przodu. Przytyka do jego twarzy swoją straszliwą twarz. Z małych ust wydobywa się kwaśny, zatęchły zapach. Tomas cofa się w głąb pokoju, potyka się. Upada plecami na podłogę. Głowa o milimetry minęła kant łóżka. Chłopiec siada okrakiem na jego brzuchu. Przyciska jego ramiona do podłogi. Pochyla się.

Butelka z piwem bulgocze w wewnętrznej kieszeni Tomasa. Pod ramieniem robi się mokro i chłodno. On ledwo to zauważa. Synapsy w jego mózgu iskrzą, przesyłając informacje o tym, co widzi. Każdy nawet najmniejszy szczegół jest krystalicznie wyraźny. Tomas ma wrażenie, że czas się zatrzymał.

Oczy chłopca błyszczą jak błękitne płomienie, okalająca je cienka skóra jest luźna i pozbawiona życia. Chłopiec otwiera usta i zasysa łuskowate, popękane wargi. Odsłania w dziwnym grymasie pożółkłe zęby i poszarzałe, pokryte ciemnymi plamkami dziąsła.

„Co z nim jest nie tak? Co może tak bardzo zmienić dziecko? Czy to wścieklizna? Nie, to głupie,

prawda?”

Język chłopca wysuwa się spomiędzy zębów jak szary, tłusty ślimak i zbliża do ust Tomasa.

„To się nie dzieje naprawdę, to się nie dzieje naprawdę, to się nie dzieje...”

Tomas próbuje się przekręcić, wygiąć ciało w łuk, żeby go z siebie zrzucić.

„Nie powinien być aż tak silny, to przecież niemożliwe”.

Suche łuski na wargach chłopca dotykają szyi Tomasa. Łaskoczą nadwrażliwe końcówki nerwów.

Tomas czuje dotyk zębów, drobnych i ostrych. Kręci oszalałą głową, próbuje się uwolnić.

Zęby przebijają się przez skórę. Od bólu znów ciemnieje mu przed oczami. I ten dźwięk, ten dźwięk.

Czuje, że chłopiec przesuwa językiem po brzegach rany. Liże ostrożnie, jakby się drażnił z Tomaszem.

Język robi się śliski i mokry od krwi.

Patrzy na siebie z ekranu telefonu, próbuje wyciągnąć ramię jak najdalej, dbając przy tym o to, żeby utrzymać głowę pod odpowiednim kątem. Na pokładzie rufowym wieje wiatr i targa jej fryzurę. Roześmiane unoszą z Zandrą kieliszki i wznoszą toast ze wszystkimi, którzy zobaczą ich zdjęcie. Z tyłu widać spienione grzbiety fal podobne do białego wachlarza na czarnym tle. Madde dotyka kciukiem symbolu aparatu na ekranie, przybiera nową pozę przed każdym kliknięciem.

Nieco dalej za nimi stoi grupa mężczyzn. Jeden z nich ma na sobie ślubny welon, od razu widać, że świętują wieczór kawalerski. Madde czuje ich wzrok na sobie i Zandrze, skupia się jeszcze bardziej na robieniu zdjęcia. Chce, żeby mieli na co popatrzeć.

Zandra zapala każdej z nich papierosa, Madde przegląda zdjęcia. Kasuje szybko wszystkie te, na których się sobie nie podoba, zanim Zandra zdąży ją przekonać, żeby je udostępniła, bo sama dobrze na nich wyszła. W końcu natrafia na zdjęcie, które przebija wszystkie pozostałe. Na jego temat nie trzeba dyskutować. Zandra śmieje się na nim z lekko rozchylonymi ustami, w jej oczach widać błysk, jakby zauważyła coś naprawdę seksownego, a końcówka jej boa unosi się na wietrze. Natomiast Madde odchyliła głowę, przymknęła oczy, usta złożyła jak do pocałunku.

Teraz Madde wybiera filtr, który zmiękcza kontury i nadaje zdjęciu złotawą tonację. Zwiększa kontrast, żeby ich oczy i kości policzkowe zrobiły się bardziej wyraziste. Zandra podaje jej papierosa i na widok zdjęcia kiwa zadowolona głową.

– Nic dziwnego, że ci kolesie nie mogą przestać się na nas gapić – chichocze.

Madde zaciąga się kilka razy papierosem, przez chwilę kołysze się do muzyki, która dudni w Charisma Club, i jednocześnie próbuje zamieścić zdjęcie na profilu. Nie ma zasięgu. Na pokładzie powinno być wi-fi, ale nigdy nie działa, tak jak trzeba.

Chowa telefon do torebki, wypija duży łyk wódki z red bullem. Opiera się plecami o reling i spokojnie pali. Udaje, że nie widzi spojrzeń uczestników wieczoru kawalerskiego. Porusza niby mimochodem ustami do słów piosenki. „Czy chcesz się ze mną kochać, powiedz prawdę, czy chcesz się ze mną kochać?”^[3]

Zandra się uśmiecha. Dokładnie wie, co robi Madde.

Tak naprawdę ma gdzieś tych chłopaków. To tylko ćwiczenie. Zrobi wszystko, żeby dziś wieczorem zauważył ją Dan Appelgren.

Siedzi na nieposłanym łóżku w kabinie, patrzy na cztery kreski starannie uformowane na lusterku, które położył sobie na kolanach. Ten rytuał daje mu poczucie bezpieczeństwa. Pochyla głowę, wkłada przyciętą słomkę do jednej dziurki, spotyka swój wzrok w lusterku. Wciąga jedną kreskę. Zmienia dziurkę. Wciąga drugą kreskę. Pociera nos. Czuje chemiczny smak głęboko w gardle. Odchrząkuje. Przełyka. Powtarza całą procedurę. Następnie przeciąga palcem wskazującym po resztkach białego proszku i wciera je w dziąsła. Grzebie mokrym od śliny palcem w plastikowej torebeczce, żeby wydobyć z rogów ostatnie okruszki.

Dziąsła od razu mu drętwieją. Niezły towar. Chowa kolejną torebkę do kieszeni razem z kilkoma tabletkami alprazolamu, odwiesza lusterko na ścianę. Przygląda się sobie uważnie. Odchyła głowę, żeby sprawdzić, czy na nozdrzach nie zostały śnieżne grudki.

Obraca głowę. Włosy są świeżo ufarbowane, na skroniach ani śladu siwizny. Dan naciąga koszulę. Uderza się mocno w brzuch otwartą dłonią. Nic nie zadrżało. Niejeden dwudziestolatek może tylko marzyć o takim wyglądzie.

Podeszwy jego lakierowanych butów stukają głośno o podłogę, gdy zaczyna lekko podskakiwać w miejscu. Kilka razy markuje bokerskie ciosy wymierzone w swoje odbicie.

Zakłada srebrne obrączki. Teraz jest gotów.

Zrzuca wreszcie z siebie chłopca i szybko siada. Podnoszą się w tej samej chwili.

Pulsuje mu gardło. Dźwięk zębów przebijających się przez skórę rozchodzi się echem w jego głowie.

Patrzy na przerażającą twarz chłopca. Na zabrudzony krwią podbródek. Luźną skórę na ciele. Niemal wklęsłą klatkę piersiową.

Każda komórka w ciele Tomasa krzyczy, że trzeba uciekać, ale chłopiec znów zagradza mu drogę.

Tomas wyjmując butelkę z piwem, kątem oka widzi, że jego odbicie w lustrze podąża za tym ruchem. Trzyma kurczowo szyjkę butelki, boi się, że wyslizgnie mu się z mokrych od potu dłoni. Uderza butelką o kant biurka. Nic się nie dzieje. Uderza kolejny raz, mocniej, i szkło się rozbija.

Ostre krawędzie połyskują.

Kawałek szkła spada na wykładzinę. Tomas wymachuje przed sobą szyjką butelki. Podchodzi do chłopca. Musi się stąd wydostać. Nic innego się nie liczy.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy.

Serce bije mu coraz szybciej, ból w ranie na szyi pulsuje w tym samym rytmie. Chłopiec nie odpowiada. Tomas nie słyszy nawet jego oddechu.

Myśli przelatują mu przez głowę. Peo i reszta są teraz w Charisma Club. Nie mają pojęcia, gdzie on jest. Pewnie myślą, że gdzieś zaległ. Albo spotkał jakąś panienkę. Dopiero jutro zaczną się na serio zastanawiać.

Tomas robi jeszcze krok, od chłopca dzieli go niecały metr.

– Proszę. Nie powiem o niczym twojej mamie, nie powiem nikomu, tylko pozwól mi wyjść.

Usta chłopca otwierają się i zamykają. Rozlega się szcęknięcie.

– Jeśli jednak nie będziesz ostrożny, mogę...

Chłopiec rzuca się na niego z wyciągniętymi do przodu ramionami. Zęby kłapią złowieszczo. Tomas wymachuje przed sobą rozbitą butelką. Patrzy z przerażeniem, jak ostre krawędzie zanurzają się w skórze chłopca tuż pod obojczykiem. Wbijają się głębiej w ciało. Idzie tak łatwo. Za łatwo. Za miękko.

Cofa rękę, puszcza szyjkę butelki.

– Przepraszam – jęczy. – Przepraszam, nie chciałem...

Chłopiec patrzy na niego niemal z wyrzutem. Zaskoczony dotyka nierównych brzegów rany. Tomas widzi, że nacięcia są głębokie, mimo to nie wypływa z nich krew. Pod spodem jest tylko szare ciało. Ma niezdrowy połysk. Przypomina mielone mięso, które leżało zbyt długo w lodówce. Zapach się nasilił, wypełnia teraz całą kabinę. Pachnie amoniakiem i słodkimi, zgniłymi owocami.

To niemożliwe, to niemożliwe, to mi się śni, muszę się obudzić.

Chłopiec wdrapuje się z powrotem na Tomasa, przywiera do niego jak jakaś karykatura wystraszonego dziecka, które szuka pocieszenia u dorosłego. Zęby wbijają się w szyję Tomasa. Chłopiec przyciska usta do rany, ssie, jakby krew nie płynęła dostatecznie szybko.

Tomas potyka się i siada ciężko na podłodze między łóżkiem a biurkiem. Próbuje odepchnąć od siebie chłopca, ale silny szok całkiem pozbawił go sił.

Skóra na plecach chłopca traci szary kolor, staje się zdrowa i różowieje, kiedy wypełnia go krew. Tomas patrzy, niczego nie rozumiejąc. Zęby znów wbijają mu się w szyję. Chłopiec kładzie go na plecy. Odlamek szkła leżący na podłodze przecina marynarkę i koszulę Tomasa. Z rany na klatce piersiowej chłopca zaczyna płynąć krew. Krew Tomasa kapie z powrotem na niego jak w jakimś odwróconym krwiobiegu.

Przed oczami Tomasa rozkwitają czarne obłoki. Powoli zachodzą na siebie.

Wie, że jeśli teraz zemdleje, to nie przeżyje. I jakaś jego część chce się na to zgodzić. Kusi go, żeby dać się pochłonąć przez ciemność, która tańczy mu przed oczami. Pozwolić sobie spaść w nieznanne. Zapomnieć o bólu. Byłoby to równie łatwe jak zaśnięcie w domu na kanapie przed telewizorem.

Ale on nie chce umrzeć.

Chłopiec ssie teraz wolniej. Przypomina karmione mlekiem dziecko, które zaczyna czuć nasycenie.

To nie może tak być.

To nie może się tak skończyć.

Musi spróbować.

Tomas podnosi prawą rękę. Bierze kilka szybkich oddechów. Prawą dłonią wymierza cios w bok głowy chłopca, a ta uderza o kant stolika.

Chłopiec syczy jak zwierzę. Ma krew...

...moją krew...

na zębach. Czerwone krople błyszczą na jego wargach i brodzie, wyciekają powoli z rany pod obojczykiem. Ciało jest tam teraz zdrowe i zaróżowione. Twarz wygląda jak twarz zwykłego chłopca.

Zęby kłapią w powietrzu i Tomas znów uderza.

Oczy chłopca wywracają się w głąb czaszki. Jego kruche ciało wiotczeje.

Krzyk Tomasa odbija się echem o ściany kabiny i wraca do niego.

Leżące na nim ciało jest tak małe. Tak lekkie.

Tomas próbuje podnieść się z podłogi. Zbiera mu się na wymioty. Nie wie, co jest, a czego nie ma. Niczego nie wie. Kabina się kołysze, jakby prom nagle znalazł się na wzburzonym morzu, i może właśnie tak jest. Wiruje coraz szybciej i szybciej. Zasysa go ciemność.

Idzie w stronę kas. Towarzyszy mu dzwoniące szkło stojącego na półkach. Białe światło zalewa wnętrze sklepu wolnocłowego. Połyskuje i skrzy się na butelkach z perfumami i alkoholem, lśni złotem na pudełkach Marlboro i ogromnych makietach opakowań Toblerone. Albin włożył do koszyka pudełko lukrecji z pingwinkiem i dużego plastikowego ludka pełnego drażetek M&M's. Dostał dwieście koron od mamy i taty do wydania na promie, ale przez taki wybór trudno mu się zdecydować.

Gdy staje w kolejce, z działu perfum spogląda na niego kobieta z prostymi, ufarbowanymi na kolor brzoskwini włosami i czerwonymi ustami. Oblatuje go strach, zastanawia się, czy zorientowała się, że przyszedł tu razem z Lo, i czy zauważyła, że Lo była tu wcześniej i coś ukradła.

Nic się jednak nie dzieje. Gdy wychodzi ze sklepu, widzi, że Lo czeka na niego i zniecierpliwiona żuje gumę.

– Szybko ci poszło – prychna i rusza, zanim zdążył do niej podejść.

Idzie za nią. Patrzy na punkt informacji. Stojący za ladą mężczyzna wygląda, jakby umierał z nudów. Idą schodami, trafiają znów przed Charisma Buffet. Kierują się na tył promu, mijają restaurację, kawiarnię, jakieś miejsce o nazwie McCharisma, gdzie grupa podstarzałych mężczyzn w kurtkach przeciwdeszczowych siedzi i pije piwo. Mijają wielkie automaty do gry. Jakieś dzieci wciskają kolorowe guziki, bo nie wiedzą, jak trzeba grać. Za oknami jest całkowicie ciemno. Albin widzi tylko swoje i Lo odbicie w szybach.

– Abbe! – woła Lo.

Kieruje się w stronę niewielkiego stoiska z połyskującymi zdjęciami przyklejonymi do tablicy obitej czarnym materiałem. Albin podchodzi i rozpoznaje stojącą tam dziewczynę: zrobiła im zdjęcie, gdy wchodzili na pokład.

– To są tylko przykładowe zdjęcia – odzywa się dziewczyna z wyraźnym varmlandzkim akcentem, patrząc na Albina. – Tutaj możecie zobaczyć dzisiejsze zdjęcia. Czterdzieści dziewięć koron za kopię papierową, do odebrania za godzinę.

Podaje im iPada. Lo wrywa go jej z ręki i przegląda szybko zdjęcia, żując przy tym intensywnie gumę. Czasem się zatrzymuje, coś komentuje.

– Gęste włosy zawsze ładnie wyglądają. Normalnie kocham dzinsy, które sięgają aż po pachy. Ej, to jest mój ulubiony kolor ubrań. No nie może być, jego rodzice wyglądają jak rodzeństwo...

Albinowi kręci się w głowie od patrzenia na te wszystkie nieznanome twarze przewijające się na ekranie. Szuka czegoś, co również mógłby skomentować, ale Lo zawsze jest pierwsza.

– Zobacz, tu jesteśmy – mówi.

Zdjęcie pojawia się tak nagle, że w pierwszej chwili Albin ma wrażenie, jakby patrzył na kolejną grupę obcych ludzi. Wszyscy mają takie jasne włosy. Wszyscy, tylko nie on.

Pamięta ten moment. Chwilę wcześniej zauważył obiektyw i próbował się uśmiechnąć, teraz widzi, że uśmiech nie zdążył się rozwinąć i przypomina dziwny grymas. Albin widzi, że ma brudne białe trampki,

a jego dzinsy wypchały się na kolanach. Zastanawia się, co Lo powiedziałyby o nim, gdyby się nie znali.

– No nie może być, wyglądam jak jakiś upośledzony somnambulik – jęczy Lo.

Na zdjęciu przymyka oczy, mimo to wygląda ładnie. Linda położyła rękę na jej ramieniu i uśmiecha się profesjonalnie. Twarz taty trochę się świeci, ale on również uśmiecha się do obiektywu. Wyglądają, jakby byli z Lindą małżeństwem. Mama siedzi na wózku, zawstydzona podnosi wzrok na obiektyw. Albin wie, że mama nie znosi zdjęć. Robi się sztywna i dziwnie się zachowuje, kiedy tylko ktoś unosi telefon. Zawsze prosi, żeby jej nie było na zdjęciu, albo odwraca głowę dokładnie w chwili, gdy spuszcza się migawkę. Albinowi nigdy nie udało się zrobić jej ładnego zdjęcia. Chciałby, żeby na tym ładnie wyszła. Wówczas by je kupił i jej pokazał.

Patrzy znów na ojca. Próbuje sobie wytłumaczyć, że ten pewnie uśmiechający się mężczyzna i tamten dziś w nocy to ten sam tata.

„Może powinienem zrobić jak mama. Pewnie wszyscy by się cieszyli”.

– Bardzo miła gromadka – mówi dziewczyna.

– Można by tak pomyśleć – odpowiada Lo i ciągnie za sobą Albina.

Mijają salę z pomalowanymi na ciemno ścianami i sztyldem „Casino”. Za stolikiem przykrytym zielonym filcem stoi jakaś młoda kobieta. Kilka zgarbionych osób siedzi na wysokich taboretach przed migającymi automatami, ciągnąc za gałki i wciskając guziki. Albin z Lo idą do końca korytarza. Słyszą dochodzącą stamtąd muzykę taneczną. Kitka Lo kołysze się jak wahadło z każdym kolejnym krokiem. Smaga jej łopatki. Albin chciałby jej dotknąć, poczuć, jak włosy przesuwają mu się między palcami.

Wchodzą do baru z rozległym parkietem. Nad barem widnieje ozdobny napis „Charisma Starlight”, sufit jest upstrzony białymi lampkami, które mają przedstawiać gwiazdozbiory. Na parkiecie migają kolorowe światła, tworząc wzory na podłodze i na draperii zaciągniętej na scenie. Starsza para trzyma się w objęciach i stawia drobne kroczyki na bok, w przód i w tył, zupełnie nie do taktu. Tak jakby tańczyli w swoim własnym świecie. Wydają się zakochani. Obok nich skacze na bosaka jakaś kobieta, od czasu do czasu klaszcząc w dłonie z szerokim, ekstatycznym uśmiechem na twarzy.

– Zawsze chciałam być tak wesoła i radosna – mówi Lo i patrzy na niego z powagą. – Trzeba umieć się bawić.

Wchodzą między stoliki oddzielające bar od parkietu. Lo sięga po czyjąś niedopitą butelkę piwa. Na ten widok jasnowłosej barman kręci głową. Nie wydaje się zły, nawet się uśmiecha, ale Albin chce już wyjść.

– Myślał, że światła drogowe to dobry wzorzec. Szkoda. – Lo pokazuje głową na łysego mężczyznę stojącego nieco dalej.

Mężczyzna ma czerwoną koszulę włożoną w zielone dzinsy. Brzuch wystaje mu ponad pasek, jakby nie podlegał prawom grawitacji. Rzeczywiście wygląda jak sygnalizator drogowy. Albin wybucha śmiechem.

„Chcę być twój, Margareto. Tylko twój, Margareto”.

Bosa kobieta krąży wokół pary starszków, stawiając kroki, które pasują do tekstu piosenki.

„Spójrz na gwiazdy, tam wysoko. Też to czujesz, Margareto?”^[4]

Przez chwilę stoją w miejscu i patrzą. Kilku wysportowanych mężczyzn w ciasnych tiszertach stoi przy

krótszym boku parkietu. Jeden z nich zerka na Lo i Albina, pijąc piwo z butelki. Albin zastanawia się, czy on i Lo wyglądają, jakby byli parą. Przysuwa się do niej trochę bliżej.

– To prawda, że znasz kogoś, kogo mama pracuje na promie?

– Mmm. Mój kumpel opowiadał mi niezłe pokręcone historie. Ci, którzy tu sprzątaj, mają najbardziej obrzydliwą robotę na świecie, zresztą wyobraź sobie. Ale za to za każde wymiociny, które muszą sprzątać, dostają pięć stów ekstra. A tutaj co chwilę ktoś rzyga, zwłaszcza w kabinach. Mogą się dorobić na wymiocinach.

Albin się rozgląda. Wszystko jest takie niesamowicie czyste. Balustrada z mosiądzu z przyciemnionymi szybami, które otaczają parkiet. Błyszczące stoły i bar. Spuszcza wzrok na ciemnoczerwoną wykładzinę. Nie widzi na niej żadnych plam. Może dlatego, że w środku jest ciemno?

– Najlepiej jest wtedy, kiedy mężczyźni wymiotują do pisuaru. Bo wystarczy, że osoba sprzątająca spuści wodę. Pięć stów o tak. – Lo pstryka palcami.

Albin próbuje wyobrazić sobie, jak by to było mieć pracę, w której codziennie trzeba sprzątać wymiociny obcych ludzi.

– Nie tylko to jest obrzydliwe. – Lo ścisza głos. – Mnóstwo dziewczyn zostaje zgwałconych w kabinach. Policja nie może nic z tym zrobić. Nie da się zebrać dowodów, bo w kabinach jest za dużo różnego DNA.

Patrzy z wyczekiwaniem na Albina, jakby doszła do puenty. Ale on kompletnie jej nie rozumiał.

– Nie rozumiesz? – dopytuje się Lo. – No wiesz, spermy. Wszędzie pełno starych plemników, na ścianach, podłodze i tak dalej, bo wszyscy wszędzie się bzykają. Obrzydliwe.

Lo jęczy i wymachuje rękami, jakby miała na nich coś kleistego. Oczy ciemnieją jej z obrzydzenia. Albin nie wie, co powiedzieć. Patrzy znów w stronę parkietu. Tamten chłopak wciąż gapi się na Lo, ale ona zdaje się tego nie widzieć albo to lekceważy. Kładzie kitkę na ramieniu, przeczesuje ją palcami.

– Twoi rodzice wciąż uprawiają seks? – pyta. – Twoja mama w ogóle może?

– Przestań.

Nie chce o tym myśleć. Kiedy przytula mamę, jej żebra wydają się tak cienkie, że tata mógłby z łatwością je połamać. Mógłby zrobić mamie krzywdę, nawet gdyby próbował być ostrożny.

– A ciotka Linda?

Tak naprawdę wcale nie chce tego wiedzieć, ale wszystko jest lepsze od rozmowy o mamie i tacie.

– Raz ją słyszałam – mówi Lo. – Z jej ostatnim facetem. Choć głównie słyszałam jego.

Wkłada palce do gardła i udaje, że wymiotuje. Tym razem Albin jest niemal pewien, że to tylko na niby.

– Podejrzewam, że jest strasznie nudna w łóżku. Przecież jest najnudniejszym człowiekiem pod słońcem. Założę się, że nie wie nawet, co to znaczy „robić loda”.

Lo wywraca oczami. Albin znów nie wie, co powiedzieć. Zwrot „robić loda” zawisł w powietrzu. Gdyby Lo wiedziała, jak często Albin ostatnio myśli o seksie. Gdyby wiedziała, co on czasem ogląda w internecie. I jak się potem czuje. Przestraszony, podniecony i pełen obrzydzenia jednocześnie.

Seks to wszechświat równoległy, w którym całkiem normalni ludzie nagle okazują się zupełnie inni.

Przypominają potwory z nocnych koszmarów. Z pozoru wyglądają zwyczajnie, jakby należeli do tego świata, dopóki nie zajrzy się za zasłonę. Czy Lo jest teraz jedną z nich? Czy już to z kimś robiła?

– Idziemy?

– Tak – zgadza się Lo. – Tylko masz między zębami coś, na co nie mogę dłużej patrzeć.

Albin zatrzymuje się i puszcza ją przodem. Dłubie palcem wskazującym między przednimi zębami. Udaje mu się wyjąć małą zieloną kropkę. Kiedy wkłada ją do ust, smakuje czymś ostrym i ziołowym.

Wyciera palec o dżinsy i biegnie za Lo.

Podskakuje w miejscu z zaciśniętą nad głową pięścią, nie czuje już nawet bólu stóp w butach na wysokim obcasie. Pot leje się jej po twarzy, spływa między piersiami, które w każdej chwili gotowe są wyskoczyć z dekoltu. Drobinki złota na skórze migoczą jak tysiące gwiazd w świetle stroboskopu w Charisma Club. Pięść wybija rytm. Wydaje się, jakby to ona rządziła muzyką. W drugiej ręce Madde trzyma kieliszek, wódka z red bullem przelewa się przez brzegi, skóra robi się od tej mieszanki słodka i lepka.

Nie ma jeszcze tłumów, ale ci, którzy już się pojawili, gapią się na nią i Zandrę. Madde to uwielbia. Ich spojrzenia naładowują w niej jakąś cholerną baterię. Dopóki na nią patrzą, nigdy się nie zmęczy. Da im coś, o czym będą mogli potem opowiadać. Zandra czuje to samo. Madde wie, widzi to w jej oczach. Zandra podchodzi do niej, boa zsuwa się jej z ramion, jakby robiła striptiz. Zarzuca boa na szyję Madde, przyciąga ją do siebie niczym upolowaną zwierzynę. Pióra są ciepłe i mokre. Madde chichocze, popija z kieliszka. Pętla z boa się zaciska. Madde zaczyna kręcić biodrami, schodzi do samego parteru, miniówka zjeżdża jej z ud, białe stringi wyglądają, jakby się świeciły.

Potem Zandra zatacza się i leci do tyłu, nie wypuszczając z rąk boa. Głowa Madde opada do przodu, omal nie przewraca się razem z Zandrą, kieliszek wypada jej z dłoni. Zandra puszcza wreszcie boa. Leży na podłodze, wierzga stopami, wymachuje ramionami na wszystkie strony. Jej śmiech przebija się wśród dźwięków muzyki. Madde wybucha śmiechem, aż w końcu dostaje czkawki. Śmiech wysysa jej całą energię z mięśni, więc trudno jej ustać, pochyla się i z trudem łapie powietrze, mając w uszach skrzeczący śmiech Zandry. Madde zauważa, że ślina kapie jej z ust, i śmieje się jeszcze głośniej.

Za barem w Starlight zawsze panuje półmrok, więc łatwo stracić poczucie czasu. Mimo to Filip nie musi patrzeć na zegarek, żeby wiedzieć, że za chwilę będzie wpół do dziewiątej. Goście, którzy przyszli po pierwszej wizycie w restauracji, dopijają teraz drugiego drinka. Filip i Marisol mieszają gin z tonikiem, nalewają piwo, wino i jägermeistera, otwierają butelki z cydrem, gotowymi drinkami i winem musującym w specjalnej cenie. Przyglądają się dwóm podstarzałym mężczyznom, którzy opierają się ciężko o bar i głośno sprzecząją.

– Nie mów mi, kurwa, że to się liczy jako urlop za granicą – odzywa się pierwszy. – W Finlandii będziemy tylko przez godzinę.

– No a Finlandia jest za granicą czy twoim zdaniem należy do Szwecji? – upiera się ten drugi w sposób, który każdego mógłby wyprowadzić z równowagi.

– Raczej nie należy.

Filip rozgląda się po lokalu, nalewając dwa piwa z kranu. Tańcząca bosko kobieta nie okazuje zmęczenia. Dołączyło do niej kilka par. Chuda kobieta stojąca w ciemnościach przy parkiecie z jakiegoś powodu niepokoi Filipa, choć widzi tylko zarys jej postaci na tle migoczących świateł. Stoi nieruchomo. Zbyt nieruchomo. Trochę jakby nie istniała naprawdę. Kiepski fotomontaż. Czasem światła przebiegają po jej twarzy i wtedy Filip widzi, że kobieta jest wychudzona, pomarszczona, stanowczo zbyt mocno umalowana.

– Gdybyśmy nie byli za granicą, jak mogliby sprzedawać bez cła? – mówi ten pierwszy i patrzy na drugiego z triumfem.

– Nie o to chodzi. Przecież nawet nie zejdziemy na ląd.

– No właśnie. W Szwecji też nie jesteśmy. Czyli że jesteśmy za granicą.

Filip rozgląda się dalej. Kanapy i fotele stojące między barem i parkietem powoli się zapełniają. Na jednej z kanap usiadła jakaś rodzina. Dwoje młodszych dzieci wdrapuje się na oparcie, skacze z fotela na fotel. Siedmioletnia dziewczynka w okularach z grubymi szklami przygląda się rodzicom pijącym w ciszy piwo. Niedługo pewnie się upiją. Ich picciu towarzyszy determinacja, z jaką dawniej nie spotykał się na „Charismie”. Nie wie, kiedy się to zaczęło, ale teraz to jest jak ruch po spirali, którego nie sposób zatrzymać. Pasażerowie, którzy szukają spokojniejszego, bardziej rodzinnego rejsu, po pierwszym wyszukiwaniu w sieci widzą, że powinni wybrać inny prom. Filip widział komentarze w sieci. Inne promy kuszą turystów rejsami tematycznymi, znanymi didżejami i znacznie większymi gwiazdami niż Dan Appelgren. „Charisma” to prom, który stanął w miejscu i przyciąga wyłącznie tanim alkoholem. Czasem smuci to Filipa. Nienawidzi patrzeć na rodziców z dziećmi, którzy ledwo trzymają się na nogach. Zbyt dobrze pamięta pobrzękiwanie butelek w torbie ze sklepu z alkoholem, które przynosili jego rodzice. Często myśli, że to ironia losu: on w pracy całymi dniami ma do czynienia właśnie z alkoholem.

Wydaje resztę za piwo i przyjmuje kolejne zamówienie. A potem kolejne. I kolejne. Działa jak maszyna. Po prostu. Kłóci się, sypie naokoło uśmiechami, mruga okiem, kiedy czuje, że może mu to przynieść dodatkowy napiwek. Nie myśli. W jego głowie panuje cisza.

Marisol próbowała go namówić, żeby zaczął medytować, ale trudno mu wyobrazić sobie coś bardziej stresującego niż siedzenie w bezruchu. Gdy jednak Marisol opowiada o medytacji, próbując go przekonać – cichnące myśli, poczucie, że jest się tylko tu i teraz – przypomina mu się to, czego doświadcza właśnie w tym stanie. Praca jest jego medytacją.

– Cztery razy cosmopolitan – dysponuje jakaś dziewczyna, a on kiwa do niej głową, zapamiętuje mocno umalowane brwi.

Zawsze jest jakiś szczegół, który pomaga zapamiętać, kto co zamawiał.

Wsypuje lód do kieliszka do martini, żeby go schłodzić. Wódka, cointreau, lód i sok z żurawiny do srebrnego shakera. Zauważa Jenny, która usiadła w części baru obsługiwanej przez Marisol. Ma czerwoną sukienkę wieczorową, przed nią stoi kieliszek wódki z wodą sodową – co wieczór ten sam drink. Czerwona szminka na brzegu kieliszka. Jenny ma jasne włosy ułożone w błyszczące loki i wygląda jak gwiazda z dawnych czasów. Za chwilę wychodzi na scenę. Przez ostatni rok słyszał ją, jak każdego wieczoru śpiewa niemal ten sam repertuar. Mimo to będzie mu brakować jej zachrypniętego, przepalonego głosu, który sprawia, że zaczyna wierzyć w te banalne teksty szlagierów. Pojutrze jest jej ostatni wieczór na pokładzie. Szczerze powiedziawszy, będzie mu brakować nie tylko głosu Jenny.

Filip stawia drinki przed dziewczyną z mocno umalowanymi brwiami, bierze od niej kartę kredytową i przeciąga przez terminal.

– Wszystko okej? – woła do Jenny, która podnosi wzrok i uśmiecha się do niego.

– Tak. Szkoda tylko, że znów nie ma gospodarza rejsu.

Próbuje się uśmiechnąć, żeby dodać jej otuchy. Dobrze wie, jak bardzo Jenny nienawidzi przejmowania obowiązków gospodarza i intonowania okolicznościowych piosenek dla tych osób z publiczności, które akurat mają urodziny. Nie odpowiada jej taka forma kontaktu z publicznością.

Dochodzi go czyjś krzyk. Mężczyźni przy barze zaczęli się bić. Marisol natychmiast zadzwoniła do punktu informacyjnego i powiedziała, że potrzebują ochroniarzy.

Filip wychodzi zza baru, staje między mężczyznami, rozdziela ich, kładąc każdemu rękę na klatce piersiowej. Na szczęście są tak pijani, że nie stawiają oporu. Wydają się skoncentrowani głównie na tym, żeby utrzymać się na nogach.

Pia i Jarno docierają na miejsce po mniej niż trzydziestu sekundach.

– No dobra, chłopaki – zaczyna interwencję Pia, a Filip cofa się, żeby zrobić jej miejsce. – Co z wami?

– Nazywam się Hans-Jorgen i chciałbym zgłosić tę szumowinę za pobicie – mówi jeden z mężczyzn zawziętym tonem, plując przy tym śliną, jakby zamiast ust miał zraszacz ogrodowy.

– No to ja też cię zgłoszę! – ryczy drugi. – Nie ja zacząłem, wszyscy mogą poświadczyć.

– Najlepiej będzie, jeśli obaj chwilę się u nas zdrzemniecie – decyduje Pia. – Porozmawiamy, kiedy trochę wytrzeźwiejecie.

Co dziwne, żaden z nich nie protestuje. Łypią tylko na siebie ze złością.

– Jak poszło Callemu? – pyta Filip, gdy Pia i Jarno zakładają mężczyznom kajdanki.

– Oświadczyły przyjęte – odpowiada Pia. – Przysięgam, że nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Normalnie pobił na twarzy.

Filip śmieje się.

– Liczę na to, że tu wpadną – mówi. – Chętnie zobaczę to чудо.

– Nie spodziewałabym się, że wyjdą dziś z apartamentu. Pomyślałam, że jutro moglibyśmy się razem przejść po pokładzie przed twoją zmianą.

– Jasne, przejdziemy się – obiecuje Filip.

Łapie zniecierpliwione spojrzenia z różnych części baru. Czas wracać na miejsce.

– Nie zauważyłaś niczego, na co powinnam zwrócić uwagę?

Niemal zapomniał o wychudzonej kobiecie, ale teraz spogląda automatycznie w jej stronę. Zniknęła.

Z jakiegoś powodu jeszcze bardziej go to niepokoi, więc kręci głową i próbuje pozbyć się tego uczucia.

– Tylko dwoje dzieciaków próbowało ukraść resztki piwa. Dziewczyna i chłopak. Chłopak dwanaście lat, chyba z Tajlandii albo gdzieś stamtąd. Dziewczyna miała jasne włosy, od dwunastu do siedemnastu lat.

– Okej – kończy rozmowę Pia. – Na razie.

Biorą z Jarnem pod ramię po jednym z mężczyzn i prowadzą ich do wyjścia.

Filip wraca za bar. Przebiega mu przez myśl, zresztą nie po raz pierwszy, że na „Charismie” mają szczęście, bo jest ktoś taki jak Pia. Ochrona na wielu innych promach podobno zajmuje się tylko tym, co absolutnie konieczne, i przymyka oczy na całą resztę. Pozwala, żeby ludzie leżeli nieprzytomni na korytarzach, odwraca wzrok, gdy pijani rodzice ciągną za sobą trzylatki na parkiet jeszcze długo po północy. Dzięki Pii wiele złego nie mogło się wydarzyć. Filip wie, że gdyby o wszystkim mógł decydować armator, sprzedawaliby jeszcze więcej alkoholu. Patrzyliby przez palce na klientów, którzy są zbyt pijani, żeby zamówić. Na promach nie obowiązują te same przepisy co na lądzie, a jeśli „Charisma” chce zapewnić sobie przyszłość, musi zacząć przynosić większe zyski. Pia nigdy by na to nie pozwoliła. Ma wpływ na pozostałych ochroniarzy. To sprawiło, że wszyscy pracownicy barów zaczęli się bardziej zastanawiać nad tym, co robią.

Filip przyjmuje kolejne zamówienie. Pięć piw. Mężczyzna z blond dreadami. Znaczek Partii Zielonych na kołnierzu kurtki dżinsowej.

– Koledze dobrze poszło? – woła Marisol.

Filip kiwa z uśmiechem głową, unosi kciuk w górę.

Następne zamówienie; dwa kieliszki czerwonego wina i orzeszki ziemne. Starsza para. Mężczyzna ma widoczne przebarwienia na skórze głowy. Potem dwa duże piwa. Dwóch chłopaków w koszulkach polo w paski.

Idą korytarzem w kierunku apartamentu na dziewiątym pokładzie. Calle czuje się lekko na całym ciele, jakby jego dusza ekspandowała, zajęła cały wszechświat. Rozpiera go radość, kiedy patrzy na Vincenta i widzi, jak bardzo jest oszołomiony.

– Nie zapomnij oddychać – żartuje.

– Chyba muszę się napić – odpowiada Vincent niskim głosem. – Może pójdziemy do baru, w którym pracuje twój znajomy?

– Najpierw chciałbym przez chwilę побыć z tobą sam na sam.

Callemu udaje się powstrzymać przed wyjawieniem, że na Vincenta czeka jeszcze jedna niespodzianka. Podchodzą do drzwi na końcu korytarza. Calle wkłada kartę, daje Vincentowi szybkiego buziaka, otwiera drzwi i wchodzi do środka.

Vincent zatrzymuje się w progu. Patrzy na płatki róż leżące na wykładzinie w przedpokoju. Calle zapala światło i oczy Vincenta robią się większe.

– Jak... – zaczyna. – Jak to zrobiłeś... Przecież przed chwilą tu byliśmy?

Calle bierze go za rękę. Patrzy na błyszczącą obrączkę z kutego białego złota na palcu Vincenta. Taką samą i on ma na palcu. Nawet rozmiar jest ten sam.

Wchodzą do salonu na parterze apartamentu. Depczą po płatkach róż rozsypanych na wykładzinie. Na stoliku przy kanapie stoi miska żelków w kształcie serca. Grube zwoje różowych serpentyn zwisają z balustrady schodów prowadzących do sypialni. Deszcz uderza miękko o szyby w wielkich oknach. Kiedy je mijają, Calle spogląda w dół na dziób promu. Ostro oświetlony biały reling wygina się miękko na tle ciemnej wody. Strzałka pokazująca kierunek prosto w morze. Na zewnętrznym pokładzie jest pełno ludzi, choć zaczęło padać.

Wchodzą na górę. Na stoliku nocnym stoi wiaderko z lodem i butelką szampana. Pia i Filip rozsypali płatki róż również na całym łóżku. Nad łóżkiem zawiesili plakat, na którym pękate litery wypisane czerwonym i wiśniowym markerem układają się w napis „Gratulacje!”.

– Kurczę, są szaleni – mówi ze śmiechem Calle. – Brakuje tylko różowych misiów.

Mimo wszystko jest wzruszony. Siada na łóżku. Bierze do ręki płatek róży. Opuszkami palców wyczuwa jego miękkość i gładkość.

– Chodź.

Vincent zatrzymał się na ostatnim stopniu, nie porusza się. Przesuwa wzrokiem po plakacie, jakby nie rozumiał, co jest na nim napisane.

– Musiałeś to planować od bardzo dawna.

– Naprawdę niczego nie zauważyłeś?

Vincent kręci głową.

– Naprawdę? Byłem tak strasznie zdenerwowany... – zaczyna Calle, ale przerywa, gdy spotykają się wzrokiem.

Coś jest nie tak. Vincent jest nie tylko oszołomiony. Wydaje się zasmucony.

– Wszystko okej? – pyta Calle.

– Muszę do toalety – mówi Vincent i schodzi.

Zamyka za sobą drzwi. Calle słyszy szum wody płynącej z kranu. Klepie się po kolanach, wystukuje nerwowy rytm. To tylko złudzenie. To na pewno tylko złudzenie.

Vincent powiedział „tak”. Pobiorą się. On i Vincent pobiorą się! Na pewno ma teraz o czym myśleć. On sam zastanawiał się nad tym od miesiący, wszystko po kolei planował.

Calle spogląda na obrączkę na palcu. Kręci nią przez chwilę. Podnosi się z miejsca. Nagle marynarka zrobiła się jakby za ciasna. Zdejmuje ją. Ciągnie za materiał tuzerta, czuje, jakby za mocno opinał mu szyję.

Podchodzi do balustrady. Patrzy na salon na parterze. Nie widzi drzwi do toalety, ale słyszy, że woda wciąż leci z kranu.

Wyjmuje butelkę szampana, lód głośno chrzęści. Z dna butelki kapie roztopiona woda. Zdejmuje folię i przekręca korek, aż ten puszcza z hukiem. Może powinien raczej zaczekać do powrotu Vincenta? Za późno. Nalewa szampana do dwóch kieliszków. Czeką, aż piana opadnie, dolewa. Zerka na parter. Zastanawia się przez sekundę i wypija kilka łyków. Dolewa do kieliszka. Chciałby zapalić świece, ale na całym promie nie ma ani jednej ze względu na bezpieczeństwo pożarowe.

Drzwi do toalety otwierają się. Calle bierze w dłonie kieliszki i siada na łóżku. Czeką. Słyszy kroki.

Vincent zatrzymuje się w połowie schodów.

– Nie mogę. Cholernie mi przykro, ale nie mogę.

– Co masz na myśli? – pyta Calle.

Choć przecież wie. Choć przecież dokładnie wie.

– Nie mogę się z tobą ożenić.

Czuje, jakby tonął. Uczucie jest tak silne, że mogłoby pociągnąć na dno całą „Charismę”.

– Przecież powiedziałeś... powiedziałeś „tak” – udaje się wydusić Callemu.

– A co miałem powiedzieć... tam na górze? Co miałem zrobić?

W głosie Vincenta słychać wyrzut. Calle podnosi się z łóżka. Kilka płatków opada na wykładzinę.

– Po prostu nie rozumiem.

– Przepraszam. – Nie chciałem... Nie wiedziałem, co zrobić... Jak będzie najlepiej...

Ma takie smutne oczy. Tak jakby został skrzywdzony. Calle nie wie, co teraz powinien zrobić. Podaje Vincentowi szampana. Vincent tylko kręci głową.

Litery na plakacie połyskują szyderczo. Calle opróżnia kieliszek jednym haustem. Piana pęcznieje mu w ustach. Musi się odwrócić i przełknąć, żeby odstawić kieliszek.

– Ale dlaczego? – pyta, nie patrząc na Vincenta. – Przecież rozmawialiśmy o ślubie.

– Wiem – mówi Vincent. – Jednak to było dawno temu i...

– Dawno temu? Rozmawialiśmy o tym w *midsommar*... że zrobimy to, jak się przeprowadzimy...

– Wiem.

– No właśnie. To co się, kurwa, zmieniło od tego czasu?

– Nie wiem. Sam chciałbym wiedzieć.

Calle obraca się. Vincent jeszcze nigdy nie wyglądał tak smutno.

– Nie wiem, dlaczego nie chcę. Nie potrafię tego nazwać.

– Poznałeś kogoś?

Vincent kręci zdecydowanie głową.

– No to o co chodzi?

Cisza.

– Chcesz w ogóle być ze mną?

Vincent waha się o sekundę za długo.

– Tak.

Zdażył jednak odwrócić wzrok.

Calle chciałby móc go nienawidzić. Nienawidzić za to, co teraz robi. Za to, że wszystko zniszczył.

– Od jak dawna tak się czujesz?

– Co znaczy tak się czujesz? Nawet nie wiem, co czuję.

– Wątpliwości. Chyba tak się to nazywa.

Jego głos zabrzmiał lodowato. I bardzo dobrze.

– Czy już wtedy, kiedy kupiliśmy mieszkanie? Kiedy wzięliśmy ten cholerny kredyt?

– Przepraszam. Przepraszam. Myślałem, że mi przejdzie. Myślałem, że to coś, co pojawia się i znika...

– Pojawia się i znika?

– Tak! To się zdarza. Nigdy nie miałeś wątpliwości?

– Nie. Nie miałem.

Patrzą na siebie. Dystans, jaki ich dzieli, wydaje się większy niż odległość między brzegami Bałtyku.

Być może nasz związek jest jak to morze za burzą, myśli Calle. Piękny i połyskujący na powierzchni, ale pełen przestrzeni tak nieprzystępnych, że życie nie jest w stanie się tam utrzymać. Tylko ja niczego nie zauważyłem.

Przypomina mu się ich mieszkanie. Świeżo wycyklinowane podłogi. Obrazy, które wreszcie zawisły na swoich miejscach. Dwieście tysięcy dodatkowego kredytu na sam remont kuchni. Cała logistyka związana z przeprowadzką do Sztokholmu. Nerwówka przed sprzedażą mieszkania, cyrki z homestylingiem, kosmiczne kwoty, którymi się przerzucali, zaprzędając swoje dusze bankowi.

Czy już wtedy Vincent miał wątpliwości?

– Wiem, że przez jakiś czas było ciężko – mówi Calle. – Może nawet dosyć długo. Ale teraz jest już po wszystkim. Może po prostu stresuje cię to, że teraz to jest na serio?

Milknie. Nie może się przecież ponizac, próbując przekonać Vincenta, choć właśnie tego teraz chce. Przecież to my. Przecież to ty i ja. Chyba nie mogłem się aż tak bardzo pomylić?

– Nie wiem, co się stało. Nie mogę jednak wziąć ślubu, dopóki nie będę tego wiedzieć.

– I jak się tego dowiesz? Będziesz się teraz bzykać na prawo i lewo, żeby sprawdzić, czy znajdziesz

coś lepszego?

Nie wie nawet, co mówi. Nie kontroluje swoich myśli, emocji.

– Przestań – przerywa Vincent. – Nie o to chodzi.

No to o co chodzi? – ma ochotę krzyknąć Calle.

– I co teraz będzie? – pyta. – Co teraz, kurwa, zrobimy?

Vincent nie odpowiada.

– Nie mogę być z tobą, jeśli nie wiesz, co czujesz – mówi Calle. – Rozumiesz? Nie da się. Nie mogę przez cały czas, no wiesz... „ej, zobacz jak ci ze mną dobrze”.

– Rozumiem, że nie mogę tego od ciebie wymagać.

– Czyli koniec? Bo na to wygląda.

Nagle wszystko cichnie. Uczucia przestały nim szarpać na wszystkie strony. Całkiem zniknęły. Myśli zatrzymały się w biegu. Zrobiły się ostre jak wiązka lasera. Zaczynają się układać w listę rzeczy do załatwienia.

Będą się znów musieli przeprowadzić. Żadnego z nich nie stać na utrzymanie tego mieszkania. Muszą ściągnąć agenta, zrobić nową wycenę. Porozmawiać z tą potarganą kobietą z banku, która tak się cieszyła ich szczęściem. Musi znaleźć nowe mieszkanie. Spakować swoje rzeczy do kartonów, które wciąż stoją na strychu.

Najpierw musi jednak zsiąść z tego cholernego promu. Musi przeżyć tę noc i jutrzejszy dzień. Wymyślić, dokąd pójdzie, gdy dopłyną do portu.

Słyszy płacz Vincenta stojącego przy schodach. W pierwszej chwili chce go pocieszyć.

– Muszę stąd wyjść – mówi jednak.

– Może moglibyśmy pójść gdzieś porozmawiać?

– Nie. Nie chcę rozmawiać. Zostań tu. Zresztą rób, co chcesz. Nie mogę być teraz blisko ciebie.

Przeciska się obok Vincenta. Stara się nie patrzeć na plakat, na płatki róż na wykładzinie. Zwoje serpentyn na balustradzie szeleszczą cicho, gdy przechodzi. Dociera wreszcie do drzwi, wychodzi na korytarz. Zamyka je za sobą. Oddycha nerwowo i ciężko.

Na szczęście w pobliżu nikogo nie ma. Tłumi łzy, które szukają ujścia. Musi zachować ostrość widzenia.

Słyszy, że Vincent porusza się za drzwiami, dlatego zaczyna biec korytarzem w kierunku schodów.

Leży, wpatrując się w jasny sufit. Rozgląda się zdezorientowany dokoła i dopiero po chwili przypomina mu się, gdzie jest. Czuje smród wypełniający ciasne pomieszczenie. Widzi zakrwawione...

...moja krew...

drobne ciało leżące obok. Próbuje zrozumieć, co się stało.

Zapiera się o łóżko, żeby wstać. Adrenalina, która płynęła jak benzyna w jego żyłach, wyparowała i teraz Tomas trzęsie się na całym ciele.

To zbyt proste, myśli. Chłopiec był przecież taki silny. Tylko udaje. W każdej chwili może otworzyć oczy. Dłoń, która leży bezwładnie, chwyci go, szybka niczym kobra. Oczy się otworzą i wszystko zacznie się od nowa...

Ciało chłopca zrobiło się bardziej zwarte, nasączyło się krwią. Skóra nabrała bladego, ale zdrowego koloru, policzki się zaróżowiły...

Perspektywa nagle się zmienia. Tomas patrzy na scenę z boku. Widzi to, co zobaczyliby inni. Wybuch płaczem.

Jak wytłumaczy, że ten dzieciak go wystraszył, wystraszył tak bezgranicznie, że ledwo wiedział co robi, kiedy...

...go zabił...

O Boże, ja go zabiłem!

Rana na szyi pulsuje. Tomas odwraca się do lustra. Spotyka swój wzrok, wzrok szaleńca. Krew przestała płynąć z małych ran, ślady ugryzień w kształcie szczęki chłopca.

Obrona konieczna. Będą myśleć, że chłopiec ugryzł go w obronie własnej.

A krew? Krew w ciele chłopca jest krwią Tomasa, chłopiec nie miał własnej. Przecież to musi dać się jakoś udowodnić...

Próbuje sobie wyobrazić, jak opowiada o tym ochroniarzom na promie. Sam by nie uwierzył w tę historię.

Biegnie do łazienki, pochyla się i wymiotuje do umywalki – niemal przezroczyście wymiociny z kwaśnego piwa, wódki i soków trawiennych. Coraz wyraźniej dociera do niego, jak bardzo to wszystko jest pokręcone.

Tak pokręcone, że przecież nie może być prawdą, tak pokręcone, że sam musiałem to wszystko wymyślić, bo jestem szalony, miałem widzenia, byłem pijany i przerażony. Moja psychika pękła jak sucha gałąź, zamordowałem niewinne dziecko i utknąłem na tym promie.

Chłopiec z pewnością nie był zdrowy, ale przecież musiał być jakiś sposób, żeby mu pomóc.

A nie go zabijać.

Próbuje wypluć ślinę. Zrobiła się tak gęsta, że musi ją urwać palcami. Wie, że nie oszalał. Wie, co widział.

Tylko czy nie właśnie tak myślą szaleńcy?

Zmusza się, żeby wyrzeć z łazienki.

Ciało na podłodze się nie porusza, jasne włosy lekko połyskują.

Nikt nie widział, jak wchodzi do kabiny. Mogę stąd wyjść, udawać, że nic się nie stało. Chociaż nie, przecież wszędzie są kamery. Znajdą nagranie.

Musi stąd wyjść. Kręci mu się w głowie, więc opiera się o umywalkę, czekając, aż mu minie. Myje ręce, wypłukuje krew spod paznokci. Przemywa twarz lodowatą wodą, próbuje uspokoić myśli.

Na jego czarnej koszuli i marynarce krwi prawie nie widać. Zwilża ręcznik, wyciera kleistą plamę z klatki piersiowej. Z krwi, która wyciekła z rany chłopca. Rany od rozbitej butelki.

Znów zbiera mu się na wymioty. Tomas sięga po telefon. Nie ma zasięgu, ale i tak nie wie, do kogo miałby zadzwonić. Jest dopiero około dziewiątej. Jak to możliwe? Jak wszystko mogło zmienić się tak nagle?

Przypominają mu się kozaki na wysokim obcasie stojące w kabinie. Gdzieś na promie znajduje się kobieta, która może pojawić się tu w każdej chwili.

Zamordowałem jej dziecko.

Wyciera kran i umywalkę papierem toaletowym, wytacza się z łazienki. Podnosi szyjkę butelki z podłogi, wyciera ją brzegiem koszuli. Gdzie jeszcze mógł zostawić odciski palców?

Ciało chłopca wciąż leży bez ruchu.

Tomas podchodzi do drzwi. Bierze głęboki oddech. Otwiera. Na korytarzu nikogo nie widzi.

Poszuka któregoś z chłopaków. Może Peo. Musi porozmawiać z kimś, komu może zaufać, dopiero potem pójdzie do ochrony.

„Albo zamkniesz się do czasu, gdy prom zatrzyma się na Wyspach Alandzkich – odzywa się w nim jakiś głos. – Zeskoczysz z pokładu. Uciekniesz stamtąd. Uciekniesz innym promem”.

Kusi go ta myśl. Tyle że to nie jest jakiś cholerny amerykański film akcji. Nie ma żadnej granicy z Meksykiem, do której można by uciekać. Nie ma dokąd uciec. Nie ma schowanej nigdzie gotówki.

Rana na szyi pulsuje i piecze. Plecy są mokre od potu. Idąc, musi opierać się o ścianę. Z jednej z kabin wychodzi dwóch długowłosych chłopaków, rzucają mu szybkie spojrzenie i idą dalej. Tomas patrzy za nimi. Zastanawia się, czy wygląda jak zwykły pijak, czy też widać po nim, co się stało. Czy pójdą teraz do ochrony, żeby ją zaalarmować? A może nawet słyszeli coś przez ścianę?

Musi wydostać się z tego korytarza. Musi znaleźć jakieś miejsce, gdzie będzie mógł spokojnie się zastanowić.

– Panie i panowie, witajcie w Charisma Karaoke! Nazywam się Dan Appelgren i dziś wieczorem będę waszym gospodarzem!

Pojedyncze oklaski. Wieczór dopiero się zaczął. Na kanapach wysiadują sami staruszkowie. Jakiś dziadek zasnął z kuflem piwa opartym na wielkim brzuchu.

Dan poci się w świetle reflektorów. Koka wyostrza mu zmysły. Sprawia, że jest bardziej obecny i jednocześnie bardziej chroniony przed otaczającą go brzydotą. Wszystko widzi, ale nic go nie dotyczy.

– Kto wie, może dziś wieczorem znajdziemy tu nową gwiazdę!

Kilka osób parska śmiechem. Starsza kobieta szturcha żartobliwie swojego męża w ramię. Dan potrafi dostrzec, którzy z gości mają ochotę śpiewać, tylko brakuje im odwagi. To ci, którzy najbardziej zerkają na innych. A potem nie mogą przestać i prosto ze sceny idą do stanowiska Johana, żeby zapisać się na kolejny utwór.

– Pomyślałem, że może rozgrzeję was utworem, który chyba dobrze znacie – mówi i puszcza oko. – Śpiewajcie ze mną. Gdybyście zapomnieli tekstu, patrzcie tam!

Pokazuje na szeroki ekran przytwierdzony do ściany, który świeci na niebiesko i barwi postarzałe twarze najbliższych siedzących, tak że przypominają pomarszczone twarze smerfów.

– Gotowi? – Podrzuca mikrofon, pozwala mu zakreślić się kilka razy w powietrzu, zanim go złapie. Patrzy na Johana. – No to lecimy!

Rozbłyskują światła reflektorów. Temperatura rośnie. Dan zamyka oczy. Staje w szerokim rozkroku. Obraca głowę na bok. Dłońmi obejmuje mikrofon.

Rozbrzmiewają pierwsze dźwięki utworu. Przeboju, który śpiewa co najmniej dwa razy każdego wieczoru na „Charismie”. Przeboju, który kiedyś śpiewał przed pełnym Globem po wielkim finale Eurowizji dla milionów widzów w całym kraju.

Któryś ze staruszków w audytorium kaszle mokro i kleiście. Barman upuszcza butelkę na podłogę. Włącza się automat perkusyjny. Ktoś zaczyna wybijać rytm. Ktoś inny się do niego dołącza. Nadchodzi *crescendo*. Dan zbliża mikrofon do ust. Otwiera oczy i patrzy prosto przed siebie. Pozwala, by światła reflektorów go oślepiły.

Przez kilka następnych chwil widzi tylko światło.

„Moje serce płonie, w twojej miłości tonię. Choruję przez ciebie, ale jestem w niebie”.

Dwie starsze panie uśmiechają się do niego. Inne szepczą i chichoczą ze sobą. Staruszek z wielkim brzuchem potrząsa głową i rozgląda się rozbudzony.

„Pragnę ciebie, twego ciała. Tak, twój uśmiech mnie zniewala”, śpiewa dalej Dan, zbliża się do refrenu. „Nie powstrzymam tej choroby, ty skruszyłaś pierwsze lody”.

Tekst przewija się na ekranie, żółte wersaliki na tle zdjęć przedstawiających pary pryskające się wodą na plaży, huśtawki na słonecznym placu zabaw, przymierzanie zabawnych kapeluszy na targu.

– No dalej! Śpiewajcie ze mną, wiem, że potraficie!

Przyłącza się do niego kilka rodzynków, a on wykrzykuje na całe gardło tekst, który przyniósł miliony z tantem temu kretynowi, autorowi. Ten łysy dupek lubi się przechwalać, że napisanie słów piosenki *Gorączka w moim sercu* zajęło mu piętnaście minut. Dan zdierał na niej gardło przez ostatnie dwadzieścia lat, śpiewał ją tysiące razy na imprezach firmowych, w klubach gejowskich i na rynkach małych miast, i nawet nie ma konta oszczędnościowego w banku.

„Nie chcę lekarza, nie chcę recepty. Nie chcę wyzdrowieć, wiem, to szaleństwo. Moje serce płonie, to droga przez mękę. Spalam się, gdy bierzesz mnie za rękę!”

Nowa zwrotka, refren, obowiązkowa zmiana tonacji i jeszcze raz refren, aż przebój wreszcie dobiega końca i Dan może uśmiechnąć się szeroko, kłaniając się w pas. Staruszkowie uprzejmie biją brawo.

– Cudownie, moi drodzy! Na tych, którzy chcieliby czegoś więcej, czeka moja najnowsza płyta do nabycia przy barze oraz w sklepie wolnoctowym!

Do końca zmiany zostało pięć godzin. Dan patrzy na Johana, który odpowiada mu zmęczonym kiwnięciem głową.

– Założę się, że Johan dostał już pierwsze zamówienie dzisiejszego wieczoru – mówi Dan. – Kim jest ta odważna osoba, która pierwsza wyjdzie na scenę?

Chwiejnym krokiem podchodzi do niego leciwa, tłusta kobieta w obcisłym ubraniu, która wygląda, jakby zeszła prosto z planu *Parku jurajskiego*. Uśmiecha się nerwowo do Dana, który podaje jej ramię i pomaga wdrapać się na scenę.

– Dobry wieczór – Dan mobilizuje cały swój entuzjazm. – Jak na imię tej młodej damie?

Pojedyncze śmiechy.

– Birgitta – odpowiada cicho kobieta melodyjnym akcentem z regionu Dalarna. – Birgitta Gudmundsson.

– Powiedz, skąd jesteś, Birgitto?

Kobieta porusza się niespokojnie. Widać po niej, że z nerwów ledwo go słyszy.

– Grycksbo.

– Słyszałem, że to piękne miejsce.

Nie wyczuła ironii. Gdzie jest, kurwa, Grycksbo?

Birgitta zrobiła się purpurowa na twarzy, zupełnie jak jej sukienka. Dan prawie czuje, jak płoną jej policzki.

– No tak – mówi Birgitta. – Nam się podoba. Podoba nam się.

– Czy jest ktoś szczególny, dla kogo chciałabyś zaśpiewać dziś wieczorem?

– Tak, dla mojego męża.

Birgitta uśmiecha się lekko, patrząc na niewielką zgarbioną postać w koszuli i pulowerze. Mężczyzna odpowiada jej promiennym uśmiechem. Ciekawe, dlaczego wydaje się tak niedożywiony? Pewnie Birgitta pożera wszystko, co mają w lodówce.

– I co mu dziś zaśpiewasz? – pyta Dan.

– Pomyślałam o *Podaruję ci jutro* Freda Åkerströma. Budzi w nas wiele wspomnień.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem?

– Czterdzieści lat – oznajmia z dumą Birgitta. – Świętujemy tu dziś nasze rubinowe gody.

– Naprawdę? W takim razie uważam, że powinniśmy nagrodzić Birgittę i siedzącego tam szczęściarza gorącymi brawami – mówi Dan.

Birgitta śmieje się nerwowo, gdy rozlegają się brawa. Dan nie może nie zauważyć, że brzmią dużo bardziej entuzjastycznie niż po jego występie.

Minęła dziesiąta w Charisma Starlight. W migoczących światłach i gęstym, wilgotnym powietrzu tańczące pary objają się o inne pary, których ciała są rozgrzane tak samo jak ich własne. Marianne pokrywa cienka warstwa potu, bluzka przykleja się jej do ciała. Z włosów na skroniach kapie pot. Nie pamięta już, ile kieliszków białego wina wypija przy barze. Wystarczyło podejść do nalewaka i napełnić kolejny, piła wino jak sok, nawet nie zdążyła poczuć pragnienia. W zasadzie było zbyt mdłe, ale nie chciała pić czerwonego, żeby nie musieć później oglądać swoich fioletowych zębów.

Göran trzyma ją mocno za ręce i nie spuszcza jej z oczu. Nie napawa jej to już lękiem. Przeciwnie. Czuje się, jakby jego spojrzenie sprawiało, że jest bardziej rzeczywista. Bardziej wyrazista. Niemal piękna.

Pierwszy raz od wielu lat czuje się wolna. Wolna od tej drugiej Marianne. Tej, która zawsze siedzi na trybunach i ocenia samą siebie.

Göran najwyraźniej zna tylko podstawowe kroki, mimo to prowadzi ją pewnie. Czasem razem improwizują. Kiedy Marianne niemal się potyka, Göran łapie ją w locie.

„Dziś w nocy, dziś w nocy jesteśmy tylko my, płyniemy z prądem, nie kończmy tej gry”.

Refren powtarza się, aż w końcu zamienia w mantrę. Wokalistka zespołu wygląda ślicznie w swojej czerwonej sukience. Czerwona aksamitna zasłona za jej plecami układa się w opadające ciężko fałdy.

„Do nieba, do siódmego nieba, nic nas teraz nie zatrzyma”.^[5]

Marianne porusza się w przód i w tył, dostrzega inne pary, gdy pada na nie kolorowa wiązka światła. Dłonie spoczywające na plecach, pieszczące talie i pośladki, splecione wokół szyi partnera. Przymknięte z rozkoszą oczy i oczy, które rozglądają się, jakby szukały drogi ucieczki. Usta, które bez wstydu zwierają się w pocałunku, śmieją się, krzyczą. Tyle w tym wszystkim życia. A pośrodku Marianne.

Göran przyciąga ją bliżej do siebie. Przytulają się. Czuje jego mokrą szyję na swoim policzku. Utwór się kończy i zaczyna się nowy, ale oni stoją w miejscu całkiem nieruchomo. Kobieta na scenie śpiewa, że „za mrokiem jest wieczność, gwiazdy na niebie rozświetlają noc”.^[6] I wszystko jest obojętne. Marianne czuje, jakby w tym banalnym tekście kryła się jakaś ponadczasowa prawda.

– Wiem, czego chcesz – szepcze jej Göran do ucha.

Marianne chce odpowiedzieć, że on nie może tego wiedzieć, bo ona sama tego nie wie. W tej sytuacji byłoby to jednak kłamstwo, do tego niezbyt przekonujące.

– Ciekawe, co by to mogło być?

Wstrzymuje oddech i czeka.

– Browarek, rzecz jasna. – Göran odsuwa się od niej trochę, żeby móc na nią spojrzeć. Uśmiecha się zadziornie. – A co myślałaś?

Marianne odwraca wzrok zawstydzona.

Göran cały czas porusza się na granicy wulgarności. Podoba jej się, że w jego ustach wszystko wydaje się takie proste. Prowadzi ją przez grę, której zasad zapomniała.

– Chodź – mówi do niej.

Idą za rękę przez parkiet. Inne pary nacierają na nich ze wszystkich stron, potykają się pijane i wpadają im pod nogi. Marianne dostaje łokciem między łopatki i niemal traci oddech.

Staje na krawędzi parkietu, a Göran oddala się, żeby kupić piwo. Marianne patrzy na parujący tygiel roztańczonych par. Samotny mężczyzna w średnim wieku kołysze się w przód i w tył z wyciągniętymi w górę ramionami, niczym w transie przymyka oczy schowane pod kowbojskim kapeluszem.

Przy stoliku niedaleko Marianne siedzi duża grupa przekrzykująca się po fińsku. Spogląda na nich. Słyszac ten dziwny język, nie potrafi ocenić, w jakim są nastroju. Przypomina jej się dawna dzielnica robotnicza, w której dorastała, Finowie, którzy w latach sześćdziesiątych przyjeżdżali do pracy. Byli to jedyjni imigranci, jakich kiedykolwiek widziało to miasto. Nie było końca rozmowom o tym, jak dziwni są Finowie, jacy są głośni i jak brzydko brzmi ich język, jak dużo piją i jak nie zależy im na poznawaniu Szwedów. Krążyły plotki, że Finowie kupują nowe samochody za każdym razem, gdy wracają do Finlandii, żeby mieć się czym pochwalić przed rodziną. Teraz wydaje jej się, że to było sto lat temu. W tym wspomnieniu jest coś malowniczego. Jednocześnie Marianne ma wrażenie, że od tamtego czasu ludzie ani trochę się nie zmienili.

Zauważa, że zespół na scenie gra nowy utwór, i zaczyna się zastanawiać, dlaczego Göran jeszcze nie wrócił. Odwraca się. Czuje ulgę, gdy zauważa jego plecy przy barze. Trzyma w górze kilka banknotów stukoronowych, jakby chciał pokazać, że jest gotów i ma czym zapłacić.

Obok niej staje mężczyzna w przepoconym garniturze. Spogląda na niego z niechęcią. Ma okrągłą twarz i duże, ciężkie policzki, czubek jego głowy pokrywa meszek cienkich włosów. Przypomina wyrosnięte niemowlę, które przyciska się do niej. Marianne robi dwa kroki w bok. Wbija wzrok w parkiet. Chce, żeby sobie poszedł. Nie rozumie tego?

Niestety. Mężczyzna przyciska się do niej jeszcze bliżej i gładzi się po podbrzuszu.

– Przepraszam. – Marianne odwraca się na pięcie i rusza w kierunku pleców Görana.

– Dziś wieczorem przyszedł tu chyba same suche cipki! – woła za nią mężczyzna.

Marianne sztywnieje.

Mężczyzna dogania ją i prosi:

– Zatańcz ze mną.

Marianne potrząsa głową, spuszcza wzrok.

Nareszcie jest przy niej Göran. Duże niemowlę mruczy coś pod nosem i odchodzi.

– Zdążyłaś już kogoś poznać? – pyta rozbawiony. – Co on powiedział?

– Nieważne.

Głos jej drży. Göran wzrusza ramionami, podaje jej piwo i pokazuje na fotele najbliżej baru, które właśnie się zwolniły.

– Muszę chyba chwilę odpocząć. Bóg mi świadkiem, nie jestem pierwszej młodości.

– No tak. Rzeczywiście jest świadkiem.

Rozgląda się, gdy idą w kierunku foteli. Mężczyzna zniknął. Siadają, piją dużymi łykami. Piwo przyjemnie chłodzi. Bąbelki gaszą pragnienie. Göran miał rację. Piwo to było dokładnie to, czego

chciała.

– Rozmawiałeś z przyjaciółmi? – woła, żeby przekrzyczeć grupę dziewczyn, które zaczęły wydzierać się do muzyki, obejmując się ramionami.

„Aj aj aj tak bije moje serce! Aj aj aj, ty zostawiłeś mnie!”

– Nie, ale kto by się nimi przejmował? – odpowiada Göran. – Teraz jestem z tobą.

Przez te dziewczyny nabawi się szumów usznych. Pochyla się nad barem, żeby usłyszeć zamówienie. Ociera czoło papierową serwetką. Oczy pieką go od potu, który dostał się pod powieki. W takich chwilach zastanawia się, jak wytrzymał w swojej pierwszej pracy za barem, kiedy w klubach wciąż można było jeszcze palić, a dym osiadał na włosach i ubraniach, gryzł w oczy i drapał w krtani.

Spotyka czyjś wzrok zza baru. Kobieta w czerwonych metalowych oprawkach. Dwie cole light z malibu. Podaje. Ociera znów czoło, przyjmuje kolejne zamówienie. Starszy mężczyzna z krzaczastymi brwiami, które zwisają nad oczami. Płaci za piwa wygniecionymi dwudziestokoronówkami. Jedną z wrzeszczących dziewczyn zamawia butelkę musującego wina i pięć kieliszków.

„Aj aj aj tylko ty w moich myślach. Aj aj aj nie zapomnę nigdy cię”.^[7]

Brodaty chłopak w białym tiszercie stoi przy barze. Kiedy spotykają się wzrokiem, Filip doznaje szoku.

Nie może uwierzyć, że to on. Wygląda zupełnie inaczej.

Calle!

Nagle dociera do niego, ile czasu się nie widzieli. I jak bardzo za nim tęsknił.

Przytula go. Calle stoi nieruchomo, pachnie świeżym morskim powietrzem. Broda jest miękka, chłodna.

– Gratulacje, chłopie! – woła Filip. – Słyszałem od Pii, że świetnie ci poszło! Kurwa, nawet nie wiesz, jak się cieszę twoim szczęściem!

Pozwala się objąć. Poklepać po plecach. Najwyraźniej jednak nawet to nie jest w stanie wyrwać go z odrętwienia.

– Rozumiem, że wyszliście świętować? – pyta Filip i wypuszcza go z objęć.

Rozgląda się. Pewnie za jego przyszłym mężem.

Filip ma na sobie takie samo jak dawniej ubranie robocze: białą koszulę i czerwoną kamizelkę z mosiężną tabliczką na piersi. Czesze się wciąż tak samo, choć jasnobrązowa czupryna wygląda, jakby się nieco przerzedziła.

Ciemnowłosa dziewczyna, która pracuje w drugiej części baru, macha do niego wesoło.

– Gratulacje! – pokazuje na migi.

Filip znów patrzy na Callego, śmieje się jak szalony.

Przez chwilę Calle zastanawia się, czy mu powiedzieć. Nie chce słyszeć siebie samego, jak o tym opowiada.

– Gdzie się podział twój narzeczony?

Calle kręci głową.

– Chyba został w kabinie. Kurczę. Nic się tu nie zmieniło.

– Z wyjątkiem nas.

Calle próbuje się uśmiechnąć.

Wokalistka na scenie zaczyna śpiewać *You can dance, you can jive, having the time of your life.*^[8]

Grupa dziewczyn przy barze wydaje z siebie chóralny pisk, napełnia kieliszki i biegnie truchtem na parkiet. Calle odprowadza je wzrokiem.

– Wszystko okej?

– Nie wiem – wzdycha Calle. – Nie.

– Co się stało?

– Nie wiem. Nic już, kurwa, nie wiem.

Filip kiwa głową. Chyba nie wie, co powinien zrobić. Calle nagle zdaje sobie sprawę z panującego tu gorąca, ścisku, zniecierpliwienia gości i z poziomu hałasu.

– Nie mogę wrócić do kabiny. Nie wiem, co robić.

– Możesz spać u mnie, jeśli chcesz.

– Dzięki.

– Weź moją kartę. Przyjdę i pogadamy, gdy tylko będę miał wolną chwilę, okej?

Calle kręci głową. W pomieszczeniach załogi zaczęły się już pewnie imprezy. Nie chce iść tam sam. Jeszcze nie teraz. I w żadnym wypadku nie na trzeźwo. Tyle że jego dawni koledzy mogą w każdej chwili pojawić się tutaj. Nie ma się gdzie ukryć.

– Od kiedy odszedłeś, zaostrzył się regulamin i rzadko można spotkać kogoś z personelu na imprezie

dla pasażerów – odzywa się Filip, jakby czytał w jego myślach.

I znów te cholerne łzy...

– Muszę się czegoś napić – stwierdza Calle. – Czegoś mocnego.

– W takim razie dobrze trafiłeś. To co zawsze?

Calle przytakuje. Tak. To co zawsze.

Marznie.

Przedostał się na dziesiąte piętro, bo wyżej winda nie docierała, i wytoczył na pokład spacerowy. Zamierzał wejść na górny pokład, ale udało mu się przejść zaledwie kilka metrów.

Leży na ławce i cały się trzęsie. Choć nad głową ma dach, z wiatrem wpadają tu krople deszczu. Obrócił się do ściany. Słyszy przechodzących ludzi, ich śmiechy i okrzyki, stanowczo zbyt głośne z powodu pijackiego uniesienia. Za dużo bodźców, Tomas nie może ich uporządkować. I jest coraz gorzej. Nie ma gdzie się schować. Nie może wrócić do środka, w tę mieszaninę dźwięków i migoczących świateł, dzwoniących automatów do gry i zapachów obezwładniających go bardziej niż cokolwiek innego. Środki czyszczące, perfumy, jedzenie, mydło, wydzieliny ciała, kleiste balsamy do skóry, alkohol, dym papierosowy. Przez chwilę wydawało mu się nawet, że potrafi wyczuć zapach nagranych od ciała monet w kieszeniach spodni. Był jednak taki zapach, od którego aż zahuczało mu w głowie i który przytłumił wszystkie inne. Zapach menstruacji unoszący się w powietrzu przed windą. Tomas wyczuł go niczym rekin wychwytyjący z odległości wielu kilometrów obecność krwi w wodzie. Pomyślał, że musi odnaleźć tę kobietę. Zatopić twarz między jej nogami. Dotrzeć bezpośrednio do źródła. Rozerwać skórę, żeby dostać więcej, szybciej.

Przekręca głowę i wymiotuje resztkami dań z bufetu. Są ciężkie i wywołują pieczenie w gardle. Na szczęście nie jadł zbyt wiele.

Åse. Stracił apetyt, bo myślał o Åse. Wie o tym. Jednak z imieniem Åse nie wiążą się już żadne uczucia. Tylko wspomnienie zapachu krwi potrafi sprawić, że Tomas coś czuje.

Zaczyna wariować, na serio wariować. Podniebienie boli go aż po same zatoki. Przesuwa po nim językiem, czuje, że jest napięte i twarde.

Jedynie, co może zrobić, to próbować się skupić na głuchym, monotonnym warkocie wydobywającym się z wnętrza promu. Ledwo wyczuwalnych wibracjach rufy. „Baltic Charisma” śpiewa tylko dla niego. Uspokaja go swoim basem. Pomaga mu odciąć się od całej reszty.

Chce mu się płakać, ale do oczu nie napływają łzy.

– Nie może być – dochodzi go skądś jakiś dziecięcy głos.

Jęczy ze strachu. To na pewno ten chłopiec z kabiny. Znów go znalazł. Przyszedł, żeby się zemścić. Odwraca z oporem głowę. Zauważa dwoje dzieci, które stoją i przyglądają mu się.

Pachną bardzo intensywnie. Potrafi niemal zobaczyć otaczające je woalki feromonów. Dziewczynka natarła ciało balsamem o słodkim, sztucznym zapachu. Pod nim płynie jej krew, młoda i mocna krew, świeża i ciepła, wypełniająca żyły.

Podniebienie napina się. Tomas czuje, jak jego twarz wykrzywia się w grymasie, i gdy dzieci robią krok do tyłu, dociera do niego, że musi wyglądać przerażająco.

Jak dzieciobójca.

– Przepraszam – mówi. – Nic się nie stało. Tylko odpoczywam.

Głos stał się niski i dziwny. Chciałby, żeby dzieciaki już sobie poszły. Boi się tego, co się stanie, jeśli zostaną. Dziewczynka przybiera starannie wypracowaną zblazowaną minę. Z jej ust pachnie alkoholem.

Zapach ich krwi jest tak silny. Żołądek Tomasa kurczy się, ciało kuli w pozycji płodowej. Wymiotuje już tylko żółcią.

– Doprawdy nie może być – mówi dziewczynka i ciągnie za sobą chłopca.

Kilka sekund później Tomasz słyszy, że chichoczą z obrzydzeniem.

Kładzie się znów z twarzą zwróconą do ściany. Trzeszczy mu w czaszce, ale ciało wydaje się teraz czystsze. Żołądek jest jak pusta, czarna dziura.

Kolejna iskra bólu strzela z podniebienia i leci przez nos aż pod sklepienie czaszki. Tym razem oczy zachodzą mu łzami.

– W życiu nie widziałam czegoś tak obrzydliwego – mówi Lo, gdy dochodzą do pomalowanych na biało stalowych schodów prowadzących na górny pokład.

Albin przytakuje, wzdryga się na wspomnienie mężczyzny leżącego na ławce. Całe jego ciało naprężyło się, kiedy wymiotował.

– Może powinniśmy komuś powiedzieć? – pyta. – Nie miał na sobie nawet kurтки.

– Sam jest sobie winien. Dorośli powinni chyba wiedzieć, jak się pije.

Albin myśli o tacie.

– Mimo wszystko – nie odpuszcza. – Nie wyglądał najlepiej.

Wychodzą na dach promu. Pokrywa go zielona mata antypoślizgowa, przez co przypomina boisko do gry w piłkę nożną. Przy relingu wzdłuż burt stoją niewielkie żurawie i okrągłe szare kontenery, w których, jak wie, znajdują się tratwy ratunkowe.

– Nawet lepiej jest wymiotować, kiedy za dużo się wypilo – mówi Lo. – To dlatego do alkoholu sprzedawanego w Szwecji dodaje się środki powodujące wymioty. Żeby ludzie tak łatwo się nie truli.

Rozgląda się. Niektórzy tutaj zdecydowanie za dużo wypili. Dziwnie się poruszają, mają puste spojrzenia jak zombie.

– Trudno o lepszy argument. – Lo pokazuje głową stojącego nieopodal grubasa.

Na jego koszulce widnieje napis: „Dlaczego nie można powiedzieć «Murzynek», a «bieluch» można?”.

Kolejne schody prowadzą na niewielki punkt widokowy na samym przodzie promu. Lo idzie przodem, Albin za nią. Kiedy wychodzą na zewnątrz, otula się ramionami. Teraz są na najwyższym poziomie promu. Podchodzą do relingu, a Albinowi niemal kręci się w głowie. Kilka pięter pod nimi znajduje się dziób promu. Przed nimi jest już tylko wiatr i morze, i czarne niebo. Żadnych świateł w polu widzenia. Żadnych gwiazd. Drobne krople deszczu osiadają jak membrana na jego twarzy. Gdzieś tam przed nimi znajduje się Finlandia, muszą być niedaleko Wysp Alandzkich. Na mapie Bałtyk wygląda niepozornie, ale z tej perspektywy równie dobrze mógłby ciągnąć się w nieskończoność.

Zawroty głowy mijają, przechodzą w przyjemne mrowienie w brzuchu. Czuje się, jakby leciał. Prostuje ramiona. Przymyka oczy. Waha się. Jeśli Lo nie widziała tego filmu, pewnie pomyśli, że ma coś nie tak z głową.

– *I'm the king of the world!* – woła, choć niezbyt głośno.

– Wiesz, że „Titanic” zatonął, prawda? Nie wiem, czy chcę, żeby mi o tym teraz przypominać.

Mimo wszystko chichocze.

– Chodź – mówi i zaczyna schodzić po schodach. – Musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli być sami.

Lo rozgląda się i szybko wślizguje pod schody. Albin podchodzi do relingu. Patrzy na wodę daleko w dole. Ma wrażenie, że słyszy huk piany wzdłuż kadłuba. Jest taka biała na tle wody czarnej i błyszczącej jak ropa. Wchodzi pod schody i siada obok Lo. Otworzyła jedną z buteleczek z wódką.

Bierze łyk i podaje mu.

Albin próbuje ostrożnie. Stara się opanować grymas. Wódka smakuje obrzydliwie, tak pewnie musi smakować benzyna. Lo parska śmiechem. Oddaje jej butelkę. Kładzie dłoń na zimnej metalowej podłodze między nimi. Czuje wibracje z wnętrza promu.

– Nie chcesz więcej?

Albin kręci głową.

Lo wzrusza ramionami. Założyła szalik na głowę, żeby chronić się przed deszczem. Albin wyciąga kaptur bluzy spod puchowej kurtki.

Mijają ich ludzie, ale nikt nie patrzy w ich stronę, jakby zrobili się niewidzialni.

– Byłeś kiedyś zakochany? – pyta Lo i odwraca się do niego.

– Chyba nie.

– Gdybyś był, tobyś wiedział.

– Kilka dziewczyn mi się podoba.

Nie jest to kłamstwo, ale też nie jest to do końca prawda. Niektóre dziewczyny w klasie są ładniejsze od pozostałych. Ale czy naprawdę je lubi? Nie potrafi sobie wyobrazić, że mógłby próbować być z którąś z nich. Nie wie nawet, co miałby zrobić, gdyby mu się udało. Czego ona by od niego oczekiwała.

– One nie są zainteresowane, prawda? – pyta Lo.

Albin wzrusza ramionami. Naciąga rękawy kurtki na dłonie, które zrobiły się zimne. Czuje się tak dziecinnie jak nigdy wcześniej. Zastanawia się, co powiedzieć, żeby nie zdradzić się z tym, jak bardzo jest niedoświadczony. Lo jednak go ubiega.

– Nic by się nie stało, gdybyś był gejem, wiesz o tym, prawda? Mnie mógłbyś powiedzieć.

Zastanawia się, czy rozmawiała z którymś ze swoich dawnych kolegów z klasy, którzy wciąż chodzą z nim do szkoły. Wie, że plotkuje się o nim, że jest gejem. Nigdy nie udaje mu się być jak inni chłopcy, przynajmniej ci najbardziej popularni i głośni, którzy mówią w żartach okropne rzeczy i ściskają dziewczyny za biust, aż te zaczynają krzyczeć.

Tylko skoro Lo rozmawia z kolegami z dawnej klasy, to dlaczego nigdy nie rozmawia z nim?

Czterech chłopaków stanęło przy relingu niedaleko od nich. Palą papierosy i rozmawiają głośno w jakimś języku, który dla Albina brzmi jak włoski.

– Byłbyś całkiem przystojny, gdybyś był bardziej pewny siebie – stwierdza Lo.

Albin znów wzrusza ramionami.

– Może tak – mówi. Nie chce, żeby zauważyła, jak bardzo go to ucieszyło.

Przynajmniej nie uważa, że jest brzydki. Skoro tak, to może więcej osób myśli podobnie. Tylko jak nabiera się pewności siebie? Podobno wystarczy być sobą i wszystko się ułoży, będzie dobrze. Kolejne kłamstwo. Czasem wyobraża sobie, że któregoś dnia przyjdzie do szkoły i wszystko się zmieni. Dalej będzie odmienny i dziwny, ale w dobry sposób, który sprawi, że będzie tajemniczy i interesujący. I wszyscy zrozumieją, że przez cały czas go nie doceniali.

– A ty? – pyta. – Jesteś w kimś zakochana?

Lo przytakuje. Cmoka, gdy kończy opróżnić butelkę.

– Jesteście razem? – pyta Albin.

– Nie, on nawet nie wie, że istnieję.

Przez dłuższą chwilę milczy, spogląda na nią ukradkiem. Czy to w ogóle możliwe, żeby ktoś nie zauważył, że Lo istnieje? Czy da się nie zwrócić na nią uwagi?

– Chodzi do siódmej klasy, więc nie jesteśmy nawet w tej samej szkole. Kiedyś przynajmniej widziałam go codziennie.

Poznaje po jej głosie, że jest bliska płaczu. Przez chwilę się waha, a potem przysuwa się do niej. Obejmuje ją ostrożnie ramieniem. Czuje wyraźnie, jak drży.

– Jak ma na imię?

– Soran.

– Jest przystojny?

– Jest piękny. Nie wie o tym. Widać to po nim. Właśnie to jest w nim takie zajebiste.

– Czyli że nie wierzy w siebie?

– To nie to samo – odpowiada Lo.

Albin boi się spytać, co ma na myśli.

– Mogłabym ci pokazać jego zdjęcie, gdyby na tej pieprzonej łódce był jakikolwiek zasięg – mówi Lo i ociera łzy z policzków. – Do tego jest dobrym człowiekiem. Zawsze wrzuca linki dotyczące praw człowieka i ekologii. Obchodzą go rzeczy, które naprawdę coś znaczą.

Albin zerka w stronę relingu. Włosi rzucają niedopałki papierosów w ciemność i odchodzą.

– Nie możesz mu po prostu powiedzieć prawdy?

– No skądże.

– Myślę, że się ucieszy. Ja bym się ucieszył.

– Naprawdę? Serio? Gdybym to była ja? No wiesz, o ile nie byłabym twoją kuzynką.

Aż trudno mu uwierzyć, że pyta go o radę. Tak jakby rzeczywiście wiedział, co chłopaki takie jak Soran myślą o dziewczynach takich jak Lo.

– Tak – mówi Albin i próbuje zrobić jak najbardziej przekonującą minę.

Lo ociera oczy i wyjmuje z torebki puderniczkę. Ogląda się w lusterku.

– Zaraz musimy wracać do kabiny – napomina ją Albin.

– Mmm – mruczy Lo. – I „zaszyć się pod kołdrą”.

Przewraca oczami, kiedy przedrzeźnia Lindę.

– Ciekawe kto pierwszy powiedział „zaszyć się pod kołdrą” – zastanawia się. – Przecież to niemożliwe.

– Pomyśl, gdyby naprawdę dało się tak zrobić – mówi Albin. – Poszła i się zaszyła.

Lo opuszcza puderniczkę i wybucha śmiechem. Dzieje się to tak szybko, że Albin zupełnie traci pewność siebie. Po chwili on również zaczyna się śmiać. Potrafi to sobie wyobrazić: ktoś kładzie się do łóżka i zaszywa się pod kołdrą, zanim zamknie oczy.

– Byłoby naprawdę szkoda – śmieje się Lo, aż dostaje czkawki. – Gdyby ktoś zasnął w pociągu,

konduktor musiałby go rozpruć przed jego stacją, bo inaczej nie byłby w stanie wysiąść.

Albin z trudem łapie powietrze. Próbuje złapać oddech, starając się opisać jej obraz, który pojawił mu się w głowie – sali pełnej zaszytych ludzi, którzy chrapią w swoich łózkach.

Nie mogą przestać, bo każde z nich chce wymyślić najlepszy i końcowy obraz zaszytych ludzi. I kiedy wreszcie przestają, Albin czuje zaspokojenie w ciele, a w głowie nie ma już żadnej myśli i ogarnia go spokój.

– Normalnie rozboleła mnie głowa – wzdycha Lo.

– A mnie brzuch – odpowiada.

– Pomyśl, jak by cię bolało, gdybyś się zaszył.

Albin parska śmiechem.

– Spróbuję wyglądać bardziej jak człowiek – mówi Lo i sięga znów po puderniczkę. – Naprawdę polecam wszystkim, żeby tak wyglądali wśród ludzi.

Przygląda się jej, gdy nakłada nową warstwę pudru, i przechodzi mu przez myśl, że makijaż i cała ta reszta są jak egzoszkielet. Twarda skorupa, która otacza wszystko to co miękkie i wrażliwe w środku Lo, ukrywa tak, żeby nikt nie mógł do tego dotrzeć.

Teraz przynajmniej wie, że tam jest.

Też chciałby mieć coś takiego, za czym mógłby się schować, kiedy będzie tego potrzebował.

Lasse ma tak zadarty nos, że Madde może zajrzeć głęboko w dziurki, choć patrzą prosto na siebie. Przez to, że jego twarz jest zaróżowiona od słońca, jeszcze bardziej przypomina prosiaka. Skóra łuszczy mu się wokół nodrzy. Czuje się głęboko upokorzona. Dlaczego podrywa ją akurat najbrzydszy z paczki świętującej wieczór kawalerski? Być może nie jest miss świata, ale jak, kurwa, ktoś taki jak on może myśleć, że ma u niej szansę? Dialekt z Norrköping nie poprawia jego sytuacji.

Na szczęście skończył wreszcie opowiadać o swojej pracy i wakacjach na Sri Lance, która najwyraźniej jest „nową Tajlandią; musisz tam jechać, zanim trafią tam turyści”. Tak jakby on był tybulcem w każdym miejscu, do którego jechał.

– Biedny Stefan – mówi i pokazuje głową na kolegę.

Zabrudzony welon przekrzywił się na głowie przyszłego pana młodego. Z jednej z piersi pod kwiecistą sukienką uleciało powietrze. Uwiesił się na ramionach kolegów, prawdopodobnie nie byłby w stanie stać prosto, nawet gdyby nie miał butów na wysokim obcasie. To cud, że nie skręcił sobie jeszcze kostki. Madde czuje, że do ołtarza Stefan dokuśtyka o kulach.

– Nie ja wpadłem na ten pomysł z promem – wyjaśnia Lasse.

Madde przechyliła się niechętnie w jego stronę, żeby usłyszeć, co mówi, przez dudniącą muzykę w Charisma Club. Podłoga kołysze się pod jej stopami i dziewczyna nie wie już, czy to dlatego, że prom się porusza, czy dlatego, że jest pijana.

– Chciałem, żebyśmy zrobili coś, co spodoba się wszystkim. No wiesz, najpierw przeżyjemy razem jakąś przygodę, a potem zjemy kolację w Riche. Chodzisz tam czasem?

Kręci głową i rozgląda się za Zandrą – choć nic na to nie wskazuje, ma nadzieję, że wróci z parkietu, gdzie teraz stoi i migdali się z jednym z kumpli Lassego. Z Peo czy jak mu tam.

– Chłopcy mnie przegłosowali – mówi dalej Lasse, i kiedy znów się do niego obraca, wygląda na zasmuconego w wystudiowany sposób. – Ostatnio rzadko się widzujemy. Nasze drogi się rozeszły. Smutne, ale prawdziwe.

Madde dopija ostatni łyk ginu z tonikiem. Wyrząsa z kieliszka kostki lodu, gryzie je, aż chrzęści jej głośno w głowie. Jak kruszarka pracująca w rytm muzyki.

– Zatańczysz? – pyta Lasse.

– Planowałyśmy pójść z Zandrą na karaoke.

Wyraźnie poweselał i od razu pożałowała, że to powiedziała.

– Ekstra – mówi.

– Mmm.

– Zajebicie śpiewam Spice Girls – chwali się i patrzy na nią wyczekująco, jakby spodziewał się jakiejś reakcji.

Jest niewyobrażalnie brzydki.

– Fajnie – odpowiada.

– Może napijesz się do tego czasu drinka? O ile nie masz nic przeciwko temu. No wiesz, nie chcę, żebyś sobie pomyślała, że oczekuję czegoś w zamian.

Waha się. Zandra musi tu zaraz, kurwa, wrócić. Ostatni drink i wychodzi bez niej.

– Okej – mówi. – W takim razie jeszcze jeden GT.

Lasse przytakuje i odwraca się do baru. Stopy zdrętwiały jej w butach. Opiera się plecami o bar. Zauważa przystojnego mężczyznę, ale ten nawet na nią nie patrzy. Nikt na nią nie spojrzy, dopóki Pan Prosiak jest przy niej i zachowuje się, jakby ją sobie zarezerwował.

– Proszę. – Lasse podaje jej zaparowany kieliszek.

– Oj. – Madde jest zaskoczona. – Szybko ci poszło.

– Za pierwszym razem zawsze zostawiam gruby napiwek – mówi zadowolony. – Potem mam przez cały wieczór zapewniony dobry serwis.

Madde parska śmiechem. Od razu widać, że prosiaczek bardzo chce jej zaimponować.

– Z czego się śmiejesz?

– Z niczego.

Ktoś popycha ją w ramię, odwraca się zirytowana. Gapi się na nią cuchnący potem koleś w garniturze, z drobnym meszkiem na łysej głowie.

– Schowaj te donice, bo się nie da przejść – krzyczy.

– Ej, spokojnie – napomina go Madde.

– No właśnie, spokojnie – wtóruje jej Lasse.

– Nie moja, kurwa, wina, że jest taka gruba. Jej cyce zajmują pół baru – wydziera się mężczyzna.

Madde wybucha śmiechem, aż jej drink przelewa się przez brzegi kieliszka.

– Czemu żeś się tak uczeplił moich cycków? Może dlatego, że wiesz, że nigdy ich nie dotkniesz?

Czuje, że Lasse przygląda im się nerwowo.

– Prosisz się o wpierdol? – pyta mężczyzna, a zapach potu z jego marynarki niemal ją dusi.

– Nigdy o nic nie proszę – odpowiada.

– Chcesz powiedzieć, że mógłbyś uderzyć dziewczynę? – udaje się wydusić Lassemu zza jej pleców.

Oczy mężczyzny zwięzają się i Madde nagle oblatuje strach. Lasse próbuje mówić tak, jakby miał zamiar bronić jej honoru, ale przechodzi jej przez myśl, że nie zawahałby się jej użyć w charakterze ludzkiej tarczy.

– Nie jest tego, kurwa, warta – wypluwa z siebie mężczyzna.

Madde wzrusza ramionami.

– Tak gadają ciniasy – woła za nim, kiedy odchodzi od nich, człapiąc.

Opiera się znów o bar, z zapamiętaniem pije drinka przez słomkę.

– Mam nadzieję, że nie zrobiło ci się przykro – szepcze Lasse do jej ucha.

– Niby dlaczego miałoby?

Zastanawia się.

– Bo nazwał cię... grubą.

Madde przeczesuje włosy palcami.

– Przecież jestem gruba – mówi, nie patrząc na niego.

– Może według dzisiejszego wzorca. Ale to tylko dlatego, że mamy taki chory obraz kobiecego ciała.

Prosiaczek grzebie ryjkiem w ziemi, szukając właściwych słów. Waha się.

– Jesteś naprawdę... wow – mówi w końcu. – Nie wstydzisz się tego, jaka jesteś.

– No to jaka jestem? – pyta i patrzy na niego. – Twoim zdaniem?

Mężczyzna oblizuje przednie zęby.

– No wiesz, jesteś taka, jaka jesteś. Za nic nie przepraszasz. Zakładasz seksowne ciuchy i mimo to domagasz się szacunku, no wiesz, „bierzesz mnie taką, jaka jestem, albo spadasz”. Naprawdę rządzisz swoim ciałem. Rozumiesz, o co mi chodzi? Za nic nie przepraszasz.

Wygląda, jakby właśnie podarował jej fantastyczny prezent, i nie rozumie, dlaczego ona nie skacze z radości. Ale ona nie szuka potwierdzenia u Pana Prosiaka. Chce się dobrze bawić, a teraz już się, kurwa, nie bawi. Odstawia kieliszek i zakłada torebkę na ramię.

Chce właśnie powiedzieć, że wychodzi, kiedy nagle zjawia się Zandra, ciągnąc za sobą swojego amanta.

– Idziemy wszyscy na karaoke – krzyczy.

Cała paczka z wieczoru kawalerskiego wiwatuje. Pan Prosiak również. I Madde rozumie, że nie pozbędzie się go, jeśli chce zobaczyć Dana Appelgreana dziś wieczorem.

Zauważa, że ludzie próbują omijać szerokim łukiem ławkę, na której leży, niemal przyciskają się do relingu. Nie patrzy na nich. Nie chce być widziany. Słyszy tylko ich kroki. Słyszy, jak ich rozmowy zamierają, gdy przechodzą obok.

Nie może się poruszyć. Nie może krzyknąć. Ciało wyłączyło się. Zostało tylko serce, które uderza mocno o ławkę pod klatką piersiową, i skrzypienie, które wypełnia głowę. Coś twardego, co pęka, gdy przebija się przez to coś innego twardego. Mokry odgłos towarzyszący rozrywaniu miękkich części. Boli go. Bardzo go boli. Jakby igły, nie, szydła, przeszywały mu czaszkę. Język dotyka podniebienia, teraz jest twarde jak tkanka chrzęstna.

Zęby poruszają się, kiedy zahacza o nie czubkiem języka. Chwieją się lekko. Czuje smak krwi. Nie może się opanować, żeby znów nie popchnąć ich lekko czubkiem języka. Przedni ząb wypada. Z otworu w dziąśle wycieka strużka ciepłej krwi i spływa powoli do gardła.

Kolejne zęby wypadają, niektóre pękły. Wypełniają usta kleistym gruzem. Tomas ssie krew i pulpę i dopiero po chwili otwiera usta, pozwala wypaść zębom. Uderzają głucho o ażurowe siedzisko ławki. Kilka spada na ziemię.

Na końcu puszcza zęby trzonowe. Razem z nimi wypadają grudki poharatanych dziąseł, które połyka razem z krwią. Gdy je wypluwa, dźwięk jest taki, jakby ktoś rzucił garścią kostek do gry.

Krew, tyle krwi. Czuje, jakby miała zalać mu usta, choć przełyka i przełyka. Koniuszek języka przesuwa się po dziąśle, czuje równe rzędy głębokich otworów. Ssie mocniej. Karmi się krwią.

W jednym z otworów coś ostrego głęboko rani koniuszek języka. Odprysk, resztki zęba? Nie. To coś ostrego porusza się, przeciska. Teraz Tomas czuje to w kilku miejscach. W miejscu starych zębów pojawiły się nowe. Trzeszczy mu w głowie, ale najgorsze dźwięki ucichły. Wszystko jest już przygotowane pod to, co ma nastąpić.

Nagle zapada kompletna cisza.

Słyszy wciąż dobiegające z daleka głosy ludzi. Wciąż towarzyszą mu głucho dźwięki silnika. Czuje, jakby stały się jego częścią. Tylko wewnątrz niego zrobiło się cicho, tak cicho jak nigdy wcześniej.

Przełyka, ale krew już nie wypływa.

I nagle dociera do niego, co oznacza ta cisza. Nie słyszy już pulsu w uszach. Krew zatrzymała się w żyłach.

Przestało mu bić serce.

Bicie serca zostawiło po sobie wielką pustkę w jego piersi.

A potem zalewa go kolejna fala bólu, gdy jego ciało zaczyna umierać.

Łagodne drzenie podłogi, znajome ssanie w żołądku, gdy „Charisma” zmienia kierunek. Przypomnienie, że nie mają stałego lądu pod stopami. Niedługo dotrą do Wysp Alandzkich.

Whisky już nie pali go w gardle. Ześlizguje się w dół jak miękki, płynny aksamit. Calle przymyka oczy. Koncentruje się na dźwiękach, żeby nie myśleć o tym, co robi teraz Vincent, gdzieś na promie. Słyszy dźwięk rozbijanego szkła, śmiechy na parkiecie, wokalistkę, która sprawia, że *Roześmiane bursztynowe* oczy brzmią jak ścieżka dźwiękowa do filmu noir, pomimo energicznego akompaniamentu, pobrząkiwanie, kiedy sprzątaczką zbiera kieliszki ze stolików.

Calle otwiera oczy i wypija ostatni łyk whisky. Stożki światła przesuwają się po parkiecie w ten sam sposób jak kiedyś. Nawet głosy wokół niego wydają się takie same. Za barem stoi Filip i nalewa piwo, wykonując ruchy, które Calle tak dobrze zna.

Ma poczucie, jakby tylko mu się wydawało, że przestał pracować na promie. Jakby wszystko od tamtego czasu było tylko snem. Nachodzi go absurdalna myśl, że „Charisma” wessała go teraz w jego dawne życie. Raz udało mu się stąd wydostać, ale prom zwabił go tym idiotycznym pomysłem, żeby się na nim oświadczyć, i teraz Calle wpadł prosto w pułapkę. Prom wszystko popsuł. Znów go ma.

Calle unosi kieliszek do ust i w tej samej chwili przypomina mu się, że jest pusty. Filip nalał mu co najmniej setkę. Drugą tego wieczoru.

Patrzy w stronę parkietu. Dziewczyny, które wcześniej stały przy barze, utworzyły koło, śpiewają z przejęciem tekst piosenki. Jakaś para migdali się, rozchylając usta, uciskają namiętnie swoje pośladki. Samotny chłopak w kowbojskim kapeluszu stoi z uniesionymi ramionami i kołysze się jak dziecko, które dopiero nauczyło się stać. Calle nigdy wcześniej nie widział żadnego z nich, mimo to widział ich wszystkich.

– Dlaczego siedzisz tu sam? – krzyczy ktoś z fińskim akcentem do jego ucha, aż Calle podskakuje.

Obraca głowę. Tuż przy nim stoi kobieta w połyskującej koszulce sięgającej pępka. Platynowe włosy opadają kosmykami na słodką twarz o spiczastym nosie. Twarz jest zniszczona, jak u kogoś, kto miał ciężkie życie, ale jest w niej też coś królewskiego. To ta kobieta zawsze mówiła, że chciałaby zamieszkać na „Charismie”. Nagle stoi przed nim bohaterka jednej z jego klasycznych opowieści z życia na promie.

Jednak ona go nie rozpoznaje.

– Chodź, zatańczymy! – woła i ciągnie go za rękę. – Uwielbiam ten kawałek!

– Nie, dziękuję – wykręca się Calle. – Innym razem.

– Nie dziś wieczorem? Mamy tylko dziś wieczór!

Uśmiecha się szeroko, ale Calle wie, że w każdej chwili może stać się agresywna. Kręci głową.

– Nie mogę – mówi.

– Możesz, możesz – nie odpuszcza i ciągnie go tak mocno, że Calle omal nie spada z fotela. Kobieta wybucha śmiechem. – Ups! No chodź!

– Możesz zostawić mnie w spokoju? – prawie krzyczy i od razu żałuje. – Przepraszam, ale...

– Co tu, kurwa, robisz, skoro nie chcesz tańczyć?

– Miałem naprawdę ciężki wieczór – odpowiada, próbując przybrać skruszoną minę.

– Mogę ci go poprawić. Obiecuję.

Uścisk twardnieje. Paznokcie ma obgryzione i głęboko zapadnięte w ciało.

– Dziękuję – mówi Calle. – Nie, dziękuję.

– No weź, kurwa, nie bądź takim sztywniakiem!

Calle cofa dłoń, która zaczyna się pocić w jej uścisku.

– To nie jest odpowiedni moment. Lepiej odejść.

Długa wiązanka po fińsku, w tym kilka przekleństw, które rozpoznaje.

– Uważasz, że jesteś lepszy ode mnie, co? – mówi kobieta na koniec.

Nie ma siły próbować dotrzeć do niej raz jeszcze. Kobieta jest tak pijana, że stanowi tylko wiązkę emocji pozbawionych kontroli. Opada ciężko na fotel obok. Nie jest pewien, czy się przewróciła, czy usiadła dobrowolnie.

– Nie – odpowiada Calle zmęczonym głosem. – Wierz mi. W tej chwili od nikogo nie czuję się lepiej.

– No a co jest nie tak ze mną? – pyta z wyrzutem i zadziera głowę. – Możesz powiedzieć, zniosę wszystko.

Nie wie, co odpowiedzieć. I jakie to ma znaczenie? Ona jutro niczego nie będzie pamiętać. Rozkłada ręce.

– Nie to nie, pij sobie do cholery, sam sobie jesteś winien. Nie wiesz, co tracisz.

Kręci pogardliwie głową i odwraca wzrok. Calle już chce wyjść, kiedy nagle zauważa w barze Vincenta.

Widzi tylko jego kark, zarys ramienia, ale to mu wystarczy.

Vincent mówi coś do Filipa, na co ten kręci z żalem głowę. Robi dokładnie tak, jak obiecał.

Calle podnosi się, zauważa, że jest bardziej pijany, niż sądził. Staje za ośmioboczną kolumną obłożoną przyciemnionymi lustrami, które odbijają światła z parkietu. Co za żalosna kryjówka. On też jest patetyczny. Stoi tu i chowa się przed mężczyzną, z którym jeszcze przed chwilą myślał, że weźmie ślub.

Kobieta, która chciałaby zamieszkać na „Charismie”, zasnęła w fotelu.

– Jak się macie, dziewczyny? – woła Dan. – Podoba wam się rejs?

Reflektory grzeją Madde w twarz. Poza nimi lokal tonie w ciemnej mgłę. Dan ją objął. Położył na jej ramieniu swoją mocną dłoń. Tak przyjemnie pachnie. Dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała. Korzenne perfumy i rozgrzana skóra. Nuta potu. Pachnie seksem. Porankiem po seksie. Tuż przed kolejnym seksem. Czuje jego twarde ciało na swoim miękkim. Mięśnie tam, gdzie trzeba. Górne guziki koszuli są rozpięte, widać miękkie, drobne włoski, które rozbiegają się w górę po piersi. Madde chce poczuć je na opuszkach palców. Chce powąchać jego szyję.

– Świetnie – mówi Zandra.

Zawsze, gdy jest zestresowana, jej akcent robi się bardziej wyrazisty.

– Fajnie, fajnie – mówi Dan. – Skąd jesteście?

– Z Boden. Teraz jednak mieszkam w Gubbängen, a Madde w Sumpán.

– Ekstra. No to co nam dziś zaśpiewacie, dziewczyny?

– *You're the one that I want* – odpowiada Madde.

– Ach tak. – Dan puszcza do niej oko. – Czyli przychodzisz tu, by złożyć mi nieprzyzwoite propozycje?

Publiczność się śmieje, ale do Madde ten dowcip dociera dopiero po chwili. Zandra chichocze głośno, w każdej chwili może się przeobrazić w skrzeczącą mewę.

– Może i tak – bąka Madde.

Dan uśmiecha się do niej ciepło.

– No to która z was będzie Sandy, a która Danny?

Zandra zerka niepewnie na Madde. Śpiewały ten utwór już tyle razy, od czasu kiedy znowu zapanowała moda na *Grease*, w czasach kiedy chodziły do liceum. Nigdy jednak nie dzieliły się na role. Obie śpiewały wszystko.

– Zandra może być Sandy – mówi Madde. – W naszej dwójce ona jest tą grzeczną. Śmiechy w ciemnościach. Pojedyncze gwizdy.

Z Danem tak łatwo się rozmawia. Jest to zupełnie naturalne. Nie chodzi tylko o to, że jest zabawny. Ona robi się zabawna, kiedy on jest obok niej.

– Dobra – mówi Dan i widać, że czuje to samo. – Lecimy!

Publiczność towarzyszy im od samego początku. Wyklaskuje rytm, gdy tylko włącza się muzyka. Madde bierze głęboki oddech. Wpatruje się w pierwsze linijki tekstu na ekranie. Czeką, aż zmienią kolor. Czuje się jak zawodnik w blokach startowych.

Zandra znów chichocze.

I już mogą zacząć śpiewać.

I got chills, the're multiplyin'.

Znikają resztki zdenerwowania. Madde potrafi śpiewać. Nikt jej tego nie odmówi. Jest jak biegacz,

który pewnie stawia kroki. Nadaje tempo. Zauważa, jak na sali zmienia się energia.

...and I'm losin' control... [\[9\]](#)

Piski i gwizdy.

Pod sceną stoi Dan i patrzy na nią zaskoczony.

Wychodzi z Göranem na korytarz, zostawiają za sobą bar Starlight i dźwięki muzyki z dansingu. Mijają kasyno. Pub. Kawiarnię. Restauracja Poseidon jest już zamknięta, a stoliki nakryte przed jutrzejszym dniem. Idą dalej w kierunku dziobu, aż docierają z powrotem do wygaszonej restauracji z bufetem, gdzie jedli kolację. Wsiadają do windy przy schodach i Göran wciska guzik na piąty pokład.

Na jednej z lustrzanych ścian windy wisi laminowane zdjęcie dziewczyny owiniętej w biały szlafrok. Na oczach ma plastry ogórka i jasnozielony drink na wyciągnięcie ręki. „Pozwól sobie na luksusową kurację w Charisma Spa & Beauty”, nawołuje napis wydrukowany ozdobną czcionką. Marianne patrzy w lustro i doznaje szoku. Skóra na twarzy świeci się i rumieni, włosy sterczą na wszystkie strony. Zaczyna przeczesywać je palcami.

– Ładnie wyglądasz – zauważa Göran.

Opuszcza rękę. Patrzy na niego. Pochyliła się nad nią i całuje ją delikatnie. Zarost nad jego górną wargą kłuje ją w usta. Wydaje z siebie zduszony odgłos zaskoczenia i czuje, że jego wargi rozciągają się w uśmiechu, zanim oderwą się od jej ust.

Od razu za nimi tęskni.

Winda się zatrzymuje, Marianne spuszcza wzrok. Zauważa, że czubkami butów weszła w czyjeś wymiociny. Podnosi szybko głowę. Göran bierze ją pod ramię, chyba niczego nie zauważył. Wychodzą na piąte piętro. Naprzeciwko nich są stalowe drzwi, przez które weszli dziś wieczorem na pokład. Göran prowadzi ją w lewo, ale Marianne zatrzymuje się na widok młodej kobiety leżącej na podłodze przy windzie. Kosmyk jasnych włosów przykleił się jej do policzka i nie ma wątpliwości, że wymiociny pod podeszwą butów Marianne pochodzą od niej.

– Dobrze się czujesz? – pyta łagodnie Marianne, ale kobieta nie reaguje.

– Chodź – pospiesza ją Göran.

– Nie pomożemy jej?

– Po prostu trochę przedobrzyła. Wygląda, że smacznie śpi.

– Ale...

– Zajmie się nią ochrona.

Marianne kiwa niepewnie głową. Göran prowadzi ją dalej. Wchodzą w długi korytarz i idą ku części dziobowej. Marianne szura dyskretnie nogami, żeby jak najwięcej wymiocin zostało na wykładzinie.

Mijają kolejne rzędy drzwi do kabin. Zza niektórych z nich słychać muzykę. Krzyki i śmiechy, jęki, których nie da się pomylić z niczym. Na końcu korytarza znajdują się wielkie przeszklone drzwi. Gdy Göran je otwiera, Marianne uderza lodowaty podmuch wiatru, od którego jej wilgotna bluzka od razu robi się zimna. Deszcz przynajmniej na chwilę przestał padać.

Wychodzi za nim na ogromny pokład zewnętrzny, przechodzi przez trującą chmurę dymu unoszącą się nad grupą, która stoi tu i pali papierosy. Podchodzą do relingu przy dziobie statku. Göran osłania papierosa dłońmi. Wiatr rozwiewa jej włosy i Marianne bierze kilka głębokich oddechów, łapczywie

chłonąc świeże powietrze. Gdy Göran zaciąga się z rozkoszą papierosem i podsuwa jej paczkę, kręci tylko głową. W oddali świecą światła. Patrzy na wodę. Daje się niemal zahipnotyzować widokiem białej piany, która pieni się wzdłuż burt, potęgą ruchu, uśpionym hukiem. Gdzieś pod powierzchnią wody znajduje się jej kabina bez okien. Przebiega ją dreszcz i Göran obejmuje ją mocniej.

Pomruk silników się zmienia. Wibracje się nasilają.

– Czujesz, że zwalniamy? – pyta Göran, pokazując na światła przed nimi. – Niedługo będziemy na Wyspach Alandzkich.

– Przecież prom płynie do Turku – odpowiada. – Turku leży chyba w Finlandii.

Przygryza wargę. Zabrzmiało to idiotycznie.

– Muszą zatrzymać się na chwilę na Alandach, żeby móc prowadzić sprzedaż bezcłową. Ma to oczywiście związek z tymi wszystkimi przepisami unijnymi – mówi Göran i zaciąga się tak mocno, że aż iskrzy się końcówka papierosa. – Choć dla Alandczyków to dobrze. Zarabiają na tym niezłą kasę, w końcu rocznie zatrzymuje się tam kilka tysięcy promów. Poza tym mnóstwo Alandczyków pracuje na promach. Podejrzewam, że na wyspach nie ma ani jednego bezrobotnego.

Marianne stoi przez chwilę bez słowa. Uświadamia sobie, jak mało wie o Wyspach Alandzkich. Nigdy wcześniej chyba nawet nie myślała o tych wyspach. Zawsze wydawały jej się zwykłą blagą.

– Mimo wszystko to dziwne – odzywa się w końcu. – Że też zawsze da się nagiąć przepisy, jeśli się tylko tego chce.

– No tak. Chociaż promy nie przynoszą im tylko samych pieniędzy. Jeżeli ktoś nabroi na pokładzie, zostaje przekazany alandzkiej policji, więc mają też trochę ambarasu.

Parska śmiechem.

– Mojego znajomego wyrzucili tu jakiś rok po „Estonii”. Pomyślał, że zrobi dowcip, i wszedł pod prysznic w ubraniu. Potem wbiegł do któregoś z nocnych klubów, ociekając wodą, z krzykiem, że otworzyła się przyłbica.

Śmieje się i kręci głową. Marianne patrzy na niego z niedowierzaniem i nagle czuje się dużo bardziej trzeźwa, niż chciałyby być.

– Dawno nie słyszałam czegoś równie odrażającego – stwierdza.

– Był pijany – mówi Göran, jakby to cokolwiek tłumaczyło.

Marianne czuje narastające w niej rozczarowanie, jak gorzki smak w głębi gardła. Czar prysł. I z mowy jego ciała potrafi wyczytać, że to zauważył.

Stoi bez słowa i znów patrzy na pianę. Cieszy się, że nie wie, gdzie dokładnie na dnie leżą „Estonia” i jej pasażerowie, czy „Charisma” przepływa bezpośrednio nad nimi. Znów przechodzi jej przez myśl, że tak wielka metalowa konstrukcja nie powinna móc unosić się na powierzchni i choć to dziecinne, że nawet prom może w każdej chwili dojść do takiego wniosku. Pójdzie na dno jak kamień. Zauważa, że myśli o „Charismie” jak o żywym organizmie, nie jak o martwym przedmiocie kierowanym przez ludzi. Nie wydaje jej się możliwe, żeby kapitan był w stanie kontrolować te tysiące ton, niezależnie od tego, jaką dysponuje aparaturą.

– Co tam? – pyta Göran.

– Uważam, że nie powinno się żartować na temat „Estonii”.

– Wiem. To było idiotyczne. Nie powinienem był ci o tym opowiadać.

Zabrzmiało to, jakby naprawdę tego żałował.

– Rzeczywiście, nie powinieneś. Przynajmniej nie powinieneś był się z tego śmiać. To naprawdę nie jest zabawne. To jest brak szacunku.

Göran wyrzuca niedopałek za burtę. Marianne odprowadza go wzrokiem.

– Nieraz zdarza mi się coś palnąć – tłumaczy się. – Z chłopakami, no wiesz... nie zawsze jesteśmy aż tak porządni. Rzadko kiedy spotykam takie kobiety jak ty.

Milczy tak długo, że chce go zapytać, co ma na myśli, ale wtedy odchrząkuje i oznajmia:

– Masz klasę, Marianne. Podoba mi się, że potrafisz się postawić. Przepraszam.

Od razu mu wybacza. Wzrusza ją to, co powiedział, a ona nie chce zostać sama z tym obezwładniającym poczuciem rozczarowania, które by tylko potwierdziło, że ta podróż była pomyłką. Chce przeżyć przygodę.

– Ja też przepraszam. Może trochę przesadziłam – mówi Marianne. – Pewnie to dlatego, że ktoś z moich przyjaciół zginął na „Estonii”.

Kłamstwo wymyka jej się, jeszcze zanim jej się pomyślało, i od razu tego żałuje.

Rozgląda się, żeby nie musieć patrzeć mu w oczy. Za ich plecami piętrzą się górne pokłady „Charismy”. Na najwyższym piętrze stoją ludzie, tuż pod nimi znajduje się, jak się domyśla, mostek kapitański.

– Naprawdę mi przykro. Czy to był ktoś bliski?

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Teraz... teraz mogę zapalić.

Göran puszcza ją, a jej serce bije jak oszalałe. Słyszy pstryknięcie zapalniczki w jego ułożonych w miseczkę dłoniach.

– To straszne. Naprawdę się wygłupiłem – mityguje się i podaje jej papierosa. – Ech, ta moja niewyparzona gęba.

Marianne zaciaga się ostrożnie dymem. Z zaskoczeniem stwierdza, że wciąż jej smakuje. Nie paliła od... właśnie, od kiedy? Chyba jakoś od lat osiemdziesiątych. Nie wróciła do palenia nawet w czasie rozwodu.

– Zapomnijmy o tym – prosi. – Nie chcę o tym myśleć dziś wieczorem. Dawno tak dobrze się nie bawiłam.

– Czyli że mimo wszystko dobrze się bawisz? Ze mną?

Marianne przytakuje i podnosi wreszcie na niego wzrok.

– To dobrze – mówi Göran. – Bo noc dopiero się zaczęła.

Niecałe sto metrów dalej, również na piątym pokładzie, w biurze siedzi Bosse. Pije kawę z białego porcelanowego kubka z napisem „Najlepszy dziadek na świecie”. Uśmiecha się szeroko do jednego ze znajdujących się przed nim ekranów. Widać na nim dwoje młodych ludzi przywierających do ściany jednego z krótkich korytarzy na drugim piętrze od strony rufy. Nie zdają sobie sprawy z obecności kamery. Spódniczka zsunęła się z ud dziewczyny, która od czasu do czasu popija z butelki. Od rytmicznych pchnięć nie zawsze trafia w butelkę, śmieje się. Na ziarnistym obrazie na ekranie jej pobłyskujące oczy wydają się puste. Bosse siorbie kawę. Na razie tylko on ich namierzył ze swojej wszytkowidzącej boskiej perspektywy. Chłopak posuwa ją coraz mocniej. Dziewczyna upuszcza butelkę. I nagle jest po wszystkim. Chłopak zapina spodnie, dziewczyna opuszcza spódniczkę, dostaje całusa w policzek. Stoi jeszcze przez chwilę, kiedy on odchodzi korytarzem. Potem odwraca się i wchodzi do kabiny. Bosse chichocze i kręci głową. Sprawdza kolejne ekrany. Zauważa jakąś blondynkę, która zasnęła przy windach na piątym pokładzie. Obrócona plecami do kamery przykucnęła przy niej jakaś ciemnowłosa kobieta, która trąca ostrożnie ramię dziewczyny. Bosse robi zbliżenie, żeby sprawdzić, co się wydarzy. Blondynka budzi się, wygląda, jakby próbowała skupić wzrok na mówiącej coś do niej kobiecie. Przytakuje. Szuka czegoś w torebce, wyjmuje kartę. Ciemnowłosa kobieta bierze ją mocno pod ramiona i pomaga wstać. Bosse przez moment widzi jej twarz. Ma mocny makijaż. Coś w niej budzi w nim niepokój. Przez chwilę się zastanawia. Patrzy na stojący na biurku telefon. Potem znów na postaci na ekranie. Wchodzą w długi korytarz od lewej strony burty. Zmienia kamerę i obserwuje je dalej. Otrząsa się z wrażenia niepokoju. Myśli o tym, że ochrona ma gorsze rzeczy na głowie.

Dziewczyna ma na imię Elvira i nigdy jeszcze nie była aż tak pijana. Przytrzymująca ją w pionie kobieta dziwnie pachnie, miętą i jeszcze czymś słodkim i zgniłym. Elvira myśli o tym, że kobieta przynajmniej jest miła. Mówi do niej spokojnie, łagodnie i nieco staroświeckim tonem. Elvira chciałaby móc jej podziękować. Chciałaby wyjaśnić, jak to się stało. Powiedzieć: „Wiedziałam, że za dużo piję, ale nie chciałam już być tą nudziarą, która nie potrafi się wyluzować, chciałam być jak oni, choć raz, poszliśmy do Charisma Club i potem nic już nie pamiętam. To takie niesprawiedliwe. Ile razy to ja im pomagałam, kiedy byli pijani? Pewnie dlatego pozwalają, żebym z nimi była. Ale kiedy to ja potrzebuję pomocy, oni po prostu znikają”.

Chciałaby powiedzieć o tym wszystkim tej obcej kobiecie, ale usta są nieposłuszne. Wydaje z siebie tylko jęki. Zatrzymują się przed drzwiami i kobieta wkłada kartę do czytnika. Nie ma wszystkich palców. Elvira patrzy na nią, przymykając oko. Próbuje się skupić, ale oko jej nie słucha. Sprawdza drugie. Jak u okulisty: „Którym lepiej? Lewym czy prawym? Bez różnicy”. Widzi jednak na tyle dobrze, żeby dostrzec, że kobieta jest chora. Coś jest nie tak z jej twarzą. I z zapachem. Elvirę znów nachodzą mdłości. Pozwala się wprowadzić do kabiny. Rozgląda się, kiedy drzwi zamykają się za nimi. Miałyśmy pojedyncze łóżka... dlaczego tu jest podwójne? Próbuje protestować, ale boi się, że znów wymiotuje. Nienawidzi wymiotować. Kobieta sadza ją miękko na łóżku. Nie jest posłane. Zauważa dużą plamę na wykładzinie w nogach łóżka. Błyszczący kawałek szkła. Przechodzi jej przez myśl, że ktoś tu imprezował, może to dlatego kobieta nagle wydaje się zdenerwowana. Potem Elvira nie ma już siły więcej myśleć.

Głowa opada jej na piersi. Teraz jest taka ciężka, jakby już nigdy nie miała jej podnieść. Kobieta kładzie ją ostrożnie na boku. Gładzi ją po włosach trzema palcami prawej ręki. Elvira próbuje coś powiedzieć, ale kobieta ucisza ją łagodnym tonem. I Elvira przymyka oczy. Cieszy się, że nie musi być sama.

„Odpocznę chwilę. Potem zapytam, co tutaj robimy”, myśli.

Ciemnowłosa kobieta się boi. Plama na wykładzinie wciąż pachnie krwią. Zastanawia się, jak jej syn mógł tak bardzo ryzykować. Musiał być zdesperowany. Zbyt wiele czasu potrzebowała, żeby znaleźć tę dziewczynę. Przypomina jej się starsza kobieta, którą zauważyła już na początku wieczoru, kiedy siedziała przy stoliku w McCharisma. Samotność aż od niej biła, ale potem przyszli do niej jacyś znajomi. Ciemnowłosa kobieta rzadko się myli. Rozbudzona nadzieja zostawiła po sobie dziki głód, który był jeszcze silniejszy niż wcześniej. Znów patrzy na plamę krwi na wykładzinie. Zastanawia się, gdzie jest teraz ciało. Gdzie jest jej syn. Czy zrobił to, żeby ją ukarać. Dobrze wie, jak bardzo jest na nią zły. Było im dobrze w Sztokholmie. Miasto, w którym kiedyś wszystko się zaczęło, było jedynym prawdziwym domem, jaki kiedykolwiek mieli. Nie mogli w nim jednak zostać. Nigdy nie mogą zostać. Myśli o kamperze, który stoi na pokładzie samochodowym. Mieści się w nim cały ich dobytek. Przeżyli już razem tyle lat, a mimo to mają tak rozpaczliwie mało. Odwraca się do Elviry. Kładzie dłoń na jej karku. Palce ściskają kręgi. Liczy od góry do dołu. Elvira mruczy coś pod nosem, ale nie otwiera oczu.

Na pokładzie samochodowym stoi samochód ciężarowy kierowany przez mężczyznę o imieniu Olli. Teraz Olli śpi w kabinie pod powierzchnią wody głębokim snem pozbawionym snów. Na podłodze przy jego łóżku stoi wypita do połowy butelka rosyjskiej wódki ze sklepu wolnocłowego. Gdy nagle ktoś puka do drzwi, Olli potrzebuje chwili, żeby się wybudzić. Szuka po omacku nocnej lampki, mruży oczy pod wpływem światła. Jest pijany. Któregoś dnia wpadnie podczas badania trzeźwości i myśli, że nie miałyby nawet nic przeciwko temu. Potrzebuje alkoholu, żeby móc zasnąć i zapomnieć o stresie i wiecznym bólu pleców i barków.

Myśli o czekających go następnego dnia godzinach za kierownicą. Będzie ich zdecydowanie zbyt wiele. Spedytor łamie prawo. Kombinują na prawo i lewo. Często nie wie nawet, jaki wiezie ładunek, i podejrzewa, że są ku temu powody. Ktoś znowu puka. *Mina tulen, Mina tulen, ota helvetissa iisisti*, mruczy pod nosem Olli i spogląda na ekran telefonu. Orientuje się, że spał najwyżej dwie godziny. Drapie się po gęstym zaroście na piersiach. Naciska kławkę i w tej samej chwili przypomina mu się, że ma na sobie tylko kalesony. Uchyła drzwi. Na korytarzu stoi jasnowłosy chłopczyk, najwyżej pięcioletni. Patrzy na niego dużymi, mokrymi od łez oczami. Ma twarz w kształcie serca. Prosty drobny nos. Ciągnie nerwowo za sznurki czerwonej bluzy z kapturem.

– Nie mogę znaleźć mamy – mówi.

Olli zauważa kilka zygzakowatych szram pod lamówką jego tiszertu. Są błyszczące i zaróżowione, wyglądają, jakby świeżo się zagoiły. Zastanawia się, jak chłopiec mógł nabawić się takich blizn. Przebiega go dreszcz. Otwiera drzwi.

Ciasna klatka schodowa prowadząca w dół na jej pokład nie jest wyłożona wykładziną. Mijają drzwi wychodzące na pokład samochodowy i schodzą jeszcze niżej. Dochodzą do stalowych drzwi. Kiedy je otwiera, uderza ich smród z szamb, a szum motorów robi się jeszcze głośniejszy.

– Nigdy nie zarezerwowałabym tu kabiny, gdybym wiedziała, jak to wygląda – mówi i wchodzi na ostatni bieg schodów.

Światło w korytarzu na drugim pokładzie jest zimne i niekorzystne. Wykładzina bardziej szorstka i zniszczona.

Od wszystkiego aż bije niższą klasą, myśli Marianne. Najniższą kastą, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Nawet śmierdzi gównem.

Wolałaby pójść do kabiny Görana, ale on nocuje w niej z trójką przyjaciół, a ona nie chciałaby, żeby weszli, gdy będą się kochać.

Marianne czuje, jak czerwienieje na całym ciele. Choćby nie wiem jak bardzo próbowała udawać sama przed sobą, że nie wie, co za chwilę się wydarzy, że nie wie, czego chce, to takie myśli jak ta przed chwilą ją demaskują.

Czuje się coraz bardziej zagubiona, gdy szukają jej kabiny, błędząc po klaustrofobicznych korytarzach. Zeszli inną klatką niż ta, którą wcześniej wchodziła, nie rozumie, jak działa tu numeracja. Nerwy nie poprawiają zmysłu orientacji, w końcu jednak docierają do drzwi z numerem 2015 na końcu krótkiego korytarza. Wchodzi pierwsza. Siada na pojedynczym łóżku i zapala lampkę nocną. Zrzuca buty i od razu odczuwa ulgę. Podciąga nogi. Ledwo wyczuwalne kołysanie promu przyprawia ją o lekkie zawroty głowy. Przyczynia się do tego również alkohol, co do tego nie ma złudzeń, ale czuje się zaskakująco trzeźwa. W pełni obecna. Wszystkie zmysły są obudzone.

Göran zamyka drzwi. Kiedy widzi go tak wysokiego i barczystego, rozumie, jak mała tak naprawdę jest kabina.

– Mówiłaś chyba, że miałaś dzielić tę kabinę... z przyjaciółką?

Marianne kręci głową.

– Nie, skąd. Ona miała kabinę obok – mówi i od razu żałuje, bo jak wytłumaczy, jeśli usłyszą kogoś zza ściany? – Lub raczej kilka drzwi dalej, już nie pamiętam.

U wezłowania łóżka trzeszczy ściana. Z jej drugiej strony lodowate wody Bałtyku napierają swoim niezmiernym ciężarem na burzę.

Göran siada obok niej. Włosy ma upięte w kucyk. Podoba jej się to. Ma ładny kształt głowy.

– Jesteś pewien, że twoi przyjaciele nie będą mieć ci za złe, że ich zostawiłeś?

– Poradzą sobie. – Göran puszcza do niej oko. – Na moim miejscu zrobiliby to samo, gdyby tylko mieli okazję.

Marianne uśmiecha się. Zastanawia się, czy chciał przez to powiedzieć, że przyjaciele poszliby do kabiny z kimkolwiek, czy że poszliby akurat z nią, bo oni również uważają, że jest atrakcyjna. Przyłapuje

się na tym, że ma nadzieję, że raczej to drugie. Aż wstyd, że tak bardzo zależy jej na tym, żeby ją docenił.

– Chodziło mi o to, co powiedziałam już wcześniej... Że dawno już tak dobrze się nie bawiłam. Myślałam, że już zapomniałam, jak to się robi.

Śmieje się.

– Trudno mi w to uwierzyć.

Spódniczka zsunęła się z kolan, ciągnie lekko za materiał, zmienia pozycję, żeby kolana znów się zakryły.

– Gdybyś tylko wiedział...

Mijają sekundy.

– Zauważyłaś, jak cicho się zrobiło? – mówi Göran i Marianne kiwa głową.

Potem dociera do niej, że chodzi mu o prom. Wibracje ustały. Słyszą tylko niskie pomruki.

– Dopłynęliśmy do Alandów – stwierdza.

Marianne kiwa głową, bo nie wie, co miałyby na to odpowiedzieć. Gdy tu szli, Göran opowiadał o wrakach leżących na dnie wokół wysp. O szampanie wyłowionym z francuskiego statku płynącego do Rosji, który rozbił się tu na początku dziewiętnastego wieku. Kilka lat temu butelki osiągnęły cenę setek tysięcy koron za sztukę.

– Nie ma takiego szampana, który byłby wart aż tylu pieniędzy – powiedziała. – Tylko ludzie o wyjątkowo ubogim życiu wewnętrznym potrzebują czegoś takiego.

Göran roześmiał się na te słowa.

Podoba mu się. Naprawdę. Potrafi to dostrzec w jego oczach.

– Tego też dawno nie robiłam – mówi.

– Co masz na myśli? – pyta Göran i tym razem na szczęście domyśla się, że tylko się z nią drażni i nie ośmiesza się, próbując się tłumaczyć.

– Po prostu to takie dziwne. Dopiero co się poznaliśmy, a teraz... jesteśmy tutaj. Nic o tobie nie wiem.

– Wiesz, że mieszkam sam w Huddinge. I że kiedyś pracowałem z chłopakami w Televerket.

– To niewiele.

– Nie ma o czym opowiadać – mówi i opiera się o ścianę. – Ale jeśli o czymś chciałabyś wiedzieć, po prostu pytaj.

Wydaje się spokojny, z dłońmi splecionymi na brzuchu, stopami pewnie opartymi na ziemi, rozchyłonymi nogami. Taki bez troski. Marianne chciałaby go zapytać o tak wiele rzeczy, ale żadne z pytań, które przychodzą jej do głowy, nie wydaje się w tej chwili odpowiednie.

„Co robisz, kiedy jesteś sam? Czy byłeś kiedyś naprawdę sam? Jacy byli twoi rodzice? Czy wierzysz w Boga? Czy byłeś kiedyś poważnie chory? Czy myślisz, że to może być początek czegoś? Czy mogłabym ci się naprawdę spodobać? Czy potrafiłbyś ze mną wytrzymać?”

– Nie wiem nawet, czy byłeś żonaty – mówi. – Lub czy masz dzieci.

– Żonaty tak – odpowiada. – Dzieci nie.

„Jaka była twoja żona? Chciała mieć dzieci, a ty nie? Czy to dlatego się rozwiedliście? Co takiego wydarzyło się między wami? Jeśli z tego coś będzie, jeśli będziemy razem, co powinnam robić, żeby tego

nie zniszczyć?”

– A ty nie chcesz się mnie o coś zapytać?

– Nie – odpowiada i kładzie dłoń na jej udzie, przesuwa palcami po materiale spódniczki. – Podobam się, że jesteś dla mnie tajemnicą.

Ku swojemu zaskoczeniu Marianne wybuchła śmiechem.

– Nigdy nie czułam się zbyt tajemnicza.

Bierze głęboki oddech. Postanawia, że nie będzie próbowała znaleźć na siłę jakiegoś pytania, które w jakiś sposób pozwoli jej poczuć się komfortowo z myślą, że za chwilę pójdzie do łóżka z obcym człowiekiem.

Uważa, żeby nie powiedzieć o jedno słowo za dużo. Nie chce zniszczyć tej chwili.

Göran kładzie się na boku, podpira głowę dłonią. Palce drugiej ręki znikają pod spódniczką. Wędrują w górę po wewnętrznej stronie jej opiętych rajstopami ud. Dotyk sprawia, że gęsia skórka rozchodzi się po jej ramionach, w górę i w dół wzdłuż kręgosłupa, w jej najdalsze zakątki i zakamarki.

Nie wydaje jej się obcy. Wie o nim wszystko, co musi w tej chwili wiedzieć. Będzie jeszcze czas na pytania.

– Połóż się – mówi do niej.

Tym razem jednak go nie słucha. Naciska wyłącznik i światło znika, jakby połknęła je ciemność. Ma wrażenie, że widzi cienie i kształty poruszające się blisko jej twarzy, czarne na czarnym, ale to tylko urojenia. Göran nieporadnie próbuje zdjąć jej spódniczkę, a ona unosi uda, żeby mu pomóc. Rajstopy. Potem majtki. Pieści ją, a jej skóra jest tak wrażliwa, że Marianne ma wrażenie, jakby potrafiła wyczuć odciski palców, które zostawia Göran, kiedy jej dotyka.

Płyną łzy. Na szczęście jest ciemno i może udawać, że jej łkanie jest tak naprawdę cichymi, pełnymi podniecenia jękami. Rozlega się brzęknięcie, gdy Göran rozpiną pasek. Zrzuca dzinsy i od razu kładzie się na niej. Przyciska wargi do jej podbródka, szuka jej ust. Całują się w ciemnościach, na samym spodzie brzucha promu, a morze na zewnątrz nie napawa jej już lękiem.

Islands in the stream, that is what we are.

Na scenie stoją Lasse o twarzy prosiaka i Stefan. Wydzierają się na całe gardło. Między nimi leży rzucony welon panny młodej, brudny od piwa i popiołu z papierosów. Publiczność wyje zachwycona razem z nimi.

Madde nie może na nich patrzeć. Kiedy przed chwilą próbowała skupić wzrok na scenie, poczuła, jakby wszystkie światła zaczęły szybować w górę, a świat miał się za chwilę przewrócić do góry nogami. Lub jakby ona miała to zrobić, a wtedy turlałaby się w nieskończoność. Musi się mocno trzymać poręczy fotela. Nie wolno jej zamknąć oczu, bo wtedy będzie jeszcze gorzej. W środku jest bardzo gorąco. A mimo to twarz ma całkiem zimną.

Mdli ją, ale boi się, że zemdleje, jeśli spróbuje się podnieść. Dlaczego przestawiła się na piwo? W ustach czuje metaliczny, gorzki smak, jakby piła przez żelazną rurkę.

Zandra niczego nie zauważyła, jest za bardzo zajęta obściskiwaniem się z Peo.

Sail away with me, to another world, and we rely on each other, ah-ah.^[10]

Musi zwymiotować. Potrzebuje pomocy. Rozluźnia uścisk i puszcza poręcz. Wyciąga rękę, kładzie ją na udzie Zandry. Zandra podnosi wzrok. Usta błyszczą jej od śliny.

– Co tam, kochana? – pyta.

Przynajmniej tak się Madde wydaje. Widzi tylko, jak mokre wargi Zandry się poruszają. Nie słyszy nic poza wrzaskiem wypełniającym salę.

Madde chyba zdołała coś powiedzieć albo też Zandra rozumie ją bez słów, bo podnosi się z kolan Peo i bierze ją za rękę. Madde wstaje szybko z fotela, żeby nie zacząć się zastanawiać, to jedyny sposób. Teraz naprawdę jest jej niedobrze. Szybko. Coś łaskocze ją w gardło. Ma wrażenie, jakby wszystkie te łososie i śledzie, które zjadła dziś wieczorem, ożyły w niej i zaczęły się miotać, uderzając płetwami ogonowymi o ścianki gardła.

Twarcz jest tak zimna, mimo to spływa po niej pot.

Zandra prowadzi ją przez salę, przeciska się przez te wszystkie rozgrzane ciała. Madde idzie za nią. Kątem oka zauważa Dana Appelgreana, jak stoi pod sceną.

Ryby coraz gwałtowniej miotają się w brzuchu. Pływają w kółko tak szybko, że wszystko się wokół nich pieni. Madde spuszcza wzrok. Wychodzą z baru karaoke, Zandra ciągnie ją w prawo i nagle zamiast wykładziny widzi kafelki, a potem wewnątrz kabiny, i Madde pochyla się do przodu i otwiera szybko deskę klozetową. Zandra zamyka drzwi.

Zauważa kilka plam kału po wewnętrznej stronie muszli. Skupia na nich wzrok. Wymiociny płyną jej z ust, z początku masa piwa, potem gorzki gin z tonikiem, a na koniec częściowo przetrawione jedzenie, ciężkie i papkowate, przykleja się do gardła tak, że musi odchrząkiwać i odkasływać. Gorące łzy płyną po jej zimnych policzkach.

Zandra przytrzymuje jej włosy, gładzi po plecach.

– Ja pierdolę – przeklina Madde. – Ja pierdolę.

– Lepiej ci?

Madde urywa papier toaletowy i zgniata w kulkę. Wyciera usta. Osusza oczy.

– Ja pierdolę – powtarza.

Poprawia się. Czeka, aż najdzie ją kolejna fala mdłości, ale nadaremnie. Sprawdza, czy nie pobrudziła ubrania. Wrzuca papierową kulkę do toalety i spuszcza wodę.

– Tak – odpowiada. – Teraz już lepiej.

Zamiast mdłości pojawił się jednak dudniący ból głowy. Tak jakby miała kaca. Palcami wskazującymi wyciera skórę pod oczami, opuszki robią się czarne od tuszu.

– Dobrze – mówi Zandra i znów gładzi ją po plecach.

Patrzy na Madde z taką samą troską jak wtedy, gdy pociesza swoją córkę. Łagodne, cudowne, współczujące oczy.

– Mogę iść z Peo do ich kabiny?

Dopiero po kilku sekundach dociera do niej, co naprawdę usłyszała.

– Teraz? Przecież się bawimy.

– Okropnie się schlał – wyjaśnia Zandra. – Chyba już mu zwiotczał. Jeśli będzie dalej pić, będę go chyba musiała sama wciągnąć.

– No ale... ale co ja będę robić?

– Możesz zostać z resztą. Ten, no ten, jak on się nazywa, chyba mu się podobasz.

– Pierdol się – mówi Madde, odchyła się do tyłu i opiera o wyłożoną kafelkami ścianę. – Myślałam, że się zabawimy dziś wieczorem. Chyba tak się umawialiśmy?

– Przecież się bawimy. – Zandra się śmieje, jakby nic się nie stało.

– Cholera, cała ty. Gdy tylko złowisz jakiegoś kolesia, nic więcej się nie liczy. Zwłaszcza ja.

– Daj spokój. Złócisz się, bo udało mi się znaleźć kogoś szybciej niż tobie. Na moim miejscu zrobiłabyś to samo i nie miałabym o to do ciebie pretensji.

W jej spojrzeniu pojawiła się jakaś wrogość.

– Aha – mówi Madde, a złość napełnia ją nową energią. Całą masą energii. – Kurwa, co za szczodrość. A może wcale mi się nie podoba, że po prostu mnie olewasz, gdy tylko namierzysz jakiegoś kutasa.

Zandra przygląda jej się. Zanim jeszcze otworzy usta, Madde wie, że powie coś wyjątkowo kłamliwego.

– Rozumiem, że jest ci ciężko, z pracą i w ogóle, ale nie wyzywaj się za to na mnie, bo sobie na to nie zasłużyłam.

Zandra otwiera drzwi i wybiega z kabiny. Madde wpatruje się w drzwi, które zatrzasują się między nimi.

– Lepiej się zamknij! – krzyczy, choć nie wie, czy Zandra jeszcze tam jest. – Jesteś tylko pieprzoną samolubną pizdą!

Jak to się kurwa stało? I jak mogło się stać tak szybko?

Ból głowy przypomina żelazne szpony, które powoli przebijają się przez kości jej czaszki. Wychodzi z kabiny. Na zewnątrz nie ma Zandry.

Podchodzi do umywalki i pije wodę z kranu. Nie obchodzi jej, że z kabiny obok wyszła jakaś dziewczyna i gapi się na nią, myjąc ręce. Prostuje plecy. Patrzy w lustro, wygląda zaskakująco dobrze. Ma tylko lekko zaczerwienione oczy.

Próbuje zebrać myśli. Próbuje zrozumieć, co tak naprawdę ją zdenerwowało. Zrobiłabyś to samo. Zandra ma rację.

Madde wybiega z toalety. Wbiega z powrotem do wypełnionego wilgotnym ciepłem baru karaoke. Dan stoi sam na scenie, śpiewa *Gorączkę w moim sercu*, przeciska się do przodu pomiędzy stojącymi w miejscu i śpiewającymi razem na całe gardło.

Zandry nie ma przy stoliku. Zostało po niej tylko kilka różowych piór. Jej amant również zniknął. Za to Świński Ryj rozpromienia się na widok Madde. Macha do niej ręką. Stolik jest zastawiony kieliszkami do szotów.

– Chodź – mówi, a ona opada na fotel przy nim, bo chwilowo nie ma innego pomysłu.

Podaje jej kieliszek. W ciemnościach nie widzi, jakiego koloru jest napój, lecz brzegi kieliszka są pokryte jakąś oleistą substancją. Pociąga ostrożnie nosem. Pachnie malinowymi żelkami.

– No to siup! – odzywa się ktoś z towarzystwa.

Kiwa głową. No to siup. Nie ma innego sposobu, żeby pozbyć się bólu głowy. Jeśli się teraz nie napije, już nigdy się nie podniesie.

Szot gładko przechodzi przez gardło. Nie musi nawet przełykać. Świński Ryj podsuwa jej kolejny.

– Twoja koleżanka poszła do kabiny z Peo – mówi. – Możesz więc wypić jej.

Madde spogląda na Dana stojącego na scenie. Koszula powiewa na jego piersi. Na pewno ma takie mięśnie w pachwinie, ukryte pod spodniami, które wyglądają jak strzałka wskazująca penis.

Nie ma zamiaru jeszcze kłaść się spać.

Po tym jak wychyliła drugiego szota, Lasse przysuwa się do niej. Zaczyna bawić się jej włosami.

– Wasza kabina jest wolna. Pomyślałem, że może ty i ja moglibyśmy zrobić sobie tam małe afterparty.

Madde kręci głową. Nie ma nawet siły odpowiadać. Jego palce zatrzymują się w jej włosach.

– Ej, no weź.

– Nie – mówi i patrzy mu twardo w oczy, na szczęście udaje jej się znów skupić wzrok.

Najpierw Zandra, a teraz to. Ma już dosyć.

– Jak to: nie?

– Co, nie rozumiesz po szwedzku?

Oblizuje przednie zęby. Prosiak jest zły. Zły jak świnia. Madde wybucha śmiechem.

Lasse odsuwa rękę, a ona czuje jakby ukłucia drobnych igieł na skórze głowy, kiedy wypada jej kilka włosów. Nie przestaje się śmiać, choć już jej to nie bawi.

– Wiedziałem – mówi. – Chciałaś tylko, żeby ci stawiać drinki, a potem się zmyć. Zadowolona jesteś, ty głupia zapita kurwo?

Koledzy zerkają na nich. Chyba zauważyli, że coś jest nie tak.

– Uważasz, że jestem ci winna rżnięcie? Zapomnij. Nie jesteś w moim typie.

Oczy ciemniej mu jeszcze bardziej.

– Nie no, jasne, ja wiem, kto jest w twoim typie. Widziałem, jak się na niego gapisz. – Macha ręką w kierunku sceny. – Appelgren to cienias. – Na Stureplan wszyscy wiedzą, jak traktuje swoje laski. Otóż bije je. A nawet dużo gorzej. No ale ty na pewno uważasz, że niegrzeczni chłopcy są zajebiści.

Ostatnie słowa dosłownie z siebie wypluwa. O czym on, kurwa, mówi? Myśli, że uwierzy mu w to, co wygaduje o Danie? Przecież o mało której gwieździe nie krążą takie plotki. Nie ma jednak zamiaru powiedzieć tego na głos, bo wie, że to by go tylko jeszcze bardziej rozkręciło.

– Takie są właśnie laski. Kiedy przychodzi co do czego, wybieracie facetów, którzy traktują was jak gówna. Jestem fajnym chłopakiem, ale co, kurwa, z tego mam? Żadna nie chce mieć miłego chłopaka, choćby nawet tak gadały.

– Może nie na tym polega problem – mówi Madde. – Może problem polega na tym, że jesteś tak cholernie brzydki i tak się nad sobą użalasz. To nie jest zbyt seksowne.

– Ty też nie jesteś najpiękniejsza – syczy. – No ale ty i tak nigdy tego nie zrozumiesz. Laskom wystarczy, że odsłonią trochę cycki i zadrą spódniczkę i już mogą mieć każdego faceta.

– A może jesteś zazdrosny? Może wolisz facetów?

– Jesteś taka brzydka, że aż się chce być gejem.

– Aha. Dlaczego w takim razie chciałeś iść ze mną do kabiny?

– Bo z daleka widać, jaka ty i twoja koleżanka jesteście tanie, a ja nie miałem ochoty się wysilać.

Jej ręka zatacza łuk w powietrzu, ale pudłuje o kilka decymetrów. Patrzy na nią zadowolony. Koledzy wstają od stolika.

– Przepraszam – mówi szeptem Stefan i poprawia welon. – Zawsze jest taki, kiedy się napije. Zaraz się nim zajmiemy.

Nie odpowiada. Nie patrzy nawet za nimi, kiedy odchodzą.

Na scenie ktoś zaczął śpiewać *Öppna landskap*.

Kapitan Berggren wrócił na mostek. Zdążył uciąć sobie dłuższą drzemkę i zjeść resztki z Charisma Buffet w mesie dla oficerów. Spogląda na alandzki port. Pojedynczy pasażerowie, którzy wysiedli z promu, idą teraz przez rozświetlone szklane tunele, które rozchodzą się po nabrzeżu jak macki.

Większość rodzin z dziećmi i starszych pasażerów położyła się już spać. Dla pozostałych impreza dopiero się zaczęła. Na parkietach i w barach panuje gorączka.

Pracownicy sklepu wolnoćlowego i działu spa skończyli swoją zmianę. Niektórzy już śpią. Inni siedzą w pokoju dziennym i grają w karty albo oglądają filmy. Niewielka grupa zebrała się w jednej z kabin dla personelu. Przebrali się w swoje prywatne ubrania. Plotkują na temat pasażerów i kolegów. Dzisiejszy dzień należał do wyjątkowo udanych, dlatego po zamknięciu sklepu wolnoćlowego kierownik rejsu zaprosił wszystkich pracowników na szampana. W kambuzie personel kuchenny sprząta po kolacji. W ciągu zaledwie kilku ostatnich godzin umyto tysiące brudnych talerzy. I jeszcze więcej kieliszków. Każdego tygodnia wyrzuca się tony jedzenia, ponieważ pasażerowie nakładają sobie więcej, niż są w stanie zjeść.

Jakaś kobieta zasnęła sama przy stoliku w barze karaoke. Wciąż trzyma jednak kieliszek do szotów. Na stoliku leży kilka różowych piórek, poruszają się lekko pod wpływem jej głębokiego oddechu.

Na najniższym pokładzie starsza kobieta kocha się z poznanym dopiero mężczyzną.

Dwoje dzieci, kuzyni, leżą w podwójnym łóżku i śmieją się, patrząc na ekran, na którym widać parkiet Charisma Club.

Piętro niżej, w innym podwójnym łóżku, leży Elvira. Ma zmiążdżony czwarty kręg szyjny. Jest sparaliżowana od szyi w dół. Uwięziona w ciele, którego już nie czuje. Ogarnięta paniką, od której krew buzuje w żyłach, skóra czerwienieje, a zapachy ciała stają się intensywniejsze. Ciemnowłosa kobieta, która siedzi obok niej na brzegu łóżka, zatkała jej usta kłębkim materiału. Elvira próbuje mimo to błagać, układać słowa, przebić się przez ból. „Chcę do domu. Chcę do domu. Chcę do mamy i taty, chcę do domu, chcę do domu”. Łza spływa jej po skroni, wpada do ucha. Światło z terminalu sączy się przez okno, pada na kobietę siedzącą na brzegu łóżka. Oczy błyszczą jej ciemno na mocno umalowanej twarzy. Gładzi suchym palcem po policzku Elviry. Ociera jej łzy. Przekrzywia głowę, jakby żałowała tego, co za chwilę zrobi.

Kobieta już podjęła decyzję. Nie może dłużej czekać. Nie może myśleć racjonalnie, jeśli wcześniej czegoś nie zje.

„Charisma” powoli zaczyna wypływać z portu na Alandach i drzenie podłogi zmienia się. Budzi mężczyznę o imieniu Tomas, leżącego na ławce na pokładzie spacerowym na dziewiątym piętrze. Nie ma w głowie żadnych myśli, żadnego siebie. Został w nim tylko świdrujący głód, od którego płonie i trzęsie się z zimna. Każdą komórkę i końcówkę nerwową jego ciała wypełniają lód i magma. Ten głód i panika, jaką w nim wywołuje, sprawiają, że wreszcie podnosi się z ławki pomimo bólu. Nogi są ciężkie i sztywne. Przekrzywia głowę. Pociąga nosem. Serce znów zaczęło bić. Powolne, ociężałe skurcze, które rozprawdają jego martwą krew. Tomas idzie w kierunku otwartych drzwi prowadzących do wnętrza

promu. Wchodzi w światło. Zapachy są tu dużo cieplejsze. Dużo mocniejsze. Ludzie patrzą na niego z obrzydzeniem, kiedy zatacza się, mijając ich. Niektórzy się z niego śmieją. Inni rzucają jakiś kiepski komentarz.

„Nie wszyscy potrafią pić”. „Ktoś powinien temu nieszczęśnikowi pomóc”. „To przez takich jak on promy mają tak kiepską opinię”.

Chwilę później o nim zapominają. Jest tylko kolejnym pasażerem, który wlał w siebie więcej, niż powinien. Zresztą jest tyle innych tematów do rozmowy. Tyle innych osób, na które można popatrzeć. Tyle możliwości, tyle nadziei i lęków. Gdy schodzi po szerokich schodach, musi zaprzeć się o ścianę. Kątem oka widzi swoje odbicie w przyciemnionych lustrach, ma wrażenie, jakby znalazł się w przerwany śnie. Docierają tu głuche, pulsujące basy z dwóch parkietów i baru karaoke. Wibrują w jego ciele i kościach jak bicie kilku serc naraz. Ludzkie zapachy są tak kuszące... Najbardziej kuszące są zapachy tych ludzi, których krew pulsuje mocniej. Szczęka na próbę zębami.

W kabinie na piątym pokładzie ciemnowłosa kobieta właśnie skończyła jeść. Ujmuje głowę zmarłej dziewczyny, skręca jej kark. Sprawdza, czy wszystkie kręgi oderwały się od siebie, zerwały połączenie między ciałem a mózgiem. Krew Elviry wypełnia teraz kobietę. Rozchodzi się w delikatnej siatce drobnych naczyń. Czuje mrowienie w palcach i łydkach, jakby ścierpły. Szczypie się w skórę na dłoni. Dużo bardziej zwarta. Nie ma jednak czasu, żeby rozkoszować się tą chwilą. Wchodzi do łazienki. Wyciska dużą porcję mydła z podajnika przytwierdzonego do ściany. Zaczyna myć twarz nad umywalką. Gruba warstwa makijażu spływa do odpływu razem z mydlinami, już go nie potrzebuje. Próbuje przekonać samą siebie, że wszystko będzie dobrze. Kupiła bilet w obie strony. Może nikt nie będzie szukać dziewczyny, dopóki „Baltic Charisma” nie wróci do Sztokholmu. Gdy sprzątaczkę znajdą ciało, ona i jej syn będą daleko w Finlandii, ukryci w swoim nowym domu w głębokich lasach. Kobieta przygląda się sobie w lustrze. Dotyka policzków. Skóra zaczęła się wyrównywać. Robi się cieplejsza.

Kieruje się w stronę drzwi. Musi odnaleźć syna. Teraz, jak najszybciej.

Calle wlecze się po wąskich schodach w części przeznaczonej dla personelu „Charismy”. Każdy stopień jest jak kolejny szczyt do zdobycia. Musi trzymać się mocno pomalowanej na biało stalowej poręczy. Dociera na przedostatni spocznik. Kwadratowa tabliczka z cyfrą 9 pokazuje, na którym jest piętrze. Zerka przez ramię. Schody wirują w dół w zawijającym się prostokacie.

Przeciąga pożyczoną od Filipa kartę przez czytnik. Rozlega się piknięcie, ciągnie za stalowe drzwi. Zagląda w głąb korytarza z kabinami dla personelu. Za jednymi z zamkniętych drzwi odbywa się właśnie impreza. Słyszcąc włączoną na cały regulator muzykę house. Śmiechy i głosy. Musi ją minąć, żeby dojść do kabiny Filipa. Waha się. Wchodzi. Muzyka nagle się urywa. Ktoś włącza Michaela Jacksona. Rozlegają się głośne protesty. Wesołe piski. Calle przyspiesza kroku. Kiedy mija drzwi, coś uderza w nie od środka. Kolejne salwy śmiechu.

I nagle drzwi otwierają się, a na korytarz wychodzi Sophia, jego dawna koleżanka ze sklepu wolnołowego. Potyka się na swoich wysokich obcasach, zapiera o drzwi naprzeciwko. Włosy ma ścięte jak dawniej na pazia, tylko teraz w kolorze morelowym. Chichocze, odsuwa kosmyk z twarzy i podnosi wzrok.

Sophia wygląda tak jak kiedyś, tylko kolor włosów ma inny. Skóra błyszczący i jest niemal przezroczysta od tych wszystkich peelingów i kuracji kwasami, które funduje sobie w dziale spa. Oczy rozjaśniają jej się na widok Callego.

– No czeeeść – mówi z emfazą i taksuje go wzrokiem od góry do dołu, a potem znowu w górę. – Antti, zobacz, kto przyszedł!

Antti wychyla się z kabiny i Calle zmusza się do uśmiechu. Zaczynali w tym samym czasie w sklepie wolnołowym. Blondyn z niemal białymi rzęsami i brwiami, bez wątpienia poczet sztandarowy tej nieco śmiesznej kultury macho obowiązującej na pokładzie, który zachowuje się, jakby rządził światem i jednocześnie był na niego wściekły.

– Cześć, cześć – odpowiada. – Tak, tak, słyszeliśmy, że mamy eleganckich gości.

Na korytarz wychodzą jeszcze dwie kobiety i mężczyzna, którego Calle nigdy wcześniej nie widział. Patrzą na niego z ciekawości.

Sophia podskakuje do przodu i przytula go, owija go obłokiem cytrusowych perfum i papierosowego dymu. Antti przedstawia go znajomym. Nazywa ich „swoimi pracownikami” i Calle rozumie, że awansował na kierownika. Nie jest zaskoczony, choć powinna nim zostać Sophia.

– Gratulacje, darling! Słyszałem od Pii, że wychodzisz za mąż!

Calle uśmiecha się szeroko, czuje, jakby twarz miała mu za chwilę pęknąć.

– Twój narzeczony był u nas i pytał o ciebie chwilę przed zamknięciem – mówi Antti. – Wygląda jak jakaś gwiazda filmowa. Jak ci się udało go poderwać?

Sophia śmieje się nerwowo.

– Przestań. Przecież Calle też nieźle wygląda. – Odwraca się z powrotem do niego. – Tak się cieszę

twoim szczęściem. Fajnie, kiedy dobrym ludziom dzieją się dobre rzeczy.

– Ej, a który z was założy sukienkę panny młodej? – rzuca Antti z krzywym uśmiechem.

– Weź przestań, Antti – chichocze Sophia i boksuje go w pierś.

Calle zastanawia się, co mógł powiedzieć Vincent. Czy Antti wie, co się stało? Czy tylko się z nim drażni? Czy cała trójka nie patrzy na niego jakoś inaczej? Nie, nie. Ma paranoję. Dlaczego Vincent miałby cokolwiek powiedzieć? Zresztą gdyby Antti wiedział, co się stało, na pewno nie zachowałby tego dla siebie.

– Może pójdziecie z nami do klubu się pobawić? – pyta Sophia. – Co prawda nie wolno nam już bawić się z pasażerami, ale dziś kierownikiem jest Andreas, niczego nie powie.

Calle kręci głową.

– Byłoby miło, ale...

– Ej, a co ty tu właściwie robisz? – przerywa mu Antti.

– Filip prosił, żebym mu coś przyniósł.

Sophia otwiera usta, żeby coś powiedzieć.

– Może potem przyjdziemy – dodaje szybko, zanim Sophia zaproponuje, że zaczeka, aż przyniesie to coś, zapyta o to, czym to coś jest.

– Dobra – mówi Sophia. – Musicie przecież to uczcić. Stawiam szampana. Obiecuj, że przyjdziecie, obiecuj.

– Obiecuję – odpowiada.

– Fajnie było cię widzieć – mówi Antti, nie próbując nawet udawać, że rzeczywiście tak myśli.

Sophia całuje Callego w policzek, wyciska ostatnie siły z mięśni, które podtrzymują uśmiech, jakimś cudem udaje mu się kiwnąć uprzejmie do pozostałych. Do drzwi Filipa podchodzi jak we śnie. Zamyka je za sobą, gdy tylko wchodzi do środka.

Chłonie dobrze znane wrażenia. Niebieska plastikowa wykładzina na podłodze. Niepościelone łóżko. Szafa. Niewielkie biurko z wiszącym nad nim lustrem. Ciemność, która niemal niepostrzeżenie porusza się za oknem. Znów zaczęło padać.

Na biurku stoi butelka wódki. Calle podchodzi. Patrzy na zdjęcia zatknięte za ramę lustra. Znajduje swoje zdjęcie sprzed lat. Zostało zrobione na jego imprezie pożegnalnej w sali konferencyjnej na dziesiątym pokładzie. W tle widać Pię, która szeroko się śmieje. Calle zawiesza wzrok na swoim młodszym ja. Jest wzruszony i zdziwiony, że Filip trzyma na wierzchu jego zdjęcie. Przesuwa wzrokiem po pozostałych zdjęciach. Na kilku z nich rozpoznaje tę nową dziewczynę, która pracuje za barem, i wokalistkę ze sceny Starlight.

Bierze do ręki butelkę. Kładzie się na łóżku. Słucha, jak deszcz uderza miękko w szybę. Odkręca nakrętkę. Nie zamierza stąd wychodzić aż do powrotu do Sztokholmu.

– Spójrz na tę pijaną babę. – Lo pokazuje palcem na ekran telewizora. – Zaraz się przewróci.

Leżą w łóżku w pokoju Lo i Lindy i patrzą na parkiet w Charisma Club. Panuje na nim tłok, ciała tłoczą się wśród innych ciał. Albin przeskakuje wzrokiem po tańczących, aż w końcu znajduje, kogo Lo ma na myśli. Jakaś blondynka jest przepychana tam i z powrotem. Albin nie widzi jej twarzy wyraźnie, ale nie ma wątpliwości, że kobieta jest na pół przytomna.

Jest po północy. Ojciec nie przyszedł jeszcze, żeby sprawdzić, czy on i Lo się zaszyli.

– Ma na imię Anneli i jest fryzjerką w Tranås – mówi.

– Tak – potwierdza Lo. – Jej salon nazywa się Anneli Nożycoręka.

Albin wrzuca garść lukrecjowych żelków do buzi, żeby zdusić chichot. Wymyślili nową konkurencję polegającą na powstrzymywaniu śmiechu. Relacjonując wydarzenia, należy przybrać poważny ton.

– Anneli uważa, że każdy zasługuje na wycieczkę promem – mówi.

– Absolutnie każdy – przytakuje Lo.

Robi mu się ciepło w środku. Powoli uczy się jej języka i z każdym słowem czuje, jakby wokół nich tworzyła się bańka.

– Anneli nie chce już wracać do Tranås – dodaje Albin.

– Nie, bo jej mąż jest starym nudziarzem, który po kryjomu wyjada wosk z uszu.

– No skądże. – Albin gryzie się w policzek. – Biedna Anneli.

– Niech nam nie będzie przykro z powodu Anneli – mówi Lo. – W życiu tak dobrze się nie bawiła.

Głowa kobiety nagle znika w tłumie. W końcu się przewróciła. Ludzie wokół niej się odwracają. Kilka osób klęka przy niej, inni tańczą dalej.

– Anneli chciała się tylko zdrzemnąć – dopowiada Albin. – Podłoga jest taka miękka i przyjemna.

Dwóch ochroniarzy toruje sobie drogę przez morze ludzi.

– Dlaczego nie pozwolą Anneli spać w spokoju? – pyta Lo, udając zdenerwowanie.

Ochroniarze podnoszą kobietę. Jej ciało jest zupełnie miękkie, jakby nie było w nim stawów, które łączyłyby kości.

– Żeby jej tylko nie obudzili – mówi Lo i szuka po omacku pilota.

Zmienia kanał i na ekranie pojawia się widok drugiego parkietu, na którym kobieta w czerwonej sukience śpiewa na scenie przed czerwoną zasłoną. Albin zastanawia się, jak brzmi jej głos i czy jest ładna. Światło na scenie jest tak silne, że jej twarz na ekranie jest niemal całkiem biała.

Na podłodze poniżej tańczy mnóstwo par. Kobiety z mężczyznami, kobiety z kobietami. Ogarnia go senność, ale nie chce zasnąć pierwszy.

– Nie może być! – krzyczy Lo tak nagle, że Albin omal nie upuszcza pudełka z lukrecjowymi żelkami z pingwinkiem na podłogę.

Lo znów zmienia kanał.

- Co to było? – pyta, na co Lo wyduje z siebie jęk.
- Zobaczyłam mamę! Z jakimś okropnym kolesiem w najbrzydszej marynarce na świecie!
- Mogę zobaczyć? – mówi Albin i wyciąga rękę po pilota.
- Nie! – krzyczy Lo, odwraca się na bok i kuli się, chroniąc pilota całym ciałem.
- Proszę!
- Nigdy w życiu!
- Taaak! Chcę zobaczyć twojego nowego tatusia!
- Przestań! – krzyczy Lo.

W jej głosie słyhać jednak również śmiech. Albin wdrapuje się na nią. Piszczycy, kiedy próbuje oderwać jej palce od pilota.

Drzwi do kabiny otwierają się i Albin czuje, jak ogarnia go paniczny strach. Obraca się. W progu stoi ojciec, lekko się chwieje. Za jego plecami widać mocno oświetlony korytarz.

Albin schodzi z Lo. Siada w rozkroku po drugiej stronie łóżka. W pokoju zrobiło się za gorąco. Idź sobie, myśli. Proszę cię, wyjdź stąd.

– Przeszkadzam?

Głos ojca zrobił się niski i gardłowy. Jakby się dusił. Lo siada na łóżku.

– Nie, skąd – mówi i przeczesuje palcami kitkę.

Ojciec wchodzi do środka, zamyka za sobą drzwi. W kabinie robi się ciemniej. Porusza się powoli. Lekko marszczy brwi, siadając na brzegu łóżka obok Albina, za blisko.

– Chciałem tylko do was zajrzeć, zanim sam się położę.

Jego język porusza się ciężko i w oszołomieniu, jakby dopiero co dostał zastrzyk od dentysty.

– Gdzie jest mama? – pyta Albin.

– Została z Lindą.

Myśli o mamie siedzącej na wózku. Co teraz robi, kiedy Linda tańczy z kolesiem w brzydkiej marynarce? Czy ktoś z nią rozmawia czy jest całkiem sama? Czy będzie potrafiła wrócić do kabiny sama, jeśli będzie chciała?

Widzi przed sobą mamę, która jak zawsze robi się zdenerwowana, gdy znajdzie się między ludźmi. Wymuszony uśmiech. Rozgląda się dookoła, na nic tak naprawdę nie patrząc, jakby chciała pokazać, że uczestniczy we wszystkim, co się dzieje, zupełnie tak jak wszyscy, że nie jest inna.

Mama mówi, że nie marzy już o lataniu tak jak Albin. Teraz marzy o tym, żeby biegać. Dla niej to tak samo nieosiągalne. Co czuje, kiedy ze wszystkich stron otaczają ją tańczący ludzie?

Nagle chciałby już tylko ją znaleźć i mocno przytulić.

– Cieszę się, że tak dobrze się rozumiecie. – Tata klepie Albina po kolanie. – Rodzina jest ważna.

Spogląda na Lo. Oczy błyszczą w świetle telewizora.

Wyjdź, myśli Albin. Proszę cię, tato. Wyjdź.

– Obiecaliśmy sobie z Lindą, że nasze dzieci nigdy nie będą czuć się niekochane. Dzieci muszą wiedzieć, że są bezwarunkowo kochane.

Pochyla się nad Albinem i gładzi Lo po policzku. Albin widzi po niej, że chciałyby się odsunąć. Jak to możliwe, że ojciec tego nie widzi?

– Ciebie też kocham, Lo. Prawie tak samo, jakbyś była moim dzieckiem. Wiedz o tym.

Lo uśmiecha się sztywno. Ramionami oplata kolana.

– Dobranoc, tato – mówi Albin, ale on chyba nie słyszy.

Nawet mruga w *slow motion*.

– Dbajcie o siebie – przykazuje. – Obiecujcie mi to.

– Obiecujemy – mówi Albin, a Lo kiwa głową.

– Nie! – W głosie ojca nagle pojawia się złość. – Musicie to przysiąc, tak żebym słyszał, że naprawdę tak myślicie! Nie bądźcie tchórzami! Człowiek musi mieć pewność, że może liczyć na swoją rodzinę!

Lo przyciska się bliżej do wezgłowia łóżka. Albin był tak oszołomiony zachowaniem ojca, że nie zauważył, że Lo się boi.

– Obiecujemy – powtarza szybko Albin, pospiesznie zsuwa się na koniec łóżka i wstaje. – Idź się położyć, tato. Chyba jesteś zmęczony.

Gdyby tylko miał odwagę powiedzieć ojcu prawdę. Że jest obrzydliwym, obleśnym pijakiem. Złość Albina jest tak wielka, że za chwilę coś w nim pęknie.

Tata odwraca głowę i patrzy na Albina. Owłosienie na twarzy wygląda jak małe, czarne kropki na bladej skórze.

– Tak, jestem zmęczony – mruczy. – Jestem tym wszystkim cholernie zmęczony. Próbuję i próbuję, ale... Cokolwiek bym zrobił, i tak jest źle.

Podnosi się. Potyka, znów o mało co nie przewraca się na łóżko. Ale odzyskuje równowagę.

– Nie o to mi chodziło – odpowiada automatycznie Albin.

Choć tak właśnie było. Dokładnie o to mu chodziło. Teraz jednak tata zmienia się w tatę płacznego. A ten tata nigdy nie chce wyjść.

– Myślałem, że będziemy mogli sobie wspólnie wypocząć, że to dlatego popłynęliśmy na tę wycieczkę, ale nikogo to oczywiście nie obchodzi. Nie potraficie udawać nawet przez jedną cholerną dobę.

Śmieje się i kręci głową.

– Do jutra – mówi.

Mimo to dalej stoi pośrodku pokoju. Oddycha głęboko przez nos.

– Dobranoc, Mårten – niemal szepcze Lo.

– Dobranoc, kochanie – mówi ojciec.

Na koniec podchodzi do Albina i całuje go w czoło. Zarost drapie Albina w nos.

– Nie jestem chyba najgorszym ojcem? A może raczej powinniśmy byli zostawić cię w Wietnamie?

Albin widzi po Lo, że jest skonsternowana, ale nie pierwszy raz ojciec to mówi.

– Nie, oczywiście, że nie – zaprzecza Albin. – Dobranoc.

Patrzą w milczeniu na tatę, gdy w końcu wychodzi. Słyszą, jak wchodzi do kabiny obok. Dobiega ich dudnienie, kiedy zrzuca z siebie buty, tak że odbijają się od ściany. I chwilę potem ciche jęki. Tata płacze

za ścianą.

A jeśli tu wróci?

Albin stoi nieruchomo, czuje na sobie wzrok Lo. Nie wie, co ma teraz zrobić. Nie potrafi spojrzeć Lo w oczy. Nie może pójść do drugiej kabiny, w której jest ojciec. Nie może wyjść na prom, bo o tej porze dzieciom nie wolno chodzić bez opieki.

– W porządku? – pyta Lo.

– Tak – odpowiada Albin i znów siada.

Patrzy tępo bez słowa na telewizor. Intensywnie nasłuchuje.

– Możesz tu zostać na noc, jeśli chcesz – mówi Lo.

– Okej.

Lo kładzie dłoń na jego ramieniu. Nie chce, żeby było jej go żal. Chciałby, żeby Lo znowu skomentowała to, co dzieje się na parkiecie, żeby wszystko było tak jak przed przyjściem ojca.

Kolejne dudnienie z kabiny obok. Odgłos spuszczonej wody w toalecie.

– Słuchaj – zaczyna Lo.

– Mm.

– Jeśli coś ci powiem, obiecasz, że nie powiesz o tym swoim rodzicom?

Albin spogląda wreszcie na nią. Przytakuje.

– Obiecaj – mówi Lo i jej oczy się zwięzają.

– Obiecuję.

– Mama uważa, że Mårten ma borderline. I że babcia też to miała.

Albin przełyka ślinę. Miał nadzieję, że Lo powie mu coś o sobie, coś, co pozwoli im porozmawiać o czymś, co nie ma nic wspólnego z tatą.

– Jakie borderline? Co to jest?

– To choroba psychiczna.

Albin siedzi nieruchomo. Jeżeli nie będzie się poruszać, może czas się zatrzyma, a ta rozmowa w ogóle się nie wydarzy.

– Rozmawiała z kilkoma kolegami, z którymi wcześniej pracowała w szpitalu – mówi Lo.

– Ojciec nie ma borderline.

– Nawet nie wiesz, co to jest.

Albin nie wie, co odpowiedzieć.

– Sprawdziała też w sieci. Wiele z tych symptomów pasuje do zachowania Mårtena.

Linda rozmawia o tacie z innymi ludźmi. Rozmawia o tym, o czym Albin nigdy z nikim nie rozmawiał, nawet z mamą.

– Przepraszam – mówi Lo. – Może nie powinnam była tego mówić. Pomyślałam tylko, że być może będzie ci lżej, jeśli będziesz wiedzieć...

– Tata jest czasem smutny, ale wszystko jest z nim w porządku – ucina Albin. – Było mu ciężko, odkąd umarła babcia.

– Dawniej też był taki. Tylko byłeś za mały, żeby to widzieć, albo tego nie pamiętasz...

– Za to ty pamiętasz?

– Nie. Ale mama mówiła mi, że zawsze taki był, choć teraz jest chyba coraz gorzej i gorzej.

Myli się. Na pewno się myli.

– Linda nie wie nic o tacie. Nie widzieliśmy się od ponad roku.

– Nieprawda – oponuje Lo. – Mama wie dokładnie, jaki on jest. To dlatego się z wami nie spotykaliśmy. Ona nie ma siły.

Albin zauważa, że w kabinie taty zrobiło się cicho. Co, jeśli ich słyszy? Co wtedy zrobi? Przyjdzie tutaj. Będzie krzyczeć. Oskarży Lo, że próbuje nastawić Albina przeciwko niemu, tak jak oskarża o to mamę. Będzie krzyczeć i krzyczeć i nic do niego nie dotrze, a Lo już nigdy nie będzie chciała się z nimi spotkać.

– Mårten dzwoni do nas w nocy po pijanemu – opowiada Lo. – Czasem dzwoni, żeby nakrzyczeć na mamę, a czasem grozi, że odbierze sobie życie.

Albin nie potrafi odpowiedzieć. Nie znajduje słów.

„Nigdy nie zrobiłbym tego w domu, żebyś ty albo mama musiała mnie znaleźć, obiecuję. To nie będzie twoja wina, jeśli to zrobię, nie wolno ci tak myśleć. Jesteś najlepszym, co mi się przytrafiło w życiu. Chodzi tylko o to, że już dłużej nie dam rady”.

– Mama uważa, że on tego nie robi – mówi szybko Lo. – Mimo to bardzo przeżywa każdy jego telefon. Tobie i Cilli musi być tysiąc razy gorzej, przecież z nim mieszkacie.

Obejmuje jego ramię dłonią. Jej dotyk wydaje mu się bardzo odległy. Implodował do postaci bardzo małego punktu we wnętrzu swojego ciała.

– To dlatego przeprowadziłyśmy się do Eskilstuny. Tam może najwyżej zadzwonić. Dawniej przychodził do nas w nocy. Czasem mama nie chciała go wpuścić i wtedy dzwonił do jej znajomych i zarzucał jej, że jest fałszywym człowiekiem, który nie zasługuje na przyjaciół, bo nie obchodzi jej nawet własny brat. Mama jest tak słaba, że nigdy nic nie powie, przeprowadziłyśmy się więc, żeby nie musiała się z nim konfrontować.

Kiedy Lo mówi o tacie, wydaje się bardzo chory.

Czy on jest chory?

Od jak dawna Lo o tym wie?

Nic się nie zgadza. Puzzle nie układają się w całość.

Musi stąd wyjść.

Musi wydostać się z tej kabiny, z dala od Lo, z dala od ściany, za którą znajduje się tata.

– Nic nie wiesz – mówi. – Pewnie myślisz, że jest inaczej, bo rozmawialiście o tym z Lindą, ale nie wiesz, jak jest naprawdę.

– Dokąd idziesz? – pyta Lo, kiedy rusza do drzwi.

– Poszukać mamy – odpowiada.

– Nie mów nic Cilli. Proszę cię. Obiecałam mamie, że ci o tym nie powiem.

Nie odpowiada. Otwiera drzwi na korytarz.

– Zaczekaj na mnie – woła Lo.

Śpi głębokim, spokojnym snem. Dłoń, która łagodnie głaszcze jej ramię, jest niesprawiedliwa. Próbuje ją zignorować, zanurzyć się z powrotem w głębinach snu, ale dłoń nie daje za wygraną.

Do jej świadomości przebijają się dźwięki muzyki. Ktoś śpiewa *Nothing's fine I'm torn*.^[11] Czyjś głos tuż przy jej uchu mówi: „Musisz się obudzić”.

Madde niechętnie otwiera oczy. Zauważa kobietę o ciemnych włosach upiętych w kok na czubku głowy. Za nią stoi dosyć przystojny mężczyzna, uśmiecha się. Rozpoznaje ich jak przez mgłę. Oboje mają na sobie mundury.

– Nie możesz tu spać – mówi kobieta.

Madde mruga oczami. Spogląda na swoje kolana. W bezwładnej dłoni ciągle trzyma kieliszek do szotów. Kleiste resztki słodkiego alkoholu spłynęły na jej palce i uda.

W sali panuje ścisk, ale przy jej stoliku jest pusto. Wszyscy ją zostawili. Dziewczyna śpiewająca na scenie w ogóle nie trzyma się linii melodycznej.

Mózg Madde przetwarza wszystko bardzo powoli. Musi przyjmować każde wrażenie osobno. Boli ją język i kiedy przeciąga nim po przednich zębach, czuje na nich nalot, gruby jak filcowa wykładzina.

– Nie śpię. Przymknęłam tylko na chwilę oczy.

– Rozumiem. – Kobieta patrzy rozbawiona na kolegę.

Madde powinna być na nią zła za to spojrzenie, ale nie potrafi. Kobieta wydaje się bardzo miła.

– Może lepiej będzie, jeśli przymkniesz oczy w kabinie – mówi mężczyzna.

– Nie – odpowiada Madde. – Jest spoko. Czuję się jak nowo narodzona.

– Chodź – nalega kobieta. – Odprowadzimy cię i dopilnujemy, żebyś trafiła do łóżka. Nie wolisz się położyć?

Rzeczywiście, tak by wołała, nie ma siły protestować.

– Chciałam się tylko zabawić – wyjaśnia. – Zobacz, mam złoto na cyckach. Cycki jak na wielką galę. Co nie?

Mężczyzna przytakuje, wydaje się zawstydzony. Madde wybucha śmiechem, miła kobieta też się śmieje.

– Myślisz, że dasz radę pójść o własnych siłach?

– Jasne – odpowiada i podnosi się.

Próbuje odstawić kieliszek, ale przykleił się jej do palców, znowu wybucha śmiechem. Macha ręką, aż w końcu kieliszek się odkleja. O mało co się nie przewraca. Strażnik podbiega do niej i przytrzymuje.

Wyprowadzają ją z baru. Ich uścisk jest stanowczy, ale mimo to delikatny i czuje się jakby unosiła się nad podłogą. Przymyka oczy.

– Jesteście dla mnie tacy mili.

– Myślisz, że da sobie sama radę? – pyta kobieta, a Madde uśmiecha się.

- Pozdrówcie ode mnie Dana. Powiedzcie mu, gdzie jest moja kabina.
- Najpierw sama musisz nam powiedzieć – mówi kobieta. – Pamiętasz, jaki ma numer?
- Na górze i od środka. Nie ma okien.

Co za przyjemność przymknąć oczy w objęciach silnych ramion. Słyszy, jak kobieta mówi do mężczyzny, żeby sprawdził, czy ma kartę w torebce, i do Madde dociera, że pamiętali, żeby wziąć jej torebkę i niemal wybucha płaczem, bo tak dobrze się nią zajmują, prawie tak jak mama i tata, gdy przychodzili do nich goście, a ona zasypiała na kanapie, a oni podnosili ją tak ostrożnie i zanosili do łóżka, a ona słyszała krzyki i wybuchy śmiechu, zewsząd dobiegała muzyka, bo trwała impreza, w której brała udział, choć przecież nie musiała, wystarczyło, że docierają do niej śmiechy, krzyki i muzyka, że trwa impreza, a ona nie musi brać w niej udziału, może przymknąć oczy, bo wie, że jest bezpieczna i że ludzie się bawią, i wszystko jest tak, jak być powinno.

Prawie już zasnęła w tych wibrujących, dudniących ciemnościach pod powierzchnią morza. Leży z głową na ramieniu Görana. Czuje jego miękką i ciepłą skórę. A jej własna skóra próbuje ją oszukać, sprawić, żeby uwierzyła, że on wciąż jej dotyka palcami, ustami. Na to wspomnienie ciało reaguje, czuje gorąco w zgięciach kolan, na piersiach, podbrzuszu.

Göran obraca głowę, całuje ją w czoło.

– Myślałam, że zasnęłaś – mówi.

– W żadnym wypadku.

Gdy Göran podnosi się na łokciu, musi odsunąć głowę. Dobiega ją suchy dźwięk, kiedy drapie się po karku, chrupnięcie szczęki, kiedy szeroko ziewa. Kładzie się na niej. Daje jej miękkiego całusa w usta.

Potem słyszy kliknięcie włącznika, oślepia ją światło. Zasłania ręką oczy, nie tylko dlatego, że ją razi, ale również dlatego, że nie chce, żeby widział, jak mruży oczy i marszczy twarz.

– Rany, jak późno – mówi i znów ziewa. – Musieliśmy tu spędzić ponad godzinę.

Wydaje się tak zadowolony, że Marianne chichocze.

– Cholera, ale mi się chce sikać – dodaje.

– Toaleta jest na korytarzu – mówi.

Stawia stopę na podłodze i podnosi się z łóżka. Marianne naciąga na siebie kołdrę. Pierwszy raz widzi jego nagie ciało. Kitka opada na blade, piegowate plecy. Jest tak chudy, że widać mu wszystkie żebra, ale brzuch ma zaokrąglony. Przez krótką chwilę widzi jego penis, zwiotczały jak balon, z którego zeszło powietrze. Jest w nim coś rozczulającego. Marianne zakrywa usta dłońmi i opanowuje śmiech. Minęła niemal dokładnie doba, od kiedy postanowiła, że popłynie promem.

To było takie proste. Dlaczego wcześniej na to nie wpadła?

Choć wtedy być może by go nie spotkała.

Göran rozgląda się. Pochyla się do przodu, odwrócony tyłem do niej, podnosi dzinsy z podłogi i wyciąga z nich slipy.

Zaczyna się ubierać.

Kładzie się na boku, odwrócona twarzą do niego. Wygładza kołdrę wokół siebie, trzymając głowę pod odpowiednim kątem, tak żeby nie było widać jej podwójnego podbródka.

– Nie idziesz? – pyta Göran.

W pierwszej chwili go nie rozumie.

– Do toalety? – pyta. – Nie, nie potrzebuję.

– No ale wyjdziemy chyba jeszcze? – mówi i przeciąga koszulę przez głowę, zapina górne guziki.

Marianne siada na łóżku, ściska brzeg kołdry przy obojczyku.

– Ale...

Milknie. Nie wie, co powiedzieć.

– Ale dlaczego? – udaje jej się w końcu wydusić.

Göran wkłada kurtkę dżinsową i siada na brzegu łóżka.

– Nie idziesz? – pyta.

Kręci przecząco głową, jeszcze zanim zdążyła się zastanowić.

– Jestem zmęczona. Myślałam, że wieczór już się skończył.

– Wcale nie musi. – Göran się uśmiecha.

„Myślałam, że zaśniemy razem. Nastawimy budzik, żeby nie zasnąć na śniadanie. Spędzimy spokojny, miły dzień, przejdziemy się po pokładzie, jeśli pogoda będzie znośna. Lepiej się poznamy. Dlaczego chcesz wyjść? Czego nie chcesz stracić, zostając tutaj? Dlaczego nie chcesz zostać tu ze mną?”

– Nie chcę przespać całej nocy, skoro wreszcie popłynąłem w ten rejs – oznajmia Göran. – Pomyślałem, że znajdę chłopaków i napiję się z nimi piwa.

„Czyli teraz chłopaki znów są ważne? Teraz, kiedy dostałeś to, czego chciałeś? Wiesz co, to żalosne, że macie prawie siedemdziesiąt lat i wciąż nazywacie siebie chłopakami”, myśli.

– Aha – mamrocze.

I znów się kładzie.

Czuje się tak, jakby ściany zaczęły na nią napierać. Tak jakby w końcu uległy ogromnemu ciśnieniu z zewnątrz.

– Nie pójdziesz ze mną? – pyta i gładzi ją po ramieniu. – Naprawdę chcesz leżeć tu sama?

„Nie, nie chcę. Chcę, żebyś chciał tu zostać”.

– Tak.

– No dalej. Żyje się tylko raz. – Uśmiecha się.

– Całe szczęście.

Śmieje się, pochyla do przodu i wkłada buty.

– Gdybyś zmieniła zdanie, przyjdź do Starlight. To tam, gdzie tańczyliśmy. Spróbuję ich tam zaciągnąć, o ile jeszcze ich tam nie ma.

Nie ma odwagi odpowiedzieć, bo wie, że w jej głosie słyhać byłoby rozgoryczenie. Nigdy nie umiała udawać zadowolonej i beztroskiej. Nigdy nie udawało jej się ukryć poczucia zawodu, choćby bardzo próbowała. A miała przez te lata niejedną okazję do ćwiczeń.

Kiedy całuje ją w policzek i podnosi się z łóżka, chce już prawie powiedzieć, że zmieniła zdanie. Jednak myśl o tym, że miałyby znowu wejść w szalejący tłum, wydaje jej się absurdalna. Za późno. Już po wszystkim.

Göran wyjmuje długopis z kieszeni i pisze coś na jednej z leżących na biurku ulotek ze sklepu wolnocłowego.

– Zostawię ci mój numer, gdybyś chciała mnie znaleźć. Choć może nie być łatwo się dodzwonić na otwartym morzu.

– Oczywiście – odpowiada. – Baw się dobrze.

– Może zobaczymy się jutro? – pyta, otwierając drzwi.

– Byłoby miło.

Marianne gasi światło. Göran stoi w miejscu, na tle rozświetlonego korytarza rysuje się jego czarna sylwetka. Przez chwilę wygląda, jakby się wahał, i w Marianne rośnie nadzieja.

Potem jednak wychodzi. Drzwi się zamykają i w kabinie znów robi się całkowicie ciemno.

– Abbe, zaczekaj! – woła za nim Lo. – Przepraszam, że ci o tym powiedziałam!

Ma zdyszany głos. Albin nie odpowiada. Próbuje precyzyjnie się pomiędzy tymi wszystkimi pijanymi ludźmi w Charisma Starlight. Są wysocy, spoceni, lepcy i bezwstydni, ciągle zagradzają drogę. Jakaś kobieta potyka się o niego. Piwo wylewa się z kufła, moczy rękaw jego bluzy.

– Uważaj, bachorze! – krzyczy.

– Abbe! Zaczekaj!

Głos Lo niknie z tyłu, niemal całkiem pochłonięty przez muzykę.

„...to boli, to boli, ale trudno, boli przez chwilę w nocy, ale za dnia już w ogóle nie...”^[12]

– Abbe, zatrzymaj się!

Spogląda przez ramię. Czuje obrzydliwy zapach piwa z mokrej plamy na bluzie. Od razu zauważa mężczyznę i kobietę w mundurze. Ludzie przesuwają się, żeby zrobić im miejsce, teraz jest też tu Lo. Staje pomiędzy ochroniarzami. Wydaje się zła.

– Cześć. – Kobieta podchodzi do nich. – Przykro mi, ale powinniście być w łóżkach. Odprowadzimy was do kabiny.

Na matowej mosiężnej plakietce może wyczytać, że ma na imię Pia.

– Szukamy mojej mamy – tłumaczy Albin. – Jest gdzieś tutaj.

– Już im to powiedziałam – mówi Lo.

– Nie byłoby lepiej, gdybyście poszli spać? – pyta mężczyzna o imieniu Jarno.

– Nie wrócę do kabiny!

W jego głosie słyhać wściekłość i desperację. Ochroniarze wymieniają się spojrzeniami.

– Zrobimy tak – oświadcza Pia. – Pójdziemy z wami jej poszukać.

– Nie trzeba – mówi Lo.

– Owszem – odpowiada Pia. – Trzeba.

– Chodźcie z nami – mówi Jarno nieco zbyt wesoło.

– Nie – sprzeciwia się Lo.

Ale gdy Pia idzie przed nimi, Albin w głębi duszy czuje ulgę. Uprzejmie, lecz zdecydowanie odsuwa ludzi stojących im na drodze. Kilka osób patrzy na nią z irytacją, zanim zorientują się, że ma na sobie mundur.

– Tam są – woła Lo i pokazuje palcem.

Gdy Albin patrzy w tamtym kierunku, zauważa mamę i Lindę za kolumną z luster. Nigdzie nie widać mężczyzny w brzydkiej marynarce. Linda siedzi w fotelu, który jest tak niski, że mama musi pochylać się na wózek, kiedy rozmawiają. Linda błyszczy od potu po tańcu, włosy na skroniach pociemniały o kilka odcieni. Światła znad parkietu migają im kolorowo nad głowami.

Przynajmniej mama nie jest sama, jak to sobie wyobrażał.

Pierwsza zauważa ich Linda. Mówi coś do matki, która zaczyna terkotać drążkiem kierowniczym, cofa i skręca wózkiem, żeby również móc ich zobaczyć.

– Co wy tu robicie? – pyta na tyle głośno, żeby przekrzyczeć muzykę, kiedy do nich podchodzą.

Zerka na ochroniarzy. Uśmiecha się nerwowo. Pia pochyla się do niej i do Lindy.

– Szukali was – mówi. – Nie chcemy, żeby dzieci biegały same o tej porze.

– Nie miałam pojęcia – woła mama w kierunku jej twarzy. – Mój mąż wrócił do kabiny i...

Jej głos zamiera. Odwraca się do Albina.

– Coś się stało, kochanie?

Albin nie wie, co odpowiedzieć. Nie może przecież zacząć krzyczeć tego, o czym nigdy nawet nie rozmawiali. Szczególnie wtedy, kiedy pochylają się nad nimi ochroniarze.

– Wszystko w porządku? – pyta Linda. – Lo?

Lo wrzusza ramionami.

– Dziękuję, że ich przyprowadziliście – woła matka, patrząc na ochroniarzy. – Odprowadzimy ich do kabiny.

– Nie! Nie chcę tam wracać!

Mama patrzy na niego zaskoczona. Czuje, że ochroniarze im się przyglądają.

– Kawiarnia jest jeszcze przez chwilę otwarta – mówi Pia. – Możecie usiąść i porozmawiać, jeśli chcecie.

Mama przytakuje. Chwilę o czymś rozmawiają, a Jarno wyjmuje zza paska krótkofalówkę.

Czyjs trzeszczący głos mówi coś o mężczyźnie znajdującym się przed barem karaoke i twarz Jarna nagle poważnieje.

– Musimy lecieć – oznajmia i patrzy na Pię.

Kiwa do niego głową, pochyla się nad Albinem.

– Możemy was tu zostawić?

Przytakuje.

– Gdybyście nas potrzebowali, możecie pójść do punktu informacji i poprosić, żeby do nas zadzwonili. Albo poprosić chłopaka, który pracuje tu w barze. Ma na imię Filip i jest naprawdę miły. Okej?

Albin znów przytakuje, choć wie, że i tak tego nie zrobi. Chciałby, żeby był ktoś, kto mógłby mu pomóc, ale musi poradzić sobie sam.

Przed chwilą wciągnął kolejne cztery kreski. Od razu zrozumiał, że to był błąd. Przegrzany mózg trzeszczy pod czaszką. Wszystko dzieje się za szybko, mimo to wszystko dociera do niego z bolesną ostrością. Ciepło. Poczzerwieniałe twarze. Dwie dziewczyny około dwudziestki stoją na scenie i wykrzykują tekst *Total eclipse of the heart* z wyraźnym fińskim akcentem.

Ochroniarze zajęli się przynajmniej tą tłustą laską, która śpiewała piosenkę z *Grease*. Potem siedziała sama, nie spuszczać go z oka. Myślał, że od tego oszaleje. Przy stoliku, przy którym zasnęła, siedzi teraz na kolanach chłopaka rosyjska prostytutka. Jednocześnie trzyma rękę na udzie jego kolegi. Dan czasem kupuje kokę od jej alfonsa. Jest ładna, gdyby była dziesięć lat młodsza, mogłaby być modelką. Zastanawia się, czy chłopaki już zrozumieli, że ona oczekuje zapłaty. Pewnie pozwoli im zrobić ze sobą wszystko, dwóm jednocześnie. Mózg zaczyna wyświetlać iskrzący strumień obrazów, jeden za drugim, od których jego penis budzi się do życia.

Nagle utwór się kończy. Brawa. Gwizdy. Dan klaszcze, aż pieką go dłonie. Uśmiecha się do publiczności najszerzej, jak potrafi. Dziewczyny schodzą ze sceny i przybijają piątki ze swoimi koleżankami.

– Dzięki, dziewczyny, za ten klasyk ze szkolnych dyskotek – mówi Dan i kilka osób z publiczności wybucha śmiechem, kiwając przytakująco głowami.

Na scenę wchodzi szczupła dziewczyna o perkatym nosie i w jaskraworóżowej koszulce bez rękawków. Włosy ma ufarbowane na tak ciemny kolor, że w światłach reflektorów wydaje się niebieski.

– Cześć – mówi Dan. – Kogo tutaj mamy?

– Alexandra.

Kiedy uśmiecha się nerwowo, na jednym z przednich zębów połyskuje diament. Całkiem ładna. Trochę po trzydziestce.

– Cześć, Alexandro! Myślę, że powinniśmy przywitać Alexandrę gorącymi brawami.

Słuchają go. Ktoś pogwizduje, gdy obejmuje ją ramieniem. Ściska dłonią jej kościste ramię.

– No to co nam zaśpiewasz, Alexandro?

Podnosi na niego wzrok.

– Po pierwsze... po pierwsze chciałabym powiedzieć... że jestem twoją wielką fanką.

– Jestem pewien, że ja za chwilę też będę twoim wielkim fanem. – Uśmiecha się szeroko do publiczności. – Co nam zaśpiewasz?

– Zaśpiewam *Paradiso Tropical* – mówi, a uśmiech na ustach Dana zastyga jak *rigor mortis*.

– Wspaniale.

Było to tego samego roku, gdy próbował zrobić comeback na Eurowizję z balladą *Idziemy pod wiatr*, do której sam napisał tekst. Opowiedział w nim o śmierci swego ojca. Obnażył się przed całym szwedzkim narodem, ale nie udało mu się nawet przejść do drugiego etapu. Millan i Miranda wygrali półfinał utworem *Paradiso Tropical*, bezmózgie calypsodisco, jakiś marny żart. Dokładnie tego chciał

szwedzki naród. Utwór, który rozwiął jego ostatnie złudzenia, grano tamtego lata wszędzie.

Temperatura zdaje się coraz bardziej podnosić. Dopiero teraz zauważa, jak nisko zawieszony jest sufit. I jak bardzo trzeszczy mu pod czaszką. Serce wali dwa razy szybciej.

Czy to jest jakiś cholerny test? Nagrywają go do jakiegoś durnego programu, w którym chodzi tylko o to, żeby poniżyć drugiego człowieka? Ciekawe, ile wyświetleń miałby filmik na Youtube, gdyby teraz zmiażdżył twarz Alexandry mikrofonem? *Matar och matar nya slag.*

Dan oblizuje wargi. Górna smakuje solą, pospiesznie wyciera się pod nosem i spogląda na palce, ze strachem, że zobaczy na nich krew. Ale to tylko pot.

Czy publiczność zamilkła? Ile minęło czasu?

– No to dajesz! – mówi i podaje Alexandrze mikrofon. – *Break a leg!*

– Dziękuję – odpowiada.

Johan zaczyna grać zniechęcony przez niego intro na beczkach po oleju. Alexandra zamyka oczy i drżącym z przejęcia głosem zaczyna śpiewać. W jej ustach utwór nabiera zielonoświątkowego charakteru, jakby mówił o chrześcijańskim raj, a nie o gejowskiej dyskotecie na rejsie czarterowym. Dan uśmiecha się szeroko, a jego serce wali, wali i wali. W żyłach pulsuje mu nienawiść. Syczy jak gaz w butelce. Dudni w czaszce.

Ktoś krzyczy coś w ciemnościach zalewających salę. Rozbija się kieliszek. Alexandra traci wątek, zacina się, mimo to śpiewa dalej. W jej głosie pojawia się nowy rodzaj drżenia.

Energia na sali się zmienia. Ludzie odwracają głowy. Dwóch młodych mięśniaków w przyciasnych koszulkach głośno rechocze. Barman podniósł słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu.

Dan patrzy w tym samym co on kierunku. Zauważa mężczyznę, który idzie przez salę, wszyscy schodzą mu z drogi. Mięśniaki rechoczą jeszcze głośniej.

„...to boli, to boli, ale trudno, boli przez chwilę w nocy, ale za dnia już w ogóle nie...”

„Znów przysłała zima zimna jak stal, skulona i drżąca wtulam się w szal – śpiewa Alexandra. – Z nieśmiałą nadzieją spoglądam znów w dal, płyn ze mną, kochany, do Paradiso Tropical”.

Mężczyzna ma około czterdziestki. Ma martwe spojrzenie, mówi sam do siebie. Jasnorude włosy są potargane. Jego marynarkę pokrywają resztki wymiocin. I coś, co wygląda na zaschniętą krew pod kołnierzykiem. Alexandra milknie, ale muzyka gra dalej.

– Ja pierdolę – wyrywa się Danowi, który zapomina o włączonym mikrofonie.

Mężczyzna węszy dokoła.

Alkohol musiał mu przeżreć mózg. Zostało mu tylko tyle, co u gada.

Obraca głowę do Dana i coś w jego pustym spojrzeniu pojaśniało. Skupia wzrok. Dopiero teraz Dan widzi, że nie mówi sam do siebie. Przeżuwa szczękami, jakby coś gryzł.

Co za psychopata. To chore, że tacy mogą chodzić na wolności.

Jakaś starsza pani przypadkiem staje mu na drodze. Odpycha ją na bok, okulary spadają jej z nosa. Ludzie podnoszą się z foteli, zaczynają przesuwac się w kierunku wyjścia. Psychopata podchodzi do krawędzi sceny, jego oczy są jak bezdenne studnie szaleństwa.

No podejdz tu, myśli Dan. Buzuje w nim koka. Tylko spróbuj.

Zaciska pięści przed sobą, gdy mężczyzna wchodzi na scenę. Alexandra krzyczy i rzuca mikrofon na ziemię. Gdy mikrofon uderza o podłogę, rozlega się huk jak wystrzał armaty, który powtarza się po kolei we wszystkich głośnikach.

Mężczyzna rzuca się na Dana bez ostrzeżenia. Powietrze ulatuje z niego, gdy leci na podłogę. Psychopata bez przerwy kłapie zębami, jak jakiś oszalały głupi kundel. Próbuje go ugryźć.

W głośnikach robi się wreszcie cicho. Kilka osób z publiczności krzyczy. Inni wyciągają w górę ręce z telefonami. W ciemnościach daje się słyszeć klikanie.

Danowi ledwo udaje się utrzymać szczękę mężczyzny na dystans. Z jego ust wydobywa się odór i coś w tym zapachu sprawia, że Dan po raz pierwszy się boi. Próbuje go odepchnąć, ale szalenie mocno się trzyma.

– Pomóście mi, kurwa!

Nikt się jednak nie pojawia. Potrafi wyczuć zapach strachu i wątpliwości w ciemnościach panujących poza sceną. Wszyscy czekają, aż ktoś inny zacznie.

– Pieprzone cioty! – krzyczy i mobilizuje w sobie nowe siły.

Uderza mężczyznę pięścią w twarz. Ból promieniuje z dłoni przez ramię, a krew tryska mu z kłykci. Poranił je sobie o zęby mężczyzny, jakby jego pięść trafiła prosto w stos żyletek. Mężczyzna mlaszcze, oczy ma wbite w Dana, a mimo to wygląda, jakby go nie widział. Dan wymierza nowy cios, ale mężczyzna wolną ręką szybko chwyta jego zaciśniętą pięść. Psychopata przyciska wargi do rany na dłoni Dana, jakby próbował się do niej przyssać, i Dan czuje, jak śliski język przesuwają się po jego zakrwawionych kłykciach.

Przeszywa go tak silne obrzydzenie, że ryczy prosto przed siebie. Ciągnie i szarpie swoją rękę. Powierzchnia skóry, której dotykają intensywnie pracujące usta, stanowi teraz centrum jego wszechświata, a wszystko inne blednie.

I nagle ciężar znad Dana znika. Dzieje się to tak gwałtownie, że całkowicie traci orientację. Dwóch ochroniarzy, Henke i ten stary fagas Pär, który już dawno temu powinien przejść na emeryturę, unieśli mężczyznę od tyłu. Ale on nie chce puścić dłoni Dana i wydaje się, że za chwilę wyrwie ją ze stawu.

Ochroniarzom wreszcie udaje się oderwać od niego psychopatę. Dan podnosi się na łokciach, siada na brzegu sceny. Patrzy na swoją dłoń. Krew znów sączy się z drobnych ran, staje się różowa i przezroczysta, kiedy miesza się ze śliną mężczyzny. Podnosi wzrok.

Psychopata rzuca się w uścisku ochroniarzy, kopie i kłapie zębami. Pojawiają się Pia i Jarno. Mężczyzna próbuje wgrzyźć się w policzek Pii, ale w ostatniej chwili odwraca głowę.

– W porządku? – woła Pär, patrząc na Dana.

Czuje na sobie wzrok wszystkich dookoła, wszystkich tych tchórzy, którzy tylko stali i się gapili.

– Zamknijcie go, kurwa – syczy. – Musiał się naćpać jakiegoś cracku.

Spogląda na mokrą od śliny ranę. Nie ma ochoty zarazić się AIDS od jakiegoś szalonego ćpuna.

Kiedy podnosi wzrok, ochroniarze spięli już mężczyźnię ręce kajdankami za plecami. Słyszy sapanie zmęczonych ochroniarzy, szcęknięcie zębów mężczyzny, które uderzają o siebie tak mocno, że powinny popękać.

– Chcesz, żeby cię zaprowadzić do gabinetu? Raili to obejrzy – proponuje Jarno.

– Sam dojdę. Tylko go zamknijcie. Albo od razu wyrzućcie za burtę. Takie świrusy jak on nie mają prawa żyć.

Linda i Lo poszły do kasy, żeby zapłacić za kawę. Albin z mamą usiedli przy jednym ze stolików w głębi Charisma Cafe. Oprócz nich nie ma tu już prawie nikogo. Personel wydaje się znudzony i widać wyraźnie, że chciałby już zamknąć lokal.

– Co się stało? – pyta mama.

– Tata wrócił do kabiny. Chyba się położył.

– Tak, był trochę zmęczony – mówi mama. – Chciał się położyć, żeby jutro być wypoczęty.

Albin spuszcza wzrok na stół. Zgarnia okruszki ciastka w mały kopczyk.

– Wczoraj wieczorem też był zmęczony – mówi.

Nie potrafi na nią spojrzeć. Nie wie, co ma dalej powiedzieć.

– Abbe. Czy coś się stało?

Abbe wzrusza ramionami.

Tak trudno znaleźć odpowiednie słowa. Za każdym razem, gdy próbuje, czuje, jakby ktoś wyłączył w jego głowie światło i zapadła ciemność.

– Przepraszam, Cillo, ale nie pamiętam, czy pijesz z mlekiem, czy bez – mówi Linda i stawia tacę na stoliku, tak że szklanki i kubki pobrzękują o siebie.

– Bez różnicy – odpowiada mama.

– Na pewno? Mogę pójść po mleko, jeśli...

– Może być bez mleka.

Mimo to Linda wciąż jeszcze stoi w miejscu i waha się, zanim usiądzie obok Lo. Ludzie często się tak zachowują w towarzystwie mamy, również jej asystentki – wciąż się zastanawiają, czy zachowują się odpowiednio. A ponieważ muszą tyle robić dla mamy, bardzo wiele czasu upływa na ich pytania. Oczywiście to tylko dlatego, że ludzie są mili, ale Albin zastanawia się, jak mama to wytrzymuje. Tylko tata tego nie robi. Może to dlatego nigdy go nie zostawi.

Dzieci nie powinny chcieć, żeby ich rodzice się rozwiedli, ale Albin niczego nie chce tak bardzo jak właśnie tego. Mógłby pomagać mamie. Nie potrzebuje taty. Być może to, co powiedziała Lo, jest wymówką, której potrzebuje, żeby móc porozmawiać o tacie, o tym, jaki naprawdę jest.

Pośrodku morza, z dala od domu, z wielką, czarną pustką za oknami, nagle wydaje się to nawet możliwe.

– Czy tata jest chory? – pyta Albin i zgniata w palcach kopczyk okruszków tak, że ten zamienia się w miękką masę.

– Co masz na myśli, mój mały? – chce wiedzieć mama.

– Czy jest chory? – powtarza Albin i podnosi wzrok. – Lo mówi, że Linda tak uważa.

Mama mruga oczami. Już. Powiedział to. Teraz już nie ma odwrotu. Lo osuwa się na krzesło, jakby od dłuższej chwili wstrzymywała oddech i teraz wypuściła całe powietrze naraz.

– Lo. – Linda odwraca się do niej. – Co takiego powiedziałaś Abbemu?

– Sam przecież powiedział.

– Rozmawialiśmy o tym w zaufaniu.

– To jego tata – mówi Lo. – Może lepiej, żeby o tym wiedział.

– Nie ty o tym decydujesz.

– Za to ty tak, prawda? Zawsze o wszystkim decydujesz. Co za surprise, że nie chcesz o tym rozmawiać. Nigdy nie rozmawiamy o tym, jak jest naprawdę w tej cholerniej rodzinie. Może ja i Albin nie chcemy być tacy jak wy.

Lo skrzyżowała ręce. Patrzy prosto na Albina. Przesyła mu swoją moc.

– Tak mi przykro, Cillo – mówi Linda. – Lo przez przypadek usłyszała moją rozmowę z koleżanką i... próbowałam jej wytłumaczyć... myślałam, że mogę jej zaufać.

– W porządku. – Głos mamy jest bezbarwny.

– No naprawdę coś niesamowitego, że twoim zdaniem powinnam okłamywać swojego kuzyna, żeby być spolegliwa – Lo powoli cedzi słowa i znów odwraca się do Lindy. – Nie widzisz, że to niezbyt logiczne?

Przez chwilę wydaje się, jakby Linda chciała wymierzyć jej policzek.

– Ciekawe, że nagle zaczęłaś się tak bardzo interesować swoim kuzynem – mówi jednak.

Oczy Lo wyglądają teraz jak wąskie szparki.

– Abbe. – Linda ścisza głos i pochyla się do przodu. – Trudno ci to zrozumieć, nam zresztą również...

Ale ja i twoja mama próbujemy pomóc...

– Linda – mówi mama i Linda natychmiast milknie.

Potem mama bierze głęboki oddech. Splotła dłonie na kolanach. Jej kawa stoi wciąż nietknięta.

– Porozmawiamy o tym, gdy wrócimy do domu – decyduje.

– Nie – protestuje Albin. – Porozmawiamy o tym teraz.

– Abbe, proszę cię... – Po głosie można poznać, że mama zaraz się rozpłacze.

Zaczął już tego niemal żałować. Wie jednak, że jeśli nie porozmawiają o tym teraz, już nigdy tego nie zrobią. Nigdy nie uda mu się wrócić do tego tematu. A ona nigdy nie podejmie go z własnej woli.

– Musimy. Lo ma rację. Nigdy o niczym nie rozmawiamy. Zawsze mówisz, że tata jest zmęczony, ale on jest pijany. Dlaczego nie możesz powiedzieć, jak jest naprawdę?

Głowa mamy pochyla się do przodu. Ciche łyzy kapią jej na kolana. Ociera oczy całą dłonią.

– Tacie nie jest lekko – mówi. – Po mnie widać, że jestem chora, ale chorobę nie zawsze widać...

Głos jej zamiera.

– Czyli, że jest chory? – naciska Albin. – Też tak uważasz?

– Nie wiem – mówi mama. – Wiem, że pije, kiedy się źle czuje.

– Jakoś nigdy od tego nie przechodzi.

– Nie przechodzi – potwierdza mama i znów ociera oczy. – Jest mu ciężko. Robi się z tego błędne koło.

Albin patrzy na Lo. Zbiera siły.

– No to dlaczego przede mną udajesz? – pyta. – Myślisz, że niczego nie rozumiem?

Mama otwiera usta, ale znów je zamyka.

– Czasem zapominam, jaki już jesteś duży – mówi po chwili.

– Trzeba pamiętać, że to nie wina Mårtena, że jest chory – dodaje Linda. – To tak jakby złamać nogę albo zachorować jak Cilla.

– Wiem – odpowiada zniecierpliwiony, chce, żeby zamilkła, żeby pozwoliła mówić mamie.

Nareszcie mówić.

Ale mama nie mówi.

– Jakoś nikt nie okłamuje Albina, że Cilla nie jeździ na wózku – odzywa się Lo. – Czyli jakaś różnica, jak widać, jest.

Patrzy z triumfem na Lindę. Albin cieszy się, że jest tutaj z nim. Sam nigdy by tak tego nie powiedział. W każdym razie na pewno nie przed pójściem do łóżka. A potem odtwarzałyby wszystko w kółko jak scenę filmową, kiedy i tak już jest za późno.

Mama sapie i Albin patrzy na nią. Dziwi się. Bo wcale nie płacze. Śmieje się.

– No, Abbe – mówi. – To ci się trafili podręcznikowi rodzice.

Nie wie do końca, co znaczy podręcznikowi, ale się domyśla. To, co powiedziała, za bardzo przypomina słowa taty.

– Nie mów tak.

– No tak, przepraszam. – Mama znów ociera oczy. – Po prostu czuję się tak...

Kręci głową. Próbuje zdusić łkanie.

– Cilla nie chciała cię niepokoić – mówi Linda.

Albin patrzy na nie. Myślą, że się nie martwił? Nie rozumieją, że tak jest dużo prościej? Jeśli tata jest chory, jeśli istnieje na to nazwa, to może znajdzie się ktoś, kto będzie wiedział, co można z tym zrobić.

– Nie możecie kazać mu pójść do lekarza? – pyta.

– Najpierw Mårten musi zrozumieć, że potrzebuje pomocy – odpowiada Linda. – Inaczej to nic nie da.

– Zrobimy wszystko, żeby to zrozumiał – wtrąca szybko mama, zerkając na nią.

Najwyraźniej nie chce, żeby Albin miał choć cień wątpliwości, że to rozwiążą. Dalej kłamie i próbuje wszystko załagodzić.

Przy stoliku zapada cisza. Linda również nie tknęła swojej kawy. Ma kawę z mlekiem. Na powierzchni utworzyły się małe tłuste plamki.

– Nie możecie się najpierw rozwieść? – odzywa się cicho Albin. – Wtedy przynajmniej nie będziemy musieli z nim mieszkać.

Mama kręci głową.

– Nie rozwiedziemy się. Przecież się kochamy. I nie wolno ci mu o tym mówić. Będzie mu przykro, że rozmawialiśmy z tobą, i będzie nam jeszcze trudniej do niego dotrzeć. Lo ma rację, nie powinno się kłamać i udawać, że wszystko jest w porządku. Jednak jeszcze przez chwilę musimy. Dla jego dobra.

Im dłużej mama mówi, tym Albin wyraźniej czuje, że zaraz wybuchnie. To takie niesprawiedliwe. Wszyscy muszą dostosowywać się do taty. On sam nie może o niczym decydować. Choć to przecież również jego życie.

– Ale ja nie chcę mieszkać z tatą – mówi i niemal wybucha płaczem. – Ja go nie kocham. Nienawidzę go.

– Na pewno tak nie jest – zapewnia mama. – Pomożemy mu i wszystko się ułoży.

Albin nie może już dłużej opanować łez.

– Ciebie też nienawidzę – rzuca.

Wstaje od stolika i wybiega, zanim zdążą go zatrzymać.

Nie wie, czy któraś z nich wychodzi za nim. Biegnie, nie odwraca się.

Mężczyzna, o którym rozmawiały w kawiarni, śpi już w swoim łóżku. Koszula klei się do spoconego ciała. Śni mu się, że wbiega po schodach. Mårten! Mårten! Mårten! Krzyki wyrażają osamotnienie, przerażenie i jednocześnie wściekłość i przesywają go na wylot. Patrzy na obrazy zawieszane jeden obok drugiego na ścianie klatki schodowej. Namalowała je ta, która krzyczy. Grube warstwy farby olejnej zastygłe na płótnie w postaci różnej wielkości grudek. Na szczycie schodów widać uchylone drzwi. Sączą się zza nich ciemność i zapach dymu papierosowego. Mårten! Wchodzi do środka. Mama leży w łóżku oparta o stos poduszek. Zaciąga się papierosem i wyłania z ciemności, gdy żar robi się mocniejszy. Nad brzegiem kołdry widać piersi wylewające się spod pach.

– Cześć kochanie – mówi. Papieros skwierczy, gdy gasi go w popielniczce. – Pewnie się cieszysz, że nie musisz iść do szkoły?

Kiwa odruchowo głową. Mama zadzwoniła do szkoły i powiedziała, że jest chory. Nie chciała być dziś w domu sama. Linda, jego siostra, mu zazdrości. Linda nie wie, że Mårten też jej zazdrości. Chce iść do szkoły. Chce stąd wyjść.

– Położysz się koło mnie, żebym mogła cię pogłaskać? – pyta mama i odchyła kołdrę.

Mårten kładzie się obok, a ona przykrywa ich razem kołdrą. Robi mu się ciepło.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła – mówi.

Mårten drapie bąbelki na wzorzystej tapecie przy łóżku. Znajduje płamkę.

– Kochasz mnie, prawda? – pyta, a on zapewnia, że tak. – Bo wiesz, tym razem musimy zrobić wszystko tak jak trzeba. Inaczej to wróci w kolejnym życiu, aż będziemy ze sobą rozliczeni.

Mårten przytakuje i mama znów opowiada o ich poprzednich życiach. Czasem są małżeństwem, czasem to Mårten jest rodzicem. Czasem są przyjaciółmi, czasem wojownikami w tej samej armii.

– Zawsze byłeś tylko ty i ja przeciwko całemu światu – mówi mama. – Gdyby nie ty, nie chciałabym żyć w tym życiu. Od razu wskoczyłabym w następne.

Dorosły Mårten leży teraz w łóżku w swojej kabinie, z trudem łapiąc powietrze. Sen kończy się zawsze w ten sam sposób. Chce się z niego wydostać, ale nie może.

– Powinniśmy razem przejść do nowego życia – mówi mama. – Jak Bracia Lwie Serce.

Łóżko zrobiło się mokre. Wilgoć kapie z materaca.

– Mårten. Czekam przecież na ciebie.

Odwraca się. Na lokach mamy błyszczą krople wody. Skóra jest lekko zielonkawa. Brakuje fragmentów jej twarzy wygryzionych przez ryby i raki. Oczy pokrywa mleczna membrana, ale on wie, że patrzy prosto na niego. Próbuje podnieść się z łóżka, ale mokry materac nie pozwala mu się oderwać. Kiedy mama się do niego uśmiecha, brudna woda wylewa się z jej ust.

Piersi leżą ciężko na brzuchu. Brzuch sterczy, jakby była w ciąży. Wie, że w środku są węgorze. Minęło kilka lat, od kiedy weszła do jeziora Melar.

„To tylko sen – myśli. – Udało mi się”.

Za mleczną membraną przemknął jakiś cień, poruszyło się coś mokrego i śliskiego. Wyczuwa, że mama jest zła. W snach nigdy mu się nie udaje.

– Obiecałeś – mówi. – Powiedziałaś, że już zawsze będziemy razem.

Na dziewiątym piętrze ktoś wali do drzwi kabiny. Czternastoletnia Lyra zatrzymuje film na komputerze, zdejmuje słuchawki. Poprawia czarną opaskę podtrzymującą grzywkę, którą właśnie zapuszcza. Ktoś znów wali do drzwi. Zniecierpliwiony. Przechodzi jej przez myśl, że pewnie mama albo tata zapomnieli karty. Zastanawia się, czy długo pukali, bo miała głośno w słuchawkach. Nogawki białej jedwabnej piżamy zakrywają jej stopy, kiedy wstaje z łóżka. Ma nadzieję, że rodzice nie każą jej już spać. Jutro wcześniej wstają i wsiadają w samochód, żeby pojechać do babci i dziadka w Kaarina. Lyra przyciska kławkę. Nagle nachodzą ją wątpliwości. A jeśli to nie mama i tata, tylko ktoś niebezpieczny? Puszcza kławkę.

– Halo? – woła.

– Halo – odpowiada cienki dziecięcy głos.

Lyra otwiera drzwi. Na korytarzu na zewnątrz stoi chłopiec w tiszercie i czerwonej bluzie. Patrzy na nią spod platynowej grzywki swoimi niebieskimi oczami. Wydaje się zadowolony. Niemal podekscytowany.

– Cześć – wita się. – Jak masz na imię?

Odpowiada niepewnie, że Lyra. Rozgląda się po korytarzu. Nikogo nie widać. Z pobliskiej klatki schodowej dochodzą odległe głosy z pokładu poniżej.

– Co za dziwne imię – mówi chłopiec rozbawiony.

Lyra wzdycha w myślach. Czasem nienawidzi swojego imienia, choć lubi Lyrę, po której ma imię.

– Pochodzi z książki, którą czytał tata, kiedy mama była ze mną w ciąży – wyjaśnia.

– O czym była? – pyta chłopiec.

I Lyra opowiada to, co zwykle.

– O magii i różnych stworzeniach, i tak dalej. Trudno wytłumaczyć.

Chłopiec marszczy czoło. Nie wydaje się przekonany.

– Czy to wampiry błyszczą tam w słońcu? – pyta, a Lyra wybucha śmiechem.

– Nie. – Kręci zdecydowanie głową.

– To dobrze. Uważam, że wampiry powinny być groźne.

Znów się śmieje, bo chłopiec jest słodki, choć zachowuje się jak dorosły.

„Nie, nawet więcej – myśli. – Jest taki staroświecki. Taki mały dziadek”.

Pyta chłopca, gdzie są jego rodzice, a on wzrusza ramionami.

– Czy mogę skorzystać z toalety – pyta niespodziewanie.

– Nie wiem – waha się Lyra.

Chłopiec zaciska uda. Nagle wydaje się niespokojny.

– Proszę. Nie chcę się posikać.

Wpuszcza go więc. Gdy drzwi do kabiny się zamykają, chłopiec staje do nich plecami. I kiedy się do niej uśmiecha, widzi, że jego zęby są całkiem żółte.

Głuche terkotanie telefonu pokładowego stojącego na biurku wybudza Mårtena z koszmaru. Siada na łóżku. Czuje, jak łóżko drży od wibracji silników. Rozgląda się zdezorientowany po kabinie i dopiero po chwili dochodzi do niego, gdzie jest. Łóżko jest mokre, odruchowo wsuwa dłoń między nogi. Nie zsikał się. Na dźwięk telefonu wyskakuje z łóżka. Podnosi słuchawkę. Lęk, który czuł we śnie, cały czas mu towarzyszy. Słyszy śmiechy i głosy w tle, a jego żona mówi o dzieciach. Zniknęły. Dzwoniła kilka razy do kabiny Lo i Lindy, ale nikt nie odbiera.

– Zaraz znów do ciebie zadzwonię – mówi. – Zostań tam na wypadek, gdyby wrócili.

Mårten poznaje po jej głosie, że jest przerażona. Rozłącza się, zanim zdąży cokolwiek odpowiedzieć. Zrywa z siebie mokrą od potu koszulę, dygocze. Patrzy na ścianę graniczącą z kabiną obok. Wyjmuje butelkę koniaku ze stojącej przy drzwiach torby ze sklepu wolnołowego.

W punkcie informacji Mika wyjął mikrofon. Głośniki na całym promie budzą się do życia z miękkim dźwiękiem.

– Wiadomość prywatna – mówi, a głos rozchodzi się echem po korytarzach. – Albin i Lo Sanden są proszeni o przyście do punktu informacji. Albin i Lo proszeni są o przyście do punktu informacji.

Jasnowłosy chłopiec patrzy zirygowany na głośniki na dziewiątym pokładzie. Rany na jego obojczyku niemal całkiem zniknęły. Niedobrze mu. Trudno mu przerwać jedzenie w odpowiednim momencie. W jego drobnym ciele jest za dużo krwi. Musi gdzieś się ukryć. Zaczekać na to, co musi przyście. Co wszystko zmieni. Uśmiecha się. Nie może się doczekać.

– I po wszystkim – mówi Raili i z plaśnięciem zdejmuje białe, pokryte talkiem plastikowe rękawiczki.

– Teraz tylko uważaj, żeby nie zabrudzić rany. A jak się zrobi strup, powinieneś go wietrzyć przez noc.

Dan trzyma przed sobą prawą rękę. Spod bandaża wystają tylko czubki palców. Pod spodem czuje głuche pulsowanie. Napina mięsień ramienia, w który Raili zrobiła mu zastrzyk przeciwko tężcowi.

Okręca się na krześle i wrzuca rękawiczki do kosza.

– Co za pech, że znalazłeś się na drodze tego szaleńca – mówi, kiedy znów się do niego odwraca.

Patrzy na jej okrągłą, nieumalowaną twarz.

– To nie był pech – odpowiada powoli. – On szedł na mnie, a to cholerna różnica.

– No tak, oczywiście.

– Mam tylko nadzieję, że nikt nie doniesie brukowcom. Słyszałem, jak kilka osób robiło zdjęcia komórkami.

Patrzy znów na rękę. Może ten szaleniec wyświadczył mu przysługę.

– Nie ma się co martwić – mówi Raili. – Mają wystarczająco dużo innych tematów.

Tak jakby wiedziała. Tak jakby cokolwiek wiedziała.

Zamierza wysiąść z promu, gdy tylko dobiją z powrotem do Sztokholmu. Pójdzie do lekarza. Dlaczego nie mają na pokładzie prawdziwego lekarza? Każda głupia może zostać pielęgniarką.

Na biurku Raili dzwoni telefon, odbiera. Zaczyna rozmawiać z kimś po fińsku. Głos zmienia jej się, gdy mówi w swoim ojczystym języku. Zmienia się nawet mimika, kiedy wymawia te obce, melodyjne dźwięki. Jak to możliwe, że tak brzmi język, który wygląda, jakby składał się z samych spółgłosek. Milknie, z powagą kiwa głową, słuchając głosu w słuchawce.

– No, dzwonił Jarno – mówi. – Facet jest już za kratkami.

Pęka z dumy, że jej mąż zrobił, co do niego należało.

Głowa Dana zaczyna pulsować w całkiem innym rytmie niż ręka. Ból nasila się lekko z każdym uderzeniem. Tak jakby ktoś powoli, ale stanowczo podgłośniał muzykę.

– Masz coś przeciwbólowego? – pyta.

– Jasne – odpowiada Raili. – Mam alvedon i ipren...

– Nic mocniejszego? – przerywa zniecierpliwiony.

Drobne ukłucia bólu promieniują w dół prosto ku dziąsłom.

– Powinny ci wystarczyć – mówi i podaje mu listek.

Wrywa go jej z ręki zirytowany. Wyciska trzy tabletki i popija wodą z kranu.

Kiedy się prostuje, czuje, jakby woda miała wrócić z żołądka. Bierze głęboki oddech. Kiwa na pożegnanie głową do Raili, nawet na nią nie patrząc, i wychodzi z gabinetu.

Na korytarzu czeka na niego kobieta. Panienska od *Paradiso Tropical*. Jego największa fanka. Alexandra. Na jego widok rozpromienia się. Na przednim zębie połyskuje diament. Zauważa, że mu

użyło. Nie chce być sam dziś wieczorem, ale nie chce też musieć wychodzić na prom i polować.

Zwierzyna sama do niego przyszła.

– Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko u ciebie okej. To wyglądało okropnie. Co z twoją ręką?

Dan podnosi ją do góry. Porusza lekko koniuszkami palców, które wystają spod opatrunku.

– Jak widać jest na swoim miejscu – odpowiada z uśmiechem.

Alexandra chichocze nerwowo, trochę zbyt głośno.

– Wracasz na scenę?

– Na dziś chyba wystarczy kontaktu z publicznością.

Znów chichot.

– Co będziesz robić przez resztę wieczoru?

Dan patrzy na nią. Uśmiecha się.

– Bzykać się z tobą – mówi bez większego zaangażowania. – A potem znów się z tobą bzykać. A jeśli masz w kabinie koleżankę, to możesz albo ją wyrzucić, albo zaproponować, żeby się przyłączyła. Ty decydujesz.

Alexandra patrzy na niego zaskoczona. Tak jakby nie po to do niego przyszła. Zerka na obrączkę na lewym palcu serdecznym.

Zaczyna mu stawać. Kolejne miejsce, które pulsuje tak mocno, że Dan zapomina o pozostałych. Napletek się zsunął, a ocierająca się o materiał slipów żołądz zrobiła się wrażliwa i niemal go piecze.

– Nie ma jej tam – stwierdza Alexandra. – Jest w klubie.

– No to co – mówi Dan. – Masz coś do picia w kabinie?

Przytakuje.

– No to prowadź.

Przygląda się rudowłosemu mężczyźnie przez okienko w drzwiach. Usiadł na podłodze plecami do nich. Nie rusza się.

Wyciska kolejną porcję żelu odkażającego i rozprowadza go po ranie na nadgarstku, której nabawiła się podczas szarpaniny w barze karaoke. Zauważa, że dłoń, która trzyma plastikową butelkę, drży.

„Widzisz, maleńka, dobrze, że nie zostałam policjantką, przecież cały czas się trzęsiesz”.

Słowa jej byłego męża. Nie pomogło, że się z nim rozwiodła. Zawsze i tak słyszy go gdzieś z tyłu głowy, gotowego, by podnieść głos.

– Dan miał rację. Musiał się czegoś naćpać – odzywa się Jarno.

– Albo po prostu jest szaleńcem – mówi Pia.

Z dowodu osobistego w jego portfelu wynika, że nazywa się Tomas Thunman. Na zdjęciu patrzy prosto w obiektyw. Na jego ustach błąka się lekki uśmiech. Wygląda sympatycznie i zupełnie niegroźnie.

– Dzwonimy na policję? – pyta Jarno.

Chciałaby powiedzieć tak, zabierzcie tego Tomasa Thunmana z „Charismy”. Mimo to kręci głową.

– Nie warto dla niego uruchamiać helikoptera – mówi. – Niech tu siedzi. Pär i Henke też do niego czasem zajrzą.

W zasadzie powinni go przekazać fińskiej policji, gdy dopłyną do Turku, ale mogą też zatrzymać go na promie aż do powrotu do Sztokholmu. Tomas Thunman jest obywatelem szwedzkim. Przekazanie go policji w Finlandii tylko wszystko skomplikuje.

Pia i Jarno wychodzą do niewielkiego pomieszczenia ochrony. Patrzą na cztery ekrany na ścianie. Po jednym na każdą celę. Dwóch mężczyzn, którzy awanturowali się w Starlight, śpi ciężkim snem na pryczach w swoich celach. W trzeciej leży kobieta, którą Pär i Henke uratowali przed stratowaniem na parkiecie. W ramach podziękowania próbowała kopnąć obu między nogi i dwa razy wymiotowała.

Tomas Thunman siedzi dalej na podłodze w czwartej celi. Obraz jest gruboziarnisty. Wciąż nieruchomy. Zakrywa oczy rękoma, jakby próbował się chronić przed silnym światłem w pomieszczeniu. Pia stoi tak blisko ekranu, że czuje bijące od niego ciepło. Statyczna elektryczność sprawia, że stają jej włoski na przedramionach.

– Myślisz, że powinniśmy przyprowadzić tu Raili? – pyta Jarno.

– Chyba już się uspokoił – mówi Pia. – Nie chcę jej do niego wpuszczać.

Jarno wyraźnie oddycha z ulgą.

– Nie wiem jak ty, ale ja chętnie zrobię sobie przerwę – dodaje Pia.

– Proszę bardzo – mówi Jarno, nie spuszczając wzroku z ekranu. – Mogę tu zostać i napić się kawy, jeśli chcesz pójść na górę i pogadać z Callem.

Pia klepie go z wdzięcznością w ramię. Myśli o tym, jak szczęśliwy wydawał się Calle, kiedy widzieli się na mostku. Nie potrafi pogodzić się z tym, że teraz siedzi sam w kabinie Filipa.

– Dzwon przez krótkofalówkę, gdyby coś się działo. Jeśli nie zadzwonisz, widzimy się za pół godziny.

Patrzy znów na ekrany. Cele są pełne. Kiedy dwaj mężczyźni dojdą do siebie po drzemce, będą mogli wyjść. Ale jeśli jeszcze coś się stanie wcześniej, będą musieli sięgnąć po środki specjalne i przypiąć nadgorliwych pasażerów kajdankami do poręczy na klatce schodowej dla pracowników. Wcale za tym nie przepada.

Modli się w myślach o spokojny wieczór na „Charismie”, ale pracuje tu dostatecznie długo, żeby wierzyć w swój instynkt. A instynkt podpowiada jej, że musi zacisnąć zęby. To będzie długa noc.

Atmosfera na promie zmieniła się. Idzie wzdłuż krawędzi parkietu w Charisma Club. Zauważa otwarte drzwi w wysokiej szklanej ścianie na końcu lokalu. Kieruje się na nie. Musi stąd wyjść.

Muzyka gra tak głośno, szaleńczo, że musi zasłaniać uszy dłońmi. Dookoła wszędzie pijane twarze. W powietrzu czuć agresję, jest jak niewidoczna, ale w najwyższym stopniu wyczuwalna mgła. Widziała dwóch nastolatków rozebranych do pasa, którzy próbowali wyrwać się z uścisku przyjaciół, żeby bić się dalej. W ich oczach było coś zwierzęcego. Minął ją w biegu ochroniarz z ręką na pałce i Marianne przeszła dalej, żeby nie musieć na to patrzeć. Przerażają ją też ci, którzy piszczą i śmieją się szaleńczo. Czuje, że w każdej chwili mogą stracić panowanie nad sobą. Nieporozumienie, jedno opacznie zrozumiane spojrzenie może stać się iskrą, która wywoła pożar.

Marianne stara się nie patrzeć nikomu w oczy. Nie jest to łatwe, kiedy szuka Görana.

Nie mogła zasnąć po tym, jak wyszedł. W końcu wstała, odświeżyła się mokrymi chusteczkami, włożyła koszulkę w biało-niebieskie paski, którą zamierzała zachować na jutro. Umalowała usta, rozczesała włosy i ułożyła je w miarę możliwości. Przez cały czas miała nadzieję, że usłyszy ostrożne pukanie do drzwi. Że Göran zmienił zdanie.

Nie zmienił go jednak. Zrobiła to ona.

Marianne unosi ręce, żeby się chronić, kiedy jakiś mężczyzna potyka się i upada tuż przed jej stopami. Robi zdecydowany krok nad nim. Czuje pierwszy powiew świeżego powietrza docierający przez otwarte drzwi.

Ludzie tłoczą się w przejściu i uświadamia sobie, że nie musi już być uprzejma. Przepycha się do przodu, słyszy, jak ktoś mówi: „Spokojnie, babciu”. Przeciska się dalej. Tutaj też jest tłum, ale powietrze jest przynajmniej świeże, a muzyka nie aż tak głośna. Staje przy relingu. Patrzy na szeroki, spieniony ślad, który „Baltic Charisma” zostawia za sobą w wodzie. Bierze kilka głębokich oddechów. W oddali na horyzoncie widzi inny prom. Aż trudno uwierzyć, że na nim również jest tylu ludzi. Tyle samo nadziei i dramatów.

Powinna pójść się położyć. Nie stać tu na deszczu jak jakaś idiotka.

Wciąż istnieje cień szansy, że do niej zejdzie.

Marianne przepycha się dalej przez tłum w kierunku burty. Tutaj jest znacznie luźniej i przynajmniej jest dach nad głową.

Przez chwilę spaceruje. Przesuwa dłoń po mokrym metalowym relingu. Przy ścianie stoi kilka ławek, na pierwszej siedzi samotny mężczyzna w cienkiej koszuli, a przy drugiej widać czyjeś ciemne wymiociny. Na ziemi połyskuje coś, co przypomina drobne białe kamyczki. Marianne potrząsa głową. Obejmuje się ramionami, żeby chronić się przed wiatrem. Zatrzymuje się i patrzy na wodę.

Próbuje sobie przypomnieć, co takiego powiedziała Göranowi, zanim wyszedł. Próbuje spojrzeć obiektywnie na całą scenę. Czy tak bardzo skupiła się na udawaniu, że naprawdę go nie potrzebuje, że sprawiała wrażenie odpychającej i zimnej? Czy raczej przeciwnie, jak zwykle wszystko było po niej widać i wystraszyła go swoją desperacką samotnością?

Syn powiedział jej kiedyś, że się jej boi. „Musisz mieć swoje życie, mamó”.

Ale Göran zapisał jej przecież swój numer. Nie musiał tego robić.

Czy zostałaby, gdyby po prostu go o to poprosiła?

Marianne jest zmęczona samą sobą. Jest dokładnie taka jak kiedyś. Przez wszystkie lata spędzone w samotności ani trochę się nie rozwinęła. Nic już nigdy nie będzie lepiej. Ona nigdy nie będzie lepsza.

Była śmieszna, myśląc, że może uciec sama przed sobą. Głupia, tchórzliwa Marianne. Prawdopodobnie Göran już po chwili domyślił się, jaka ona jest. Zrozumiał to, jeszcze zanim się ze sobą przespali, ale pewnie nie chciał wychodzić, dopóki nie dostanie tego, po co przyszedł. Dlaczego znów daje się wciągnąć w ten ciemny obłok beznadziei. Co to za wielka pustka wewnątrz niej, pustka, której niczym nie daje się wypełnić? Najgorsze, że wszyscy najwyraźniej zauważają to już z daleka. Nic dziwnego, że trzymają się z boku.

Marianne patrzy na wodę, która pieni się wokół kadłubu promu nisko pod jej stopami. Tak bardzo zimna. Tak głęboka.

Kto by za nią tęsknił, gdyby zaginęła dziś w nocy? Kiedy jutro rano przyłyną do Sztokholmu, personel sprząający pewnie zgłosi kierownictwu, że w jednej z kabin zostały rzeczy osobiste. Gdyby jednak teraz zeszła do kabiny, spakowała rzeczy do walizki i wyrzuciła je za burtę, a potem sama przeskoczyła przez reling? Nikt nie szukałby jej przez kilka tygodni, najwcześniej dopiero przed świętami. Wreszcie zostałoby pewnie przeprowadzone dochodzenie i ktoś zobaczyłby na jej wyciągu z konta, że ostatnie, co kupiła w życiu, to dwa piwa na promie do Finlandii.

Marianne odsuwa się od relingu zawstydzona swoimi chorymi fantazjami i godną pożałowania rozkoszą, które w niej wywołują. Za dużo ostatnio poświęcała im uwagi. Powinna zamiast tego zabrać się do sudoku.

Marianne dostrzega kątem oka, że coś się poruszyło, i aż podskakuje w miejscu. Mężczyzna na ławce podniósł się i idzie w jej stronę.

– Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem – mówi. – Chciałem tylko sprawdzić, czy na pewno wszystko w porządku.

Ma głęboki i melodyjny głos. Sprawia wrażenie młodego. I rzeczywiście. Gdy wchodzi w światło, Marianne zauważa, że może mieć najwyżej kilka lat po trzydziestce. Pewnie marznie jeszcze bardziej niż ona, wyszedł w samej koszuli.

– Dobrze, dziękuję – odpowiada i ociera oczy. – Miałam po prostu bardzo dziwny wieczór.

Czy tylko jej się wydaje, czy mężczyzna jest smutny?

– Ja nie przyjąłem oświadczeń – mówi. – A ty?

Dan stoi przy łóżku i wpycha członek w usta Alexandry. Kiedy wydaje się jej, że doszedł, odczekuje kilka sekund. Czuje, że zbiera jej się na wymioty. Po chwili rozluźnia jednak gardło i on może wejść w nią aż do samego dna. Zostaje tam przez chwilę. Ujeżdżał ją długo i zapamiętała, a ona mu się poddawała, popijając alprazolam, na który ją namówił, słodką nalewką gruszkową z jednej z siatek ze sklepu wolnocłowego. On sam niczego nie pił, nie potrzebował. Nigdy jeszcze nie był na takim haju. Za chwilę nadejdzie czas na finał, ale Dan chce to przeciągnąć, ma wrażenie, jakby mógł to robić w nieskończoność, aż do śmierci. Jego penis jest rakietą, która wytryśnie prosto w wieczność.

Co to jest?

Od czasu do czasu patrzy na swoje odbicie w lustrze wiszące nad biurkiem w nogach łóżka. Obraca się lekko, żeby widzieć się pod jak najlepszym kątem.

Drażni się z Alexandrą, poklepując ją po policzkach swoją nieuszkodzoną lewą dłonią. Gładzi ją po twarzy, udaje, że zatyka jej nos. Ma ochotę udusić ją swoim penisem.

Ból głowy jest tak silny, że potrafi go usłyszeć. Coś trzeszczy i łupie mu w czaszce, gdzieś nad podniebieniem. Serce bije tak szybko, że w każdej chwili może eksplodować. Euforia, jaką teraz czuje, nie przypomina niczego, co do tej pory przeżył. Jego miejsce jest właśnie tutaj. Właśnie teraz. Wszystko pasuje. Nawet ból głowy jest rozkoszą. Zakończenia nerwowe nie odróżniają doświadczeń, które zlewają się ze sobą, wzmacniają nawzajem. Całe ciało jest jak jeden wielki zimny ogień. Tak jakby każda komórka jego ciała chciała szczytować.

Wysuwa się z jej ust. Za penisem ciągną się grube nici jej śliny, a ona dyszy mokro, zmęczona.

– Znasz smak swojej cipki? – szepcze jej do ucha. – Lubisz go?

Kobieta mruczy coś, kiedy pochyła się nad nią i przytrzymuje jej ramiona nad głową. Uszkodzona dłoń boli go i to jest takie przyjemne. Dan przygryza lekko płatek jej ucha.

Zęby w kości szczękowej poddają się. Wypadają jak dwa klocki, znikają w jej włosach.

Puszcza ją, zanurza palce w czarnych lokach. Alexandra patrzy na niego zaskoczona. Udaje mu się znaleźć zęby, ogląda je pod światło lampki przy łóżku. Jeden z nich pękł wzdłuż. Ból atakuje czaszkę kolejnymi wiązkami, Dan czuje smak krwi. Serce bije, bije i bije.

Dopada do lustra, musi podciągnąć spodnie, żeby się nie potknąć. Otwiera usta. Ledwo rozpoznaje swoją twarz bez dwóch przednich zębów. Kolejne zęby ruszają się w zębodołach. Dan zamyka usta, czeka, aż wypełnią się krwią, zanim przełknie. Niemal szczytuje, kiedy ciepła krew spływa mu po ściankach przełyku.

– Co robisz? – dobiega go z łóżka bełkot Alexandry.

Ból jest teraz nie do wytrzymania. Przeszywa go dreszcz. Granica między euforią a paniką zrobiła się bardzo cienka.

Czy kiedykolwiek czuł aż tyle, ile czuje w tej chwili?

Alexandra wytoczyła się z łóżka za jego plecami. Dan wkłada palec wskazujący lewej ręki do ust

i dotyka ostrożnie zębów. Ustępują, spadają na język. Osusza je z krwi, podstawia dłoń pod usta, wypływa. Alexandra coś mówi, ale on nie słyszy co. Dźwięki wypełniające jego głowę są zbyt głośne.

Coś jednak ucichło. Coś, o czym nigdy nie myślał, bo zawsze tam było.

Przestało mu bić serce. Poddało się, w końcu.

Zamyka oczy. Przygotowuje się na wielką ciemność, która za chwilę go pochłonie.

– Co się dzieje? – marudzi Alexandra.

Dan otwiera oczy. Alexandra stoi obok niego. Patrzy na niego bardziej przytomnie. Najpierw na jego złożone w miseczkę dłonie. Potem w górę – na twarz. Krzyczy.

„Że też to ona będzie ostatnią osobą, którą zobaczę w życiu”, myśli Dan.

Ciemność jednak nie nadchodzi.

– Uderzyłeś się w coś... Musimy pójść po pomoc...

Alexandra wkłada majtki. Przeciąga jaskraworóżową koszulkę przez głowę.

– Musimy kogoś znaleźć.

Próbuje jej odpowiedzieć:

– Jest za późno. Moje serce przestało bić.

Bez zębów wychodzą mu tylko samogłoski i świsty.

Zaczyna się śmiać. Jego odbicie staje się dziwne. Dolna część twarzy zapadła się. Kolejne dźwięki w głowie. Coś białego połyskuje w mięsistej masie w ustach. Dan patrzy w lustro z bardzo bliska.

Nowe zęby.

Przerażenie Alexandry rozgrzało go. Promieniuje na niego, grzeje go w plecy jak słońce w zimny dzień. Przygląda jej się w lustrze.

Nie czuje podniecenia. To coś zupełnie innego.

Chce rozerwać. Otworzyć. Zanurzyć twarz w mięsie. Wyssać każdą kroplę.

Siedzi na łóżku i patrzy w stary telewizor z wypukłym ekranem. Przerzuca kanały pokazujące obrazy z dwóch parkietów z nadzieją, że zauważy Albina. Uszy wychwytyją każdy dźwięk. Czasem ma wrażenie, że słyszy dobiegający skądś kobiecy krzyk.

Pije koniak z plastikowego kubka z łazienki, ale znieczulenie nie chce nadejść. Zasłonki w oknie są zaciągnięte. Nie mógł przestać na nie zerkać, bał się, że zobaczy w nim jej twarz przyklejoną do szyby.

Mama.

Ten cholerny sen go nie opuszcza. Niepokój przedzie głuchą i ciemną pajęczynę głęboko w jego piersi.

Albin zniknął.

Mårten wypija kolejny łyk. Gdy kilka kropli spływa mu na brzuch, wyciera je zirytowany i spogląda na szklanke. Cienkie, proste pęknięcie na powierzchni plastiku.

Co się stało z Abbe?

Nie powinien był zostawać sam z Lo.

Mårten jest pewien, że rozmawiali o nim. Lo pewnie wierzy we wszystko, co wmawia jej Linda. Z kolei Abbe jest pod takim wpływem swojej kuzynki, że uwierzy we wszystko, co ta mu powie.

Za to Mårten nie ma oczywiście nawet szansy, żeby się bronić.

Wszystko, co próbował trzymać pod kontrolą, rozrosło się teraz i niedługo przestanie się w nim mieścić. Jak długo jeszcze będzie mieć siłę do walki? Kiedy przyjdzie czas, żeby się poddać? Może liczyć tylko na siebie. Wszyscy inni go zawiodą. Czy Cilla i Linda naprawdę myślą, że nie widzi tych wymownych spojrzeń, które wymieniają? Pewnie siedziały przez cały wieczór i paplały o nim. Żaliły się na niego dzieciom. Przecież widzi, że Albin coraz bardziej się od niego odsuwa.

Obraca szklanke tak, żeby nie patrzeć na pęknięcie, pociąga łyk. Dla Abbego byłby gotów zrobić wszystko, ale one próbują nastawić jego syna przeciwko niemu.

W końcu nie wytrzymuje i wybucha płaczem. Przypomina teraz kwilące zwierzę. Nie ma siły wciąż tylko próbować i próbować – bez efektu.

Dokoła wszyscy żalują Cilli, bo siedzi na wózku. A on to co? Nikt nie zapyta, jak on się czuje. Nikt nie powie:

– Kurwa, zajebisty z ciebie koleś, Mårten. Dajesz radę. Zostałeś, choć Cilla nie jest już tą kobietą, którą poślubiłeś.

Tkwi w pułapce. Gdyby ją zostawił, potwierdziłoby to tylko, jaką jest świnią.

Zerka na zasłonki, nie poruszają się. Nasłuchuje deszczu, który uderza po drugiej stronie. Krzyki, o ile rzeczywiście były, ucichły.

Teraz jednak słyszy jakiś inny dźwięk. Za ścianą. Dźwięk otwieranych drzwi.

Wychodzi na korytarz. Drzwi do kabiny obok są uchylone. Mårten opróżnia szklanke i wchodzi.

Przed łóżkiem klęczy Lo, wygląda, jakby czegoś szukała. Mårten chrząka i jej drobne ciało podskakuje.

– Zgubiłaś gdzieś Abbego?

– Skądże – odpowiada, próbując się uśmiechnąć. – Matko, ale mnie wystraszyłeś.

Może sobie grać przed Abbem, że jest cholernie dorosła, ale wciąż jest tylko dzieckiem. Dzieckiem, które nie otrzymało porządnego wychowania.

– Gdzie jest Abbe?

– Nie wiem.

– Myślę, że wiesz. – Mårten robi krok w głąb pokoju.

Oczy Lo się zwięzają.

– Nawet gdybym wiedziała, i tak bym nie powiedziała. Skąd wiesz, może on wcale nie chce cię teraz widzieć.

Mårten rzuca na bok pustą szklankę i podchodzi do Lo. Chwyta ją za ramiona, podnosi z podłogi.

Jej impertynencja natychmiast wyparowuje.

– Niby dlaczego miałyby nie chcieć? – mówi i zaczyna nią potrząsać. – Coś ty mu nagadała?

– Nic. – Lo wrywa się z jego uścisku.

– Nie wierzę ci.

– Nie? No to sobie nie wierz.

Zagradza jej drogę, kiedy próbuje go wyminąć.

– Widziałem po was, że coś jest nie tak, kiedy byłem tu wcześniej.

– Co, boisz się, żeby się o czymś nie dowiedział?

Teraz wyraźnie wyczuwa w jej głosie pogardę.

– Kurwa mać – klnie, a łyzy pieką go w kącikach oczu. – Widziałem.

Ociera łyzy, żeby znów widzieć wyraźniej Lo, która gapi się na niego. Wygląda, jakby miała mdłości.

– Na szczęście otaczają mnie sami nieskazitelni ludzie. Co by było, gdyby mnie zabrakło? Na kogo wówczas zwalalibyście całą winę?

Lo kręci głową i przepycha się obok niego. Zrywa coś z wieszaka przy drzwiach. Odwraca się w progu.

– Nikt tu nie musi okłamywać Abbego – mówi. – Wystarczy mu prawda. Ty nawet nie rozumiesz, że musiałyśmy się przeprowadzić, żeby nie musieć cię oglądać.

Wzbiera w nim złość, płyną kolejne łyzy.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– Lecz się.

– Może powinienem był zrobić jak twój ojciec? – krzyczy. – Po prostu uciec?

– Tak! – krzyczy Lo. – Tysiąc razy wolę mieć ojca, którego nie znam, niż takiego ojca jak ty!

Trzaska drzwiami, dźwięk rozchodzi się po całym jego ciele. Jakby do niego strzeliła.

Gdzieś w pobliżu zatraskują się drzwi. Krzyki ucichły. Stoi na czworakach w kabinie Alexandry. Głodzi wykładzinę. Pod opuszkami palców czuje każde włókno. Czasem przenosi zabandażowaną rękę na blade ciało Alexandry. Grzebie w nim. Zlizuje krew z palców. Nic mu to już jednak nie daje. Raczej go brzydzi. Krew nie ma już w sobie żadnej siły, żadnego życia.

Dan nieruchomieje. Czuje swędzenie pod bandażem przesączonym płynami fizjologicznymi Alexandry. Oddycha ciężko, choć już tego nie potrzebuje. Pozostał tylko odruch mięśni klatki piersiowej. Czuje, jak krew Alexandry rozchodzi się po jego ciele z każdym skurczem serca. Teraz jest jego częścią. Złączyli się ze sobą, tak jak nigdy wcześniej nie udało mu się z nikim złączyć. To tego szukał i nie znajdował. To było takie proste. Instynkt podpowiedział mu, że musi rozerwać jej gardło, żeby ją uciszyć.

To musiało się zacząć od mężczyzny, który go ugryzł. On też chciał krwi. Ale nowa siła była dla niego za potężna. Był za słaby. Nie poradził z nią sobie. Nie był jak Dan.

Zrywa bandaż z ręki. Zlizuje to, co zaschło na kłykciach. Rana po zębach mężczyzny się zagoiła. Zostały tylko błyszczące, zaróżowione wypukłości. Dan kiwa głową.

Jest niezniszczalny. Może nawet nieśmiertelny.

Teraz jest więcej niż człowiekiem. Teraz jest kimś więcej.

Patrzy na krople deszczu na szybie. Są tak piękne, że musi do nich podejść. Wyciąga rękę. Czuje chłód szyby na opuszkach palców. Przykłada do niej ucho. Nasłuchuje równomiernego szumu, ale potrafi również przestawić zmysł słuchu, usłyszeć każdą kroplę osobno w ten sam sposób, w jaki potrafi zobaczyć, że każda z nich płynie w dół po szybie osobno swoim torem. Nawet wibracje promu, które dawniej tak nienawidził, teraz w nim grają. Tak jakby stali się jednością.

Odwraca się. Ciekawi go, co jeszcze potrafią jego nowe zmysły. Kilka starych zębów zgrzyta pod jego podeszwami, kiedy idzie w kierunku drzwi. Wciska je swoim ciężarem głębiej w wykładzinę, która zrobiła się gąbczasta od krwi.

Wychodzi z kabiny. Mruga oczami, oślepiiony światłem. Zapachy. Dźwięki. Korytarz na szóstym pokładzie jest jednym z dłuższych na całej „Charismie”. Powietrze przesączone jest zapachami osób, które tędy przechodziły. Jego zmysły się łączą. Niemal mu się wydaje, że widzi obłoki zapachu. I w jednym z nich wyczuwa strach młodego człowieka. Dziewczyny. Była tu dosłownie przed chwilą.

Idzie po tropie. Z wykładziny unoszą się wciąż nowe zapachy. Z jednej z kabin dochodzi go łkanie jakiegoś mężczyzny. Muzyka zza zamkniętych drzwi gdzieś dalej. Śmiech starszego człowieka przypominający atak kaszlu. Całe to życie.

Zza rogu wychodzi dwóch kolesi w garniturach. Mijają go, przyglądają mu się dziwnie. Ma ochotę rzucić się na nich, ale potrafi poczekać. Krew w ich ciałach jest zbyt uspokojona, zrobiła się gęsta i kleista z braku wody. Dan idzie dalej korytarzem, skręca za róg, zza którego wyszli.

Prawa ręka swędzi go i piecze. Patrzy na nią. Blizny niemal całkiem zbladły.

Na schodach mija go rozwrzeszczana grupa nastolatków. Pachną świeżym powietrzem i dymem papierosowym. Potrafi odróżnić ich od siebie, jeśli się skupi – tak jak krople deszczu. Potrafi wyczuć, co

pili. Co jedli. Mają tak różny zapach. Targają nimi tak różne emocje. Zdenerwowanie. Radość. Podniecenie. Przenikają ich mięśnie, przeciskają się przez pory, przyklejają do skóry. Czuje zapachy przypominające ocet, mydło, mokry mech, miód, drożdże.

Wchodzi na siódme piętro, czuje świeże zapachy seksu i rozlanego piwa. Kieruje się na przód promu. Sklep wolnoślowy jest cichy i wygaszony. Syntetyczne zapachy perfum przeciskają się przez szybę, gryzą go w nos, traci trop młodej dziewczyny. Przeklina głośno. Migają ekrany automatów do gry. Zatrzymuje się na chwilę i patrzy na nie, daje się zahipnotyzować kolorom.

Mija go jakaś para w średnim wieku. Kobieta krzyczy coś po fińsku, jest wściekła. Mężczyzna milczy i wygląda na opanowanego, ale jego krew tętni z najwyższą prędkością.

Dan posuwa się dalej na przód promu. Przy punkcie informacji siedzi kobieta na wózku. Mika stoi i rozmawia przez telefon z ważną miną. Dan nie patrzy na kobietę. Z daleka czuje jej strach. I nagle rozumie, dlaczego mężczyzna w barze karaoke rzucił się akurat na niego. To nie miało nic wspólnego z tym, że jest Danem Appelgrenem. To przez jego nienawiść, frustrację i kokę, od której buzowało mu w żyłach. Widocznie miał nieodparty zapach.

Wszędzie tyle uczuć. I Dan chce ich wszystkich. Chce je pożreć. Uczynić z nich swoje własne. Głodu, który teraz odczuwa, może nigdy nie uda mu się zaspokoić. Czuje, jakby nie było w nim dna, jakby nigdy nie mógł najeść się do syta. I mimo to jest bardziej zaspokojony niż kiedykolwiek dotąd.

Idzie dalej. Teraz już wie dokąd. Na końcu korytarza widać drzwi baru karaoke.

Mężczyzna w punkcie informacji ma naprawdę dosyć kobiety na wózku. Powtarza, że wysłał ochroniarzy, żeby szukali dzieci. Że próbują je namierzyć za pomocą kamer.

– Nic więcej nie możemy zrobić – zapewnia.

Henke i Pär rozglądają się po barze karaoke. Nie ma w nim dzieci, których szukają. Nie ma ich nawet w pobliżu. Jest za to Dan Appelgren. Stoi w ciemnym kącie przy jednym z okien. Zamyka oczy. Piwo leje się z kranów za barem. Pobrzękują szklanki. Czuć leciutkie jednostajne kołysanie podłogi. Zapach perfum, oddechów, amoniaku i potu. Sól, skóra, słodkie wino, zakażona tkanka. Olejki, puder i słodkie mleko. Dan jest pijany od tych wszystkich wrażeń. Od tego niewytłumaczalnego, co mu się przydarzyło.

Na siódmym piętrze zatrzymuje się winda. Chłopiec, który nie jest chłopcem, zanim wysiądzie, rozgląda się ukradkiem. Nie chce być widziany. Nie chce, żeby ktoś zaczął go wypytywać, co o tej porze robi sam na promie. Poznał już sztukę bycia niewidzialnym, poza tym nie bez znaczenia jest to, że większość spośród tych, którzy jeszcze nie śpią, jest pijana. Brzydzi go wszystko na promie. Syntetyczne zapachy. Sztuczna muzyka. Imitacje drewna, skóry i marmuru. Stwierdza, że prawdziwe jest tylko obżarstwo. Zachłanność. Nieumiarkowanie. Ludzie niszczą planetę, wysysają ją jak pasożyty. Zabijają siebie i siebie nawzajem na setki sposobów z tysiąca żalonych powodów. Mimo to nazwaliby go potworem, gdyby wiedzieli. Gdyby uwierzyli. Zrobi wszystko, żeby uwierzyli. To się już zaczęło. Zniecierpliwienie sprawia, że jego twarz robi się jeszcze bardziej dziecinna. Wychodzi na korytarz, zauważa drzwi do baru karaoke, przesuwa wzrok dalej. Zatrzymuje go na niewielkim przeszklonym pomieszczeniu z ustawionymi w rzędzie ławkami. Śpią w nim ci, którzy nie zarezerwowali miejsca w kabinach. Wślizguje się do środka. Kładzie się pod jedną z ławek. Doskonała kryjówka. Jeśli mimo wszystko zostanie nakryty, może zawsze powiedzieć, że bawił się w chowanego z kolegą i zasnął. Słucha słumionych pochrapywań. Zastanawia się, czy jego matka była już w kabinie. Czy zrozumiała.

Ciemnowłosa kobieta szuka go na drugim pokładzie. Czuje zapach krwi i śmierci. Teraz rozumie. To nie jej synowi się coś stało. Przeciwnie. On zwolnił wszystkie hamulce. Ona się boi, do czego to może doprowadzić. Do wściekłości Starych. Nie może dopuścić do katastrofy. Czuje w całym ciele, że katastrofa się zbliża. Opanowuje pokład. Wszyscy ci ludzie, którzy jeszcze niczego się nie domyślają... Teraz jest za nich odpowiedzialna. Musi ich uratować. I jednocześnie uratować samą siebie i syna. Kara Starych będzie w przeciwnym razie straszliwa. A ona nie będzie w stanie go chronić.

Kobieta mija kabinę, w której na podłodze leży kierowca ciężarówki, Olli. Całe jego ciało płonie z bólu. Jest w nim zamknięty. Tylko krew może ugasić to pragnienie.

Siedzi przytulony do ściany pod stalowymi schodami prowadzącymi na pokład widokowy. Nie dociera tu do niego podmuch wiatru, ale w powietrzu unosi się pełno drobnych kropli. Przemokła mu bluza i choć naciągnął końcówki rękawów na dłonie, z zimna zrobiły się na nich czerwone punkciki. Założył kaptur i zaciągnął sznurki tak, że z okrągłego otworu wystaje tylko fragment jego twarzy.

Zastanawia się, ile tu jeszcze wytrzyma. Co potem ze sobą zrobi.

Ma nadzieję, że się martwią. Ma nadzieję, że myślą, że nie żyje. Ma nadzieję, że żałują.

– Dobrze, że jest ciepło.

Podnosi wzrok.

– Mogę się przysiąc?

Lo podaje mu czarny wełniany sweter. Nigdy jeszcze nie ucieszył się tak bardzo na czyjś widok. W głębi duszy miał nadzieję, że Lo domyśli się, że wrócił do ich kryjówki. Nie odpowiada, tylko kiwa głową.

– Wyglądasz jak ten koleś z *South Park*. – Lo parska śmiechem.

Rozgląda się szybko dokoła, po czym skulona kuca obok niego. Albin zarzuca sweter na bluzę. Pachnie intensywnie perfumami Lo, ale jest luźny, więc nie widać, że zrobiono go dla dziewczyn.

Lo wyjmuje kolejną buteleczkę z alkoholem z rękawa kurtki.

– Może jednak? – pyta i odkręca nakrętkę. – To już ostatnia.

– Nie.

Lo również opiera się o ścianę. Pije i potrząsa głową z obrzydzeniem. Dotyka językiem niemal do samego podbródka.

– Dobrze, że ci smakuje – mówi Albin.

Lo parska śmiechem, wyciera usta.

Siedzą w milczeniu. Przyglądają się ludziom chodzącym po górnym pokładzie. Jakiś mężczyzna spaceruje z psem, który wygląda jak szczotka. Przemawia do niego jak do niemowlęcia. Albin jest zaskoczony, że Lo tego nie komentuje.

– Twój tata przyszedł do kabiny, kiedy byłem tam przed chwilą – mówi zamiast tego.

Czuje się, jakby kula armatnia trafiła go w brzuch w zwolnionym tempie. Lo chyba się waha. Odgarnia kosmyk włosów, który uwolnił się z kitki i spadł jej na twarz.

– Czy zachowywał się dziwnie? – pyta Albin. – Tak jak on potrafi?

Co za dziwne uczucie powiedzieć to tak po prostu.

– Chyba tak – odpowiada. – Tak, chyba tak. Chyba się domyślił, że coś się stało. Choć nie wiedział co. Nie musisz więc udawać, jeśli cię o to zapyta. To znaczy, jeżeli nie chcesz. Dla mnie to bez znaczenia.

Patrzy na nią. Myśli o tacie. O mamie i Lindzie. Za późno, żeby kłamać. Nie da się dalej brnąć, kiedy wszystko zostało powiedziane. Mówiąc, że tata jest zmęczony, mama zawsze będzie musiała mieć

świadomość, że Albin wie.

Cokolwiek się stanie, coś musi się zmienić.

Patrzy w górę na ciemne niebo przez szpary w schodach. Mruży oczy przed mżawką.

– To prawda, że chcesz zostać aktorką?

Lo wydaje z siebie jęk.

– Mama ci powiedziała? No najlepiej, kiedy można coś zachować dla siebie.

– A więc to prawda?

– Tak. Wiem, jak to brzmi, kiedy ona to mówi. Jakby to była jakaś dziecinada z mojej strony: wiara, że się uda. A to tylko dlatego, że ona nigdy nie odważyła się zrobić czegoś ze swoim życiem.

– Dlaczego tego chcesz? – pyta. – Dlaczego chcesz zostać aktorką?

– Dlaczego nie?

Albin wzrusza ramionami. Dla niego to byłby koszmar, gdyby musiał stać na scenie albo przed kamerą, przed mnóstwem wpatrzonych w niego ludzi rejestrujących każdy jego ruch.

– Chcesz być sławna?

Lo pije z buteleczki.

– Nie. Po prostu chyba fajnie nie musieć być przez cały czas sobą.

Patrzy na niego z powagą. Albin przytakuje. Nie rozumie tylko, dlaczego Lo chciałaby być kimś innym. Przecież nie ma nikogo takiego jak ona.

– W każdym razie na pewno nie będę taka jak mama – odzywa się Lo po chwili. – Ona jest taka słaba. Nie ma odwagi żyć. Nie naprawdę. Ona tylko egzystuje. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Chyba tak.

– Nigdy nic nie robi, wiesz. To znaczy wiadomo, ciągle coś się dzieje, ale to nie ona to sprawia. Podejrzewam, że nigdy nawet nie była naprawdę zakochana, jest raczej: „Hoho, chyba komuś się podoba, no to może będziemy razem”. Po jakimś czasie kończy „hoho” i dalej egzystuje.

Lo wygląda dziwacznie, kiedy przedrzeźnia Lindę. Wysuwa podbródek, jakby miała przodozgrzyz, jej spojrzenie staje się całkiem puste. Albin nie wie, czy wolno mu chichotać, ale z trudem udaje mu się zachować powagę.

– Na pewno było podobnie, zanim ja się pojawiłam na świecie – mówi Lo. – Ona tylko: „Hoho, chyba rośnie mi brzuch, może w środku jest dzidzius, hoho”. I potem dalej sobie egzystuje. Jezu, nigdy nie będę taka jak ona. Wolałabym odebrać sobie życie. Ona przecież nie żyje. Normalnie zachowuje się, jakby niczego nie czuła.

Lo jeszcze raz pociąga łyk alkoholu. Przysuwa się bliżej do Albina, tak że ich ramiona stykają się ze sobą.

– Gdyby nie Soran, związałabym do Los Angeles.

Mówi to z taką pewnością, że Albin jej wierzy. Lo mogłaby pokonać całą drogę do USA zupełnie sama i w ogóle by się bała.

– Nie mogłabyś zabrać mnie ze sobą? – pyta. – Ja też nie chcę tu zostać.

Nie bez ciebie. Choć tego nie może oczywiście powiedzieć na głos.

– Okej – zgadza się Lo.

– Jesteś pewna, że chcesz tam jechać? Podobno tam nie jest aż tak zimno jak tutaj.

Lo śmieje się.

– Wiem. Co za szkoda.

– No właśnie. Polecam wszystkim ciemność i chłód.

– Pomyśl, gdybyśmy zrobili to naprawdę – mówi Lo. – Pomyśl, gdybyśmy naprawdę wyjechali.

Ciekawe, co powiedziałyby mama?

– Hoho – odpowiada na to Albin i Lo wybuchają śmiechem.

Wciąż stoi przy oknie w barze karaoke. Na razie nikt go nie zauważył. Pär i Henke również, choć wyglądali, jakby kogoś szukali. Być może właśnie jego. Może przyjaciółka Alexandry wróciła do kabiny i znalazła ciało. Może zrozumieli, że to on. Zobaczyli na nagraniu z kamer, że wyszedł z kabiny zaledwie chwilę temu. Na myśl o tym nie odczuwa nawet najmniejszego strachu. Tylko podniecenie. Próbuje zachować spokój, ale ciało nie potrafi ustać w miejscu. Każdy mięsień jest naładowany energią.

Pod nieobecność Dana obowiązki prowadzącego przejął Johan. Stoi na scenie w swoim wyświechtanym tiszercie, wyraźnie speszony, pyta spaloną na solarium pijaczkę, jak ma na imię. Fredrika. Przyjechała z Sala. Tak, bardzo jej się podoba na promie. Pyszne jedzenie. I jakie piękne morze. Zaśpiewa swój ulubiony utwór Whitney Houston.

Johan schodzi ze sceny i Dan wita się z nim przy stanowisku nagłośnieniowym.

– Wróciłeś? – pyta go z wyraźną ulgą.

– Tak – odpowiada.

– Wszystko okej?

– W życiu nie czułem się lepiej.

Johan przytakuje i włącza *I wanna dance with somebody*. Kobieta na scenie zaczyna się kołysać. Kręci płaskimi pośladkami.

Zauważa, że Johan patrzy na jego dłoń. Gładkie kłykcie.

Kobieta zaczyna śpiewać, o ile tak to można określić. Dan przymyka oczy. Zanurza się głębiej w doznaniach. Tyle tu w środku uczuć. Ścieśnionych w niewielkim pomieszczeniu. Czuje, jakby te uczucia odbijały się od siebie, kurczyły się albo rosły.

– Dan?

Otwiera oczy. Napotyka badawcze spojrzenie Johana.

– Brałeś coś?

Dan uśmiecha się szeroko. Po tych wszystkich wieczorach tutaj Johan na pewno się domyślał. Nigdy wcześniej nie zapytał go jednak o to wprost.

– Chyba już tego nie potrzebuję – odpowiada i rusza w kierunku sceny.

Yeah, I wanna dance with somebody. I wanna feel the heat with somebody.^[13]

Publiczność wybija rytm, Dan przeciska się do przodu. Od tak dawna nimi gardził. Był od nich zależny. Cokolwiek się z nim stało, przynajmniej raz na zawsze się od nich uwolnił.

Wchodzi w snop światła reflektorów, oczy pieką go, jakby patrzył prosto w słońce. Mimo to się uśmiecha i po raz pierwszy na tej scenie jego uśmiech jest naprawdę szczery.

Fredrika śpiewa dalej, uśmiecha się nieśmiało do niego. Wrywa mikrofon z jej ręki.

– No dobrze, Fredriko, pozwólmy Whitney odpoczywać w spokoju.

Kilka osób z publiczności bierze głęboki oddech. Inni prostują się wybudzeni. Mięśniaki

w przyciasnych koszulkach wybuchają śmiechem. Fredrika patrzy na niego zawstydzona.

– Widzicie tę rękę? – pyta Dan, zaciskając wyciągniętą pięść. – Rozumiecie?

Nikt nie odpowiada. Słychać klikanie telefonów komórkowych w ciemnościach za reflektorami.

– Nie – mówi Dan. – Jasne, że nie. Nie rozumiecie, co tu się dzieje. Nawet ja tego nie rozumiem.

Czuje, jakby w świetle urósł kilka metrów. Myśli przelatują mu przez głowę. Nie nadąża z ich wyłapywaniem.

– Mam ochotę zabić was wszystkich – oświadcza. – Każdego z was, po kolei. Jesteście wszyscy tacy głupi, a jest was tyłu.. Zrobiłbym światu przysługę... Bez was świat byłby dużo lepszy. Nie macie już nade mną władzy. Czy wiecie, jakie to uczucie...

W głośnikach zalega cisza. Johan wyłączył mikrofon. Dan nie potrzebuje mikrofonu. Jego głos jest wyraźniejszy i bardziej czysty niż kiedykolwiek wcześniej, jego klatka piersiowa wibruje.

– ...być zależnym od kogoś, kim się gardzi? Być skazanym na takich debili jak wy? Jesteście żałośni w waszym bezguście, waszym egocentryzmie, waszych błahych potrzebach...

Kilka osób z publiczności zaczyna buczeć. Dan uśmiecha się do nich.

– Zejdź, Dan – prosi Johan. – Wystarczy.

– I w głębi duszy wy o tym wiecie – mówi dalej. – Dlatego właśnie tu przychodzicie, żeby stać się jeszcze głupszy, żeby chlać, aż zamienicie się w jaskiniowców...

– Zamknij się, kurwa – krzyczy jakiś mężczyzna, który wstał na końcu sali. – Inaczej spuścimy ci lanie, możesz być tego kurewsko pewien! Kurewsko pewien!

Dzięki swoim nowym zmysłom Dan potrafi dostrzec kontury sylwetki mężczyzny, choć światła reflektorów świecą mu prosto w oczy. Jego zapach. Sposób, w jaki powietrze porusza się wokół niego.

– Nikt nie będzie o tobie pamiętać – odpowiada i celuje w niego palcem. – Twoje wnuki albo prawnuki znajdą twoje zdjęcie i będą pytać, kto to jest, ale wtedy nie będzie już nikogo, kto by wiedział.

W jego stronę leci butelka piwa. Dan schyla się lekko i butelka rozbija się o ścianę za nim.

– Próbujecie znaleźć sens w waszym bezsensownym życiu, ale nie zauważyliście, że tam nie ma żadnego sensu...

Przerywa, bo na sali coś się zmieniło. Zakrywa oczy dłonią. Zauważa chłopca o platynowych włosach stojącego w ciemnościach przy wejściu. Chłopiec patrzy na niego zafascynowany. I Dan od razu rozumie, że jest w nim coś szczególnego.

Rozpoznaje w nim siebie.

Calle leży w ubraniu na łóżku Filipa. Gapi się w sufit. Mógłby wypić tyle spirytusu, ile sam waży, a myśli i tak by nie ucichły. Są stanowczo zbyt głośne, kiedy jest z nimi sam na sam, jest ich dużo więcej i są od niego znacznie silniejsze. Nie ma czym się zająć. Filip nie ma w kabinie nawet jednej gazety. Co jakiś czas Calle patrzy na telefon pokładowy stojący na biurku. Mógłby bez problemu zadzwonić do apartamentu. Wystarczyłoby wybrać cztery cyfry. 9318.

Tylko co powie, jeśli Vincent odbierze?

Pije wódkę prosto z butelki. Patrzy na obrączkę z białego złota, czuje jej ciężar. Ciepło na skórze. Myśli o tym, jak włożył ją dziś rano do torby. I jaki był przy tym zdenerwowany.

Czy to było normalne? Czy było nieodłącznym elementem? Czy raczej w głębi duszy wiedział, że Vincent może powiedzieć nie? Że coś zakradło się pomiędzy nich? Czy to dlatego zdecydował się oświadczyć w tak wyszukany sposób, przed publicznością, w przestrzeni, która w ogóle nie należała do Vincenta?

„Co miałem powiedzieć przed nimi wszystkimi tam na górze? Co bym powiedział?”

Zasypuje go seria wspomnień o wszystkim, co wydarzyło się od nocy świętojańskiej, bezładne ciągi skojarzeń, w których nie jest w stanie dostrzec żadnego wzoru. Przygląda się im po kolei, obraca i przekręca w nowym świetle, próbuje znaleźć punkt, od którego wszystko zaczęło się psuć. Powód, dla którego Vincent się waha. Musi go znaleźć, wymyślić jakieś rozwiązanie, a potem opowiedzieć o nim Vincentowi. Wszystko naprawi, za nich obu.

Myśli krążą coraz szybciej i Calle się zastanawia, czy tak właśnie zaczyna się szaleństwo.

Ktoś puka do drzwi. Czy Filip mimo wszystko powiedział Vincentowi, gdzie jest Calle? Nie. To na pewno Sophia: „Co ty tu robisz? Chodź się z nami bawić! Musimy wznieść toast!”.

Calle leży nieruchomo.

– To ja – odzywa się znajomy głos.

Calle stawia butelkę na podłodze,omal jej nie przewraca, ale w ostatniej sekundzie chwytą ją za szyjkę. Otwiera drzwi. Na progu stoi Pia w mundurze. Od razu widzi po niej, że wie, co się stało.

Pia przytula go i choć jest od niego niższa, on czuje, jakby objęła go całego.

– Co się stało?

– Nie wiem.

Siadają na łóżku. W świetle nocnej lampki Pia wygląda na bardziej zmęczoną. Ma bladą cerę, cienie pod oczami wydają się ciemniejsze niż wtedy, gdy stali razem na mostku.

Kiedy to właśnie oświadczył się Vincentowi. A ona go przytuliła. Rozpłakała się i powiedziała, że cieszy się jego szczęściem.

Gdyby tylko i on mógł płakać. Gdyby tylko myśli mogły ucichnąć, ustąpić miejsca uczuciom.

– Jak się czujesz? – pyta.

– Chyba złapałam jakąś gripę – odpowiada Pia i przyciska opuszki palców do skroni, porusza na

próbę szczęką. – Mam nadzieję, że to zwykły napięciowy ból głowy.

– Ciężki wieczór?

– Nie tak ciężki jak twój.

Calle próbuje się uśmiechnąć, ale nie wychodzi mu to najlepiej. Przysuwa do siebie butelkę z podłogi i pije.

– Opowiadaj – zachęca Calle.

– Może raczej porozmawiamy o tobie?

– Chcę mówić o wszystkim, byle nie o sobie.

– Okej. Cóż... Na przykład jakiś wariat rzucił się na Dana Appelgrena, kiedy był na scenie. Ugryzł go. W rękę.

– O cholera. Jak to się stało?

– Wsadziliśmy go do celi. Było nas czworo ochroniarzy, mimo to ledwo udało nam się nad nim zapanować.

Pia wzdryga się. Dociera do niej, że to, co się stało, wpłynęło na nią bardziej, niż chciałaby się do tego przyznać. Ona rzadko kiedy opowiada o swoich słabościach. Dopiero niedawno, kiedy Calle zaczął lepiej pojmować, jak działa świat, i nabrał dystansu do „Charismy”, zrozumiał, że nie mogła sobie na to pozwolić jako kobieta na takim stanowisku, w takim miejscu pracy.

– Cholera – powtarza, bo nic innego nie przychodzi mu do głowy.

– Appelgren z tego wyjdzie. Był u Raili, zrobiła mu opatrunek.

– Nie potrafię mu jakoś zbytnio współczuć – stwierdza Calle. – No wiesz, jeśli wierzyć w te wszystkie historie.

– Wiem – mówi Pia. – Nieraz mieliśmy tu zapłakane dziewczyny. Żadna z nich nie chce na niego donieść. To okropne, chociaż w pewnym sensie je rozumiem.

Calle przygląda się jej twarzy. Zastanawia się, o czym Pia teraz myśli. Prawie nic nie wie o jej byłym mężu. Tylko to, co wyciekło tu czy tam. Mógł jedynie domyślać się na podstawie tego, czego Pia unikała w rozmowie.

– Był cholernie nieprzyjemny dla Jenny na imprezie firmowej – dodaje po chwili.

– Jenny?

– Tej dziewczyny, która śpiewa w Starlight. Filip wreszcie ich rozdzielił. Próbowaliśmy ją przekonać, żeby porozmawiała z inspektorami, ale bała się, że straci pracę.

Calle pomrukuje i bierze kolejny łyk, wódka chlupocze w butelce.

– Na pewno powinieneś dalej pić?

– Tak. Próbuję się upić.

– No to chyba ci wystarczy.

– Dopiero zacząłem.

Pia kiwa głową.

– Nie będę cię oczywiście krytykować – obiecuje.

Patrz na siebie w ciszy. Pia gładzi zamyślona drobne nacięcie na dłoni.

– Nie powinienem był się tu oświadczać – mówi Calle. – Nie powinienem był w ogóle tego robić.

– Nie myślisz, że uda wam się to jakoś rozwiązać? Może po prostu on potrzebuje czasu, żeby się zastanowić.

Calle przeciera oczy.

– Nie wiem nawet, czy wciąż jesteśmy razem. I nie wiem, kurwa, co mam teraz zrobić.

– Na pewno coś wymyślisz. Może nie dziś wieczorem, może nie jutro, ale kiedyś na pewno.

– Chciałbym ci wierzyć.

– Ja też.

Pia otacza go ramieniem. Wzbiera w nim płacz.

– Cieszę się, że przyszedłeś. Właśnie się zastanawiałem, czy nie zaczynam wariować.

– Jak mogłabym nie przyjść?

– No tak – odpowiada, jego głos jest teraz niski, a oddech nasączony płaczem, który mógłby go wyzwolić. – Jak mogłabyś nie przyjść.

Za paskiem Pii rozlega się brzęczenie. Bez względu na to, kto dzwoni, jest przez nią szczerze znienawidzony.

– Co tym razem – mruczy. Sięga po krótkofalówkę, wciska guzik. – Pia, słucham.

– Awantura przy automatach na siódmym – odzywa się głos Miki, stanowczo zbyt głośno w ciasnej, cichej kabinie. – Jarno już tam idzie. Będziesz?

– Będę – potwierdza i patrzy zrezygnowana na Callego.

– Rozejrzyj się przy okazji za Danem Appelgrenem – mówi Mika. – Zaliczył przed chwilą jakiś odlot na scenie. Może to szok po tym, co się stało, ale moim zdaniem przyćpał. Kapitan chce się z nim widzieć.

Pia przytula Callego trochę mocniej ramieniem, którym wciąż otacza jego plecy.

– Kolejna doba na „Baltic Charisma”?

– Otóż to. I wszystkie cele zajęte. Może jednak chciałbyś do nas wrócić?

Pia biegnie truchtem przez korytarz, otwiera stalowe drzwi na klatkę dla personelu. Ma cichą nadzieję, że Callemu uda się przespać noc. Obudzi się z potwornym kaczem zagłuszającym wszystko inne, ale wtedy przynajmniej będzie mogła być przy nim.

O ile sama nie będzie wtedy leżeć nieprzytomna. Czuje tępy ból w czaszce i napięcie rozchodzące się po podniebieniu. Poza tym kręci się jej w głowie.

Pia zatrzymuje się w drzwiach. Jest zmęczona. Nie wie, czy będzie mieć siłę, by rozdzielić bijących się ludzi, czy nawet by zejść po schodach, żeby dotrzeć na siódme piętro. Zaciska mocno palce wokół klamki i w tym momencie dopada ją strach. Rozpoznaje to zmęczenie, które nie ma nic wspólnego z grypą. To zmęczenie, które sprawia, że wszystko wydaje się pozbawione sensu. Zawsze udawało jej się nad nim panować, kiedy była na promie. Dopada ją dopiero, kiedy jest sama w domu. Ma wewnątrz takie miejsce, które wyobraża sobie jako piwnicę. To tam chowa wszystkie szpargały, o których nie chce pamiętać. To tam upycha wszystkie niechciane myśli. Zamyka je. Zabija gwoździem drzwi, licząc na to, że wytrzymają. I wytrzymują. Zwykle wytrzymują. Czasem jednak uchylają się lekko. I wtedy nie może podnieść się z łóżka, gdy ma wolne dni.

Wzdryga się. Zbiega po ostatnich dwóch schodkach i zauważa Dana Appelgrena w drodze do windy towarowej. Trzyma na rękach małego chłopca w czerwonej bluzie z kapturem. Dan aż podskakuje, ale dziecko patrzy na nią ze spokojem i zaciekawieniem. Jest niewiarygodnie słodkie. Jakby wyszło z dawnej reklamy mydła.

– Cześć – wita się Dan. – Pracujesz tutaj?

– Oczywiście – odpowiada Pia. – Odpowiadam za to, żeby ludziom nic tu się nie stało.

Patrzy na Dana, widzi jego duże, czarne źrenice.

– Co tu robicie? – pyta Pia.

– Odwiedził mnie siostrzeniec. Chciałem go trochę oprowadzić.

– Ja też będę pracować na promie, kiedy dorosnę – mówi chłopiec z przesadną powagą. – Jako kapitan.

– Super. Zdolnych kapitanów nigdy zbyt wielu. – Pia nie spuszcza Dana z oka.

Zastanawia się, co powiedzieć, żeby nie wystraszyć dziecka.

– Jak się czujesz po... po tym, co się stało?

– Doskonale. Szczerze mówiąc, nigdy nie czułem się lepiej.

Pokazuje jej rękę. Patrzy na nią zaskoczona. Nie ma na niej żadnych ran. Nawet jednej blizny.

– Goi się jak na psie – stwierdza, uprzedzając ją.

Pia zerka na chłopca. Przez chwilę ma wrażenie, że coś zauważyła w jego uśmiechu. Coś, co nie pasuje do twarzy dziecka.

Tak jakby z niej żartował. Jakby wiedział o czymś, o czym ona nie wie.

Znów daje o sobie znać tępy ból w głowie. Zapuścił korzenie w zatokach.

– Kapitan Berggren chce z tobą rozmawiać. Byłoby dobrze, gdybyś poszedł na mostek najszybciej, jak możesz.

– Już idę.

– Muszę zaraz wracać do mamy – mówi chłopiec.

– Naturalnie – potakuje Pia i mierzwi mu włosy.

Coś jest nie w porządku. Chłopiec przygląda jej się uważnie. I ten niemal niezauważalny uśmiezek w samych kącikach ust. Pia cofa rękę.

– Pia?

Podskakuje na dźwięk głosu Miki w krótkofalówce.

– Jestem – mówi po wciśnięciu guzika.

– Lepiej się pospiesz. Jarno już tam jest. Robi się gorąco.

– Idę. Spotkałam Dana.

– Powiedz mu, żeby poszedł natychmiast do Berggrena.

– Pójdzie. Tylko pokaże kabinę swojemu siostrzeńcowi. Potem zaraz pójdzie.

Patrzy na Dana.

– Prawda?

Dan kiwa zniecierpliwiony głową. Za to chłopiec uśmiecha się uprzejmie i macha ręką.

– Uważaj na siebie – odzywa się do niej.

Trzyma się poręczy, schodząc po stromych schodach obok pokładu samochodowego. Nie ma najmniejszej ochoty przewrócić się i skręcić sobie kark.

Otwiera drzwi prowadzące na drugi pokład i krzywi się, czując, że zapach szamba nasilił się jeszcze bardziej. Schodzi niżej, oddycha przez usta, skręca w prawo i kieruje się w stronę krótkiego korytarza, w którym znajduje się kabina Marianne. Na szczęście zapamiętał numer. Drzwi do jednej z kabin na początku korytarza są uchylone. W szczelinie jest ciemno i Göran zastanawia się, czy powinien je zamknąć. Ktoś może śpi w środku albo wyszedł i zostawił kabinę otwartą. Szybko jednak porzuca tę myśl. To nie jego sprawa.

Podchodzi do drzwi Marianne na końcu korytarza. Puka ostrożnie. Poprawia kitkę. Zauważa, że przestępuje z nogi na nogę jak zdenerwowany uczeń.

– Marianne? – woła. – To ja, Göran.

Czeka. Nasłuchuje w napięciu. Z wnętrza kabiny numer 2015 nie dochodzą jednak żadne dźwięki. Przez chwilę się waha. Czy naprawdę chce ją budzić? Tak. Chce. Chce znów spotkać się z Marianne. Chce się położyć obok niej w pościeli, w której się kochali. Puka raz jeszcze. Tym razem nieco głośniej.

Może ona wcale nie śpi? Może jest na niego zła? Wydawała się zawiedziona, kiedy powiedział jej, że wychodzi, ale myślał przecież, że pójdzie z nim. Że to oczywiste. I kiedy zrozumiał, że wszystko schrząnił, było za późno. Wyglądała, jakby chciała, żeby szybko spadał. Może nawet nie chce go więcej oglądać.

Puka po raz trzeci. Słyszy czyjeś człapanie. Nie dobiega ono jednak z wnętrza kabiny Marianne.

Odwraca się. Na korytarzu nikogo nie ma. Uchylone drzwi wyglądają, jakby uchylili się jeszcze bardziej.

Teraz Göran jest pewien, że ktoś stoi tam w ciemnościach i mu się przygląda. Niby nie ma w tym nic niezwykłego, ale w końcu on stoi w ślepych korytarzu, a w pobliżu nie ma nikogo.

Odwraca się do drzwi Marianne. Uderza w nie z całej siły.

Na pokładzie nad nim jest pełno ludzi. Panują tam ruch i ożywienie. Gra muzyka, można oddychać świeżym powietrzem. Göran próbuje sobie o tym przypomnieć, ale trudno w to uwierzyć, kiedy jest się tutaj.

Ciemność z wąskiej szczeliny wylewa się na korytarz. Göran nasłuchuje.

Przecież to niedorzeczne. Jakiś ciekawski typ stoi i gapi się na niego ze swojej kabiny. I co? Powinien szarpnąć za te drzwi i spojrzeć mu prosto w oczy.

Zamiast tego zaczyna iść z powrotem korytarzem. Nie spuszcza oczu ze szpary w drzwiach. Serce skacze mu do gardła, kiedy wydaje mu się, że coś porusza się tam w środku.

Gdy skręca za róg, czuje ulgę. Zauważa schody inne niż te, po których tu zszedł. To bez znaczenia. Chodzi tylko o to, żeby się stąd wydostać. Przewycięża impuls, żeby zacząć biec.

Nie czuł się tak od czasów dzieciństwa, kiedy bał się ciemności, a mama prosiła go, żeby przyniósł

coś z piwnicy. Piwnica była jak inny świat. Ciemny i pełen dziwnych zapachów. Gdy wreszcie znajdował to, po co poszedł, wbiegał jak szalony po schodach. Był pewien, że spomiędzy stopni wysunie się zgniła ręka mumii albo że ostre pazury wilkołaka przejadą mu po plecach.

Stawia stopę na pierwszym stopniu i słyszy, że drzwi w korytarzu Marianne się otwierają.

„Wiadomo, że to nie potwór, ale przecież nie brakuje ludzi, których należy się obawiać, i kto wie, czy to nie jakiś cholerny szaleniec”, myśli Göran.

Spogląda przez ramię. W drzwiach stoi starszy mężczyzna w slipach i patrzy na niego z nienawiścią. Ma ciężkie, zwaliste ciało. Meszek na brzuchu, przerośnięte kępki włosów na ramionach. Krwiste wymiociny skleiły włosy na jego klatce piersiowej. Najbardziej przerażające są jednak jego oczy.

Göran czuje się tak, jakby nagle dopadło go to wszystko, czego się bał w dzieciństwie. I to właśnie tutaj, w tym miejscu na ziemi.

Zaczyna biec po schodach. Mężczyzna rzuca się za nim. Wyciąga ramię, podcina Görana. Ten przewraca się i upada na plecy. Broni się, kopiąc. Na próżno. Przygniata go zwaliste ciało mężczyzny. Przytrzymuje go. Göran słyszy, jak jego żebra pękają na ostrych kantach stopni. Brakuje mu powietrza, nie może krzyknąć.

Zęby mężczyzny kłapią nad jego twarzą. I nagle czuje płonący ból. Krew zalewa mu szyję, zauważa, że mężczyzna coś wypluwa. Dopiero po chwili dociera do niego, że to jego własny nos.

„Nie mam nosa”.

Teraz mężczyzna liże krater pośrodku twarzy Görana. Znow go gryzie. I w jednym, straszliwym ułamku świadomości Göran zdaje sobie sprawę, że zęby mężczyzny bez wysiłku wsuwają się w jego skórę i tkanki. Nie ma odwagi się poruszyć. Boi się, że odpadnie mu twarz. Krew ścieka mu po szyi. Powoduje kaszel. Czuje, jakby za chwilę miał w niej utonąć. Zęby skrobią o kość policzkową. Połamane żebra tną jego wnętrzości, jakby miały go przed czymś bronić.

Obraz rozmywa mu się przed oczami. Lampy na suficie przypominają teraz odległe gwiazdy. Zęby wbijają się głębiej w gardło.

Ale to dzieje się już daleko. Görana już tam nie ma. On i jego ciało nie stanowią już jedności. Dwie połówki oddalają się od siebie. Zauważa, że jego obolałe ciało jest ciągnięte z powrotem do ciemnej kabiny, ale on sam nie musi już tam iść, nie jest już uwięziony w swoim ciele, wszystko, co jest nim, jest w drodze gdzieś indziej, daleko stąd.

Zabrał chłopca do windy i wcisnął przycisk stop pomiędzy dwoma pokładami. O tej porze, gdy sklep wolnoctwoy i kuchnia są zamknięte, winda jest rzadko używana. To jedyne miejsce, jakie przyszło mu do głowy, gdzie choć przez chwilę będą mieć spokój od gapiących się ludzi i kamer. Zapach krwi co najmniej trzech różnych osób unosi się nad chłopcem. I jeszcze inne zapachy. Gnijące kwiaty. Mazidło.

– Jesteś jak nowy – mówi chłopiec i podnosi na niego wzrok. – I mimo to skończony. Nigdy nie widziałem kogoś takiego jak ty.

Patrzy zafascynowany na twarz chłopca, pucułowate policzki, platynowe włosy, jakie mają tylko małe dzieci, ale wzrok starego człowieka. I sposób, w jaki mówi. Jak postać z czarno-białych filmów, które po południu lecą w telewizji.

– Jesteś mężczyzną z plakatów – stwierdza chłopiec.

Dan przytakuje.

– Już jadłeś – dodaje chłopiec i przybliża się do niego. – Kobiętę. W twoim wieku. Przemieniłeś się, kiedy z nią... byłeś.

Teraz jego wzrok nie jest już wzrokiem dziecka. Dan tylko przytakuje.

– I podobało ci się to – mówi dalej chłopiec. – Podobało ci się to bardziej niż cokolwiek innego i już teraz chcesz więcej.

– Tak – odpowiada Dan.

Słyszy, że zabrzmiało to, jakby zabrakło mu oddechu. Bezdusznie.

– Kim jesteś? – pyta.

– Mam na imię Adam. Przynajmniej tak się teraz nazywam. Pomyślałem, że będzie pasować.

Uśmiecha się krzywo. Spomiędzy ust różowych jak płatki róży wystają pożółkłe zęby. Dan nie może opanować obrzydzenia.

– Twoje ciało zmieniło się na zawsze... Nie żyje – mówi Adam. – Za to ty żyjesz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Czujesz to, prawda? Czujesz więcej niż kiedyś. Twoje zmysły otworzyły się na oścież. Możesz doświadczać bólu i przyjemności z nieznaną ci dotychczas intensywnością.

Dan przytakuje. Tak. Dokładnie tak.

– Czym jestem? – pyta. – Czym jesteśmy?

– Mieliśmy wiele imion. O tych, co piją krew, mówiono, odkąd ludzkość zaczęła się posługiwać językiem. Dziś nazywa się nas wampirami.

O to chodzi. Słowo. Gdy tylko je słyszy, rozumie, że tylko na to czekał.

– Staliśmy się mitami. Baśniami. Czymś, co wzbudza śmiech. Współczesny świat nas zmiotł. A nasz własny pozwolił, by to się stało. Podobno tak miało być dla nas lepiej.

Chłopiec krzyżuje ręce na piersiach. Znow widać jego zęby, nieco za duże w stosunku do twarzy. Dan opada na podłogę, tak że ma wzrok na wysokości oczu chłopca.

Chciałby zadać tyle pytań... Na jedno musi znać odpowiedź.

– Czy jestem nieśmiertelny? Czuję, że jestem nieśmiertelny.

To ostatnie dodaje z wahaniem.

– Nie. Ale nie zestarzejesz się jeszcze bardzo, bardzo długo. I jesteś prawie niezniszczalny.

Danowi nie podoba się to słowo: prawie.

– Nie musisz się martwić, że w słońcu spalisz się na popiół – mówi Adam z uśmiechem. – Możesz wchodzić nawet tam, gdzie nie jesteś zaproszony. Nie musisz się bać krzyża, wody święconej ani innych zabobonów. I jeszcze przez setki i kolejne setki lat będziesz wyglądać tak jak teraz. No może mniej więcej tak. I będziesz tak samo silny. Tak samo głodny życia, swojego własnego i innych.

W spojrzeniu Adama pojawia się iskra religijnego natchnienia.

– Dostałeś cudowny dar.

Dan spuszcza wzrok na swoje dłonie. Swoje dojrzałe, mocne dłonie. Nabrzmiąte żyły. Plamy wątrobowe. Palce powyginane w szpony. Następnie patrzy na dłonie Adama. Dziecięco pulchne. Wgłębienia jak małe dołeczki pod każdym palcem.

– Ile masz lat? – pyta.

Przez twarz chłopca przebiega cień.

– Urodziłem się na początku ubiegłego wieku. Od tego czasu jestem uwięziony w tym ciele.

Brzmi to tak absurdalnie, że Dan omal nie wybucha śmiechem.

– Mieszkałem wtedy w Sztokholmie – mówi z powagą Adam. – Z mamą. Od ponad stu lat krążymy po Europie i północnej Afryce. Przez cały ten czas jesteśmy w stałym ruchu, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Nie, żeby wiedzieli, o co chodzi, ale mogliby zacząć zadawać pytania. Dziecko, które nigdy nie rośnie, które nie wygląda, jakby się rozwijało. Trzymaliśmy się z boku, nie spotykaliśmy się z innymi. Byliśmy zawsze bardzo ostrożni. Jedliśmy najwyżej raz w miesiącu, kiedy było to absolutnie konieczne. To nie było życie. To była wydłużona kara. Znacznie dłuższa niż dożywocie.

Dan przytakuje. Wie, jak to jest musieć prowadzić życie poniżej godności. Wie, jak to jest pożądać rehabilitacji. Wyrównania krzywd.

– A wszystko to przez prastare zasady ustanowione, kiedy jeszcze świat wyglądał inaczej – opowiada dalej Adam. – Mówiono, że powinniśmy być ostrożni, bo jeśli nasz wirus rozejdzie się po świecie, wkrótce zabraknie na nim ludzi. Nie będziemy mieli co jeść. Ale spójrz na nich. To i tak tylko kwestia czasu, zanim oni sami zniszczą siebie i ten świat. Nie zasługują na niego.

– Nie zasługują – powtarza Dan z przejęciem, które niemal wzrusza go do łez.

– Nie mam zamiaru przestrzegać zasad Starych. Mam zamiar stworzyć nowe. I wolę już umrzeć dziś w nocy, niż żyć setki, a może tysiące lat w strachu.

– *Better to burn out than to fade away* – cytuje Dan słowa piosenki i czuje, jak upojenie wzbiera w nim ze zwierzęcą siłą.

– Jutro będzie o nas mówić cały świat – stwierdza Adam. – Będą się nas bać i znów nas szanować.

Dana przechodzi dreszcz.

– Jak?

– Dziś w nocy stworzyłem tu kilku. Podejrzewam, że pierwszy z nich ugryzł ciebie.

– Tak. Myślałem, że to jakiś cholerny psychopata.

Chłopiec patrzy na niego, jakby powiedział coś nieodpowiedniego, ale potem rysy jego twarzy łagodnieją.

– To już się zaczęło rozprzestrzeniać. Nie zauważyłeś nic dziwnego u tej ochroniarz, którą przed chwilą spotkaliśmy?

Pia. Dan widzi ją przed sobą. Uważne spojrzenie jej oczu na nim i na Adamie.

– Poza tym, że nie chciała nas puścić? – pyta.

Próbował zażartować, ale Adam się nie uśmiecha. Dan bierze się w garść. Próbuje się skupić na tym, o co może chodzić Adamowi. Nie był zbyt skoncentrowany na tej pieprzonej babie. Chciał tylko, żeby sobie poszła. Coś jednak z nią było nie w porządku.

– Bała się – stwierdza.

– Tak – mówi chłopiec. – Powoli staje się jedną z nas, ale jeszcze tego nie wie. Jest dopiero na początku drogi. Być może rana była tylko powierzchowna. Wie tylko, że coś jest nie tak, i próbuje walczyć z tą świadomością.

– Ją też musiał ugryźć – domyśla się Dan. – Ten co mnie ugryzł.

Przypomina sobie, jak ochroniarze wyciągali mężczyznę z baru karaoke. Wzbiera w nim chichot. Czy teraz z Pią będą czymś w rodzaju wampirzego rodzeństwa, czy jak?

– Możliwe. Takich jak on jest więcej na pokładzie – mówi Adam. – W tej chwili są jak nowo narodzone dzieci. Czyste uczucia i instynkty. Są głodni. Potrzebują krwi. Mogą potrzebować godzin, a nawet miesięcy, żeby znów stać się myślącymi istotami.

Dan patrzy na niego. Próbuje przyswoić to, co powiedział Adam.

– Będzie chaos – mówi i rozgląda się dokoła.

Będą ich setki. Krzyki. Panika. Kłapiące zęby.

– Właśnie tak. – Adam uśmiecha się, coraz szerzej i szerzej. Zachwycony. Podniecony. – Za to ty... Ty już wyszedłeś ze stadium noworodka. Jesteś do tego stworzony.

Dan przytakuje. I wie, w głębi swojego serca, które już nie bije, dlaczego mu się udało.

W odróżnieniu od Pii i kolesia, który go ugryzł, był gotów na zmianę. Nie bał się. Nie przeciwstawiał jej. Po prostu dał się ponieść.

– Nigdy nawet nie śmiałem marzyć o spotkaniu kogoś takiego jak ty – mówi Adam. – Jeśli mi pomożesz, możemy stworzyć dziś w nocy nowy porządek świata. Możemy znów stać się dumną rasą. Chodzić wyprostowani i z wysoko uniesioną głową pośród prochów.

– Co mam robić? – pyta Dan bez wahania.

– Wiesz, jak działa prom. Chcę, żeby dowiózł nas do samego portu. Tak jak wtedy, gdy „Demeter” dotarł do wybrzeży Anglii... To by było poetyckie, prawda? Pozwolić, by rzeczywistość przerosła poezję.

Adam śmieje się, pokazuje ponadstuletnie zęby. Dan próbuje wyglądać, jakby rozumiał, co Adam ma na myśli.

– Wtedy chaos zapanuje na świecie w zaledwie kilka tygodni – mówi Adam.

Dan przytakuje. Oczami wyobraźni ustawia ich przed sobą w rzędzie. Wszyscy, których nienawidzi tutaj na pokładzie. Filip. Jenny. Kapitan Berggren. Birgitta z Grycksbo. Ochroniarze.

Armia nowo narodzonych. Żywych umarłych. Wystraszonych. Zdesperowanych. Głodnych.

Poprowadzą ich – on i ten chłopiec, który nie jest chłopcem.

Nowy porządek świata.

Przez całe życie wiedział, że pisane jest mu coś wielkiego. I oto nadeszło.

Dan przechodził te same ćwiczenia z zasad bezpieczeństwa co reszta załogi „Charismy”. Zna procedury w sytuacjach wyjątkowych. Jeśli pójdzie naprawdę źle, kapitan zaalarmuje ład. Poprosi o pomoc.

Nie ma czasu do stracenia, jeśli chcą, żeby im nie przeszkadzano. Wpłyną do portu w Turku jak jakaś wielka bomba.

„Płyną statki z bananami w siną dal”.

Adam patrzy na niego swoimi wielkimi oczami.

– Wiem, od czego powinniśmy zacząć – mówi.

W kabinie na dziewiątym piętrze stoi młoda dziewczyna o imieniu Lyra i pochyla się nad umywalką. Obejmuje ramionami zimną porcelanę. Płacze, ale z jej oczu nie płyną łzy. Pluje i kilka zakrwawionych trzonowców wypada razem z korzeniami i całą resztą. Sprawdza ostrożnie językiem białe kły, które przebijają się przez dziąsła. Są tak ostre, że rozdierają jej czubek języka. Krew smakuje słodko i metalicznie i wie, że powinna czuć obrzydzenie, ale tak nie jest. „Smakuje jak życie – myśli i rośnie w niej panika. – Kim był ten chłopiec? Kim on był?” Próbuje ucześcić się swojej świadomości. Zestawić myśli ze sobą. Trudno jednak objąć to, czym teraz jest.

„Wszedł do środka. Był śliczny. Bardzo śliczny. Oczy. Takie duże. Był dzieckiem. I nie. Wziął mnie za rękę. Ugryzł. Nie tak mocno. Nie tak mocno, jak by mógł. Mógł mnie przegryźć, ale nie zrobił tego”.

Jej serce bije coraz wolniej. Czuje się, jakby siedziała w kolejce górskiej zjeżdżającej w najniższe doliny pomiędzy uderzeniami.

„Nie chciał mnie zabić. Ale czego chciał? Tego. Chciał. Tego”.

Pada na kolana. Przykłada czoło do umywalki.

Chłodno. Przyjemnie.

Ból głowy już prawie przeszedł. Lyra czeka na kolejne uderzenia serca, ale nie przychodzą. Ciało zamilkło. Cisza. Drzwi do kabiny otwierają się. Mama. Tata. Lyra czuje ich zapachy, mieszają się ze sobą. Tak jak wtedy, kiedy się zmiesza wszystkie kolory i wychodzi brązowy. Chciałaby, żeby ją przytulili. Chce, żeby stąd wyszli.

Za chwilę stanie się coś strasznego. Musi. Ich. Ostrzec.

Mama Lyry otwiera drzwi do toalety i zaczyna krzyczeć na widok krwi, zębów w umywalce i poblądłej córki leżącej na podłodze.

Nieopodal Dan zamyka za sobą drzwi, a Adam wchodzi na korytarz prowadzący na mostek. Drobne ramiona oplatają mocno szyję Dana. Ciało chłopca jest lekkie, wydaje się osłabione, ale Dan widział, do czego zdolny jest Adam. Każda kropla krwi na ścianach maszynowni jest na to dowodem. Krzyki wciąż dudnią w uszach Dana, śpiewają w jego krwi, tej, która teraz jest już jego, wypełnia go i wzmacnia. Za każdym razem, gdy kurczy się serce, czuje, jak przesuwają się masy krwi, życiodajne fale przeciskające się przez ciało. Adam powiedział, że kiedy jego matka zrozumie, będzie próbowała ich zatrzymać.

– Wtedy my ją zatrzymamy – szepcze Dan i podrzuca go wyżej na udzie.

– Nie wolno ci zrobić jej krzywdy – przykazuje Adam.

Dan nie odpowiada. Wchodzi po wąskich schodach. Sternik odwraca się, słysząc ich kroki. Adam spogląda na ekrany, migające lampki, świecące przyciski.

– Berggren mnie szukał – mówi Dan. – Mogę z nim teraz porozmawiać, jeśli ktoś po niego pójdzie.

W kabinie na drugim pokładzie leży bez ruchu kierowca ciężarówki, Olli. Obok niego leży Göran. Jego ręka lekko drgnęła. Oczy, które tak bardzo podobały się Marianne, są teraz zamknięte.

Przestał już tak dziwnie się jej przyglądać, więc nabiera odwagi, żeby czasem na niego zerkać. Jest przystojny. Trochę lalusiowaty. Z takim wyglądem mógłby grać w klasykach filmowych. O ile, naturalnie, nie miałby tych tatuaży. Zastanawia się, jak będą wyglądać, kiedy zmarszczy się skóra. Choć przecież mężczyźni aż tak źle się nie starzeją.

Usiedli w McCharisma. Panuje tu względny spokój. Prawdziwi imprezowicze ruszyli na parkiety. Przed pubem płynie jednostajny strumień wchodzących i wychodzących z baru Starlight.

– Co właściwie robiłaś tam, na pokładzie?

Marianne przełyka ślinę. Próbuje wymyślić jakąś odpowiedź.

– Wyglądałaś, jakbyś... miała dużo spraw do przemyślenia – mówi dalej. – Przez chwilę przeszło mi nawet przez myśl... że chcesz zrobić coś głupiego.

I nagle rozumie, dlaczego tak bardzo chciał się z nią napić. Ze wstydu płoną jej policzki.

Musi się naprawdę wysilić, żeby wyglądało, że nie zrobiło to na niej wrażenia. Tak bardzo marzyła o tym, żeby być widzianą, że zapomniała już, jak nieprzyjemna potrafi być konieczność patrzenia na siebie oczami innych.

– Nie miałam zamiaru skoczyć, jeśli to masz na myśli – oświadcza krótko.

Choć przecież bawiła się tą myślą. Co to o niej mówi? Wystarczająco dużo, żeby wiedziała, że powinna trzymać język za zębami.

– Próbowałam sobie wszystko poukładać – wyjaśnia. – Głównie samą siebie.

– Czyli podobnie jak ja – stwierdza i uśmiecha się ze smutkiem.

Marianne wypija łyk riojy.

– I do czegoś doszedłeś? Bo ja nie mam pojęcia, co właściwie wyprawiam.

Jego uśmiech staje się szerszy. Gdyby miała jakieś trzydzieści, czterdzieści lat mniej, byłaby nim oczarowana.

– Myślałem, że z wiekiem człowiek staje się mądrzejszy.

– Jedyne, co się zmienia, to liczba decyzji, których się żałuje.

Mężczyzna wybucha gwałtownym śmiechem, zaskakuje ją to. Słyszysz, jak sama też się śmieje.

– Vincent – przedstawia się i podaje jej rękę.

– Marianne – odpowiada, podając mu swoją.

Zauważa obrączkę na palcu serdecznym jego lewej ręki. Kute srebro albo białe złoto, nie potrafi odróżnić. Jest masywna. Na pewno droga.

Vincent najwyraźniej zauważył jej spojrzenie, bo wyciąga przed siebie rękę i patrzy na obrączkę.

– W pierwszej chwili powiedziałem tak. Nie wiedziałem, jak odmówić.

Marianne zanurza wargi w kieliszku. Czeka.

– Tam było tylu ludzi, nie chciałem zranić. Choć oczywiście i tak to zrobiłem.

– Byłoby pewnie gorzej wyjść za kogoś z uprzejmości – mówi. – Poza tym nikt nie rozdaje medali za samoumartwienie. Mogę ci dać słowo.

Waha się. Nie rozumie, dlaczego musiała koniecznie uderzyć w ten zgorzkniały ton. Vincent kiwa jednak tylko głową. Wygląda, jakby się zastanawiał.

– Powinienem był się zastanowić, zanim coś powiem... Po prostu mnie замуrowało.

– Rozumiem – mówi Marianne, waha się, ale po chwili dodaje: – Pewnie jestem staromodna, ale moim zdaniem to raczej mężczyzna powinien się oświadczyć.

Vincent patrzy na nią zaskoczony. Na pewno zabrzmiała jak jakaś babcia. To jasne, że młodzież ma teraz inne zwyczaje, ona ich jednak nie rozumie.

– Ale to oczywiście dobrze, że mamy dziś większe równouprawnienie – dodaje szybko.

– Oświadczył mi się mężczyzna.

Zastanawia się, nie jest pewna, czy dobrze zrozumiała.

– Tobie?

– Tak.

Teraz musi jeszcze bardziej się wysilić, żeby ukryć poruszenie. W porównaniu z tym toczenie przez Syzyfa kamienia pod górę musiało być relaksujące...

– Jesteście... jesteście przyjaciółmi?

Nie potrafi znaleźć lepszego słowa. Vincent uśmiecha się w sposób, który wystarczy za odpowiedź.

Marianne odchrząkuje. Policzki znów ją pieką. Pulsują. Nie chce myśleć o tym, co dwóch mężczyzn robi ze sobą w łóżku. Nie jest nawet do końca pewna, czy rozumie, jak to się dzieje. Patrzy na Vincenta, a jej ociężały mózg próbuje sobie wszystko wyobrazić, ale wydaje się to zbyt niedorzeczne. Odwraca szybko wzrok.

– Przepraszam – mówi. – Po prostu się zdziwiłam. Nie wyglądasz jak... jeden z nich?

– Jak jeden z nich? Masz na myśli gej?

– Tak – odpowiada i patrzy na niego niepewnie. – Nie wiem, jakiego teraz używa się słowa. Nie jestem za bardzo na bieżąco...

– W porządku.

– Nie chciałabym, żebyś pomyślał, że mam coś przeciwko – nie odpuszcza. – Nie mam zdania na temat tego, jak żyją inni. Bóg mi świadkiem, że sama nie mam powodu, żeby zadzierać nosa.

– W porządku – powtarza.

Marianne oddycha głęboko. Opróżnia kieliszek jednym haustem.

Zapada cisza, ale z jakiegoś powodu nie wydaje się aż tak niewygodna, jak być może powinna.

– Przed chwilą kochałam się z mężczyzną po raz pierwszy od... nawet nie wiem, czy byłeś już wtedy na świecie – słyszy samą siebie, a potem coś jej się przypomina. – Nie wiem nawet, jak się nazywa. Urocze, nieprawdaż?

Dlaczego nie ma już żadnych zahamowań? Dlaczego opowiada temu biednemu młodemu człowiekowi wszystko, co jej ślina na język przyniesie?

– Skoro tak, to raczej ja nie powinienem zadzierać nosa – mówi Vincent. – Chcesz jeszcze kieliszek?

Marianne łapie się na tym, że kiwa głową.

– No to gdzie on teraz jest? – pyta Vincent, kiedy wraca do ich stolika. – Ten mężczyzna bez nazwiska?

– Nie wiem.

Potem wyrzuca z siebie całą historię. Naturalnie nie opowiada żadnych szczegółów o tym, co się wydarzyło, kiedy zgasło światło, ale to, o czym opowiada, wydaje jej się co najmniej równie obnażające. Vincent przygląda jej się bez słowa, ale nie wygląda, jakby uważał, że oszalała. Być może dlatego na koniec zdradza to, co najbardziej kłopotliwe:

– Byłam bardzo samotna. Czasem czuję się, jakbym nie istniała naprawdę. Nigdy bym nie pomyślała, że zostanę jedną z tych starszych osób, o których czasem się słyszy, ale...

Klaszcze w dłonie.

– Tak łatwo zostać samotnym – kończy.

– Być może powinienem był mimo wszystko powiedzieć tak. – Vincent próbuje się uśmiechnąć.

Marianne kręci zdecydowanie głową.

– Nie myśl sobie, że to jest pewna inwestycja na przyszłość – mówi. – Przecież ja też miałam męża. Nie, uważam, że powinno się stawiać na przyjaciół. Ja pozwoliłam im przez te lata zniknąć. Rodzina była dla mnie zawsze na pierwszym miejscu. I któregoś dnia mąż odszedł, a dzieci się wyprowadziły.

Przerywa i pije wino. Nigdy wcześniej tak naprawdę o tym nie myślała. Być może dopiero z odpowiedniej odległości potrafiła to dostrzec.

– Dlaczego powiedziałaś nie? Dlaczego odrzuciłaś oświadczyńy?

Vincent wzdycha. Przyciska opuszki palców do skroni. Zauważa, że ledwo ruszył wino, i zmusza się, żeby nie opróżnić do końca swojego, w którym została już tylko połowa objętości.

– Nie wiem – odpowiada w sposób, z którego od razu rozumie, że naturalnie wie, tylko musi się do tego sam przed sobą przyznać.

Czeka. Palce trzyma na stopce kieliszka.

– Być może powiedziałbym tak, gdyby... gdyby było coś ze mnie albo z nas w samym tym... w tym, jak to się stało. Kocham go. Naprawdę. Mimo to od kiedy zamieszkaliśmy razem, czułem się, jakby... W naszym związku nie było dla mnie miejsca. On... jak by to powiedzieć... wszystko ogarnia. Wszystko załatwia. Myśli o wszystkim. I dba, żebyśmy o wszystkim rozmawiali. A ja czuję się tak... Nie nadążam.

Wydaje z siebie jęk. Przeciera oczy.

– Nie potrafię tego dobrze wytłumaczyć. On jest idealny. Naprawdę. Zresztą sama słyszysz. Narzekam na coś, za co powinienem być wdzięczny. Tylko że czuję się, jakbym przez cały czas próbował dotrzymać mu kroku. Jestem kompletnie... otepiały emocjonalnie. Potrzebuję czasu, żeby coś przetrawić. Przemyśleć. Kiedy już do czegoś dojdę, wszystko jest już jasne i w jakimś sensie jest za późno. On już zdążył wszystko posprzątać. A... te oświadczyńy były chyba ostatnią kroplą. To było fantastyczne, ale... ale ja musiałem pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa. Chcę choć raz porządnie się zastanowić. Nie mogę wziąć ślubu, skoro nie mam pewności.

Marianne nie potrafi się dłużej powstrzymać. Sący wino.

– Może powinienem mu o tym powiedzieć. Pewnie by zrozumiał.

– Szukałem go wszędzie. Tu nie ma zasięgu. Choć pewnie i tak by nie odebrał.

Wydaje się nieszczęśliwy i Marianne chciałaby móc zrobić coś dla niego, wszystko jedno co. Dawno nie czuła tak silnego związku emocjonalnego z kimkolwiek i potrzebuje chwili, żeby nazwać to, co właśnie się w niej przebudziło. Instynkt macierzyński.

Patrzą na strumień ludzi, który sunie korytarzem przed pubem.

Każde z nich szuka tej jedynej twarzy wśród wszystkich innych, obcych.

– Dan – mówi kapitan Berggren. – Dobrze, że jesteś.

Wygląda, jakby przed chwilą się obudził. Pachnie snem. Nie zdążył jeszcze włożyć marynarki z tymi wszystkimi eleganckimi wzorami i Dan widzi ażurową podkoszulkę pod koszulą.

Zastanawia się, jak Berggren mieszka na pokładzie. Kabiny oficerów są podobno dużo bardziej eleganckie od kabin pozostałego personelu, a najelegantsza z nich jest pewnie kabina samego dowodzącego.

Berggren patrzy na Adama, który wciąż siedzi na udzie Dana z ramionami splecionymi wokół jego szyi.

– A kogo tu mamy? – pyta.

– Mój siostrzeniec, Adam.

Adam patrzy na kapitana swoimi wielkimi niebieskimi oczami. Cherubinek w czerwonej bluzie z kapturem, uosobienie niewinności z puczałowatymi policzkami, który znów mówi, że zostanie kapitanem. Kiedy gra swoją rolę, nie sposób wyobrazić sobie, że jest starszy od Berggrena.

– Chciałeś ze mną rozmawiać – mówi Dan.

– Tak, słyszałem, że były dziś jakieś problemy w karaoke. Wolałbym jednak porozmawiać z tobą na osobności. Może mógłbyś wrócić, gdy chłopiec...

– Możemy rozmawiać teraz.

– Nie uważam, żeby to było odpowiednie. Chłopiec powinien już spać.

Berggren przygląda się uważnie Danowi. I Dan się uśmiecha. Zastanawia się, czy czuć od nich zapach krwi i śmierci.

Zastanawia się, czy Berggren choć podświadomie zrozumiał, że za chwilę umrze.

– Trochę się martwię tym, co wydarzyło się dziś wieczorem – mówi kapitan.

Dan kiwa głową.

– Powinieneś – mówi i stawia Adama na ziemi.

Biega palcami po przyciskach, przeskakuje między widokami z różnych kamer. Telefon pokładowy na biurku brzęczy plastikowo. Bosse ma nadzieję, że dzwoni Mika, żeby powiedzieć, że maluchy zostały znalezione. Myśli o tym, jak bardzo jest zmęczony rodzicami, którzy nie pilnują swoich dzieci jak należy, a potem wpadają w histerię, kiedy te gdzieś znikną.

– Dostaliśmy kilka telefonów z szóstego pokładu – mówi Mika. – Pasażerowie z kabin 6502 i 6507 twierdzą, że na korytarzu panuje jakieś okropne zamieszanie, ktoś drapie i wali w drzwi. Widzisz kogoś, kto tam rozrabia?

Bosse wciska kilka klawiszy, jego doświadczone oko taksuje monitory. Korytarz, który prowadzi w kierunku rufy od strony lewej burty, jest pusty, widać na nim tylko jakiegoś mężczyznę z ręcznikiem wokół pasa, który wygląda z kabiny 6507.

– Na razie nic – odpowiada Bosse. – Albo... czekaj. Tu coś jest.

Palce zawisają w powietrzu. Patrzy na ekran pokazujący środkowy korytarz. Widać na nim plecy kobiety o ciemnych włosach, które opadają na jej ciało mokrymi pasmami. Ma na imię Alexandra, ale Bosse tego nie wie. Przełącza kamerę. Teraz widzi kobietę od przodu. Przesuwa okulary w metalowych oprawkach na nosie. Mruży oczy do czarno-białego ekranu.

– Kurwa – mówi. – Biega jakaś półnaga panna i wali do drzwi. Wygląda, jakby wyrzygała na siebie karton czerwonego wina.

Mika prosi, żeby darował mu nazbyt szczegółowe opisy, obiecuje, że wyśle tam ochroniarzy. Bosse przykłada kubek z kawą do ust, dalej wpatruje się w ekran. Przechodzi mu przez myśl, że kobieta wygląda, jakby była zalana krwią. Próbuje przekonać samego siebie, że to tylko złudzenie. Przez te lata widział tysiące takich dziewczyn jak ona. Nie ma w niej nic szczególnego.

Jedne z drzwi, do których zastukała, otwierają się. 6805. Wygląda z nich starszy mężczyzna. Bosse nie widzi żadnych szczegółów jego twarzy, ale język ciała jest czytelny, w ułamku sekundy z zaspanego staje się przerażony. Po plecach Bossego przebiega dreszcz. Kiedy ktoś puka do drzwi tuż za jego plecami, podskakuje w miejscu. Ciepła kawa przelewa się przez brzeg kubka i moczy mu spodnie. Kilka kropli spada na jego gazetę z krzyżówkami i rozpuszcza jego zamaszyste pismo. Obraca się na krześle, otwiera drzwi, nie podnosząc się z miejsca.

W drzwiach stoi Dan Appelgren. Ten mały dowcipniś. Bosse zauważa, że jest opuchnięty, przechodzi mu przez myśl, że to pewnie przez ten alkohol, który w siebie wlewa... I inne rzeczy, jeśli wierzyć plotkom. Dan trzyma za rękę dziecko. Chłopiec przypomina Bossemu jego wnuki na Wyspach Alandzkich.

– Popatrz – mówi chłopiec do Dana i pokazuje na ekrany.

Bosse się odwraca. Widzi, co się dzieje, ale nie potrafi tego pojąć. Rzuca się na przyciski.

– Dziecko nie powinno patrzeć na coś takiego, nikt nie powinien musieć na to patrzeć.

Dan i chłopiec wchodzą do kantorka. Zamykają za sobą drzwi.

W kabinie 6805 budzi się Ros-Marie z otwartym kryminałem leżącym jej na twarzy. Coś ją wybudziło

i mruga półprzymknięta w ciemnościach. Ciało jest przyjemnie ociężałe, uśmiecha się i wyciąga w łóżku, myśli o masażu w spa, winie do kolacji i o tym, jak kochali się z Lennartem aż do po północy. Odkłada książkę na stolik. Zapala lampkę. Drugie łóżko jest puste. Kołdra zsunięta się do połowy na podłogę. Poduszki leżą rozrzucone. Ros-Marie zrzuca kołdrę, idzie do łazienki.

– Lennart? – woła i puka do drzwi łazienki.

Głos brzmi jej w głowie stanowczo za głośno, jakby miała zatkałe uszy. Przypomina jej się dlaczego i wyjmuje jaskrawożółte zatyczki do uszu. Puka. Naciska klamkę. Otwiera. Szuka po omacku włącznika światła, myśli o całym tym cholesterolu z bufetu.

„Oby tylko Lennart się nie pochorował. Lub żeby nie dostał za...” Ucina myśl. Znajomy lęk ogarnia żołądek. Zapala się światło. Łazienka jest pusta. Ani śladu Lennarta. Ani żywego, ani martwego.

„Nie, uspokój się, Ros-Marie. Zawsze, gdy się trochę zabawisz, myślisz, że zaraz spotka cię za to kara. To tak nie działa. Gdyby tak było, nie przeżyłby żaden wygrany w lotto. Lennart śmiałby się z ciebie, gdyby wiedział, co wyprawiasz tylko dlatego, że poszedł na krótki spacer, pewnie nie mógł zasnąć”.

Ros-Marie próbuje, ale mimo wszystko nie udaje jej się pozbyć uczucia zbliżającej się katastrofy. Jej wzrok pada na brązowe buty Lennarta, które stoją na podłodze przed łazienką. „Nie wyszedłby z kabiny w samych skarpetkach. Ale tutaj też go nie ma”. Mięśnie na plecach i karku, miękkie jak masło po masażu, znów zaczynają sztywnieć. „Może ktoś zastukał do drzwi, porwał go jakiś szaleniec, zasztyletował, wyrzucił za burtę, a ja niczego nie słyszałam przez te cholerne stopery...” Próbuje śmiać się sama z siebie, tak jakby zrobił to Lennart. „Lepiej nie czytaj kryminałów przed snem, Ros-Marie”. Poprawia ramiączko koszuli nocnej, które zsunięło się jej z ramienia. Otwiera drzwi na korytarz.

Pojawia się na jednym z ekranów w kantorku Bossego. Bosse siedzi odchylony na obrotowym krześle. Oczy ma otwarte, ale niczego nie widzi. Dan i Adam zniknęli.

Ros-Marie rozgląda się na prawo i lewo po krótkim wewnętrznym korytarzu. Zastanawia się, w którą stronę powinna pójść. Przeklina w myślach swój kiepski zmysł orientacji. Potem jednak słyszy czyjeś pojękiwania gdzieś na prawo. Lennart. Wykładzina przed drzwiami jest śliska i gąbczasta. Krew wciska się między jej nagie palce u stóp. Kątem oka widzi, że ich drzwi są pokryte czerwonymi plamami, ale nie zastanawia się nad tym. Biegnie w kierunku dźwięku. Zdusza krzyk, który próbuje precyzyjnie przecisnąć się przez gardło.

„Lennart będzie się ze mnie śmiać. Ros-Marie z tą swoją bujną wyobraźnią, zawsze ta sama Krösamaja, zawsze gotowa na to, że runie niebo. Tak. Będziemy się z tego śmiać. Tylko najpierw muszę go znaleźć”.

Dochodzi do skrzyżowania korytarzy przy rufie. Znów dobiega ją jakiś dźwięk z prawej strony, biegnie w tym kierunku, wychodzi na długi korytarz, który ciągnie się aż do dziobu. Jedne z najbliższych położonych drzwi są otwarte. Ros-Marie podchodzi do nich jak lunatyk. Słyszy dobiegające stamtąd bulgotanie.

„To jakiś koszmar, najgorszy koszmar jaki kiedykolwiek miałam, opowiem go Lennartowi...”

Puka do drzwi, a one się otwierają. W środku jest krew. Dużo krwi. Krew na zębach Alexandry, na jej zabrudzonej koszulce. I na kredowobiałej twarzy Lennarta. Gulgotanie wydobywa się z jego gardła, z którego została już tylko mięsista, lepka masa. Alexandra podnosi na nią wzrok, rozciąga wargi, tak że Ros-Marie widzi jeszcze więcej zakrwawionych zębów. Z ciała Ros-Marie, niczym duch z butelki, wreszcie wydostaje się krzyk, który już nigdy nie da się uwieścić z powrotem.

– Nie możecie tego, kurwa, robić – bełkocze mężczyzna, którego Pia przypięła do pomalowanej na biało metalowej poręczy.

– Będziemy was odwiedzać – odpowiada. – Zapewniam was, że niczego wam tu nie zabraknie.

– A co będzie, jeśli... zaczniesz się palić...

Dalszy ciąg mało entuzjastycznych słów protestu zamienia się w nieprzyjemny dla ucha potok samogłosek i dźwięków nnnnngghh. Mężczyzna szarpie za kajdanki. Grzechot rozchodzi się po klatce dla personelu, rozrywa jej bębrenki.

Prostuje plecy. Próbuje zignorować ból głowy. Do pewnego stopnia rozumie, dlaczego mężczyzna protestuje. Nie podoba jej się, że muszą ich tutaj przetrzymywać, ale wie też, że tak trzeba. Inaczej już po kilku minutach wróciliby na górę. Wszczynali awantury. Zataczali się po którymś z pokładów zewnętrznych, wpadliby do wody.

„Nie wolno dopuścić, żeby stanowili zagrożenie dla siebie albo dla innych”. Od tej zasady nie ma odstępstw. A wszystkie cele są zajęte. Chłopcy, którzy bili się w Charisma Club, zajęli kabiny, gdzie siedzieli kolesie ze Starlight.

– Jak tam na górze? – woła.

Ma wrażenie, jakby podniebienie miało jej zaraz pęknąć. Przyciska do niego język. Czuje, jakby pod spodem coś się ruszało.

Jarno schodzi po schodach. Jego buty dudnią, stalowa konstrukcja wibruje i chrzęści. Jakby szło stado słońi. Próbuje opanować irytację. To nie jego wina, że boli ją głowa.

– Moje chłopaki mogą odpaść w każdej chwili – mówi. – Twój też jest, jak widzę, na najlepszej drodze.

Pia patrzy na mężczyznę. Broda opadła mu na bark. Plama śliny rozlewa się po jasnoczerwonym materiale koszulki. Pomrukuje wściekły.

Niech się zapiją na śmierć, myśli, zanim zdoła się opanować. Niech się wszyscy pozabijają, jeden po drugim. Wracam do Callego. Lub raczej do mojej kabiny. Mam to wszystko gdzieś. Naciągnę kołdrę na głowę i zniknę.

I tak nigdy nie nadążę za wszystkimi tymi drobnymi ludzkimi katastrofami, każdej kolejnej nocy. Czterech ochroniarzy na odcięte od reszty świata małe miasteczko, którego mieszkańcy tkwią zakonserwowani w alkoholu i w rozbuchanych potrzebach.

– Niech już ten wieczór się skończy – mówi. – Zaczynam być na to wszystko za stara.

Jarno uśmiecha się. Nieraz już to słyszał. Nigdy jednak nie mówiła tego tak bardzo serio jak teraz. Spogląda w górę schodów i słyszy chrapanie. W porządku. Może przynajmniej przez jakiś czas będą spokojni.

Z ich pasków wydobywają się trzaski.

– Pia? Jarno? – tu Mika. – Na szóstym blisko rufy jakaś ciemnowłosa, zarzygana kobieta wali w drzwi.

Pia wywraca oczami, ale to tylko pogarsza ból głowy i od razu tego żałuje.

– Henke i Pär nie mogą się tym zająć?

– Nie. Są już zajęci.

Mika ma dziwny głos. Z drugiej strony zwykle dziwnie brzmi.

– Coś się stało?

– Nie... nie chciałem mówić, dopóki nie będę więcej wiedzieć. Pewnie to nic takiego, ale...

W głosie Miki słyhać ledwo powstrzymaną panikę.

– Co? – rzuca ostro Pia.

– Nikt nie odbiera na mostku.

– Co ty mówisz? Jak to nikt, kurwa, nie odbiera na mostku?

– Nie wiem. Pär i Henke już tam idą.

Pia dziękuje sucho. Chowa z powrotem krótkofalówkę za pasek. Wymieniają się spojrzeniami z Jarnem. Widzi swój własny strach, który odbija się na jego twarzy.

Lo oparła głowę o jego ramię. Oddycha powoli i równo. Podejrzewa, że zasnęła, ale nie ma jak tego sprawdzić, bo ryzykuje, że ją obudzi.

Rozmawiali o tym, co będą robić w Los Angeles. Albin wie, że nigdy tam nie pojedą, przynajmniej nie teraz, ale to nie szkodzi. Samo fantazjowanie było niemal tak samo fajne jak znalezienie się tam naprawdę. A może nawet lepsze niż rzeczywistość. W marzeniach nie musi się zastanawiać, co by się stało z mamą. Nie musi myśleć o tym, że nie chce zostawić jej samej i że bardzo by za nią tęsknił. I bez przerwy się zamartwiał.

– Abbe – mruczy Lo zaspanym głosem. – Nie zamarzniemy tu na śmierć, prawda? Bo zaraz zasnę. Czy człowiek nie zasypia, kiedy zamarza?

– Tak – odpowiada. – Ale nic takiego się nie stanie.

– Nie zostawisz mnie samej, prawda?

– Jasne, że nie.

Lo kiwa głową.

– Chyba się trochę upiłam.

Podmuch wiatru dostaje się pod schody, pociąga mocniej za ściągacze kaptura bluzy. Albin chichocze na myśl o tym, że jest tym, który zawsze umiera w *South Park*.

– Abbe. Przepraszam, że tak długo się do ciebie nie odzywałam.

– Pewnie miałaś dużo pracy w szkole.

Lo kręci głową. Pociąga nosem.

– Byłam okropną kuzynką. Było mi po prostu ciężko z Mårtenem i mamą, i w ogóle, ale to mnie nie tłumaczy.

– Nic się nie stało – mówi.

Cieszy się, że nie patrzą teraz na siebie.

– Obiecuj, że nie będziemy tacy jak oni – prosi Lo.

– Obiecuję.

– Ty przynajmniej nie masz ich genów. Pomyśl, co będzie, jeśli stanę się jak babcia albo Mårten. – Teraz wydaje się wytraszona. – Co jeśli to jest dziedziczne? Musisz mi wtedy powiedzieć. Musimy być ze sobą szczerzy. Obiecuj mi.

– Obiecuję – powtarza. – Naprawdę.

Bo tu i teraz czuje, że to obietnica, którą mogą sobie złożyć. Za sześć lat będą dorośli. To brzmi jak wieczność. To połowa ich dotychczasowego życia. Przez chwilę jednak wydaje mu się, że zagłęda w tunel czasoprzestrzenny i widzi ich w przyszłości. Mogą o sobie decydować. Są nie tylko rodziną, są przyjaciółmi.

Na mostku stoi starszy oficer i wpatruje się w drzwi. Ochroniarze walą w nie od zewnątrz. Wołają. Ale on obiecał, że nie wpuści nikogo. Zabarykadował się od środka i wyłamał kłamkę. Tylko pod takim warunkiem Dan i Adam pozwolili mu żyć. Na mostku kapitańskim za jego plecami panuje rozgardiasz. Na podłodze leżą zakrwawione ciała kolegów. Nie może na nie patrzeć.

Dwoje dzieci, które ukryły się na górnym pokładzie, zasnęło. Nie zauważyły Dana i Adama, którzy za chwilę skończą przygotowania. Zniszczą sprzęt radiowy w łodziach ratunkowych i na tratwach. Wyrzucą race za burtę. I nie będzie już sposobu, żeby się stąd wydostać albo nawiązać łączność z lądem. „Charisma” przejdzie na autopilota na pozostałą część drogi do portu w Turku. Do tego czasu wszyscy na pokładzie będą albo martwi, albo narodzą się na nowo i nikt poza promem nie będzie nawet podejrzewać katastrofy, dopóki nie będzie za późno. Dan zaciąga się zapachem morza, oleju i mokrego metalu. Myśli o Berggrenie i pozostałych na mostku, jak bardzo musieli żałować, że nie szanowali go bardziej. Wiatr targa jego włosy. Zastanawia się, czy dalej będą mu rosnąć. Czy włosy i paznokcie rosną po śmierci?

Patrzy na swoje dłonie i uśmiecha się. Zanim skończy się noc, setki telefonów i kamer będą pełne zdjęć i nagrań wideo. Zadba o to, żeby rozeszły się po całym świecie. *The revolution will be televised.*

Pia i Jarno wychodzą do przestrzeni wspólnych na szóstym pokładzie blisko środka promu. Kiwają do siebie porozumiewawczo głową i rozchodzą się. Pia zagląda w korytarz od strony bakburty. Jarno od strony sterburty. Nie zauważają niczego dziwnego. Ruszają w kierunku rufy.

Na mostku starszy oficer słyszy, że coś się za nim porusza. Odwraca się. Spostrzega, że Berggren otworzył oczy. Podbiega do kapitana, opada na kolana. Berggren mruga. Wyciąga rękę do jego twarzy. Zasysa wargi. Jęczy z bólu. Ponowne narodziny bolą.

Z kilku kabin na długim korytarzu wyglądają zaciekawione twarze.

– Był okropny hałas – mówi mężczyzna z wielkim wąsem.

– Zrozumiałam – rzuca Pia przez ramię. – Zajmiemy się tym.

Czasem sama się dziwi, jak pewnie potrafią zabrzmieć jej słowa.

Po drodze zagląda w jeden z bocznych korytarzy. Zerka regularnie na krótkofalówkę. Chciałaby, żeby Mika już się odezwał, powiedział, że... No właśnie, co? Że nagle wszyscy na mostku postanowili zrobić sobie przerwę na kawę?

Pia dochodzi do kolejnego bocznego korytarza. Ten jest większy, rozszerza się pośrodku, żeby zrobić miejsce dla jednej z dwóch największych klatek schodowych na „Charismie”. Stąd może spojrzeć na przestrzał przez cały prom w stronę korytarza od sterburty, identycznego z tym, na którym teraz stoi. Czeką, aż pojawi się na nim Jarno. Macha do niej i znów znika. Idą dalej w kierunku rufy, każde ze swojej strony.

Ból głowy się nasilił. Jeszcze nigdy nie bolało jej tak bardzo w zatokach. Nie ma nawet odwagi myśleć o krwotokach mózgowych i guzach nowotworowych.

Nagle tuż obok niej otwierają się drzwi. Na korytarz wychodzi ciemnowłosa kobieta, bardzo ładna, w wieku jej najstarszej córki. Ma na sobie jedynie parę turkusowych koronkowych majtek. Tatuaz z Myszka Miki na ramieniu. Resztki wymiocin we włosach.

– Musi tu przyjść sprzątaczką – bełkocze. – Ktoś wszedł i zarzygał miabinę.

Pia nie może powstrzymać uśmiechu.

– Naprawdę? Nieładnie, że ktoś tak po prostu wszedł i narzygał do czyjejś kabiny.

– Co, pewnie myślisz, że to ja? – odpowiada i unosi swoje cienkie jak kreski brwi.

– Szczerze mówiąc, wszystko mi jedno – stwierdza Pia. – Chciałam tylko...

– Nie myśl sobie, że jesteś lepsza ode mnie tylko dlatego, że masz na sobie jakiś cholerny mundur.

Kątem oka widzi, że Jarno pojawił się już na korytarzu, więc macha do niego, żeby przyszedł.

– Mogę poprosić, żeby przyszła tu sprzątaczką – mówi. – Najpierw jednak chciałabym wiedzieć, czy to ty chodziłaś po korytarzu i pukałaś do drzwi? Dotarły do nas liczne skargi.

– Dotarłydonasliczneskargi – przedrzeźnia ją dziewczyna impertynenckim tonem. – Na pewno nie na mnie. Nic nie zrobiłam.

– Chcesz powiedzieć, że tak samo jak nie narzygałaś?

Oczy dziewczyny się zwężają.

– Co z tobą, kurwa? Dawno już cię ktoś nie wyruchał czy co? To dlatego chodzisz w kółko i bawisz się w mamuszkę?

Tak jakby piwnica w Pii miała kłapę, o której nie wiedziała. Przepaść, ciemniejszą ciemność ukrytą w ciemnościach, w którą teraz zagląda.

Widzi samą siebie, jak zabija tę dziewczynę. Rozrywa ją na strzępy. Miażdży ten pogardliwy uśmiezek, tę śliczniutką twarz. Dudni jej w głowie, jakby cała krew spłynęła do jej wnętrza, wypełniła ją tak, że za chwilę eksploduje...

Pia chwieje się. Ciemnieje jej w oczach. Kiedy atak mija, widzi, że dziewczyna weszła z powrotem do kabiny. Przygląda jej się wystraszona.

– Co z tobą? – pyta.

Nie wiem.

– Pia! – woła Jarno. – Pi-i-a-a!

W jego głosie słycać panikę. I kiedy spogląda w głąb korytarza, Jarna tam nie ma.

Skóra cierpnie jej na karku. Woła jego imię przez krótkofalówkę, ale odpowiada jej tylko jednostajny szum.

– Co się, kurwa, dzieje? – pyta dziewczyna.

Pia kręci głową.

– Wejdz do środka i zamknij drzwi.

Dziewczyna nie wydaje się przekonana.

– Ale tam śmierdzi – narzeka.

– Zamknij drzwi i przekręć zamek. No już.

Zaczyna biec w kierunku rufy. Odgłos kroków tłumi miękka wykładzina, pęk kluczy dzwoni głośno za paskiem. Otwierają się drzwi, wychylają się z nich zaspane twarze.

– Co to za hałasy! – woła wąsaty mężczyzna daleko za jej plecami.

– Wróćcie do kabin! – woła Pia. – Zamknijcie za sobą drzwi!

Dłoń zrobiła się sztywna i mokra od potu, trzyma kurczowo krótkofalówkę, żeby jej nie upuścić, kiedy wciska guzik.

– Mika – syczy. – Czy Bosse coś widział?

Bez odpowiedzi. Wywołuje znów Mikę, a jej wystraszony głos brzmi jak ostatnie tchnienie flaczejącego balonu.

Otrząsa się, gdy rozlega się trzask krótkofalówki. Zdecydowanie za głośny. Ścisza dźwięk. Rozgląda się.

– Tak, słyszę cię – mówi Mika. – Bosse nie odpowiada od kilku minut. I wciąż nie mam żadnych wieści z mostka.

Co się, kurwa, dzieje?

Próbuje zmusić myśli, żeby nie odleciały. Nie pierwszy raz Bosse znika bez śladu.

Bezużyteczny stary dziad, myśli. Pewnie siedzi i pastwi się nad którąś z tych swoich cholernych krzyżówek rozłożoną na kolanach. Albo wali konia do czegoś, co widział na ekranach. Nie rozumie, że ryzykuje nasze życie?

Wściekłość na Bossego i na jego puste spojrzenie zza wiecznie zatłuszczonych okularów jest tak potężna, że może się jej trzymać. To daje jej siłę. Ucisza znajomy głos w głowie, który mówi jej, że jest beznadziejna. Że to jakiś żart, że miałyby dbać o bezpieczeństwo innych ludzi.

– Nie wiem, co się stało z Jarnem, ale przed chwilą słyszałam, jak krzyczy – mówi szeptem. – Stał blisko rufy, od strony bakburty, a teraz go nie ma. Idę tam.

– Przysłać tam Henkego albo Pära? – pyta Mika.

Pia zwalnia kroku. Zaraz dojdzie na koniec korytarza. Zostało tylko dziesięć, dwanaście metrów, zanim korytarz skręci w lewo wzdłuż rufy. To tutaj ostatni raz widziała Jarna.

Drzwi do kabiny 6518 są uchylone.

– Nie – odpowiada ściszym głosem. – Musimy wiedzieć, co się dzieje na mostku.

– Okej – mówi Mika. – Odezwij się, gdybyś potrzebowała wsparcia.

Wzrok Pii skacze pomiędzy uchylonymi drzwiami i ostrym zakrętem korytarza. Waha się. Wystarczy ułamek sekundy, by w jej głowie znowu rozległ się głos.

„Kurwa, ale jesteś beznadziejna. Całe szczęście, że nie zostałam policjantką”.

Wciska przycisk na krótkofalówce. Przywołuje Jarna. Głos wraca do niej echem. Chrząszczący i trzeszczący. Zza uchylonych drzwi.

Podchodzi bliżej. Z kabiny 6518 wydobywa się zapach czegoś, co jednocześnie brzydzi i kusi.

Jest tak cicho. Spogląda za siebie na korytarz, wygląda, jakby wszyscy jej posłuchali.

– Piii-i-a-aahhh... Nnnnie... wchoodź... tuuuu.

Zduszony jęk wydobywa się z 6518. Odbija się echem w jej krótkofalówce.

Pia. Nie wchodź tu.

I nagle strach znika i milkną w niej głosy, bo przecież chodzi o Jarna.

Popycha drzwi.

W ciele Dana dudni muzyka z parkietu w Charisma Club. Basy wibrują w jego kościach, w jego nowych zębach. Światła wokół niego migają, a ruchy ludzi stają się nierówne. Zauważa, że niektórzy gapią się na niego. Szepczą.

Pewnie wydaje im się, że wiedzą, kim jest. Nie mają pojęcia. Jeszcze nie. Ale już wkrótce.

Rośnie w nim euforia, czuje, jakby ktoś wypełnił jego ciało helem, jakby mimo wszystko było coś z prawdy w micie, że wampiry potrafią latać. W tej chwili czuje się, jakby wystarczyło, że rozprostuje ramiona, zrobi rozpęd i skoczy.

Nareszcie jest wolny. Zniknęły wszystkie jego gwałtowne potrzeby, które nim miały. Została tylko jedna, świetlista i przejrzysta. Jedna rzecz, wokół której teraz wszystko się obraca.

Właśnie na to czekał przez całe życie. To jest dokładnie to. To jest on. Wszystko dotąd było jedynie oczekiwaniem. Czymś, przez co musiał przejść. Wszystko, czego doświadczył, każdy wybór, każdy zbieg okoliczności, doprowadziły go do tego punktu. Niemal wzrusza się na myśl o tym, że wydawało mu się, że może stać się nieśmiertelny dzięki kilku patetycznym szlagierom, z góry skazanym na zapomnienie. Ale to, co zrobią teraz, tu i teraz, z pewnością zostawi po sobie trwałe ślady.

Jarno leży na plecach. Patrzy prosto na nią oczami, które wyglądają na wyjątkowo jasne na zakrwawionej twarzy. Usta otwierają się i zamykają, ale nie wydobywają się z nich żadne dźwięki. Góra munduru jest rozpięta, koszula poszarpana.

Obok niego kuca kobieta w zabrudzonej wiśniowej koszulce. Ciemne włosy zwisają lepкими pasmami nad klatką piersiową Jarna, zasłaniają jej twarz. Za kobietą leżą dwa inne ciała, jedno na drugim. Starszy mężczyzna i kobieta. Tak przynajmniej wydaje się Pii, ale trudno to stwierdzić na pewno.

Tyle krwi. Wszędzie. Bryznęła na łóżko. Na wykładzinie utworzyła zarysy kontynentów.

Ślina napływa jej do ust i Pia nie wie, czy to dlatego, że za chwilę z wymiotuje, czy dlatego, że chce...

...paść na kolana naprzeciwko kobiety, przyłożyć usta do gardła Jarna.

Nie. Próbuje zepchnąć tę myśl, próbuje sprawić, żeby jej zbrzydła.

...zlizać krew ze ścian.

Jarno bezwiednie mruga kilka razy.

Pia robi krok w głąb kabiny. Staje na czymś miękkim i unosi z obrzydzeniem stopę. Zmusza się, żeby sprawdzić, co to jest.

Do jej stopy przykleił się zwitek bandaża. Szura podszwą o wykładzinę, żeby go odkleić.

Gdy podnosi głowę, spotyka się wzrokiem z kobietą. Nie jest to wzrok człowieka, tylko wygłodniałego, zdesperowanego zwierzęcia. Kilka lepkich kosmyków włosów prześlizguje się ciężko po ramieniu, kiedy przekrzywia głowę. Palce ma głęboko zanurzone w klatce piersiowej Jarna.

Zasysa wargi. Pia rozpoznaje ją.

Skąd skąd skąd?

Gdzieś już ją widziała dziś wieczorem.

W barze karaoke. Gdy został zaatakowany Dan Appelgren. Przez tego rudowłosego mężczyznę, który teraz siedzi w jednej z cel.

Tego, który wessał krew z pięści Dana.

Krew.

Tego, który jak wynika z dowodu, nazywa się Tomas Thunman.

Kłapiące szczęki. Pałące spojrzenie. Pozbawione myśli. Tylko Głód.

Instynkty.

„Jak zwierzę, on też”.

„Zranione, wygłodniałe, spragnione, szalone, wściekłe”.

„Próbował mnie ugryźć”.

Patrzy na przegub ręki. Niewielkie czerwone nacięcie w miękkiej skórze pod kciukiem. Ledwo je widać. Kiedy go dotyka, nawet jej nie boli. Od razu umyła ręce. Użyła do rąk żelu z alkoholem.

„Ale to po tym się rozchorowałam”.

Patrzy na zakrwawiony bandaż leżący na ziemi. Należał do Dana Appelgrena.

Kobieta węszy. Najwyraźniej Pia jej nie interesuje. Nie ma w niej nic pociągającego.

„Bo jestem jak ona, w każdej chwili mogę się stać jak ona”.

Kobieta przeraża Pię, ale nic nie jest tak przerażające jak to, o czym nie może myśleć, o czym absolutnie nie wolno jej myśleć.

Co wytłumaczyłoby niewytłumaczalne.

I co by to oznaczało.

Podchodzi szybkim krokiem do kobiety, uderza ją w głowę pałką, tak mocno, że siła uderzenia rozchodzi się wzdłuż całego ramienia, aż do barku. Kobieta zasysa wargi jeszcze bardziej. Z dna jej gardła wydobywa się gulgot.

Pia znów uderza ją pałką. Tym razem kobieta unosi ręce nad głowę. Pałka ląduje na jej nadgarstku. Coś się łamie. Kobieta syczy, podnosi się na chwiejnych nogach. Przechodzi nad ciałem Jarna, zatacza się. Pia zauważa duże, jasne blizny na jej udzie. Wyglądają jak ugryzienia, które zagoiły się dawno temu.

Ugryzienia wielkości szczęki człowieka.

Usta Jarna próbują mówić. Mięśnie wokół jego warg pracują na próżno. Mimo to Pii wydaje się, że wie, co chce powiedzieć. Potrafi zobaczyć to w jego oczach.

Biegnij. Biegnij. Biegnij.

Ale nie może się bronić przed tym, co wreszcie zrozumiała. Już jest stracona. On też.

Zanim podniesie pałkę, ręka kobiety wystrzeliwuje w jej stronę, wyrzuca ją, rzuca na bok.

Błysk nienawiści w pustych oczach kobiety. Wściekłe zwierzę w norze, zwierzę, które pilnuje swojego łupu, nie chce się nim podzielić z rywalem. Kłapie zębami. Zbliża się.

Pia nie może się poruszyć. Z przerażenia jej mięśnie całkiem zwiotczały.

Jaki jest sens próbować dalej walczyć? Jakie to ma znaczenie?

Kobieta zanurza zakrwawione palce w jej włosach. Uderza głową Pii o drzwi, kilka razy, ciemnieje jej przed oczami, czarne dziury w kosmosie, które zrastają się ze sobą, na jedną chwilę połykają wszystko dookoła.

Drugą ręką szarpie za kołnierzyk Pii. Rozlega się odgłos rozrywanego materiału i jeden z guzików odpada. Kołnierzyk od razu się rozluźnia, kobieta pomrukuje. Ciągnie mocniej za koszulę, odpada kolejny guzik. Odsłania szyję Pii.

Słyszy, jak Jarno bierze oddech. Cichy. Charczący. Porwany. I dochodzi do niej, że musi się bronić. Musi zrobić wszystko, żeby to nie przytrafiło się nikomu innemu.

Próbuje odepchnąć od siebie kobietę, ale ramiona drżą jej z wysiłku. Nie zostało jej wiele sił i kobieta najwyraźniej to zauważyła. Kłapie zębami. Wykrzywiona twarz z płonącymi oczami znika gdzieś w dole.

Pia czuje, jak jej wargi muskają ją w szyję. Przesuwa palcami po twarzy kobiety. Namierza oczy. Przygotowuje się. Wciska kciuki.

Lekko zaokrąglone gałki oczne stawiają zaskakujący opór. Próbują umknąć przed naciskiem, ale nie mają dokąd uciec w oczodołach.

„Nie myśl o tym, co robisz, nie myśl, nie myśl, tylko rób”.

Przyciska mocniej, kciuki wślizgują się do środka.

„Jak rozbite jajka, to tylko ciepłe żółtko ścieka mi po palcach”.

I wbijają się głębiej w czaszkę.

Kobieta wyje. Opada na kolana. Ściska za kołnierzyk Pii, żeby przyciągnąć ją do siebie, zanim się rozłączą. Kciuki wysuwają się z oczodołów z głuchym dźwiękiem, którego wie, że nie zapomni do końca życia, o ile w ogóle przeżyje.

Spogląda na Jarna. Ma wciąż otwarte oczy, ale nic już nie widzi.

Kobieta chwyta za spodnie Pii na wysokości ud, próbuje się podnieść. Pia uderza ją kolaniem w brodę, tak że jej szczęki zamykają się z trzaskiem. Kopie i trafia w klatkę piersiową, kobieta przewraca się na plecy, łąduje z głową na ramieniu Jarna.

Resztki oczu spływają jej po policzkach, ale mimo to próbuje znów wstać. Nigdy nie przestanie.

„To zranione zwierzę. Nie myśl o niej jak o człowieku.

Co humanitarnego można zrobić ze zranionym zwierzęciem? Zabić je”.

Pia rozgląda się po kabinie. Niemal wszystko jest przykręcone do ścian i podłogi. Lampy mają kable. Gdyby udało jej się wyrwać jeden z nich, może mogłaby nim udusić kobietę? Tylko że ona nie oddychała.

Ona nie oddychała.

Przez cały ten czas.

Ani razu.

Na myśl o tym Pii robi się słabo.

Patrzy na krzesło przy biurku. Jest za lekkie, żeby zrobić nim komuś krzywdę, ale mogłaby rozbić nim lustro. Spróbować ugodzić kobietę odłamkiem.

Nie. Nie może tego zrobić. Nie po tym, co już zrobiła. To zbyt bliskie, zbyt intymne.

„Jesteś taka słaba, że nie potrafisz nawet dokończyć tego, co zaczęłaś”.

Kobieta robi chwiejny krok w jej stronę. Wydaje z siebie kolejny jęk. Ramiona ma wyprostowane, ręce macają beładnie w powietrzu. Pociąga nosem. Obraca głowę prosto na Pię, jakby widziała przez puste oczodoły. Podąża za nią, kiedy przesuwają się w róg kabiny, gdzie wisi stary telewizor.

Pia szarpie i ciągnie za stalowy uchwyt. Uwiesza się na nim całym ciężarem. Ściana wygina się i stare mocowania puszczają z wielkim hukiem. Łapie telewizor, zanim upadnie na podłogę. Trzyma go w ramionach razem z uchwytem i całą resztą.

Telewizor jest ciężki. Ramiona drżą, kiedy unosi go nad głową. To już jej ostatnie siły, wie o tym.

Ostatnia szansa. Kolejnej nie będzie.

Dudnienie z parkietu Charisma Club dobiega do pokładu rufowego. Ludzie palą papierosy, śmieją się, całują, robią zdjęcia komórkami. Nikt nie zauważył chłopca w czerwonej bluzie z kapturem, który ukrył się nieco dalej na pokładzie spacerowym. Czeka cierpliwie. Gotów zająć się w razie potrzeby tymi, którzy będą próbować uciec tą drogą z parkietu. Dosłownie w każdej chwili. Czuje to w całym ciele.

Jego matka też to czuje. Katastrofa już nadeszła. Kobieta stoi na dziobie odwrócona plecami do wody i patrzy na piętrzący się przed nią prom. Radar obraca się na słupie, raz za razem, jak szept na wietrze. Zdejmuje medalion. Wcisną pazurek w szczelinę i medalion otwiera się z głuchym kliknięciem. Spoglądają na nią dwie pary poważnych oczu. Zdjęcia są zrobione w studiu. Światło pada miękko na ich twarze, zeszywniałe, żeby nie rozmazały się przez długi czas naświetlania. Dorosły mężczyzna o wysokich kościach policzkowych i świdrującym spojrzeniem. Mały chłopiec z jasnymi, zaczesanymi na wodę włosami. Jej syn. Wciąż tak wygląda, ale straciła go na zawsze. Straciła go dawno temu, choć przez te wszystkie lata nie opuszczali się nawet na chwilę. Patrzy na dorosłego mężczyznę. Pamięta szok w jego oczach, gdy ich syn rozerwał mu gardło. Od tego czasu zamykała oczy na prawdę o swoim synu. Starzy ostrzegali ją, mówili, że jest za mały na przemianę. Że zapomni, jak to jest: być człowiekiem. Była głucha na ich ostrzeżenia. Kiedy zrozumiała, że powinna była ich posłuchać, było już za późno. Teraz musi za to zapłacić. Dziś w nocy poleje się krew. I każdą jej kroplę będzie mieć na swoich dłoniach.

Inna kobieta, która też szuka swojego syna, siedzi na wózku przy punkcie informacji. Ona również oskarża samą siebie za to, co się stało, że nie rozumiała wcześniej, że to nieuniknione. Mężczyzna za ladą wszedł na zaplecze z dwoma ochroniarzami. Wyglądali na wystraszonych. Poprosili ją, żeby wróciła do kabiny. Twierdzili, że będą dalej szukać Albina, ale nie ufa im. Zrozumiała, że stało się coś, co jest dla nich ważniejsze niż jej ukochany syn.

Rudy mężczyzna w kabinie nie może wytrzymać z głodu. Przykłada usta do nadgarstka. Zęby rozrywają mięśnie i ścięgna. W jego martwej krwi zrobiły się już grudki, ale przynajmniej zapełni sobie żołądek.

– Nie przychodźcie tu – mówi do krótkofalówki i ledwo rozpoznaje swój zachrypnięty głos. – I tak was nie wpuszczę.

Udało jej się zabarykadować drzwi krzesłem. Siedzi na łóżku. Patrzy, jak drobny deszcz bębni o szybę okna. Zgasiła wszystkie światła w kabinie, tak jest dużo lepiej. Łagodniej dla oczu.

Musi odpocząć.

Za chwilę.

– Co się dzieje? – pyta Mika. – Pia, musisz mi powiedzieć, co się dzieje. Nie wiem, co robić.

Mówi szybko. Za szybko. Przykłada rękę, która trzyma krótkofalówkę, do czoła. Próbuje zastanowić się, jak to wyjaśnić. Zebrać myśli pomimo bólu.

Spogląda na ciemne cienie na łóżku naprzeciwko. Ułożyła ich tam wszystkich. Jarno. Dwoje starszych ludzi. Kobieta, która ich zabiła. Ofiary i sprawcy. Czy może wszyscy czworo są ofiarami?

Na podłodze stoi telewizor z rozbitym ekranem. Krew i włosy na połyskujących w ciemnościach fragmentach szkła.

Widziała, że palce starszego mężczyzny się poruszyły. Choć jeszcze przed chwilą nie żył. Choć ma rozdarte gardło.

Najlepsze, co teraz może zrobić, to tu zostać. Pilnować, żeby żadne z nich nie wstało. Zająć się nimi, jeśli zajdzie taka potrzeba. Przyniosła gaśnicę z korytarza. Jest ciężka. Użyła jej, żeby zakończyć pojedynek z kobietą bez oczu. O mało nie zwymiotowała, kiedy zobaczyła efekt. Od tamtej pory kobieta jednak się nie poruszyła.

– Na pokładzie szaleje jakiś wirus – mówi. – Ludzie robią się od niego agresywni. Naprawdę agresywni.

Zmieniają się w potwory.

– Gryzą. Tak wirus rozprzestrzenia się dalej. Wyglądają, jakby nie żyli, ale tak nie jest.

Przebiega ją lodowaty dreszcz.

– Lub rzeczywiście nie żyją. A jednak się budzą.

– Pia, coś ci się stało? Majaczysz. Są tutaj Pär i Henke, mogę ich wysłać...

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Zostałam ugryziona. Stanę się jedną z nich. Spróbuję wytrzymać tak długo, jak się da, ale nie wiem, ile to potrwa.

Kolejna fala bólu rozchodzi się w ustach, napełniają się śliną, która smakuje krwią. Przyłapuje się na tym, że ssie zęby, żeby dostać jak najwięcej.

Pierwszy wypada kiel. Wypluwa go do ręki. Kładzie go na stoliku nocnym między łózkami.

– Pia...

W krótkofalówce szumi. Mika mógłby znajdować się setki mil stąd, tysiące. Nie ma to żadnego znaczenia. I tak już straciła wszystko, co znajduje się poza tą kabiną.

– Co? – mówi.

– Co mam robić? Maszynownia nie odpowiada. Mostek nie odpowiada. Pärowi i Henkemu nie udało się dostać do środka. Bosse nie żyje. Pia, oni mówią, że był kompletnie zmasakrowany...

Strużka krwi przeciska się przez otwór, w którym znajdował się kiel. Pamięta jeszcze, jak bardzo brzydził ją kiedyś smak krwi. Teraz to się zmieniło. Czuje ból z pragnienia krwi, krwi kogoś innego.

– Pia? – mówi Mika, załamuje mu się głos. – Potrzebuję cię.

– Nie mogę ci pomóc. Mogę być niebezpieczna.

– Przecież to niemożliwe! – krzyczy Mika.

– Musicie znaleźć Dana Appelgrena. I tego małego chłopca, z którym był, kiedy go ostatnio widziałam...

Teraz rozumie, co takiego dostrzegła w spojrzeniu tego dziecka. Rozpoznanie. Nie ciekawość. Nie zastanawiał się, kim ona jest. On wszystko rozumiał.

– Dziecko jest jednym z nich.

– Pia, to wszystko brzmi jak jakieś szaleństwo.

– Wiem. Musisz mi wierzyć. Teraz odpowiadasz za życie tysiąca dwustu osób.

Sapie. Szczęka zębami. Kilka z nich wypada z dziąseł.

– Nie wolno wam pod żadnym pozorem wypuścić Tomasa Thunmana z celi. Myślę, że to od niego wszystko się zaczęło. Jeśli będziemy mieć szczęście, nie będzie ich więcej...

Gardłowy jęk ze sterty ciał leżących na drugim łóżku. Przymyka oczy. Szuka po omacku w myślach czegoś, o czym mogła zapomnieć.

– Znalazłam torebkę. W portfelu był dowód. Ta, która tu mieszka, nazywa się Alexandra Andersson. Sprawdź, z kim była w kabinie. To kobieta, z tego, co widzę po rzeczach. Mogła się zarazić.

– Pia, to jest...

– Raili była sam na sam z Danem – dochodzi do niej nagle. – Porozmawiaj z nią, zapytaj, czy nie została ugryziona. I...

Tylko nie zacznij płakać. Nie.

– ...ktoś musi powiedzieć jej o Jarnie. Nie pozwól, żeby to zrobił Pär. Może Andreas. Nie chcę, żeby tu przyszła. Obiecuj, że nie powiesz, gdzie jest Jarno. Jeśli on się obudzi...

Nie potrafi dokończyć myśli. Znow przeszywa ją lodowaty dreszcz i wie, że nie zostało jej dużo czasu. Okrywa się kołdrą.

– Muszę kończyć – mówi. – Poradźcie sobie. Zawołajcie przez głośniki, żeby ludzie wrócili do swoich kabin. Zadzwońcie do klubu i do Starlight i powiedzcie, żeby je zamknęli. Postaraj się zebrać jak najwięcej osób z personelu w mesie albo nie wiem, gdzieś, gdzie możecie się porządnie zamknąć i zastanowić, co robić dalej...

Zmusza się do oddychania.

– Powiedz im o wirusie. Muszą wiedzieć. Musisz mi wierzyć. Nie może się rozprzestrzenić. Pomyśl

o Bossem. Pomyśl o tym, co się z nim stało.

Coś poruszyło się w stercie na drugim łóżku.

Ciało starszej kobiety z ciężkim hukiem stacza się na podłogę, Pia zatrzymuje na nim wzrok. Czeka, aż się podniesie.

Ale to starszy mężczyzna zepchnął ją od spodu, żeby wyjść. Odchrząkuje z trudem.

– Powodzenia – mówi i wyłącza krótkofalówkę.

Podnosi się. Cofa do biurka, nie spuszczaając oczu z mężczyzny, który ociężale podnosi się do pozycji siedzącej. Sięga po telefon pokładowy. Odwraca się i obserwuje go w lustrze nad biurkiem, jednocześnie wybierając numer do kabiny Filipa.

Pierwszy sygnał.

Drugi sygnał.

Mężczyzna już siedzi. Głośny, pełen żalu lament.

Trzeci sygnał.

– Halo – mówi Calle zaspanym głosem.

Oczy Pii zachodzą łzami.

– Calle – mówi. – Calle, to ja...

Ból promieniuje z podniebienia, rozżarzony metalowy pręt wbity prosto w głowę.

– Pia? Co tam? Masz dziwny głos.

Patrzy na ciemny kształt, który staje obok łóżka. Popycha stopą ciało leżące na ziemi.

– Jestem chora – mówi. – Musisz mi coś obiecać... Musisz...

– Pia? Pia, co się stało?

Wciąga powietrze, ale płuca nie nadążają, nie starcza jej tlenu.

– Pia? Gdzie jesteś? Powiedz, to po ciebie przyjdę.

– Na szóstym, ale nie mogę... Jest... jest za... późno...

Jej organizm zaczął się hiperwentylować. Plamki światła tańczą w ciemnościach, jak skrzące się układy słoneczne, gwiazdy połączone blado świecącymi nićmi.

Słyszy, jak Calle podnosi się z łóżka.

– Obiecuj mi... – mówi.

Nie potrafi już zebrać myśli, próbuje się skupić, żeby zacząć od początku.

– Coś złego dzieje się na pokładzie i jeśli mnie zobaczysz...

W lustrze widzi, że mężczyzna robi krok w jej stronę. Dotyka gaśnicy.

– Jeśli mnie zobaczysz, uciekaj przede mną jak najdalej – kończy.

– O czym ty mówisz?

Jej świadomość walczy, żeby wydostać się z ciemności. Jak wtedy, gdy tonący wystawia nos nad powierzchnię wody.

– Kocham cię, Calle. Obiecuj mi.

Odkłada słuchawkę.

Lyra ma na sobie piżamę zabrudzoną krwią jej rodziców. Przesuwa się wzdłuż ściany na parterze Charisma Club. Nie jest już głodna, ale chce więcej. Ciągnie ją do miejsca, gdzie znajduje się wiele rozgrzanych ciał. W środku jest ciemno i ciasno. Zatrzymuje się przy parkiecie. Zauważa, że oprócz niej jest jeszcze ktoś taki jak ona. Szuka wzrokiem i od razu znajduje Dana. Wie, że on jest przywódcą. Jednak coś innego przyciąga jej uwagę. Odwraca twarz do balustrady. Ktoś tam na górze ma cieplejszy zapach niż pozostali.

Na górnym poziomie Charisma Club kobieta o imieniu Victoria podaje barmanowi kartę kredytową. Uśmiecha się do Simeone, który mówi:

– *We came to Sweden because we heard about the Swedish love boats.*

Myśli, że uwielbia jego włoski akcent, śmieje się i pyta, czy jest tak, jak się tego spodziewał, a on odpowiada:

– *I hope so.*

Jego dłonie obejmują ją w biodrach i parzą przez cienki materiał sukienki.

– Mamy jakieś kłopoty na łączach – mówi barman.

Victoria patrzy zaskoczona na jego ogorzałą starą twarz, zanim dociera do niej, że chodzi o czytnik kart. Przeszukuje portfel i wyjmuje z niego kilka pogniecionych banknotów stukoronowych. Dłoń Simeone zatrzymuje się na jej brzuchu, rozgrzewa go. Victoria kładzie dłoń na jego dłoni. Ich palce się splatają. Krew pulsuje w niej coraz mocniej. Pot przeciska się na powierzchnię skóry, kładzie się cienką warstwą na plecach.

– *Do you wanna go back to my place?* – pyta. – *It's very close, you know. That's the best thing about the love boats.*

Mężczyzna przytakuje. Victoria wypija ostatni łyk piwa z nadzieją, że jej oddech jest okej.

– *Let's go tell our friends we're leaving* – mówi do niego.

Idą za rękę w kierunku schodów prowadzących na parkiet. Przy mosiężnej poręczy i szybach z przydymionego szkła zebrali się ludzie. Mężczyzna w średnim wieku w hawajskiej koszuli przebiega obok, woła coś do barmana. Victoria słyszy tylko pojedyncze słowa: „Zadzwoń... ma kłopoty...”. Simeone pyta, co się dzieje, i kręci głową. Zauważa dziewczynkę w zakrwawionej piżamie wchodzącą po schodach. Na ustach ma zaschniętą krew.

„Ktoś musiał ją uderzyć w twarz”.

Dziewczynka wchodzi na piętro, rozświetlona od tyłu przez migające światła z parkietu.

„Potrzebuje pomocy”, myśli Victoria.

Puszcza dłoń Simeone, podbiega do dziewczynki. Przez chwilę widzi z bliska jej twarz. W następnej leży już na plecach. Lyra rzuciła ją na podłogę. Jej włosy łaskoczą Victorię w nos. Podłoga wibruje od basów dochodzących z parkietu poniżej. I nagle. Ból, gdy zęby Lyry przebijają się przez skórę jej szyi. Zaciskają się tam w środku. Odgryzają duży kawałek. Victoria próbuje krzyczeć, ale nie ma głosu. Kątem

oka widzi, że coś tryska w powietrze jak ropa naftowa ze świeżego źródła, i dochodzi do niej, że to krew, jej własna krew. Dokoła nich krzyczą ludzie, ale Victoria nie potrafi wydobyć z siebie ani jednego dźwięku, kiedy zęby dziewczynki wbijają się w nią po raz drugi.

Z dolnego poziomu Dan czuje rozchodzący się w powietrzu zapach świeżej krwi. Patrzy w stronę balustrady na pierwszym piętrze. Słyszy dochodzące stamtąd krzyki, ale na dole nikt nie reaguje. Tańczą dalej, zapach strachu staje się coraz wyraźniejszy. Tam na górze wiele osób się boi. Ich serca biją szybko.

Każda sekunda, w której udaje mu się opanować, jest słodką udręką. Dostrzega ciało kobiety w cienkiej sukience opadające na balustradę.

Twarz przyciska się do wewnętrznej strony szyby i wygląda teraz na zdeformowaną i płaską. Widać tylko jej jedno oko. Patrzy, niczego nie widząc, prosto w światła znad parkietu, twardówka wychwytuje zmieniające się kolory. Teraz widzi dziewczynkę w jedwabnej piżamie przy balustradzie. Jakiś mężczyzna próbuje ją odciągnąć. Dan słyszy, jak krzyczy coś po włosku. Dziewczynka obraca się w jego uścisku, aż jeden z jej barków wyskakuje ze stawu, wygina ciało w łuk, kłapie naokoło zębami. Ciało kobiety w cienkiej sukience zalane jest krwią, która zaczyna przelewać się przez krawędź stropu antresoli. Kapie na parkiet. Policzek dziewczyny w beżowej koronkowej sukience, zaledwie kilka metrów od Dana, został obryzany czymś kleistym, ale ona tego nie zauważa, tańczy dalej z rękoma uniesionymi nad głową.

Krew.

Musi ją dostać. Nie może dłużej czekać. Staje pod krawędzią stropu. Otwiera usta i odchyła do tyłu głowę. Czuje, jak ciepłe, gęste krople spadają mu na kości policzkowe. Na język. Prosto do gardła.

Dziewczyna w koronkowej sukience spogląda na Dana, nie rozumie, co się dzieje. Podnosi wzrok i zerka na piętro. Zauważa leżące tam ciało. Krzyczy. Szarpie stojących najbliżej ludzi. Ktoś krzyczy *to Victoria to Victoria it's my friend oh my God Victoria*. Ktoś pokazuje na Dana. Dudnienie kroków na schodach, kilka osób próbuje zbiec z piętra. Ciało spada na parkiet w sam środek tańczących w kółku dziewczyn. Słyszą odgłos łamiących się kości. Rozlegają się krzyki. Mieszają się z krzykami na piętrze. Dan nie potrafi się dłużej opanować. Zamyka oczy. Węszy w powietrzu. Chwyta jedno z mijających go w biegu rozgrzanych ciał.

W Starlight Filip odkłada słuchawkę. Wpatruje się w nią przez pół sekundy. Próbuje zrozumieć.

Głos Miki brzmiał, jakby był na granicy załamania. To, co udało mu się wydusić, ledwo dało się zrozumieć.

– Na promie jest jakiś wirus – mówi ściszym głosem do Marisol. – Musimy kazać wszystkim wrócić do swoich kabin, a potem zebrać się w mesie.

Kiedy słyszy samego siebie, nagle wydaje mu się to bardziej realne.

– Jaki wirus? – pyta Marisol.

Nie wydaje się zbyt zaniepokojona i to go trochę uspokaja. Jeśli coś tu zaraża, to na pewno przesadna reakcja Miki. Nic więcej. Być może.

– Nie wiem – odpowiada. – Pewnie to nic groźnego, ale mamy natychmiast przestać obsługiwać gości.

– Na pewno się ucieszą.

Filip wychodzi zza baru. Kilka osób czekających na swoją kolej woła za nim ze złością. Omija ręce, które wyciągają się za nim. Postanawia, że nie będzie wchodzić pomiędzy tańczących na parkiecie, omija go łukiem. Nie łapie za mosiężną poręcz. Patrzy na stojące na stolikach szkło. Czy w środku są jacyś chorzy? Jak rozchodzi się wirus? Razem z Marisol przyjmowali pieniądze i karty, dotykali dłoni. Spocone nagie ramię jakiejś kobiety ociera się mocno o jego przedramię i zwilża materiał koszuli.

Dochodzi do krawędzi sceny, wchodzi po schodkach. „Chcę być z tobą, gdy zapada ciemność – śpiewa Jenny. – Czas zastyga w miejscu, nasze ciała tańczą”.^[14] Musi być po nim widać, że coś się stało, bo od razu przerywa. Palce basisty zatrzymują się na strunach. Perkusja zwalnia i milknie. Rozlega się buczenie. Jenny podchodzi do Filipa, podaje mu mikrofon, zanim jeszcze zdąży ją o to poprosić.

Kiedy cichnie muzyka, która przykrywała wszystko jak kołdra, hałas w lokalu robi się nagle nie do wytrzymania.

– Przykro mi, ale muszę państwu przerwać zabawę, na pokładzie wystąpiły pewne problemy techniczne – mówi. – Zostałem zapewniony przez kierownictwo, że nie ma powodu do niepokoju.

Zdaje sobie sprawę, że gdzieś przed Starlight słychać krzyki i nawoływanie. Zakrywa oczy dłonią przed snopem światła z reflektora, widzi, że ludzie poruszają się niespokojnie. Pomruk unosi się pod sam sufit.

– Zostałem poproszony, żeby przekazać państwu, abyście w spokoju wrócili do swoich kabin. Nie ma powodu do niepokoju. Dalsze informacje otrzymają państwo, gdy tylko będziemy wiedzieć coś więcej.

– No żeż kurwa! – ryczy jakiś mężczyzna przy barze. – Przed chwilą kupiłem piwo!

– Ja też! – krzyczy jedna z dziewczyn z grupki, która śpiewała do wszystkich utworów. – Mogę je zabrać ze sobą do kabiny?

– Bo inaczej zażadam zwrotu pieniędzy! – woła mężczyzna przy barze i dostaje liczne głosy poparcia.

Filip nie wie, co odpowiedzieć. Według regulaminu powinien odmówić, ale czuje, że to by mogło doprowadzić do rozruchów.

– Co się dzieje? – woła jakaś kobieta spod sceny.

– Zwykła rutynowa kontrola – odpowiada. – Nie ma się czym martwić.

Nigdy nie umiał kłamać, a ostre światło reflektorów wcale mu tego nie ułatwia.

Jakaś kobieta woła o pomoc gdzieś przy wejściu. Wyraźnie widać, że uwaga wszystkich zwraca się w tamtym kierunku. Filip zbiega ze sceny i tym razem ludzie sami schodzą mu z drogi. Widzi, że wiele osób opróżnia w pośpiechu kieliszki, żeby mieć pewność, że nie tracą zawartości.

Kolejne krzyki przy wejściu. Kątem oka widzi, że Marisol przeskakuje przez bar i biegnie za nim.

– Pomóżcie mi! – woła ją kobieta. – Pomóżcie mi! Gonią mnie!

Teraz ją widzi. Ma krótkie, ufarbowane na czerwono-czarno włosy. Prawa strona jej koszuli jest mokra od krwi. Po wewnętrznej stronie jej ramienia, blisko pachy, brakuje dużego fragmentu ciała. Twarz błyszczący od potu i łez. Upada na kolana. Szlocha.

Zewsząd krzyki. Kilka osób biegnie do wyjścia. Inni cofają się w głąb lokalu. Jeszcze inni podchodzą bliżej. Chcą sprawdzić, co się dzieje.

Filip czuje wzbierającą panikę, kiedy widzi, jak Marisol klęka przy kobiecie.

– Są tuż za mną! – dyszy.

– Kto? – pyta Marisol, a Filip biegnie w stronę kraty.

– Coś jest z nimi nie w porządku, cholernie nie w porządku! – krzyczy wyborca Zielonych w blond dredach.

– Cholera jasna – mówi kobieta, która trzyma go za ramię.

Pokazuje palcem, a ręka trzęsie się jej tak mocno, że wino przelewa się przez brzeg kieliszka.

„...nie ma powodu do paniki. Pracujemy nad tym, żeby możliwie jak najszybciej rozwiązać problem..”

Głośnik nad głową Cilli drży, ustawiony na cały regulator. Rozpoznaje ten głos. Mężczyzna z punktu informacji. Słysząc, że się boi.

Rozlega się dzwonek i winda zatrzymuje się na szóstym piętrze. Cilla patrzy zniecierpliwiona na drzwi. Próbuje otworzyć je siłą woli.

„Może Abbe i Lo wrócili już do kabiny. Oglądają jakiś film. Jedzą słodycze. Może Linda ich znalazła. Dobry Boże, niech tak będzie”.

Drzwi nareszcie się otwierają. Głos rozchodzi się również z głośników na korytarzu. Teraz mówi po fińsku. Cilla przesuwając dźwignię kierowniczą na oparciu do przodu i wózek z miękkim szelestem wyjeżdża z windy. Zamierzała skręcić w korytarz po lewej, ale po szerokich schodach przed nią zbiega właśnie strumień ludzi, chaotycznie rozbiegają się korytarzami, wpadają na siebie. Drzwi zamykają się za jej plecami. Nie ma miejsca, żeby wykręcić wózek. Cofa się kilkanaście centymetrów, ciągnie dźwignię, jedzie do przodu po skosie kilka centymetrów, ciągnie w drugą stronę, znów cofa. Powtarza kilkakrotnie te czynności.

Przez jej świadomość przelatuje strumień koszmarnych obrazów. Abbe wypada za burzę. Znika pod powierzchnią zimnej wody. Wsysa go wir i ciągnie wzdłuż burty promu, w kierunku śrub okrętowych...

Jak ma chronić Albina, jeśli coś się stanie?

Nie potrafiła go nawet chronić, gdy byli w domu. A teraz zniknął. Jak mogła myśleć, że Abbe nie widzi, że go to nie boli, nie rozumie? To właśnie przed tym Linda próbowała ją ostrzec od tylu lat. Teraz Abbe nie może udawać, że nie widzi. To przecież oczywiste, że on rozumie. Jej mądry, kochany chłopiec. Tylko jak miała mu wytłumaczyć, że nie może zostawić Mårtena? Powiedział, że zabierze jej Abbego. Przecież każdy widzi, że nie jest w stanie zająć się sama dzieckiem. Nie potrafi nawet zająć się sama sobą. I jest coraz gorzej. Prędzej czy później trafi do domu opieki.

Gałka ślizga się jej w dłoni, Cilla walczy, żeby ustawić kolosa we właściwej pozycji. Nikt nie patrzy jej w oczy ze strachu, że poprosi o pomoc.

Nareszcie wózek kieruje się w odpowiednią stronę, a ona czeka niecierpliwie, aż ktoś ją przepuści. Ludzie wokół wyglądają przeważnie na znudzonych lub nieco zirytowanych tym, że wyciągnięto ich siłą z wieczornej zabawy. Rozmawiają, śmieją się beztrudnie. Na niektórych twarzach widać jednak panikę. Słuchają w napięciu głosu docierającego przez głośniki. Uciszą pozostałych, choć niewiele to pomaga. W końcu Cilla wciska guzik ze stylizowaną trąbką i wózek wydaje z siebie nieprzyjemne wycie. Kobieta w sukience w szkocką kratę i taką samą opaskę we włosach zatrzymuje się na najniższym stopniu i przepuszcza Cillę. Cilla dziękuje, udaje jej się wjechać we właściwy korytarz i bez większych przeszkód skręcić w lewo.

Znów wciska guzik z trąbką. Ludzie przesuwają się powoli, opornie, ma ochotę krzyknąć, zmuszona do ciągłego ruszania i zatrzymywania, ruszania i zatrzymywania. Trio mężczyzn z nadwagą zajmujących całą szerokość korytarza zauważa wreszcie, że jest tuż za nimi. Stają w rzędzie pod ścianą, a Cilla wciska

drażek do samego końca. Wózek rozpedza się. Szerokie opony szurają o wykładzinę.

„Abbe. Abbe. Abbe. Proszę cię, Boże, niech on będzie... w naszej kabynie albo w kabynie Lindy”.

Nareszcie widzi drzwi kabiny w oddali przed sobą, blisko końca korytarza. 6510 i 6512.

Męski głos w głośniku mówi teraz po angielsku, ale zagłusza go odgłos biegnących stóp i krzyki.

Jej ciało przeszywa lodowaty dreszcz. Pierwszy raz Cilla boi się o siebie. Nie miałaby najmniejszych szans, gdyby trafiła do wody. Nie potrafi już pływać. Ludzie znajdujący się na korytarzu przed nią odwracają się. Przyspieszają kroku. Próbuje także odwrócić głowę, ale głowa jej nie słucha.

– Co się dzieje tam z tyłu? – woła. – Czy ktoś może mi powiedzieć, co się dzieje?

Nikt nie odpowiada.

Niedaleko przed nią otwierają się drzwi do kabiny. Mężczyzna o szerokiej szyi i krótko ostrzyżonych włosach robi pół kroku na korytarz. Na jego wielkim brzuchu rozciągnęły się usta Rolling Stonesów nadrukowane na jego tiszercie. Może mieć dwadzieścia pięć albo i pięćdziesiąt pięć lat.

– Co się dzieje? – pyta Cilla. – Nie mogę zawrócić wózkiem na korytarzu... Co się tam za mną dzieje?

Mężczyzna waha się przez chwilę.

– Moja żona chciała zostać i potaćzyć – mówi ze smalandzkim akcentem, śmiejąc się. – Cała ona.

– Wiesz, co się dzieje? – pyta, próbując zapanować nad głosem.

– A ty nie?

Kręci głową.

„Nie, nie wiem, nie wiem, gdzie jest mój syn, nie wiem, czy ktoś poza Lindą go szuka. Nie wiem, co się dzieje, i nie wiem, dlaczego w ogóle jesteśmy na tym promie, dlaczego wydawało nam się, że to dobry pomysł”.

– Widziałem w telewizji – odpowiada mężczyzna. – Wiesz, mają kamery skierowane na parkiet... w pierwszej chwili myślałem, że to jakiś horror...

Jego głos zamiera.

Zostali tylko we dwoje na tym końcu korytarza. Ci, którzy znajdowali się przed nią, zniknęli w swoich kabinach. Cilla słyszy dźwięk zatrzasniętych drzwi.

– Co. Co widziałeś?

Wygląda, jakby jej nie słyszał.

– To musi być jakiś gaz albo coś. Takimi promami przewozi się odpady radioaktywne, wiedziałeś? Niby skąd ma być wiadomo, że nie przewożą jeszcze czegoś innego, o czym nigdy się nie dowiemy?

– Powiedz, co widziałeś – prosi Cilla. – Błagam cię! Mój syn zginął.

Mężczyzna mruga, jakby dopiero teraz ją zauważył. Jego wzrok jest pełen współczucia i przeraża ją to bardziej niż cokolwiek innego.

– Nie możesz nic dla niego zrobić – mówi mężczyzna. – Oni się tam mordują.

– Co?

Gdzieś daleko za nią słychać męski głos, który krzyczy:

– Pospiesz się, pospiesz się, pospiesz!

Zatrząskują się jeszcze jedne drzwi.

– Może to jakaś broń wojskowa – dodaje mężczyzna. – Wyglądają, jakby oszaleli. Nie jak ludzie.

Cilla kręci głową. Chwyta za gałkę.

– Nie wiem, czy powinienem tam pójść i jej szukać – mówi dalej. – Myślisz, że można sobie kiedyś wybaczyć, jeśli się tego nie zrobi?

Podnosi znów na niego wzrok. Widzi błaganie w jego spojrzeniu. Nie wie, co odpowiedzieć. Czy powinna powiedzieć prawdę.

Że gdyby tylko mogła chodzić, gdyby była w stanie pomóc, przebiegłaby cały prom, aż znalazłaby Abbego, nieważne, co by się stało. I że nigdy nie wybaczyłaby sobie, gdyby nie zrobiła choćby tego.

Rozlega się huk i drzwi do jednej z kabin jakieś dziesięć metrów przed nią wylatują na korytarz wyważone od środka. Mężczyzna podrywa się. Obraca się w tamtym kierunku.

Korytarzem idzie, zataczając się, jakaś kobieta. To ta ochroniarz, która przyprowadziła Albina i Lo do klubu dziś wieczorem. A jednak...

– Tutaj też są – dyszy mężczyzna.

„To nie ona, to zupełnie nie ona”, myśli Cilla.

Oczy kobiety, dawniej tak ciepłe, tak przyjazne, są teraz całkiem puste. Ma plamy krwi na twarzy i na białej koszuli rozerwanej przy kołnierzyku. Z koczka na jej głowie wysunęły się niemal wszystkie włosy, bezładnie opadły na ramiona. Ciemne spodnie w kant są ubrudzone czymś kleistym. Kciuki są rdzawobrazowe, jakby zamoczyła je w farbie.

Kobieta otwiera usta i znów je zamyka.

– Przepraszam – mówi mężczyzna. – Przepraszam, przepraszam, nie mogę, chciałbym, ale nie mogę...

Jego głos nagle cichnie, kiedy zatrząskują się drzwi do kabiny.

Kobieta robi krok w jej stronę. Wzrok Cilli pada na połyskującą, zamazaną czymś lepkiem tabliczkę z imieniem.

„Pia? Fia? Jakie to ma teraz znaczenie? To nie ona, nie ona, to coś zupełnie innego”.

Drzwi do kabiny jej i Mårtena znajdują się w połowie odległości dzielącej ją od ochroniarzki. Nawet jeśli uda jej się dotrzeć do drzwi i wyjąć kartę... Czy zdąży precyzyjnie przejść przez wąskie przejście?

Nie może ryzykować. Musi się stąd wydostać.

Mocuje się z gałką. Cofa i skręca. Wózek wjeżdża w ścianę za jej plecami. Popycha gałkę do przodu. Skręca.

– Mårten! – krzyczy i znów cofa. – Mårten, pomóż mi!

„Czy on też jest jednym z nich?”

Myśl jest krystaliczna, panika eksploduje jak grzyb atomowy.

Starsza kobieta wyszła na korytarz za ochroniarzką. Ciężkie ciało kołysze się pod koszulą nocną. Zęby kłapią w powietrzu.

Stuk, stuk, stuk.

Cilla wciska gałkę możliwie jak najdalej w górę i w prawo. Wózek odjeżdża po łagodnym łuku, metalowa półeczka pod stopy uderza w drzwi naprzeciwko. Cilla cofa i skręca w lewo. Słyszy kroki,

ciężkie buty na wykładzinie. Coś charczącego i mokrego jak oddech, ale nie do końca. Każda komórka w jej szyi jest gotowa na to, że poczuje dotyk szarpiących palców.

„Stuku, puku, tirli, to już koniec Cilli”.

Nareszcie udaje jej się skierować wózek w stronę, z której przyjechała. Wciska gałkę do przodu i jednocześnie słyszy, jak paznokcie drapią w gruby materiał na oparciu wózka. Tuż przy samej głowie. Wózek jedzie do przodu. Palce znów próbują złapać ją za jej krótkie włosy. Wózek rusza ze świstem. Cilla pochyła się do przodu na grubym siedzisku dopasowanym do jej ciała.

Kątem oka widzi kolejne drzwi.

Ludzie znajdujący się głębiej w korytarzu krzyczą w panice, kiedy widzą, co ją goni. Niektórzy zgrzytają kartami, znikają w kabinach. Inni rzucają się z powrotem w kierunku schodów albo znikają w bocznych korytarzach, przepychając się i tłocząc. Łączy ich jedno. Nikt nie próbuje jej pomóc.

I rozumie ich. Pomyślałaby to samo co oni.

Lepiej ona niż ja.

Stuk, stuk, stuk.

Cilla krzyczy. Nic więcej nie może zrobić.

Nieco dalej korytarz kończy się przeszkloną ścianą, za którą znajduje się spa. Zastanawia się tylko przez chwilę, trzymając dłoń na gałce, a potem mija boczny korytarz ze schodami i windami. Jest na nim pełno ludzi, patrzą na nią przerażeni. Nie miałaby najmniejszej szansy znowu pomiędzy nich wjechać.

Zostało tylko kilka metrów. Napis „Charisma Spa & Beauty” jest coraz bliżej i bliżej. Tuż przed nim korytarz skręca pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w prawo. Nie wykręci na nim z tą prędkością.

Ale przecież nie może zostać i tylko czekać na śmierć.

Zrobi wszystko, co w jej mocy. Przeżyje dla Abbego.

Krata. Głupia, pieprzona krata, niech ją diabli. Zacięła się w tym samym co zwykle miejscu, metr nad podłogą. W całym Starlight krzyczą ludzie. Płaczą. Gdyby widzieli to, co przed chwilą widział Filip, panika byłaby jeszcze większa.

– Bądźcie cicho – prosi stojących najbliżej niego, nie przestając ciągnąć za kratę.

Kręcą głowami. Dwoje z nich było w grupie, która próbowała przedostać się pomiędzy chłopakami na korytarzu.

Dzieli ich od nich zaledwie jakieś dziesięć metrów. Poruszają się powoli, ale ze świadomością celu. Zakrwawieni. Mogą mieć najwyżej kilkanaście lat. Dwóch z nich jest wysportowanych, ich mięśnie rysują się pod ciasnymi koszulkami. Trzeci jest niski i gruby. Czarna koszulka z jakimś idiotycznym tekstem o Murzynku. Za każdym razem, gdy Filip szarpie za kratę, przekrzywiają głowy, wsłuchują się w dźwięk. Na korytarzu za nimi leży ta czwórka, która próbowała stąd uciec.

Filip wciąż nie może uwierzyć w to, co widział. Rozumie jednak aż nadto dobrze, co się stanie, jeśli chłopakom uda się przedostać do Starlight.

Unosi kratę o kilkadziesiąt centymetrów i potrząsa, próbuje ją ściągnąć do samego końca, ale krata znów się zacina.

Słyszy krzyki z piętra wyżej. Coś musiało się stać w Charisma Club.

Zakrwawione usta chłopaków poruszają się, jakby kąsały powietrze przed nimi, żeby szybciej mogli przejść dalej. Zastanawia się, który z nich rozszarpał ramię kobiecie. Czy ugryźli więcej osób?

Szarpie za kratę. Znowu grzechot. Tych trzech przekrzywia głowy, poruszają się jak jedno stworzenie, choć jednocześnie są ledwo świadomi siebie nawzajem.

Mika powiedział coś o tym, że zarażeni robią się agresywni.

Czy to może być ten wirus?

Chłopcy są bardzo blisko. Zostało tylko kilka metrów.

Ich oczy są zupełnie puste.

– *Fuuuuuuuck!* – krzyczy Filip i ciągnie za kratę.

I krata wreszcie się odblokowuje. Spada na podłogę z grzechotem, który jest najpiękniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszał. Robi krok do tyłu. Orientuje się, że dyszy.

Sekundę później metal znów szczeka. Palce wciskają się w otwory w kracie, wykrzywają się kurczowo, twarze przylegają do metalu. Dobiega go odgłos węszenia. Kłapanie zębów.

Odwraca się w stronę lokalu. Próbuje nie słyszeć dźwięków zza kraty.

Przed barem leży na plecach kobieta. Oddycha szybko i płytko. Filip zastanawia się, czy to może być szok. Marisol siedzi przy niej na kolanach z apteczką pierwszej pomocy. Wokół niej leżą rozerwane opakowania płynu dezynfekującego i pozgniatane zakrwawione serwetki.

– Boli mnie – jęczy kobieta. – Tak mnie boli...

Czy została zarazona? A Marisol?

Ledwo ma odwagę spojrzeć jej w oczy, żeby nie zgadła, o czym teraz myśli.

– Oczyszczałam ranę najlepiej, jak się dało – mówi Marisol. – Powinniśmy jednak polać ją jeszcze spirytusem. Żeby mieć pewność, że udało się zabić wszystkie bakterie.

– Czy to konieczne? – pyta kobieta i kręci głową, jakby prosiła, żeby tego nie robić.

– Na pewno nie zaszkodzi. Dobrze?

Filip podbiega do baru, przechyla się nad nim, bierze butelkę koskenkorvy.

– Może zabołec – Marisol ostrzega kobietę, kiedy Filip do nich wraca. – Ale myślę, że to najlepszy sposób.

– Mogę się najpierw napić? – pyta kobieta. – W ramach znieczulenia.

Filip przykłada srebrny ustnik do jej ust, przechyla butelkę tak, żeby wypłynął z niej alkohol. Jakby karmił małe dziecko butelką ze smoczkiem.

Kobieta daje mu znak głową, żeby pokazać, że wystarczy, więc odsuwa butelkę. Przełyka ostatni łyk, odkasłuje.

– No to dawaj – mówi.

Marisol chwytą łagodnie, ale zdecydowanie ramię kobiety i przekręca je tak, by rana znalazła się na górze. Z butelki cieknie wąski, przezroczysty strumień. Rozbryzguje się na ranie. Spłukuje wypływającą z niej krew.

– O ja pitooole – krzyczy kobieta i ciągnie za rękę Filipa, ścisną ją jak imadłem.

Krata znów głośno chrzęści. Kobieta patrzy z przerażeniem w jej kierunku.

– Nie wejdą tu – mówi Filip.

Marisol odstawia butelkę i zapewnia kobietę, że wszystko będzie dobrze, nic jej się nie stanie, zaraz ktoś przyjdzie i jej pomoże.

Filip milczy. Wyjmuje kompresy z apteczki. Przykłada je ostrożnie do rany na ramieniu kobiety. Marisol okręca je bandażem. Gdzieś z głębi gardła kobiety wydobywa się gulgotanie. Kobieta przełyka ślinę. Odchrząkuje. Znów przełyka. Kiedy wykrzywia się z bólu, widzą, że jej zęby są pokryte krwią.

– Zraniłaś się w usta? – pyta Marisol. – Ugryzłaś się w język?

Kobieta kręci głową, znów się wykrzywia.

– Boli mnie – dyszy.

– Odchodzą! – krzyczy ktoś ze stojących przy wejściu.

Filip patrzy w kierunku krat. Nie wystają już spomiędzy nich żadne palce. Nie uspokaja go to jednak.

Podnosi się i podchodzi do kraty. Patrzy na znikające w korytarzu plecy chłopaków. Zastanawia się, dokąd teraz idą.

Ogarnia go poczucie odrealnienia tak silne, że niemal dostaje zawrotów głowy.

– Chcę stąd wyjść! – krzyczy jakaś kobieta.

– Nie, dopóki nie będziemy wiedzieć, co się, kurwa, dzieje – odzywa się jakiś mężczyzna grzmiącym głosem. – Co się stało tym chłopakom?

- Muszę wrócić do kabiny. Mówili, żebyśmy wrócili do kabin.
- Tutaj jesteśmy, kurwa, bezpieczni. Nie słyszysz krzyków tam, na zewnątrz?
- Słyszę. Tam są moje dzieci. Nie dadzą sobie rady...
- No to mogłaś ich nie zostawiać samych, żeby tu przychodzić chlać!
- Niby skąd miałam wiedzieć, że stanie się coś takiego?

Nagle wszyscy zaczynają mówić jednocześnie. Głosy podnoszą się jak fala pływowa, nagle wszyscy próbują się nawzajem przekrzyczyć.

Kobieta przeturlała się na bok. Pluje krwią. Jęczy coraz ciszej.

Marisol i Filip spotykają się wzrokiem. W jej spojrzeniu on widzi przerażenie tak silne, że musi odwrócić wzrok. Marisol zaczęła gładzić kobietę po włosach.

Telefon za barem dzwoni. Filip podbiega, szarpie za słuchawkę.

– Halo? – woła. – Mika, to ty?

– Nie, to ja.

– Calle! Wszystko okej?

Czuje na sobie spojrzenia, dopiero teraz słyszy, jak idiotycznie zabrzmiało jego pytanie.

– Co się, kurwa, dzieje? – pyta Calle. – Ludzie zaczęli zbierać się w mesie, ale nikt nie wie, co się dzieje. Mika mówił coś o jakimś wirusie, ale... to brzmi jak szaleństwo.

– To jest szaleństwo – mówi Filip ściszone głosem i wkłada palec do ucha, żeby nie słyszeć głośnych dyskusji wokół niego. – Calle, mamy tu jedną ugryzioną.

– Ugryzioną?

– To przypomina wścieklicznę albo coś takiego.

Calle nie odpowiada. W słuchawce szumi, jakby dochodził go skądś chóralny szept, gdzieś z bardzo, bardzo daleka. Filip przełyka ślinę.

– Spuściliśmy kratę. Powinniśmy być okej, przynajmniej na razie.

– Dobrze – mówi Calle. – Kurwa, bardzo dobrze. Możecie tam zostać, aż przyjdzie pomoc z lądu?

– Mam nadzieję.

– Vincent jest z wami?

– Nie. Nie widziałem go, od kiedy wyszedłeś.

Calle znów milczy i Filip rozumie.

– Zostań tam, gdzie jesteś – radzi. – To najlepsze, co możesz zrobić.

– Dzwoniła do mnie Pia – mówi Calle. – Powiedziała... że jeśli ją zobaczę, muszę uciekać przed nią najdalej, jak potrafię.

Filip przymyka oczy. Oczyma wyobraźni widzi przed sobą Pię. To, jak się cieszyła, kiedy wieszali serpentyny w apartamencie. Gdzie ona teraz jest?

Czym teraz jest?

– Jeśli tak powiedziała... – mówi i odwraca się o pół obrotu, patrzy na leżącą na podłodze kobietę. – To powinieneś jej posłuchać.

Calle wybiera numer apartamentu. Rozlegają się sygnały, jeden po drugim. Nie potrafi odłożyć słuchawki, choć zrozumiał, że Vincent nie odbierze.

Z głośników dobiega głos Miki, słycać go jedynie w pomieszczeniach dla personelu. Wszyscy muszą jak najszybciej zebrać się w mesie.

Gdyby na pokładzie wybuchł pożar albo gdyby „Charismie” groziło zatonięcie, personel powinien zebrać się w podgrupach przy wyznaczonych im bazach. Na promie są łodzie ratunkowe i tratwy z miejscami dla wszystkich pasażerów, nawet z miejscami dodatkowymi, na wszelki wypadek. Co się jednak robi, gdy na pokładzie wybuchnie epidemia? Według wiedzy Callego nie stworzono na taką sytuację żadnych procedur.

Sygnały wciąż rozbrzmiewają w słuchawce.

Gdzie jest Vincent, skoro nie ma go w apartamencie?

Marianne i Vincent wstali od stolika w McCharisma. Barman powiedział im, że wszyscy muszą wracać do swoich kabin. Kilkadziesiąt osób przebiegło przed wejściem do pubu. Prawdopodobnie klienci tego okropnego klubu piętro wyżej. Wielu z nich krzychało, wyglądało na spanikowanych. Co ona może o tym wiedzieć? Nigdy nie rozumiała, dlaczego niektórzy muszą tak okropnie hałasować, kiedy wypiją trochę alkoholu. Czuje narastający niepokój, ale nie chce się wygłupić, wyjść na panikarę.

Jej wzrok zatrzymuje się na ciemnowłosej kobiecie, która stoi nieruchomo na korytarzu. Marianne ma wrażenie, że dostrzega w niej coś znajomego. Kobieta przymknęła oczy, wygląda, jakby nasłuchiwała. Jest piękna. Ma zdrowe, kręcone włosy i naturalnie zaróżowione policzki. Na tle tych wszystkich tanich jednorazowych ciuszków i mocnego makijażu, jakich Marianne zdążyła się tu naoglądać, kobieta wyróżnia się czymś ponadczasowym. Nie pasuje tutaj. Marianne miałaby ochotę zapytać Vincenta, czy też ją zauważył. Nie odzywa się jednak. Nie może przecież wyjść na kompletną wariatkę.

– Myślisz, że coś się stało? – zastanawia się Vincent.

– Nie wiem. O problemach technicznych raczej nie chce się słuchać na środku morza.

– Uspokój się, kurwa – bełkocze jakiś mężczyzna siedzący przy wyjściu. – Pływałem setki razy i nigdy nic się nie stało. Mniej bezpiecznie jest wsiąść do samochodu.

– Nie słyszałeś krzyków? – pyta pijanego Vincent.

– E tam. Ludzie tylko się nakręcają.

– Przykro mi – odzywa się barman. – Muszę państwa prosić o przejście do kabin. Nie ma powodu do niepokoju, mimo to nalegam.

Marianne odwraca się do niego i patrzy mu w oczy. Barman zbyt szybko odwraca wzrok.

Cokolwiek się dzieje, ona nie może wrócić do swojej kabiny pod powierzchnią wody. Jeśli prom tonie, nie może zostać uwięziona tam na dole.

Patrzy na Vincenta. Wie, że on myśli o swoim przyjacielu. Zastanawia się, czy może go o to zapytać.

– Nie chcę być sama – mówi w końcu.

– Ja też nie – odpowiada Vincent i wstaje. – Chodź.

Marianne spogląda w stronę tamtej pięknej kobiety. Nie widzi nikogo.

– Panie i panowie. Prosimy wszystkich pasażerów, by wrócili do swoich kabin... – Z głośników we wspólnych pomieszczeniach i w kabinach znów dobiega głos Miki. Ci, którzy położyli się spać wcześniej, właśnie się obudzili. Słuchają w napięciu: – Prosimy, żeby przeszli państwo spokojnie do swoich kabin... Personel dziękuje za współpracę...

Ciemnowłosa kobieta idzie w kierunku korytarza prowadzącego do Charisma Starlight. Zatrzymuje się przy leżących na podłodze ciałach. Mężczyzna w zielonych spodniach i czerwonej koszuli patrzy na nią. Ma krew w ustach. Jęczy:

– Proszę, proszę, pomóż mi, nie daję rady, nie wytrzymam tego.

Bacne spojrzenie na kratę na końcu korytarza. Poruszają się za nią ludzie, ale nikt nie patrzy w tę stronę. Kobieta chwyta mężczyznę za podbródek. Kładzie drugą rękę na tyle jego szyi. Mówi, że wszystko będzie dobrze. Ucisza go. Przyciska miękko jego policzek do podłogi i szybkim ruchem obraca mu głowę w drugą stronę. Pęka to, co trzymało kręgi. Ona zamyka mężczyźnie oczy. On ich już nie otworzy.

Kobieta podchodzi do kolejnych ciał. Pracuje dalej, słyszy krzyki i tupot nóg na piętrze wyżej. Ludzi jest bardzo wielu. Zbyt wielu. Zapach strachu płynie po schodach w okolicach rufy. I nagle dociera do niej z całą siłą, że to jest właśnie ta katastrofa, przed którą zawsze ostrzegali Starzy. Może mieć konsekwencje, których nie da się przewidzieć.

Kuca przy ostatnim ciele. Śliczna dziewczynka z kręconymi włosami. Ślady ugryzień na jej szyi zdążyły się zagoić. Przemiana się rozpoczęła. Jeszcze jedno bacne spojrzenie na kratę. Kobieta przetrąca kark dziewczynki. Myśli o ciałach na korytarzu jak o skutku choroby. Działania wirusa. Są nie tylko zarażeni, lecz także są roznośicielami wirusa. Pozarazają nim mnóstwo innych osób, jeśli tylko będą mieć okazję. Ona musi to powstrzymać. W jakiś sposób musi to powstrzymać, nie krzywdząc przy tym swojego syna. I musi też sama oprzeć się pokusie. Bo wszystkie te dudniące stopy, wszystkie te krzyki, cała ta pulsująca krew pobudzają jej głód, choć przecież przed chwilą jadła.

W Charisma Club ucichła muzyka. Nad parkietem, ciemnym i śliskim od ludzkich wnętrzności, wciąż migoczą lampki. Przy szerokich drzwiach wychodzący ludzie popychają się i szarpiają, próbują się precyzyjnie przeczesać przez zwartą ścianę ciał, nawet wdrapać po plecach osób stojących z przodu. Inni chcą się dostać do środka. Są tak samo zdesperowani jak ludzie, ale przywiódł ich tutaj ten niezaspokojony głód. Kiedy poczuli zapachy, odeszli od kraty przed Starlight. Wciskają się w zdesperowaną masę ludzką, między śliskie od potu ciała. Rozdzierają skórę i mięso, napełniają usta krwią, ale ich głód nie daje się zaspokoić. Ciepłe ciała wiotczeją w tłoku, opadają na podłogę, są popychane dalej lub tratowane. Ci, którym udało się dotrzeć do drzwi, nagle widzą, co się dzieje, nawet jeśli nie rozumieją jak i dlaczego. Próbuje uciec z powrotem w głąb lokalu. Niestety, stojący z tyłu prą coraz mocniej do przodu. Na drugim końcu parkietu panuje chaos, ludzie próbują stąd uciec na pokład rufowy. Mały chłopiec w czerwonej bluzie z kapturem chodzi w tę i z powrotem. Czasem wbija zęby w czyjąś odkrytą skórę. Wygryza rany na rękach i barkach. Większość obecnych tego nie zauważa.

Dan Appelgren znajduje parę młodych ludzi próbujących się ukryć w budce didżeja. Przywierają do

siebie. Łzy ciekną im po twarzy. Dan wyrywa dziewczynę, która kręci głową i krzyczy: „Nie, nie, nie!”. Ze strachu błyszczą jej oczy. Całe ciało Dana reaguje. Adam ostrzegwał go, żeby za dużo nie pił. Próbuje się powstrzymać, chociaż to trudne. Wszyscy są wyjątkowi. Ich emocje wzmagają jego popęd. Nie chce ich wypuścić, dopóki całkowicie ich nie zdusi. Jego serce kurczy się i powiększa, imitując bicie żywego organu. Ciało spuchło. Obrączki wpijają się w palce. Dan przyciąga do siebie dziewczynę, jakby ją obejmował. Rozdziera bluzkę, chwytając dziewczynę za pierś i mocno ściska. Chce, żeby jej chłopak to widział. Dziewczyna próbuje uderzyć Dana, ale on odgryza mięsisty kawałek ciała nad jej obojczykiem i ramię staje się bezwładne. Zaraz potem odrzuca ją na bok i wbija wzrok w chłopaka, który nie pospieszył z pomocą, tylko wcisnął się głębiej w budkę, skulił i zamknął oczy, jakby miał nadzieję, że Dan go nie zechce. Ale Dan go chce. Patrzy na niego i uśmiecha się. Myśli o tym, co go czeka. Jak fantastycznej, historycznej sprawy stanie się częścią. Za plecami Dana z antresoli spada kilka ciał.

Przeszklona ściana przed Charisma Spa & Beauty jest rozbita. Elektryczny wózek inwalidzki leży w środku przewrócony. W słabym świetle odłamki szkła błyszczą jak zakrwawione diamenty. Pia skuliła się za ladą recepcji kilka metrów dalej. Przyłożyła policzek do chłodnej podłogi. Czuje wibracje, dobrze jej znane, uspokajające. Krew, którą wypiała, rozchodzi się po jej ciele. Pia czuje, jak ogarnia ją spokój. Myśli ucichły. Nie docierają do niej żadne głosy.

Dotarł do mesy okrężną drogą. Zagląda do środka. Nic tu się nie zmieniło. Poplamiony kawą termos. Obrusy w kratkę. Dzbanki ze sztucznymi kwiatami. Półmiski z owocami. Koszyk z chlebem, który został po kolacji. Nawet ten sam stary nóż do chleba z jaskrawożółtą rączką. Mimo to atmosfera nie kojarzy mu się z niczym, co kiedykolwiek przeżył na promie. Strach ciężko wisi w powietrzu. Kilka osób rozmawia ściszym głosem. Antti stoi tuż przy wejściu w towarzystwie kierownika Andreasa. Kiwają do niego. Calle, milcząc, zastanawia się, gdzie jest Sophia. Nie widać żadnego z ochroniarzy ani nikogo z mostku.

– Cały personel natychmiast do mesy – w głośnikach odzywa się znów głos Miki.

Calle ma wrażenie, że słyszy krzyki gdzieś w tle chrzęszczących dźwięków z radiowęzła.

– Spośród tu obecnych kierownik Andreas Dahlgren jest najwyższy stopniem i dlatego poprowadzi zebranie, które zacznie się za kilka minut.

Rozlega się piknięcie i w głośnikach zalega cisza. Calle postanawia się rozejrzeć. Mija pusty salon, w którym telewizor świeci upiornym niebieskim światłem. Idzie dalej w kierunku klatki schodowej dla personelu, jego myśli pędzą jak szalone. Skoro Andreas jest najwyższy stopniem z obecnych na zebraniu, oznacza to, że ani kapitan, ani starszy oficer, ani nawet kierownik maszynowni nie przyjdą.

To go jeszcze mocniej niepokoi, ale skłania też do zdecydowanego działania. Musi znaleźć Vincenta. Nieważne jak. Natychmiast.

Otwiera drzwi na klatkę schodową. Zbiega po schodach i nagle się orientuje, że nie wie, dokąd zmierza. Od czego powinien zacząć?

Schodzi na spocznik.

– Czy prom tonie? – woła ktoś nieoczekiwanie.

Calle aż podskakuje, tak jakby jakaś napięta struna w jego wnętrzu oderwała go od podłogi.

Nieco dalej przy poręczy siedzi jakiś żałośnie skulony mężczyzna. Usłyszawszy kroki, podnosi głowę.

– Kurwa, musicie nas uwolnić. Musicie rozpiąć te pieprzone...

Rozlega się metaliczny chrzęst, bo mężczyzna pociąga za kajdanki, którymi jest przypięty do poręczy.

Calle przełyka ślinę. Cofa się, dopóki jego plecy nie uderzą w wielkie drzwi windy osobowej.

– Nie mam klucza – tłumaczy.

– Odepnij mnie, kurwa!

– Zobaczę, co da się zrobić.

Oczywiście to tylko pusta obietnica. Mężczyzna posyła mu nienawistne spojrzenie.

– Pomóż nam! – woła ktoś z dołu.

I znów metaliczny chrzęst.

Czy to ten mężczyzna, którego Pia tu zostawiła, żeby do niego przyjść?

Czy to oni ją zarazili?

– Przykro mi. – Calle bezradnie rozkłada ręce.

Patrzy na stalowe drzwi prowadzące do wspólnych pomieszczeń na dziewiątym piętrze. Wie, co zrobi, kiedy tam dojdzie. Przedostanie się na górny pokład i zacznie stamtąd schodzić ku dolnym pokładom „Charismy”.

Musi mieć coś w rodzaju systemu i musi się go trzymać. Musi mieć kontrolę.

Calle wciska guzik przy drzwiach, słyszy głucho kliknięcie. Kładzie dłoń na kłamce. Otwiera, zanim zdążył się zawahać.

Ma wrażenie, że znalazł się w strefie działań wojennych.

Ludzie zbiegają po schodach, prawdopodobnie z pokładu spacerowego. Niektórzy mają zakrwawione, porozdzierane ubranie. Obejmują się albo popychają, nie patrząc na boki, żeby szybciej iść do przodu. Kilka osób desperacko próbuje dzwonić gdzieś z komórek. Inne używają ich do filmowania i robienia zdjęć. Wpatrują się w ekran, jakby za jego pośrednictwem mogli zdystansować się od chaosu. Przy schodach stoi jakiś mężczyzna i chicho płacze.

Calle wie, że musi wziąć się w garść. Zebrać myśli. Gdzieś w tym chaosie ogarniającym dziesięć pięter i kilka pokładów zewnętrznych znajduje się Vincent.

Młody ochroniarz Henke wdrapuje się na mostek po stromej drabinie na zewnętrznej burcie „Charismy”. W ręce trzyma siekierę. Deszcz i wiatr uderzają go w twarz, mundur z poliestru robi się zimny i mokry. Okna mostka kapitańskiego znajdują się zaledwie na długość ramienia nad nim. Henke zerka w dół. Pięć pięter niżej, przy dziobie promu, stoi jego kolega Pär i próbuje zająć się kilkoma pasażerami, którzy wyszli na pokład zewnętrzny. Ich płacz i krzyki niosą się na wietrze i mieszają z krzykami z górnego pokładu. Henke stawia stopę na kolejnym szczeblu. Ślizga się na mokrym metalu i podciąga do góry. Patrzy w kierunku wygaszonych okien mostka. Oczami wyobraźni widzi ciała z ranami postrzałowymi i terrorystów z bronią maszynową znajdujących się w środku.

„Tyle się, kurwa, mówi o nine eleven, ale nikt, kurwa, nie sprawdza bagaży pasażerów, kiedy wchodzą na pokład; może tu wejść każdy szaleniec z bombą domowej roboty”, myśli. Ścisną mocniej siekierę. Bierze kilka głębokich oddechów. Wdrapuje się na kolejny szczebel. I kolejny. Patrzy ponad dolną krawędzią okna. Mruży oczy zalane deszczem. Widzi postacie, które poruszają się w ciemnościach. Kapitan Berggren zdjął mundur i zmienił się nie do poznania. Ma potargane włosy, rozerwaną koszulę. Spod ażurowego podkoszulka wystaje ciało obwisłe i sflaczałe.

Pozbawiony godności.

Postacie chodzą po pokoju, nie patrząc na siebie.

Co oni wyprawiają?

Henke chciałby odgarnąć mokre włosy z czoła, ale musi skupić się na tym, żeby nie spaść z drabiny i nie wypuścić siekiery z ręki. Zauważa rozbite ekrany. Wiszące luźno kable. Noga ślizga się, podeszwa buta skrzypi na mokrym szczeblu. Mało brakowało, a siekiera poleciałaby na dół. Henke odzyskuje równowagę, słyszy bicie swojego serca. Patrzy w ciemność otaczającą „Charismę”. Nigdzie nie widać jakiegokolwiek promu. Tylko czarna noc.

„Zupełnie jakbyśmy zniknęli, jak statek widmo...”

Od strony okna dochodzi go dudnienie, więc wzdryga się i znów patrzy nad dolną krawędzią. Za szybą stoi Berggren i spogląda prosto na niego. Za nim tłoczy się cała reszta. Ich oczy wyglądają jak wzięte prosto z koszmarów Henkego. Znowu dudnienie. To Berggren uderza czołem o szybę. Nie spuszcza oczu z Henkego, nawet nie mrugnie, chociaż krew spływa mu z czoła. Henke walczy z impulsem, żeby puścić drabinę i spaść, żeby jak najszybciej stamtąd uciec. Zaczyna schodzić. Ma w głowie tylko jedną myśl: „Muszę się stąd wydostać, nieważne jak, za wszelką cenę”.

Mika zamknął się w gabinecie Andreasa. Odkłada mikrofon. Czas, żeby i on poszedł do mesy. Próbuje zignorować palący ból w klatce piersiowej. Sprawdza, czy wszystkie guziki marynarki są zapięte. Stoi w miejscu. Chciałby gdzieś się schować. Zasnąć i obudzić się, kiedy to wszystko się skończy. Pika zamek elektroniczny. Mika odruchowo robi krok do tyłu. Czuje ulgę, kiedy widzi, że do środka wchodzi jedna ze sprzątaczek. Ma pobladłą twarz, wydaje się przerażona. Towarzyszy jej kobieta, której Mika nie zna. Pasażerka. To wbrew regulaminowi, ale on nie ma czasu, żeby teraz się nad tym zastanawiać. Kobieta jest bardzo ładna, ma ciemne włosy, czarną sukienkę i kardigan z puszystej włóczki.

W kabinach pozamykali się ludzie. Niektórych bolała głowa, wargi. Krwawiają, stojąc przed lustrami, leżą w łóżkach i krzyczą w poduszki. Niektórzy są sami. Inni płaczą z przyjaciółmi, przytulają dzieci, są pocieszani przez mężów i żony, zamkniętych razem z nimi. W niektórych kabinach są pasażerowie, którzy o niczym jeszcze nie wiedzą. Jedną z pasażerek jest kobieta, która śpi głębokim snem w kabinie na dziewiątym piętrze w pościeli pokrytej złotym proszkiem. Spryskane lakierem loki szeleszczą cicho, kiedy kobieta zmienia pozycję.

W Charisma Starlight Marisol próbuje ukryć łzy przed gośćmi. Filip patrzy na leżącą między nimi na ziemi kobietę. Zastanawia się, kim ona jest. Czy ktoś za nią tęskni? Szuka jej? Opanowuje strach przed zarażeniem i pochyła się nad kobietą, żeby zrobić jej oddychanie metodą usta-usta. Czuje słodki, mdły zapach krwi.

– Filip... – szepcze Jenny. – Nie rób tego. Jest za późno. Nie widzisz. – Przerywa.

– Muszę spróbować – nalega Filip.

Jenny kręci głową.

– Nie oglądałeś nigdy filmów z zombie?

Filip próbuje się uśmiechnąć, ale zamiast tego robi tylko grymas. Jenny zatrzymuje na nim wzrok. Filip porusza się niespokojnie.

Głosy wokół nich znów przybierają na sile. Domagają się, żeby otworzyli kratę. Domagają się, żeby jej nie otwierali.

Obudziły go krzyki.

Lo wzięła go za rękę. I kiedy zobaczył, jak bardzo się boi, obudził się po raz drugi.

– Abbe – powiedziała głosem cienkim i dziwnie odległym.

Po pokładzie nad ich kryjówką biegną ludzie, pojedynczo albo w grupach. Większość z nich ma na sobie ubrania wieczorowe. Niektórzy – tylko bieliznę.

– ...kurwa, gdzie się podziejemy...

– ...widzieliście krew...

– Toniemy? – pyta Albin szeptem i czuje, że ściska go w żołądku.

Lo kręci głową.

– Nie sędzę. To coś innego.

Nie jest tego jednak taki pewien. Niemal czuje, że wszystko się przechyliła. Ręce same szukają czegoś, co mogą złapać. Albin patrzy w niebo, na krople deszczu, które tworzą odwieczny wzór na czarnym tle. Myśli o mamie. Nie przejedzie wózkiem, jeśli korytarze zaleje woda, zbyt łatwo mu to sobie wyobrazić i teraz żałuje, że oglądał ten stary film.

I'm the king of the world!

„Wiesz, że «Titanic» zatonął, prawda?”

Lo ściska tak mocno jego rękę, że bolą go kłykcie. Wtem zauważają mężczyznę w samych slipach i tiszercie.

Idzie pochylony, mija schody, pod którymi się chowają. Ramiona ma skrzyżowane na brzuchu, wygląda, jakby niósł coś ciężkiego. Twarz zasłaniają mu długie włosy.

Coś jest z nim nie w porządku. Nie powinien ich zauważyć. Albin chciałby móc się cofnąć, ale za ich plecami jest tylko zimna stal.

Mężczyzna przechyliła się przez reling. Oddycha ciężko, szlocha. Patrzy w ciemność, jakby czegoś w niej szukał. Wiatr rozwiewa jego włosy, zwiewa je z twarzy.

Twarzy prawie nie ma. Zamiast policzka jest wielka dziura. W środku porusza się język, kiedy mężczyzna mówi sam do siebie.

Albin zatyka usta dłońmi. Lo przysuwa się bliżej do niego. Włosy znów opadają mężczyźnie na twarz i Albin chciałby, żeby wydarzyło się cokolwiek, byleby nie musiał oglądać jej raz jeszcze.

Próbuje stłumić krzyk. Próbuje z całych sił wcisnąć krzyk z powrotem w głąb ciała. Mimo to z jego gardła wydobywa się dziwny, cichy dźwięk.

Mężczyzna odwraca głowę w ich stronę.

Unosi zakrwawioną dłoń.

Prostuje palec wskazujący.

Przykłada go do ust.

– Ćśśś.

Potem znów kładzie rękę na brzuchu.

Czas jakby się zatrzymał.

Krzyk gdzieś na pokładzie. Albin nie może przestać patrzeć na stojącego nieruchomo mężczyznę, który próbuje być tak cichy jak oni. I już nie boi się mężczyzny. Boi się przez tego mężczyznę.

W ich stronę biegnie starsza kobieta w koszuli nocnej. Ledwo podnosi stopy. Wokół jej kostek zwinęły się cienkie skarpetki. Usta wydają okropny dźwięk przypominający saksofon i mężczyzna woła o pomoc. Ale nie patrzy w ich kierunku. Nie zdradza ich.

Kobieta szarpie go i ciągnie, a on upuszcza to, co niósł. Z tiszertu wypada duże zawiniątko. Na zieloną podłogę spadają z plaśnięciem czerwone węże. Mężczyzna ślizga się na nich, wplątuje w nie. Kobieta ciągnie go w stronę schodów na pokład spacerowy. Czerwone węże suną za nim, zostawiając za sobą śluzowate ślady.

Kolejne dźwięki próbują wydostać się z Albina. Eksploduje, jeśli dalej będzie próbował je powstrzymać.

Ale musi. Musi być silny w obecności Lo.

I wreszcie płacz cichnie, równie gwałtownie jak po włączeniu przełącznika, i w jego głowie robi się zupełnie pusto. Jakby go tu już nie było. Jedyne, co wydaje się realne, to zimne krople, które od czasu do czasu spadają na jego policzki.

Deszcz zdążył już rozmyć czerwone, lepkie ślady mężczyzny.

Filip wpatruje się w ekran telewizora, na którym widać parkiet w Charisma Club. Nie potrafi pojąć, że to, co na nim widzi, dzieje się właśnie w tej chwili na górnych piętrach. Czuje się tak jak wtedy, kiedy patrzył na rozpadające się bliźniacze wieże w czasie transmisji na żywo. Za bardzo przypomina to wszystko film, który widział już tysiące razy, za bardzo różni się od czegokolwiek, co widział w rzeczywistości.

– Musicie mnie wypuścić – błaga kobieta. – Moje dzieci zostały same w kajucie. Co będzie, jeśli się obudzą?

Mówi szybko, oddycha nierówno, nerwowo.

– Nasze dzieci też są same – odzywa się ojciec rodziny, którą Filip widział dzisiejszego wieczoru, i przypominają mu się dzieci skaczące po kanapach, dziewczynka w okularach.

Spogląda na kratę. Słyszy krzyki docierające tu ze schodów prowadzących na zewnątrz. Spogląda na Marisol. W blasku telewizora jej twarz wygląda blado, upiornie. Usta poruszają się bezgłośnie i szybko, palce ściskają mocno niewielki złoty krzyżyk wiszący na szyi.

– Nie, dopóki nie będziemy czegoś wiedzieć... – wyjaśnia Filip. – Na pewno niedługo zadzwonią i...

– Nie masz dzieci, prawda? – mówi z wyrzutem mężczyzna. – Gdybyś miał, zrozumiałbyś.

– Tutaj jesteście bezpieczni – próbuje Filip.

– Bezpieczni? – wyrzuca z siebie starszy mężczyzna z białą brodą. – Przecież to jakiś żart.

Rozlegają się pełne aprobaty krzyki i pomruki.

Filip chciałby mieć pewność, co jest dobre, a co złe. Przynajmniej raz na dwa tygodnie personel przechodzi ćwiczenia z procedur bezpieczeństwa, podczas których ustala się, kto za co odpowiada. Nieraz się zastanawiał, jak ci, którzy pracują na pokładzie, poradziłoby sobie w czasie katastrofy. Jak on by sobie poradził. Nikt nie wie, jak zareaguje, kiedy naprawdę coś się stanie. Bał się tego, co się stanie, jeśli wybuchnie pożar albo prom zacznie tonać. W tej chwili te scenariusze wydają mu się banalne.

– Tutaj przynajmniej nie wejdą – stwierdza. – Nie pomożecie waszym dzieciom, jeśli nie przeżyjecie.

– A co, jeśli wyjdą z kabiny, żeby mnie szukać? – mówi kobieta, gulgotząc.

Zachowuje się, jakby była bliska stanu hiperwentylacji.

– Jeśli ktoś z was ma dzieci, może do nich stąd zadzwonić – podsuwa pomysł Jenny i patrzy na Filipa.

Kiwa do niej z wdzięcznością głową. Powinien był sam na to wpaść. Co dziwne, nie dochodzi nawet do przepychanek o to, kto ma zadzwonić pierwszy. Jenny wchodzi za bar, prowadzi pasażerkę do telefonu.

– Musimy się stąd wydostać – odzywa się jakiś mężczyzna. – Musimy przedostać się do łodzi ratunkowych.

– Nie da się spuścić ich do wody, dopóki prom się nie zatrzyma – mówi Marisol.

– No to dlaczego nie zatrzymają promu? Nikt go nie prowadzi?

Przez chwilę zapada cisza. Wyraźnie słychać drżenie podłogi i dzwoniące o siebie szklanki.

– Pomoc może przyjść w każdej chwili – stwierdza Filip, próbując być jak najbardziej przekonujący. –

Na pewno zdążyli zaalarmować ład.

– Muszę wydostać się z promu – mruczy perkusista z zespołu i siada na stole, chowając twarz w dłoniach. – Muszę się stąd wydostać, wolę utonąć. Muszę wydostać się z promu, muszę...

– Niby jak ktoś może nam pomóc? – mówi mężczyzna z białą brodą. – Skoro nie możemy nawet zjechać do wody na łodziach ratunkowych, to niby jak ktoś ma się dostać na górę?

– Helikoptery – pewnym głosem rzuca Marisol. – Najlepszym rozwiązaniem jest zachować spokój i nie ulegać panice.

Mężczyzna kręci głową, ale przynajmniej nie protestuje.

Z fotela podnosi się zwolennik Zielonych i wchodzi za bar. Jest tak chudy, że nogi w obcisłych dżinsach wyglądają, jakby należały do insekta. Marisol odprowadza go wzrokiem.

– Przepraszam, mogę ci w czymś pomóc?

– Nie trzeba, sam się obsłużę – odpowiada Zielony i zdejmuje z półki butelkę famous grouse. – Mam zamiar zalać się w trupa, a armator niech zapłaci rachunek.

Kilka osób wybucha śmiechem i Filip słyszy zdumiony, że jest jedną z nich. Kobieta, która rozmawia ze swoimi dziećmi przez telefon, ucisza ich zirytowana.

Nagle pod sufitem słychać hałas. Śmiechy od razu milkną. Gdy Filip patrzy na ekran telewizora, widzi, że na parkiet Charisma Club spadła sterta krzesel.

Zwolennik Zielonych wyciąga korek z butelki i zaczyna pić duszkiem.

– Ona żyje! – krzyczy pasażerka stojąca obok Filipa. – Patrzcie!

Skonsternowany podąża wzrokiem za jej spojrzeniem. Patrzy na leżącą na ziemi kobietę, która ma szeroko otwarte oczy. Poza tym otwiera i zamyka usta.

– Pomóżcie jej wstać! – woła ktoś.

Filip podchodzi do kobiety, a ta mruga kilka razy i skupia na nim wzrok.

– Nie, nie dotykaj jej – odzywa się ktoś. – Jeśli uderzyła się w głowę...

– Nie walnęła się w głowę, idioto.

– Przecież nie wiemy, co się z nią działo... zanim tu przyszła!

Filip ucisza ich i klęka przy kobiecie.

– Jak się czujesz?

Kobieta znowu mruga.

– Uważajcie – ostrzega Jenny. – Może teraz jest jedną z nich.

Filip patrzy na leżącą. Strach wykręca mu żołądek.

– Nie możemy tak po prostu jej zostawić – mówi Marisol i klęka obok niego. – Odpowiadamy za nią.

Marisol bierze kobietę za rękę. Przykłada opuszki palców do przegubu jej ręki. Marszczy czoło. Dotyka ostrożnie jej szyi.

Wargi kobiety ściągają się i odsłaniają lśniące zęby.

„Czy wcześniej też były tak białe?”, zastanawia się Filip.

– Jenny ma rację – mówi. – Uważaj.

Ku jego zdziwieniu Marisol lekko się cofa.

– Nie mogę znaleźć pulsu – szepcze przerażony. – Mógłbyś spróbować zadzwonić znów do Raili? I poprosić, żeby ktoś przyniósł szklanekę wody?

Filip przytakuje. Wstaje tak szybko, że ciemnieje mu w oczach. Przyciska dłoń do czoła, czeka, aż mu przejdzie.

– Czy ktoś może przynieść wody? – pyta.

Stojący przy barze zerkają na siebie. W końcu zwolennik Zielonych podchodzi do kranu i napełnia szklanekę. Woda przelewa się przez brzegi, kiedy stawia szklanekę na barze.

– Nie zaniosę jej – mówi.

Nagle za plecami Filipa rozlega się krzyk, który przypomina chaotyczny chór z piekła rodem.

Marisol!

Odwraca się i widzi, że kobieta otworzyła usta, wygięła palce jak szpony, złapała Marisol za włosy i próbuje przyciągnąć ją do siebie.

„Jest dokładnie taka sama jak ci na parkiecie piętro wyżej. Została ugryziona i teraz jest jedną z nich”.

– Ratunku! – krzyczy Marisol. – Pomóżcie mi!

„Tak samo krzyczała ta kobieta, kiedy tu weszła, kiedy została ugryziona”.

Zęby kobiety uderzają o siebie z zimnym, kłapiącym dźwiękiem. Próbuje wyciągnąć głowę, aż żyła z boku jej szyi wybrzusza się niczym lina.

Filip biegnie do baru, chwytą wielką butelkę wina musującego.

Widzi, że kilka kobiet się odwraca. Zrozumiały, co zamierza zrobić.

– Uważaj – mówi do Marisol.

Schodzi na podłogę obok nich. Trzyma szyjkę butelki obiema rękami. Pusty wzrok kobiety kieruje się w jego stronę. Filip zamyka oczy. Słyszy odgłos kłapania. Ciska butelkę grubym dnem w dół.

Uderzenie rozchodzi się po ramieniu i coś ciepłego ochlapuje mu twarz.

– O Boże, o Boże, o Boże – szepcze ktoś.

Kropla ścieka po ustach Filipa. Gdyby wysunął teraz język, poczułby smak krwi. Jej krwi.

Wirus. Wirus.

Otwiera oczy.

Usta kobiety wyglądają teraz jak wielki czerwony otwór. Dolna szczęka opadła na klatkę piersiową. Język wije się przez kilka sekund i sztywnieje. Na spodzie gardła leży coś, co wygląda jak białe kamyki. Górna warga rozpadła się na dwie części aż do nosa, ale zęby wyglądają na nieuszkodzone.

Filip odkłada butelkę. Wyciąga ścierkę z kieszeni fartucha, wyciera gorączkowo usta i resztę twarzy. Ścierka robi się czerwona. Ma wrażenie, jakby krew zabitej wsiąkała przez pory w jego organizm.

Marisol oddycha szybko i płytko. Walczy z zeszywniałymi palcami kobiety, próbuje wyplątać je ze swoich włosów. Filip wzdryga się, kiedy bierze kobietę za rękę. Czuje się, jakby wyplątywał martwe

zwierzę z sideł. Rozdziela palce, próbuje je rozluźnić.

– Odetnij – szepcze Marisol. – Odetnij całe to cholerstwo, tylko mnie uwolnij.

Filip znów spogląda na twarz kobiety i przewraca mu się w żołądku. Koncentruje się na włosach Marisol i wreszcie ją uwalnia.

– Chodź – mówi i bierze Marisol pod ramię.

Podnoszą się razem. Dopiero teraz słyszy panującą tu absolutną ciszę.

– Ja też potrzebuję cholernie mocnego drinka – mruczy Marisol przez nos.

Filip wchodzi za bar, sięga po płyn do mycia naczyń i szoruje twarz ostrą częścią gąbki. Marisol bierze butelkę famous grouse od wyborcy Zielonych i pociąga duży łyk prosto z butelki. Nie ma żadnych ugryzień. Przynajmniej Filip nie widzi żadnego. Marisol odstawia butelkę na bar. Ociera usta. Spina włosy w kitkę. Jenny siada obok niej na taborecie. Gładzi ją po plecach.

Od szorowania pieką i szczypią Filipa skóra i wargi. Polewa wódką kolejną gąbkę. Przykłada do skóry i czuje dotyk tysiąca rozgrzanych do czerwoności igieł.

Pociąga duży łyk z butelki.

– Czy ktoś jeszcze został dziś ugryziony? – pyta, ale odpowiada mu cisza.

Ludzie poruszają się niespokojnie. Zerkają ukradkiem na stojących najbliżej.

– Myślisz, że ktoś się do tego przyzna? – rzuca wyborca Zielonych. – Żeby skończyć jak ta na podłodze?

– Nie miałem wyboru – mówi Filip. – Chyba rozumiecie? Nie miałem wyboru. Sami widzieliście, co się dzieje...

Przełyka ślinę. Pokazuje ręką na ekran telewizora, na którym wciąż widać parkiet w Charisma Club, przerażające sceny w migających światłach.

Jak ma zabrzmieć przekonująco, skoro sam nic nie wie? Jak ma spojrzeć na rozbitą twarz kobiety i mieć pewność, że zrobił to, co należało?

Jenny lekko kiwa do niego głową, i jego kolejny oddech jest dużo lżejszy.

– Jeśli ktoś został ugryziony, spróbujemy mu pomóc – oświadcza Marisol. – Jeśli to jakaś choroba, może jest na nią lekarstwo...

– Jej niepotrzebne lekarstwo – mówi ze śmiechem wyborca Zielonych.

– ...ale musimy ich zamknąć, dla bezpieczeństwa wszystkich. Za barem jest zaplecze dla personelu...

– To może jego zamkniemy? – Wyborca Zielonych pokazuje na Filipa. – Ma na sobie krew. Skąd możemy mieć pewność, że się nie zaraził?

Gorąco na twarzy staje się lodowate. Filip zmusza się, żeby nie rozglądać się ukradkiem, szukając oznak poparcia.

– Nie zaraziłem się – stwierdza.

– Skąd wiesz?

– No właśnie, skąd wiesz? – mówi kobieta, która właśnie zakończyła rozmowę telefoniczną. – Przecież każdy z nas może być zarażony, prawda? Każdy. Boże, o Boże, co teraz z nami będzie?

Oddech znów staje się bulgoczący. Kątem oka Filip widzi jakiś ruch. Jego wzrok od razu wędruje

w tamtym kierunku.

Kobieta na podłodze przekręciła się na brzuch, staje na czworakach. Białe grudki wypadają jej z gardła. Plecy wyginają się w łuk. Jedna z jej ciemnoróżowych balerinek zsunęła się ze stopy. Kobieta węszy. Język wije się po wiszącej luźno dolnej szczęce, jakby próbowała smakować powietrze, żeby znaleźć to, czego szuka.

Ludzie rzucają się do wyjścia. Krata chrzęści głośno, kiedy stojący najbliżej próbują ją podnieść.

Kobieta pełźnie po ziemi, potrząsa głową, zwisająca szczęka kołysze się do przodu i do tyłu. Rozbita górna warga odsłania górne zęby, rozchyła się jak czerwona kurtyna.

Rozlega się głośny grzechot, kiedy krata zacina się w tym samym miejscu co zawsze. Pełznąca kobieta odwraca głowę w jej stronę.

Filip sięga odruchowo po przycisk alarmu napadowego. Od razu przypomina mu się, że nie ma to najmniejszego sensu.

Kto miałby przyjść?

Nie Pia. Pii nie ma.

Kolejne krzyki, kobieta pełźnie po podłodze. Grupa dziewczyn, które śpiewały do każdego utworu, próbuje uciec. Kobieta schwyciła jedną z nich za kostkę. Dziewczyna pada na brzuch. Kobieta przyciąga ją do siebie. Górne zęby zagłębiają się w odkrytą łydkę i ryją w niej głębokie, krwawe bruzdy. Filip ma wrażenie, że widzi ruszający się szybko język.

Jenny ześlizguje się z taboretu i podbiega do dziewczyny. Wymierza kopniaka w głowę kobiety. Trafia w miejsce tuż przy skroni. Kobieta przewraca się na bok, ale nie puszcza kostki dziewczyny. Przyciska znów twarz do rany. Mokre, mlaszczące dźwięki, niemal erotyczne. Nieustanne kłapanie dolnej szczęki. Górne zęby skrobą o kość, krzyk dziewczyny potężnieje.

Powłoka ochronna Filipa pęka. Powłoka, która zapewniała mu komfort niedawania do końca wiary w to, co się dzieje. Teraz złość zalewa go z całą mocą, czyni go silnym.

Filip chwytą nóż z deski i wybiega z baru. Serce bije mu tak mocno, że w każdej sekundzie może wyskoczyć z klatki piersiowej.

Kiedy dobiega na miejsce, Marisol uderzyła już kobietę w głowę butelką magnum. Kobieta podnosi na nią wzrok. Strużka krwi powoli wycieka z jej języka.

Marisol znów uderza butelką. I znów. I znów. Chrząszczące dźwięki stają się coraz bardziej stłumione z każdym uderzeniem. W ciemieniu kobiety powstał wielki krater.

Ugryziona dziewczyna płacze coraz bardziej i coraz głośniej. Wyciąga rękę do swoich przyjaciółek, ale te się od niej odsuwają.

Marisol z głuchym tąpnięciem upuszcza butelkę na podłogę.

Filip zauważa nagle, że zwolennik Zielonych znieruchomiał i z jego otwartych ust wylewa się krew.

Kolejny wybuch paniki rozchodzi się jak fala uderzeniowa.

– Chodźcie – zwraca się Filip do Marisol i Jenny. – Musimy pomóc ludziom stąd wyjść. Potem przedostaniemy się do mesy.

Lo ściska go za rękę i pokazuje głową na grupę, która zebrała się przy relingu. Otworzyli jeden z okrągłych kontenerów. Z jednego z dźwigów zwisa łódź ratunkowa, pomarańczowy namiot z czarnym dnem, które powiewa na wietrze.

Mężczyzna dowodzący grupie ma na sobie mundur ochroniarza.

– Idziemy tam? – szepcze Lo.

– Nie wiem.

Choć przecież wie. Nie chce wychodzić z kryjówki, nawet jeśli to dosyć kiepska kryjówka. Za bardzo się boi.

– Jest z nimi ochroniarz – tłumaczy Lo. – Czyli że muszą mieć plan.

Albin myśli o mamie i tacie. Zastanawia się, gdzie są teraz.

– Nie zaczekamy?

– Jak długo jeszcze? Musimy wydostać się z promu, Abbe.

Widzi po niej, że podjęła decyzję. Nic nie przeraża go bardziej niż to, że zostanie tu sam.

– Mama, Cilla i Mårten również otrzymają pomoc – mówi Lo. – Na pewno chcieliby, żebyśmy sobie poradzili.

Lo ciągnie go, a on nie ma siły się opierać. Wie, że Lo ma rację. Podnosi się. Zdrętwiały mu nogi, musi się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść. Lo idzie pierwsza, wychodzi w światło reflektora.

Siada otępieła na łóżku, niepewna, co ją zbudziło. Jeśli coś jej się śniło, to już tego nie pamięta. Boli ją głowa, usta zrobiły się tak suche, że każdy oddech wywołuje pieczenie. Madde rozgląda się po rozświetlonej kajucie. Na podłodze leżą ubrania, reklamówki ze sklepu wolnoćlowego i różowy głośnik Zandry. Na biurku butelki po piwie i katalogi. Jak przez mgłę przypomina jej się jakiś głośny huk. Może mimo wszystko coś jej się śniło? Kładzie się z powrotem. Sen ściąga ją w dół, w dół...

Coś uderza gwałtownie w drzwi.

Madde wyczołguje się spod kołdry, wstaje z łóżka i potyka się o własne buty. Wciąż ma na sobie sukienkę, cienki materiał jest mokry od potu.

Klamka opada, kiedy na nią patrzy, a potem unosi się z metalicznym szczękiem.

Kolejne uderzenie w drzwi. Madde staje tuż przy nich. Patrzy na nie. Mgła zalegająca w czaszce odrobinę się rozrzedza.

– Halo? Zandra? To ty?

Jej głos odbija się od drzwi. Niemożliwe, żeby było ją słychać na zewnątrz.

Przykłada usta do szpary między drzwiami a framugą.

– Zandra?

Podskakuje na odgłos głuchego uderzenia.

Czuje, jakby zimny wiatr omiół cienką warstwę potu na jej plecach. Ale przecież w tym ciasnym sześcianie nie ma przeciągu.

Dobiega ją przeciągły, gardłowy jęk. Madde uśmiecha się szeroko. Rozpoznaje ten dźwięk. Pewnie Zandra zgubiła kartę albo jest zbyt pijana, żeby jej użyć.

Zbliża dłoń do klamki. W tym samym momencie drzwi otwierają się z hukiem i do kabiny wpada Zandra.

– No ja cię kręcę! – krzyczy Madde. – Co ty, kurwa, robisz?

Zandra się chwieje, jakby w pionie utrzymywały ją tylko zanurzone głęboko w wykładzinie obcasy. Ma szkliste oczy. Usta rozchylone, wygięte w podkówkę. Włosy rozpuszczone, potargane.

Madde spogląda na framugę wyłupaną na wysokości zamka. Spogląda znów na Zandrę. Wzdycha. Tak pijanej nie będzie robić wyrzutów.

Przesuwa się, żeby jej najlepsza przyjaciółka mogła przejść. Wyciąga rękę, kiedy Zandra znów się chwieje.

– Wróciłaś? – pyta. – Pewnie nawet nie zdążyłaś wyschnąć między nogami.

Brwi Zandry ściągają się. Patrzy na Madde, jakby nie rozumiała ani słowa.

– Wszystko okej? Chcesz zwymiotować?

Zamyka drzwi, ale te znów się otwierają. Kurwa mać. Rozwalił się zamek.

Zandra mruga. Jęczy coś niezrozumiałego. Zapach z jej ust mówi sam za siebie. Już wymiotowała.

Madde postanawia, że zaryzykuje i zaprowadzi ją do łóżka zamiast do łazienki.

– Śmierdzi ci z ust gorzej niż Katli^[15] – stwierdza i kopie na bok pojemnik z lakierem do włosów.

Siadają obok siebie na łóżku. Madde pochyla się do przodu i ściąga Zandrze buty. Różowe piórko przykleiło się do jednego obcasa, boa zniknęło. Madde prostuje plecy. Patrzy znów na Zandrę. Na jej pozbawione głębi spojrzenie.

– Ej, serio. Wszystko okej? Nie wyglądasz za bardzo okej.

Zandra przekrzywia głowę. Cienka strużka śliny wycieka jej z ust, lekko różowa w świetle rzucanym przez plafon na suficie.

Madde znów czuje powiew lodowatego fantomowego wiatru.

– Brałaś coś? – pyta i strzela palcami przed oczami Zandry. – Ten dureń dosypał ci czegoś do drinka? Halo?

Obejmuje ramieniem Zandrę. Odsuwa je szybko, bo dotknęła czegoś lepkiego.

Ramię jest całkowicie czerwone.

Madde rozpędza się jak huragan.

– Pokaż mi plecy – mówi.

Zandra nie reaguje, ale pochyla się posłusznie, gdy Madde lekko ją popycha.

Madde widzi rozdarte ubranie i plecy zalane krwią, od której materiał zrobił się twardy. Schnąc, skleił się ze skórą.

– Co ci się stało? Co oni ci zrobili? Musisz powiedzieć!

Zandra siedzi wciąż pochylona, obraca głowę. Mięśnie jej twarzy ściągnęły się, tworząc minę, której Madde nigdy u Zandry nie widziała. Nigdy u nikogo nie widziała.

Przeszukuje po omacku pościel, znajduje telefon. Palce ma tak mokre od potu, że ekran nie reaguje. Wyciera dłonie o kołdrę i wreszcie udaje jej się odblokować telefon. Nie ma zasięgu.

Zostawia Zandrę na łóżku, podchodzi do biurka i podnosi słuchawkę telefonu.

– Zadzwoń po pomoc.

Przerzuca broszury reklamowe i katalogi ze sklepu wolnocłowego, które leżą rozrzucone na biurku. Zastyga, bo wydaje jej się, że słyszy krzyki za drzwiami. Bierze najgrubszy katalog, zaczyna go przeglądać od tyłu.

Gdzieś musi być napisane, pod jaki numer powinna zadzwonić, żeby połączyć się z punktem informacji albo bezpośrednio z gabinetem lekarskim. Przecież na promie musi być gabinet, widziała gdzieś zielone tabliczki z białym krzyżem.

Nie znajduje jednak żadnego numeru, tylko reklamy restauracji i reklamy perfum z gwiazdami filmowymi.

– Ogarniemy to – mówi i zaczyna losowo wybierać numer, zero, dziewięć, zero. – Ogarniemy, zaraz po kogoś pójde, kto...

Przerywa, kiedy zza pleców dochodzi ją odgłos mokrego rżenia. Odwraca się. Zandra wstała. Idzie w jej kierunku. Krzywi się z bólu.

Madde podbiega do niej po rzeczach rozrzuconych na podłodze. Otacza ją ostrożnie ramieniem, żeby

dać jej oparcie.

„Nie powinnam była się z nią sprzeczać po pijaku. Wówczas to by się nigdy nie wydarzyło”, myśli.

– Jeśli to oni zrobili, zabiję ich.

Zandra po omacku przesuwa dłońmi po bokach Madde. Wącha ją za uchem, łaskocze.

– Obiecuję – mówi Madde. – Słyszysz?

Robi krok do tyłu i patrzy na Zandrę. Traci oddech.

Spojrzenie Zandry znów nabrało ostrości. Ona patrzy na swoje ręce, które wspinają się po ramionach Madde. Zasysa wargi. Odsłania zęby.

„Swoje zęby. Tylko że jedyńka powinna zachodzić na dwójkę. Oglądam te zęby od czasu, kiedy chodiliśmy do gimnazjum, dokładnie wiem, jak wyglądają, i one tak nie wyglądają”.

Dłonie Zandry wędrują po jej barkach. Opuszki palców suną po twarzy jak wielkie odnóża pająka.

– Przestań! – woła Madde i odtrąca je.

Zandra nawet nie zamruga.

– Co oni z tobą zrobili? – powtarza Madde, a jej głos brzmi, jakby miał się załamać przy każdej sylabie.

Zandra unosi ręce. Palce zwijają się w szpony, wbijają w ramiona Madde.

– Ała! – krzyczy Madde. – To boli!

Zandra przekrzywia głowę. Dotyka złotego koła w uchu Madde. Patrzy na nie zafascynowana. Wsuwa w nie zgięty palec. Madde czuje, że płatek uszny się rozciąga.

– Przestań. – Próbuje złapać Zandrę za przegub. – Spokojnie, tylko spokojnie...

Ucho piecze ją, jakby ktoś przyłożył do niego ogień.

– Kurwa, to boli!

Zandra cofa rękę. Kolczyk zsuwa się z jej palców i spada bezgłośnie na podłogę.

Madde pali ucho. Ciepła krew ścieka jej po szyi.

Zandra patrzy na nią i otwiera usta.

Marianne jest popychana na boki w rzece ciał, która płynie rozpedzona wąskim korytarzem. Mieli z Vincentem nadzieję, że strumień ludzi się przerzedzi, ale jest ich coraz więcej i więcej. Coraz bardziej poturbowanych. Biegnących. Pocieranych. Rannych.

Zaraz po tym, gdy usłyszeli szcęk krat gdzieś spod klubu, uderzyła w nich nowa ludzka fala.

Ściska Vincenta mocniej za rękę. Wpadają na nią obcy ludzie. Kątem oka widzi przerażone, przelotne spojrzenia. Ze wszystkich stron ludzie wołają swoich bliskich.

Ile im jeszcze zostało? Gdzieś tam z przodu są szerokie schody prowadzące do restauracji z bufetem. Stamtąd przejdą na dziewiąte piętro, gdzie Vincent i jego przyjaciel mają kabinę. Marianne zostaje odepchnięta na bok przez kobietę z plamą krwi we włosach. Opiera się o plecy wysokiego mężczyzny, którego marynarka pachnie dymem i rozlanym piwem. Ktoś wsuwa się przed nią. I nagle dłoń Vincenta znika. Patrzy w jego kierunku, ale go nie widzi.

Krzyk i nacisk za jej plecami nasilają się. Ludzie napierają na nią ze wszystkich stron, ściskają jej klatkę piersiową, co utrudnia oddychanie. W środku tego zamieszania miga jej szyld restauracji z bufetem. Wychodzi z wąskiego korytarza, teraz widzi schody, i choć jest tu więcej miejsca, panuje jeszcze większy chaos. Ludzie biegnący z różnych stron zderzają się ze sobą. Dochodzi ją dźwięk dzwonka, jeden za drugim, jak dzwonek do drzwi, który bez przerwy ktoś wciska. Widzi, że drzwi windy otwierają się i zamykają do połowy, otwierają się i znów zamykają do połowy.

Kolejne krzyki za jej plecami. Panika ogarnia ciała, jakby wydzielają tę samą adrenalinę. Marianne dziwi, jak bardzo chce przeżyć, jak silne jest w niej pragnienie życia. Ktoś przewraca się na nią całym swoim ciężarem, więc traci równowagę i ląduje na podłodze. Zakrywa głowę dłońmi, zwija się niemal w kulkę. Stopy walą o wykładzinę. Ktoś trafia ją kolaniem w ramię, ktoś potyka się o nią, pięta czyjegoś buta obraca się tuż przy jej uchu. Próbuje się podnieść, ale coś uderza ją ciężko w kark.

Czyjeś ciało upada na podłogę tuż obok niej. Mężczyzna w jej wieku z wielką białą brodą i krzaczastymi brwiami jak ze stalowych drucików. Dziko wytrzeszczone oczy patrzą na nią bez wyrazu. Młody mężczyzna z jasnymi dreadami rzuca mu się na plecy, wciska jego głowę w wykładzinę i odgryza duży kawałek mięsa z karku. Wypluwa. Przysysa się do rany. Wszystko to trwa zaledwie pół sekundy.

Ktoś bierze ją pod ramiona i podnosi.

Vincent.

Marianne czuje, że jej stopy opierają się o podłogę. Vincent ciągnie ją przez ten chaos, trzymając blisko siebie.

Docierają do schodów. Za ich plecami wciąż rozlega się dzwonek. Ze schodów stacza się rudowłosa kobieta owinięta zakrwawionym prześcieradłem. Przytrzymuje je kurczowo na piersiach i brzuchu. Patrzy na Marianne, a kiedy się mijają, krzyczy coś po fińsku.

– Zostało tylko jedno piętro – mówi Vincent i popycha ją do przodu.

Ludzie zbiegający ze schodów popychają ją, ale *pling* Vincent kładzie ręce na jej *pling* ramionach. Odwraca się. Patrzy w stronę *pling* windy.

Na podłodze między drzwiami windy leży niewielkie kolorowe zawiniątko. Przypomina ramię dziecka. Nie, to nie może być ramię. Nie tak wygięte.

Marianne odwraca wzrok. Zauważa ludzi, którzy przylgnęli do rzędu okien na korytarzu poniżej. Stoją nieruchomo jak rzeźby z krwi i kości. Niektórzy rozglądają się, jakby czekali, aż ktoś podejdzie do nich i powie, co mają robić. Nikt jednak nie przychodzi.

Docierają do podestu między ósmym a dziewiątym piętrem. Vincent idzie tuż za nią. Poruszają się pod prąd strumienia ludzi. Przypomina jej się Finka w zakrwawionym prześcieradle. A jeśli próbowała ich przed czymś ostrzec?

– Dokąd oni wszyscy biegną? – pyta Marianne.

– Na dziewiątym piętrze nie ma aż tak wielu kabin – tłumaczy Vincent. – Większość pasażerów mieszka w dolnych częściach promu.

Przypomina jej się własna mała kabina pod powierzchnią wody, cuchnący gównem korytarz. Czuje przypływ nowych sił.

Przedostają się na dziewiąte piętro. Słyszy dźwięk zatraskujących się wyżej szklanych drzwi, domyśla się, że ludzie, którzy biegną na dół, uciekają z pokładu spacerowego.

Omijają schody, potem przeszkloną ścianę. Opustoszała, wygaszona sala konferencyjna wygląda teraz jak przygnębiające terrarium.

– Tam jest nasza kabina. – Vincent pokazuje w głąb korytarza. – Prosto, na samym końcu. Widzisz?

Marianne kiwa głową. Korytarz nie jest aż tak długi. Nikogo na nim nie widać. Na samym końcu znajdują się drzwi, które wyglądają jak wszystkie inne.

Drzwi, które oni mogą za sobą zamknąć.

Zandra pociąga głośno nosem ze wzrokiem utkwionym w jej rozerwanym płatku usznym. Madde zbiera resztki sił, odpycha ją, najmocniej jak potrafi.

Zandra odchyła się do tyłu. Stopy nie nadążają. Płaczą się. Łąduje na brzegu łóżka i spada na podłogę.

– Przepraszam – kaja się Madde. – Przepraszam, nie wiedziałam, co zrobić.

Tobołek na podłodze próbuje się podnieść. Jej najlepsza przyjaciółka.

– Zandra, kochanie. Nie wiem, co ci się stało, ale ściągnę tu pomoc, okej? Wszystko będzie dobrze.

Próbuje mówić łagodnym, uspokajającym głosem. Naśladuje Zandrę, która mówi tak, kiedy rozmawia ze swoją córką.

Zandra staje na czworakach. Pełźnie w kierunku Madde. Wyciąga rękę. Madde wpatruje się w krwawe pręgi na jej plecach.

„Co oni jej, kurwa, dali?”

Zandra dyszy, wygina plecy. Czerwona kaskada bryzga jej z ust na wykładzinę i rozrzucone ubrania, zalewa bosc stopy i nogi Madde.

I nagle zastyga. Przeciąga palcami przez czerwoną maź, wkłada je do ust.

Madde cofa się do drzwi. Staje na pojemniku z lakierem do włosów, traci równowagę, nie ma się o co oprzeć. Kiedy upada na podłogę, Zandra podnosi wzrok. Jej usta wciąż gorączkowo ssą palce.

– Zandra, proszę cię – niemal szłocha Madde. – Proszę.

Zandra wysuwa palce z ust błyszczących od śliny i krwi i zaczyna pełznąć w stronę Madde.

Madde szuka wokół siebie po omacku czegoś, co mogłaby chwycić. Wierzga w kierunku Zandry, trafia ją w ramię, lecz Zandra mimo to się przybliżyła. Mokre palce przesuwają się po błyszczącej złotem łydce Madde, łaskoczą prawe kolano.

Madde zaciska dłoń wokół pojemnika z lakierem do włosów. Oddycha ciężko, dysząc i gdzieś na granicy jej świadomości pojawia się myśl, że tylko ona oddycha w tej kajucie. Przybliżyła rozpylacz do twarzy Zandry, teraz znajdującej się na wysokości jej talii.

– Przepraszam – szepcze Madde.

Z rozpylacza wydobywa się, sycząc, lepka chmura o zapachu kwiatów.

Zandra wydaje głośny, przenikliwy jęk, pociera mocno oczy.

– Przepraszam – powtarza Madde i cofa się, nie wstając, cofa się rakiem wśród rozrzuconych ubrań.

Zandra opuszcza ręce, łzawią jej oczy. Twarz jest tak wykrzywiona, że trudno ją poznać. Zasysa wargi, odsłania zęby, te jej nowe zęby...

To nie jest Zandra, to już nie jest Zandra.

Madde znów psika na nią lakierem. Tym razem Zandra jest przygotowana. Odwraca twarz i zaciska oczy. Zapach lakieru do włosów wypełnia kabinę i Madde zaczyna kasłać.

Cofa się jeszcze trochę, czuje drzwi tuż za plecami. Klamka jest nad jej głową. Próbuje wstać. Zandra

szarpie ją za stopę i przyciąga do siebie.

Madde chwyta suszarkę do włosów i uderza nią w twarz Zandry, rani jej czoło. Uderza raz jeszcze, suszarka pęka z plastikowym szczękiem. Zandra syczy. Madde wstaje, bierze różowy głośnik, rzuca nim w Zandrę.

Zandra również wstaje. Nie podda się. Cokolwiek się wydarzyło, czymkolwiek się stała, nie podda się, dopóki Madde nie stanie się tym samym.

– Proszę cię, proszę – szepcze Madde, panika ściska jej gardło.

Otwiera drzwi, wydostaje się wreszcie z kabiny. Zamyka za sobą drzwi. Nie da się już ich zamknąć.

Są naprawdę blisko końca korytarza. Zostało im zaledwie dziesięć metrów.

Na dźwięk zatraskujących się drzwi Marianne przywiera do podłogi. W pobliżu słycać czyjeś szybkie kroki. Dźwięk odbija się echem od ścian korytarza. Nie sposób ocenić, skąd dokładnie dochodzi. Mięśnie za uszami Marianne są tak napięte, że aż bołą.

Vincent zatrzymał się tuż obok niej.

Znów te same pospieszne kroki. Ktoś biegnie co sił w nogach.

Marianne odwraca się automatycznie, kiedy kroki z korytarza rozlegają się tuż za ich plecami. Widzi grubą jasnowłosą kobietę w przezroczystej koszulce, która ledwo zakrywa jej krocze. Kobieta patrzy na nich szeroko otwartymi oczami.

– Pomóście mi – szepcze i podbiega do nich.

Jej stopy są zalane krwią. Płatek uszny ma rozdarty na dwie części, wciąż leci z niego krew. Marianne zauważa duży złoty kolczyk w drugim uchu kobiety i dociera do niej, co się stało. Po krzyżu przebiega jej dreszcz. W ciągu ostatnich minut widziała gorsze rzeczy. Dużo gorsze. Niepojęte. Ale ból w płatku usznym potrafi sobie wyobrazić. Wydaje się realny i dlatego też jest najgorszy ze wszystkich. Kręci głową.

– Przepraszam, mam na imię Madde, ja... musicie mi pomóc kogoś znaleźć... – szepcze i ciągnie za sweter Marianne. – Moja przyjaciółka potrzebuje pomocy, ktoś chyba czegoś jej dosypał... albo... albo...

– Nikt jej teraz nie pomoże – mówi Vincent ściszoneg głosem. – Nie w tej chwili. Chodź z nami.

Marianne patrzy na niego. Czy nie rozumie, że ta cała Madde może być jedną z nich?

– Nie! Muszę znaleźć kogoś, kto pomoże Zandrze – nie odpuszcza Madde.

Ciężkie kroki w którymś z pobliskich korytarzy. Żołądek Marianne kurczy się ze strachu.

– Takich jak ona jest teraz pełno na promie – syczy przez zęby. – Albo idziesz z nami, albo mnie puść.

Z bocznego korytarza wychodzi Zandra. Patrzy na nich przekrwionymi oczami.

Vincent ciągnie Marianne. Stworzenie za ich plecami wydaje z siebie krzyk, który zdaje się rezonować w całym jego szkielecie. Marianne biegnie, bołą ją biodra i kolana, Madde uczepiła się kurczowo jej koszulki, czas i miejsce prestają istnieć, korytarz przed nią rozciąga się jak w jakimś koszmarze.

„Co to jest, co chodzi i chodzi i nigdy nie dochodzi do drzwi?”

I nagle Marianne słyszy kolejne kroki kogoś, kto został tu zwabiony. Vincent jest już przy drzwiach, próbuje włożyć kartę. Wciska ją zdenerwowany w niewielką szparkę i wreszcie karta wsuwa się do środka, ale nic się nie dzieje. Szarpie za klamkę. Drzwi są zamknięte.

Madde wyrywa mu kartę i obraca. Wkłada ją i zamek pika. Wpadają do kabiny. Zatraskują się za nimi drzwi. W pomieszczeniu jest ciemno.

Tratwa została podciągnięta do góry na wysokość krawędzi burty. Nikt nie zauważył, jak podeszli z Lo do kręgu osób, które zebrały się przy relingu. Ochroniarz ciągnie za sznur, wykrzykuje instrukcje pasażerowi, który trzyma drugi koniec sznura. Albin zastanawia się, ile osób zmieści się na tratwie. Większość ma na sobie kamizelki, ale nie wszyscy. Rozmawiają o krwi i śmierci, o tym, że nie potrafią uwierzyć w to, co tu się dzieje, o chorych psychicznie, narkotykach i potworach.

Nie chce tego słuchać. Chce wydostać się z promu, natychmiast. Lo miała rację. Muszą się pospieszyć. Głęboko pod nimi pieni się woda. Gdzieś na niższych piętrach są mama i tata, ale nie wolno mu teraz o nich myśleć. Nie wolno myśleć o tym, gdzie są albo że mogą zginąć.

Jest z nim Lo.

– Nie ma paska do zapięcia między nogami – mówi mężczyzna, który zdążył przeciągnąć kamizelkę przez głowę. – Ześlizgnie się ze mnie, gdy tylko wpadnę do wody. Muszę dostać inną!

– Wsiadaj, jeśli chcesz płynąć! – krzyczy ochroniarz. – Maks dwadzieścia pięć osób.

Lo szarpie Albina. Przeciskają się do tratwy. Ktoś podaje im kamizelki.

Jakaś kobieta gramoli się pod rozświetlony pomarańczowy dach, tratwa kołysze się i nagle znika.

– O jakim pasku pan pieprzy? – krzyczy ktoś. – Musicie mi pomóc z tym gównem!

Nikt nie odpowiada. Albin wsuwa ramiona w kamizelkę. Próbuje zrozumieć, jak działa. Ochroniarz pomaga kolejnym osobom wdrapać się pod dach tratwy ratunkowej i za każdym razem tratwa się kołysze. Kokon pełen larw. Gotów pęknąć w każdej chwili. Albin wyciera krople deszczu z rzęs. Wibracje w podłodze przenikają całe ciało, przechodzą w dreszcz sunący wzdłuż kręgosłupa.

Lo przepchnęła się do przodu w kolejce. Macha do niego zniecierpliwiona, żeby szedł za nią.

– Przepuście dzieci, zostawcie im miejsce! – woła jakiś mężczyzna za plecami Albina.

Kilka osób przesuwa się dobrowolnie, gdy mężczyzna chwyta Albina mocno za ramiona i popycha go do przodu.

Lo pokazuje mu, jak zapiąć pasek między nogami. Gdzie się tego nauczyła? Dotarli prawie do tratwy. Ochroniarz instruuje ludzi, jak mają siadać. Jeden na prawo, drugi na lewo i tak dalej. Albin liczy tych, którzy są przed nimi. Chce siedzieć obok Lo. Patrzy na ochroniarza, kiedy nadchodzi ich kolej. Na tabliczce na piersi ma napisane „Henrik”.

– Możemy się liczyć jako jedna osoba? – pyta i bierze Lo za ramię. – Żeby móc siedzieć razem?

Henrik patrzy na niego bez słowa. Po jego oczach widać, że boi się co najmniej tak samo jak Albin.

– Szybciej – mówi wreszcie.

– Ej! – krzyczy ktoś. – Ej, nie możesz spuścić tratwy!

– A co ty o tym, kurwa, wiesz? – woła ochroniarz.

– Pracowałem tu kiedyś. I jeśli ja to wiem, ty też to wiesz. Przewróci się, gdy tylko uderzy w wodę.

Albin odwraca się. Zauważa idącego w ich stronę chłopaka, który ma ogoloną głowę.

– Nie mam zamiaru tu zostać – oświadcza ochroniarz. – Nie ma, kurwa, mowy.

– Nie rozumiesz, że zginiecie? – pyta chłopak.

Albin patrzy na Lo.

Ochroniarz wyciąga z dźwigu korbę połyskującą srebrem w świetle reflektorów.

– No to trudno – mówi. – Wolę już to.

Chłopak przeklina i patrzy w kierunku tratwy. Ludzie ścieśnili się na niej, żeby utrzymać ciepło.

– Musicie wysiąść! – woła chłopak, żeby przekrzyczeć wiatr. – Natychmiast! Wróćcie do swoich kabin i tam zaczekajcie!

Nikt nie odpowiada.

– Lo – mówi Albin. – Zostajemy.

Lo kręci głową.

– To dla waszego dobra! – krzyczy chłopak.

– Uważaj! – woła nagle Lo.

Albin zauważa błyszczący łuk, jakby powietrze przecięło płynne srebro. Chłopak odwraca się w ostatniej chwili i ciężka korba trafia go w twarz z dźwiękiem, który sprawia, że Albin zatyka uszy. Za późno. Zdążył go usłyszeć i nigdy nie uda mu się zagłuszyć tego dźwięku. Chłopak silnie krwawi z nosa. Zatacza się do tyłu, upada, próbuje się podnieść.

Podbiega do niego ochroniarz. Albin widzi tylko jego szerokie plecy w mundurze. Ochroniarz podnosi korbę. Uderza nią i odchodzi. Chłopak leży na ziemi z twarzą całą we krwi. Wygląda, jakby nie żył.

– Nie może być, ty idioto! – krzyczy Lo.

Ochroniarz odwraca się do niej i Albin wstrzymuje oddech. Nie podnosi jednak korby.

– Płyniecie? – pyta.

Albin i Lo kręcą głowami. Ochroniarz przywołuje ostatnie osoby i sam wsiada na tratwę. Tratwa kołysze się na linach i zaczyna powoli opadać.

Lo podbiega do chłopaka, ale Albin nie potrafi spuścić z oka tego ciężkiego kokonu. Podchodzi do relingu. Czuje zawroty głowy, ściska mocno metalowy pręt. Zastanawia się, czy ci, którzy siedzą tam w środku, rozmawiają ze sobą, czy raczej milczą i czekają. Ilu z nich słyszało tego chłopaka? Czy ktoś z nich żałuje, chce wysiąść? Teraz jest za późno.

Liny trzeszczą.

Tratwa jest coraz niżej, niżej i niżej. Zaczyna podskakiwać na pianie opływającej burty promu, lina urywa się z trzaskiem. Tratwa uderza w kadłub, robi koziołka do tyłu, zupełnie jakby nic nie ważyła. Z dołu słychać coś, co przypomina krzyki. Albin przechyla się przez reling na tyle, na ile ma odwagę, chce zobaczyć, jak to się skończy, i daleko w dole widzi czarne dno tratwy skąpane w pianie.

Mógł być tam z Lo.

Dostaje gwałtownych torsji.

Coś ciężkiego uderza od zewnątrz w drzwi. Zandra. Zandra, która nie jest już Zandrą. Chce dostać się do środka.

Ona się nie podda.

Kolejne uderzenie. Madde zakrywa uszy dłońmi. Wybuch płaczem.

– Co tu się, kurwa, dzieje?

Starsza pani klepie ją bezradnie po ramieniu. Madde opuszcza ręce. Kolejne uderzenie w drzwi czuje całym ciałem.

Światło zapala się i w pierwszej chwili Madde widzi przez łyzy tylko brokat.

– Chodź – mówi chłopak, zapalając kolejne światła w apartamencie.

Madde ociera oczy i mruga. Czubki palców zrobiły się czarne od tuszu.

Wchodzi do salonu. Najpierw zauważa różowe serpentyny zwisające grubymi zwojami z poręczy schodów. Są tu dwa poziomy. Myślała, że apartament zajmuje Dan Appelgren. Tu jest jeszcze piękniej, niż to sobie wyobrażała. To coś zupełnie innego niż „Charisma”, którą Madde zna.

Pomarszczone płatki róż leżą wdeptane w ziemię wokół jej bosych stóp.

Podchodzi do okien. Patrzy na miękko wygięty koniec relingu, mocno rozświetlony na tle gęstej ciemności. W dole biegają ludzie. Dwie młode dziewczyny rzuciły się na starszego mężczyznę, przekręca twarz, przerażone, wytrzeszczone oczy. Zaledwie parę metrów dalej starsza kobieta wdrapała się na reling. Kręci głową, wygląda, jakby płakała. Wiatr szarpie jej bluzkę, kiedy staje na zewnętrznej krawędzi pokładu. Kilku chłopaków zbliża się do niej. Madde ma wrażenie, że pamięta ich z Charisma Club. Kobieta zasłania twarz rękoma. Odchyła się lekko do tyłu i chwilę później pochłania ją noc.

Skoczyła sama. Chociaż musiała wiedzieć, że zginie.

Madde czuje pod powiekami piekące łyzy, ale nie może przestać patrzeć. Inna kobieta drepcze samotnie pośród chaosu. Obraca się i Madde od razu ją rozpoznaje. Zamiast zwykłego stroju ma na sobie mokrą sukienkę, przyklejoną do chudego ciała, włosy poskręcały się jej od wilgoci. Zawsze tak idealna maska makijażu spłynęła. Madde wie, jak kobieta ma na imię, bo wielokrotnie widziała tabliczkę z jej imieniem. To ona pracuje w sklepie wolnoctwowym. Sophia.

Przebiega obok niej jakaś dziewczynka, najwyżej dziesięcioletnia. Sophia ją chwyta. Podnosi drobne, miotające się ciało. Zatapia twarz w jej szyi. Dziewczynka robi się wiotka jak zabawka, z której ktoś wyjął baterie.

Jest ich tak wielu. I są jak Zandra.

– Chodź, usiądź na kanapie – mówi starsza pani i prowadzi Madde za rękę.

– Co się dzieje? – ledwie wydusiła z siebie Madde.

– Nie wiemy – odpowiada chłopak. – Gryzą ludzi... chyba tak to się rozprzestrzenia.

Madde wpatruje się w miseczkę żelkowych serc stojącą na stoliku. Dotyka ostrożnie rozerwanego płatka usznego. Szczypie!

– Zęby – mówi. – Zandra ma nowe zęby.

Zauważa, że chłopak i jego mama wymieniają się spojrzeniami.

– Jak się czujesz, koleżanko? – pyta starsza pani i siada obok niej. – Zrobiła ci krzywdę?

Starsza pani wydaje się miła. Ile może mieć lat? Ma proste, farbowane na rudo włosy. Kiedy właściwie zniknęły wszystkie te babciowate fryzury ze skręconych trwałą siwych włosów?

– Ugryzła cię?

– Nie.

Kolejne udrzenie w drzwi. Madde podnosi wzrok na schody prowadzące na piętro. Dokąd ucieknie, jeśli Zandra dostanie się do środka?

– Przepraszam, musimy zapytać – mówi chłopak. – Masz ranę na uchu, która...

– Zerwała mi kolczyk. Nie ugryzła mnie.

Nagle coś przychodzi jej do głowy.

– A wy? Skąd mam wiedzieć, że ty i twoja mama nie zamienicie się w takich jak oni?

Znów patrzą po sobie.

– Nikt nas nie ugryzł – zapewnia starsza pani. – I nie jestem jego mamą.

Madde patrzy na nią. Czuje, że ta osoba nie mogłaby kłamać, i postanawia, że im zaufa. Zresztą czy ma jakiś wybór?

– Chcę się stąd wydostać. Chcę do domu. Nie chcę tu być.

– Wiem – mówi Vincent. – Ale tutaj jesteśmy przynajmniej bezpieczni.

Patrzy na niego. Nie pyta, skąd może to wiedzieć. Jak któreś z nich może cokolwiek o tym wiedzieć?

Dotyka czoła i kiedy pociera brzegi rany wzdłuż linii włosów, ból przenika go aż do stóp.

Przed nim stoi dwoje dzieci. Mogą mieć po jakieś dwanaście lat. Oboje mają jeszcze dziecięce oczy, oboje są wystraszeni, ale dziewczynka nauczyła się to ukrywać. Przynajmniej próbować to ukrywać.

Calle siada. Nie może oddychać przez nos, który stał się podobny do cegły pośrodku twarzy. W ustach ma smak krwi. Podnosi wzrok i patrzy na żurawik. Tratwa zniknęła.

– Co się stało? – pyta, jego głos zrobił się niski i ospały.

Odchrząkuje, wypluwa ślinę.

– Zniknęli – mówi chłopiec. – Zniknęli... wszyscy zniknęli. Pod wodą.

Calle próbuje się podnieść, ale zawroty głowy powodują, że cały prom przechyla mu się pod nogmi. Patrzy na ciemność za relingiem. Woda ma w niektórych miejscach ponad czterysta pięćdziesiąt metrów głębokości i temperaturę najwyżej kilku stopni powyżej zera.

Myśli o ludziach, którzy wsiedli do tratwy. Zastanawia się, co z nich zostało. Czy rozbili się o burtę? Wie tylko, że nie żyją.

Gdyby przyszedł wcześniej. Gdyby uniknął uderzenia. Gdyby udało mu się zatrzymać tego ochroniarza. Być może wówczas by ich ocalił.

Przynajmniej na chwilę. Bo czy ktokolwiek na pokładzie ma naprawdę szansę, by przeżyć?

Opanowuje strach. Odwraca się do dzieci. Próbuje się uspokoić.

– Wiesz, co tu się dzieje? – pyta dziewczynka.

Calle zerka na kilka ciał ułożonych jedno na drugim w dalszej części promu. Czy są ranni? Zarażeni? Chciałby powiedzieć dzieciom coś, co doda im otuchy. Coś, w co by uwierzyły. Chłopiec tego potrzebuje. Kiedy jednak patrzy na dziewczynę, widzi, że by go przejrzała. I że potem nigdy nie odzyskałby jej zaufania.

– Nie – mówi. – Nie do końca. Podobno na pokładzie wybuchła jakaś choroba, od której ludzie robią się... dziwni.

Z okolic rufy dobiegają ich krzyki, jakby na potwierdzenie jego słów.

– Co wy tu robicie? Gdzie są wasi rodzice? Wiecie?

Chłopiec kręci głową.

– Gdzie jest wasza kabina?

– Na szóstym piętrze – odpowiada chłopiec. – Tata jest pewnie w środku. Nasze mamy może nas szukają. My się im.. schowaliśmy.

Szóste piętro. To stamtąd dzwoniła Pia. Calle nie ma pojęcia, jak teraz tam wygląda.

– Moja mama jeździ na wózku. Nie da sobie rady sama.

Chłopiec próbuje zrobić odważną minę. Calle musi odwrócić wzrok, żeby nie wybuchnąć płaczem. Podnosi się. Próbuje myśleć pomimo bólu. Znajdzie Vincenta. Musi się skoncentrować. Zna statystyki.

Z katastrof wychodzą tylko ci, którzy przechodzą nad trupami, dosłownie. Ci, którzy zatrzymują się, żeby pomóc, nie przeżywają.

Dziewczynka otwiera usta, żeby coś powiedzieć, kiedy nagle słyszą krzyk przy schodach prowadzących na pokład spacerowy.

Grupa зараzonych przycisnęła do poręczy dwóch mężczyzn w średnim wieku. Zniknęli z pola widzenia. Krzyki nagle ustają.

– Nie patrzcie – mówi Calle.

Chłopiec odwraca szybko wzrok, dziewczynka tego nie robi.

Nagle robi mu się wstyd. Nie może przecież tak po prostu zostawić tu dzieci. Ale też nikomu nie pomoże, jeśli nie będzie myśleć racjonalnie. Żeby mu się udało, musi wyłączyć wszystkie uczucia.

Musi działać etapami. Jedna rzecz na raz. Nie próbować ogarnąć całości, bo wtedy mu się nie uda.

– Chodźcie. Musimy stąd iść.

– Tylko dokąd? – pyta dziewczynka. – Oni są wszędzie.

Głowa Callego pulsuje, ale ból po uderzeniu staje się tępy, zaczyna zanikać. I Calle już wie, co powinien zrobić. Potem znów wyjdzie i zacznie szukać Vincenta.

– Nie wszędzie. Zabiorę was do pomieszczeń dla personelu. Tam się nie dostaną.

Ma nadzieję, że to prawda. W każdym razie nic lepszego nie wymyśli.

Oczy dziewczynki zwężają się.

– Skąd mamy wiedzieć, że nie jesteś jednym z nich? Może po prostu chcesz nas gdzieś zabrać, gdzie będziesz mógł na spokojnie nas zjeść.

Chłopiec patrzy na dziewczynkę, potem na niego. Calle nie ma wątpliwości, że to ją musi przekonać.

– Nie wyglądają, jakby byli mistrzami planowania, prawda?

Dziewczynka patrzy na Callego. Zastanawia się.

– Okej – mówi.

– Dobra.

Calle spogląda na schody po drugiej stronie górnego pokładu. Nie widać na nich żadnych зараzonych.

Bierze ich za ręce. Ich dłonie są takie małe w porównaniu z jego dłońmi. I nagle dociera do niego, że od tej chwili za nie odpowiada.

Ostatni pasażerowie opuścili Starlight i Filip otwiera drzwi do zaplecza dla personelu za barem. Nic tu się nie zmieniło, stoją twarde drewniane krzesła i stoły przykryte ceratą. Szklanka z duraleksu, z której pił kawę przed zmianą, stoi w zlewie. Pierwsza wchodzi Marisol z chłopakami z zespołu, otwierają drzwi w drugiej części pomieszczenia, które prowadzą do kolejnych pomieszczeń dla personelu „Charisma”.

Jenny zniknęła. Nikt jej nie widział. Nie pamięta, kiedy on sam widział ją ostatnio. Może wybiegła przed nimi?

„Proszę – myśli. – Niech się okaże, że jest już w mesie”.

Przez chwilę zazdrości Marisol jej wiary w Boga – ma się do kogo zwrócić w modlitwie.

Calle zatrzymuje się przy framudze. Odwraca się w stronę pustego lokalu. Nachodzi go uczucie, że to po raz ostatni widzi Starlight.

– Przepraszam – odzywa się ktoś, gdy już ma zamykać drzwi.

Filip wzdryga się. Zagląda znów w głąb lokalu.

Do baru wszedł starannie uczesany mężczyzna w niebieskiej koszuli. Z jego twarzy luźno zwisają krwawiące płaty skóry oderwane znad oka i opadające mu na policzek. Wydaje się jednak wyjątkowo spokojny. Tak jakby tego nie zauważył. Filip przełyka głośno ślinę.

– Tak?

Jest zszokowany tym, jak neutralnie to zabrzmiało.

– Czy to oznacza, że będziemy spóźnieni?

Filip patrzy na niego z niedowierzaniem.

– Rano mam ważne spotkanie w Turku. Mój grafik jest zapełniony, więc liczę na to, że dopłyniemy o czasie.

Filip kręci głową.

– Nie wiem – mówi. – Przykro mi. Mu... muszę iść, ale...

Patrzy na twarz mężczyzny. Nie może nic dla niego zrobić, choćby nie wiem jak bardzo tego chciał.

Zamyka za sobą drzwi i idzie za pozostałymi. Tylko nie może pozbyć się myśli, że od tej chwili jest winien wszystkiemu, co przydarzy się temu mężczyźnie. Tak jakby osobiście podpisał na niego wyrok śmierci.

Mężczyzna, który pracował tu przed kilkoma laty, idzie przez górny pokład, trzymając za ręce dwoje dzieci. Schody prowadzące w dół na pokład spacerowy są zbyt wąskie, żeby zmieścili się na nich razem, puszcza więc ich dłonie. Pozwala im iść przodem. Przygląda się panującemu wokół chaosowi. Próbuje zgadnąć, którzy są zarażeni, ale to niemożliwe. Nagle za ich plecami powstaje zamieszanie. Mężczyzna się odwraca, widzi ciała obijające się o siebie gdzieś wysoko ponad ich głowami. Bierze dzieci za ręce, zeskakuje z ostatnich stopni. Przyciąga je do siebie, rusza w kierunku drzwi prowadzących do wnętrza promu.

– Trzymajcie się mnie mocno – wydaje polecenie zdecydowanym głosem.

Na korytarzach pełno jest biegających ludzi. Wszędzie leżą ciała. Umarłe, umierające, mające za chwilę się przebudzić. Niektórzy nowo narodzeni za dużo zjedli. Znieruchomieli, a ich ciała próbują przetworzyć całą pochłoniętą przez nich krew.

Setki i kolejne setki ludzi zamknęły się w kabinach. Nasłuchują dźwięków dobiegających z korytarzy. Jedną z tych osób jest samotny mężczyzna o imieniu Mårten. Siedzi na brzegu łóżka. Krzyki jego żony z korytarza wciąż odbijają się w nim echem. Zasłonki są zaciągnięte. Od czasu do czasu mężczyzna wstaje i podchodzi do telefonu. Wybiera numer do kabiny obok. Słyszy przez ścianę, jak dzwoni telefon. Nikt nie odbiera.

Do szklanych drzwi zostało zaledwie kilkanaście metrów. Kiedy do nich dotrą, będą musieli jeszcze tylko przejść kilka kroków do nieoznakowanych drzwi prowadzących do pomieszczeń dla personelu. Calle pochylił głowę, znów trzyma dzieci za ręce. Rozgląda się za Vincentem, próbując nie patrzeć nikomu w oczy.

Na górnym pokładzie tuż nad ich głowami rozlega się czyjś głośny krzyk. Calle widzi, jak ciemny kształt przelatuje za relingiem, i domyśla się, że ktoś wyskoczył. Słysząc kolejne krzyki.

– Nie patrzcie – mówi szeptem także do siebie.

Nie dałby rady, gdyby patrzył na tych, co krzyczą. Nie chce nawet myśleć o nich jak o ludziach. To było zbyt realne. Zbyt oczywiste, że równie dobrze mógłby to być on albo dzieci. Że następnym razem przyjdzie kolej na nich. Że być może jest za późno dla Vincenta.

Jeśli Vincent wyszedł, żeby go szukać. Bo zniknął. Schował się.

Calle skupia się na świetle z wnętrza promu. Zostało pięć metrów. Trzy.

Kiedy dochodzą do szklanych drzwi, zalewa ich ciepły blask. Calle widzi ciała nieco niżej na schodach. Niektóre z nich się poruszają. Puszczą z trudem dziewczynkę i chłopca. Wyjmuje kartę Filipa i przeciąga ją przez czytnik, otwiera drzwi, wpycha dzieci przed siebie ze strachu, że w każdej chwili ktoś może złapać go od tyłu. Zamyka drzwi i reaguje ulgą na kliknięcie zamka.

Dziewczynka rozgląda się po pomalowanym na szaro korytarzu. Panuje tu taki spokój, że aż trudno wyobrazić sobie chaos na zewnątrz.

Zastanawia się, czy powinien przyprowadzić tu więcej osób. Czy mógł jeszcze kogoś uratować. Ale przecież nie mógł wiedzieć, kto jest zarażony. Nie ma sensu się teraz nad tym zastanawiać. Calle próbuje to sobie przynajmniej wmówić.

Kuca. Patrzy im w oczy.

– Tutaj są ludzie, którzy mogą się wami zająć. Pracują na promie.

– Tacy jak ten ochroniarz, który cię uderzył? – pyta dziewczynka. – Ci, którym pomógł, na pewno są mu za to niesłychanie wdzięczni.

– Nie możesz zostać z nami? – pyta chłopiec.

Calle bierze głęboki oddech. Próbuje wejść w rolę dorosłego i zaradnego. Kręci zdecydowanie głową.

– Muszę kogoś znaleźć.

– Kogo? – chce wiedzieć dziewczynka.

– Swojego chłopaka.

O ile wcióż nim jest.

– Możemy przecież pójść z tobą – mówi chłopiec. – Możemy ci pomóc, a ty pomożesz nam znaleźć naszych rodziców.

– Lepiej będzie, jeśli tu zaczekacie. Nie mogę was zabrać. Sami widzieliście, jak tam wygląda.

Możemy zadzwonić do waszych kabin. Może rodzice już tam są.

– A jeśli ich tam nie ma? – pyta chłopiec z desperacją w głosie.

– Wówczas obiecuję, że będę się za nimi rozglądać. Tylko wszystko po kolei.

Wszyscy troje patrzą na siebie uważnie.

Stoi na pokładzie rufowym. Patrzy na morze z najczarniejszego atramentu pod niezgłębionym niebem ze smoły. Istnieje tysiąc odcieni czerni, nigdy wcześniej nie potrafił ich od siebie odróżnić.

Szczypie go w żyłach, w cienkich naczyniach krwionośnych w opuszkach palców, uciska go w piersiach. Za dużo krwi. Nie mógł się powstrzymać. Cała ta falująca masa sprawiła, że jego ciało zrobiło się ociężałe. Przesączyła jego mózg, przelała przez kurczące się serce, wypełniła penis, tak że stanął na baczność. Czuje tysiące drobnych ukłuć.

Słyszy westchnienia i jęki z wnętrza Charisma Club. Ktoś powtarza bez przerwy: „Zaraz umrę, proszę, pomóż mi, zaraz umrę”.

Słyszy coś jeszcze. Pierwsze chwiejne kroki nowo narodzonych. Ich pełne cierpienia krzyki, wygłodniałe i wystraszone.

Odwraca się.

Pokład pokryty jest ciałami. Jedne ze szklanych drzwi prowadzące na parter klubu są rozbite. Jakaś kobieta leży w nich na brzuchu twarzą do dołu. Fragmenty szkła zabarwiły się na czerwono od jej krwi. Wciąż jeszcze oddycha. Dan przechodzi nad ciałami. Staje obok niej. Wsuwa czubek buta pod jej brodę, unosi stopę, patrzy na jej profil. Pod grubą warstwą makijażu kobieta ukryła krosty. Jej oko wpatruje się w niego, mruży na deszczu. Oddech robi się coraz płytszy. I przyspiesza.

Chwilę później kobieta umiera. Zwyczajnie przestaje oddychać. Życie gaśnie w niej bez żadnego dźwięku. Oko patrzy na niego martwo. Krople deszczu spadają na twardówkę.

Czas iść. Dan przechodzi nad kolejnymi ciałami. Czyjaś ręka wyciąga się i łapie jego nogawkę. Dan spogląda w dół i widzi mężczyznę z taką samą fryzurą na pazia, jaką on nosił w latach dziewięćdziesiątych. Usta mężczyzny otwierają się szeroko. Stracił kilka zębów. Palce zaciskają się na nogawce. Dan potrząsa nogą, żeby się uwolnić.

Przez chwilę czuje głęboką odrazę. Zaspy z ciał to dopiero przedsmak tego, co czeka nieświadomy niczego świat. Wszystkie te ciała, nasmarowane balsamami, jaskrawo umalowane, ubrane w tanie materiały. Niedługo te ciała znów powstaną.

Nie ma odwrotu. Pierwszy raz w pełni to do niego dociera. I czuje się, jakby jego samochód utracił przyczepność na drodze albo jakby siedział w samolocie podczas silnych turbulencji. Jakby spadał ze świadomością, że nic nie da się zrobić.

I potem to uczucie nagle znika, równie szybko jak przyszło. Zostaje tylko ból w piersiach, żyły, które napinają się pod skórą. To przejdzie.

Dan przeklina swoją słabość. Przez tyle lat nim pomiatano, że teraz boi się swojej nowej potęgi. Jednocześnie jest innym Danem. Niemal nieśmiertelnym. Tym, który będzie trwać, gdy reszta świata runie. I będzie się rozkoszować każdą sekundą.

Wiatr cichnie, gdy Dan wchodzi pod zadaszenie pokładu spacerowego od strony bakburty. Zapach krwi jest tu silniejszy, bo nie rozrzedza go podmuch. Leżą tu kolejne ciała, rozrzucone na całej drodze do schodów prowadzących na piętro wyżej, gdzie pokład spacerowy ciągnie się aż do dziobu statku. Jakaś

kobieta zawisła na relingu górną częścią ciała. Jej plecy wygięły się do tyłu, tak że ciało tworzy niemal literę „l”. Przed chwilą się obudziła. Czubki palców w balerinkach przesuwają się w przód i w tył po gładkiej podłodze pokładu, gdy kobieta próbuje stanąć pewnie na nogach pomimo bezwładu ciała.

Opalony mężczyzna w neonowożółtych bawełnianych dżinsach zbiega po schodach goniony przez dwóch nowo narodzonych. Woła o pomoc, biegnie prosto na Dana, jakby to on miał być dla niego ratunkiem. Kiedy nowo narodzeni go dopadają, krzyk przechodzi w samogłoski, które nie układają się w słowa. Nowo narodzeni szarpia go za ramiona, biją się o zdobycz. Mężczyźni udaje się uwolnić, patrzy na Dana, jakby wciąż spodziewał się pomocy. Lecz pomoc nie ma skąd nadejść. I nagle mężczyzna skacze przez reling i ginie w ciemnościach. Jeden z nowo narodzonych gramoli się nieporadnie za nim, rzuca się w otchłań. Drugi stoi w miejscu, patrzy za odchodzącym Danem.

Szklane drzwi prowadzące do wnętrza promu są otwarte. Dan słyszy, że nowo narodzony idzie za nim. W środku powietrze jest gęste, niemal drży od wydalin z wciąż ciepłych ciał, które leżą rozrzucone przy wejściu do Charisma Club.

Schodzi po schodach. Zauważa kolejnego nowo narodzonego, starszego mężczyznę, którego zapamiętał z karaoke. Mężczyzna stoi na czworakach. Jego ciało jest wygięte, jeszcze oddycha, ale dosłownie za chwilę umrze. Nogi ubrane w spodnie khaki drżą. Nowo narodzony podnosi wzrok. Krew przelewa mu się przez wargi. Obraca powoli głowę, kiedy Dan przechodzi obok.

Schodzi na korytarz na ósmym piętrze. Przed Starlight leżą kolejne ciała. Kiedy się obraca, zauważa, że starszy mężczyzna i nowo narodzony z pokładu spacerowego stoją i patrzą na niego wyczekująco.

Czuje znów, jak budzi się w nim euforia. Teraz jest dokładnie tak, jak opowiadał mu Adam. Że wystarczy, że będzie, a oni pójdą za nim. On i Adam są naturalnymi samcami alfa dla nowo narodzonych. Charisma to ich Hameln, a oni są szczurołapami.

Słyszy dźwięki wydawane przez ludzi, którzy próbują nie wydawać żadnych dźwięków. Dwie osoby, które oddychają w tym samym rytmie w kasynie. Coraz szybciej i płycej. Czuje zapach starych ludzi, starego mięsa. Kwaśnego potu i moczu.

Zapach jednego z nich pamięta z tego wieczoru. Nie potrafi sobie odmówić.

Zagląda w ciemność.

Spod stołu do blackjacka wystaje para tłustych łydek w niezgrabnych butach.

Dan podchodzi. Kuca. Odsuwa wysoki stołek krupiera.

Ciasne ubrania staruszki są przesiąknięte potem. Staruszek nie ma teraz na sobie puloweru, koszula zwisa luźno na wychudłym ciele. Jego rachityczna dłoń wygląda tak mizernie w jej tłustej pięści, że aż trudno uwierzyć, że nie połamała mu wszystkich kości.

Wpatrują się w niego przerażeni. W półmroku on widzi ich aż zbyt wyraźnie.

– Proszę, kogo ja tu widzę? Birgitta z Grycksbo – mówi z szerokim uśmiechem. – Nie tak chyba wobrażaliście sobie waszą rubinową rocznicę?

Doskonała parodia Dana Appelgrena, który stał dziś wieczorem na scenie. Dan niemal czuje, jak staruszkowie oddychają z ulgą.

– Och Boże, najświętszy Jezu w niebiosach – szepcze z płaczem Birgitta swoim śpiewnym akcentem. – Baliśmy się, że jesteś jednym z nich.

– Ćśśś – syczy Dan i wyciąga rękę. – Chodźcie, pomogę wam przejść do kabiny.

Nowo narodzeni w napięciu chwieją się na korytarzu. Birgitta kręci głową.

– Oni są wszędzie – szepcze.

– Spokojnie – odpowiada Dan. – Wszystko kontroluję.

Birgitta patrzy na męża. Staruszek kręci głową.

– Wszystko będzie dobrze – mówi Dan. – Pomoc jest w drodze, udało nam się zamknąć wszystkich chorych.

– Słyszeliśmy kilku... – zaczyna Birgitta.

– Już po wszystkim. Chodźcie. Nie możecie tu siedzieć.

– Jesteś pewien? – pyta staruszek z jeszcze bardziej, o ile to możliwe, śpiewnym akcentem. – Naprawdę jest po wszystkim?

– Widzieliśmy takie rzeczy, że nigdy byś nam nie uwierzył – mówi Birgitta i kuca.

– Ja również – odpowiada. – Ja również, ale nic wam już nie grozi.

Musi się zmuszać, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Jeden z nowo narodzonych kłapie zębami. Sterty ciał przy Starlight zaczynają się poruszać. Odgłosy sapania. Mokre mlaskanie. Najwyraźniej jednak Birgitta ich nie słyszy. Postanowiła, że mu zaufa.

Macha do nich, żeby wyszli, uśmiecha się tak szeroko, że opuchnięte policzki niemal zalepiają mu oczy.

Birgitta bierze go za rękę.

On pomaga jej wstać. Otula ramionami niskie, tłuste ciało. I Birgitta zaczyna płakać. Przykłada ręce do twarzy i opiera się o niego, spomiędzy jej palców dobiega łkanie.

Staruszek wypełza z trudem spod stołu. Kiedy wstaje, zapierając się o stół, w jego wysuszonym ciele wszystko przeskakuje i trzeszczy.

– Nie rozumiem, co się stało – mówi Birgitta. – W jednej chwili bawiliśmy się w najlepsze, a zaraz potem wszystko było jak w nocnym koszmarze... Tak okropnie się baliśmy...

– Wiem – mówi Dan swoim najbardziej miękkim głosem. – To musiało być straszne. Ale mieliście przynajmniej siebie.

Birgitta przytakuje i jej ciało zaczyna trząść się od płaczu.

– Gdyby coś się stało Birgittie, nie wiem, co bym zrobił. – Staruszek ociera oczy.

– Rozumiem. Choć sam nigdy nie doświadczyłem takiej miłości. Nie każdemu się to zdarza w dzisiejszych czasach.

Ścisła mocniej krępe ciało w swoich ramionach, Birgitta szlocha już na całego.

– Zrobiłbyś wszystko dla Birgitty, prawda? – Dan nie spuszcza staruszka z oczu.

– Tak. Naturalnie.

Birgitta kręci się w jego uścisku. W jego ramionach zrobiła się cieplejsza. Wydziela nowy powiew mocnego potu.

– No tak, tacy jak wy zwykle tak mówią. Tylko czy naprawdę poświęciłbyś się dla niej?

– Puść mnie, proszę – udaje się wydusić Birgittie.

– W takim razie dam ci jedną szansę, żebyś mógł to udowodnić – ciągnie Dan. – Jeśli naprawdę tak bardzo ją kochasz, pozwolę jej odejść i zamiast niej zabiję ciebie.

– Puść... mnie...

Ściska ją jeszcze mocniej, z jej płuc z gardłowym jękiem wydostają się resztki powietrza. Już się nie uwolni.

– Co ty na to?

– Zostaw ją – prosi staruszek i łzy spływają mu po policzkach.

– Nie jestem już głodny – mówi Dan, gdy Birgitta próbuje wyrwać się z jego uścisku. – Nie pójdzie to szybko. I będzie bolało. Bardziej niż potrafisz to sobie wyobrazić. Ale możesz tego uniknąć. Powiedz tylko słowo, a zamiast ciebie zajmę się małą Birgittą.

Staruszek wygląda, jakby się wahał.

Powiedz to, myśli Dan. Powiedz to, staruchu. Powiedz ostatnie słowa, które usłyszy Birgitta.

Staruszek kręci głową.

– Weź mnie – mówi. – Ty diable wcielony.

Dan nienawidzi go za to, że jest zakłamanym nawet w obliczu śmierci.

Czas kończyć. Ale on jej nie chce. Nie chce poczuć jej smaku na swoich ustach.

Kładzie dłonie wokół szyi Birgitty. Zaciska je najmocniej, jak może. Szyja jest ciepła i ciastowata, oczy Birgitty robią się duże i okrągłe, wychodzą z orbit. Jego twarz będzie ostatnią rzeczą, którą zobaczy.

Delikatne dłonie staruszka uderzają w głowę Dana. Deszcz uderzeń, które ledwo czuje, rój małych ptaszków.

Zwyczajnie je ignoruje. Ta chwila należy tylko do niego i do Birgitty. Kładzie ją na zielonym filcu stołu do blackjacka. I wreszcie nadchodzi. Chwila, w której ona rozumie, że jest już po wszystkim, że umrze i że umrze przez niego. Próbuje zapisać w pamięci każdą najmniejszą zmianę na jej twarzy. Wie, że będzie się nią rozkoszować jeszcze wiele razy.

Pozwala, żeby nowo narodzony z pokładu spacerowego zajął się mężem Birgitty. Po chwili jest już po wszystkim.

Kiedy wychodzi, na korytarzu podnoszą się kolejni nowo narodzeni. Idą za nim.

Jego wygłodniała armia. Jego posłuszne dzieci. Jego podwładni.

Przed Charisma Buffet czeka na niego Adam. Pokazuje ręką na wszystkich nowo narodzonych, którzy za nim szli. Wydaje się irytująco zadowolony z siebie, i Dan czuje narastającą złość.

Możliwe, że wszystko zaczęło się od Adama. Nigdy jednak nie poszłoby mu tak dobrze, gdyby nie Dan. Zresztą sam się do tego przyznał. Adam nie wiedziałby, jak należy odciąć „Charismę” od świata, żeby nikt im nie przeszkadzał. Nie wiedziałby, co powinni zrobić dalej.

– Przejadłeś się – mówi Adam. – Ostrzegłem cię. Będziesz chory.

Dan czuje na sobie wzrok nowo narodzonych. Zastanawia się, ile tak naprawdę rozumieją.

Czy potrzebuje Adama? Czy czegoś jeszcze może się od niego nauczyć? Nie wydaje mu się. Wydaje mu się natomiast, że nigdy więcej nie będzie go potrzebować.

– Nie musisz się o mnie martwić. Ale dzięki za troskę.

– Martwię się o plan. Poradzisz sobie sam?

– Niby dlaczego miałbym sobie nie poradzić?

– No dobrze. Spróbuję przez ten czas znaleźć matkę.

– Spróbuj.

„Maminsynek. Trudniej się od niej uwolnić, niż myślałeś”.

Wyjmuje kartę i jego dłoń zastyga w powietrzu nad czytnikiem przy drzwiach do pomieszczeń personelu.

Dobiega go jakiś zapach i aż trudno mu uwierzyć, jak bardzo jest znajomy. To oczywiście ona właśnie tak pachnie. Tyle że wcześniej nie mógł jej wyczuć.

Skurcz w piersiach pompuje krew, rozgrzewa ciało. Dan patrzy znów na Adama.

– Najpierw muszę coś zrobić.

Gładkie czoło chłopca marszczy się.

– Co?

„Gównno cię to obchodzi”.

Nie musi się tłumaczyć temu pędrakowi. Skoro mają współpracować, Dan nie ma zamiaru startować z gorszej pozycji. Kiedy raz pozwolisz się zerznąć w tyłek, musisz się liczyć z tym, że nieraz się to potówrzy.

– Idź szukać mamusi – radzi i wkłada z powrotem kartę do kieszeni.

Podchodzi do drzwi toalety męskiej i popycha ze spokojem drzwi obrotowe. Syntetyczne zapachy niemal go obezwładniają, środki czyszczące, tanie mydło i cuchnące cytrusami krążki żelowe w pisuarze. Ale jej zapach też jest mocny.

Podeszwy jego butów uderzają głośno o kafle i wie, że ona go słyszy.

Za nim wchodzi nowo narodzeni. Węszą gorączkowo. Wielu z nich jeszcze nie jadło. Brakuje jedzenia. Większość z tych, którzy nie zostali ugryzieni, uciekła do swoich kabin. Dan poprowadzi swoich do jedzenia. Tu w środku znajduje się pierwszy mały aperitif.

Kątem oka widzi siebie w lustrach przy umywalkach. Przepęłnione naczynia krwionośne w oczach popękały, oczy poczerwieniały i przypominają teraz bardziej otarcia na twarzy.

Dan odwraca się w stronę kabin oddzielonych cienkimi drzwiami. Słyszy, jak kobieta próbuje wstrzymać oddech. Wie, że znalazła się w pułapce. Bez szans. Jej zapach robi się coraz bardziej zwierzęcy.

Staje przed kabiną. Tak blisko, żeby było widać pod drzwiami jego buty.

Zduszony dźwięk, kiedy ona wciąga powietrze.

Dan rozkoszuje się tą chwilą.

To się nazywa boska sprawiedliwość. A on jest swoim własnym bogiem.

Dotarli do szarych stalowych drzwi na końcu korytarza, gdy ze schodów dobiegło ich rozdzierające skrzypienie. Nie może się powstrzymać, żeby nie spojrzeć w dół.

Na spoczniku pod nimi siedzi jakiś mężczyzna przypięty kajdankami do poręczy. Zauważa błyszczącą łysinę. Szerokie plecy.

– Chodź już – mówi Calle i ciągnie go za rękę.

– Czy on jest jednym z nich?

– Nie. Przed chwilą z nim rozmawiałem.

– Ci tam na zewnątrz też na początku wyglądali normalnie – mówi Lo i staje obok Albina. – I dlaczego go przypięli, skoro jest taki niewinny?

– Czasem tak robią, kiedy brakuje miejsc w celach wytrzeźwień.

– Naprawdę tak można? – dziwi się Lo. – Przecież to chore.

– To dla ich własnego dobra – odpowiada Calle

Albin widzi, że w myślach Calle przyznaje Lo rację.

– Jeśli ktoś tu przyjdzie, nie będą mieć najmniejszej szansy, żeby się obronić – mówi Lo. – No marzę o tym, żeby zostać tak podana na tacy.

Albin spogląda znów w dół klatki. Mężczyzna odgina głowę. Patrzy prosto na nich.

– Tu jesteś – woła mężczyzna.

Znów daje się słyszeć grzechotanie kajdanków ocierających się o poręcz.

– I jak, znalazłeś klucz?

– Nie, nie znalazłem – odpowiada Calle.

Mężczyzna nieruchomieje. Opadają mu ramiona.

– Pierdol się – mówi. – Pierdol się. Twoim zdaniem powinienem tu siedzieć i czekać, aż ta łajba zatoni? Będą o tym mówić w wiadomościach, jak traktujecie swoich pasażerów. A może właśnie dlatego chcecie, żebym zatonął, żeby nie dowiedzieli się, że...

– Spróbuję znaleźć kogoś, kto ma klucze – woła Calle. – Nie zatoniemy.

– Coś się przecież dzieje, słyszałem przez głośniki, że macie tam na górze posiedzenie nadzwyczajne.

– Nie musisz się martwić – woła Calle.

Lo patrzy na Albina. Wszyscy wiedzą, jak wielkie jest to kłamstwo.

– Chodźcie. – Calle kładzie im dłonie na ramionach.

Albin nie może jednak zrobić kroku. Mężczyzna na dole zaczyna płakać.

– Lillemor prosiła, żebym nie jechał – mówi tak cicho, że ledwo go słychać. – Boi się wody. Nigdy w życiu nie płynęła promem. Teraz chciałbym, żeby była przy mnie... Czy to nie jest egoistyczne z mojej strony?

Albin odwraca wzrok. Ma wrażenie, że cała „Charisma” kurczy się wokół nich. Niedługo zgniecie ich

żywcem.

– Nie utoniemy – powtarza Calle. – Nie martw się.

Tym razem Albin i Lo odsuwają się razem z nim od poręczy. Calle otwiera stalowe drzwi i słyszą podniesione głosy docierające ze środka.

– Chciałbym ci coś pokazać – mówi Dan.

Jenny próbowała uciec, kiedy wyważył kopniakiem drzwi do toalety. Żałosna próba. Jego ciało wypełnia niemal cały otwór, mimo to próbowała się przecisnąć obok niego. Uderzał jej głową w ścianę za toaletą tak długo, aż oczy wywróciły się pod sklepienie czaszki.

Czekał. Wymierzył jej dwa policzki. Jej spojrzenie zaczęło się przejaśniać.

Ona musi wiedzieć. Musi zrozumieć. To najważniejsze.

Nowo narodzeni, którzy przyszli tu za nim, przysuwają się bliżej. Milczą. Czekają.

Dan unosi swoją dłoń i wbija w nią zęby. Gryzie tak, aż dźwięk gruchotanych kości rozchodzi się echem. Krew wypełnia jego usta, ścieka mu po brodzie. Dan ssie intensywnie. Oblizuje brzegi rany, nie spuszczaając Jenny z oczu. Robi dla niej show.

– Zaczekaj, zaraz zobaczysz – obiecuje i ociera brodę.

Jenny zaczyna cicho łkać. Każda łza jest dowodem na to, że ją pokonał.

– Mogłem cię zrobić prawie nieśmiertelną – mówi. – Ale tego nie zrobię.

Chwyta ją za podbródek. Zmusza, żeby spojrzała na rękę, na której rana zaczęła się zrastać. Rozlega się ciche trzeszczenie kości, które zrastają się wewnątrz ciała. Jenny nie rozumie. Niczego nie rozumie. Pieprzona głupia krowa.

– Widzisz? – mówi Dan. – Mogłaś stać się czymś innym, czymś lepszym, dokładnie tak jak ja. Gdybyś tylko była trochę bardziej grzeczna.

No i kto jest teraz *hasbeen*? Kto ma teraz władzę, żeby powiedzieć „nie”? Zabije ją, zabije ją tak, że już nigdy więcej się nie obudzi. Adam pokazał mu, jak to się robi.

Kierownik rejsu Andreas stoi w głębi mesy i mówi tak szybko, że jego słowa się zlewają. Filipowi jest go żal. Niemal wszyscy tutaj znają dobrze Andreasa. Jest kierownikiem do spraw zasobów ludzkich, ale nikt nigdy nie traktował go jak lidera. Widać wyraźnie, że nawet Andreas tak siebie nie traktuje. Nagle stał się najwyższy rangą.

I nikt nie wie, co właściwie stało się na górze na mostku albo na dole w maszynowni.

Wzmacniacze sygnałów telefonii komórkowej zostały rozbite, radio jest zniszczone, nie da się nawiązać kontaktu z satelitami, dokonano sabotażu systemów DSC i VHF, a nawet łodzi i tratw ratunkowych. Żadnej możliwości zaalarmowania lądu. Nie mają nawet rac. Są całkowicie odcięci od świata.

„Na Bałtyku nie usłyszysz twego krzyku”, myśli Filip i niemal parska śmiechem, obłąkańczym śmiechem, na który nie może sobie pozwolić. Nie tu, nie teraz.

Dopóki autopilot prowadzi „Charismę” po zaprogramowanej trasie, dopóty nikt z zewnątrz nie domyślił się, że coś się stało. Jeśli w zbiornikach paliwa znajduje się wystarczająco dużo benzyny, autopilot może ich doprowadzić aż do samego Turku. Kiedy dotrą do ostatniego zaprogramowanego punktu, autopilot będzie dalej prowadzić ich po ostatnio zadanym kursie i „Charisma” rozbije się prawdopodobnie w porcie albo osiądzie na mieliźnie.

– Gdy zbliżymy się do Finlandii, będziemy mogli skorzystać ze zwykłej sieci komórkowej – mówi Andreas. – Będziemy mogli zadzwonić i poprosić o pomoc fińską policję albo wojsko...

– To dopiero za kilka godzin – odzywa się ktoś. – Co zrobimy do tego czasu?

Filip rozgląda się. Wszystkie znajome twarze wyglądają teraz zupełnie inaczej. Strach uczynił je nagimi. Mimo to ogarnia go dziwne poczucie spokoju. Jest gorzej, niż myślał, a nawet dużo gorzej, ale teraz przynajmniej wie, z czym ma się zmierzyć.

W mesie jest gorąco i wilgotno, bo parują ciała zgromadzonych osób. Filip próbuje nie myśleć o tym, kogo brakuje. Nie myśleć o tym, co mogło im się przytrafić. Nie potrafi jednak otrząsnąć się z myśli o Pii. I o tym, że nie ma tu ani jej, ani Jarna. Raili jest blada i zapłakana. Marisol przytula ją, ale Raili wygląda, jakby tego nie zauważała. Obraca tylko na palcu obrączkę.

Jenny wciąż się nie pokazała.

Calle również zniknął. Łóżko w kabinie Filipa stało puste. Butelka z wódką została prawie opróżniona, ale poza tym nie było po nim śladu. Pewnie wyszedł, żeby szukać swojego chłopaka. To idiotyczna decyzja, lecz Filip w pełni ją rozumie.

Przesuwa dalej wzrokiem po pokoju. Mika usiadł na krześle przy stoliku z przodu. Pobladł, cienkie włosy przykleiły mu się do skóry.

Wielu tu nieznanym. *One night stands* albo obcy. Zauważa, że jedną z nieznanym jest kobieta, którą widział przy parkiecie w Starlight. Stoi z rękoma wsuniętymi w kieszenie mięsistego kardiganu. Wygląda dużo młodziej. I zdrowiej. Pewnie to te migające lampki na parkiecie rzucały cienie, tworzyły iluzje. Jako jedyna ze zgromadzonych wygląda, jakby się nie pocila, choć włożyła kardigan. Spojrzenie

ma ożywione, skoncentrowane, nie traci opanowania.

Lizette podnosi się z krzesła pośrodku pokoju. To nowa gospodyni na pokładzie, kierowniczka personelu sprzątającego, i Filip nigdy nie widział jej bez mundurka. Przeczesuje palcami potarganą fryzurę, rozgląda się.

– Tutaj jesteśmy bezpieczni – stwierdza. – Razem z wieloma osobami zamierzam zostać tu do momentu, aż przyjdzie pomoc z zewnątrz. Nie możecie nas zmusić, żeby...

– A co z pasażerami? – przerywa jej jeden z kucharzy. – Mamy ich zostawić na pastwę losu?

– No właśnie – mówi dziewczyna, która jest krupierką w kasynie. – Naszym obowiązkiem jest zrobić wszystko, żeby...

– Teraz nie możemy nic dla nich zrobić. – Lizette rozkłada ramiona jak dyrygent, który chce, żeby orkiestra grała ciszej. – Nie wiemy nawet, co się stało tym ludziom.

Wszyscy patrzą na siebie skonsternowani. Nikt nie chce pierwszy przyznać jej racji.

– Chcesz wyjść, proszę bardzo – mówi Lizette do krupierki. – Nikt jednak nie może od nas wymagać, żebyśmy wyruszali na jakąś samobójczą misję. Czy nie mam racji?

Odwraca się do Andreasa i unosi teatralnie brwi. Tym razem słychać pomruk aprobaty.

Niczego nie rozumieją. Wielu z nich nie było w ogóle na zewnątrz.

– Nikt nie mówi, że tutaj jesteśmy bezpieczni – dodaje Filip i wymienia spojrzenie z Marisol. – Tu w środku też mogą być zarażeni, którzy o tym nie wiedzą.

W spojrzeniach obecnych widać całkiem nowy rodzaj niepokoju.

Do Filipa dociera, co tak naprawdę powiedział.

Pot spływa mu po plecach. Krople kapią spod pach pod nylonową koszulą. Ma sucho w ustach, zastanawia się, czy to objaw choroby. Patrzy na kolegów. Z wieloma z nich spędził na promie całe lata.

„Czy jeśli jestem zarażony, to znaczy, że mogę ich skrzywdzić?”

Przez chwilę panuje całkowita cisza. Zauważa, że kobieta ze Starlight mu się przygląda. Czy ona coś wie? Czy widzi po nim, że jest zarażony?

Nie ma odwagi spojrzeć jej w oczy.

– Chciałbym wiedzieć jedną rzecz – odzywa się ktoś. – Co to za choroba, która zamienia ludzi w psychopatów?

– Pia wspomniała o Danie Appelgrenie – mówi Mika. – Według niej jest zarażony... a on ma dostęp do wszystkich pomieszczeń na promie, wie, jak wszystko działa...

– Niczego nie rozumiecie? – krzyczy Pär. – Tu nie chodzi o jakiegoś podstarzałego gwiazdora szlagierów, to jest terroryzm. To jest *fucking* ISIS. Odcięli nas od świata i wpuścili jakiś węglik do kranów z wodą albo do czegoś innego. To oni za tym stoją.

– Nie dajmy się ponieść emocjom – prosi Andreas i ociera czoło rękawem koszuli. – Nikomu nie pomożemy, jeśli będziemy nakręcać spirale strachu.

– Trochę chyba na to za późno – mówi Lizette.

Ktoś kładzie dłoń na ramieniu Filipa. To Calle. Z wielką szramą na czole i opuchniętym nosem, ale jak najbardziej żywy.

Filip go przytula.

– Kurwa, jak się cieszę, że cię widzę! Potrzebowałem jakiejś dobrej wiadomości.

– Ja też.

Callemu towarzyszy dwoje dzieci. Poznaje ich. Chłopiec i dziewczynka, widział ich wieczorem w Starlight. Włosy dziewczynki pociemniały od wilgoci o kilka odcieni. Oboje przyglądają mu się bez słowa. Też go rozpoznali. Zmienili się jednak. Minęło zaledwie kilka godzin, a oni wyglądają na dużo starszych.

Na myśl o tym Filip omal nie wybucha płaczem. Chowa twarz za Callem. Klepie go mocno po plecach. Zastanawia się, co takiego przytrafiło się tej trójce na zewnątrz.

– Trudno tu o dobre wieści. – Filip ścisza głos, nie chciałby, żeby usłyszały go dzieci. – Nie mamy łączności z lądem.

Calle patrzy na niego. Przytakuje.

– Muszę wysiąść z promu – mówi szwedzkojęzyczna Finka. – Nie mam zamiaru umrzeć na szwedzkim promie.

Kiedy jedna z kelnerek z Poseidona próbuje wziąć ją za rękę, odpycha ją.

– Nie da się spuścić łodzi ratunkowych, dopóki „Charisma” płynie – mówi Andreas. – Musielibyśmy zejść do dziesięciu, dwunastu węzłów, żeby chociaż posadzić FRB, a teraz płyniemy z prędkością co najmniej osiemnastu, dziewiętnastu...

– O czym ty mówisz? – pyta kobieta. – Co za cholerne FRB?

– *Fast rescue boat* – odpowiada Andreas. – One...

– I tak bym nie wsiadła na tratwę z którymś z pasażerów – przerywa Lizette. – Pomyślcie, co by się stało, gdyby któryś z nich przemienił się, kiedy dryfowalibyśmy po morzu.

– Musi się dać! – krzyczy szwedzkojęzyczna Finka. – Pewnie tylko...

– Nie da się – odzywa się Calle. – Kilka osób próbowało spuścić tratwę. Było na niej pełno ludzi. Między innymi jeden z ochroniarzy.

Uwaga wszystkich zgromadzonych przenosi się na niego. Filip patrzy na Pära. To jedyny z obecnych tu ochroniarzy. W takim razie Calle musi mieć na myśli Henkego.

– Calle próbował ich zatrzymać – odzywa się dziewczynka. – Ale ten ochroniarz powiedział, że woli umrzeć, niż tu zostać. I potem go uderzył.

Filip spogląda na szramę na czole Callego. Nie potrafi sobie wyobrazić tego, o czym przed chwilą usłyszał. Cóż... Wielu rzeczy nie można było sobie wyobrazić, a mimo to wydarzyły się tej nocy.

– Musimy wejść na mostek – mówi Pär i przeciera oczy. – I musimy oczyścić prom z tych cholernych potworów.

– To nie są potwory – prostuje Raili. – To ludzie. Są chorzy.

– Jak możesz tak mówić, skoro zabili ci męża? – oburza się Pär.

Widać po nim, że żałuje tego, co powiedział. Ma świadomość, że posunął się za daleko. Mimo to Raili patrzy na niego ze spokojem.

– Zgadzam się – odzywa się Antti ze sklepu wolnoćlowego. – Czyścimy „Charismę”. Przerobimy ich

wszystkich na kiełbasę i przedostaniemy się jakoś, kurwa, na mostek.

Filip patrzy na nich.

Zastanawia się, czy oni również mają uczucie podobne do tego, które naszło go w Starlight. Że to, co się dzieje, to film. Tacy jak Antti albo Pär na pewno marzyli przez całe życie, żeby zostać bohaterami w filmie akcji. Najwyraźniej jednak jeszcze nie zrozumieli, że nie mają głównej roli. Nie ma jej nikt z siedzących tu w środku. Wszystko kręci się wokół „Charismy”.

Głosy się podnoszą, jest ich coraz więcej i więcej. W środku robi się naprawdę gorąco. Albin spogląda na Callego, który mówi coś szeptem do swojego kolegi barmana.

Nie chce, żeby Calle ich zostawił. Rozumie, że musi szukać swojego chłopaka, ale po prostu nie chce zostać bez niego.

– Powinniśmy obniżyć zanurzenie promu – odzywa się jakaś kobieta. – Wtedy przynajmniej się zatrzyma, a my będziemy mogli stąd zwać.

Calle i jego kolega odwracają się do niej.

– I kazać zatonać całej masie ludzi? – mówi kolega Callego.

– Lepiej będzie, jeśli przeżyje ktokolwiek, niż jeśli miałyby nie przeżyć nikt.

Albin kątem oka widzi, że kilka osób kiwa potakująco głowami. Wyobraża sobie wózek mamy na zalanych wodą korytarzach i nienawidzi każdej z tych osób po kolei.

Skądś dobiega ich uszu dźwięk zatraskujących się stalowych drzwi. Takich jak te, przez które przeszli on, Lo i Calle.

– Kto twoim zdaniem ma wybrać, kogo uratujemy? – odzywa się ktoś inny.

– Na początek kobiety i dzieci i...

– No proszę, teraz to ci pasuje, choć ciągle gadasz o równouprawnieniu? – odzywa się starszy mężczyzna w mundurze ochroniarza.

Coraz więcej osób mówi jednocześnie.

– Czy nie możemy po prostu spuścić benzyny, żeby zatrzymać prom?

– To zbyt ryzykowne. Poza tym trudne i czasochłonne.

– Moglibyśmy zgasić wszystkie reflektory albo spróbować nimi migać... Gdyby zgasły wszystkie, mógłby nas zauważyć jakiś inny prom i zrozumieć, że nie wszystko jest w porządku...

– Chcesz biegać po ciemku z tymi tam na zewnątrz?

– Moglibyśmy przecież zejść do maszynowni i zalać wodą tablicę elektryczną. Jeśli uda nam się zrobić *shutdown*...

– Nie rozumiem, dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy. Musimy przedostać się na mostek. W jakiś sposób musimy się tam dostać. Po drodze zrobimy kielbasę z każdego sukinsyna, który chodzi i gryzie, i...

– Zamknij się, Antti – odzywa się kolega Callego. – Kurwa, jesteś tak samo spragniony krwi jak oni.

Albin widzi, że mówiący ma na koszuli pod pachami wielkie plamy potu.

– Nie mamy pojęcia, co się z nimi stało – spokojniej tłumaczy kolega Callego. – Ale są ludźmi. Są chorzy. Potrzebują pomocy.

– Naprawdę w to wierzysz? – rozlega się męski głos. – Bo moim zdaniem to wy potrzebujecie pomocy.

Kilka osób robi w tył zwrot. Ktoś wydaje z siebie krzyk. I choć Albin tego nie chce, również spogląda przez ramię.

W drzwiach stoi Dan Appelgren. Trudno go rozpoznać. Spuchł, jego oczy zrobiły się czerwone, błyszczące i szkliste.

Przejście zaczyna wypełniać się chorymi. Węszą, kłapią zębami. Mimo to stoją nieruchomo za Danem. Jakby na coś czekali.

Albin patrzy na Lo.

Czuje się jak wtedy, gdy w Grisslehamn straszili się nawzajem nocami. Teraz rozchylili zasłonkę, której istnienia mogli się wtedy jedynie domyślać. Wie, jakie potwory kryły się za nią przez ten cały czas. Bo one są tutaj.

Krzesła przewracają się z hukiem, podłoga się trzęsie, gdy ludzie, którzy stali najbliżej wejścia, rzucili się ku przeciwległej części pomieszczenia.

Ktoś zaczął się modlić: „OjczenaszktóryśjestwniebieświęćsięimięTwoje...”. Szybko, jakby chciał mieć pewność, że zdąży, powiedzieć „amen”, zanim będzie za późno.

Jej serce bije w szalonym tempie, choć Marianne siedzi zupełnie nieruchomo na kanapie. Tykająca bomba w piersiach, która w każdej chwili może wybuchnąć.

Przynajmniej nikt nie wali w drzwi.

– A jeśli toniemy? – zastanawia się Madde, która znów stanęła przy oknie.

– Nie toniemy – zapewnia ją Vincent i pociąga łyk whisky.

– Skąd wiesz? – Słowa grzęzną Madde w gardle. – Może promem nikt nie kieruje?

Marianne próbuje opanować zawroty głowy, które niespodziewanie ją dopadły. Tutaj, w apartamencie większym od jej mieszkania, niemal zapomniała, że nie mają stałego lądu pod stopami. Nagle ogarnia ją irracjonalny strach. Przebiega jej przez myśl, że Madde może wywołać katastrofę samym mówieniem na ten temat.

– Cicho bądź – słyszy swój ochryply głos. – Zamknij jadaczkę.

Madde nie odpowiada od razu. Skóra na jej plecach połyskuje złociście.

– A jeśli już nie żyjemy? – pyta po namyśle. – Może trafiliśmy do piekła?

– Proszę cię – jęczy Marianne.

– To w każdym razie wygląda jak piekło.

– Chodź tu i usiądź – lekko irytuje się Vincent. – Zwariujesz, jeśli będziesz dłużej na to patrzeć.

– Podejrzewam, że zwariuję, cokolwiek będę robiła.

Vincent przytakuje, choć Madde nie może go zobaczyć.

– Mimo wszystko nie powinnaś tam stać. Jeśli zauważy cię któryś z nich, może ich to tutaj zwabić.

Włoski na karku Marianne stanęły na baczność. Rękawy jej koszulki jakby się skurczyły. Uciskają ją tak, że krew przestaje krążyć.

– Nie sądzę – oponuje Madde. – Są zbyt zajęci sobą nawzajem.

– Odejdź stamtąd wreszcie – syczy Marianne.

Vincent wstaje z kanapy. Również staje przy oknie. Rozgląda się po panującym na dole zamieszaniu. Szuka swojego przyjaciela.

Co by zrobił, gdyby go zobaczył? Czy by ich zostawił? Tak. Oczywiście, że tak.

– Myślisz, że oni... Myślisz, że oni w ogóle wiedzą, co robią? – pyta Madde i patrzy na niego. – Bo Zandra, ona była taka... Tak jakby nikogo tam nie było... w środku.

– Muszą mieć jakieś instynkty.

Madde kiwa powoli głową. Pociąga nosem.

– Zastanawiam się, dlaczego Zandra wróciła do naszej kabiny. Dlaczego chciała dopaść akurat mnie. Czy dlatego, że mnie lubi... czy dlatego, że mnie nienawidzi.

– Dlaczego miałyby cię nienawidzić? Byłyście przecież przyjaciółkami.

– Pokłóciłyśmy się tuż przed rozstaniem. To moja wina, byłam głupia...

Wybucha płaczem. Brokat na jej plecach błyszczy jak gwiazdy pod czarnym przezroczystym materiałem, gdy jej ciało trzęsie się w konwulsyjnym płaczu.

Marianne sama ma ochotę się rozpłakać. Widzi teraz, jak bardzo boli utrata drogiego przyjaciela, martwienie się o kogoś, kogo się kocha. I mimo wszystko zazdrości im tego bólu.

To również rodzaj straty: przyznać, jak bardzo jest samotna. Fantazje związane z Göranem były tylko fantazjami.

Wyciera wilgotne dłonie w spódnicę. Zastanawia się, czy powinna napisać list do swoich dzieci i zostawić go w kabinie. Może ktoś go znajdzie, gdy będzie po wszystkim, jeśli nie uda jej się wyjść z tego cało? Szybko zarzuca ten pomysł. Wyszłoby na to, że się poddała. Zresztą i tak nie wie, co napisać.

Podnosi się z kanapy. Podchodzi do okna i otacza ramieniem Madde.

Ten gest zostaje przyjęty bez najmniejszego protestu. Madde chlipie, wtulając się w jej przepoconą koszulkę.

– Dobrze już, dobrze – szepcze Marianne i przyciąga Madde do siebie, starając się ze wszystkich sił nie spojrzeć przez okno. – Dobrze już, dobrze.

– Chcę do domu – chlipie Madde.

– Ja też. Mimo że nienawidzę swojego mieszkania.

Vincent sapie. Śmieje się czy płacze? Zresztą, jakie to ma znaczenie?

Opiera się o framugę. Nie czuje się dobrze. Bynajmniej. Buzuje mu w żyłach. Krew Jenny zaczęła przelewać się w żołądku w momencie, kiedy udało mu się ją przełknąć.

Gdyby miał więcej czasu, zachowałby ją na później. Delektowałby się oczekiwaniem.

Stojący za nim nowo narodzeni są wciąż głodni. Zdesperowani. Poczuli z bliska zapach krwi.

Rozgląda się po mesie. Zaparowane pomieszczenie wypełnione wilgotnymi ludźmi, którzy tu pracują. Przylgnęli do siebie. Krzyczą. Próbuje niemal wcisnąć się w ścianę na samym końcu. Tak jakby to mogło ich uratować. Powietrze zgęstniało od ich zapachów. To nawet lepsze niż największe oklaski. Niż najlepsze rżnięcie. Niż wszystkie narkotyki, jakich kiedykolwiek próbował. Chciałby móc ich wszystkich zabić, każdego z nich, sam. Ale oglądanie jest prawie tak samo przyjemne.

Tylko te mdłości...

Zatrzymuje wzrok na lasce z zespołu Jenny. Śmiały się z niego wtedy, choć widział więcej lepszych cipek, niż kiedykolwiek one będą mieć. I ten wspaniałomyślny Filip ze Starlight, który bawił się w zbawcę. Pewnie miał nadzieję, że sam położy na niej łapki.

„Częstuj się. Wystarczy ją sobie wziąć. Zdrapać resztki z podłogi w toalecie”.

Obok Filipa stoi brodaty chłopak z dwoma dzieciakami. Dan rozpoznaje małego Azjatę, który męczył go swoim telefonem. Dziewczyna może być od niego kilka lat starsza, ale to jedynie przypuszczenia.

Dan pociąga nosem. Orientuje się, że szedł z kabiny Alexandry tropem zapachu tej dziewczyny. Pierwszego zapachu, który poczuł nowymi zmysłami.

Byłaby naprawdę seksowna, gdyby dane jej było dojrzeć. Można to dostrzec w jej dziecięcej twarzy. Ma nadzieję, że dziewczyna przebudzi się po śmierci. Chętnie zachowałby to jędrne, drobne ciało. Z czasem jednak się zestarzeje – jak Adam. Nie szkodzi.

– Nie rób tego. Proszę cię.

Głos, który słyszy, jest miękki i melodyjny. Tak staroświecki, że niemal upiorny. Echo minionego czasu. Kobieta mówi dokładnie tak jak Adam i Dan od razu pojmuję, kim ona jest.

– To będzie mieć znacznie poważniejsze konsekwencje, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić – tłumaczy kobieta i wychodzi na środek pomieszczenia.

Z wyglądu przypomina Adama, choć ma ciemne włosy. Dan odsuwa się od framugi. Prostuje się, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo go boli.

– Jestem w stanie – oznajmia. – Dlatego to robię.

Kobieta kręci głową.

– Oszczędź przynajmniej tych, którzy są tutaj. Dostaliście to, czego chcieliście.

Dan nie może opanować śmiechu. Nie, wcale nie dostał tego, czego chciał. Najlepsze jest właśnie to, co jest tutaj. Korona stworzenia.

– Naprawdę jestem wzruszony, że próbujesz ich uratować. Tylko czy naprawdę sądzisz, że oni próbowaliby uratować ciebie, gdyby wiedzieli, kim jesteś?

Matka Adama rozgląda się i Dan widzi, że udało mu się wyprowadzić ją z równowagi. Prościzna. Robi krok w jej stronę. Pociąga przesadnie nosem, teatralnie, tak żeby przerażona publiczność dobrze wszystko zrozumiała.

– Jadłaś na pokładzie. Jak myślisz, co oni by na to powiedzieli?

– A ty jak myślisz, co mój syn zrobi z tobą, kiedy nie będzie cię potrzebować?

– Mamy dalekosiężne plany, droga pani.

– Od tak dawna marzył o tym, żeby być wolny. Myślisz, że zechce znowu komuś się podporządkować, kiedy wreszcie zrzucił więzy?

– Dlaczego z tym walczysz? Dlaczego się umartwiasz?

– Potrafię się opanować. Nie jestem zwierzęciem.

Dan patrzy na nią. Pragnie uciszyć ją na zawsze. Adam nigdy by się o tym nie dowiedział.

Ale Dan jest jeszcze za słaby.

„To bez znaczenia”, próbuje przekonać samego siebie. Ona też nie może go zatrzymać. Ona jest tylko jedna, on ma za sobą całą armię.

Cofa się, staje przy framudze i nowo narodzeni wpadają do mesy.

Na czele jest szczupły chłopak z jasnymi dreadami. Dan czuje zapach tłustych włosów i jeszcze czegoś wyraźnie kojarzącego się z serem. Chłopak od razu chwytą panienkę, która pracuje w kasynie. Ona próbuje go odepchnąć zaciśniętymi piąstkami. Pierwsza struga krwi z jej gardła bryzga na podłogę, reszta leci prosto do ust chłopaka, bo jego wargi zacisnęły się wokół rany.

Czas jakby się zatrzymał, wszystko dzieje się zbyt wolno. Albin wpatruje się w stopy, które wbiegają do pomieszczenia. Stopy w skarpetach frotté, butach na wysokim obcasie, głośno stukoczące, bosc stopy z pomalowanymi na jaskrawy róż paznokciami, para butów na grubej podeszwie. Czyjaś tenisówka ślizga się na plamie krwi. Kobieta, która leży pod mężczyzną z dreadami, jest złotawoblada. Krew powoli się w niej kończy.

Potwory istnieją i teraz są tutaj. Nie ma dokąd uciec.

Po pomieszczeniu rozchodzi się słodki i mdlący smród. Zewsząd słyhać krzyki. Towarzyszą im odgłosy kłapiących pił i nożyc tnących mięso, łoskot przewracanych lub rzucanych krzesel i stołów, łamanych kości. Krew leje się na ściany, sięga niemal sufitu, maluje ściany na czerwono. Starszy ochroniarz wije się po podłodze, zostawiając po sobie lepki ślad. A pośrodku tego piekła stoi kobieta, która przed chwilą rozmawiała z Danem Appelgrenem.

Dan oparty o drzwi przygląda się temu wszystkiemu zaczerwienionymi oczami, obłąkany uśmiech nie schodzi z jego opuchniętej twarzy.

Lo szarpie Albina, tłumaczy mu, że muszą się stąd wydostać. Czy naprawdę nie rozumie?

– To nie ma sensu. Nie wyjdziemy stąd.

Lo mruga.

– Przestań, Abbe. Nie możesz się teraz poddać.

Chce coś odpowiedzieć, ale nagle jego stopy unoszą się nad ziemią i kopią w powietrzu. Czyjeś mocne palce chwytają go za żebra niczym imadło. Albin czuje zapach krwi i szminki. Przez chwilę migają mu pomalowane na różowo usta. Błyszczące białe zęby jak kawałki kości w nierównych rzędach. Kolorowa chustka. Kobieta przyciska usta do jego szyi. Czuje jej język na skórze, więc wrzeszczy na całe gardło.

Chłopak z jasnymi dreadami rzuca się na Callego, gdy ten próbuje chwycić Albina. Krzyk Lo przebija się przez krzyki wszystkich innych:

– Puśćmniepuśćmniemuszęmupomóc!

Zęby. Nic więcej nie widzi. Uderzają mocno o siebie tuż przy jego twarzy. Zasłonka z zakrwawionych dredów na krawędzi pola widzenia. Ciało nad nim jest tak chude, że Calle czuje szkielet przez kurtkę, kiedy próbuje je odepchnąć.

Przewraca się na bok razem z atakującym go mężczyzną. Błyskawicznie siada na nim okrakiem. Chwyta jego gardło jedną ręką. Ścisza. Zęby kłapią dalej. Mięśnie szyi pracują jak stado węży pod skórą. Ogarnięty paniką Calle łapie pęk dredów mężczyzny i uderza jego głową o podłogę. Powtarza to kilka razy. Przestaje liczyć. Nie potrafi się zatrzymać. Mężczyzna nawet nie mruga, choć krew leje się z jego szyi. Gdy Calle kolejny raz podnosi jego głowę, na podłogę wylewa się szara, połyskująca masa. Oczy mężczyzny wywracają się pod sklepienie czaszki. Zęby zaciskają się ostatni raz i nieruchomieją. Calle rozluźnia chwyt. Wpatruje się w zakrwawione grudki, w których kiedyś mieszały się myśli, wspomnienia, poglądy.

Podnosi się na chwiejnych nogach. Żołądek kurczy mu się w konwulsjach, lecz niczego z siebie nie wyrzuca. Calle rozgląda się za Albinem. Słyszy krzyki w mesie nasilające się i cichnące. Zauważa Filipa, który zajęty jest odciąganiem na bok Lo. Dziewczyna wykrzykuje imię Albina, podąża za jej wzrokiem.

Kobieta w chustce na głowie leży na podłodze. Z jej szyi wystaje nóż do chleba z żółtą rączką. Z rany cieknie krew, jest jej dużo więcej, niż powinno się zmieścić w ludzkim ciele.

„Jak wtedy, kiedy zabija się opitego komara”, myśli Calle.

Usta kobiety otwierają się i zamykają. Czyżby próbowała krzyczeć? Szarpie za nóż, dłoń ślizga się po zakrwawionym uchwycie, nóż utknął...

...między kręgami? Boże, między kręgami?

Calle widzi inną kobietę, stojącą teraz za tą w chustce. Kobietę w czarnym stroju, która przed chwilą rozmawiała z Danem Appelgrenem i która trzyma Albina pod ramię. Brakuje jej dwóch palców u dłoni. Kobieta idzie w ich stronę. Calle zauważa, że zarażeni odsuwają się. Patrzą na nią wzrokiem, z którego bije coś przypominającego szacunek.

– Pospieszcie się – mówi kobieta. – Zanim ona znów będzie chciała złapać chłopca.

Calle spogląda na podłogę za jej plecami. Kobieta w chustce usiadła. Wpatruje się dziko w Albina.

To niemożliwe.

Calle nie waha się.

– Chodź. – Kiwa na Filipa.

Lo kręci głową.

– Ona jest jedną z nich – protestuje.

– Przed chwilą uratowałam mu życie – podkreśla kobieta i sadza Albina na podłodze u stóp Callego. – Jeśli chcecie bronić dzieci, musicie się uzbroić. Trzeba zniszczyć serce albo mózg.

Calle przytakuje bez słowa. Nagle dociera do niego, że chaos w mesie zaczął się uspokajać. Wszędzie wokół leżą ciała.

Patrzy na zakrwawiony nóż w szyi kobiety. Udało jej się opleść dłonią uchwyt. Rozlega się młaśnięcie, gdy ostrze wysuwa się z ciała.

Musicie się uzbroić.

– Idziemy do kambuza – ponagła Calle.

Kobieta w czerni kieruje się w stronę drzwi, w których nie stoi już Dan Appelgren. Calle bierze Albina za rękę i rusza za nią, sprawdza, czy Filip i Lo idą za nimi. Zbliża się do nich dwóch зараżonych, ale wahają się na widok kobiety.

„Boją się jej. Myślą, że należymy do niej. Być może mają rację”, myśli Calle i przyciąga Albina bliżej do siebie. Słyszy, że Filip woła Marisol.

– Zaczekajcie na nas! – rozlega się znajomy głos Miki.

Wychodzą na korytarz. Tutaj też nie ma Dana. Przed pokojem dziennym leży kilka bezładnie rozrzuconych ciał. Calle próbuje nie patrzeć. Nie chce wiedzieć, czy wśród nich jest ktoś, kogo zna. Przechodzi nad jednym z nich.

Kobieta popycha stalowe drzwi na klatkę schodową. Calle słyszy krzyki z pięter poniżej.

– Jedźmy windą – dobiega go głos Filipa. – Prosto do kambuza.

Calle patrzy na pomarańczowe schody kilkanaście metrów przed nimi. Kiwa głową.

– Pospieszcie się – radzi kobieta.

Wygląda na zasmuconą. Tak jakby chciała prosić ich o wybaczenie, choć przecież przed chwilą uratowała im życie.

Calle chciałby zrozumieć, dlaczego kobieta im pomaga. Kim jest. Nie ma jednak czasu na zadawanie pytań. Rzuca ostatnie spojrzenie na korytarz. Antti i Mika biegną w ich kierunku. Za nimi widzi kilku зараżonych.

Calle ściska mocniej dłoń Albina. Zaczyna biec, potyka się tuż przy samych schodach, ale udaje mu się nie upaść. Przyspiesza. Słyszy biegnących za nim Marisol, Filipa i Lo. Dopada do windy, wciska guzik. Światelko się zapala i ciężka maszyna za stalowymi drzwiami powoli rusza. Dzieci krzyczą wczepione jedno w drugie. Calle znów wciska guzik, choć wie, że to niczego nie przyspieszy. Po prostu musi coś zrobić.

Antti przepycha się przed ciemnowłosą kobietę, niemal ją przewraca. Mika jest zaledwie kilka kroków za nim.

– Pospieszcie się! – krzyczy Filip. – Pospieszcie się, kurwa!

Nagle orientuje się, że krzyki z dołu schodów ucichły. Teraz słychać kroki. Powolne, stanowczo za blisko. Kierują się na górę.

Patrzy znów na kobietę, która zagradza drogę зараżonym wychylającym się z za jej pleców. Jej wargi się rozchylają i Calle czuje, jakby oblała go lodowata woda. Pożółkłe zęby kobiety nie pasują do jej młodej twarzy.

Winda otwiera się ze szcękaniem i Calle odwraca się szybko, wystraszony, że w środku stoją kolejni зараżeni, gotowi na niego skoczyć.

Winda jest pusta.

Calle zasłania fotokomórkę, żeby nie dać im się zamknąć. Marisol i Filip wpychają dzieci do środka.

Kilku zarażonych wbiega po schodach. Trzech. Pięciu.

Antti pędem wbiega do windy, trzymając przed sobą wyciągnięte ręce, żeby z rozpędu nie uderzyć głową w tylną ścianę.

Mice zostało jeszcze kilka metrów. Dlaczego jest tak powolny? Niemal tak samo powolny jak zarażeni, którzy właśnie pokonali schody.

– Pospiesz się! – krzyczy Calle.

Wciska mocno guzik z ósemką.

Lo podskakuje w miejscu, tak że winda się kołysze.

– Przecież się spieszę! – odpowiada Mika zdyszany.

– Jedź! – woła kobieta. – Jedź bez niego!

Mika wpada wreszcie do windy i Calle się cofa. Drzwi stoją nieruchomo przez sekundę, dwie sekundy. Calle krzyczy ze zdenerwowania. Wreszcie drzwi zaczynają się powoli zamykać.

Calle przysuwa się wraz z innymi do tylnej ściany. Jeszcze tylko kilkanaście centymetrów.

Wtem przez wąską szparę wsuwa się piegowate ramię ze złotymi bransoletami na nadgarstku. Palce wyglądają jak szpony, drapią powietrze, próbują ich dosięgnąć. Pojawia się także twarz o szeroko otwartych ustach. Drzwi zaczynają się otwierać. Dzieci krzyczą na całe gardło.

Nagły i szybki ruch przed windą. Mignięcie czarnego kardiganu. Twarz znika. Ktoś wyje z bólu. Filip znów wciska guzik.

Puls dudni w uszach Callego, gdy patrzy na zamykające się drzwi.

Dopiero gdy zamykają się do końca, a winda rusza, dociera do niego, że przez cały ten czas wstrzymywał oddech.

Madde odchodzi od okna. Nie może dłużej patrzeć na to, co dzieje się na dole przy dziobie.

Prawdę mówiąc, ledwo udaje jej się zachować przytomność. Z trudem trzyma się na nogach. Płakała tak bardzo, że czuje się fizycznie wykończona. Przemaglowana. Opada ciężko na kanapę. Chciałaby położyć się plackiem na miękkim posłaniu i nigdy się nie podnieść.

Nagle skóra na całym ciele Madde drętwieje.

„Czy Zandra mnie zaraziła? Czy to dlatego jestem taka zmęczona?”

Marianne zerka na nią, jakby znała te myśli.

„Co by zrobili, gdyby pomyśleli, że jestem chora? Wyrzucą mnie na korytarz. Na pastwę tamtym”.

Patrzy tępo na miseczkę z żelowymi serduszkami. Jeśli teraz zginie na tym pieprzonym promie, to jaki będzie bilans jej życiowych osiągnięć? Czy zrobiła coś, co ma jakieś znaczenie? Rodzicom będzie jej brakowało, na pewno. I bratu. Tylko że oni jej nie znają. Nie wiedzą, jaka jest naprawdę.

Nikt nie znał jej lepiej niż Zandra. A teraz jej nie ma.

Szczypią ją oczy, ale łzy nie płyną. Może się skończyły. Madde wciąga smarki, wyciera wilgoć pod nosem palcem wskazującym. Patrzy w kierunku stołu z krzesłami. Na suficie nad nim zamontowano lustro. Przebiega jej przez głowę myśl, że na tym stole ludzie częściej się bzykali, niż jedli.

Patrzy na serpentyny zwisające z poręczy, płatki róż na stopniach schodów. Przez szczelki na balustradzie na piętrze widzi duży plakat nad łóżkiem z napisem „Gratulacje”.

I nagle rozumie, jak to się ze sobą łączy. Nie wie tylko, czy powinno ją to brzydzić, czy jej zaimponować. Przygląda się starszej kobiecie. Pewnie jest bogata. A Vincent musi być naprawdę zdesperowany.

Spogląda znów na lustro na suficie.

– Pobieracie się czy co? – pyta.

– Nie – odpowiada szybko kobieta. – W żadnym wypadku.

– No to co świętujecie?

– To długa historia – odpowiada chłopak i odwraca się od okna.

Z daleka jego oczy wydają się ciemniejsze. Rzeczywiście, jest cholernie przystojny. Zandra byłaby nim zachwycona.

Zandra.

– Raczej nigdzie się nie wybieramy – mówi Madde. – Chętnie zajmę czymś myśli. Vincent siada w fotelu naprzeciwko niej.

– Zostałem dziś poproszony o rękę. Przez mojego chłopaka.

Madde kiwa głową. Czuje ulgę, że nie musi sobie wyobrazić Marianne i Vincenta uprawiających seks.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem – głos Vincenta zamienia się w szept. – Zniknął wcześniej... Nie wiem, gdzie jest.

Vincent wydaje się taki smutny... Żałuje, że go o to zapytała. Chciałaby, żeby poczuł się lepiej, ale on również wyglądał przez okno.

– Gratulacje. To znaczy z okazji zaręczyn.

Vincent uśmiecha się najsmutniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziała.

– Odmówiłem.

– Dlaczego?

Pytanie samo jej się wymyka.

– Przepraszam – dodaje szybko. – To nie moja sprawa. Po prostu...

Tym razem udaje jej się opanować na czas.

„Po prostu widać po tobie, że go kochasz”.

– Spokojnie. Sam nie wiem. Chciałem mieć czas na zastanowienie... – śmieje się Vincent. – Zakładałem, że mamy czas.

– Raczej nie mogłeś przewidzieć, że ludzie zaczną rozrywać się na kawałki.

– Proszę cię – wtrąca Marianne.

– Nie no, jasne – wzdycha Vincent i znów się śmieje, opiera czoło na ręce. – Powiniennem go poszukać – dodaje. – On gdzieś tam jest.

– Nie – protestuje Marianne. – Przyjdzie tu, jeśli będzie mógł.

– Właśnie. Jeśli będzie mógł. Może potrzebuje pomocy? – buntuje się Vincent.

– Pomyśl, co będzie, jeśli się miniecie – tłumaczy Marianne. – On chciałby, żebyś został.

Patrzy na Madde, jakby chciała ją prosić o wsparcie. Jakby Madde miała pojęcie, jakby cokolwiek wiedziała o chłopaku Vincenta.

– No tak, na pewno – mówi Madde. – Na pewno by chciał.

Gdyby kogoś kochała, chciałaby, żeby ta osoba była w możliwie jak najbezpieczniejszym miejscu. W miejscu, w którym mogłaby ją znaleźć.

I nie chce, żeby Vincent zostawił je same.

Stoją bez słowa i patrzą na rozsuwające się drzwi. Za trójkątem ze światła, które wylewa się z windy, kładą się ciężkie cienie. W niektórych miejscach migają zielone i pomarańczowe punkciki. Lampki ogromnych urządzeń kuchennych.

Calle nasłuchuje dźwięków dobiegających z ciemności. Słyszy jedynie szum agregatów chłodniczych. Spogląda na Filipa.

Antti wzdycha zirytowany, wychodzi z windy. Idzie przesadnie wyprostowany z rozpostartymi ramionami. Przypomina małego pieska, który próbuje wyglądać na dużego i groźnego. Efekt jest wprost przeciwny do zamierzonego.

Calle wchodzi do kambuza razem z dziećmi zaraz za Marisol i Filipem. Ostatni z windy wychodzi Mika.

Pod sufitem słychać brzęczenie i jarzeniówki budzą się do życia. Antti stoi przy włącznikach światła. W mocnym świetle widać wyraźnie, że jest czerwony, niemal purpurowy na twarzy. Błyszczą ogromne blaty robocze ze stali nierdzewnej, wielkie piece, grille, suszarnie komorowe, frytkownice. Wszystko starannie oczyszczone, bez najmniejszej plamy. Gdyby to był zwykły rejs, niedługo zaczęłyby się przygotowania do śniadania. Na ścianie przy zmywarkach wiszą: tablica z grafikiem, kilka pocztówek z dziewczynami w bikini na słonecznej plaży i... szary telefon zaraz obok.

Vincent.

Jeśli nie zadzwoni, może sobie nadal wmawiać, że Vincent jest w apartamencie. Bezpieczny. Ale jeśli zadzwoni i Vincent nie odbierze...

– Musimy zebrać broń – mówi Antti, otwierając i zatraskując szuflady.

Calle puszcza ostrożnie dłoń Albina i podchodzi do czterech długich blatów otoczonych przez wielkie lodówki. Wyciąga szufladę spod jednego z blatów. Patrzy na ułożone w równym rzędzie noże kuchenne.

– Tutaj jest cała masa broni.

Marisol staje przy blacie obok. Wyjmuje dwa tasaki i tłuczek do mięsa. Spotykają się spojrzeniami. Calle czuje instynktownie, że mogliby się polubić. Kładzie przed sobą kilka noży kuchennych. Dotyka ostrożnie ich krawędzi. Są dopiero co naostrzone. Zastanawia się, które są lepsze: duże czy mniejsze. Czy dzieci powinny również dostać noże?

– Potrafisz zrozumieć, że to robimy? – pyta.

Marisol kręci głową. Pochyliła się nad blatem i ociera czoło.

– Zabiłam tutaj kobietę – niemal szepcze. – Była jedną z nich... ale...

Przełyka ślinę.

– Nie wiem, czy potrafię znów to zrobić – kończy po chwili.

– Wiem. To znaczy ja też nie.

Odsuwa od siebie myśl o mężczyźnie z dreadami.

O tym, co wypłynęło z jego głowy.

Calle patrzy na noże, które wyjął. Nagle myśli, że miałyby ich użyć, wydaje mu się śmieszna. Rozgląda się za dziećmi.

Lo podchodzi do niego. Podaje mu duże nożyce kuchenne ze stali nierdzewnej. Pół kroku za nią stoi Albin. Jego oczy są przerażająco puste. Szklane.

– Powinny się przydać – stwierdza Lo.

Wygląda tak dziecinnie i dorośle jednocześnie.

Calle przytakuje. Musi odwrócić wzrok, kiedy bierze od niej nożyce. Jej i Albina nie powinno tu być. Powinni teraz leżeć bezpieczni, każde w swoim łóżku w domu.

Przesuwa wzrokiem po zmywarkach, stosach naczyń. Po myjkach ciśnieniowych wiszących jak uśpione węże na hakach. Patrzy znów na telefon. Zadzwoni. Za chwilę. Musi tylko najpierw zebrać myśli.

Nagle rozlega się donośny chrzęst, a po nim grzechot. Antti wyciągnął kilka szuflad i wyrzucił ich zawartość na podłogę. Trzepaczki, łyżki do makaronu, praski do ziemniaków rozsypały się szerokim półkolem.

– Kurwa, możesz być trochę ciszej? – wścieka się Filip.

Antti podnosi na niego wzrok. Wyciąga kolejną szufladę. Wysypuje demonstracyjnie jej zawartość na podłogę.

– Próbuję tylko być choć trochę skuteczny. Może też byś spróbował.

– Zwabisz ich tu. Nie rozumiesz?

Antti patrzy na Filipa z pogardą.

– Zamknij się, ty jebany niedorobie!

– Nie może być – mówi Lo ściszym głosem do Albina. – Może któryś z nich mógłby tu wpaść i go sprzątnąć?

Calle ledwo ją słyszy. Nienawiść buzuje w nim, kiedy patrzy na Anttiego. Ledwo rozpoznaje samego siebie, tak silne jest to uczucie.

Potem jednak dochodzi do niego, że jest dokładnie na odwrót. Zna tę nienawiść aż nadto dobrze. Był tylko zbyt słaby, żeby powiedzieć coś Anttiemu, kiedy razem pracowali. Teraz ma ochotę go uderzyć. Wymierzyć cios w tę jego poczerwieniałą twarz. Skopać ją butami.

Nienawiść jest bardzo przyjemna. Ogień wypala strach. Zacierza na chwilę wszystkie myśli o zakażeniu, Vincencie, Pii, dzieciach.

– Kurwa, Antti – odgryza się Filip. – Wsadź sobie tego swojego pieprzonego macho w dupę.

– Lepiej wsadź go swojemu koledze – odpowiada Antti. – Na pewno by mu się to spodobało. Kurwa mać, że też muszę tu być, kurwa, z samymi babami i bachorami, i mafią politycznie poprawnych.

– Nie daję rady – odzywa się Mika.

Calle prawie o nim zapomniał. Rozgląda się. Zauważa go skulonego na podłodze koło suszarek.

– Kolejny – parska Antti.

– Nie chcę tu być – jęczy Mika. – Dlaczego to musiało się przytrafić akurat mnie?

– Tobie? – mówi Calle. – Ty przynajmniej żyjesz, w odróżnieniu od tych wszystkich tam w mesie. I jeszcze Pii i Jarna. I tych wszystkich pasażerów, którzy...

– Po prostu nie rozumiem, co takiego zrobiłem, żeby sobie na to zasłużyć.

– Raczej nikt sobie na to nie zasłużył – Filip prawie krzyczy. – Kto twoim zdaniem powinien się tu znaleźć?

Mika patrzy na nich ze złością, jakby to było wyjątkowo niesprawiedliwe, że odmawiają mu prawa do uzalania się nad sobą.

– Uspokójmy się wszyscy – mówi Marisol. – Nie wiemy nawet, z czym mamy, kurwa, do czynienia.

– Ja wiem – odzywa się Lo. – Ja wiem co to jest, ale mi nie uwierzycie.

Calle odwraca się do niej.

– To są wampiry – stwierdza Lo.

– Lo...

– No przecież, że tak. Nie rozumiecie?

– Baby i bachory – mruczy pod nosem Antti.

– Najpierw myślałam, że to zombie – mówi dalej Lo. – Ale zombie nie potrafią myśleć ani rozmawiać. Sami go widzieliście, Dana Appelarena, on potrafił, choć był jednym z nich. I jeszcze ta, która nam pomogła.

– Możecie kazać jej się zamknąć? – syczy Antti. – Nie mam zamiaru wysłuchiwać jakiejś gówniary, która naoglądała się za dużo horrorów.

Oczy Lo zwięzają się, kiedy kieruje swoje spojrzenie na niego.

– No to spróbuj znaleźć jakieś naturalne wytłumaczenie – mówi. – Na pewno będzie dużo bardziej przekonujące.

Wampiry.

Może to znak, że zaczyna wariować, ale to jest właśnie to słowo, dzięki któremu wszystko trafia na swoje miejsce. Jakkolwiek absurdalnie to brzmi, to jest najbardziej racjonalne wytłumaczenie tego niewytłumaczalnego, co właśnie dzieje się na całej „Charismie”.

Zęby. Ugryzienia. Cała ta krew. Śmierć. Chaos w mesie. Kobieta z nożem w gardle, która szukała po omacku rękojeści, gdy lała się z niej krew. Mężczyzna z dreadami, który nie zastygł, dopóki jego głowa nie została całkowicie zmiażdżona.

Zalewają go obrazy z mesy, jego mózg zaczyna buksować i Calle niemal traci kontrolę nad sytuacją. Czuje się, jakby dobiegł do granicy szaleństwa i zdążył zatrzymać się w ostatniej sekundzie. Kręci mu się w głowie, ale nie wpada w przepaść. Jeszcze nie.

Wie jednak, że przepaść tam jest. Czeka na niego.

– Pia powiedziała, że Dan był z jakimś małym chłopcem – mówi Mika. – Uważa, że chłopiec też jest jednym z nich.

– Ta kobieta wspominała coś o swoim synu. – Lo patrzy na Callego.

– Aha. – Antti kiwa głową i śmieje się teatralnie. – Czyli wszystko jasne. No to jak? Gdzieś tu powinien być czosnek. Czy może raczej usiądziemy i wystrugamy kilka kołków osinowych?

– Być może powinniśmy – mówi Lo. – Ona powiedziała, że musimy zniszczyć serce i mózg.

– To są terroryści – stwierdza Antti i rozgląda się dokoła. – Czy może ktoś jeszcze wierzy w te

bajeczki?

Calle chowa twarz w dłoniach. Dotyka nacięcia na czole. Rana piecze go od potu na czubkach palców.

– Nie wiem, w co wierzę – mówi Filip. – Nie ma znaczenia, jak ich nazwiemy. Pytanie brzmi, co teraz robimy.

Antti kopie jedną z szuflad leżących na podłodze.

– Musimy zatrzymać prom, żeby móc spuścić łodzie do wody – przypomina Marisol.

– Henke i Pär próbowali dostać się na mostek i... – zaczyna Antti.

– Okej. W takim razie spróbujemy w maszynowni. Czy ktoś wie, jak się robi *shutdown*?

Antti wzdycha.

– To proste – mówi niemal z niechęcią. – Wystarczy wylać kilka wiader wody na główną rozdzielnicę elektryczną. Zatrzymają się pompy i silnik nie będzie mieć ani dopływu paliwa, ani chłodzenia.

Patrzą na siebie.

– Dobra – wzdycha Marisol. – Mamy plan.

Calle patrzy na telefon przy tablicy ogłoszeń. Jeśli mają to zrobić, musi wcześniej zadzwonić.

„Może nie będę mieć więcej okazji”.

Ta myśl jest zbyt dominująca. Odpycha ją. Musi panować nad sobą.

Z bijącym sercem podchodzi do telefonu. Podnosi słuchawkę. Wciska brudne przyciski. 9. 3. 1. 8.

Rozlega się sygnał. Kolejny. Jeszcze jeden.

– Halo – słyszy zdyszany głos Vincenta.

Plastikowa słuchawka trzeszczy, kiedy ją ściska.

– To ja.

Musi oddychać głęboko i powoli, żeby nie wybuchnąć płaczem. Jeśli to zrobi, wpadnie do przepaści i nigdy się z niej nie wydostanie.

– Gdzie jesteś? – pyta Vincent niskim głosem.

– Jestem w kambuzie. W kuchni.

– Wszystko u ciebie okej?

– Tak. U mnie okej.

W liniach telefonicznych biegnących przez „Charismę” szumi i buczy. Tak jakby chciały przypomnieć, że rozmowa może się urwać w każdej chwili.

– A ty? U ciebie okej? Nie zostałeś ugryziony?

– Nie.

Jedno krótkie słowo, które wszystko zmienia.

Calle czuje ulgę ogarniającą całe ciało. Łzy cisną mu się do oczu.

– Chciałbym, żebyś tu był – mówi Vincent.

Calle przełyka kilka razy ślinę, żeby pozbyć się grudki, która rośnie mu w gardle. Szumy na linii przypominają szum wiatru w koronach drzew, odległe szepty.

– Ja też – udaje mu się wydusić.

– Co się dzieje z tymi ludźmi? Wiesz coś?

Wampiry.

– Nie.

– Jesteś tam bezpieczny?

Kilka łez przelewa się przed dolną powiekę. Staczają się gorące po jego policzku.

– Chcemy spróbować przedostać się do maszynowni i zatrzymać prom. Będziemy wtedy mogli spuścić łódzie ratunkowe do wody... i ktoś z zewnątrz zauważy, że coś jest nie tak, prędzej czy później...

Milknie. Nagle dociera do niego, że ludzie, którzy zjawią się tu, żeby ich ratować, również znajdą się w niebezpieczeństwie.

Opiera się o ścianę. Próbuje się uspokoić. Nie dać się przytłoczyć przez ogrom tego wszystkiego. Skupić na jednej rzeczy. To jedyny sposób, żeby nie oszaleć.

– Nie możesz zostać tam, gdzie jesteś? – pyta Vincent. – Proszę cię. Zrób to dla mnie.

– Musimy spróbować.

Vincent nie odpowiada. Calle chciałby już tylko, żeby coś powiedział. Cokolwiek, żeby jeszcze choć przez chwilę mógł się uczeplić jego głosu. Ale Vincent milczy.

– Zostań w apartamencie. Obiecuj, że stamtąd nie wyjdiesz – mówi Calle. – Jeśli nie uda nam się zatrzymać promu, przyjdę do ciebie najszybciej, jak tylko będę mógł.

– Czekam tutaj.

„Czekaj. Kocham cię. Nie pozwól, żeby coś ci się stało”, myśli Calle.

– Niedługo się widzimy – mówi.

– Tak. Niedługo się widzimy.

W głosie Vincenta chyba słychać łzy. Calle nie chce kończyć rozmowy. Mimo to wymrukuje pożegnanie i zmusza się do odłożenia słuchawki na widełki.

– Albin? Lo? – woła, a jego głos jest zaskakująco opanowany. – Chodźcie, spróbujemy zadzwonić do waszych rodziców.

Ociera ostatnie łzy z oczu. Odwraca się do pozostałych.

Filip znalazł kilka szarych wiader z plastiku. Odrywa kawałek srebrnej taśmy. Przymocowuje nóż kuchenny do długiego metalowego pręta, który wygląda jak kij od mopa.

– Dodzwoniłeś się do niego? – pyta, patrząc na Callego.

Calle kiwa głową.

– Dobrze – mówi Filip i wyciąga przed siebie swoją prowizoryczną włócznię.

Wydaje się tak zadowolony, że Calle nie może powstrzymać uśmiechu.

Vincent jest bezpieczny. Dopiero teraz dociera do niego, jak blisko był tego, żeby się poddać.

Adam czeka na niego przed salonem gier na ósmym piętrze. Dan przechodzi nad ciałami leżącymi w korytarzu przed Poseidonem, stawia ostrożnie stopy. Słyszy, jak ocierają się o siebie. Niektórzy podnoszą głowy. Odprawdzają go wzrokiem, kiedy przechodzi.

Jest zmęczony.

Gdyby tylko mógł nasycić się tym, co wydarzyło się w mesie.

Tym razem przynajmniej wszyscy go widzieli. Teraz już wiedzą, że to on stał za tym wszystkim. Kiedy znów się obudzą, pójdą za nim. I kiedy odzyskają już zdolność myślenia, będą wiedzieć, że to Dan dał im nowe życie.

Staje obok Adama. Patrzy razem z nim przez okno. W miejscu, w którym morze styka się z niebem, dostrzega zmianę barwy na jaśniejszą. Zastanawia się, czy jego ludzkie oczy w ogóle by ją zauważyły.

Kolejny poranek. Całkowicie nowy świat. I nikt poza „Charismą” o tym jeszcze nie wie.

– Dobrze poszło? – mówi Adam.

– Tak.

Ich odbicia w szybie są przezroczyście. Twarz Dana jest napuchnięta. Koszula naciągnięta na wypełnionym krwią ciele. Odwraca oczy. Spotyka się wzrokiem z Adamem. Myśli o tym, co powiedziała jego mama.

Adam nikomu więcej się nie podporządkuje. Dan również nie ma zamiaru tego zrobić. Może powinien zabić Adama, tu i teraz. Wyjść na spotkanie nowego świata bez niego. Zabrać ze sobą armię nowo narodzonych.

– Nie znalazłem matki – mówi Adam. – Nie wyczułem nawet jej zapachu.

– Była tutaj.

Adam odwraca się do niego, lecz Dan wciąż patrzy przez okno. W słabym świetle na zewnątrz woda przypomina rtęć.

– Pomogła uratować się kilku osobom.

– I pozwoliłeś jej to zrobić? – dziwi się Adam.

Dan przygryza wargi. Patrzy na Adama. Przetrącenie tego małego karku wydaje się tak łatwe. Byłoby jednak błędem dać się nabrać na delikatną powierzchowność Adama. Musi zaczekać, aż poczuje się lepiej.

– Komu pomogła? – pyta Adam.

– Kilku loserom. Nikomu ważnemu. I kilku dzieciakom.

Na myśl o jasnowłosej dziewczynce krew zaczyna w nim szybciej płynąć. Była taka młoda. Taka świeża.

– Ma słabość do dzieci – stwierdza Adam, a jego słodkie usteczka napinają się. – Czy ci, którym udało się uciec, mogą oznaczać dla nas jakiś kłopot?

Dan kręci głową. Co może zrobić jakiś cienias ze sklepu wolnocłowego? Zapsikać ich na śmierć dezodorantem?

Adam siada w oknie. Nogi zwisają mu nad podłogą, uderza bucikami o ścianę. Wbija w Dana swoje niebieskie oczy.

– Na pewno? – pyta.

– I tak długo nie pociągną. Jeden z nich niedługo się przemieni. To tylko kwestia czasu. Zajmie się nimi.

Widzi przed sobą znenawidzoną twarz. Wyobraża sobie, jak będzie wyglądać z nowymi zębami. Ze strachem i głodem w oczach. Na myśl o tym niczego jednak nie czuje.

Za plecami Dana chrząka jeden z nowo narodzonych.

– Może mógłbyś się skupić na tych, którym się nie udało uciec? – Dan nie dodaje „dzięki mnie”, bo zauważył, że jego głos zabrzmiał jękliwie, defensywnie. – Zostało tylko parę godzin. Twoja matka nie może już nic zrobić.

– Będzie próbować – mówi Adam, jakby głośno myślał.

– No to musisz sobie z nią poradzić.

Nie chce o tym rozmawiać. Kiedy zobaczył matkę Adama w mesie, widział wyraźnie, że chce go zabić.

Nie po to przecież dostał to wszystko, żeby teraz to stracić. Teraz straciłby dużo więcej życia. Dużo więcej lat. Dużo lepszych lat.

– Bądź mężczyzną, kurwa – dodaje. – Nawet jeśli na takiego nie wyglądasz.

Przyglądają się sobie i Adam pierwszy odwraca wzrok.

– Nie martw się o matkę – mówi. – Załatwię to. Masz rację. Ciesz się tym, co osiągnęliśmy. Zrobiłeś dobrą robotę.

Dan przytakuje. Nie potrzebuje potwierdzenia od Adama, ale nie ma już siły na słowne przepychanki.

– Musisz być bardzo zmęczony – domyśla się Adam.

Dan kiwa głową. Rzeczywiście jest. Zmęczony do szpiku kości.

– Uważam, że powinieneś odpocząć przez te ostatnie godziny, zanim dopłyniemy. Będziesz wtedy potrzebować nowych sił. Myśl o tym, co nas czeka. To dopiero początek.

Dan przytakuje. Tak. Odpocząć. Właśnie tego potrzebuje.

Nawet wie gdzie. To miejsce, które powinno należeć do niego przez cały czas.

Będzie siedzieć na głównym parkiecie, kiedy przyplyną do Finlandii, a świat obudzi się w dniu, który będzie się różnił od wszystkich w całej jego długiej historii.

– Abbe – woła tata. – Abbe, gdzie jesteś?

Nie jest ani tym złym tatą, ani tym płaczącym. Jest tatą, jakiego Abbe nigdy wcześniej nie słyszał. Jego głos brzmi dziecinnie. Tak jakby zamienili się z Albinem miejscami i teraz to on był dorosły.

I pił. Tak dużo, że ledwo słyhać, co mówi.

Nie wie nawet, dlaczego czuje się zawiedziony. Czego innego się spodziewał? Że tata stanie się tym tatą z bajek, które opowiadał mu, kiedy Albin był mały? Z bajek o tacie, który jest odważny i walczy z potworami, a potem wszystkich ratuje?

– Jestem w kambuzie razem z Lo – odpowiada. – Tam, gdzie robią jedzenie.

Czy naprawdę minęło dopiero kilka godzin, od kiedy siedzieli razem w restauracji?

– Gdzie jest Cilla? – pyta tata. – I Linda?

– Nie wiem – odpowiada i zerka na Lo. – Nie są z tobą?

I Lo od razu rozumie. Próbuje niczego po sobie nie pokazać, ale całe jej ciało zapada się, jakby ktoś przeciął niewidzialny sznurek, który do tej pory utrzymywał ją w pionie.

– Jestem tu całkiem sam – mówi tata. – Dlaczego zniknęliście?

Albin kręci kablem telefonu. Okręca palec wskazujący miękką spiralą z szarego plastiku.

– Musiałem porozmawiać o czymś z mamą.

– Dlaczego nie przyszedłeś do mnie? Byłem przecież tuż obok!

Kabel zaciska się i czubek palca robi się ciemnofioletowy.

– Nie wiem.

– Ja też nie wiem – jęczy tata.

Zaczyna płakać do słuchawki, mokro i obrzydliwie, i teraz Albin go rozpoznaje.

– Przyszedłbym, gdybym mógł – mówi Albin. – Nie da się.

Gdy tylko wypowiada te słowa, już wie. Nie ma zamiaru nawet spróbować. Nie ma zamiaru siedzieć w zamkniętej kabinie razem z tatą.

O wiele bardziej woli być z Callem i pozostałymi.

– No to powiedz, jak ja mogę do ciebie przyjść – szlocha tata.

Albin wyplątuje palec z plastikowego kabla. Zrobił się wilgotny od potu.

– To niemożliwe.

– Zwariuję tutaj.

„Ty już zwariowałaś. A ja nie chcę cię widzieć. I nie chcę, żeby Calle i ci tutaj cię zobaczyli. Wszystko byś zniszczył”.

– Muszę iść. Jeśli prom się zatrzyma, postaraj się wejść szybko na dach. Tam są łodzie ratunkowe.

– Abbe, Abbe, nie rozłączaj się! Wiesz, że kocham cię najbardziej na świecie, muszę...

– Przepraszam tato. Ja też cię kocham.

Musi stanąć na palcach, żeby odłożyć słuchawkę. Kiedy się odwraca, Lo patrzy na niego pustym wzrokiem.

– Nie ma ich tam – mówi, choć wie, że Lo i tak się wszystkiego domyśliła. – A ja nie chcę tam wracać. Lo kiwa bez słowa głową.

– Dodzwoniłeś się? – woła Calle.

Albin patrzy w jego kierunku. Przechodzi mu przez myśl, że może Calle i pozostali wcale nie chcą zajmować się nim i Lo. Ten cały Antti na pewno nie chce, ale jego przynajmniej nikt nie słucha. A Calle, Calle przecież powiedział, że nie może... Tylko że wtedy wszystko było inaczej, prawda?

– Tylko do taty – mówi. – Wolelibyśmy zostać z wami do czasu, aż znajdziemy mamę i ciocię.

– Czy nie powinniście... – zaczyna Calle.

Nagle jednak jakby coś zrozumiał, bo milknie. Kiwa głową. Marisol stanęła obok niego z jedną z posklejanych przez Filipa włóczni. Uśmiecha się ciepło do Albina.

– Wiadomo, że będziemy trzymać się razem – zapewnia.

– Gdzie ostatnio widzieliście wasze mamy? – odzywa się Filip znad blatów roboczych.

– W kawiarni – mówi Lo. – Potem pewnie poszły do punktu informacji, bo przez głośniki nadawano wiadomość...

– W takim razie rozmawiały z tobą, Mika – stwierdza Filip. – Pamiętasz je?

Albin przeklina pod nosem. Dlaczego o tym nie pomyślał? Przecież rozpoznał Mikę. Jasne, że to z nim rozmawiała mama i Linda.

– Moja mama jeździ na wózku. – Albin podchodzi do mężczyzny siedzącego na podłodze. – A ciotka Linda ma długie, jasne włosy.

Mika nie odpowiada.

– Halo? – mówi Calle. – Słyszysz mnie?

Żadnej reakcji. Albin widzi, że oczy Miki są otwarte. Jakby patrzyły w wielką pustkę.

– Mika? – Calle podchodzi do niego, kuca obok.

Dotyka szyi Miki.

– Calle, kurwa! – woła Filip i podbiega do niego z włócznią na ramieniu. – Uważaj!

– Nie mogę znaleźć pulsu – szepcze Calle i podnosi wzrok na Filipa.

– Nie może być – mruczy Lo. – Nie może, nie może być.

– Odejdź od niego Calle – nalega Albin. – Proszę cię.

Calle rozpina marynarkę Miki, błyskają złote guziki. Rozchyła ją.

Koszula jest rozerwana na piersiach. Ma dużą plamę krwi. Calle zapina marynarkę. Wyciera ręce o dzinsy.

Cholerny idiota. Dlaczego nic nie powiedział?

Marisol kładzie Callemu rękę na ramieniu i on wreszcie odsuwa się na taką odległość, żeby nie dosięgły go ręce Miki. Podchodzi do blatu kuchennego. Otwiera dolną szafkę.

– Co robimy? – pyta Antti. – Teraz jest jednym z nich?

– Będzie – mówi Lo.

– Ona ma rację – potakuje Filip. – Ta kobieta w Starlight też z początku wydawała się martwa.

Calle wraca z jaskrawożółtymi gumowymi rękawicami na dłoniach. Kuca znów przy Mice.

Albin czuje, jakby wszystko w jego brzuchu powoli się napinało i stawało coraz twardsze. Zwijało w kulkę takich samych czerwonych węży jak te, które wypadły z mężczyzny z długimi włosami na dachu promu.

„Nieważne, jaki mamy kolor skóry, w środku jesteśmy tacy sami”.

Mama zawsze tak mówiła, kiedy jako dziecko zadawał pytania, dlaczego tak bardzo się od siebie różnią. Nigdy jednak nie rozumiał, co to miało wspólnego z jego pytaniem.

Mama. Gdzie jest teraz?

Usta Albina napęniają się śliną. Kiedy ją przelyka, smakuje zimno i metalicznie.

Calle przyciska ostrożnie brodę Miki. Usta otwierają się i wylewa się z nich krew.

Filip staje tuż za Callem. Prostuje rękę z kijem do mopa, tak że nóż celuje prosto w twarz Miki.

Albin podchodzi bliżej. Nie może się opanować.

– Niech to diabli – klnie Calle. – Spójrz tutaj.

Zęby Miki wypadają z dziąseł, gdy tylko ich dotknie.

– Wystarczy – mówi Filip. – Odejdź.

– Czeka.

Calle odchyła do tyłu głowę Miki i górne światło wpada mu prosto do ust. W środku widać białe punkciki. Poruszają się w zakrwawionych dziąsłach.

– Czyli tak to wygląda – stwierdza Calle i wstaje.

– Zaraz może się obudzić – mówi Marisol. – Musimy wyjść.

W głowie Albina świta wspomnienie. Zdjęcie z podręcznika do biologii, o którym przez kilka dni nie mógł przestać myśleć. Rentgen głowy dziecka. Zęby stałe osadzone równymi rzędami wysoko w dziąsłach, gotowe, czekające na moment, by móc się wybić, kiedy dziecko straci mleczaki.

Calle odkłada rękawiczki na blat.

– Napełnijmy wiadra. Szybko – mówi.

– On się rusza! – woła Lo.

Mężczyzna na podłodze mruga oczami. Krzywi się. Ręce zaczynają się trząść, uderzają o biodra. Usta otwierają się jakby ze zdziwienia.

Albin się odwraca. Próbuje coś powiedzieć, ale nie może wydobyć z siebie głosu. Chce biec, ale nie wie jak. Lo szarpie go za ramię, wypowiada jego imię. Nie może do niego dotrzeć. Nikt nie może. Jego prawdziwe ja siedzi skulone gdzieś głęboko w ciele, chowa się w forticy z ciała i kości.

Pozostali krzyczą, wykonują jakieś szybkie ruchy. Lo przysuwa twarz do jego twarzy, a mimo to jest bardzo daleko. Czy próbuje mu powiedzieć, żeby się ruszył? Tylko jak?

Coś piecze go w policzek, jest jednak tak odległe, że nic nie czuje, i nagle dociera do niego, że Lo

uderzyła go w twarz.

– Abbe – mówi. – Co z tobą?

Nie potrafi wytłumaczyć. Gdyby zaczął tłumaczyć, mógłby to zniszczyć. Chce zostać tam, gdzie jest. Schowany wewnątrz siebie.

– Abbe, nie poradzę sobie bez ciebie – prosi Lo. – Musisz wrócić.

Patrzy na nią.

– Słyszysz mnie w ogóle? Proszę cię. Nie załamuj się teraz. Możemy to zrobić potem, kiedy będzie po wszystkim.

Czuje, jak jego głowa kiwa się bezwiednie, robi to dla niej, bo chyba tego potrzebuje. Tylko co ona ma na myśli, mówiąc: „kiedy będzie po wszystkim”? To się nigdy nie skończy.

Trzęsie się tak gwałtownie, że kij od mopa o mało nie wypada mu z ręki. Patrzy na Mikę, który próbuje wstać, zaparłszy się plecami o suszarkę. Twarz kurczy mu się z bólu, zamienia w straszliwą maskę.

– Zabij go – mówi Antti.

Filip kręci głową. Niby jak miałby to zrobić?

Nie ma znaczenia, co tak naprawdę myślał o Mice. Pracowali razem ponad piętnaście lat.

– W przeciwnym razie on nas zabije – stwierdza Lo.

– Wiem! – mówi Filip i unosi trzonek, tak że koniec noża tańczy przed okiem Miki. – Wiem..

Patrzy na Marisol. Całe jej ciało jest naprężone, jakby składało się tylko z jednego mięśnia. Gotowe.

Mika staje. Przykłada dłoń do ust. Zaczyna wyjmować zęby jeden po drugim. Pociąga nosem, jakby płakał, ale oczy ma suche.

– Kurwa – słyszy samego siebie Filip. – Zostawmy to. Spadamy.

– Musimy zabrać wodę – przypomina Antti. – Zrób to wreszcie.

– Dlaczego ty tego nie zrobisz? – syczy Filip. – To ty chciałeś przerobić ich wszystkich na kiełbasę!

Teraz masz okazję!

Antti nie odpowiada. Cholerny cienias.

Zerka na dzieci. Dziewczynka jest wystraszona, chłopiec wygląda, jakby go tu nie było. Filip ściska mocno trzonek. Zamyka oczy. Znów otwiera. Próbuje wycelować czubkiem noża. Ostrze jest długie. I wąskie.

Z głębi gardła Miki wydobywa się gulgot i Filip uderza włócznią prosto przed siebie.

Nóż wsuwa się w oko, aż do samego końca, aż czubek noża wbija się w kość czaszki od wewnątrz. Mika wyje, jedna, bardzo długa samogłoska, cienka i bezbarwna. Filip porusza trzonkiem kija. Nóż obraca się w środku. Skrobie o brzegi oczodołu. Rozrywa wszystko. Gdy Filip wyjmuje nóż, ostrze jest lepkie od krwi i pociętych tkanek, a Mika zapada się jak góra brudnego prania.

„Jak zabić potwora i samemu się nim nie stać?”

Myśl przebija się do niego z podświadomości. Filip zastanawia się, czy gdzieś to przeczytał czy raczej usłyszał.

Jak będzie mógł żyć z tym, co widział? I z tym, co zrobił?

Z pomieszczeń wspólnych promu już niemal całkiem poznikwały żywe ciała. Bardzo niewielu osobom udało się znaleźć kryjówki na pokładzie zewnętrznym, na mniej uczęszczanych korytarzach, w nieczynnych restauracjach, gdzie się zabarykadowali. Nowo narodzeni są coraz bardziej zdesperowani. Niektórym zaczęła wracać pamięć. Nie są to jeszcze do końca myśli, ale to wystarczy, żeby ich instynkty poprowadziły ich przez korytarze z powrotem do ich kabin. Rzucają się na zamknięte drzwi. Szarpiają za klamki. Niektórzy zostają wpuszczeni do środka przez ludzi, którzy ich kochają. Zwabiają innych nowo narodzonych, którzy ciągną za nimi, żeby bić się o zdobycz. Z innych kabin słychać krzyki osób, które zamknęły się z zarażonymi wcześniej.

Ciemnowłosa kobieta próbuje za wszelką cenę nie ulec pokusie. Nie poddać się wabiącym ją zapachom. Wciąż jest wstrząśnięta tym, co wydarzyło się w mesie. Nie ma już odwrotu. Przestała szukać swojego syna. Teraz próbuje go raczej unikać. Chce, żeby zauważyli ją nowo narodzeni, żeby ruszyli za nią korytarzami.

W mesie część ciał podniosła się z podłogi. Węszą w powietrzu, ale w środku nie zostało nic, co by mogło zaspokoić ich głód. Potrzebują tego, co żyje, co pulsuje, tylko to jest w stanie ukoić ich ból.

Na klatce schodowej niedaleko stamtąd stoi na czworakach mężczyzna. Jego żona ma na imię Lillemor, ale on teraz o niej nie pamięta. Szarpie ramieniem, które utknęło w poręczy schodów. Musi się uwolnić. Musi zjeść. Gryzie nadgarstek swoimi nowymi zębami. Odrywa duży kawał mięsa, wypluwa. Ogryza kości, aż w końcu ramię wisi na samych cienkich żyłach i resztkach skóry. Szarpie i rozrywa, a metal skrzypi wściekle. Za chwilę się uwolni. Za chwilę będzie mógł polować. Krew z ramienia ścieka na podłogę, kapie na mężczyznę na podeście poniżej. Tamten jeszcze się nie obudził. Ale jego nowe zęby zdążyły się wyrżnąć.

Kobiecie udało się sprowadzić stado nowo narodzonych po wąskiej klatce schodowej z piątego piętra. Otwiera drzwi na pokład samochodowy jedną z kart, które wzięła od zabitych w mesie. Intensywny zapach benzyny przynosi jej ulgę, czyści te wszystkie zapachy, przed którymi musi się bronić. Tu na dole wibracje promu są bardzo wyraźne. Słychać ciche pobrzękiwanie łańcuchów stabilizujących ciężarówki. Patrzy na swój kamper. Dotyka medalionu. Myśli o tym, co razem przeszli. O tych wszystkich latach, o czasie, który skradli. Chłopiec, którego kochała ponad wszystko, zniknął na zawsze. Nadal nie rozumie, jak do tego doszło, jak znalazł mężczyznę, który tu pracuje. Myśli o tym, że musiał przygotowywać się od dawna. Pracować z pełną świadomością. Sprawnie. Zrozumiała jednak, że spryt jej syna jest dla niej również błogosławieństwem. Dzięki temu może zapobiec jeszcze większej katastrofie, tak by ktoś spoza promu nie dowiedział się, co się tu wydarzyło. Jeśli jej syn wraz z pomocnikiem nie byli dość dokładni, żeby odciąć całą komunikację ze światem zewnętrznym, nagrania i zdjęcia z setek i kolejnych setek telefonów zaczęły rozchodzić się po świecie. Nie wierzy, że uda jej się uratować syna albo samą siebie. Wciąż jednak ma szansę, żeby uratować świat przed „Baltic Charismą”. Zamyka drzwi za nowo narodzonymi. Wchodzi ciasną klatką schodową na prom, żeby sprowadzić kolejnych.

Madde siedzi na jednym z tapicerowanych krzeseł przy stole w jadalni. Stuka paznokciami o blat. Patrzy w kierunku okna. Niebo pojaśniało. Zaczyna się zmieniać z najciemniejszej szarości do najgłębszego błękitu. Niedługo słońce wychynie znad morza. Chce zawołać, żeby się pospieszyło. Nieprzenikniona ciemność, przez którą płynęli, wydawała się tak odwieczna, jakby czas się zatrzymał.

Gdzieś tam przed nimi jest Turku. Tyle razy pływała „Charismą”, a nigdy nie widziała portu. Zawsze spała, kiedy przyplływali na miejsce.

– Możesz przestać? – mówi Marianne. – Proszę.

Madde uderza jeszcze kilkakrotnie, w końcu jej dłoń nieruchomieje. Czuje, jak blat stołu delikatnie wibruje. To silniki, które chłopak Vincenta spróbuje zatrzymać.

Co się stanie, jeśli im się nie uda?

– Przepraszam – mówi i patrzy na Marianne. – Po prostu...

Nie wie, co powiedzieć. Marianne kiwa głową.

– Wiem.

Vincent siedzi z głową w dłoniach na kręconych schodach, które prowadzą na antresolę. On również patrzy przez okno.

– Przy dziobie nikogo już prawie nie ma. To znaczy nikogo, kto by się poruszał – dodaje.

Siedzi nieruchomo, cały napięty. Madde go rozumie. Jeśli silniki się zatrzymają, będzie wiedzieć, że jego chłopakowi udało się przynajmniej tyle.

Madde kładzie ręce na krawędzi krzesła. Na gładkim blacie stołu zostały ślady jej spoconych czubków palców. Powoli wyparowują.

Czy na pewno chce, żeby nadeszła pomoc? Co wtedy stanie się z wirusem? Czy zacznie się rozprzestrzeniać, aż w końcu cały świat stanie się jak „Charisma”?

Nagle ma ochotę wstać. Wyjść stąd. Dać się zabić.

Nie musieć czekać. Nie musieć się bać. Niech się to wreszcie skończy.

Podnosi się i patrzy na drzwi. Przyciągają ją do siebie, jakby oddziaływały własną siłą grawitacji.

Zmusza się, żeby podejść do kanapy. Siada obok Marianne, krzyżuje ramiona. Jej ciało przeszywa dreszcz.

Marianne rozumie ją opacznie, podnosi się i wyciąga spod siebie bordowy koc. Okrywa nim jej ramiona i Madde owija się nim ciasniej. Podciąga nogi tak, że niemal cała przykryta jest kocem.

Że też coś tak prostego może sprawić tak ogromną przyjemność. Drzwi nie przyciągają już tak bardzo.

– Nie mówiłaś, czy masz kogoś tam na zewnątrz. – Patrzy na Marianne pytająco.

– Płynęłam sama – odpowiada Marianne bezbarwnym głosem.

– Miałaś dobry wieczór? To znaczy, zanim to się stało?

Marianne milczy. Madde powoli ogarnia senność.

– Rzeczywiście, trochę się działo – odpowiada w końcu Marianne.

Madde nie może powstrzymać uśmiechu.

Powieki robią się ciężkie. Cudownie byłoby zasnąć. Zostawić wszystko na chwilę.

– Cieszę się, że się znaleźliśmy – mruczy.

Otwiera oczy, bo Marianne nie odpowiada. Widzi, jak wyciera łzy z policzka, lekko kiwa głową.

W pokoju rozlega się pikanie jakiegoś elektronicznego urządzenia. Znajomy dźwięk. Serce Madde wyrywa się z piersi, dziewczyna prostuje się.

Słyszy otwierające się drzwi.

– Calle? – woła Vincent i zbiega po schodach, na dole robi tak ostry zakręt, że gdyby nie trzymał się poręczy, na pewno by się przewrócił.

– Nie – odzywa się zmęczony głos i drzwi znów się zamykają.

Vincent stoi nieruchomo pośrodku pokoju. Madde podnosi się z kanapy, wciąż owinięta kocem.

Patrzy na niego. Próbuje jakoś to poskładać.

„Czy przyszedł tu ze względu na mnie? Nie, oczywiście że nie, skąd miałby wiedzieć, że tu jestem?”, myśli Madde.

– Jak się czujesz? – pyta i odgarnia włosy z czoła. – Wszystko w porządku?

Mężczyzna, który stał obok niej na scenie karaoke i śmiał się z jej żartów, ma na sobie zaschniętą krew. Jego piękna twarz jest tak spuchnięta, że trudno go rozpoznać.

Patrzy na nią. I ona już wie.

Patrzy, jak woda wzbiera w szarym wiadrze. Okruchy, pyłki kurzu i zużyty plaster wirują na powierzchni. Pracował na „Charismie” przez kilka lat, a mimo to ma zaledwie blade pojęcie na temat tego, skąd się bierze woda w kranach. Gdzieś muszą się znajdować zbiorniki, i muszą być ogromne, żeby wystarczyło wody do picia, mycia się i gotowania dla tysięcy ludzi.

Woda przewożona tam i z powrotem po wodzie.

Odwiesza z powrotem wąż na haczyk nad zlewem. Stoi w miejscu, wpatruje się w śmieci coraz wolniej wirujące na powierzchni. Widzi przed sobą mężczyznę z dreadami.

Zabił go. Zabił.

– Najpierw załatwimy to – tłumaczy Filip.

Calle zaskoczony podnosi wzrok. Filip rozmawia z dziećmi, które wdrapały się na blat i siedzą obok siebie po turecku.

– Potem przedostaniemy się do łodzi ratunkowych, zabierzemy jak najwięcej osób, które nie są zarażone, i zwiejemy stąd. Bułka z masłem. Na dworze niedługo zrobi się jasno, jesteśmy niedaleko Finlandii. Ktoś nas zobaczy.

– Jasne – potakuje Lo. – Bułka z masłem.

Albin nic nie mówi. Patrzy pustym wzrokiem przed siebie.

– Co ty na to, chłopaku? – pyta Filip.

Nie doczekał się odpowiedzi, więc targa włosy Albina i odchodzi. Calle widzi wyraźnie, jak bardzo mały jest zmęczony i wystraszony. Zastanawia się, jak mógł zapomnieć o tym, że bardzo go lubił. Przypomina mu się ich wspólne zdjęcie zrobione w kabinie Filipa.

Filip podchodzi do niego, chwyta za rączkę wiadra i razem zestawiają je na podłogę. Woda przelewa się przez brzegi. Trafia do buta Callego.

Marisol staje obok nich. Znalazła gdzieś siekierę strażacką, odkłada ją na blat i napełnia wiadro wodą.

– Cieszę się, że dodzwoniłeś się do Vincenta – mówi Filip. – Nie wiem, co między wami zaszło, ale on wygląda na fajnego chłopaka.

– Bo nim jest – potwierdza Calle.

Nagle uzmysłowił sobie, że niewiele wie o tym, jak teraz wygląda życie Filipa. A sam wrzucił go prosto w swoje prywatne piekło. O tyle rzeczy chciałby go zapytać. Potem.

– Jeśli mimo wszystko się pobierzecie, będziecie mieć niezłą historię o oświadczeniach do opowiadania – żartuje Filip i Calle wybucha śmiechem.

– Może umówicie się kiedyś na spotkanie koła gospodyń – woła Antti. – Pospieszcie się, kurwa.

Calle patrzy na windę. Zawiezie ich prosto w dół do bijącego serca „Charismy”. A oni je zatrzymają.

Jest dokładnie tak, jak o tym fantazjowała, tylko widzi to w krzywym zwierciadle. Dan Appelgren idzie w jej stronę przez luksusowy apartament i ma na nią chęć.

W napuchniętej twarzy jego zęby uderzają powoli o siebie.

– To ty – sepleni. – To ty śpiewałaś ten kawałek z *Grease* z tą drugą lochą.

Czuje, jak jego słowa opadają w jej ciele, przesywają jej nogi.

I nagle Madde rozumie sens tego, co on powiedział. Wygląda jak tamci, ale potrafi mówić. Tamci wyglądali, jakby nawet nie potrafili myśleć.

Cofa się w stronę Vincenta, który wciąga ją na schody prowadzące na piętro. Kątem oka widzi, że Marianne wstała z kanapy i stanęła z plecami przyciśniętymi do ściany tak, że między nią a Danem znajduje się stół z krzesłami.

Madde i Vincent wbiegają po kręconych schodach.

Serpentyny szeleszczą miękko, kiedy Dan wsuwa rękę między szczelki poręczy i próbuje ich złapać po omacku. Łapie Madde za stopę, pociąga. Madde upada. Uderza łokciem o kant stopnia. Krzyczy głośno. I potem zalewa ją fala bólu. Udaje jej się wstać. Słyszy, że Dan jest teraz za nią, na dole schodów.

Vincent krzyczy, żeby się schyliła i w następnej chwili nad jej głową przelatuje butelka szampana. Słyszy napawający optymizmem głuchy odgłos, kiedy butelka trafia w Dana. Dobiega na górne piętro, odwraca się, widzi go wchodzącego po schodach.

– Spieprzaj stąd! – krzyczy Madde.

Rozchyła wargi. Jego zęby są stanowczo zbyt białe, jakby wyrastały wprost ze szkieletu.

Całkowicie nowe.

– To wy tutaj nie pasujecie – mówi Dan i stawia stopę na podłodze antresoli.

Vincent rzuca w niego wiaderkiem na lód. Nie trafia i wiaderko uderza w ścianę za Danem z głośnym grzechotem. Vincent bierze kieliszek do szampana, rozbija go o poręcz i kieruje w jego stronę niczym łodyżkę z ostrymi, błyszczącymi płatkami. Kiedy Dan podchodzi bliżej, Vincent chce mu zadać cios w twarz.

Dan chwytą go za przegub i drugą ręką rozdziera jego koszulę, patrząc mu przy tym prosto w oczy.

– Zostaw go! – krzyczy głośniejszym głosem Madde.

Jego zęby, jego skażone zarazą zęby, znajdują się teraz bardzo blisko twarzy Vincenta.

Potem Dan napiera całym ciałem i spycha Vincenta przez poręcz.

Z dołu dobiega głuchy odgłos. Madde ma wrażenie, że łamie się coś twardego.

Marianne krzyczy. Co ona zobaczyła? Co się stało?

Madde się cofa. Dotyka brzegu łóżka łydką. Dan odwraca się do niej. Najgorsza jest jego mina, wyraźnie znudzona. Nie obchodzi go, co zrobił Vincentowi ani co za chwilę zrobi jej. Ona jest tylko

zadaniem do wykonania. Koniecznym, choć nudnym.

– Pozwól nam wyjść – mówi Madde i wchodzi na łóżko, cofa się do wezglowia. – Proszę. Nic nie zrobimy.

– Nic nie zrobicie? – Dan zbliża się do niej jeszcze bardziej. – Co za cholernie szczodra propozycja. Gównu możecie zrobić. Nie skapowałaś się jeszcze?

– Skapowałam – odpowiada szeptem.

Bo przecież wie, że on ma rację. Jak głupia myślała, że jest inaczej. Nie ma nic do zaoferowania i nic, czym mogłaby mu zagrozić. Może się tylko poddać.

Sięga po nią. Szarpie cienki materiał jej sukienki. Madde przewraca się i upada na kolana. Dan uderza ją w twarz, aż piszczyci jej w głowie. Magłowana pościel miękko szeleści, kiedy Dan ją szarpie.

– Zaraz cię, kurwa, zarżnę, ty stara locho – mówi, a oddech z jego ust pachnie słodko zgnilizną i chłodzi jej twarz.

Madde zaciska powieki, kiedy on wgniata jej ramiona w materac, siada na jej brzuchu. Czuje mięśnie jego pośladków, wewnętrzna część jego ud ją ściska. On jest taki ciężki, zgniata jej wnętrzności, tak bardzo ją boli. Madde traci oddech i słyszy, jak jego zęby uderzają o siebie, tak samo jak u Zandry.

Robi się jej ciemno przed oczami i biegnie na spotkanie ciemności. Ciemność ją przyciąga. Madde nie chce być tutaj, kiedy Dan ją ugryzie.

„Czy właśnie tak umrę? – myśli. – Czy właśnie tak to się skończy?”

Ledwo zauważa, że ciężar na jej brzuchu staje się lżejszy, a ucisk wokół jej ramion się rozluźnia. Jej ciało łapczywie chwytą powietrze, walczy o tlen.

Dan stanął w nogach łóżka. Otrząsa się.

– Nie mam siły.

Czy to jakiś makabryczny żart? Dan się z nią bawi?

Madde siada na łóżku. Brzuch boli ją, kiedy oddycha. Boi się go, ale równie mocno boi się nadziei, która zaczęła w niej kiełkować.

– Jestem zmęczony. Chcę mieć spokój. I tak ktoś was dopadnie.

Przechyliła się przez poręcz, patrzy na dół.

– Słyszycie? – ryczy. – Chcę mieć spokój!

Stoi w miejscu, odwrócony do niej plecami. Madde wstaje z łóżka. Piecze ją policzek, boli brzuch. Podchodzi powoli do schodów, nie spuszczaając Dana z oczu, przez cały czas gotowa na to, że się odwróci. Dopadnie ją. Wyśmiej: „Co, dałaś się nabrać?”.

Ale on zdaje się jej nie zauważać. Stoi ze wzrokiem utkwionym w okno.

Madde schodzi po schodach. Widzi jego twarz z profilu. Podbródek zwisa mu ciężko, linia szczęki zrobiła się niewidoczna.

– Zamknijcie za sobą drzwi – mówi Dan bezbarwnym głosem.

Vincent leży na boku pod ławą. Ma trupio bladą twarz. Marianne przykucnęła przy nim. Najwyraźniej właśnie odzyskał przytomność. Krew cieknie mu z dłoni. Madde zauważa kość, która przebiła skórę, i szybko odwraca wzrok.

– Chodźcie – prosi. – Pospieszcie się.

Kroki tuż nad ich głowami. Gdy podnosi wzrok, Dana nie ma przy poręczy.

Wiedziała. Tylko się z nimi bawił. Tak jak kot bawi się z myszą. Pozwolił im uwierzyć, że mu się wymkną, tylko po to, żeby potem móc...

Słyszy ciężkie ciało opadające na łóżko.

Vincent podnosi się z pomocą Marianne i Madde idzie pierwsza w kierunku holu. Przykłada ucho do drzwi. Z korytarza za drzwiami nie docierają żadne dźwięki.

Stąd jest blisko do łodzi ratunkowych, ale kto wie, co spotka ich po drodze.

Uchyła lekko drzwi i wygląda. Nikogo nie ma. Otwiera do końca. Patrzy na wylot bocznego korytarza, na którym znajduje się kabina jej i Zandry.

Marianne i Vincent wychodzą za nią. Marianne złapała cienki szalik w kratkę, który pewnie wisiał w przedpokoju. Kiedy zamykają za sobą drzwi, bierze ostrożnie dłoń Vincenta. Ucisza go i uciska jego dłoń. Rozlega się trzask, Vincent wydaje z siebie głośny jęk. Na jego czole pojawiają się krople potu, ale Marianne już owija mu przegub szalikiem.

– Pracowałam jako sekretarka medyczna – wyjaśnia Marianne, kiedy zauważa na sobie wzrok Madde.
– Wcześniej byłam pielęgniarką.

Madde patrzy na koniec korytarza. Gdzie się teraz, kurwa, podzieją?

– Calle – mówi Vincent. – Jeśli Calle tu przyjdzie...

Marianne zaczyna szukać czegoś w torebce. Wyjmuje szminkę ze sklepu wysyłkowego, który Madde jak przez mgłę pamięta z czasów dzieciństwa. Zastanawia się, czy starszej pani coś się poprzewracało w głowie. Chce się teraz malować? Marianne przykłada jednak szminkę do drzwi i pisze zdecydowanym ruchem: „Kalle! Nie otwieraj!”.

Podkreśla „nie” tak mocno, że szminka łamie się w połowie. Rzuca etui na podłogę. Vincent patrzy na nią z wdzięcznością.

– Możemy pójść do waszej kabiny? – pyta Marianne i patrzy na Madde, ale ta kręci głową.

– Drzwi są zniszczone.

Z oddali dochodzi ich krzyk, dźwięk rozbijanego szkła. Madde czuje, że na jej ciele podnoszą się wszystkie włoski.

– Biegniemy do łodzi – decyduje. – Nie ma ich chyba aż tylu na zewnątrz.

– Na dziobie nie – zgadza się Marianne. – Nie wiemy, jak to wygląda na górze. Poza tym jest za zimno. Nie macie prawie nic na sobie.

– Gdzie jest twoja kabina? – pyta Madde.

– Na samym dole.

– Na dwójce?

Myślała, że Marianne stać na coś więcej. Madde i Zandra wzięły najtańsze kabiny za pierwszym razem, gdy płynęły bez rodziców. Dobrze wie, jak tam wygląda. I jak pachnie.

– Nie mogę tam wrócić – mówi Marianne.

Madde kiwa głową. Jeśli tam utkną, nie będą mieli dokąd uciec.

– Powinnyście wejść na dach – stwierdza Vincent. – Ja zejdem na pokład samochodowy.

Marianne i Madde odwracają się jednocześnie do niego.

– Tam jest maszynownia. Tam jest Calle. Przynajmniej muszę w to wierzyć. I jeśli jest coś, co mogę zrobić, żeby mu pomóc...

– Ze złamanym nadgarstkiem? – mówi Madde dużo ostrzej, niż chciała.

Vincent kiwa głową.

– Po prostu chcę... po prostu chcę go znaleźć.

– Idę z tobą – decyduje Marianne. – Nie mam dokąd pójść.

– Oszaleliście? – syczy Madde. – Chcecie schodzić, skoro mamy tak blisko do łodzi?

Choć i tak wie, że za nimi pójdzie. Nie ma alternatywy. Najgorsze, co mogą zrobić, to stać tutaj i namyślać się przez choćby jeszcze jedną sekundę.

Na schodach leżą dwie kobiety. Marianne zastanawia się, kim były. Czy się znały. Która z nich umarła pierwsza i czy ta druga musiała na to patrzeć. Odwraca wzrok. Łzy napływają jej do oczu, a ona nie robi nic, żeby je powstrzymać. Płyną cicho, szybko, jakby puściły w niej jakieś hamulce.

Na dole schodów leży jeszcze więcej ciał.

Nie wie już, jak ma z tym sobie poradzić. Schodzenie w dół promu jest całkowicie sprzeczne z jej instynktami. Zupełnie jakby wstępowała do samego jądra piekieł. Idzie jednak posłusznie za Vincentem i Madde. Próbuje nie patrzeć na ciała. Nie zniesie już więcej śmierci. Czasem czuje, że wykładzina pod stopami robi się mokra. Przesączona krwią. Madde szlocha cicho, kiedy wchodzi na nią bosymi stopami.

Ósme piętro. Ciała leżą rozrzucone w długim korytarzu, w którym prawie została zdeptana. Zostałaby, gdyby nie Vincent. Drzwi windy są teraz zamknięte.

Dobiegają ją krzyki z piętra niżej. Dźwięk rozbijanego szkła. Ktoś biegnie. Krzyki radości, i to jest być może najokropniejsze. Z czego tu się cieszyć?

Schodzą na siódme piętro. W sklepie wolnoctwowym wybito wszystkie szyby. W środku poruszają się jakieś ciemne postacie. Marianne przywiera do schodów.

Czyli to tam są oni?

Nagle ze sklepu wypada grupka mężczyzn z naręczami butelek alkoholu i papierosów. Marianne rozpoznaje w jednym z nich przyjaciela Görana. Jest niemal pewna, że ma na imię Sonny.

– Marianne, słodka jak cukiereczek! – woła. – Gdzie zgubiłaś Görana?

Policzki jej płoną, kiedy czuje na sobie wzrok Vincenta i Madde. Ze sklepu wybiegają kolejne osoby z łupem. Niektórzy wzięli wózki i załadowali je do pełna słodyczami i butelkami perfum. I alkoholem. Przede wszystkim alkoholem.

– Nie wiem – odpowiada. – Myślałam, że jest z wami.

– No ale przecież wrócił do ciebie!

Marianne patrzy na niego, nic nie rozumiejąc.

– Naprawdę?

Sonny uśmiecha się jak otumaniony. Teraz widzi, że ma na piersiach plamę krwi. Czy został ugryziony? On albo któryś z pozostałych?

– Chodź z nami – namawia i pokazuje kciukiem mężczyznę, którego Marianne nigdy wcześniej nie widziała. – Idziemy do jego kabiny i najpierw będziemy chlać, a potem czekać, aż to gówno się skończy!

– Nie – odmawia twardo mężczyzna i patrzy przepraszająco na Marianne. – Nie bierz tego do siebie, ale nie wiem, kim jesteście. Tych kolesi spotkałem przynajmniej... przed.

– Rozumiem – mówi Marianne.

Patrzy na Sonny'ego. Chciałaby go zapytać o Görana, ale nie wie jak.

Kilku mężczyzn zaczęło się bić przed sklepem o opakowanie snusu. Przewracają się na ciała leżące na

podłódze. Turlają. Marianne przypomina się cytat z Sartre'a, że piekło to inni. Teraz widzi, że niektóre ciała się poruszyły. Budzą się do życia.

Muszą stąd uciekać. Vincent również to zauważył.

– Możemy jedną butelkę? – pyta. – Im mocniejsza, tym lepsza.

– Sam sobie przynieś, pijaczku – mówi obcy mężczyzna.

Sonny podaje mu butelkę wódki cytrynowej.

– Dziękuję. – Vincent chwyta ją zdrową dłonią.

– No dobrze, cukiereczku, wygląda na to, że będziemy pić w swoich kabinach i wznosić do siebie toasty – podsumowuje Sonny.

– Nie wypijemy jej – wyjaśnia Vincent. – Posłuży nam za koktajl Mołotowa.

– Sprytnie – wtrąca ktoś z grupy z ostrożnym szacunkiem. – Cholernie sprytnie.

– Chcesz podpalać alkohol? – mówi Sonny i jego szaleńczy uśmiech robi się jeszcze szerszy. –

Właśnie to nazywam nadużywaniem alkoholu.

Marianne patrzy na niego i myśli, że Göran pewnie roześmiałby się z tego głupiego żartu.

– Powodzenia – rzuca na odchodnym.

– Tobie też. Jeśli spotkasz Görana, to... zajmij się nim – prosi Sonny.

Sonny się zastanawia. Marianne rozgląda się nerwowo dokoła. Bójka przeniosła się na podłogę. Jakaś kobieta upuściła zgrzewkę piwa. Puszki turlają się we wszystkie strony. Hałas na pewno zwabi ich tutaj.

– Zajmę się – odpowiada.

– Göran to dobry chłopak – chwali Sonny.

Marianne kiwa do niego głową i schodzi po schodach.

Dan Appelgren stanął pod prysznicem. Gorąca woda znowu wzmacnia zapach parującej krwi. Czerwone strużki wirujące w odpływie robią się coraz cieńsze. Dan starannie obmywa całe ciało. Po zwymiotowaniu nie jest już tak opuchnięty. Jednak jego myśli nie chcą się uspokoić. Pędzą, gonią swój własny ogon, w nieskończoność fikają koziołki. Przyciska pokryte pianą palce do głowy, bo czuje, że tylko tak może ją ochronić przed eksplodowaniem. Dan kiedyś tak miał, tylko że wtedy przedawkował kokę.

„To przejdzie, muszę tylko przeczekać. Zachować zimną krew i się nie poddawać”, tłumaczy sobie w myślach.

Ciemnowłosa kobieta stoi w kamperze i patrzy na zdjęcia w medalionie. Po tylu latach są niemal wyryte na jej siatkówce i w sercu. Gdy zamyka oczy, od razu je widzi. Mimo to nie potrafi się zmusić, żeby zamknąć medalion. Płyńcie przez nią strumień wspomnień i uczuć, wyjątkowo nie próbuje go zatrzymać, ten ostatni raz. Jej syn. Jej mąż. Czas przed. Przed chorobą syna. Zanim wykorzystała swoje kontakty wśród spirytystów. Znalazła apostatów z towarzystwa teozoficznego, którzy zaprowadzili ją do Starych. Ci, którzy nie mogą wtopić się między ludzi, są zależni od pomocy innych. W tamtych czasach była wystarczająco bogata, żeby myśleć, że wszystko da się kupić za pieniądze. I miała rację. Starcy najpierw protestowali. Potem jej ulegli, kiedy zaoferowała im wszystkie pieniądze, jakie miała. Po wszystkim razem z mężem zabrali syna do mieszkania w Sztokholmie. Myśleli, że zadbali o wszelkie środki ostrożności. Na zmianę spuszczała sobie krew żyłką. Upływające dni i tygodnie rozmyły się we mgle, bezustannie kręciło jej się w głowie z braku krwi, ze smutku i strachu, niepokoju i nadziei. Syn wciąż domagał się więcej. Stawał się silny. Zdrowy. Żywił się tym, co dawało mu jej ciało, tak jak zaledwie parę lat wcześniej żywił się jej mlekiem. Kiedy znów zaczął być taki jak dawniej, uznała to za cud. Jej mąż w końcu zmiękł. Poluzował rzemienie w łóżku. Potem wmawiała sobie, że to, co się potem wydarzyło, nie wydarzyło się z winy chłopca. Wybaczyła mu. Od tego czasu wszystko mu wybaczała. Zamiast tego oskarżała samą siebie. Nigdy nie prosił jej przecież o tę przemianę. Podjęła decyzję za niego, a on nigdy jej nie wybaczył. Brakuje jej mężczyzny ze zdjęcia. Zanim oddzieliła głowę od reszty ciała, przykryła jego ukochaną twarz ręcznikiem. Którejś nocy, kiedy zapach w mieszkaniu zrobił się nie do wytrzymania i nie dało się go dłużej ukrywać, zaciągnęła jego pozbawione krwi ciało do wanny. Najpierw rozcięła ciało w talii. Potem oddzieliła nogi i ramiona, pocięła je na drobne kawałki. Wtedy jeszcze wierzyła w Boga i bała się, co się stanie z duszą jej męża po tym, co zrobili. Jednak właśnie wtedy w łazience zrozumiała, że piekło to nie jest jakieś osobne miejsce, oddzielone od ziemi, od życia. Przez kolejne noce ciągnęła worki wypełnione poćwiartowanym ciałem i kamieniami do Nybrokajen. Wyrzucała je do wody. I naturalnie w końcu zaraziła się od chłopca. Czy to był wypadek, czy pozwoliła, żeby to się stało? Nie wie. Syn zajął się nią podczas jej przemiany. Karmił ją. Do drzwi dzwonili mężczyźni i kobiety, trzymając go mocno za rękę, przekonani, że pomogli zagubionemu dziecku trafić do domu. Nie potrzebowali ich aż tylu, ale chłopiec ciągle ich przyprowadzał. Już wtedy za bardzo mu się to podobało. Dla niego to była tylko zabawa i nigdy nie miał jej dosyć. Dokładnie tak, jak ostrzegali ją Starzy. Musiała szybko opanować swoje instynkty, żeby móc się nim opiekować.

Kobieta zamyka medalion. Podchodzi do stołu. Podnosi siedzenie kanapy. Wyjmuje czekan. Waży go w ręce. Razem z synem oszukiwali śmierć od ponad stu lat. Do dziś, ale ani dnia dłużej. Przypomina się jej, co dawno temu myślała o wampirach, w innym życiu. Wszystkie te mity, które okazały się kłamstwami i starymi zabobonami. Wszystko byłoby dużo prostsze, gdyby mogła liczyć na słońce, które niedługo wstanie. Zabić może ich ogień. Ogień czyści, ogień pożera. A potem woda. Woda wystarczająco głęboka, by ukryć wszystkie ślady. Tak to się właśnie musi odbyć. Wychodzi z kampera, nie rozglądając się wokół siebie. Jej wspomnienia są gdzie indziej. Nowo narodzeni przyglądają się jej. Kilkaset par oczu odprowadza ją w ciszy, kiedy idzie wzdłuż rzędów samochodów. Zaciąga się oparami benzyny. Widzi ślady życia za szybami. Opróżnione do połowy plastikowe butelki z napojami. Koce. Papierki po słodyczach. Zatrzymuje się przy niebieskim nissanie z majowymi kwiatkami przyklejonymi od wewnątrz na tylnej szybie. Zaciska palce wokół trzonka czekana. Patrzy, jak jeden z nowo narodzonych staje przed srebrnym samochodem i wpatruje się przez szybę w fotelik dziecięcy na tylnym siedzeniu. Być może zaczęły do niego wracać wspomnienia z poprzedniego życia. Może to jego samochód. Jego dziecko. Kobieta myśli o chłopcu i dziewczynce, które próbowała uratować w mesie. Być może to był jej ostatni dobry uczynek w życiu i na nic się nie przyda. Musi wywołać katastrofę, żeby zapobiec jeszcze większej katastrofie. To, co musi zrobić, jest niewyobrażalne. Przynajmniej nie będzie musiała z tym potem żyć. I jeśli jej plan zadziała, wszystko skończy się w tym samym momencie, w którym wprowadzi go w życie. I zabierze możliwie jak najwięcej nowo narodzonych ze sobą. Nowo narodzonych, którzy teraz instynktownie pokładają w niej całą nadzieję. Kobieta celuje czekanem w plastikowy zbiornik pod samochodem. Uderza, aż w środku robi się dziura. Benzyna pluska na podłogę. Z wnętrza samochodu wydobywa się bulgot. Podchodzi do następnego.

Piętro wyżej w ciasnej klatce schodowej nad pokładem samochodowym Vincent odwiązuje szalik okręcony wokół nadgarstka. Odrywa zębami podłużny pasek. Podaje go Madde, która wypija łyk wódki, zanim złoży pasek na pół i zacznie wpychać go do butelki.

– Tak to się robi? – pyta.

– Chyba tak – odpowiada Vincent i podaje jej zapalniczkę.

Marianne pomaga mu z powrotem owinać resztkę szalika wokół nadgarstka.

Dan Appelgren zakręca wodę i wychodzi spod prysznica. Przeciera zaparowane lustro. Od razu czuje się lepiej, kiedy widzi, że mięśnie znów podeszły pod skórę i uwypukliły rysy twarzy.

„Znów będę wyglądać jak ja. I będę tak wyglądać jeszcze bardzo długo. Nie potrzebuję siłowni. W takiej postaci jestem utrwalony, podobnie jak Adam, który zawsze będzie tylko przedszkolakiem z kompleksem Napoleona”.

Wkłada ubranie, które wyjął z walizki w apartamencie: džinsy, granatowy wełniany sweter pachnący intensywnie płynem do płukania tkanin. Układa włosy. Wychodzi z łazienki, podchodzi do okna. W oddali na horyzoncie widzi inny prom, który płynie z Turku.

„Baltic Charisma” jest tylko niecałą godzinę drogi od fińskiego archipelagu.

Trzęsie się na całym ciele. Wsunął język między zęby, żeby o siebie nie stukały. Wibracje silników w maszynowni są bardzo silne, nie wie nawet, które drżenia wywołuje jego własne ciało, a które prom.

Na ścianie wisi przyklejone zdjęcie rozebranej dziewczyny. Włożyła rękę między nogi i rozchyła ciało palcami, tak że można zajrzeć prosto do jej wnętrza. Tak jakby chciała wywinąć się na lewą stronę. Ale to ludzie leżący na podłodze wywinęli się na lewą stronę. To, co wcześniej znajdowało się wewnątrz, teraz jest na zewnątrz. Za wielką szybą Albin widzi maszynownię. Wpatruje się w niego kilku mężczyzn w niebieskich kombinezonach. Walał głowami o szybę. Chcą się dostać do środka. Chcą tak bardzo, że porozbijali sobie czoła, zostawiając na szybie rozmazane ślady.

Odwraca wzrok. Próbuje zobaczyć, czy wibracje są widoczne na powierzchni wody w najbliższym wiadrze. Calle zabiera wiadro, zanim Albin się upewni.

Calle staje przed płaskimi szafami z pomarańczowego metalu pełnymi jarzących się guzików, drobnych okienek z różnymi wskazówkami, zamkniętych szufladek.

– Gotowy? – pyta i patrzy na Filipa, który również podniósł wiadro.

Albin czuje na sobie spojrzenie Lo. Wie, że się o niego martwi. Chciałby móc ją jakoś uspokoić, ale zamknął się w sobie. I im dłużej na niego patrzy, tym trudniej jest mu wyjść. Każde spojrzenie przypomina mu o tym, jak się zachowuje.

Filip kilkakrotnie kołysze swoim wiadrem w przód i w tył. Chwilę potem połyskujący łuk wody rozbija się o szafę. Rzuca wiadro, które odbija się od podłogi z plastikowym łoskotem. Albin zerka odruchowo na leżące wokół ciała. Nie poruszają się. Antti unosi swoje wiadro, Calle i Marisol opróżniają swoje. Woda leje się na podłogę. Podchodzi pod trampki Albina.

I nagle robi się czarno. Dudnienie zza okna maszynowni stało się szybsze, tak jakby ci po drugiej stronie byli zdenerwowani albo zaniepokojeni.

W ciemnościach wibracje ulegają zmianie.

– Abbe – szepcze Lo płaczącym głosem. – Abbe?

Nie potrafi odpowiedzieć.

– W porządku, dzieciaki? – mówi Filip. – Zaraz zapali się światło awaryjne. Nie bójcie się.

Ale wyraźnie słyhać, że sam się boi. Myśli, że może oszukać Albina i Lo tylko dlatego, że są dziećmi, a nie potrafi nawet oszukać samego siebie.

Zatrzymali się i stoją nieruchomo w ciasnej klatce schodowej. Czekają, aż oczy przywykną do ciemności. Białe, zielone światło tabliczek nad wyjściami ewakuacyjnymi pokryło wszystko cienką mgłą. Przez stalowe drzwi półtora metra nad nimi słychać odgłos kroków na promie. Stara się być jak najciszej, ale jej oddech w ciemnościach wydaje się zbyt głośny. Zanim zgasły lampy, zdążyła zobaczyć drzwi na pokład samochodowy na spoczniku przed nimi. Schody zbiegały niżej w kierunku dolnych pięter, poza pole widzenia.

Nasłuchuje odgłosów silników „Charismy”. Czy się zmieniły? Czy jednak nie? Czy nie są wolniejsze?

– Też to słyszycie? – pyta ściszym głosem.

– Calle – szepcze Vincent. – Udało im się.

I nagle światła znów się zapalają. Słabsze niż poprzednio, rozedrgane. Na dole klatki otwierają się drzwi. Serce Madde niemal się zatrzymuje. Czy to odgłos stóp człapiących po plastikowej wykładzinie? Jak daleko w dole są tamci?

– Możemy przejść na górny pokład? – prosi Madde. – Nie daję rady tutaj. Nie mogę.

Chciałaby jak najszybciej stąd wyjść. Na zewnątrz, na świeże powietrze. Wszędzie jest lepiej niż tutaj. Znów ten sam odgłos człapania na dole. Tym razem jakby bliżej.

– Na pewno i tak są zamknięte. – Pokazuje na drzwi na pokład samochodowy.

– Muszę spróbować – postanawia Vincent. – Calle na pewno tam teraz jest. Zrozumiem, jeżeli chcecie uciekać.

Madde patrzy na przegub Vincenta. Potem na Marianne.

– Trzymamy się razem. Tylko się pospieszcie.

Schodzą dalej w migoczącej poświacie. Madde obraca w palcach zapalniczkę. Omal jej nie wypuszcza, kiedy zauważa cień na ścianie. Ktoś idzie w ich kierunku. Madde przeklina pod nosem.

Postać na dole mówi przez nos. Wychodzi zza zakrętu schodów. To mężczyzna. Ma długie włosy związane w kitkę. Na jego twarzy brakuje dużych kawałków ciała. Policzki są pokryte cienkimi, pomarszczonymi bliznami. Nie ma nosa. Tylko dwa otwory z przodu.

Marianne sztywnieje.

– Wiewemy – szepcze Madde. – Proszę cię, uciekamy, musimy uciekać.

Oczy mężczyzny błyszczą w świetle, które jaśniej i ciemniej, tak jakby klatka schodowa oddychała...

– Tak – mówi Vincent i ciągnie Marianne zdrową ręką. – Chodź.

Marianne się nie porusza. Patrzy jak zamroczona na mężczyznę.

Mama Madde polowała i często chodziły razem do lasu na spacer z psami. Nauczyła Madde, które grzyby są jadalne i że trzeba patrzeć na oświetlone pnie drzew, aby mieć pewność, że nie kręci się w kółko, a także co robić, jeśli spotka się niedźwiedzia.

„Musisz być cicho, cichusieńko. Cofać się powoli. Nie odwracać się plecami. Nie okazywać słabości.

Nie patrzeć mu w oczy. Nie biec”.

Teraz jednak Madde robi wszystko dokładnie na odwrót. Krzyczy na całe gardło. Odwraca się plecami. Biegnie schodami w górę.

Nie potrafi oderwać oczu od tego stworzenia, które kiedyś było Göraniem. Stał tuż przed samymi drzwiami prowadzącymi na pokład samochodowy. Patrzy na nią udręczony. I jakaś część jej, bardzo niebezpieczna część, chce podbiec do niego. Pocieszyć go. Choć przecież wie, że to nie jest on, choć przecież wie, że zabiłby ją, gdyby tylko miał okazję. Ale on cierpi. A ona nie chce, żeby Göran cierpiał.

– Przepraszam – mówi szeptem.

To przez nią stał się jednym z nich. Zszedł tu dla niej.

– Marianne – ponagła Vincent. – Musimy iść.

Zza pleców Görana wyłania się kobieta w bluzie z kapturem, zabrudzona krwią. Na jej piersiach błyszczą brokatowy napis „sexy bitch”. Na widok Marianne i Vincenta kłapie zębami.

Göran wchodzi na pierwszy stopień. Jego piękne oczy są teraz martwe. Są tylko imitacją oczu, które patrzyły na nią na parkiecie. Ten widok sprawia, że Marianne opuszczają wszystkie siły.

– Chodź – nalega Vincent.

– Biegnij – odpowiada. – Jesteś ode mnie szybszy. Zrób to dla mnie.

I naprawdę chce, żeby to zrobił. Madde słusznie postąpiła. Vincent nie powinien kolejny raz ryzykować dla niej życia. Musi znaleźć swojego przyjaciela.

Chciałaby podziękować mu za wszystko, co dla niej zrobił. Chciałaby mu powiedzieć, że od dawna nie czuła się tak żywa. Tak potrzebna. To jej wystarczy.

Zaczyna schodzić po schodach do Görana.

– Marianne, co robisz? – woła Vincent i chwyta ją znów za ramię, ale wrywa mu się.

– Biegnij – syczy przez zęby. – Zatrzymam ich.

Właśnie tak umrze. Przynajmniej raz będzie silna i dzielna. A Vincent przeżyje. Będzie tą jedną, jedyną osobą, która zapamięta ją właśnie w ten sposób, jako silną i dzielną Marianne. Wówczas to nie pójdzie na marne.

Ale ramię Vincenta chwyta ją w pasie i szarpie do góry. Bola ją kolana i uda, jest zmuszona biec do tyłu.

Wpadają na spocznik. Tylko jedno piętro dzieli ich od stalowych drzwi na piątym piętrze. Ma wrażenie, jakby to było nieskończenie daleko. Vincent popycha ją, zmusza, żeby szła dalej.

– Dlaczego to robisz? – woła. – Lepiej, żeby wzięli mnie, nie rozumiesz tego?

– Zamknij się i zasuwaj! – krzyczy za nią Vincent, ale słysząc panikę w jego głosie.

Nie pozwoli jej tak łatwo się poddać. A ona naraża jego życie, próbując go uratować. Zmusza się więc, żeby znaleźć ostatnie siły w mięśniach ud i pnie się szybciej do góry, do góry. Spogląda przez ramię. Göran dotarł do spocznika, na którym przed chwilą stali. Kobieta w bluzie z kapturem jest tuż za nim. A za jej plecami widać kolejnych dwóch. Mężczyźni w sportowych koszulkach z kołnierzykiem.

Są coraz bliżej.

– Puść mnie! – Marianne niemal kwili. – Biegnij, Vincent!

Stalowe drzwi otwierają się nad schodami i Marianne wie, że jest po wszystkim. Zaraz nadejdą kolejni, a oni znaleźli się w pułapce. W drzwiach pojawia się sylwetka kobiety.

– Schył się.

Rozpoznaje głos Madde. Nad jej głową przelatuje płomień, znika z pola widzenia za plecami Vincenta. Sekundę później klatkę schodową rozświetla płomień. Rozchodzi się po ścianie za Göranem i resztą. Gorąco bucha jej w twarz. Zapach spirytusu, cytryny i rozgrzanego plastiku.

– Przepraszam! – krzyczy Madde. – Przepraszam, że uciekłam!

Göran i pozostali zatrzymali się. Patrzą na ogień. Kaptur na bluzie kobiety płonie. Płomienie przeskakują na jej włosy...

Zaczyna padać.

„Deszcz? Przecież jesteśmy w środku”, dziwi się Marianne.

Woda. Woda tryska z sufitu. Zatopi ich tu.

Dopada ją przerażenie. Utonąć tu jak szczur w kloace to coś zupełnie innego niż zostać rozszarpanym przez potwory.

Jej przegrzany mózg rejestruje ostry dźwięk i udaje mu się wykonać racjonalną ewolucję. Woda wydobywa się z tryskaczy w suficie. Ogień gaśnie. I Göran znów patrzy na Marianne i Vincenta.

Adrenalina przywróciła jej siły. Marianne zaczyna biec, Vincent tuż za nią, Madde podskakuje zniecierpliwiona w miejscu tam na górze, z ręką na kłamce, gotowa, żeby zamknąć je za nimi. Zostało tylko kilka kroków...

Straszliwy ryk wypełnia całe wnętrze. Wydobywa się z wnętrza promu, jak odgłos ranionego zwierzęcia.

Marianne wbiega na spocznik, na którym stoi Madde, Vincent tuż za nią. Za nim pojawia się Göran. Ze swoim dzikim spojrzeniem. Obłąkanymi żądzami. Kłapiącymi zębami.

I nagle Marianne nie widzi Görana. Znów rozlega się straszliwy ryk alarmu przeciwpożarowego i tym razem miesza się on z krzykiem Vincenta. Jego usta się otwierają. Oczy rozszerzają. Patrzy zaskoczony na Marianne i Madde. Jakby niczego nie rozumiał. Tak samo jak nie rozumie tego Marianne.

Nie chce rozumieć.

Chwilę później Vincent pada na brzuch. Zostaje pociągnięty do tyłu, w dół schodów. Podskakuje na krawędziach stopni. Jego ręce macają gładkie ściany klatki schodowej w poszukiwaniu czegoś, co mogłyby złapać.

Göran zatopił zęby w pięcie Vincenta tuż nad brzegiem buta. Zęby przebijają się przez skarpetkę, odrywają ścięgno Achillesa. Vincent krzyczy przez całą drogę do spocznika. Tam rzuca się na niego kobieta w białej bluzie. Znikają za zakrętem, alarm ryczy żałośnie i straszliwie. Ogień całkiem zgasł, został po nim jedynie śmierzdzący dym, który niebieskawymi smużkami unosi się z mokrej plastikowej wykładziny.

– Vincent! – krzyczy Marianne.

Dwóch mężczyzn w sportowych koszulkach podnosi na nią wzrok. Zaczynają wchodzić po schodach,

są wyjątkowo szybcy.

Madde wciąga ją do siebie i chce zamknąć drzwi. Męskie ramię sięga przez szparę. Próbuje chwycić którąś z nich.

Madde napiera na drzwi całym ciężarem ciała. Dźwięk łamanej kości. Nieludzki jęk. Ramię zwisa luźno. Uchyła drzwi i ramię znika. Ciężki odgłos, kiedy mężczyzna spada po schodach. Drzwi zatrzaskują się z hukiem.

Kolejny sygnał alarmowy przeszywa uszy Marianne. Są z powrotem na wykładzinie na piątym piętrze i Marianne widzi ich więcej, schodzących po szerokich schodach.

Prom sunie coraz wolniej po wodach Bałtyku.

Jednostajny dźwięk alarmu przeciwpożarowego towarzyszy umierającemu mężczyźnie w drodze do wielkiej ciemności. Zaciągnęli go do jednego z wąskich korytarzy pod pokładem samochodowym. Nie czuje, jak nowo narodzeni rozrywają go, nie widzi, jak biją się o jego krew. Słyszy tylko plaśnięcia i alarm, raz za razem, z każdą chwilą słabszy.

Nowo narodzeni na pokładzie samochodowym wystraszyli się dźwięku alarmu. Ciemnowłosa kobieta poczuła, że podłoga wibruje inaczej. Wie, że musi się pospieszyć. To o tym personel mówił na spotkaniu. Gdy prom się zatrzyma, będą mogli spuścić łodzie ratunkowe. Ktoś z zewnątrz zauważy, że coś się stało. Musi dokończyć to, co zaczęła, zanim więcej osób wejdzie na „Charismę”. Zanim wydostaną się stąd zarażeni.

Alarm rozchodzi się echem po parkiecie, korytarzami, na których suficie miga oświetlenie awaryjne. Ryczy na wietrze smagającym pokłady zewnętrzne, wypełnia kabiny, w których ukrywają się ludzie. Niektórzy otwierają drzwi i patrzą. Próbuje zrozumieć, co się dzieje. Co powinni zrobić. Inni zostają w środku, obserwują słońce wschodzące za oknami, szukają oznak tego, że prom zaczyna tonąć.

Nowo narodzony, który dawniej był kapitanem, drapie w drzwi od wewnętrznej strony mostka.

Dźwięk alarmu przenika do nowo narodzonych w mesie, budzi instynkt z życia na pokładzie, myśli, których nie potrafią sformułować w swoim obecnym stanie. Pielęgniarka Raili chwyciła nóż do chleba z jaskrawożółtą rączką. Dźga się jego czubkiem w jedno ucho, sieka i obraca ostrzem dopóty, dopóki wreszcie nie przestaje słyszeć alarmu. Ledwo czuje ból, bo w porównaniu z głodem jest prawie niezauważalny.

Alarm budzi w spa jedną z nowo narodzonych, która leży w jacuzzi twarzą do dołu, a mimo to ma otwarte oczy. Wszystko ją boli, ale przyzwyczała się do bólu. Udaje się jej unieść głowę nad gładką powierzchnię wody. Rozgląda się, szukając źródła tego okropnego dźwięku.

Adam stoi nieco dalej na tym samym piętrze. Patrzy na plan promu. Oparł się ręką o ścianę z imitacji mahoni. Zorientował się, że silniki nie pracują. Przypomina sobie, że maszynownia znajduje się przy pokładzie samochodowym. To jedyne miejsce, gdzie jeszcze nie szukał matki. Pierwsza myśl jest taka, że to ona zatrzymała silniki. Przesuwa małym palcem po planie – wzdłuż drogi, którą musiała przejść matka, żeby dotrzeć do pokładu samochodowego. Zrobi wszystko, żeby zrozumiała, dlaczego on postąpił właśnie tak, również dla niej. Musi się tylko uwolnić od dawnych przekonań. Adam wyjmuje kartę z kieszeni i rusza w kierunku schodów.

Pierwszy zarażony wciąż siedzi na podłodze w celi wytrzeźwień. Przycisnął dłonie do uszu. Krzyczy, żeby zagłuszyć alarm. W celach obok obudzili się ludzie. Wołają o pomoc, walą pięściami w drzwi. Na próżno.

Po apartamencie chodzi dawny piosenkarz i rozbija lampy. Słabe, migające światło razi go w oczy. Alarm przeszywa jego uszy. Podłoga nie wibruje mu już pod stopami. „Charisma” nie dopłynie do Turku. To takie niesprawiedliwe. Gwiazdor jest przekonany, że zrobili to ci, którzy uciekli z mesy. Nie tak

miało być. Miał zabić matkę Adama. Miał zabić ich wszystkich. Alarm znów wyje, rozdziera jego myśli na strzępy.

Opary benzyny drżą w powietrzu na pokładzie samochodowym. Ciemnowłosa kobieta uderza czełkiem coraz szybciej. Coraz bardziej świadomie. Benzyna tryska na jej sukienkę. Spływa na podłogę. Kobieta wybija otwór w zbiorniku po drugiej stronie samochodu ciężarowego, patrzy na wylewające się paliwo. Kolejny ryk alarmu doprowadza ją niemal do szału. Niedługo to się jednak skończy. Niedługo wszystko się skończy.

– Nie mogę oddychać – dyszy Marianne. – Nie mogę oddychać.

Sapie. Uczepiła się ramienia Madde, z braku tlenu kręci jej się w głowie. Próbuje wciągnąć do płuc jak najwięcej powietrza, ale nie potrafi stwierdzić, czy w korytarzu po prostu migocze światło, czy ona za ułamek sekundy straci świadomość.

– Niedługo będziemy na miejscu – pociesza ją Madde.

– Muszę wyjść. Muszę na powietrze.

Nagle wszystko się zmienia. Między jednym a drugim sygnałem alarmowym zapada głucha cisza. Marianne nie czuje drżenia pod stopami. Trudno jej w to uwierzyć, bo „Charisma” jest teraz całym jej światem i równie dobrze mogłaby uznać, że zatrzymała się ziemia.

Madde płacze, ogromne łzy staczają się po jej policzkach. Marianne nie potrafi płakać. Patrzy przez ramię. Chyba nikt za nimi nie idzie. Beładnie porozrzucane zwłoki, obok których przechodzi, leżą nieruchomo.

Od czasu do czasu otwierają się jakieś drzwi. Ludzie wyglądają na korytarz. Pytają Madde i Marianne, czy wiedzą, co się dzieje. Czy prom tonie? Czy na pokładzie wybuchł pożar? Marianne nie potrafi ich uspokoić. W każdej chwili drzwi może otworzyć coś innego. Wychylić się z bocznego korytarza. Coś gotowe zabić ją i Madde, tak jak zabiło Vincenta. Tak jak zabiło Görana, zanim stał się jednym z nich.

Nareszcie dochodzą do szklanych drzwi na końcu korytarza. Madde popycha je i pierwszy podmuch zimnego, świeżego powietrza chłodzi ich rozpaloną skórę. Marianne próbuje nie patrzeć na ciała, które muszą omijać, idąc do relingu. Próbuje nie zwracać uwagi na to, że pokład zewnętrzny klei się od zasychającej krwi zmieszanej z deszczem.

Stają na dziobie. Marianne skupia wzrok na wodzie. Na falach, które nadpływają nieprzerwanie w jej stronę. Wcześniej głucho uderzenia i syk, teraz tylko cichy plusk. Chmury przesuwiają na niebie z dużą prędkością, ciemny szary na jaśniejszym szarym tle. Film o dziwnej prędkości. Nareszcie Marianne może nabrać pełne płuca powietrza, od tej ilości tlenu niemal kręci jej się w głowie. Nagle alarm wyje po raz kolejny.

Madde się trzęsie, zanosí coraz głośniejszym płaczem, więc Marianne ją przytula. Czuje dotyk jej miękkiego ciała.

Najwidoczniej Madde boi się jeszcze bardziej niż Marianne. I to sprawia, że Marianne nabiera odwagi, po prostu nie ma innego wyjścia. Nie mogą się przecie¿ obie załamać.

– Niedługo na pewno zjawią się tu ludzie z łądu – mówi. – Ktoś nas stąd zabierze. Wrócimy do domu, zanim się zorientujemy.

– Przepraszam – kaja się Madde. – Przepraszam, że uciekłam. Tak bardzo się bałam i...

Nie sposób usłyszeć, co mówi dalej. Marianne ucisza ją, gładzi po plecach.

– ...moja wina, że Vincent nie żyje! – szlocha Madde.

– Nie – zaprzecza Marianne. Zamyka oczy, lecz wtedy jeszcze wyraźniej widzi twarz Vincenta.

Decyduje się więc je otworzyć. – To moja wina – tłumaczy. – Próbował mnie zmusić, żebym uciekała stamtąd dużo wcześniej... Nie mogłam.

Miała nadzieję, że poczuje się lepiej, kiedy powie to głośno. Jest jednak na odwrót.

Znów nie może oddychać.

– Gdybym nie uciekała... – szlocha Madde z nosem przy jej szyi. – Albo gdybym wróciła wcześniej...

– To by niczego nie zmieniło. Poza tym przecież wróciłaś – Marianne stara się przekrzyczeć kolejny alarm. – Nie jestem pewna, czy byłabym tak odważna.

– To nie odwaga. Po prostu samej było mi jeszcze gorzej.

– Posłuchaj mnie. To nie była twoja wina.

Madde wydobywa się z jej uścisku. Ociera oczy. Bierze głęboki oddech.

– Twoja też nie – stwierdza i obraca się w stronę promu, podnosząc wzrok.

W migoczącym blasku świateł pozycyjnych wydaje się niemal piękna.

Marianne również się obraca. Rozumie, czego szuka Madde. Niemal od razu odnajduje okna apartamentu cztery piętra wyżej. Ma wrażenie, że w środku coś się rusza, ale panuje tam ciemność.

– To jego wina – odzywa się Madde. – Gdybyśmy zostali tam na górze, byłibyśmy bezpieczni. Lub przynajmniej bezpieczniejsi.

Marianne przytakuje.

– Zejdziemy z tego *fucking* cholernego promu – dodaje i odwraca się do Marianne. – Musimy tylko przedostać się do łodzi ratunkowych.

– Tak.

Marianne ma wrażenie, że z wnętrza promu dochodzą jakieś stłumione krzyki, zagłuszone zresztą zaraz przez kolejny alarm. Patrzy na Madde i na to, na co ona pokazuje palcem.

– Są tutaj – szepcze Madde.

Marianne za szklanymi drzwiami, przez które przed chwilą przeszły, widzi kilkoro z nich zbliżających się korytarzem.

Z niczym nie da się pomylić tego kroku – powolnego, zdecydowanego.

Biegną z Madde na drugą stronę pokładu zewnętrznego. Zaglądają przez identyczne szklane drzwi. I tu na korytarzu widzą kilkoro z nich. Oni również się zbliżają.

– Cholera – przeklina Madde. – Cholera, nie mamy dokąd uciec.

Marianne rozgląda się po pokładzie. Dopiero teraz zauważa leżące niemal wszędzie ciała. I stertę ciał tuż przy relingu.

Pomysł jest tak obrzydliwy, że od razu go odrzuca. Potem jednak patrzy na Madde i wie, że muszą spróbować.

Alarm znów wyje, ale nagle się urywa.

Udało im się wyłączyć alarm. Jemu i Marisol. Stoją teraz w gabinecie kierownika rejsu. Wpatrują się w stojący przed nimi mikrofon. Filip myśli o Mice. Zastanawia się, ile razy Mika trzymał ten mikrofon w ręce.

– Chcesz to zrobić? – pyta.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Marisol kręci głową.

– Ja też nie.

Tak naprawdę boi się, że zdradzi go głos. Jest tak zmęczony. Są tak blisko, a to i tak wydaje się nieosiągalne.

Wsiądą do łodzi ratunkowych. Zaczekają na pomoc. A potem?

„I tak nie wsiadłbym do łodzi z którymś z pasażerów. A jeśli któryś z nich przemieni się, gdy będziemy tam siedzieć, bujając się na falach?”

Nawet nie jest pewien, czy sam nie został zarażony. Lewą dłonią odruchowo dotyka warg. Pieką. Szorował je dokładnie, ale...

– Co tam? – pyta Marisol.

– Po prostu nie wiem, jak to powiedzieć... żeby zabrzmiało przekonująco.

Marisol otacza go ramieniem.

– Wiesz co? Kilka dni temu złożyłam wymówienie.

Nawet go to nie zdziwiło. Czy jeszcze dziś o tym nie myślał? Że prędzej czy później Marisol zniknie z „Charismy”?

– Chciałam ci o tym powiedzieć podczas naszej zmiany – dodaje i wydaje się smutna.

Filip próbuje się uśmiechnąć.

– Możliwe, że po dzisiejszej nocy ja również odejdę.

– Najwyższa pora – odpowiada ze śmiechem Marisol.

Potem znów robi się poważna. Bierze go za rękę.

– Jestem w ciąży. To dlatego. Będę pracować w kawiarni swojej ciotki.

Filip uśmiecha się szeroko. Tym razem szczerze.

– Powinienem był się domyślić, prawda?

– Pewnie tak.

– To dlatego nie pijesz po pracy.

Marisol wzrusza ramionami.

– Będiesz zajebistą matką. Jeśli ktoś radzi sobie z gośćmi Starlight o trzeciej nad ranem, poradzi sobie z każdym kryzysem rodzicielskim.

– Rozumiesz teraz, dlaczego musimy to zrobić? Oboje. Pomyślałam, że może chciałbyś zostać chrzestnym – mówi to lekko, ale widać po niej, że jest zawstydzona.

– Gdyby coś mi się stało, to...

– Nic ci się nie stanie – przerywa jej.

Marisol puszcza jego dłoń, wygląda, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć. Jednak tylko wzdycha i bierze mikrofon.

– Okej – mówi. – Zróbmy to.

To był jego pomysł, żeby tu przyjść i szukać śladów pożaru. Pożałował, gdy tylko otworzyli drzwi. Albin i Lo ledwo jednak zareagowali i teraz nie może przestać się zastanawiać, jak to na nich wpłynie.

Bosse pólleży w swoim fotelu. Ktoś, pewnie Pär albo Henke, narzucił na niego szary polarowy koc, który teraz jest przesiąknięty krwią na wysokości jego twarzy. Spod koca widać ręce: zwisają po bokach, wykrzywione palce niemal ocierają się o podłogę.

Calle chwyta ostrożnie oparcie fotela od tyłu. Próbuje nie dotknąć ciała i przestawić fotel na bok. Fotel najeżdża na kabel i podskakuje, głowa Bossego opada do przodu. Koc jednak się nie zsuwa. Całe szczęście.

Antti podchodzi do biurka i zaczyna na chybił trafił wciskać guziki. Calle rozgląda się po biurze. Znajduje telefon leżący na podłodze w kałuży krwi. Widzi, że aparat jest rozbity, więc przeklina pod nosem.

Na ekranach przeskakują różne ujęcia z kamer. Na korytarzu nad nimi, na pokładzie szóstym, z kabin wygląda kilku pasażerów. W migoczącym świetle awaryjnym ich twarze przypominają twarze duchów. Ilu z nich jest już zarażonych? Ilu, tak jak Mika, próbuje to ukryć? Który jeszcze tego nie zrozumiał?

Antti wciska guziki. Na ekranie pokazuje się sklep wolnołowy. Szklane drzwi są rozbite. Porozbijane butelki i porozrzucane opakowania. Na wykładzinie przed sklepem leżą nieruchme ciała.

No dalej, myśli Calle, kiedy zauważa punkt informacji, zamknięte drzwi do biura kierownika, gdzie powinni być teraz Filip i Marisol. Powiedzcie coś wreszcie. Muszę wiedzieć, że z wami wszystko okej.

Kolejne korytarze na ekranach. Niekóre drzwi są szeroko otwarte. Wokół nich na ścianach widać krew. Na pokładzie piątym, niedaleko biura Bossego, kilku nowo narodzonych przesuwa się w kierunku dziobu statku. W korytarzu na pokładzie ósmym kręci się ich więcej, wyglądają, jakby nie wiedzieli, dokąd idą. Kilka osób schowało się w kawiarni za przewróconymi stolikami, chyba pocieszają jakiegoś zranionego mężczyznę. Grupa ludzi ucieka labiryntem krótkich korytarzy niedaleko rufy na pokładzie siódmym. Na szybach wokół basenu z kulkami widać krwawe ślady. Krew na ścianach i podłodze widać również przed barem karaoke.

Zarażonych jest mniej, niż się tego spodziewał. Nie uspokaja go to jednak.

Gdzie oni są?

Ściana przy spoczniku na klatce schodowej na wysokości pokładu samochodowego jest okopcona. Pod schodami leży rozbita butelka po wódce. Calle oddycha z ulgą. Jeśli ten ogień uruchomił alarm przeciwpożarowy, to dawno temu został ugaszony.

Antti wciska guziki, na ekranach przewijają się wciąż nowe obrazy z promu.

– Raczej nigdzie indziej nie ma ognia. Kurwa, to by dopiero była kropka nad i.

Calle przytakuje.

– Możesz sprawdzić korytarz przed apartamentem?

Antti wciska kilka guzików i Calle próbuje nadążyć za obrazami pojawiającymi się na ekranach.

Pokład dziewiąty od strony sterburty. Drzwi. 9318.

– Tam! – woła. – Zatrzymaj się.

Podchodzi tak blisko ekranu, że na twarzy czuje mrowienie.

„Kalle! Nie otwieraj!”

Słowo „nie” zostało podkreślone kilka razy. Calle wpatruje się w napis, w swoje błędnie napisane imię.

Vincent nie mógł tego napisać.

Z głośników rozlega się miękki sygnał, zaraz potem słyszą chrząknięcie Marisol. Nareszcie.

– Drodzy pasażerowie. Udało nam się zatrzymać prom. Zatem niedługo ktoś na pewno zauważy, że jest z nim coś nie w porządku. To nie powinno długo potrwać. Do Finlandii została nam mniej więcej godzina, a panuje tu spory ruch.

Calle patrzy na ludzi, którzy zaczęli zbierać się na korytarzu na pokładzie szóstym. Słuchają w napięciu. Niektórzy nagrywają komunikat na komórki. Podsuwają telefony pod głośnik albo kierują je na swoją twarz.

Żaden z nich to nie Vincent. Gdzie jest Vincent?

– Nie wiemy, co dokładnie stało się dziś w nocy – kontynuuje Marisol. – Wiemy, że ludzie chorują, kiedy zostaną ugryzieni, ale nie wiemy, co to za choroba ani skąd się wzięła. Niektórzy z nas spróbują się dostać na najwyższy pokład. Teraz, kiedy stoimy, możemy spuścić łodzie ratunkowe i poczekać w nich na pomoc. Włóż coś ciepłego i przyjdź, jeśli możesz. Jeśli nie, zostań w swojej kabinie albo w jakimś miejscu, gdzie możesz się zamknąć.

Cisza. Calle niemal słyszy, jak Marisol się zastanawia. Przy jego uchu ciężko dyszy Antti.

– Pamiętajcie, że ten wirus może zaatakować każdego. Jeśli ktoś z waszej rodziny albo przyjaciół został ugryziony... Nie próbujcie mu pomóc. Nie zbliżajcie się do niego. Wiem, że to okropne, ale... tylko tak możecie chronić się przed wirusem i mieć pewność, że nie zarazicie innych.

Pauza. Calle obserwuje, jak ludzie na pokładzie szóstym przez chwilę się wahają. Potem większość z nich wraca do swoich kabin.

– Powodzenia, cokolwiek postanowicie zrobić – kończy Marisol i w głośnikach słychać brzęknięcie.

Lo ciągnie go ostrożnie za koszulę.

– O co chodzi? – pyta Calle.

Lo nie odpowiada. Patrzy bez słowa najpierw na niego, a po chwili na ekran, który pokazuje szklaną ścianę przed spa. Na podłodze tuż za rozbitą szybą leży jakieś urządzenie. W głębi ktoś się porusza. Chwiejnie, nieporadnie.

– O co ci chodzi... – zaczyna.

Lo ucisza go bezgłośnie. Patrzy znacząco na Albina, który stoi ze wzrokiem wbitym w podłogę. Calle milknie. Znow patrzy na ekran. Tym razem wysiła wzrok.

W środku leży przewrócony na bok wózek inwalidzki.

Calle przełyka ślinę. Rozumie, kim jest ta chwiejąca się postać. Tak długo wpatruje się w sylwetkę mamy Albina, że w końcu w jego oczach zamienia się ona w zbiór pikseli w różnych odcieniach szarości.

Wyciąga dłoń i wciska kilka guzików. Postać za rozbitą szybą wreszcie znika z ekranu. Antti zerka na niego. On również zrozumiał.

– Chodź – mówi Calle. – Musimy iść na górę do łodzi i pomóc tym, którzy chcą się stąd wydostać.

Albin podnosi na niego wzrok. Najprawdopodobniej nie podejrzewa, że coś przed nim ukrywają.

Patrzą na ekran: korytarz przed kantorkiem Bossego, żadnych zarażonych w pobliżu.

Antti uchyla drzwi. Calle staje za dziećmi. Bierze kij do mopa z przymocowanym do niego nożem.

Odwraca się do ekranu, na którym czarno-biały Antti wychyla się z kantorka.

Calle przesuwa wzrok w kierunku postaci w fotelu. Czy Bosse się poruszył? Czy jego głowa zwisała w tę stronę?

– Ruszajcie, szybko – ponagla.

Antti rzuca mu zirytowane spojrzenie, zanim wyjdzie. Calle kładzie dłonie na ramionach dzieci. Lo patrzy na niego, dziękuje mu na migi.

– Będzie dobrze – szepcze.

Antti ich ucisza. Zatrzymał się w połowie korytarza. Twarz poczerwieniała mu jeszcze bardziej. Nasłuchuje. Nóż drży w jego dłoni.

Ktoś biegnie.

Próbuje opanować drżenie. Zignorować zimno, wiatr, strach. Skoncentrować się na spokojnym chlupocie wody wzdłuż kadłuba. Na miękkim kołysaniu.

Stworzenia poruszające się niezdarnie po pokładzie nie są nikim wyjątkowym, nie musi sobie nimi nawet zaprzętać myśli. Nie będzie też myśleć o czyimś łokciu, który wbija się w jej kość biodrową. O tym, że włosy jakiejś obcej kobiety spadły jej na twarz i łaskoczą ją w nos. Czyjś obcas wbija się jej w kostkę. Nie będzie myśleć o tym, że ten obcas przyczepiony jest do buta i że w tym bucie jest stopa, i że ta stopa należy do trupa.

Nie będzie myśleć o Zandrze. Ani o córce Zandry. Ani o rodzicach Zandry. Nie będzie myśleć o Vincencie.

Nie. W ogóle nie będzie myśleć. Będzie tylko uważać, żeby się nie poruszyć. Udawać martwą.

Leżą z Marianne przy relingu jak dwa elementy w mikado z ludzkich ciał. To był pomysł Marianne. Wsunęły się pod zwłoki długowłosej kobiety. Madde leży z twarzą do dołu, z nosem w czyimś wełnianym swetrze, który pachnie papierosami i koszem na bieliznę. Marianne leży obok. Jej ciało jest ciepłe pomimo panującego zimna, śmierdzi kolejnymi warstwami nerwowego potu, starymi perfumami i farbą do włosów. Madde pewnie też nie pachnie kwiatami. Ma tylko nadzieję, że ich zapachy rozejdą się na wietrze wiejącym na dziobie albo że zapachy ciał wokół nich są intensywniejsze.

Ma wrażenie, że słyszy zbliżające się kroki. Kłapanie zębów. Zaciska powieki. Próbuje nie oddychać.

Serce bije jak oszalałe, każde uderzenie wywołuje tępy ból w rozdartym płątku usznym. Teraz żałuje, że stała przy oknie w apartamencie i widziała, co się dzieje na zewnątrz. Wie, jak zginęli ci ludzie. Zbyt łatwo potrafi sobie wyobrazić, co się stanie, kiedy oni znajdą ją i Marianne.

Nie myśl o tym, nie myśl o tym.

Węszenie. Trochę dalej, ale i tak za blisko.

Znów nachodzi ją to uczucie. Ma ochotę wstać. Krzyczeć. Bić się. Wskoczyć do lodowatej wody z nadzieją, że jakoś to będzie. Pozwolić dać się ugryźć. Cokolwiek, tylko żeby ten koszmar się skończył.

Nie wolno jej tego zrobić. Ryzykowałaby życie Marianne. Nie po to zaszły tak daleko, żeby umrzeć, kiedy pomoc jest tak blisko.

Kurwa mać. Zrobią to. Wydostaną się stąd, pójdą do tych pieprzonych łodzi ratunkowych na górnym pokładzie. Zaczekają na pomoc, która nadejdzie prędzej czy później. Przecież to właśnie powiedzieli przez głośniki.

Przeżyją. Zejdą z tego cholernego promu. W przeciwnym razie śmierć Vincenta byłaby daremna. Kroki za nimi zaczynają się oddalać. Wciąż wstrzymuje oddech. Nie ma odwagi w to uwierzyć.

A jednak.

Odchodzą.

Madde oddycha teraz ostrożnie. Otwiera oczy. Zacisnęła je tak mocno, że bolą ją mięśnie. Słabe, szare poranne światło sączy się przez rzęsy.

Nastawia uszu. Nie ma pewności, że żaden z nich nie został.

Marianne się porusza. Madde odwraca głowę. Widzi szeroko otwarte oczy Marianne.

– Nie ruszaj się – pokazuje jej na migi.

– Przecież się nie ruszam. – Odpowiedź pada również na migi.

Coś miękko uderza Madde w brzuch.

Leżące pod nimi ciało poruszyło się. Mężczyzna w przepoconej koszulce najwyraźniej się ocknął i wydaje z siebie jęk, który rozchodzi się po piersi na wysokości czubka nosa Madde.

– Chodźcie – szepcze Calle i popycha dzieci przodem. Wchodzi na pierwszy stopień szerokich schodów.

Kątem oka rejestruje jakiś ruch.

Ktoś krzyczy.

Wszystko dzieje się tak szybko.

Mężczyzna w szlafroku wpadł prosto na Anttiego. Stanęli twarzą w twarz. Mężczyzna kaszle. Na twarz Anttiego tryska krew. Antti z obrzydzeniem robi krok w tył, wyciera się rękawem koszuli.

Dłonie mężczyzny zsuwają się po brzuchu. Rękojeść noża Anttiego wystaje z miejsca między połami szlafroka.

– Dla...dlaczego? – sapie mężczyzna i osuwa się na kolana ze wzrokiem wbitym w swoje zakrwawione palce.

Palce są czymś owinięte. To kolorowe plastikowe koraliki nanizane na grubą nitkę. Naszyjnik zrobiony przez dziecko. Calle czuje, że mdłości podchodzą mu do gardła.

– On umie mówić – szepcze nerwowo Lo. – Nie jest jednym z nich.

– Przepraszam – jęczy Antti. – Przepraszam, kurwa, przepraszam...

Mężczyzna podnosi wzrok. Chwyta za rękojeść noża, próbuje go wyrwać, krzywi się z bólu. Puszcza nóż. Zaczyna wymiotować. Potem siada na podłodze.

– Coś ty, kurwa, zrobił, Antti? Coś ty, kurwa, zrobił? – pyta Calle. Ledwo dociera do niego, że z pobliskich korytarzy wyszli jacyś ludzie. Patrzą. Niektórzy włożyli kurtki albo płaszcze, inni owinęli się kołdrami.

– Przecież biegł, sam widziałeś – tłumaczy Antti. – Myślałem, że to jeden z nich.

– Stella – szepcze mężczyzna i patrzy na Callego, jakby chciał się upewnić, czy został usłyszany. – Stella...

– Kto to jest?

– Widzieliśmy ich na kolacji – odzywa się Lo. – Stella to twoje dziecko, prawda? Myślała, że moja ciocia siedzi w wózku dla dzieci.

Mężczyzna przytakuje. Znow krzywi się z bólu. Jego twarz blednie szybko.

– Wybiegła przede mną z kabiny, kiedy... moja żona...

Usta otwierają się i zamykają, lecz nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Calle widzi, że mężczyźnie trudno siedzieć, więc pomaga mu ułożyć się na plecach.

– Co się stało z twoją żoną? – pyta.

Mężczyzna podciąga rękaw szlafroka i odsłania duże ugryzienie tuż pod łokciem.

– Kurwa! – krzyczy Antti. – Kurwa, on jest zarażony! A ja mam na sobie jego krew! Pieprzony debil!

– Zamknij się! – krzyczy Calle.

– To nie była moja wina. I tak by umarł!

– Nie mogłeś tego wiedzieć!

Mężczyzna jęczy. Zaraz potem przestaje oddychać.

Calle czuje, że znów stoi nad tą przepaścią. Jego palce wystają już za krawędź, przechyla się do przodu.

Patrzy prosto w przepaść, a przepaść patrzy na niego.

– Mówię, że to nie była moja wina – jęczy Antti, odwraca się w stronę korytarza i rusza biegiem.

Calle zamyka oczy. Musi spróbować wytrzymać, jeszcze przez chwilę. Nie pokazać Lo i Albinowi, jak jest spanikowany.

Mężczyzna obraca się pod nią. Razem z nim porusza się całe mikado. Obcas wbija się jej mocniej w kostkę, trafia na nerw. Madde podnosi ostrożnie głowę.

O mało co nie robi w majtki.

Mężczyzna patrzy prosto na nią. Ma wodniste niebieskie oczy, spojrzenie tak samo zwierzęce jak Zandra, tak samo puste i jednocześnie zdeterminowane. Przysuwa głowę do jej twarzy. Zęby uderzają o siebie.

Madde zapiera się rękoma o jego klatkę piersiową. Staje na czworakach. Długowłosa kobieta, która leżała na niej i Marianne, stacza się na pokład. Madde przesuwa się do tyłu, trafia kolaniem na coś twardego, wyczuwa pod stopami lodowatą podłogę i udaje jej się podnieść.

Marianne wciąż leży. Patrzy na mężczyznę z paniką w oczach. Są teraz bardzo blisko siebie. Mężczyzna, pociągając nosem, powoli obraca głowę i leżą twarzą w twarz.

To obrzydliwe pociąganie nosem i kłapanie zębami. Madde ma dosyć strachu przed nimi. Tak bardzo ich nienawidzi. Tak cholernie ich nienawidzi.

Przesuwa dłonie, dopóki nie natrafi na łokieć Marianne, chwytą go i przyciąga ją do siebie. Patrzy przez ramię, zauważa, że Marianne odzyskuje równowagę. Niewielka grupka ich zebrała się przy szklanych drzwiach. Po drugiej stronie pokładu zewnętrznego chyba nikogo nie ma.

Mężczyzna siada. Wyciąga ręce. Kłapie zębami. Kąciki ust ma skierowane w dół. Wygląda jak rozpieszczone dziecko, które płacze przed półką ze słodyczami, bo nie dostaje wszystkiego, na co pokazuje palcem.

Marianne stęka i Madde ją ucisza. Pokazuje głową na gromadę, która w każdej chwili może je zauważyć.

Celują w drugie szklane drzwi. Madde przechodzi nad ciałem kobiety. Poślizgnęła się przy tym, bo przez nieuwagę stanęła na jej włosach. Nagle czuje, że coś szarpie ją za sukienkę. W ostatniej chwili tłumi krzyk.

Mężczyzna patrzy prosto na nią. Mocno trzyma materiał, pociąga go i rozrywa. Jego owłosione kłykcie przesuwały się po jej udzie. Twarz zamieniła się w maskę czystej żądz.

Dosyć tego. Ma, kurwa, dosyć.

Zalewa ją fala nienawiści, wpada w nią wraz z wiatrem, ryczy i wiruje.

Madde stara się wyrwać. Na próżno.

– Ssij mi fiuta, ty stary perwo – syczy ledwo dosłyszalnie mężczyzna.

Oni już ich zauważyli. I nagle Marianne staje obok niej. Kopie mężczyznę w głowę ostrym czubkiem buta. Kopie kolejny raz i trafia w ramię. Mężczyzna rozluźnia chwyt.

Marianne kopie go tak długo, aż przewraca się do tyłu, przetacza przez ciało pod nim, ląduje na brzuchu. Macha ramionami. Próbuje się podnieść.

Madde wyłania się zza niego. Chwyta go za włosy na karku, szarpie tak mocno, że powinna mu je

wtrwać, uderza jego głową o najniższy pręt relingu tak, że aż dzwoni metal. Krzyczy na całe gardło. Nie potrafi się powstrzymać. Zresztą jakie to ma teraz znaczenie? I tak zostały zauważone. To za Zandrę. Za Vincenta. Za rozmowę, którą będzie musiała przeprowadzić z rodzicami Zandry. Za córkę Zandry, która nigdy nie pozna swojej mamy, nigdy się nie dowie, jaka była wspaniała.

– Uciekajmy – prosi Marianne.

Madde jej nie słucha. Uderza twarzą mężczyzny w reling, potem jeszcze raz i jeszcze, najmocniej, jak potrafi. Metal pokrywa się krwią i czymś jeszcze, co spływa na pokład. Dopiero kiedy ciało całkiem wiotczeje, Madde nieco się uspokaja. Patrzy na krwawą maź znajdującą się teraz w miejscu twarzy mężczyzny. Zwyciężyła i ma ochotę krzyczeć. Wiatr targa jej włosy.

– Chodź już – mówi Marianne, a powaga jej głosu przyprawia Madde o dreszcze.

Odwraca się i sztywnieje. Kobieta na czele gromady jest od nich zaledwie na długość ramienia. Ale Madde się nie boi, podniecona tym, co przed chwilą zrobiła. Czuje się, jakby mogła zabić ich wszystkich, jednego po drugim albo kilku naraz.

Mobilizuje się, by wytłumaczyć sobie, że najbardziej niebezpieczne byłoby, gdyby uznała, że nic jej nie grozi.

Chwyta Marianne za ramię. Biegnie z nią do szklanych drzwi, otwiera je szarpnięciem. Słyszy za sobą kroki i wpycha Marianne na korytarz.

Tu nie wieje wiatr, więc panuje upiorna cisza i jest ciepło. Madde zagląda w boczny korytarz po prawej, tuż przy drzwiach. Siedzi tam kilku z nich. Na widok jej i Marianne otwierają usta. Ruszają w ich stronę.

Madde i Marianne biegną. W następnym bocznym korytarzu widzą wąskie schody na górę. Marianne nie pamięta, dokąd prowadzą, zresztą nie chce ryzykować, że utkną między dwoma stadami zarażonych. Wtem dostrzega jakiegoś chłopaka z potarganymi włosami. On także je zauważył. Biegną więc jeszcze szybciej. Madde ma nadzieję, że droga do szerokich schodów nie będzie zagrodzona. Zastanawia się, dlaczego na górny pokład nie biegnie więcej ludzi. Może woleli się schować w kabinach? Pewnie na ich miejscu zrobiłaby to samo.

U podnóża szerokich schodów leży na plecach mężczyzna w zakrwawionym szlafroku. Klęczy przy nim dziecko z lnianymi blond włosami ubrane w same majteczki. Na jego drobnych plecach rysują się wyraźnie kręgi.

Marianne dyszy z wysiłku.

– Halo?

Madde wyciąga rękę do dziecka, ale waha się i szybko ją cofa. Niech to dziecko nie będzie jednym z nich. Nie potrafiłaby uszkodzić tego drobnego ciała. Nie przeżyłaby tego.

Dziecko się odwraca. To dziewczynka. Patrzy na nie zapłakanymi oczami.

– Mój tata nie chce się obudzić. Musi się obudzić, bo powinniśmy się schować przed mamą.

Spogląda na Lo, kiedy po raz ostatni wchodzi na górny pokład promu. Czuje, jakby coś przed nim ukrywała. Dawniej cały czas na niego patrzyła. Teraz nie patrzy w ogóle.

Calle trzyma przed sobą prowizoryczną włóczę. Są na pokładzie szóstym. Z korytarzy wychodzą chwiejnym krokiem wystraszeni ludzie, kiwają do nich porozumiewawczo głowami i sami zaczynają wspinać się po schodach. Wśród nich jest krótkowłosa kobieta, która mówi do siebie po fińsku. Albin rozpoznaje dwie inne kobiety, które widział wcześniej wieczorem, kiedy szedł do kabiny po Lo.

„Dziś się zabawimy, mamuśka. Będzie się działo”.

Teraz są podobne do tych ludzi, których widział na zdjęciach z wojny. Zastanawia się, czy on też tak wygląda. Patrzy na korytarz, w którym znajduje się ich kabina. Tata na pewno słyszał komunikat przez głośniki. Co by teraz poczuł na widok taty, gdyby potrafił cokolwiek poczuć?

– Zastanawiam się, gdzie jest mama – mówi Lo, gdy idą na pokład siódmy. – Być może była z... z Cillą...

Głos Lo zrobił się cienki. Tak jakby zniknął na końcu zdania. Albin zerka na nią. Nagle wydaje mu się taka krucha.

– Miałyśmy jutro pójść do kosmetyczki – dodaje cicho Lo. – To znaczy pewnie dzisiaj.

Czy martwi się o Lindę tak samo jak on, zanim wszystko w nim ucichło i zrobiło się takie niedostępne? Na pewno.

Dlaczego nic nie powiedziała przez całą noc? Powinien mimo to się domyślić. Lo jednak nigdy nie sprawia wrażenia, że potrzebuje swojej mamy. Nie sprawia nawet wrażenia, że zbyt ją lubi. Zawsze tak było. Nawet kiedy byli dziećmi, nie chciała, żeby Linda ją pocieszała po jakichś przykrych zdarzeniach.

Jedno z ciał leżących na spoczniku porusza się, zakrwawiona dłoń próbuje ich dosięgnąć. Palce Callego zaciskają się wokół trzonka włóczę. Idą dalej na ósmy pokład.

– Linda na pewno ma większe szanse niż moja mama – stwierdza Albin.

– Niekoniecznie. Co z tego, że potrafi chodzić. Tak jak już mówiłam – odpowiada i wygląda, jakby miała się rozpłakać. – Hoho. Ktoś tu chyba gryzie...

I Lo zatrzymuje się na schodach. Zalewa się łzami. Naciąga rękawy swetra na dłonie, przykładając je do twarzy. Kuli plecy. Trzęsie się od szlochów. Albin kładzie dłoń między jej łopatkami, nie wie, co powiedzieć.

– Chodźcie – ponagla Calle niskim, grubym głosem. – Zostały tylko dwa pokłady.

Lo opuszcza ręce. Twarz ma zaczerwienioną, oczy spuchnięte, ale już nie płacze. Albin znów osuwa się w miejsce, w którym nikt go nie dosięgnie.

Filip ściska swoją prowizoryczną włócznie i opiera ją o ramię, kiedy razem z Marisol wychodzą na pokład dziesiąty. Zerka na parę, która przepycha się przed nich. Całe jego ciało jest napięte. Gotowe. Czasem spotyka się z Marisol wzrokiem. Sprawdza, czy ona również nie zauważyła kogoś z zarażonych.

Przed drzwiami na pokład spacerowy leży czyjaś szczeka z połyskującym aparatem ortodontycznym. Filip zerka przez ramię. Callego i dzieci wciąż nie widać. Po schodach wchodzi dwie kobiety tak podobne do siebie, że wyglądają jak siostry. I mężczyzna w garniturze. Za nim krótko ostrzyżona Finka, która wieczorem w Starlight odtrącała zaloty jednego ze swoich kolegów. Był tak pijany, że Filip zastanawiał się, czy nie zadzwonić po ochroniarzy. Tusz do rzęs spłynął Fince na policzki. Nikt nie wygląda tak, jakby go ugryziono.

– Gdzie oni wszyscy są? – pyta Marisol i Filip rozumie, co ma na myśli.

Czy ci wszyscy ludzie nie powinni zwabić tu zarażonych?

Wychodzą z Marisol na pokład spacerowy od strony sterburty. Temperatura mocno spadła w ciągu nocy. Wiatr chłodzi wilgotną nylonową koszulę Filipa, przykleja mu ją do skóry. Morze jest upiornie spokojne. Nieporuszone tym, co stało się na pokładzie.

Docierają prawie do stalowych schodów prowadzących na górny pokład, kiedy za plecami słyszą krzyki. Filip ściska włócznie jeszcze mocniej i obraca się na pięcie.

– Ej, ty! – krzyczy Dan Appelgren, rozpychając ludzi, którzy stoją mu na drodze.

Jest teraz dużo mniej opuchnięty i ma na sobie nowe ubranie. Patrzy na Filipa zaczerwienionymi oczami, biegnie prosto na niego.

– Ty wspaniałomyślny sukinsynu, kurwa, jak ja cię nienawidzę!

Kiedy usłyszał komunikat z głośników, od razu się domyślił, że to ta señorita ze Starlight. Przyszedł tu dopilnować, żeby żadnemu sukinsynowi nie udało się wsiąść do łodzi. Od razu zauważył, że na promie jest zdecydowanie za mało nowo narodzonych.

Coś się nie zgadza.

I oto stoi przed nim Filip, unosi tę swoją niby-włócznię. Wymachuje mu nią przed nosem.

– Biegnij, Marisol – woła.

Do samego końca odgrywa bohatera.

Marisol go nie słucha, nie wie, co dla niej najlepsze. Idzie w kierunku Dana, trzymając w rękach czekan. Pod skórą na jej szyi pulsuje mocno żyłka. Cienki łańcuszek z krzyżykiem połyskuje w porannym świetle. Dan odchyła się lekko, gdy ostrze czekana przelatuje mu przed twarzą. Marisol znowu unosi czekan, ale on jest szybszy. Uderza ją mocno w twarz. Wyrzywa jej czekan, odrzuca go na bok. Słyszy krzyki ludzi.

– Nie myśl sobie, że ktoś wysiądzie z tego promu – mówi i czuje zapach krwi, która wypływa z jej nosa.

I Dan już rozumie. Uśmiecha się do niej krzywo.

I nagle palący ból tuż nad linią pasa.

Odwraca się. Widzi Filipa, który trzyma włócznię obiema rękami. Nóż wbił się do samego końca, zatrzymał gdzieś za najniższym zębem.

Ból jest intensywny. Nie wywołuje jednak w Danie lęku. Przeciwnie, zaostrza jego zmysły. To nie jest w stanie go zniszczyć. Rana się zagoi.

Filip wysuwa nóż z ciała Dana i próbuje zadać kolejny cios. Celuje w klatkę piersiową. Uderza, ale chybia o kilka decymetrów. Ze strachu traci koncentrację.

– Biegnij, do diabła! – woła do Marisol i znów celuje w Dana.

Dan podnosi rękę. Zaciska palce wokół ostrza, które przebiło mu dłoń na wylot. Czas zakończyć tę farsę. Wyrzywa włócznię Filipowi i wyrzuca za burtę.

Filip stanął między Danem a Marisol. Jest za głupi, żeby uciekać.

Dan z łatwością przewraca go na plecy. Filip próbuje się uwolnić, ale szybko orientuje się, że i tak nic mu to nie da. Ludzie za nimi krzyczą.

Strach Filipa ma coraz bardziej cierpki zapach. Nareszcie. Nareszcie pokazał Filipowi gdzie jest jego miejsce.

– Cieszę się, że uciekłeś z mesy – mówi Dan. – Byłem wtedy zbyt zmęczony, żeby się tobą zająć. Ale już nie jestem.

Filip krzyczy, kiedy Dan odgryza mu z szyi duży kawał mięsa. Krew jest ciepła. Kusząca. Dan wypływa to, co ma w ustach: nie popełni kolejnego raz tego błędu i nie rozchoruje się od jedzenia.

– Biegnij! – krzyczy Filip i próbuje spojrzeć na Marisol. – Jest już po mnie, musisz pomóc innym, musisz...

Krzyki przestają układać się w słowa, bo znów zęby zatapiają się w jego szyi. Dan napotyka opór chrząstki w jabłku Adama. Miażdży ją jednak po sekundzie i w końcu Filip milknie. Krew tryska jak ciepła, słodka fontanna prosto do ust Dana. Dobia go płacz Marisol. Krzyki paniki. Patrzy w otwarte szeroko oczy umierającego Filipa.

Rozrywa jego koszulę. Odgryza kawał mięsa z piersi. Przesuwa się w kierunku serca. Zniszczy Filipa, zmiecie go z powierzchni ziemi.

Coś stało się na pokładzie spacerowym. Ludzie zebrali się przed szklanymi drzwiami. Wielu płacze. Niektórzy próbują precyzyjnie się z powrotem do wnętrza promu. Jakiś mężczyzna krzyczy:

– Musimy wracać do kabiny. Chodź, Kerstin!

Inni stoją w miejscu, wyciągają szyje, żeby zobaczyć, co dzieje się z przodu.

Nagły powiew wiatru niesie ze sobą zimne powietrze z zewnątrz. Calle nagle boi się bardziej, niż bał się w ciągu całej nocy. Dopada go wszystko to, co próbował od siebie odsunąć. To, co już się stało. I co jeszcze może się stać.

A jeśli uda im się przedostać do łodzi ratunkowych i nie będzie tam Vincenta?

Dwie kobiety zbiegają po schodach, prawie go przewracają. Jedna z nich mówi:

– Widziałaś? To był ten z baru. Prawda, że to był on?

Zimny wiatr przeszywa do szpiku kości.

Oczy Albina znów wyglądają jak martwe. Zniknął błysk, który wrócił na chwilę, gdy szli po schodach. Mimo to Albin ściska dłoń Callego zaskakująco mocno.

– Sprawdź tylko, co się stało – mówi Calle. – Okej? Zaraz wracam.

Palce Albina zaciskają się jeszcze mocniej. Calle zerka na Lo.

– Możecie tu poczekać? – prosi. – Tylko na kilka sekund.

Lo przytakuje.

– Zaraz wracam. Uważajcie na siebie.

Wchodzi na ostatnie stopnie, przeciska się na pokład spacerowy. Rozpoznaje kobietę z fińskiej konferencji, którą widział w Poseidonie. Wiele osób jest stanowczo za lekko ubranych. Calle patrzy na blade twarze i posiniałe wargi. Okrąża grupę ludzi, którzy stoją i przytulają się do siebie.

Uścisk Albina był tak mocny, że wciąż go czuje.

Ludzie zaczynają się rozchodzić. Wtem na górny pokład wbiega Marisol.

Jest sama.

I Calle już wie.

Przepycha się ostatni odcinek. Najpierw zauważa Dana Appelgrena. Dan ma na sobie sweter Vincenta, ten sam, który Calle kupił mu poprzedniej zimy.

Czekan, który znalazła Marisol, leży tuż pod stopami Callego.

Nic się nie zgadza. Nic a nic.

Dan stoi na czworakach nad ciałem leżącym na pokładzie. Calle myśli, że Filipowi musi być zimno w tej cienkiej koszuli roboczej i kamizelce. Podłoga na pewno jest bardzo zimna.

Potem jednak mózg Callego dogania sam siebie. Filip nie czuje zimna. Nic już nie czuje.

To nie Filip tam leży. To jego ciało rozrywa i szarpie Dan. To jego głowa kiwa się i przetacza w prawo i lewo jak pęk kwiatu na złamanej lodydze. To jego krew. Ale to nie jest Filip.

I nagle Calle wszystko rozumie. Uspokaja go to całkowicie. Jeśli istnieje coś takiego jak dusza, to tam jej nie ma. Dan Appelgren nigdy nie dostanie tego, co było Filipem.

I nagle ta chwila mija. Calle traci równowagę. Osuwa się na kolana.

Dan podnosi wzrok. Krew pokrywa mu twarz, kapie z brody. Patrzy na coś za plecami Callego. Zasysa wargi. Ale to nie jest ten sam Dan, który wszedł do mesy.

Boi się.

Calle się odwraca. Patrzy na nią, jak toruje sobie drogę przez tłum. Ma rozdartą, zakrwawioną koszulę. Matowe loki z siwym odrostem wysunęły się z koczka, powiewają swobodnie na wietrze.

„Jeśli mnie zobaczysz, uciekaj przede mną jak najdalej”.

„Kocham cię, Calle. Obiecuj mi”.

Ale nie może. Nie może się nawet poruszyć.

Większość pasażerów została w kabinach. Czekają na pomoc, która, jak im obiecano, ma nadejść. Łącznie nieco ponad sto zdrowych osób odważyło się wyjść na korytarz i ruszyć w kierunku górnego pokładu.

Antti spuścił do wody *fast rescue boat*. Ostatni raz ogląda się za siebie przez ramię. „Charisma” piętrzy się nad nim. Krzyki z pokładu spacerowego. Odpływa, odgłos motoru i szum wiatru zagłuszają wszystkie dźwięki. Próbuje nie myśleć o dzieciach ani o wszystkich tych, którzy zostali na pokładzie. Próbuje przekonać samego siebie, że właśnie wyświadcza im przysługę. Popłynie do Finlandii, ma nadzieję dopłynąć wystarczająco blisko lądu, żeby zadzwonić z komórki po pomoc. „Mogłeś chociaż zabrać dzieci”, myśli. Zwiększa prędkość.

Ojciec Albina wyszedł z kabiny. Biegnie długim korytarzem na szóstym pokładzie. Potyka się o czyjeś ciało. Chce skręcić w kierunku schodów, kiedy słyszy dobiegające stamtąd krzyki. Zatrzymuje się. Oddycha ciężko. Zauważa rozbitą przeszkloną ścianę na końcu korytarza. Od razu rozpoznaje wózek, który leży za nią. Lampki przy gałce w ciemnościach migają słabym światłem. Ostrzegają, że niedługo skończy się bateria. Jednak nigdzie nie widzi swojej żony.

Na pokładzie do przewozu samochodów zapach benzyny jest tak intensywny, że Adamowi kręci się w głowie. Tłumi wszystkie inne zapachy. Tłumi jej zapach. Adam słyszy jej kroki. Huk i uderzenia. Chłupot i plusk. Znajduje ją od strony sterburty, blisko dziobu statku. Setki nowo narodzonych stoją w ciemnościach. Poruszają się niespokojnie na jego widok. Patrzą raz na niego, raz na jego matkę. Sukienka i rękawy jej kardiganu są mokre. Ręce, które ściskają czekan, lśnią od benzyny. Dociera do niego, co chce zrobić.

– Mamo – zwraca się do niej. – Nie możesz. Pozabijasz ich wszystkich. Ludzi też. Dzieci.

Matka patrzy na niego. W migoczącym świetle cienie kładą się ciężko na jej twarzy.

– Tak będzie lepiej – odpowiada. – Teraz to wiem.

Adam kręci głową.

– Zabijesz mnie – mówi i podbiega do niej. Wciska twarz w jej brzuch. Splata ramiona wokół jej ud. – Już mnie nie kochasz?

Błaga jak mały chłopiec, którego ona tak kocha. Nowo narodzeni przyglądają im się w milczeniu. Badawczo. Czekają na to, kto ich poprowadzi. Zabierze ich stąd. Na górny pokład.

– Nie rozumiesz? – mówi Adam i robi krok do tyłu. – Nareszcie możemy być wolni. Kiedy starcy zrozumieją, co się stało, będzie już za późno. Nie będą już mieć nad nami władzy.

Matka przygląda mu się bez słowa. Kręci głową. Adam potrafi jednak poznać po jej spojrzeniu, że się waha. Palce nie zaciskają się już tak mocno wokół trzonka czekana.

Podłoga kołysze się ledwo wyczuwalnie pod ich stopami. Adam próbuje znaleźć odpowiednie słowa.

– Nie musisz się bać. To początek czegoś nowego. Czegoś dużo lepszego. Ludzie i tak w końcu sami się zniszczą. Jeśli teraz to zrobimy, być może będziemy mieć szansę. I oni, i my.

Rysy jej twarzy łagodnieją. Dopiero teraz, kiedy postawił wszystko na ostrzu noża, matka wygląda, jakby coś zaczęło do niej docierać.

– Nie rozumiesz, że chcę to zrobić razem z tobą? – ponagla ją.

Matka zaczyna płakać, zaskakuje go to. Od tak dawna nie widział jej łez.

– Tak. Rozumiem. – Kobieta szybko kiwa głową.

Adam wyciąga do niej rękę, żeby mogła wziąć go w ramiona.

Nowo narodzeni są teraz milczącą masą.

Kobieta patrzy na swojego ukochanego syna. Unosi czekan. Rozbija jego głowę jednym uderzeniem.

Dan. On ma na imię Dan. Zna go, jest taki jak ona. Nie lubi go.

Zna jego imię, ale nie zna swojego.

Zimno. Tutaj jest zimno. Zna to wszystko. Dom. To jest dom, ale nic się nie zgadza. Za spokojnie. Cisza pod stopami. Szare morze. Wszystko szare. Ona próbuje złapać swoje myśli, ale znikają na wietrze. Choć i tak jest już lepiej. Nie tak jak wcześniej. Kiedy była głodna. Nie pali jej w środku. Rana zniknęła.

Pewnie zaczyna się budzić. Od tak dawna śniła. Czas zniknął.

Kopie go w głowę. On przewraca się na bok. Patrzy na niego. To on, Dan. Próbuje rozerwać mgłę, która skrywa jej myśli. On staje na czworakach. Pia patrzy na jego zranioną dłoń. Wcześniej też była zraniona. Kiedy indziej. Z jakiegoś powodu coś jest ważnego w tej dłoni. Jest też dziecko. Czy Dan ma dziecko? Nie. Dziecko jest jego ojcem. To się nie łączy. Wszystko zaczęło się od niego i dziecka. Ona to skończy.

Zatrzyma go. To jej zadanie. Dlatego jest tutaj. Wie o tym.

Patrzy na ciało leżące za Danem. Zabił, lecz nie zjadł. Porozrywał. Zmarnował. Krew na całej podłodze. Zimna i martwa. Poznaje zapachy z wnętrza ciała. Trzepoczą w niej wspomnienia. Nie może ich złapać. Tylko Filip. Imię zostało. Wie, że jest ważny. Martwiła się o niego.

Znów kopie Dana w głowę. On upada do tyłu. Łąduje ciężko na ziemi. Podnosi się. Jest większy od niej. Teraz, kiedy stanął.

Przeraża ją. On też jej nienawidzi. On też się boi. Któreś z nich musi umrzeć.

Dan próbuje ją złapać. Ona odpycha jego ręce. Wie, co robi. W innym życiu wiedziała. To wystarczy. Ciało pamięta.

Kolano się unosi. Uderza go miękko między nogami. On się pochyla. Jej drugie kolano trafia go w twarz. Coś się łamie. Ona rzuca się na niego. Używa całego swojego ciężaru. Przewróci go.

Ale on jest silniejszy, stawia opór. Ona próbuje dosięgnąć go zębami. Zatrząskuje je na jego uchu. Czuję zimno w ustach. Odrywa. Wypluwa.

Przetacza ją na bok. Teraz ona leży na plecach. On na niej. Jest ciężki. Ona próbuje się uwolnić. Nic z tego.

– Ty pizdo, jebana pizdo.

Uderza jej głową o pokład. Nienawidzi jej. Nienawidzi wszystkich.

Jej głowa znów uderza o deski. Coś pęka. Trzeszczy w czaszce. I ten ból...

Coś porusza się w powietrzu. Świszcze. Nad nią. Mokre uderzenie. Dan mruga. Palce się prostują. Krew. Zimna. Martwa. Kapie na jej twarz. On dalej mruga. Ona go odpycha i ociera oczy.

Przed nią stoi mężczyzna. Ma włosy nie na głowie, ale na twarzy. Rozpoznaje go. On jest przyjacielem. Mężczyzna patrzy na nią ze strachem. Ma w ręku czekan, z którego kapie krew. Ona patrzy na Dana. Nowe, otwarte szeroko usta w jego szyi. Tuż nad ramieniem. Zraniony i wciąż silny.

Musi być szybka.

Rzuca się na niego. Zanurza palce w jego otwartych ustach, których jeszcze przed chwilą tam nie było, i je rozrywa. Dan krzyczy. Jego zęby wciąż kłapią. Ona znajduje tę twardą i śliską kolumnę w środku. Chwyta ją. On próbuje coś powiedzieć. Ona nie chce tego słyszeć. Wciska kolano z boku szyi. Przyciska, aż kolumna pęka.

Dan nieruchomieje.

Ona cofa ręce. Podnosi wzrok na mężczyznę z włosami na twarzy. Widzi, że on ma ranę na czole. Z jego oczu płyną łzy. Smuci ją to.

Należą do siebie. On nie jest taki jak ona. Mimo to należą do siebie. Ona go kocha.

– Pia?

Tak. To jest jej imię. Pia. Ma na imię Pia. Była osobą. Ktoś dał jej imię.

Teraz wie też, jak on ma na imię.

Próbuje to powiedzieć. Chce pokazać, że wie. Usta nie chcą jej słuchać. Język zrobił się gruby i dziwny.

Więc ona tylko kiwa głową. Kolejne łzy w jego oczach. Ona dotyka swojej szyi. Nie ma dziury. Ale to twarde pękło. Brzegi stykają się pod skórą. Ból rysuje błyskawice przed jej oczami.

Biegnie do nich dwoje dzieci. Chłopiec. Dziewczynka. Widziała ich wcześniej. Próbuje sobie przypomnieć. Dziewczynka się bała. Udawała, że jest zła. To było od razu widać. Rozpoznała w niej siebie.

Jest też kobieta. Kobieta, której krew teraz ją wypełnia. Krew, dzięki której zniknął ból. Głód jednak wciąż tu jest. A dzieci mają tak kuszący zapach.

Musi odejść. Od nich. Nie chce zrobić im krzywdy.

Musi pomóc innym.

Patrzy na Callego. On pomoże dzieciom.

Pokazuje schody. Nie pamięta, co jest nad nimi. Ale muszą tam iść. Oni i wszyscy inni.

– Tak – potwierdza Calle. – Wydostaniemy się stąd.

Stąd. Ona smakuje to słowo. On mówi o czymś, co jest poza tym szarym światłem i wodą. Ona się stąd nie wydostanie.

Musi pomóc innym. To jej zadanie. Dlatego jest tutaj.

Przybliży dłoń do twarzy Callego. On się wzdryga. Wciąż się boi. Ona gładzi go po policzku. Czuje jego miękką brodę na opuszkach palców.

Ma nadzieję, że Calle znajdzie to, czego szukał. Coś w nim jest ważnego. Widzi przed sobą różowe paski papieru. Słyszy, jak szeleszczą jej w dłoniach. Poręcz. Callego tam nie było, a mimo to z nimi był.

Opuszcza dłoń.

Musi odejść. Jak najdalej od dzieci.

Z wnętrza słyhać krzyki. Przy schodach. Musi tam iść.

Ludzie odsuwają się, kiedy przechodzi obok.

Musi pomóc ludziom wyjść. Musi zabić tych, którzy próbują ich zatrzymać.

Na górnym pokładzie nie ma zadaszenia. Ludzie, którzy zebrali się przy łodziach ratunkowych, dygoczą z zimna. Calle przesuwa po nich wzrokiem, kiedy idzie przez pokład. Razem może być ich około setki. W grupie, która podąża za nim, dodatkowo jakieś dwadzieścia, trzydzieści osób.

Nigdzie nie widzi Vincenta.

Wziął Albina na rękę, Lo biegnie obok niego. Głos Pii odbija się w nim echem.

„Call...eeeeehhh”.

Tak długo próbował zachować kontrolę. Tylko dzieci nie pozwalają mu nie zwariować, myśl, że musi być silny dla nich. Może to one uratowały jego, a nie na odwrót.

Marisol stoi przy wyciągu, wykrzykuje instrukcje kilku pasażerom, którzy ciągną za liny, żeby naprowadzić łódź na wodę. Skończyła z jednymi i biegnie do następnych. Jest trupio blada. Na górnej wardze ma zaschniętą krew. Dwie dziewczyny, wciąż w mundurkach sprzątaczek, rozdają koce. Kelner z Poseidona pomaga zakładać kamizelki.

Calle robi pełny obrót, patrzy na wodę za burtami „Charismy”. Nigdzie nie widać lądu. Dobrze, że Bałtyk jest spokojny. I weszło słońce. Po tym wszystkim, co wydarzyło się w nocy, świat podał im dłoń – mimo wszystko.

Sadza Albina na pokładzie. Bierze koce dla siebie i dzieci. Dziękuje w duchu, że mają na sobie ciepłe ubranie.

Jeśli wyjdą z tego cało, to przynajmniej coś udało mu się osiągnąć.

Muszą się uratować.

Przy kamizelkach wybuchła bójka. Kelner z Poseidona próbuje rozdzielić bijących się, mówi zdenerwowany, że kamizelek wystarczy dla wszystkich i jeszcze kilka zostanie na wszelki wypadek. Nie słuchają go. Calle nie wątpi, że Pia rozwiązałaby konflikt w kilka sekund.

„Call...eeeeehhh”.

Coś z dawnej Pii zostało w tym stworzeniu...

...wampirze...

którym się stała. I Dan Appelgren. On potrafił mówić. On potrafił myśleć. Był potworem, ale może był nim, zanim się zaraził.

Oni są wampirami. No przecież. Nie rozumiecie?

Patrzy na Lo. Zastanawia się, czy dobrze postąpili, nie mówiąc Albinowi o jego mamie. Czy uda się pomóc wszystkim zarażonym? Czy staną się znów sobą?

Czy mógł się stać sobą mężczyzna, którego zabili w mesie?

Zmusza się, żeby odsunąć od siebie te pytania. Musi zrobić wszystko, żeby się stąd wydostali.

– Pomogę im przy łodziach – mówi i okrywa Albina mocniej kocem. – Chcę, żebyście razem z Lo wskoczyli do pierwszej łodzi.

Chłopiec ledwo reaguje.

– Mama! – woła Lo. – Widzę mamę!

Albin pierwszy raz podnosi wzrok. Lo biegnie w stronę grupy ludzi, która właśnie weszła na pokład. Koc zsuwa jej się z ramion i unosi go silny podmuch. Jasnowłosa kobieta rozkłada ramiona, zaczyna biec w stronę Lo. Głośno krzyczy.

Calle bierze Albina za rękę. Idą w stronę Lo, która wtuliła się w swoją mamę. Calle nie widzi ich twarzy, ale słyszy, że obie płaczą.

Pociąga z butelki. Prawie nie czuje smaku spirytusu. Słyszy chrzęst szkła pod butami, gdy wchodzi do części spa. Wyczuwa delikatny zapach chloru i korzennych słodkich olejków. Głucha cisza. Przed nim znajduje się recepcja, za nią ściana z luksferów, przez którą sączy się blada szarość. Za tą ścianą pewnie są duże okna. Mårten widzi uchylone drzwi. Podchodzi do nich. Mija niewielką kanapę z fotelami. Na stoliku stoi miska z wodą. Pływają w niej plastikowe kwiaty z mięsistymi różowymi płatkami. Na stojaku wyłożono magazyny z błyszczącymi okładkami. Roześmiane kobiety z odchylonymi głowami odsłaniają kredowobiałe zęby, wgryzają się w jabłka. On czuje się tak, jakby odprowadzały go wzrokiem, kiedy przechodzi obok wózka.

Plusk gdzieś z przodu.

Mårten zagląda przez kolejne drzwi. Na środku korytarza leży zielona mata antypoślizgowa prowadząca do basenu. Basen ma głębokość czterech rzędów kafli. Za nim są okna od podłogi do sufitu. Światła pozycyjne rzucają słaby blask na niebo pokryte pędzącymi chmurami. Kiedy Mårten na nie patrzy, wydaje mu się, że prom porusza się niezwykle szybko, choć przecież teraz stoi.

– Cilla? – woła Mårten i znów pociąga łyk z butelki. – Jesteś tutaj?

Wchodzi do środka. Podeszwy skrzypią cicho na macie antypoślizgowej. Szatnia. Sauna. Gabinet kosmetyczny ze stołami do masażu.

Teraz widzi przez okno czubek dziobu promu. Sterty ciało. Mężczyzna w chabrowej wiatrówce przesuwa się do przodu na samych łokciach. Jeszcze jeden łyk.

– Cilla? Gdzie jesteś?

Nigdy nie czuł się bardziej samotny. Jego pijany głos wraca do niego echem.

Z basenu wylewa się na brzeg trochę wody. Teraz Mårten widzi, że woda jest lekko różowa. Robi mu się zimno w środku. Zmusza się, żeby podejść krok bliżej. Na wodzie są czerwone pręgi. Tylko tyle.

– Cilla?

Słyszy coś mokrego, co się porusza. Podłoga wydaje z siebie mlaśnięcie.

Mama. Wróciła.

Czyjaś ręka wyłania się z wody po drugiej stronie basenu i chwyta za brzeg. Po chwili widać profil Cilli, który odbija się i wykrzywia w wodzie. Cilla odwraca głowę, patrzy prosto na niego pustym wzrokiem. Jej szyja głośno skrzypi. Z krótko ściętych włosów kapie woda prosto na twarz.

Cilla staje tuż przed oknem. Mokra koszulka przykleja się do kruchego ciała. Mårten patrzy jak zaczarowany na jej nogi, które widać wyraźnie pod ociekającą wodą spódnicą. Są dużo za cienkie, od dawna ich już nie używała. Uda nie stykają się ze sobą. Kolana wyglądają jak duże narośla.

Cilla robi krok w jego stronę. Na moment traci równowagę, mimo to nie upada.

Robi kolejny krok.

Jak?

Twarz wykrzywiła się w maskę bólu. Pamięta ją taką. Próbuje zawsze ją ukryć, zawsze chce być taka

cholernie odważna. Tym razem jednak chyba nawet tego nie zauważyła. Zdaje się widzieć tylko jego.

Co się dzieje za tymi pustymi oczami?

– Cilla?

Kolejny krok. Jej zęby uderzają o siebie z chrzęstem.

Butelka wyślizguje się Mårtenowi z dłoni, odbija od maty antypoślizgowej, dzwoni głośno, tocząc się po podłodze wyłożonej kafelkami. Cilla przekrzywia głowę. Patrzy na butelkę. Patrzy, jakby niczego nie rozumiała.

Mówili przez głośniki, że można się zarazić przez ugryzienie.

Ona jest zarażona. Chora. I znów chodzi. Niczego już nie rozumie.

Nic nie jest tak, jak być powinno, mimo to Mårten czuje, jakby przez całe swoje życie zmierzał właśnie do tego punktu.

Cilla przechyla się do niego. On chwyta ją za wychudłe ramiona. Potrząsa nią. Głowa przechyla się na boki. Coś skrzypi i stuka w szyi. Mårten słyszy samego siebie, jak krzyczy, kiedy popycha ją z całych swoich sił. Cilla odchyła się do tyłu, przewraca, niemal uderza o brzeg basenu. Mårten czuje się tak lekki, jakby zrzucił z siebie ciężar, który nosił przez całe życie.

Wydostanie się stąd. Znajdzie Abbego przy łodziach ratunkowych.

Będzie go mieć tylko dla siebie.

Mårten biegnie z powrotem w stronę ściany z luksferów. Klafs, klafs, słyszy za plecami, kiedy Cilla się podnosi. Mårten szarpie drzwi i staje za ladą recepcji.

W ciemnościach roi się od nich. Okruchy szkła skrzypią i chrzęszczą, gdy oni przesuwiają się w jego kierunku. Ich zęby donośnie kłapią. Korytarzem idą kolejni.

Nie ma dokąd uciec.

Klafs, klafs.

Zgasły lampki na wózku, którego Cilla już nie potrzebuje, bo kładzie dłonie na szyi Mårtena. Przywiera do niego. Tył jego tiszertu robi się zimny i mokry. Najpierw skórę na jego szyi muskają jej wargi. A potem zęby...

Morze jest szare i chropowate, wygląda, jakby było z kamienia, nie z wody. Spuszczono pierwsze łodzie ratunkowe i teraz podskakują spokojnie na powierzchni.

Linda wciąż płacze, przytula mocno jego i Lo. Mimo to ledwo się dotykają, bo przeszkadzają im kamizelki.

– Chodź, Abbe – prosi Linda i wstaje. – Już czas.

Abbe kręci głową. Patrzy na pomarańczową łódź, która wisi przed nimi zaczepiona na wysięgniku dźwigu. Na ludzi, którzy w niej siedzą. Niekórzy próbują dzwonić z telefonów komórkowych. Nikomu się nie udaje. Marisol pyta wszystkich, którzy wdrapują się na łódź, czy zostali ugryzieni. Skąd może wiedzieć, że nie kłamią, kiedy zaprzeczają?

– Abbe – mówi Lo. – Musimy.

Za bardzo przypomina mu to ostatni raz, kiedy próbowała go przekonać, żeby wsiadł na tratwę. Teraz jest prawie pewien. Kręci uparcie głową.

– Nie bez mamy. I nie bez Callego.

Calle kuca obok niego. Obraca go do siebie.

– Zaczekam tu na swojego chłopaka. Jeszcze tylko chwilę. Musisz wsiąść do tej łodzi.

– A potem? – pyta Albin i patrzy na wodę. – Co będzie potem?

– Jeśli do wieczora nie znajdą Cilli i Mårtena, pojedziesz z nami do Eskilstuny – tłumaczy Linda. – Zaczekamy tam, aż się odezwą.

– A co jeśli się nie odezwą?

– Wtedy zostaniesz z nami. Poradzimy sobie, zobaczysz. Abbe, proszę cię, chodźmy.

Albin zaciska usta. Zauważa, że Linda i Calle wymieniają spojrzenia. Potem Calle woła do Marisol, że może zapełnić ostatnie miejsca na łodzi i spuścić ją do wody. Że popłyną następną.

Podchodzi do nich jakaś ruda kobieta w koszulce w paski. Albin podnosi na nią wzrok. Wydaje się miła, ale jest zdenerwowana.

– Przepraszam. To ty jesteś Calle? – odzywa się kobieta.

– Tak – odpowiada Calle i wstaje.

– Zauważyłam twoją obrączkę. Zro...zrozumiałam, że to ty.

Kątem oka Albin rejestruje jakiś ruch i obraca głowę. Mewa. Uderza skrzydłami, otwiera dziób, żeby krzyknąć.

Skoro jest tu mewa, nie mogą być daleko od Finlandii. Przynajmniej tak mu się wydaje.

Nigdy nie zwrócił uwagi na urodę tych ptaków. Idealnie wykrzywiony dziób, w sam raz do chwytania zdobyczy. Piękna linia ciemniejszych piór na skrzydłach.

– Wiesz co? – zwraca się do Lo. – Dawniej wierzono, że mewy to dusze zmarłych marynarzy.

Mewa siada tuż przy nim na relingu. Patrzy mu prosto w oczy i przekrzywia głowę, jej pióra poruszają

się na wietrze. Znów otwiera dziób.

Calle wybuchnął płaczem za jego plecami. Albin rozumie. Rozumie, że chodzi o tego, którego Calle szukał przez cały czas.

– Przykro mi – szepcze kobieta. – Naprawdę, naprawdę mi przykro.

Albin wyciąga rękę do mewy. Spłoszona odlatuje z krzykiem.

– Potem o wszystkim ci opowiem – mówi kobieta do Callego. – Gdy tylko się stąd wydostaniemy.

Albin spogląda na Callego. Kobieta wzięła jego dłonie w swoje ręce. Ona również płacze.

– Bardzo cię kochał.

Albin chce powiedzieć, że wie, kim była ta mewa, lecz Calle teraz by tego nie zrozumiał. Powie mu innym razem.

Czas opuścić prom.

Ciemnowłosa kobieta siedzi na podłodze zalanej benzyną. Przyciska do siebie ciało syna. Objęła go ramionami tak, że jest prawie niewidoczny. Kobieta ma wrażenie, że znów stał się jej małym chłopcem. Kiedy zamyka oczy i próbuje nie czuć duszącego zapachu, potrafi sobie niemal wyobrazić, że wrócili do początku ubiegłego wieku. Że zasnął w jej ramionach. Zasnął na zawsze. Z ociąganiem otwiera oczy. Patrzy na nowo narodzonych przez rozedrgane opary benzyny. Z kieszeni kardigana wyjmuje małą złotą zapalniczkę. Otwiera wieczko z głośnym kliknięciem. Nie ma czasu do stracenia. Boi się jednak tego, co za chwilę zrobi. Boi się znacznie bardziej, niż się tego spodziewała. Próbuje przekonać samą siebie, że nie ma znaczenia, czy jakimś ludziom udało się opuścić prom, dopóki nie są zarażeni. Że nie ma znaczenia, czy zdążyli nagrać filmy albo zrobić zdjęcia. Jedyne, co zobaczy potomność, to masa ludzi, którzy zachowują się niezrozumiale i brutalnie. Nikt jednak nie uwierzy w prawdę, jeżeli ciała, które się przemieniły, znikną. Ludzkość doskonale potrafi znajdować wyjaśnienia pasujące do jej obrazu świata. Robiła to wcześniej i robi to znowu. O ile jej się teraz uda. Kobieta nie jest pewna, co się stanie, kiedy zapali benzynę. Patrzy na nowo narodzonych. Może tylko mieć nadzieję. Przytula chłopca jeszcze mocniej. Wącha jego szyję i czuje tylko zapach śmierci. Próbuje przywołać najpiękniejsze wspomnienia. Zimne noce w Rosji przed wielką wojną. Lata pięćdziesiąte i wszystkich tych pięknych, biednych młodych ludzi, którzy jeździli na Riwierę w poszukiwaniu zakazanych przygód. Sztuczne ognie na przełomie wieków, kiedy przypominała sobie przemianę sprzed stu lat. Całuje krągły policzek syna. Czy spotkają się znów po śmierci? Spirytyści byli przekonani, że istnieje życie po śmierci. Ona i jej syn już raz umarli. Co zostanie, kiedy umrą raz jeszcze? Krzesiwo zapalniczki przesuwają się pod jej kciukiem. Strzelają iskry. Płomień jest jasny i czysty. Kobieta znów zamyka oczy. Rzuca zapalniczkę na ziemię. Słyszy szept ognia. Czuje jego ciepło. Nowo narodzeni krzyczą w panice. Nie wypuści syna z ramion. Ogień stopi ich ze sobą. Głaszcze jej przesączone benzyną ubranie. Zjada jej włosy jednym tchnieniem. Rozchodzi się po jej ciele. Ból jest nie do wytrzymania, ale zaraz się skończy. Zapach palonego mięsa staje się intensywny. Głosy nowo narodzonych są coraz ostrzejsze, słychać je coraz wyraźniej. Usta kobiety się nie otwierają. Jej oczy wciąż są zamknięte.

Ogień dociera do ciężarówki na fińskich numerach rejestracyjnych. Olli, jej kierowca, był jedną z pierwszych ofiar. Na pace znajdują się puste butelki po acetylenie, których spedytor nie zadeklarował. Olli nic o nich nie wiedział, nikt nie skontrolował ładunku, kiedy ciężarówka wjeżdżała na prom.

Eksplozja wstrząsa „Charismą”. Daje się odczuć w ścianach, dachu i podłodze. Wyrzywa dziurę w kadłubie. Rysa sięga aż pod powierzchnię wody.

Morze ognia rozchodzi się po pokładzie samochodowym. Roztopia plastik. Ognioodporne szyby pękają od gorąca. Ogień połyka zasłanki w autobusie dalekobieżnym. Lśni w szeroko otwartych ustach nowo narodzonych. Woda leje się z tryskaczy, lecz nie jest w stanie ugasić pożogi. Płomienie rozpełzają się między zbiornikami z benzyną. Butle z gazem w kamperze ciemnowłosej kobiety wybuchają. Pokład samochodowy wypełnia teraz gęsty i gryzący dym.

Głowa kobiety pęka od gorąca. Tkanki pod czaszką bulgoczą i skwierczą. Gumowe podeszwy bucików jej syna się roztopiły.

Chwilę po eksplozji na górnym pokładzie zrobiło się zupełnie cicho. Zaraz potem wszyscy zaczęli krzyczeć w panice.

Woda stopniowo wypełnia prom. Zalewa pokład drugi. Unosi z podłogi resztki ciała Vincenta.

Ludzie, którzy usłyszeli i poczuli eksplozję, uciekają teraz ze swoich kabin. Przepychają się, żeby wejść na schody. Próbuje zachować równowagę, kiedy prom ledwo wyczuwalnie zaczyna przechylać się pod nimi.

W barze Charisma Starlight butelki spadają z półek, a kieliszki ze stolików. Statyw mikrofonu przewraca się na scenę.

W sklepie wolnoślowym z półek zsuwają się butelki i torebki ze słodyczami.

Im bardziej „Charisma” się przechyla, tym więcej wody nabiera. A im więcej wody nabiera, tym bardziej zwiększa się kąt nachylenia.

Ludzie biegną korytarzami, potykając się. Próbuje opierać się o ściany. Ciała toczą się po wykładzinie. Po pokładzie zewnętrzym. Wpadają do wody. Na schodach ludzie chwytają się poręczy z mosiądzu. Niektórzy upadają. Inni zostają powaleni przez współpasażerów, którzy chcą ich wyminąć, chcą dostać się na górę, na zewnątrz.

– Pospiesz się! – krzyczy Marianne, która siedzi na ostatniej tratwie z tej strony promu.

Trzyma mocno Stellę owiniętą w koce. Tratwa obija się o burzę. Muszą zjechać po pionowej ścianie „Charismy” i modlić się, żeby tratwa się nie wywróciła, gdy uderzy o powierzchnię wody.

Madde trzyma się mocno relingu. Patrzy przez ramię na ludzi, którym udało się dotrzeć na pokład zewnętrzny promu tylko po to, żeby trafić w wir po drugiej stronie relingu. Niektórzy próbują przedostać się na ich stronę, biegnąc pod górę po śliskim, pochyłym deku. Inni znaleźli kamizelki. Przechodzą przez reling i skaczą prosto do wody. Madde ma nadzieję, że nie znajdą się pod „Charismą”, gdy ta położy się na boku.

Na tratwie nie ma prawie miejsca dla Madde, lecz Calle wyciąga do niej lewą rękę. Na jego palcu połyskuje obrączka, dokładnie taka sama jak Vincenta.

Madde siada okrakiem na krawędzi tratwy. Żeby nie wypaść, opiera stopę o linę. Trzyma mocno rękę Callego i daje znak głową.

Dziewczyna z baru Starlight odwiązuje liny. Zsuwają się. Na tratwie panuje całkowita cisza. Madde próbuje utrzymać równowagę, balansując pupą. Widzi, że zbliżają się do krawędzi kadłuba. Stalowoszarą wodę pod nimi. Nie potrafi ocenić, jak dużo im jeszcze zostało.

Zamyka oczy, gdy wokół tratwy jest już tylko powietrze. Zaciska jej się żołądek. Koc, którym okryła ramiona, odlatuje z wiatrem.

Tratwa uderza o wodę. Madde wylatuje w powietrze, czuje przy tym przeraźliwy ból w nodze. Nagle ląduje w wodzie. Zimno przenika ją na wskroś. Ryczy jej w uszach. Wszystko pociemniało. Jest tak zimno, że jej twarz zupełnie odrętwiała. Zaciska usta. Oczy. Próbuje płynąć, ale nie wie, gdzie jest góra, a gdzie dół.

I w końcu, w końcu, przebija się przez powierzchnię wody. Słyszy krzyki, słyszy, jak „Charisma” wzdycha i sapie za jej plecami. Odpycha walizkę, która pływa tuż obok niej. Niedaleko widzi tratwę unoszącą się na wodzie. Jest tam Marianne i krzyczy coś, ale Madde nie słyszy co.

Próbuje płynąć pomimo bólu w stopie. Nic z tego, nie posunęła się nawet o metr. Ktoś z tratwy wsunął wiosła do wody. Mruży oczy. Czy płyną do niej? Czy raczej chcą ją tu zostawić?

Za ile minut zamarznie na śmierć?

Prom wygląda, jakby przechylił się jeszcze bardziej, odsłania przed nią swój ogromny brzuch. Madde rozgląda się spanikowana. Porusza szybciej nogami, lecz wciąż znajduje się pod powierzchnią. Zachłystuje się wodą. Nie oddala się od „Charismy”. Prom ją przyciąga. Madde ciężko dyszy. Oczyma wyobraźni widzi wiry wokół tonących statków. Czuje się tak, jakby miały jej pęknąć płuca. Stopa mniej ją boli, bo zimno działa znieczulająco. Tak, tratwa płynie ku niej.

Calle przechyliła się przez krawędź, podaje Madde wiosło, a ona palcami obejmuje trzonek. Wymachuje ręką w powietrzu, ale nie posuwa się do przodu.

Coś dotyka jej kostki.

Zimne palce przesuwiają się po skórze, więc kopie do tyłu zdrową nogą i czuje na podbiciu delikatny dotyk miękkich włosów między palcami.

Jeden z nich.

Madde krzyczy na całe gardło. Nie ma odwagi kopnąć jeszcze raz, boi się, że znowu dotknie tych miękkich włosów. Boi się zębów, które na pewno tną teraz wodę. Oni mogą ją zabić. Albo przemienić w jedną z nich.

Palce znów zaciskają się na jej kostce. Szarpia. Ciągną ją w dół, do tyłu.

Madde ma usta pełne wody, kiedy krzyczy:

– Oni nie oddychają, oni nie oddychają, nie przeszkadza im, że są pod wodą!

Szarpnięciem uwalnia stopę ze śliskiego uścisku. Wypływa na powierzchnię. Wie, że w każdej chwili dłoń znowu może ją chwycić. Kaszle, walczy, by nabrać powietrza.

Powietrze, którego oni nie potrzebują.

Ludziom z tratwy udaje się ją złapać. Silne ręce chwytają ją za ramiona i unoszą.

Madde kopie jak szalona, żeby im pomóc. Wysokie fale za jej plecami grzmia, ochlapują ją lodowatą wodą. Krawędź tratwy jest tak wysoka. Tak cholernie wysoka. Ręce w wodzie dotykają kostki i Madde krzyczy z całych sił, podciąga kolana, zdrową stopą próbuje zahaczyć o linę. Silne ręce ciągną ją do góry i wreszcie wpada do tratwy, ląduje na kolanach.

– Widzicie coś? – krzyczy. – Ugryzł mnie? Nic nie czuję! Ugryzł mnie?

Tratwa się przechyla, kiedy kilka osób odsuwa się od Madde. Dziewczyna ze Starlight krzyczy, żeby się nie ruszały.

Madde wykasłuje wodę, a Marianne sprawdza jej nogi i zapewnia ją, że nie widzi śladu ugryzień.

Madde spogląda na wodę. Nie widzi żadnego z nich, ale wie, że są pod powierzchnią. Czy byliby w stanie dostać się na tratwę?

– Oni nie muszą oddychać – mówi. – Oni nie muszą oddychać pod wodą.

Nowo narodzeni wymachują ramionami, kopią nogami, ale nie są wystarczająco szybcy. Połykają lodowatą wodę, robią się coraz ciężsi, ściąga ich coraz głębiej w otchłań.

Prom położył się na boku. Słońce przebiło się przez chmury, lśni w oknach od strony bakburty, przez które teraz widać niebo. Ściany zamieniły się w dach. Dach zamienił się w ściany. Od strony sterburty za oknami jest tylko woda. Głęboka na setki metrów. Ciała przepływają za oknami. Niektóre z nich mają otwarte oczy, patrzące na tych, którzy wyglądają na zewnątrz. Ściany zamieniły się w podłogę. Podłoga zamieniła się w ściany. Wszystko odwróciło się do góry nogami, mimo to niektórzy wciąż próbują wydostać się ze swoich kabin, znaleźć drogę ucieczki.

Z ciemnowłosej kobiety i jej syna zostały tylko proch i resztki kości na pokładzie samochodowym.

We wnętrzu promu woda gwałtownie wzbiera. Wypełnia korytarze.

W kambuzie z otwartych kredensów wypada zawartość.

W Poseidonie szklanki, białe obrusy i krzesła wciąga wir.

Wielkie stoły w Charisma Buffet przewracają się w wejściu.

Kiedy woda dociera do generatorów, wyłącza się zasilanie alarmowe.

Na pokładzie zapada ciemność.

Szlafrok faluje miękko wokół mężczyzny z nożem wbitym w brzuch. Mężczyzna unosi się na wodzie, która wypełniła klatkę schodową na pokładzie piątym. Otwiera oczy.

Kobieta, która tyle razy mówiła, że chciałaby zamieszkać na „Charismie”, nareszcie spełniła swoje marzenie. Tkwi pod jedną z maszyn w salonie gier. Kłapie zębami, patrząc na wzbierającą wodę.

W morzu otaczającym „Charismę” krzyczą ci, którzy unoszą się na falach. Nikt z siedzących na tratwie spuszczonej jako ostatnia się nie odzywa. Wiedzą, że nie mają miejsca dla nikogo. Że ryzykowałiby życie wszystkich, gdyby próbowali uratować jedno więcej.

Madde spogląda w kierunku promu. Zastanawia się, gdzie są Zandra i Vincent. Słyszy krzyki i głośny chlupot z drugiej tratwy. Jednemu z nich udało się wypłynąć na powierzchnię. Płyne w stronę krawędzi tratwy. Jego kłapiące zęby są wystarczająco ostre, żeby przebić gumę. Ludzie na tratwie uderzają go wiosłami. I Madde musi odwrócić wzrok.

Marianne trzęsie się nie tylko z zimna. Napięcie opada, opuszcza ciało w gwałtownych spazmach. Próbuje je kontrolować ze względu na Stellę. Dziewczynka skuliła się w jej ramionach. Ssie kciuk. Marianne patrzy na Callego, który siedzi na drugim krańcu tratwy i wiosłuje. Spotykają się wzrokiem. Myśli o tym, że opowie mu, jak Vincent uratował jej życie. Że był bohaterem.

Calle odwraca wzrok. Patrzy na „Charismę”. Dziób promu wyłonił się z wody. Kiedy zapadnie się pod powierzchnię, wciągnie za sobą wszystko, co znajduje się w pobliżu. On i Marisol wiosłują jeszcze mocniej. Bolą go ramiona, czuje pulsowanie rany na czole, ale musi pracować całym ciałem. Jakiś młody chłopak wymiotuje gwałtownie. „Nie jestem chory – mówi szybko i ociera usta – tylko pijany”. Jakaś kobieta przeklina po rosyjsku. Calle patrzy na nią. Myśli galopują mu w głowie. Muszą mieć plan. Muszą

przekazać szybko informację tym, którzy przyjdą, żeby ich uratować. Rozgląda się po ludziach wokół siebie. Linda, która trzyma dzieci, całuje je w czółka. Na innej tratwie kobiety śpiewają, żeby nie zasnąć. Calle zawsze słyszał, że z katastrof żywi wychodzą tylko ci, którzy myślą przede wszystkim o sobie. Ale może to nie jest do końca prawda. Myśli na chwilę się uspokajają, robią miejsce dla uczuć. Spogląda znów na Marianne. Patrzy, jak okrywa kocem Madde, choć sama się trzęsie. To taki prosty gest, a tyle w nim serdeczności. Calle nagle uświadamia sobie własną radość z tego, że Vincent był z nią. Vincent nie żyje. Mierzy się z tą myślą. Vincenta nie ma. Odszedł. To absurdalne wyobrażenie, że Vincent, najbardziej energiczna ze znanych mu osób, już nie istnieje. Nie może w to uwierzyć. Mimo to ma nadzieję, że Vincent nie żyje. Lepsze to, niż żeby Vincent stał się jednym z nich.

Albin kieruje twarz w stronę zimnego słońca i mruży oczy. Krzyki w wodzie cichną, w miarę jak toną kolejne osoby. Albin chciałby już tylko zasnąć. Widzi, że Linda się o niego martwi. Im bardziej się martwi, tym więcej mówi. Teraz mówi, że mama i tata na pewno się uratowali, że na pewno bardzo się teraz o niego martwią, że niedługo znów wszyscy się spotkają. On nie potrafi się na tym skupić, bo jej słowa nic nie znaczą. Oczy mu się zamykają, zmęczenie rozchodzi się po ciele. Rozgrzewa je.

– Nie zasypiaj teraz Abbe, słyszysz mnie? – woła Linda. – Nie wolno ci zasypiać. Zamarzniesz na śmierć, jeśli zaśniesz.

Albin niechętnie podnosi na nią wzrok. Kiwa głową. Wie, że Linda ma rację. Ale sen przyciąga go do siebie. Tratwa go kołysze. Dźwięk uderzających o wodę wiosł działa uspokajająco. Ale czuje bardzo blisko siebie oddech Lo.

– Zastanawiałam się nad tym, jak to jest z tymi wampirami – mówi. – Powinny się upić krwią z tych wszystkich pijaków.

Albin znów otwiera oczy. Zainteresowało go to, co powiedziała Lo.

– Tak – odpowiada. – To dziwne.

Nagle dociera do niego turkoczący dźwięk. Helikopter. Bardzo daleko. Nie jest pewien, czy dobrze słyszy, ale zauważa, że inni również patrzą na niebo. Zamyka oczy, żeby lepiej słyszeć. Czuje, jak ze zmęczenia ciało znów robi się ciężkie. Ciężkie i ciepłe. Zimno do niego nie dociera.

– Nie wydaje mi się, żeby to było aż tak dziwne – mówi Madde. – Kiedy jest się naprawdę pijanym, ma się we krwi mniej więcej tyle alkoholu, ile jest w słabym piwie. Tym się trudno upić.

Albin podnosi wzrok. Pamięta ją z terminalu. Trzęsie się z zimna, wargi ma niebieskie, jakby jadła jagody. Jej koleżanki, której orzeszki wpadły między piersi, tutaj nie ma.

– Zawsze chciałem napić się krwi – mówi Albin.

Siedzący najbliżej nich patrzą na niego z niedowierzaniem.

– Ty przecież jesz kaszanke. Przecież to jest jak strup.

Chłopak, który przed chwilą zwymiotował, patrzy na nich ze złością. Albin chichocze.

– Już dobrze – mówi Linda. – Wystarczy.

Patrzy jednak z wdzięcznością na Lo, kiedy Albin tego nie widzi.

Turkot helikopterów robi się coraz głośniejszy. Na horyzoncie widać pierwszy. „Charisma” wznosi się jak wieża w wodzie. Jej dziób celuje prosto w niebo, a ona metr po metrze zanurza się w morzu oświetlona bladym światłem poranka. Piały ptak z fajką w czapce kapitańskiej jest teraz tuż nad

powierzchnią wody.

Marisol daje odpocząć swoim obolałym ramionom. Oddalili się wystarczająco od promu. Odkłada wiosła do tratwy. W głowie jej dudni, chciałyby napić się wody. Czuje ból rozlewający się po podniebieniu. Oblizuje usta. Smakuje krew, która zaschła na górnej wardze. Obrzydliwe. Próbuje raz jeszcze. Ma wrażenie, że nowe życie w jej brzuchu potrzebuje krwi. Chce więcej.

Wirry wokół tonącego promu powodują, że ściany wyginają się i łamią, pękają okna. Pochłaniają torby, ubrania i szczoteczki do zębów oraz ciała, które wypadły przez schody i korytarze.

Z „Charismy” z głuchym dźwiękiem uchodzą resztki powietrza, straszliwy ostatni wydech.

Pia nie może dłużej walczyć. Wciągają ją wirry. Poddaje się. Nozdrza, usta, żołądek ma wypełnione zimną wodą. Patrzy na światło dnia przecinające ukośnie toń nad jej głową. Pięknie. Nie chce spaść w ciemność. Nie chce zniknąć. Patrzy na olbrzymi zarys promu, gigantycznego potwora morskiego. Czasem wierzgającymi stopami trafia w czyjeś ciało. Niektóre z nich są jak ona. Toną, toną. A ona tonie z nimi. Prosto w ciemność.

Pierwszy mężczyzna, który został zarażony na promie, drapie ściany swojej wypełnionej wodą kabiny. Kobieta i mężczyzna w kabinie obok utonęli, ale on nie miał tyle szczęścia.

Niektórzy nowo narodzeni pełzną po dnie morza. Mają otwarte oczy. Ich zęby kłapią niczym nożyce. Wszystko tu jest takie inne. Ciemność. Dźwięki rozchodzą się zupełnie inaczej. Zapachy również. Ale to im wystarczy. Pełzną w kierunku lądu. Powoli, ale ze świadomością celu.

Mówi się, że potrzeba całej wioski, żeby wychować dziecko. To samo można powiedzieć o tej książce. Chciałbym podziękować przyjaciołom, znajomym i nieznajomym, którzy pomogli mi na różne sposoby: dzielili się kontaktami, odpowiadali na pytania, czytali maszynopis i dzielili się swoimi uwagami, jak również tym, którzy dopingowali mnie, kiedy wątpiłem, czy uda mi się dopłynąć *Promem* do lądu. Byli to: Anna Andersson, Kim W. Andersson, Ludvig Andersson, Åsa Avdic, Helena Dahlgren, Gitte Ekdahl, Måns Elenius, Maria Ernestam, Varg Gyllander, Emma Hanfot, Rickard Henley, Karl Johnsson, Jenny Jägerfeld, Ulf Karlsson, Fredrik Karlström, Åsa Larsson, Patrik Lundberg, Jenny Milewski, Elias Palm, Alexander Rönnberg, Mia Skimmerstrand, Gustav Tegby, Maria Turtschaninoff i Elisabeth Östnäs – bardzo Im wszystkim dziękuję.

Te osiemnaście miesięcy, które spędziłem na pisaniu *Promu*, były, na dobre i na złe, najbardziej bogatym w wydarzenia okresem w moim życiu. Jest kilka takich osób, którym chciałbym szczególnie podziękować: Levan Akin, Sara Bergmark Elfgren i Anna Thunman Sköld. Byli oni moimi łodziami ratunkowymi. Potrzebowałbym co najmniej jeszcze jednej książki, żeby wyliczyć wszystkie podziękowania, które jestem Im winien. Dotyczy to również Pära Åhlandera, który jako pierwszy przeczytał maszynopis, zaprojektował okładkę dokładnie tak, jak tego chciałem (ale jeszcze lepiej), i popłynął ze mną *promem* – „To od ciebie czuć kielbasę?”.

Dziękuję również Kim Petersen, przyjaciółce i świetnej concept artist, która opracowała ilustrację pokazującą zakrwawione korytarze „Charismy”.

Dziękuję tacie za to, że mogłem siedzieć na kanapie, pomrukując pod stosami notatek, i zawsze mieć kawę i dobre jedzenie pod ręką.

I jeszcze, naturalnie, wielkie podziękowania dla Johana Ehna. Ślub z Tobą był zdecydowanie najlepszą decyzją, jaką podjąłem w życiu. Dziękuję, że wytrzymałaś z „Baltic Charismą” przez te osiemnaście miesięcy. (I tak się cieszę, że nagrałaś audiobook. Kto inny przeczytałby tak dobrze dialogi Lo i Albina?).

Otrzymałem pomoc w poszukiwaniu informacji na temat zakulisowego życia na promie od mnóstwa fantastycznych ludzi. Odpowiadali cierpliwie na moje głupie pytania i sami szukali odpowiedzi, jeżeli ich nie znali. Czasem dawali mi nawet odpowiedzi na pytania, których nie mogłem zadać z powodu swojej nieświadomości. Podsuwali mi lektury i czytali pierwsze wersje maszynopisu, żeby pomóc mi iść dalej. Większość tych bohaterów i bohaterek chce pozostać anonimowa. Są dwa wyjątki. Jeden to Matilda Tudor, która wiele mi opowiadała na temat życia społecznego na pokładzie. Drugi – Sven-Bertil Carlsson, który pomagał mi w kwestiach technicznych i bez wątpienia wysłuchał najwięcej moich głupich pytań. Chciałbym podkreślić, że wszystkie nieścisłości są tylko i wyłącznie moją winą, czy to z powodu mojego braku zrozumienia, czy też celowego przeinaczenia. Chciałbym również podkreślić, że jeśli kiedykolwiek znów popłynę *promem*, będę mieć pewność, że jestem w dobrych rękach.

Ogromne podziękowania dla mojej wydawczynie, Susanny Romanus, i mojego redaktora, Fredrika Anderssona, którzy przez cały ten czas rozumieli dokładnie, co chciałem przekazać w tej książce, i pomagali mi w dążeniu do celu. Wielkie podziękowania również dla reszty zespołu Norstedts.

Dziękuję Lenie Stjernström i pozostałym agentom z Grand Agency, moim kamizelkom ratunkowym w czasie sztormu na morzu.

Dedykuję tę książkę swojej mamie, która nauczyła mnie czytać i zawsze wspierała mnie w moim pisaniu. Kocham cię.

CYTATY W KSIĄŻCE POCHODZĄ Z PIOSENEK:

- [1] fragment *Ljudet av ett annat hjärta*, P. Gessle, Jimmy Fun Music.
- [2] fragment *Livin' on a prayer*, D. Child, R. Sambora, Bon Jovi, J. Universal Music, Sony/ATV.
- [3] fragment *Om sanningen ska fram*, E. Amarillo, Sony/ATV (EMI music).
- [4] fragment *Jag vill vara din Margareta*, Karlzon, J. BMG Chrysalis.
- [5] fragment *Inget stoppar oss nu*, L. Holm, I. Forsman, Sony/ATV (EMI Music).
- [6] fragment *Tusen och en natt*, G. Lengstrand, D. Diedricson, BMG Chrysalis, Sony/ATV (EMI Music).
- [7] fragment *Aj aj aj (det bultar och det bankar)*, Wallebom R.
- [8] fragment *Dancing queen*, B. Ulvaeus, B. Andersson, S. Andersson, Universal Music.
- [9] fragment *You're the one that I want*, J. Farrar, Sony/ATV.
- [10] fragment *Islands in the stream*, B. Gibb, M. Gibb, R. Gibb, Universal Music, Warner/Chappell.
- [11] fragment *Torn*, A. Preven, P. Thornalley, S. Cutler, Universal Music, Sony/ATV (EMI Music).
- [12] fragment *Det gör ont*, T. Eriksson Universal Music,
- [13] fragment *I wanna dance with somebody*, G. Merrill, S. Rubicam, Universal Music.
- [14] fragment *Vill ha dig*, G. Hamilton, D. Söderholm, C. Sandelin, A. Uddberg, T. Ekman Fält, J. Hagleitner, Sound of Scandinavia.
- [15] Katla – smok z *Braci Lwie Serce* Astrid Lindgren (przyp. tłum.).